

10398

[7]

PISMA ALEKSANDRA JABŁONOWSKIEGO

TOM VII.

RZECZY POLSKIE.

WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA

(własc. T. III2 i B. Turkoł)

1913

10398
[7]

PISMA
ALEKSANDRA JABŁONOWSKIEGO

TOM VII.
RZECZY POLSKIE.

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA
(właśc. T. Hiż i A. Turkuł)
1913

Seminarium Socjologiczną
UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO

~~Nr. 3129~~



10398 [7]

H-121361

TŁOCZNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO W WARSZAWIE
MARSZAŁKOWSKA 114. — DRUK UKOŃCZONO
DNIA 15 LUTEGO 1913 ROKU.

ORYENTALISTA SĘKOWSKI

W KORESPONDENCYI Z LELEWELEM.*)

STUDIUM NA TLE LISTÓW ORYENTALISTY OSNUTE.

Zanadto znane są powszechnie imiona Lelewela i Sękowskiego—dwóch tych wielkich uczonych, naszych i europejskich, ubiegłej doby — abyśmy się czuli tu w potrzebie wskazywania na wagę niezmierną wszelkich po nich pozostałych pamiątek. Któż z nas nie podnosi z dumą czoła przy wspomnieniu poważnego historyka-obywatela? — kto nie pochyla go smutnie na myśl o głośnym orientaliście-satyryku? Choć tak nieskończenie różni od siebie, inni nieskończenie, mimo wszystko przecie, obaj oni są zarówno ludźmi niepospolitymi, przedstawiają w osobach swoich dwa bieguny przeciwne w krainie umysłowego bojowania naszego społeczeństwa, pracującego nad swem odrodzeniem duchowem. Korespondencya tedy takich ludzi, związanych nadto przez pewien czas stosunkami przyjaźni osobistej, nie może nie być wielce pożądanym i cennym przyczynkiem do jaśniejszego wyświeatlenia pewnych, przysłoniętych dotąd, stron dziejowych, zbyt ważnej, choć zaledwie tylko co przebytej, epoki naszej literatury i cywilizacji.

Redakcyja „Echa” otrzymała oto od najbliższego spadkobiercy znakomitego historyka — do wydania 25 listów,

*) Odcinek „Echa” 1878 r., Nr. 41 — 72.

pisanych do tego ostatniego przez orientalistę, w czasach ściślejszego ludzi tych stosunku.

Listy te Sękowskiego zasługują najzupełniej na wydanie publiczne, gdyż, oprócz wartości ogólnej, posiadają one nadto jeszcze znaczenie wyjątkowe.

Postać słynnego orientalisty zarysowuje się nam zwykle dotąd — na tle ogólnego obrazu naszego piśmiennictwa z epoki Mickiewicza i Lelewela, a łącznie z tem i na tle obrazu życia umysłowego całego naszego społeczeństwa z owego czasu — wcale niejasno, niewydatnie, wątpliwie nawet. A przecie była to postać bardzo wybitna z natury swej samej: jeden z wybujałych rozkoszniej kwiatów wysiłek potężnych ku umysłowemu odrodzeniu powszechnemu, jakie były przypadły w udziale grodowi Giedymina. Nim człowiek ten niepospolity stał się czynnie obcy własnemu społeczeństwu, był on całą swą duszą z niem zespolony, jako dziecię jego prawowite, choć od lat najmłodszych niesforne; należał do niego całą swą istotą — radością, bólem, nadzieją i pracą, należał do niego dumą swą i myślą lotną. Wogóle nawet stał się on nam i potem mniej daleko obcy, niż jak się to powszechnie zdawać może; a sława jego, jak i jego zawrót, właściwie zarówno do nas należą.

Zasługują więc one podobnie i na to, by zostać przedmiotem głębszej rozważki. Co staje się dziś nieodzownem tem bardziej, żeśmy obowiązani nawet badać nietylko zdrowe, lecz i chorobliwe objawy oraz wytwory życia naszego umysłowo-społecznego, każdej danej, choćby najbliższej, epoki; co więcej zaś, posiadamy już potemu należyłą moc i spokój.

Zresztą, gdy się ograniczymy nawet na pierwotnej działalności Sękowskiego na polu naukowego piśmiennictwa wyłącznie, przyznać mu będziemy zmuszeni stanowisko również niepowszednie. Tymczasem właśnie ta pierwsza, wyłącznie narodowa doba jego umysłowej działalności jest najmniej znana szerszemu kołu, a zarazem najbardziej dla nas interesująca. Winna ona tedy należyciej być rozjaśniona.

Cóż wszakże może być bardziej pewne, bardziej stanowcze nad świadectwo osobiste a mimowolne? Sękowski zaś nie lubił sam nigdy mówić o sobie, nie lubił również i pisywać, wyjąwszy w stosunkach serdeczniejszych. A tu właśnie mamy całą wiązkę listów do człowieka, z którym go łączył stosunek bliższy, poważniejszy, wyjątkowy ponieważ. Wypowiada się on w nich swobodnie we wszystkim. Możemy więc tu śledzić za pochodem jego prac, jego myśli, za polotem jego ducha w krainy ideału obywatelskiego, jak niemniej ku rozdrożom, na nieszczęście; możemy śledzić za ewolucjami powolnymi jego przeobrażania się i przeobrażenia duchowego. Ułatwią one niepomału zrozumienie pełniejsze tak samego procesu owego przeobrażenia się, jak istotnego rodzaju oraz stopnia jego zwrotu, do którego go fatalne okoliczności życia doprowadziły.

Naprawdę też postać, jakby przez pół demoniczna, Sękowskiego wychyla się tu z poza ich obłon bardziej dla nas zrozumiała i daleko jaśniejsza.

Nadto listy te uwydatniają wyraźniej, w dalekiej perspektywie, i potężną moralnie, wspaniałą postać Lelewela i wogóle przyświadczają dowodnie niepospolitej żywości i żywotności ruchu umysłowego wśród wybranego koła ludzi wyższego polotu naukowego w trzecim dziesięcioleciu naszego wieku.

Istotnie, nieocenione jest znaczenie tych listów.

Na mnie, oprócz wydania, przypada tutaj zadanie przejrzania i opatrzenia odpowiedniami uwagami listów owych, aby ta wiązka ich niewielka, w taki sposób uzupełniona, mogła przedstawić w sobie zarazem zwarty ściślej i do pewnego stopnia całkowity ustęp monograficzny.

Oczywiście, dla pełniejszego wyjaśnienia treści onych, a równie dla określenia bardziej wyraźnie tak psychicznej istoty, jak pochodu i ewolucji niezmordowanej oraz wielce różnorodnej działalności publicznej ich autora, musieliśmy się odwołać i do innych, dostępnych dla nas, źródeł i świa-

dectw pomocniczych. Posłużyły nam ku temu szczególnie dwa źródła w języku rosyjskim. Jednym z tych jest ustęp biograficzny orientalisty p. Saweljewa: „O życiu i pracach J. J. Sękowskiego”, zamieszczony na początku I-go tomu „Zbioru pism” jego, wydanego w Petersburgu 1858 roku; drugim zaś „Pamiętnik biograficzny” jego żony (drugiej), wydany tamże w 1859 r. Nie pominęliśmy też i późniejszych uwag p. Stawrina, w jego artykule o Sękowskim, zamieszczonym w czasopiśmie „Dzieło” — r. 1874, tom VI. Obok tego służyły nam za wskazówki same pisma orientalisty, tak polskie, jak i rosyjskie, a niemniej rozproszone wzmianki o nim. Nakoniec objaśnienia ustne osób niewielu, które pamiętają żywo tamte czasy i stosunki.

Przystępujemy zatem wprost do rzeczy, poczynając od wskazania rodowego gniazda Sękowskiego.

* * *

Rodzina Sękowskich, z której pochodził znakomity nasz orientalista Józef, należała do jednego z najstarszych rodów w Wielkopolsce. Stanowiła ona młodszą gałąź Sarbiewskich, których imię tyle potem wślawił w Europie łaciński, z połowy XVII w., wieńczony w Rzymie poeta — Maciej Kazimierz. Pierwszy znany z Sękowskich — Jan, poseł Zygmunta I-go do Wiednia, Paryża i Neapolu, pisał się jeszcze „z Sarbiewa” Sękowskim; synowie zaś jego „z Wielkiego Sękowa” Sękowskimi się zwali; późniejsze gałęzie tej rodziny pisały się „z Wojnowa”, „z Bolemina” i in. Kilku z Sękowskich dało się też poznać w piśmiennictwie, osobliwie na polu polemiki religijnej, tak w łacińskim, jak i polskim języku.

Z tych znani jako znakomici kaznodzieje: Wojciech, Dominikanin, nauczyciel Birkowskiego, umarł r. 1609 w Krakowie, i Ludwik, tegoż zakonu, który wydał r. 1725 w Warszawie Zbiór nauk pod tytułem: „Rada Boska albo kazania kwadragezmalne”.

Z czasem rodzina ta przeniosła się na Litwę, gdzie zajmowała wcale poważne stanowisko obywatelskie. Dział naszego Józefa, starosta wołkowyski, zostawał w stosunkach przyjaźni z królem Stanisławem Poniatowskim i towarzyszył mu do Petersburga. Ojciec jego Jan znany był ze swego wykształcenia, świetnego dowcipu, jak niemniej z czarującej powierzchowności. Lecz, na nieszczęście, wychowany w nawykniach do zbytku i marnotrawstwa, stracił on cały swój znaczny rodowy majątek; tak, że gdy po krótkim pożyciu z żoną, z litewskiego domu Bojków, umarł wprędce — sierotom ich, synowi i córce, pozostały jedynie skromne Antagołony — wioska, o kilka mil od Wilna leżąca.

Tam też właśnie 19 marca 1800 r. urodził im się syn, któremu na chrzcie św. imiona Józef Julian nadano.

Pozbawiona majątku i ojca rodzina znajdowała się w nadzwyczaj trudnem położeniu; ale młoda matka, kobieta wysokich przymiotów umysłu i serca, znalazła w sobie samej dość mocy, by sprostać ciężkiemu względem dzieci zadaniu. Poświęciła też wszystko dla ich jak najstaranniejszego wychowania.

Sama niepospolicie wykształcona, zajęła się ona osobiście pierwotnem wykształceniem synka, który z pacholectwa zapowiadał zdolności niepospolite, nadzwyczajne. Wiara zaś w przyszłość dziecka krzepiła ją we wszelkich przeciwnościach. Malutki Józio więc rozwijał się pod okiem czulej matki z niesłychaną bystrością, postępami swymi prześcigając nawet wszelkie oczekiwania.

W kole rodzinnem również znalazł on i pierwszego nauczyciela, który bardziej, niż ktokolwiekby inny, był w stanie dać mu poważne podstawy gruntownego klasycznego wykształcenia. Takim właśnie był mąż jego ciotki ze strony macierzystej, znakomity profesor greckiej i łacińskiej literatury na uniwersytecie wileńskim, uczony Gdańszczanin, Godfryd Grodeck. Korzystał zaś z jego przewodnictwa żywy Józio tem skuteczniej, ile że poważny profesor, ujęty rzad-

kiemi zdolnościami dziecka, namiętnie się był doń przywiązał. Dziełnie tedy przygotowany przez domowe wychowanie, wstąpił młodziutki Sękowski do kolegium mińskiego, gdzie miał mieć stryja.

Owczesne zaś kolegia polskie wileńskiego okręgu naukowego, nawet podług świadectw rosyjskiego biografa orientalisty (Saweljew, str. 17), stały wyżej od późniejszych gimnazyów, tak pod względem metodyczności wykładu, gruntowności nauczania, jak niemniej surowości egzaminów, odbywanych nie dla formy i nie dla „czynu”. Społeczeństwo polskie, dodaje dalej tenże, jak i literatura, stały już na wysokim stopniu cywilizacji: oświata była dla niego nie zbytkiem mody, którymby się osłaniała dzikość Sarmaty, lecz najistotniejszą potrzebą, liczne też kolegia, przewodniczone przez prawdziwie uczonych pedagogów, szczególnie pijarów, dawały wychowaniu młodzieży ową trwałą podstawę klasyczną, bez której niema prawdziwego wykształcenia i oświaty.

W kolegium kierunek nauk był przedewszystkiem filologiczny, całkowicie odpowiadający zdolnościom lingwistycznym młodziutkiego ucznia, który wprawiał w zdumienie nauczycieli swą pamięcią, zatrzymującą na zawsze to, co raz było jej powierzone. Nie zawiodła ona Sękowskiego i do końca życia: był on zawsze w stanie, gdy mu przypomniano jeden wiersz jaki z poetów Grecyi lub Rzymu, skandować dalej z pamięci wszystkie następne. Z namiętnem uniesieniem bowiem oddawał się on był od dzieciństwa klasycznym studjom.

Niedługo wszakże młodzieniec zostawał w kolegium mińskim. Grodeck upewniał matkę, że nie ma on tam się czego uczyć, i radził, by mu co prędzej przysyłała jego ulubienca do Wilna, na uniwersytet.

Stał się on już był przedmiotem dumy dla całej rodziny: prześcigał bowiem wszystkich swoich rówieśników — i obudzał podziw i powszechne uznanie. Matka z uniesieniem śledziła za nadzwyczajnymi postępami syna. Ale, jak

to często bywa w podobnych razach, nieumiarkowanymi swymi zachwykami przyczyniała się oraz, samochcąc, niepomatu i do wczesnego w nim rozwinięcia się przesadnego wyobrażenia o jego własnych siłach, połączonego z wygórowaną wysoce a niepowściągniętą miłością własną. Co więcej, podsycany powszechnymi oklaskami błyszczący rozwój umysłowych zdolności chłopczyny odbywał się w nim, na nieszczęście, z widoczną ujmą strony uczuciowej.

Wstąpił on do uniwersytetu.

Uniwersytet wileński w owej chwili stał był na najwyższym szczeblu pierwszej doby swego (od 1803) samostnego rozwoju. Unosił się tu ponad wszystkim, przewodniczył wszystkiemu duch Śniadeckich. Przeważał w nim dotąd kierunek realny, pozytywny, jakby się po dzisiejszemu rzekło; pierwsze miejsce zajmował po dawnemu wydział nauk fizyczno-matematycznych, wyłącznie filozoficznym zwany; wydział zaś „moralny”, czyli nauk polityczno-prawnych, zostawał ciągle w pewnym rodzaju poniżenia. Wydział filologiczny, literacki, najślabszy liczebnie, posiadał przecie paru dzielnych profesorów: stał tu górą Grodeck.

Ten właśnie wydział wybrał dla siebie młodziutki przybysz do stolicy Giedymina.

Był on już przygotowany należycie, aby móżdż służyć najspecałniejszych wykładów wydziału filologicznego; oddał się więc studjom uniwersyteckim z najżywszym zapałem. Lecz młody umysł jego, tyle fantastyczny, ile głęboki i badawczy, najbardziej pociągał ku sobie świat klasyczny Azji, owej kolebki narodów.

Obudził w nim upodobanie to już od dzieciństwa może Grodeck, a teraz niemniej i w wykładach swych uniwersyteckich ciągle na Wschód wskazywał. „Zachęcał on nas — powiadał potem sam Sękowski — do badania Wschodu, jego obyczajów, pojęć, literatur, powtarzając: przezeń dokładniej zrozumiecie starożytną Grecyę. Wschód tłómaczy Grecyę, Grecya zaś Wschód: urodziły się, wyrosły i umarły razem.

Rozkopujcie wszelkie zwaliska, porównywajcie wszystko, co tylko wam się znaleźć uda, tu i tam: znajdują się tam skarby, nieznane jeszcze dzisiejszemu rozumowi”.

Bardziej jednak, niż stary pedagog, musiał oddziaływać nań pod tym względem młodzieńczy, pełen wrzącej poezji, jak uczoności głębokiej, Lelewel. Lelewel, po usunięciu się 1810 r. z Krzemieńca, bawił potem czas pewien, dla prac swych naukowych, w Warszawie, a chociaż nie był profesorem, znany już był zaszczytnie w uczonym świecie. Jan Śniadecki i ks. Adam Czartoryski wezwali go stamtąd do Wilna, gdzie właśnie od 1814 do 1818 roku zastępował on profesora historii. Chociaż nie przygotowany jeszcze dostatecznie do uniwersyteckiego wykładu, obudzał on przeciw swymi odczytami wielkie w swych uczniach, z którymi sam pilnie pracował, zajęcie. Nadto sam — młody i posiadający naturę wiekuiście młodą, żył wśród młodzieży, — zdolniejszymi z pomiędzy niej się otaczał. A któż z rówieśników mógł być zdolniejszy od młodziutkiego Józefa? W żywym zetknięciu ze starożytnikiem-poetą, wrażliwy umysł jego zapalał się ideałami dalekiej przeszłości, dalekiego świata. W marzącej a namiętnej duszy podnosiło się pragnienie poznania z czasem tego świata w onego pierwowzoru, w obecnym jego bycie. Zrodziła się w nim jakaś tęsknota za Wschodem, podsycana nadto samą jego naturą psychiczną, lubującą się w przepychu lub choćby w fantazmatach czarującej wspaniałości, jakiej właśnie Wschód ma być ojczyzną. Grodeck więc z Lelewelem dali tylko pokarm tej ognistej wyobraźni, znajdującą w sobie samej główną podniętę.

Ale nie poprzestawał młody akademik na uroczych marzeniach tylko: zdolności jego, jego wrodzona energia pędziły go do czynu. Nim co tedy — sam więc, bez przewodnika prawie, wziął się zaraz do uczenia się hebrajskiego, arabskiego i innych wschodnich języków.

Nietylko nauka przeciw jedynie, nie klasyczna filologia i dyletanctwo orientalne zajmowały wyłącznie naszego mło-

dzieńca. Sam wiek jego unosił go oczywiście i w inne strony, a przytem umysł jego zbyt był ruchliwy, potrzebujący bardzo urozmaiconego pokarmu, zajęcia, rozrywki. Nic więc naturalniejszego, że Sękowski, pierwszy pod względem pilności w naukach, nie był ostatni i w życiu towarzyskiem wśród kolegów uniwersyteckich. Tem zaś gorliwiej i serdeczniej on mu się oddał, ile że cały nastrój i charakter tego życia, z lat owych, odpowiadały znakomicie jego wewnętrznym usposobieniom i skłonnościom.

Był to czas właśnie rozkwitu w Wilnie głośnego tyle towarzystwa „Szubrawców”.

Towarzystwo „Szubrawców” powstało w r. 1816, w przerwie pomiędzy ustąpieniem z rektoratu, powszechnie cenionego i żalowanego przez młodzież, Jana Śniadeckiego a назначeniem na rzeczywistego po nim następcę Szymona Malewskiego. Główna inicjatywa utworzenia onego należy tak zacnemu i dzielnych obywatelskich uczuć weteranowi, jakim był Kazimierz Kontrym, wtedy adjunkt biblioteki uniwersyteckiej. Zawiazali zaś je najznakomitsi ówczesnie uczeni i najgorliwsi obywatele Litwy. Duch i dążność satyryczna tego światłego zgromadzenia — powiada historyk owych czasów — wyniknęły z kierunku, który nauka wzięła pod rektoratem biskupa Strojnowskiego i Jana Śniadeckiego. Było to wyrażenie w społeczeństwie ducha i charakteru ówczesnej naukowej kultury. Była to strona praktyczna dążności teoretycznej uniwersytetu. Krytycyzm francuski, wyśmiewanie i nicowanie wszystkiego, co tylko gdziekolwiek — czy to na wyżynach społecznych, czy w literaturze, czy w obyczajach skarcenia potrzebowało, stanowiły istotę tego towarzystwa. Polegało ono na zasadach czystego liberalizmu; stąd najostrzejszymi sarkazmami karcilo przesady arystokratyczne i inne gorszące zabytki przeszłości i wady społeczne zakorzenione: jak pieniactwo, eksdywizye, czcze tytuły, zmysłowość mężczyzn, sentymentalność przesadną kobiet, francuzczyznę, skrzywione domowe wychowanie, najbardziej

zaś uciemężanie klasy rolniczej. Szubrawcy też powoli takiego wpływu nabrali, tak ostre mieli pióro, że każdy, co się poczuwał do winy, drżał na samo ich wspomnienie.

Przypominało ono nieco sławną „Rzeczpospolitą Bałtycką” Pszonki z XVI w., mającą równie za hasło: *ridendo castigare mores*.

Godłem tego towarzystwa był szlachcic lejący na łopacie, przynoszący nowiny z całej Polski. Łopata była niby berłem związku. Każdy członek miał swoje oddzielne imię w towarzystwie, wzięte z mitologii litewskiej. Tak, najpierwszy prezes towarzystwa, dr. Szymkiewicz, zwał się Perkunas; następca jego aż do rozwiązania towarzystwa, Jędrzej Śniadecki, był Sotwaros i t. d.

Zarzucono Szubrawcom później, że byli towarzystwem więcej kosmopolitycznym, niż narodowym, bardziej krytycznym, niż organicznym; że przyczynili się nadto do utworzenia między ziomkami, bawiącymi w stolicy północy, pewnego zawiązku owych duchów mocnych, którzy zasadzali cały swój rozum na wyśmiewaniu swojszczyzny, całe poczucie narodowe na tem, żeby być nie takimi, jak ich przodkowie, a następnie, coraz dalej idąc na drodze egoizmu i zaufania w siebie, skończyli tem, że dla swoich stali się obcymi... Lecz ten zarzut niesprawiedliwie dotykał Szubrawców. Nie przyznawali się oni nigdy do takich współziomków, ani do takich zasad; a że obywatelskość na drodze kosmopolityzmu widzieli, że ostrą krytyką powściągali pewne wyskoki wyobraźni, dopełniali w tem tylko — powiada historyk — swego powołania, bo inne być nie mogło bractwo satyryków z profesyi.

Przyjęty do takiego koła dla swych zdolności, bystry, dowcipny, pełen ognistej wyobraźni i satyrycznego humoru, młodzieńki nasz akademik oddał się mu z całym wrodzonym sobie zapalem. Jak wiadomo — duszą towarzystwa Szubrawców był sam Jędrzej Śniadecki: potężny jego umysł musiał więc tą drogą silnie oddziaływać na Sękowskiego.

Jędrzej Śniadecki, już jako uczony, miał tyleż prawie wpływu na rozwój umysłu i kierunek naszego lingwisty, jak badania historyczne Lelewela i lekcye filologiczne Grodecka. Śniadecki — mniejsza, że profesor innego wydziału — zwrócił Sękowskiego wykładami swymi do badań natury, zaznajomił go z zasadami przyrodoznawstwa, a w pismach swych dał wzór lekkiego i popularnego wykładu przedmiotów naukowych, różnego wielce od dosyć ciężkiego i suchego języka Lelewela.

Co więcej, Śniadecki posiadał satyryczny nastrój umysłu, w wielu rzeczach pokrewny nastrojowi Sękowskiego, przez co młodzieńca nadzwyczaj ku sobie pociągał. W domu jego zbierało się owo wesołe towarzystwo „Szubrawców”, wśród którego znakomity gospodarz był najdowcipniejszym współbiesiadnikiem; więc i tą drogą zarówno mógł oddziaływać żywo na wczesne rozwinięcie się wrodzonego nastroju satyrycznego przyszłego humorysty.

Towarzystwo „Szubrawców” wydawało, począwszy od końca 1816 r., humorystyczne piśmko pod tytułem „Wiadomości Brukowe” — mające świetne powodzenie u publiczności — którego redakcyi przewodniczył sam Śniadecki. Młody więc, zdolny akademik stał się jednym z najbardziej dowcipnych onego współpracowników i rozprawiał bez wstydzenia, sypał sarkazmami, lecz i karykатуrował z upodobaniem rzeczy najpoważniejsze.

Ale na nieszczęście, nie skończyło się na tej grze pozorze niewinnej; przy braku w nim wyrobionych przekonań poważnych, tryb ten w następstwie stał się jego przyzwyczajeniem, nałogiem, narowem. Nauczył się on wcześniej poświęcać nieraz wszystko dla dowcipu, dla sarkazmu. Stąd więc nawet w jego późniejszych pracach i artykułach dziennikarskich strumień sarkastyczny przenikał częstokroć najbardziej poważne rozprawy jego i badania, wprawiając w zdumienie czytelnika, niezdołnego odróżnić uwydatnianej tam myśli nowej od niespodzianego satyrycznego wyskoku, ni-

weczącego naraz całą powagę wrażenia i rzucającego cień mistyfikacyi na wszystko uprzednio powiedziane. Dopuszczał się on zaś tego już od lat najmłodszych, tem niepowściągliwiej, ile że znać nie mógł należytej miary swych zdolności, podziwiany i psuty przez wszystkich niemal.

Słusznie bardzo wskazuje na konieczność następstw tego jeden z jego krytyków (Stawrin, str. 3).

W domu, w kolegium mińskim, w wileńskim uniwersytecie, w wesołym kółku „Szubrawców” — wszędy, słowem, zbierał młody Sękowski z łatwością wawrzyny i wszędy widział się pierwszym. Było też rzeczą wielce naturalną, iż przy swej niezmordowanej przedsiębiorczości i olbrzymiej miłości własnej, rozwinął on w sobie, obok dążności zostania pierwszym wszędzie i we wszystkim, do czegooby tylko wziąć się zechciał, niemniej ufność, że mu wystarczy sił dla osiągnięcia tego pierwszeństwa. Czując się o wiele wyższym od swych rówieśników poważnem wykształceniem naukowem, nie zadowalał się on w ambitnych swych marzeniach rolą skromną pracownika, lecz chciał być twórcą: marzył nie o udoskonaleniu istniejących, lecz o odkryciu nowych dróg w świecie wiedzy. Popęd zaś ten był podsycany bodaj czy nie przez miłość własną... wyłącznie. W ognistym, pracowitym, dowcipnym młodzieńcu wrzały namiętności, nie było w nim jednak ciepłego, bezinteresownego uczucia. Na nieszczęście, w łonie własnego kółka rodzinnego nie znajdował on od dzieciństwa dość podniety i pokarmu dla wznioślejszych uczuć obywatelskich, a nawet religijnych, i wyrastał na indyferentystę. Zarody więc sympatycznych, bezinteresownych w nim uczuć, nie mając możliwości rozwinięcia się ani w kierunku obywatelskim, ani religijnym, zamierały już w tej epoce życia, w jakiej rozwinięcie się owo jest jedynie możliwe. Z indyferentyzmem połączył się w nim popęd do ironii i sceptycyzm, które, podsycając się wzajem, tłumiły w jego duszy wszystkie inne żywioły, wyjąwszy egoistyczne. Sława stała się więc de-

wizą jego życia; przesadne zaś pojęcie o swych siłach żywiło ufność, iż nie było dlań nic niemożliwego do osiągnięcia.

Nie poprzestał tedy ambitny akademik na humorystycznych obrazkach w „Wiadomościach Brukowych” zamieszczanych, wystąpił on od razu i na polu piśmienniczym, zbrojny w całą swą, zdobytą już niepowszedniem wysileniem zdolności i energii młodzieńczej — powagę naukową. Wystąpił nadto na ulubionem polu swych marzeń o Wschodzie. Oto przetłómaczył on słynne Bajki Lokmana i wydał je w roku 1818 po polsku, ze wstępem i uwagami, pod tyt. „Amtral-Lokman el-hakim. Podobieństwa i bajki mędrca Lokmana, z arabskiego przełożone i przypisane wileńskiemu towarzystwu Szubrawców przez T. H. członka tegoż grona”. Była to pierwsza poważniejsza jego próba w zawodzie literackim. Miał on wtedy rok dziewiętnasty zaledwie. Zwróciło to uwagę powszechną ludzi nauki na młodzieńca.

Umiał też on sobie zjednać takich ludzi, jak Kontrym, Lelewel i inni.

„Na wakacje — opowiada w pamiętnikach swych pani Sękowska (str. 3) — młody Józef przyjeżdżał na wieś, do Antagołon, gdzie mieszkała jego matka razem z jedyną swą siostrą, żoną jego uczonego przewodnika i do słabości namiętnego wielbiciela Grodecka. Majątek ten, posagowy matki, został przez nią ustąpiony siostrze, aby za pośrednictwem tej ofiary zapewnić sobie środki wychowania syna i spędzić tam samej resztę życia. Przyjazd młodego studenta, zdolnego, jaśniejącego wykształceniem i dowcipem, był zawsze, jak łatwo zrozumieć, epoką szczęścia wśród rodziny. Józef był równie szczęśliwy jak inni, i z całą swobodą oddawał się krótkiemu, wśród swych najbliższych, wypoczynkowi, po uciążliwej pracy, jakiej się w ciągu roku z wyczerpaniem sił całych oddawał”.

Usilna też praca, połączona z nadzwyczajnymi zdolnościami, sprawiła, iż Sękowski ukończył w r. 1819 kurs swych studyów uniwersyteckich w takim wieku, w jakim zwykle

młodzież ledwie je rozpoczyna: miał on wtedy dwudziesty rok dopiero. Nie potrzeba nawet dodawać, że egzamina jego były jedne z najświetniejszych i wykazały wszystko, czego możnaby było spodziewać się w przyszłości po tak niepospolitym młodzieńcu.

Przedwczesne to wszakże rozwinięcie się jego umysłu w całej pełni kryło w sobie, jakieśmy wyżej tego dotykali, niejedną stroną ujemną. Było też powodem błędnego kroku, który następnie przepęłnił młode jego życie goryczą. Rozwinięty bowiem nad wiek swój umysłowo, czuł on się daleko starszym, niż był rzeczywiście, i uważał się za dostatecznie doświadczonego dla przedsięwzięcia wszelkiego postanowienia w życiu.

Kobiety upędzwały się za studentem-dzieckiem, opromienionem już sławą — opowiada również w swych pamiętnikach biograficznych (str. 18) druga żona Sękowskiego — i każda starała się odbić u rywalki jego serce. Wysoki umysł nie przeszkadza człowiekowi być uczuciowo wrażliwym — i Józef niedługo mógł serca swego bronić. Oddał on je bezwarunkowo pierwszej kobiecie, która postanowiła zawładnąć niem na seryo. Była nią panna Marya Rodziewiczówna. Młody człowiek zwierzył się matce ze swej miłości i swych zamiarów.

Matka młodego Józefa z początku śmiała się, rozumiejąc, że wszystko to jest dzieciństwem jedynie, lecz kiedy dostrzegła, że sprawa ta przybiera zwrot poważny, surowo nakazała ulubionemu synowi wybić sobie z głowy zamysł przedwczesny. Nie zważając wszakże na przywiązanie, cześć, wdzięczność, ubóstwienie nawet, jakie syn miał dla matki, namiętność wzięła górę — i ślub odbył się potajemnie. Lecz, zdaje się, zbyt młody mąż wprędce się rozczarował, znudził; życie familijne z obowiązkami onego i gospodarczemi kłopotami okazało się dlań nad siły, przyprawiło go o rozpacz.

W takim stanie moralnym potrzebował on, jako nieodzownych warunków istnienia samego, przestrzeni, powie-

trza, swobody, możności wznowienia czynnego swego, naukowego życia, którego jeszcze nie umiał pogodzić z nowym swym położeniem. Wtedy więc dojrzało w nim postanowienie przedsięwzięcia podróży na Wschód. W uniwersytecie począł on być już zajmować się specjalnie wschodnimi językami, a cóż bardziej nad podróż mogło zaspokoić jego namiętne pragnienie i wzbogacić jego umysł nowymi wiadomościami?

Przy żywym, stanowczym usposobieniu młodego zapaleńca, ledwie powzięte przedsięwzięcie miało być bez odwołki wprowadzone w wykonanie. Dobra jego matka przyrzekła przyjąć do siebie na cały czas podróży niemłą sobie synową i sięgnęła do ostatnich zasobów pieniężnych, by zapewnić jedynakowi środki skutecznego zamierzonego przedsięwzięcia.

Środki te domowe wszakże nie były wystarczające wcale: stanął mu tu w przygodzie dzielny Kontrym z pomocą. Wydanie „Bajek Lokmana” zwróciło już było na młodego studenta, który tylko co ukończył swój kurs akademicki, uwagę członków uniwersytetu i publiki jako na zdolnego orientalistę. Rozumiano tedy, iż należało dać mu możność udoskonalenia się w językach wschodnich i odbycia podróży na Wschód, o jakiej on oddawna marzył, ażeby w ten sposób przygotować sobie w nim na przyszłość profesora dla Wilna.

Jaką wagę przywiązywano do jego na Wschód podróży, niech świadczy gorliwość ludzi dobrej woli w usiłowaniach zapewnienia mu środków dla możności należytego dokonania takowej.

W tym celu wydana została nawet cała odezwa osobna, która w kwietniu r. 1819 obiegała po Wilnie w rękopiśmie, a następnie, już po wyjeździe Sękowskiego, dla większego obudzenia zainteresowania się nim i w Królestwie, podana została w Pamiętniku Warszawskim (r. 1820, tom XVIII), redagowanym wtedy przez Bentkowskiego.

Autorem onej najniezawodniej był sam Kontrym.

Po ogólnym wstępie o nieodzowności oraz historycznej i cywilizacyjnej wadze stosunków międzynarodowych, wskazuje on na nieuniknioną konieczność dalszego utrzymywania żywych stosunków naszych ze Wschodem. Przeszłość przekazała nam też przykład do naśladowania. „Przodkowie nasi nie byli w tem obojętni, czego dowodem są liczne fundusze w XVI i XVII wieku, poczynione dla różnych zgromadzeń duchownych (które wtedy wyłącznie nauki utrzymywały) na cel ćwiczenia się w językach i literaturze orientalnej. W szczególności oprócz zakonu OO. Trynitarzy, ten przedmiot nieodłącznym od swego powołania mających, cała prowincya ruska OO. Dominikanów, przez za twierdzenie nawet powagą stolicy apostolskiej, wyłącznie i całkowicie przeznaczona została na ciągłe ćwiczenie się i doskonalenie w językach: arabskim, perskim, tureckim, tatarskim i armeńskim, a hojne uposażenia, na to poświęcone, przekonywają, że gruntownie znano ważność i użyteczność tych nauk”. Znani też są nasi orientaliści, jak Wieczorkowski, Krusiński, Paszkowski, Meniński, Bobowski. Cięży też na społeczeństwie i w obecnej chwili obowiązek popierania czynnego wszelakich usiłowań cywilizacyjnych.

Poczem następuje zwrot:

„W szczególności co do języków i literatury orientalnej, nastęrcza się teraz bardzo sposobna okoliczność, w której duch publiczny ważną do zaprowadzenia u nas i do rozkrzewienia nadal tych nauk staćby się mógł sprężyną. Jest młodzieniec, przećwiczony w filologii i językach starożytnych, i z nowożytnych kilka przedniejszych umiejący, który, nabywszy już początków języków arabskiego, perskiego i tureckiego, ma zdolności i potrzebne przymioty do zrobienia w tej nauce znacznych w krótkim czasie postępów, a żądzą osiągnięcia tego zamiaru mocno przejęty, obyczajów pewnych, w pracowitości i wytrwałości doznany. Nazywa się

Józef Sękowski, rodem z powiatu wileńskiego, mieszka ciągle w Wilnie, wieku ma lat 22".

Dalej idzie wyliczenie prac jego naukowych.

Widzimy stąd, iż Sękowski, oprócz prac swych naukowych, bądź napisanych oryginalnie, bądź z obcych języków przełożonych, a drukowanych po większej części w Dzienniku i Tygodniku Wileńskim z lat 1817, 1818, 1819, miał już przygotowane pisma następujące:

Podróż Ahmeda ef. ambasadora Porty ottomańskiej do Berlina przez kraje Polskie w r. 1784. Rękopism tłómaczony z tureckiego.

Wiadomość o terażniejszym stanie farmacyi i aptek, oraz policyi medycynalnej w Turczach. Rzecz mająca być drukowana w Pamiętniku Farmaceutycznym wileńskim.

Rozprawa o litografii po turecku, napisana dla Muhib-ef.

Nakoniec rozpoczęte tłómaczenie znakomitego „Obrazu państwa ottomańskiego” D'Ossuna — a które miał typograf uniwersytetu Zawadzki w całości wydać.

Kończy się zaś ta odezwa następnem przemówieniem:

„Przy zdolnościach i pracowitości, jakie p. Sękowskiego znamionują, gdyby ten młody człowiek miał sobie ułatwiony wstęp do zawodu zgodnego ze swoim gustem i przygotowaniem, mógłby stać się zaszczytem ojczyzny, a w nauce oryentalnych języków i literatury przynieść dla niej korzyści obecne i przyłożyć się do utorowania tejże drogi dla innych ziomków”.

„To ułatwienie najskuteczniuszem byłoby przez dopomożenie jemu do odprawienia podróży do Stambułu, z rocznym przynajmniej tam pobytem, w celu: a) Ćwiczenia się w językach arabskim, perskim i tureckim; b) Wyszukiwania i wypisywania podług zręczności aktów i materyałów, ściągających się do historyi, mianowicie polskiej; c) Zbierania takowychże materyałów, służących do złożenia za czasem dokładnej i systematycznej historyi powszechnej narodów

wschodnich, jakiej uczonego świat jeszcze pożąda; d) Pracowania, za przewodnictwem dzieł Menińskiego i Paszkowskiego, w zamiarze nowego wydania gramatyki i słownika tureckopolskich; e) Obeznania się w ogólności z literaturą turecką i stanem nauk i oświecenia tego narodu; f) Zbierania szczegółów, któreby D'Ossuna Obraz mogły uzupełniać i objaśniać”.

„Na tę podróż, podług ścisłego okalkulowania, potrzeba rubli 900 srebrem. W nadziei, że się znajdą osoby, uznające ten zamiar użytecznym i mogące nań zrobić niewielką ofiarę, otwiera się subskrypcya, z podziałem sumy na 30 akcyi, każda od rubli 30. Pan Zawadzki, typograf uniwersytecki, uproszony jest do przyjmowania subskrypcyjnych pieniędzy. Podróżny wszystkim subskrybentom da raport z czynności i zatrudnień swojej podróży i t. d.” Nadto każdy z nich miał otrzymać po egzemplarzu tłumaczenia Sękowskiego dzieła D'Ossuna.

Za staraniem więc czynnem Kontryma, który był duszą wszelkich stowarzyszeń i czynności, mających na celu dobro publiczne wogóle, szczególnie zaś — zapewnienie pomocy naukowej dla potrzebującej młodzieży — ludzie dobrej woli oraz grona literackie i naukowe wileńskie wzięły na siebie uzupełnienie szczupłego zasiłku Sękowskiego, otrzymanego przezeń na podróż od matki. Młody uczonego z łatwością mógł zwrócić z czasem otrzymaną zapomogę swemi pracami literackimi i opisami podróży. Suma tedy niezbędna, która jednak okazała się potem niedostateczną dla odbycia dłuższej a tyle kosztownej podróży, była zebrana. Wybór w drogę nie trwał długo: 1 września 1819 r. Sękowski już opuścił Wilno.

Przed wyjazdem jeszcze pokrył on część otrzymanego zasiłku na podróż gotowemi swemi pracami. Dziennikowi Wileńskiemu, wydawanemu nakładem „Towarzystwa typograficznego” i redagowanemu przez profesorów uniwersytetu przeważnie, dał on obszerny artykuł, zawierający w sobie

rozbiór i streszczenie głośnego w swym czasie dzieła Muradży D'Ossuna „Tableau de l'Empire Ottoman”. Dla Tygodnika Wileńskiego zaś, mającego mniej poważny od poprzedniego pisma charakter, przeznaczył rozprawę swą „O zabawach i śpiewach nowożytnych Greków”, z tłumaczeniem niektórych pieśni nowogreckich. Obiedwie prace — owoc poprzedniego studyowania krain i ludów, które miał on teraz poznać na miejscu.

Wybrawszy się raz w podróż, młody, 22-letni, Sękowski oddał się jej całą swą duszą namiętą. Po drodze, we własnym kraju jeszcze, wszystko go już najżywiej zajmowało. Z Odessy przysłał on do Dziennika Wileńskiego początek swego „Dziennika podróży — z Wilna przez Odessę do Stambułu”, w którym zawierał się opis drogi z Wilna do Winnicy, a potem „Opisanie Odessy”, jako dalszy ciąg tego Dziennika podróży. Nadto do Tygodnika Wileńskiego artykuł, zawierający: „Prawidła dla szkoły heleńskiej kupców greckich w Odessie. Przekład z języka nowo-greckiego”. Początek „Dziennika podróży” świadczy o niepospolitym, wielostronnym darze postrzegawczym podróżnika; zwracał on tam uwagę na handel, rolnictwo i dobrobyt kraju — nie bez satyrycznych wszakże pocisków na „patryarchalny” tryb życia obywatelstwa, srodze je w następstwie obrażających.

Lecz nie wiedzieć skąd rosyjscy biografowie Sękowskiego (Saweljew, Stawrin) wzięli zabawną historję, wyglądającą na istną Räubergeschichte, jakoby młody nasz podróżnik, nie poprzestając na drażnieniu szlachty swymi obrazkami z podróży po własnym kraju, wydrukował był gdzieś koło tego czasu paradoksalną rozprawę „O pochodzeniu polskiej szlachty”, jeszcze srożej ją dotykającą. „Rozprawa ta, w której autor dowodził różnicy pochodzenia szlachty polskiej od ludu i wyprowadzał ją od panujących niegdyś nad słowianami Awarów, których szczątki w kaukazkich Lezgach przetrwały, miała oburzyć wszystkich czytających ją ziomków autora, a Lelewel — *horribile dictu* — klątwę na nią rzucił”.

I oto od tej niby chwili zerwane zostały ostatnie moralne węzły, łączące Sękowskiego ze społeczeństwem polskim, o co nie dbając wcale, postanowił on nadal działać w Rosyi. Co zaś o tem właściwie należy rozumieć—wytłómaczy nam tak następny długoletni ściślejszy stosunek Sękowskiego z Lelewelem, jak załączone tu listy pierwszego, w których znajdujemy i wzmianki o jego poglądzie na hipotezę historycznego pochodzenia szlachty.

W październiku 1819 r. znajdował się Sękowski już w Stambule.

Posłem rosyjskim przy Porcie ottomańskiej był wtedy baron G. A. Strogonow, człowiek znany ze swego rozumu i wykształcenia. Znalazł w nim młody podróżnik polski na pierwszym wstępie zaraz gorliwego i wspaniałego protektora. Wytrawnemu dyplomacie podobał się wielce żywy, dowcipny i uczony zarazem młodzieniec. Ocenił on natychmiast cały użytek, jaki ten mógłby z czasem przynieść w zawodzie dyplomatycznym na Wschodzie, i następnie ofiarował Sękowskiemu miejsce urzędowe pod swem zwierzchnictwem przy misyi konstantynopolskiej, pozostawiając mu zupełną swobodę w przedsięwziętej podróży, która mogła być uważana za przygotowanie się tem skuteczniejsze do wkładanego nań obowiązku — jako dragomana. Sękowski nie mógł odmówić przyjęcia tak pochlebnej dlań propozycji, tem bardziej, że jego sumki prywatnej nie wystarczyłoby na odbycie podróży dalszej. Baron Strogonow przedstawił natychmiast tę sprawę kanclerzowi ówczesnemu państwa, ks. Rumiancewowi, i Sękowski został na rozkaz najwyższy zaliczony do misyi konstantynopolskiej (1820 r.). Co więcej, na mocy postanowienia komitetu ministrów, otrzymał on „za postępy w naukach” 600 rb. z sum uniwersytetu wileńskiego—od którego nic był nie dostał przy wyjeździe w podróż.

Zdawało się tedy, że odtąd stanowczo zdecydowany został dla młodego naszego orientalisty zawód dyploma-

tyczny na przyszłość — z nieodzownem tego następstwem stalszego przez długie lata pobytu na muzułmańskim Wschodzie. Czy tak też rozumiał zacny Kontrym moralny obowiązek orientalisty względem Wilna — wątpić należy.

W styczniu 1820 r. przysłał Sękowski ze Stambułu ostatnią swą daninę pismom wileńskim: dał on mianowicie Dziennikowi Wileńskiemu przegląd „Dywanu”, to jest zbioru poezyi znakomitego perskiego anakreontyka Hafiza („Diwani Chodża Hafiz Szyrazi etc.”), z tłumaczeniem niektórych jego utworów. Był to oraz nowy dowód jego zdumiewających zdolności i pracy usilnej, które to jedynie zrobiły dlań możliwem poznanie języka perskiego w tak krótkim czasie do tego stopnia, aby być w stanie tłumaczenia trudnej mistycznej poezyi Hafiza. Nadto umieścił również w tym Dzienniku (1820, tom III) ustęp pod tytułem: „Niektóre szczegóły o dzisiejszym stanie i zasadach wewnętrznego sprawowania państwa Iranu, przekład z perskiego”.

W lutym rozpoczął on pełną życia korespondencyę swą z Lelewelem, który od r. 1818 bawił już w Warszawie, zajęty teraz właśnie studjami nad Indyą starożytną.

* * *

Korespondencya Sękowskiego z Lelewelem ze Wschodu rozpoczyna się listem 13 lutego 1820 r., z Pery, chrześcijańskiego przedmieścia Konstantynopola datowanym.

List ten wstępny, krótki, doraźny jakby, doskonale charakteryzuje stosunek wzajemny dwóch tych niepospolitych ludzi, dawniej już zawiązany. Ton listu przedewszystkiem główny tu wyraz stanowi.

Młody, 20-letni prawie, Sękowski zwracał się ku starszemu od siebie Lelewelowi — niedawny uczeń do swego naukowego doradcy i znakomitego już w świecie uczonym pracownika—ze swobodą i poufałością szczerzej koleżeńskiej przyjaźni, połączonej z jednej strony ze skromnem uznaniem wyższości powagi przyjaciela, ile z drugiej—z wyraźną

potrzebą wykazania swej niezależności i pewności siebie. Zwie on go „kochanym panem Joachimem”, „szanownym panem Joachimem”, nawet wprost „szanownym Joachimem” i przemawia doń w drugiej osobie liczby pojedynczej.

Kiedy — od jak dawna i przy jakich okolicznościach stosunek ten przyjaźni koleżeńskiej się pomiędzy nimi związał — nie wiemy. Świadczy to wszakże przedewszystkiem dzielnie o serdeczności i mądrości obywatelskiej Lelewela, który, sam wtedy jeszcze młody, umiał garnąć ku sobie zdolniejszą uczącą się młodzież i przywiązywać ją nadal węzłami przyjaźni. Świadczy to nawet wogóle dobrze o stosunku ówczesnych profesorów z uczniami.

Zresztą, co do Sękowskiego — znany on już był, widać, powagom narodu; przesyła bowiem tu ukłon Niemcewiczowi.

List ten wstępny niemniej też jego samego odrazu wybornie cechuje. Czuć tu swobodny humor, ironię i sarkazm niedawnego członka „Towarzystwa Szubrawców” i gorliwego współpracownika „Wiadomości Brukowych”. Widać żywość, poczucie natury, obok tego zaś szczerść, prostotę i powagę w wypowiedaniu głębszych swych pobudek i przekonań.

Dziwić w tym razie może jedno, że Lelewel nie był w Warszawie uprzedzony o wyjeździe na Wschód Sękowskiego.

Bawił on tam już od r. 1818, w którym był powołany z Wilna, dla objęcia przy nowopowstającym uniwersytecie urzędu bibliotekarza oraz katedry profesora historii. Chybiły go wprawdzie obiedwie te posady; ale mimo to, nie opuszczał on Warszawy i, poprzestając na skromnej katedrze bibliografii, oddawał się dzielnie dalej badaniom dziejowym. Z Wilnem przecie zbyt żywe i silne spójnie moralne zawsze go wiązały: było ono bowiem nadto jeszcze najpotężniejszym dotąd ogniskiem naukowym w kraju.

Z Gniewoszem herbu Maruda, jak on nazywał jednego z dawnych swych towarzyszy, łączyły Sękowskiego, zdaje się,

poufalsze jakieś stosunki; do kogo atoli mogło stosować się owo ironiczne nazwanie — dopytać ani domyślić się nie zdołaliśmy.

Posiadając bardzo skromny zaledwie zasób na kosztowne wydatki podróży, a nie upewniony jeszcze przez późniejszą propozycję przyjęcia miejsca przy poselstwie rosyjskiem w Stambule, zamierzał pierwotnie nasz orientalista krótko tylko bawić na Wschodzie, tak, iż z pierwszą wiosną następnego (1821) roku spodziewał się on być już z powrotem z Kairu, przez Paryż i Wiedeń, w Warszawie.

Lecz oto i brzmienie samego listu pierwszego.

Pera, w Konstantynopolu, 1820, 13 lutego n. s.

Kochany Panie Joachimie! Rozumiem, że teraz, siedząc w pośród zarazy, pożarów i Perotów, narodu najgłupszego w całym świecie, pora jest, a przynajmniej największa dla mnie przyjemność, przypomnieć się twojej przyjaźni, Szanowny Panie Joachimie. Nudny sposób życia tutejszych mieszkańców, którzy się już przewybornie bawią, jeśli w lombra grają do północy, a jeśli weń grać umieją, za niezmiernie dowcipnych i oświeconych ludzi uchodzą; taki, mówię, sposób przepędzania wieczorów, bo w dzień wszyscy oszukiwaniem jedni drugich są zatrudnieni, zostawia jedyną dla cudzoziemca przyjemność swobodnie bawić się wspomnieniami swej ojczyzny i osób, z któremi się kiedyś mile część czasu przepędzało. Winienem ci zapewne wiele przeproszeń, zem raczej z Wilna do ciebie nie pisał, niż z barbarzyńskiego miejsca, wypisanego na wierzchu, które może cię przestraszy. Lecz za to teraz nagrodzić to postanowiłem, i jak taki sposób nagradzania własnej winy miły jest dla samego winowajcy, łatwo sobie wyobrazisz, gdy ci powiem, że jedyną w tym kraju przyjemnością jest: pisać do przyjaciół i odbierać listy od przyjaciół, jeśli ich kto umiał pozyskać; słowem, zabawy swoje z sobą tu przywieźć potrzeba, to jest przywieźć przyjaźń wielu osób, którychby

wspomnieniami bawić się w samotnych chwilach można było i część czasu na wynurzenie im uczuć i myśli swoich obrócić. Jeśli mię nie twoja przyjaźń, Szanowny Panie Joachimie, (gdyż może małe zasługi moje słabo cię skłaniają do tego, żebyś mi imienia twego przyjaciela używać pozwolił), to przynajmniej takie moje położenie za pozór mi służyć będzie do częstszego pisania do ciebie, a razem do proszenia, żebyś mię twojami listami zaszczycił i pocieszył. Może cię zdziwi miejsce nawet, z którego piszę. Muszę ci więc powiedzieć, że 1 września roku przeszłego wyjechałem z Wilna na lat parę, w zamiarze zwiedzenia części Grecyi i niektórych stron zachodniej Azyi. Czy jednak tak długo bawić będę w tych miejscach—wątpię. Około środka lata wyjadę z Konstantynopola, w którym od 1 października v. s. bawię. Udam się do Morei, niektórych wysp Archipelagu, a potem do Alepu, Jeruzalem, Aleksandryi i Kairu, gdzie kilka miesięcy chcę przepędzić, a ztamtąd udam się do Tryestu lub Wenecyi, i przez Paryż, Wiedeń, będę około marca 1821 w Warszawie, gdzie będę miał przyjemność osobiście powtórzyć ci wynurzenie tych przyjacielskich uczuć, któremi jestem przejęty, jeśli ci nacokolwiek są potrzebne. Cudownie łagodne klima tutejsze przywróciło mi należyte zdrowie, które już ledwo co tlało w ciężkiem powietrzu wileńskiem. Nie przesadzę zapewne, gdy powiem, że zima tutejsza, mianowicie obecna, w niczem naszemu majowi i całej naszej nie ustępuje wiosnie. Całą zimę kwitną tu kwiaty, zieleni się murawa i ciepło niekiedy, przy najpogodniejszym niebie, do 8 lub 9 stopni dochodzi. Lecz zaraza!.. kończy wszystkie uciechy; trzeba się zamknąć, trzeba się naleźć od całego świata i wszystkich cudzych rzeczy odosobnić; trzeba nakoniec żyć jak w prawdziwem więzieniu, lękając się i oczekując co chwila, prędkoli wyrok śmierci zapadnie? Na moje szczęście, zmniejszyła się nieco od pewnego czasu ta klęska, nie ustała jednak. Spodziewać zaś się trzeba, że wkrótce z nową się zajadło-

ścią rozprzestrzeni, gdyż we wszystkich przystaniach Mar-
mory i morza Białego, aż do Dardanelu, z kądem codzien statki
i okręty do Carogrodu przychodzą, z niewypowiedzianą sro-
gością pustoszy. Co robi nasz pocziwy Gniewosz herbu
Maruda; gdzie jest, czy zdrów, czy tyje? Jeśli się w War-
szawie znajduje, tysiąc pozdrowień i uściśnień mu zasylam.
Nie piszę do niego, bo nie mam adresu. Proszę cię jed-
nak, kochany Panie Joachimie, zmusz go, niechaj napisze
do mnie niezwłocznie, bo ze wszelkim nawet pośpiechem
cztery prawie miesiące na odpowiedz czekać trzeba. Przez
następane poczty pisać będę do ciebie, Szanowny Joachimie,
w niektórych chudoliterackich przedmiotach. Ciebie zaś
proszę, racz pisywać do mnie, pod adresem, który przyłą-
czam, i to dosyć często. A mianowicie: napisz do mnie
o wszystkich polsko-literackich i nieliterackich wiadomo-
ściach co słyszano, co słyhać i co słyhać będzie? Gdyż tu
w najokropniejszej zostają niewiadomości. Polecam się two-
jej pamięci, łasce i przyjaźni. Selam aleykium, we rahmet
Allah, we berekiatho.

Sękowski.

Pokłon się niziuchno odemnie Niemcewiczowi.

J. S.

List drugi, wrędcę po pierwszym, również z Pery wy-
słany, podobnie wybuchem humoru „szubrawca” wileńskiego
się rozpoczyna. Występuje tu pan Józef „w imieniu naro-
dowej reprezentacyi” w Konstantynopolu, składającej się,
wobec trojga hrabiostwa, z kupca ex-żydka, szewca i jego
samego właśnie. Pobudka wszakże odwoływania się do Le-
lewela serdecznie poważna. Gronko nieliczne współziom-
ków, których okoliczności na Wschód, do stolicy padysza-
chów zapędziły, a między którymi pierwsze miejsce zajmuje
głośny w swoim czasie „emir” Wacław Rzewuski, stęsknione
za krajem, chce coś wiedzieć o nim — o Warszawie, o sej-
mie. Gazety obce nic prawie nie podają, a komunikacye

ze Stambułem w owych czasach wcale nie łatwe. Na Lewela więc, jako na doświadczoną i najniezawodniejszą gorliwość człowieka, wkładają oddaleni obywatelski obowiązek powiadamiania ich od czasu do czasu o progach rodzinnych.

Niespokojną zaś ową tęsknotę drobnego kółka ziomeków, których los zetknął przypadkowo nad Bosforem, za wiadomościami z kraju, pojmiemy tem łatwiej, tem głębiej i serdeczniej, gdy sobie przypomnimy samą ową chwilę dziejową. Co żyło i czuło [wtedy, wyczekiwało z wyteżeniem przebiegu wypadków. Odbyć miał się właśnie w Warszawie drugi sejm niedawno utworzonego Królestwa Kongresowego; a któż nie zna dość jego charakteru i przedmiotu ważeń się w jego łonie — Kaliszan, Niemojowskich i t. d. Nic dziwnego tedy, że i takiego Ukraińca, jak Rzewuski, paliła niecierpliwosć wiadomości, że i młodzieutki Litwin, który tylko co kraj opuścił, chciał coś pewniejszego o życiu w niem żywszem wiedzieć.

W liście tym charakteryzuje Sękowski Rzewuskiego w taki sposób, że to mu samemu zaszczyt przynosi, świadcząc o świeżych i niezmaconych jeszcze uczuciach rodzinnych. Co zaś do opisu drugiej emira do Arabii wyprawy, którą on właśnie tłómaczył po polsku, była ona następnie drukowana w Dzienniku Wileńskim (1821, tom II) pod tyt.: „Podróż do Palmiry z zastanowieniem się nad wiatrem Samieli zwanym, w pustyni tej panującym”.

Oto treść sama listu II, który — musimy tu wspomnieć — był już drukowany, całkowicie prawie, zaraz w następnym 1820 r., w Pamiętniku Warsz. (tom XVIII), wydawanym wtedy przez Bentkowskiego, przy obszerniejszem tam wspomnieniu o podróży Sękowskiego i wyżej wzmiankowanej odezwie do ofiarności współobywateli Kontryma:

Pera w Konstantynopolu, 12 marca 1820 r.

Kochany Joachimie! Drugi list piszę do ciebie i to nie w swoim teraz imieniu, lecz w imieniu naszej na-

rodowej reprezentacji w Konstantynopolu, składającej się: 1) z hr. Rzewuskiego; 2) z hr. Axaka; 3) z hrabiny Ludolfowej, żony neapolitańskiego przy Porcie ministra, z domu Wejsenhofówny; 4) z jednego kupca, podobno ex-żydka; 5) z jednego szewca i ze mnie. Możesz wyobrazić sobie, jak ta zacna kompania, chciwa zawsze coś wiedzieć o ojczyźnie, nudzić się musi, nie mając żadnych prawie o kraju wiadomości i musząc oczekiwać aż coś napiszą (jeżeli co napiszą) w Frankfurtskiej lub Wiedeńskiej gazecie. Lecz szczególnie wracając się do Rzewuskiego, muszę ci powiedzieć, że ten człowiek czyni zaszczyt naszemu imieniu w stronach tak dalekich od naszej ojczyzny. Zawsze jednostajnie utrzymany charakter i szlachetność narodowa i kilka prawdziwie wspaniałomyślnych postępów jedną mu słuszną uważanie i poszanowanie dla uczuć narodowych, które nam smutnym zbiegiem okoliczności, wielką część Europy za zbrodnię poczytuje. Powrócił on teraz z Arabii z owocem ważnych i ciekawych postrzeżeń, które w krótkce zapewne będziemy czytali w naszym języku: lecz ponieważ tak się złożyło, iż nie tracąc czasu musi jeszcze raz pojechać w te kraje i to już raz trzeci, zostawia mi postrzeżenia swoje bardzo ważne i ciekawe, o wietrze stepowym zwanym od Arabów „Simum”, od Turków „Sam-jeli”, i krótką wiadomość o swojej drugiej do Arabii wyprawie. Pracuję nad przełożeniem jej teraz po polsku i za parę miesięcy będziemy ją mieli wydrukowaną w Wilnie, zkąd zaleca mi hr. Rzewuski posłać tobie, kochany Panie Joachimie, egzemplarz. Wyjeżdża on z Konstantynopola dnia 4-go kwietnia. Uradziliśmy więc, polegając na twej dobroci i przywiązaniu do rodaków, pisać teraz do ciebie, kochany przyjacielu, prosząc jak dobrego Polaka i znakomitego z nauki w narodzie naszym męża, żebyś był łaskaw natychmiast napisać do mnie o wszystkich okolicznościach warszawskich i działalnościach sejmowych jak można najobszerniej ze szczegółami znakomitszemi i z twojami uwagami. Hrabia obowiązuje

mię donieść mu o tem wszystkim, przesyłając me listy do Damaszku i Bagdadu, ponieważ się spodziewamy, iż pa-tryotycznym naszym żądaniom nie zechcesz odmówić. Listy możesz posyłać, albo przez Wiedeń, lub przez Kamieniec Podolski i Duboszary, pod adresem jaki tu przyłączam. Za dni cztery wychodzi poczta rossyjska i przez tę będę pisał do ciebie obszerniej nieco, ponawiając też samą prośbę. Ten list idzie przez Wiedeń. Ściskam cię, nieoszacowany Panie Joachimie, po tysiące razy i jestem zawsze najprawdziwszym twoim przyjacielem.

Józef Sękowski.

Na wolnej stronie drugiego z Pery listu Lelewel, jakby pro memoria, wpisał wyciąg z listu Kontryma, zacnego swego kolegi z Wilna, dotyczący Sękowskiego. Ciekawy to i ważny dopisek niezmiernie, choćby nawet dlatego, że przyświadcza, jak to i wtedy „hołysze” wyłącznie o rzeczy dobra powszechnego myśleli. Czuć też bezmiar goryczy w odsyłaczu własnym zapewne Lelewela pod tym dopiskiem zrobionym. Z drugiej zaś strony ułatwia to nam zrozumienie doniosłości faktu, iż Sękowski, wrażliwy i ambitny, nie popierany należycie przez swoich, miał sobie dawane wczesne powody do mimowolnego, a samemu sobie może narazie nie dającego się postrzedz pochylania się moralnego tam, skąd mu prawdziwie skuteczna pomoc przychodziła.

Było to jednak widocznie już po przyjęciu propozycji ze strony dyplomatycznej misji konstantynopolskiej — o czem Kontrym mógł jeszcze nie wiedzieć; chociaż Sękowski zarówno i z nim, jako z przyjacielem doświadczo-ny, podobnie jak z p. Joachimem, stale ze Wschodu korespondował.

Gorliwi atoli ci mężowie nauki w narodzie myśleli wciąż usilnie o spożytkowaniu podróży Sękowskiego dla wzbogacenia oraz zasobów krajowych skarbami nieznanymi Wschodu, zapewniając mu dalszy zasilek.

Nie na czyje też inne jak na Lelewela przełożenie „Król. Towarzystwo Warsz. przyj. nauk” — jak to czytamy w Pamiętniku Warszawskim za styczeń 1821 roku (tom XIX, str. 136) — „zachęcając gorliwość ziomka, Józefa Sękowskiego, poświęcającego się literaturze wschodniej i bawiącego teraz w Azyi, przeznaczyło mu z funduszków swoich wsparcie, w kwocie 2,000 zł., na przedłużenie pobytu jego w krajach wschodnich”.

Skąd zaś Pietraszewski (Nowy przekład dziejopisów tureckich, str. 105) zaczerpał wiadomość, jakoby jeden kurator ks. Czartoryski wziął był 500 biletów prenumeracyjnych tłumaczenia D'Ossuna — nie wiemy.

Lecz oto sam przypisek Lelewela — również drukowany już razem z listem drugim Sękowskiego w Pamiętniku Warszawskim 1820, tom XVIII:

„Sękowski pojechał teraz do Syrii i pomieszka czas niejaki w Zuk-el-Mikail, gdzie bawi Aryda, co powrócił z Wiednia do rodzinnego miasta. Rzecz pewna, że nikt nie jest ani lepiej usposobiony, ani w lepszych zręcznościach do zebrania na Wschodzie do naszej historii materyałów ważnych, do uformowania dla uniwersytetów tutejszych bibliotek literatury orientalnej, do wyszukiwania rękopismów greckich, jak ten Sękowski; lecz on jest chłopiec ubogi, wojażuje kosztem subskrypcyi, którą po większej części składają tacy jak on hołysze. Nikt z możliwych nie chce dopomódz*) i zachęcić... postaraj się, aby przynajmniej 100 dukatów złożyli warszawscy wielbiciele narodowości. Ah! Jakby to było pięknie!” etc. etc.

W początku maja 1820 r. młody nasz podróżnik, teraz już in spe członek konstantynopolskiej misyi dyplomatycznej, po opuszczeniu Pery i Stambułu, rozkoszował się nad Hellespontem, w Dardanelach. Zajęła go dalej, oczywiście, nadewszystko Troada. Pojmujemy, jak musiał być

*) Kanclerz Rumiancow dał 300 rb.

szczęśliwy rozmarzony szkolnemi wspomnieniami uczony zapaleniec, stąpając swobodnie z Homerem w rękę po tym klasycznym gruncie. Nieodżałowana więc szkoda dla naszego piśmiennictwa, że nie doprowadził on do skutku zamierzonego opisu swej do Troady podróży, do którego miał zasiąść po ukończeniu tłómaczenia Alkoranu, o którego losie równie nic nie wiemy.

Znany tylko list jego, pisany z Dardanelu w Azji 4/16 maja 1820 do przyjaciela do Wilna, a więc najniezawodniej do Kontryma, a podany w Pam. Warsz. 1821 r. (tom XIX).

Krótki, lecz pełen życia, dowcipu, ironii. W Darnaku (Czanak-Kulesy) pomiędzy innymi przedstawicielami państw europejskich spotyka on i „starozakonnego vice-konsula króla Imci katolickiego”. Miasto niewielkie w połowie przez Turków zamieszkane. „Żydzi jednak są tu panami jak przemysłu tak handlu. Byli nawet panami prawie samowładnymi tego miasta, nim Francya, Anglia, Austria i Rosya nie przysłały tu konsulów chrześcijan, gdyż wtenczas sami sprawowali te urzędy. Drudzy izraelici byli ich kanclerzami, a trzeci dragomanami konsulatów. Tym sposobem rządzą się tutaj jak należy i bili kijami w pięty mieszkańców i księży greckich”.

„Cieśnina opatrzona została kilku nowemi zamkami, dla bronienia przejścia anglikom, którzy, gdy chcą zalecać się do przyjaźni, posyłają eskadrę pod seraj, dla lepszej zrozumiałości afektu”.

... „Żeby nie tracić daremno czasu, zrobiłem ztąd niewielką wycieczkę do Troady, z czego jestem bardzo kontent, gdyż to podaje bardzo piękny artykuł do mojego dziennika podróży”... i t. p.

W liście ze Smyrny, z końca maja, dzieli się Sękowski z Lelewelem, jako uczony z uczonym wyłącznie, swemi wrażeniami starożytnych pamiątek, na brzegach mało-azyjskich widzianych, i udziela mu ciekawych spostrzeżeń co do

sekt tajemniczych Azyi, ich znaków mistycznych, talizmanów i t. p. Nie może jednak powstrzymać zwykłego swego ironicznego humoru, aby po drodze nie dotknąć to Franków smyrneńskich, odwiedzających „na osłach” cudowne ruiny Nymphionu, aby tam—„jeść trześnie” jedynie, to Anglików, „którzy zostają uczonymi przez skąpstwo”; to pana „Gniewosza Marudę”, któremu za uparte milczenie przyjacielski „komplement” przesyła.

Co do stosunków osobistych Sękowskiego z Lelewelem, takowe, ile z tonu listów wnosić można, stawały się coraz serdeczniejszymi; widać nasz poważny historyk i obywatel umiał prostą swą szczerością oddalonego tyle od domu podróżnika coraz bardziej ujmować.

List ten ze Smyrny również był drukowany w Pamiętniku Warsz. 1820 roku (tom XVIII).

Smyrna, 29 maja 1820 r.

Kochany Panie Joachimie! Z jak wielką radością odebrałem twój list datowany 12 marca 1820, nie potrafię ci opisać. Odebrałem go już w Smyrnie, gdzie bawię od dni 12-tu, zwiedzając znakomitsze szczątkami starożytności jej okolice. Ciekawość mię zaprowadziła widzieć w głębi trudnych i urwistych gór Sipyłu, miejsce Bóg wie dla czego i przez kogo nazwane pieczarą Homera. Byłem w Nymphion, odległem o 6 godzin drogi od Smyrny, gdzie widać szczątki twierdzy na wyniosłej opoce i w dolinie zrujnowany zamek, sławny w dziejach byzantyńskich. Piękne położenie tego miejsca sprowadza tu często na wiosnę Franków smyrneńskich, którzy przyjeżdżają tu na osłach—nie oglądać rozwaliny i śliczne chociaż okropne widoki tej strony, lecz jeść trześnie. Klazomena oprócz stosu półlucznych kolumn, nie stawi nic interesującego oczom wędrownika. Widok z gór Sipyłu godny jest oglądania. Rozległa płaszczyna, okryta żyznemi płonami i oliwami, którą przerzyna wspaniała Hermes, zakończona górami Eolskimi, odkrywa na łonie swo-

jem Magnesją i Sardes; widok jej rozciąga się ze strony wschodniej aż do rzeki Paktolu, Chryfforow i gygejskiego jeziora, za którym postrzegać się daje pasmo gór Drakon i Tmolos, dziś Tmolica ori zwanych. Widok tej części Maonii ze strony południowej nie jest tak odległy. Przedłużenie gór Sipyłu aż do zatoki smyrneńskiej, zakrywa wielką część tego odlewiska Efezu. Ze strony zachodniej u spodu, a raczej na wyniosłości gór poniższych widać jezioro Tantara i niektóre wyspy Archipelagu. Lecz widok północny jest prawdziwie okazały i wielki. Przez grzbiet gór Eolii, które zakrywają całą Myzą pergamińską i obie Cylicye, widać pokryte ciemnością wierzchy Gażgaru i Idy, Troadę, Dardanią, Tenedos, Lemnos, wierzchołki Samotracyi, aż do Chersonezu i Marmory, czyli Propontidy.

Zatrzymałem się dni 8 w Dardanelu, dla zwiedzenia Sestos, Abydos, a szczególnie Troady. Przebiegłem wszystkie strony tej ostatniej, z Homerem w rękę, wzięwszy za przewodnika kartę pana Lechevalier i żyda z Dardanelu, który gra znakomitą rolę w nauce starożytności, gdyż on oprowadza od lat dwudziestu wszystkich zwiedzających tę sławną krainę Anglików, którzy zostają uczonymi przez skąpstwo. Nigdy w życiu nie miał tak przyjemnej chwili, jak podróż w Troadzie. Śmiało nawet powiedzieć mogę, iż nie podobna czuć całej piękności Iljady, równie jak jej należy rozumieć, nie widząc tych miejsc rozkosznych, podwójnym urokiem przyrodzenia i pędzla Homera, czarujących. Zamierzam pracować około osobnej podróży do tego jednego miejsca, skoro tylko ukończę moje tłumaczenie Alkoranu w Syrii. Zebrawszy to wszystko co już powiedziane o tych stronach i dodając co mi się zdało być opuszczonem, można będzie wybazgrać coś poczytnego.

Za dni cztery wyjeżdżam do Cypru i Berut. Pisałbym do ciebie więcej, lecz poczta dziś odchodzi i mało mi zostawia czasu. Różne chudoliterackie wiadomości, o których pisać chciałem z Konstantynopola, przerwane zostały cało-

miesięczną chorobą oczu, której tam doświadczyłem. Miło mi jednak będzie utrzymywać z tobą korespondencję i odbierać twoje szacowne listy, które adresuj do Konstantynopola, jak pierwszy; bo mi będą ztamtąd przesłane. Wszystkie nowiny, jakie mi dajesz, są bardzo dla mnie nowemi, bo w Konstantynopolu żadnych pism peryodycznych, oprócz niegodziwej gazety Frankfurtskiej, wcale nie ma. Prosiłem Kazimierza o przysłanie mi pism polskich, i dobry nasz ojciec Poklus nadesłał je do Carogrodu, lecz już po moim ztamtąd wyjeździe.

Uważam, iż mi zadajesz pytania co do sekt tajemniczych dawnej Syrii i śladów Templaryarysty i Mularstwa, z Hammera, *Mysterjum Baphometi revelatum*. Tyle, ile sądzić mogę, pismo Hammera pełne jest dorozumiewań niepodobnych prawie do dowiedzenia. Oprócz śladów na naczyniach, które nie są rzadkie na Wschodzie, nie można się spodziewać coś obszerniejszego i wyraźniejszego w tym przedmiocie. Jeżeli były jakie księgi mistyczne, te pochłonęło zniszczenie, które się nagle i szybko odbywa we wszystkich stronach Wschodu. Chęć dowodzenia wiodła Hammera w wiele pomyłek. W powszechności znaki mistyczne zasługują na niezmiernie baczną i niezapaloną uwagę. Trzebaby je pilnie odłączyć od znaków gwiazdarskich i magicznych, które żadnego nie mają związku z tajemniczemi wyznaniem i są płodem i językiem skrytych umiejętności, które od wieków wiecznych panowały na Wschodzie, których Egipt dostarczał zawsze przyległym krainom, a gdzie i teraz żyje ciżba oszustów, Szejchanie zwanych, ćwicząca się w tem rzemiośle. Na miejscu byłem w stanie przekonać się należyście, iż pan Hammer przywłaszczył owym sektom wiele znaków talizmanicznych, które, gdyby się zapuścił w Azyą i chciał obcować z wieśniakami tureckimi, obaczyłby w ich domach na naczyniach i kanterkach. Z tem wszystkiem przedmiot ten wchodził zawsze w moją uwagę i uprzedałem myśl twoją, panie Joachimie. Cała nadzieja zostaje na

Druzach. Jeśli mi się uda zdobyć jakie ich pismo, dotyczące się tego wyznania, byłby to prawdziwy skarb, gdyż co dotąd o nich pisano, jest tylko zbiorem niepewnych powieści, które pospólstwo syryjskie o nich prawi. Zawsze jednak jestem tego przekonania, że znaki ich tajemnicze, jeśli dziś mają jakie inne znaczenie, przynajmniej początek swój winny skrytym umiejętnościom, w których ćwiczył ich ustanowiciel, jeden z dawnych sułtanów Egiptu. Sądziłbym nawet, że w podobnychże źródłach szukać należy początku wielu znaków templarskich i masonskich. Wiadomo, jak w średnich wiekach kwitły te umiejętności nawet w Europie. Wpadł mi w rękę traktacik arabski dosyć dawny o talizmanach. Życzyłoby należało, iżby podróżnicy z zapasem pieniędzy podróżujący w tem gnieździe nauk czarnoksiężkich, starali się skupować podobne ramoty, gdyż z tego możnaby coś pewniejszego niż z domysłów wygrzebać. Na nieszczęście, wszyscy (prawie bez wyjątku) wędrownicy europejscy odbywają podróże z dragomanami. Niewielka z nich nadzieja i żeby ich mieć za nic prawie, dosyć czytać na miejscu podróże, które ogłaszają...

Kiedy do mnie Pan Gniewosz Maruda nie ma co pisać, nie wiem jakim sposobem ja co znajdę pisać do niego. Dla tego niech się skończy na tym komplemencie. Życzę mu zdrowia.

Do Glücksberga odpisuję. Ściskam cię, mój kochany Joachimie. Odbierzesz odemnie wiele listów niedorzeczy. Twój prawdziwy sługa i najżyczliwszy

J. Sękowski.

Po opuszczeniu Smyrny i brzegu małoazyjskiego udał się nasz podróżnik przez wyspy Chios, Samos, Kos, Rodos i Cypr ku Syrii.

W Pamiętniku Warsz. 1821 r. (tom XIX) znajdujemy jego list, pisany do Wilna (do Kontryma) z Larnacea na Cyprze 7/19 czerwca 1820 r.

Była to podróż pełna niebezpieczeństw: korsarze, zaraza na wyspie Rodos i groźne burze — niezdolne nadto zamącić fatalistycznego spokoju jego prawowiernych towarzyszy. „W rzeczy samej — robi on z powodu burzy na widoku Castelrossa uwagę — trzeba niepospolitego męstwa i tureckiego oddania się z pokorą na wolę Bożą, żeby zostawać spokojnie w podobnym zdarzeniu między ludźmi, którzy w najgorszym niebezpieczeństwie nie sterują, lecz zapominając wszelkich środków, umywają z..., nogi i ręce i zaczynają wszyscy gorące do Boga modły. Co chwila mieliśmy się za zgubionych. Spuszczono ze statku łodzię dla ratowania się w przypadku, Bóg wie dokąd; każdy, co mógł mieć najkosztowniejszego wziął na siebie i oczekiwał swojego losu. Pierwszy raz wtenczas Turcy porzucili kurzyć tytoń”...

Z Larnaki ruszył on niebawem już wprost do Bejrutu.

Z Bejrutu również pisał do Kontryma pod d. 13/25 czerwca 1820 r. (Pamiętnik Warsz., 1821, tom XIX).

Uprowadza go tam, iż nazajutrz zaraz jedzie w góry, do Suk-Mikail o cztery godziny stąd drogi, żyć pomiędzy górnikami. Żałuje mocno, iż nie ma więcej cokolwiek zapasu, by zwiedzić poblіszce miejsca, jak Damaszek, Balbek, Sydon. Ta bliskość miejsc tak interesujących i niemożność ich widzenia martwi go nioskończenie.

„Jakimkolwiek jednak sposobem — powiada — gdyby mi nawet przyszło co i sprzedać, będę się starał być w Damaszku i Balbeku”.

„Wprawdzie nie będąc tam na miejscu — dodaje zaraz dalej — można zwiedzającym te strony łąć nieskończenie. W Smyrnie poznałem pewnego wędrownika z nad brzegów Garonny, który, jakem się tu dowiedział, nie był dalej jak w Cyprze, a przecież w Smyrnie zachwycał się nad pięknosciami Balbeku, opisywał mi nawet położenie Palmiry, Sydonu, Damaszku, chwalił słodki charakter mieszkańców Libanu; gniewał się na mnie, gdym mu powiedział, że „wpan odbyłeś tę samą co pan Wolney podróż”? Na co

mi rzekł z razu: „tak jest”. Lecz gdym dodał, iż poznałem osobiście człowieka, który panu Wolneyowi dostarczył wiadomości o tych miejscach, gdyż ten podróżny ani nogą dalej nie był jak w Seyd czyli Sydon; zmieszał się dobry Gaskończyk, który nawet nie czytał Wolneya i uciekł z towarzystwa, w którym pierwszej wszystkich swą mądrością zadziwił. Ten człowiek powróciwszy do Paryża, który mu nigdy z ust nie wychodził, nieomieszka zapewne wydać podróży do Balbeku i Palmiry. Tak zrobił Wolney, Coxe, a może i wielu innych”.

W Syryi zamierzał Sękowski zabawić czas dłuższy dla udoskonalenia się w języku arabskim. Za główne tu miejsce pobytu wybrał on sobie Aju-Tur, jeden z osmdziesięciu pięciu monasterów katolickich Maronitów, na północ od Bejrutu, gdzie spędzał ostatnie dni swego życia najuczestszy z tego narodu, uważany za pierwszego znawcę arabskiego i syryjskiego języków, osmdziesięcioletni Antoni Aryda, były profesor języków wschodnich w Wiedniu i autor kilku dzieł o języku arabskim. Był on rektorem ajutorskiego seminaryum. Składało się ono zresztą z czterech uczni jedynie i piątym obok tubylców stał się nasz nowoprzybyły Frank Jusuf, jak nazwano właśnie po imieniu Sękowskiego. Z czasem przyłączył się do nich jeszcze drugi Frank, po imieniu Jakub-Jakób Berggren, pastor poselstwa szwedzkiego w Konstantynopolu. Młody nasz orientalista tedy rzucił się tu do pracy, pod przewodnictwem Arydy, z zapalem, wytrwałością żelazną i pominięciem nawet wszelkich względów na zdrowie. Należało bowiem śpieszyć z korzystaniem z wykładów sędziwego rektora, który gasnął z dniem każdym, a wprędce, w listopadzie, umarł na rękę ulubionego swego ucznia, jakim umiał stać się dlań polski podróżnik.

Z Aju-Turu robił Sękowski wycieczki po Libanie i dalej po Syryi. Najprzód przecie, w celu zapewnienia sobie większej powagi i dogodności życia w górach, pośpieszył

w homagiálnemi odwiedzinami do Beyteddyn, stolicy ówczesnego ksiączęcia gór Libanu — oczywiście słynnego emira Beszyr — który go przyjął bardzo uprzejmie, jak o tem wiemy z drugiego listu jego, pisanego do Wilna pod d. 21 lipca 1820 roku n. s. (Pamiętnik Warsz. 1821, tom XIX). Był potem w Damaszku, skąd we wrześniu przesłał następny list do Lelewela; pisywał też doń i z Libanu, ale, na nieszczęście, listy te miały zaginąć w drodze.

Po śmierci Arydy młody nasz orientalista nie miał powodu bawienia dłuższego w ustronnym monasterze libańskim — i ruszył stamtąd wprędce do Palestyny, a dalej do Egiptu, z postanowieniem pozostania na Wschodzie wogóle choćby lat dziesięciu, dla oddania się przez ten czas całkowiec studjom swym specjalnym. Przyjęte miejsce przy poselstwie rosyjskiem, zobowiązujące go do pozostania następnie stalej w Konstantynopolu, tem bardziej mu dokonanie tego zamiaru ułatwiało.

Wspomnieniom Syrii poświęcone zostały z czasem jedne z najpiękniejszych kart Sękowskiego — w języku rosyjskim, gdzie on opisuje i swe prace naukowe w Libanie i swój tam pobyt wogóle. Należy mieć na uwadze, że nigdy on nie lubił opowiadać ani o swych zatrudnieniach, ani o okolicznościach swego życia i karty te, podpisane pseudonimem, wcale nie były przezeń przeznaczone na to, by służyć za materyał do jego własnej biografii. Tymczasem, przeciw jego woli, stały się one najciekawszym ustępem takowej. Tak tedy oto pisze w r. 1834 mniemany O. M.:

„Z zapamiętym do nauki, z owem zaufaniem w siły własne, z owem lekceważeniem zdrowia i uporem w osiągnięciu zamierzonego celu, jakie łatwo sobie przedstawić w niedoświadczonym młodzieńcu lat dwudziestu, niegdyś rzuciłem się ja, bez przewodnika i pomocy, w ten niezmierny przybytek przyrodzenia — jeden ze wspanialszych przybytków, wzniesionych przez nie na ziemi na oznakę swej potęgi — nie zastanawiając się nad niebezpieczeństwem

niemożności wyjścia ze strasznego labiryntu wyżyn nadobłocznych, na których można zamarznąć wśród lata, i rozpalonych przepaści, gdzie życie organiczne skwarzy się w najstraszniejszej zadusze, jaką tylko słońce sprawić zdoła. Ograniczone środki nakazywały mi oznajmiać się szybko ze wszystkim, co mogłem poznać w tym kraju, i nie zapominać niczego, co było raz zdobytem pamięcią. W pocie czoła przenosiłem ja swoje księgi z jednej góry na drugą—księgi stanowiły cały mój majątek — i zrywałem gardło swe w pustkowiu, usiłując dojść do czystego wymawiania arabskiego języka, którego dźwięczność w ustach Druza lub Beduina, podobna do srebrnego głosu dzwonka, zamkniętego w piersi ludzkiej, bawiła rozkosznie ucho nowością i przyprowadzała do rozpacz swą niemożliwością naśladowania. Ustronne wąwozy Kesrewanu, otaczające mnie kolumnadą skał czarnych, przywtarzały echem mym wysileniom; ja nieraz sam zmuszony byłem zaśmiać się z mojej próżności lingwisty na widok, jak kameleony, wesoło przebiegające po skałach, zatrzymywały się przy mnie, rozdziawiały pyszczki i dziwiły się przenikliwości gardłowych dźwięków, które ja z takim natężeniem wydobywałem z głębi płuc. Wróciwszy do kryjówki, zajmowanej w jakimś monasterze maronickim, ja również rozpaczliwie targąłem swe siły nad syryjskimi i arabskimi rękopismami, wyszukanemi w ubogiej bibliotece mnicha piśmiennego, przepisywałem pośpiesznie ciekawsze z nich, czytałem na prędcie te, których nie zdołałem przepisać, robiłem wyciągi, notowałem znalezione w nich zwroty bardziej malownicze lub usłyszane idyotyzmy języka rozmowy, i uczyłem się ich na pamięć noc całą. Dwie, najwięcej trzy godziny wypoczynku na gołej plicie, ze słownikiem zamiast poduszki, wystarczały dla wznowienia sił do nowych, również wyteżonych zajęć, przerywanych jedynie polowaniem na biegającego po wilgotnych ścianach celi skorpiona, lub na „abu-borejsa”, ja-szczurkę niewinną, nawet piękną, lecz obudzającą we mnie

wstręt nieprzezwyciężony. Wyczerpawszy w ciągu dni kilku mądrość ubogiej pustyni, udawałem się dalej szukać nowych zatrudnień i dzielić z innymi anachoretami misę gotowanej w oliwie soczewicy. W taki sposób spędziłem sześć czy siedm miesięcy, dopóki nadmierne wyężenie sił umysłowych i cielesnych, surowy i niezdrowy pokarm, zmęczenie i prywacye wszelkiego rodzaju nie powstrzymały mej zapędliwości niebezpieczną chorobą, która pozostawiła w mej piersi zaród stałego cierpienia — może nawet śmierci przedwczesnej... Usiłowania moje nauczania się miejscowego arabskiego narzecza zostały uwieńczone powodzeniem, które pochlebiało mej dumie; przyznaję się do tego bez fałszywej skromności, również śmiało, jakbym powiedział, że nauczyłem się czysto robić ośnikiem, gdybym kiedykolwiek trudnił się rzemiosłem stolarskiem. Pomiędzy zatrudnieniem owem i nauką języków widzę bowiem wielkie podobieństwo: pierwsza — mechaniczna rzecz ręki, druga — mechaniczna sprawa pamięci, żucia i połykania. Lecz przezwyciężona trudność zawsze staje się dla nas, nawet w rzemiosle stolarskiem, źródłem zadowolenia i dumy: uważałem się też prawie za równego z Arystotelesem, kiedy Arabowie, którzy przejęci są dla swego języka istnem ubóstwieniem kochanków i nowe kalambury, bardzo uzasadnienie może cenią równie wysoko, jak my nowe myśli, zwali mnie „fejlusuf”, filozofem za to, że dobrze wymawiałem ich gardłowe głoski, lub sprzeczały się ze mną, że nie Frank, lecz muszę być „ibn-el-Arab”, arabskim synem. Udało mi się zaś skleić dziesiątek jaki lichych arabskich wierszy, które miały wielkie powodzenie w okolicy, i sława moja rozeszła się po kilku górach sąsiednich, szejchowie (szlachta) Maronitów i Druzów często zajeżdżali do mnie wypalić lulkę „dżebeli” z ciekawym Frankiem co „ma sens” i dowiedzieć się nowin politycznych Europy, czy zdrów papież? co porabia „fagfur”, cesarz chiński i t. d.”

Kto zaś znał — robi uwagę rosyjski biograf (str. 31) —

jego zdumiewającą pracowitość i zawziętość w zajęciu, jakie do późnego wieku posiadał Sękowski, ten nie znajdzie nic przesadzonego w przytoczonym ustępie o jego młodzieńcych zatrudnieniach naukowych w górach Libanu.

W połowie września przesłał nasz niez mordowany podróżnik list do Lelewela z Damaszku. Był to ostatni, ze znanych nam czterech listów, pisanych doń przez Sękowskiego ze Wschodu, i list z wielu względów najważniejszy.

Dotyka tu nasz podróżnik, pomiędzy innem, propozycyi, otrzymanej z Warszawy — zajęcia się zebraniem dla biblioteki tamecznej rękopisów i dokumentów w językach wschodnich, dotyczących swą treścią historyi polskiej, i przyrzeka uskutecznić to najchętniej. Widzimy też zarazem, iż myślał on o tem sam oddawna, i już poważne zabiegi koło tego robił: najniewątpliwiej w celu oddania się z czasem wyjątkowej studyum źródeł orientalnych do dziejów ojczystych, w czem uprzedza serdeczne pragnienie Lelewela, który to zdaje się nawet Lindego — do decyzji wzbogacenia działu wschodniego biblioteki warszawskiej oto skłonił. Ciekawą tu i niemałego znaczenia robi Sękowski przy tej sposobności uwagę — o niepospolitej zdolności Polaków do języków, którą właśnie w interesie nauki należałoby spożytkowywać, gdy inni Europejczycy wogóle prawie niezdarni do tego, a ich głośni uczeni ówcześni sami rzeczy nie pojmują.

Lecz ważniejszem jest nieskończenie, co tam Sękowski poufnie o swym stosunku do uniwersytetu wileńskiego powiada. Tłómaczy to poniekąd jego późniejszą niechęć zawziętą do Wilna i decyzję łatwiejszą zostania raczej na północy — a która z czasem, w niechybnem fatalnem następstwie, sprowadziła go za daleko ze wskazanej mu przez przyrodzenie drogi.

Czy atoli żale, z jakimi występuje tu Sękowski przeciw uniwersytetowi wileńskiemu, były słuszne — to rzecz inna. Oczywiście nie mogło się tam obejść bez stron ujem-

nych. Istniały w kole profesorskiem stronnictwa, grupujące się już to w imię jednego z bardziej uwydatniających się ówczesnie kierunków naukowych, już też pod wpływem żywszych lub mniej żywych sympatii osobistych. Wrzała tam następnie energiczna, zapamiętała nawet, choć cicha na powierzchni, walka tych stronnictw; lecz walka o zasady — o zasady najświętsze, naukowo-społeczne. Pozostawało tam coś zawsze z dawnej rutyny, nie mogącej odpowiadać wymaganiom żywszym doby późniejszej. Wszystko to, nie potrzebując być udowodnianem przez roztaczanie szczegółów, było niezaprzeczenie prawdziwe. Pociski wszakże Sękowskiego mierzyły za daleko i, bez wątpienia, wywoływały tylko uśmiech ironiczno-pobłaźliwy na sokratesowskim obliczu młodego jeszcze wtedy Lelewela. Sarkazm, jakim dotknięty tu rektor „magnificus” ówczesny, Makowski, trąci co najmniej zbyt wielką przesadą. Weterani wileńscy, z młodzieńczych swych wspomnień, niejedną rzecz pamiętają; ale żaden nie powtórzyłby Sękowskiego zarzutu, w przedmiocie jakiegoś tam niby, sum uniwersyteckich, nieogłędnego trwonienia. Że pan Józef wiele zawsze, zbyt wiele, na nieszczęście, rozumiejący o sobie w głębi swej duszy, mógł mieć w senacie akademickim niejednego przeciwnika, coby nie rad był z nim, jako z kolegą-profesorem, się spotkać — nie zdaje się podlegać dziś żadnej wątpliwości, gdy się zna fakta dokonane późniejsze. Obok tego jednak, jeśli komu, to jemu właśnie przedewszystkiem nie wolno było skarżyć się wielce, nietylko na Wilno wogóle, lecz i na tych, „co się tam uniwersytetem wyłącznie” zwali, ani nawet na „architektów krzywej biblioteki”, do których wszakże i gorliwy Kontrym, któremu on był tyle obowiązany, należał. Co prawda — senat akademicki ówczesny nie rozumiał jeszcze koniecznej potrzeby studyów historyczno-politycznych wogóle, a cóż dopiero studyów orientalnych. Stanowczy przełom pod tym względem jeszcze nie był dotąd nastąpił.

Oddalony wszakże tyle, aż gdzieś ku kresom pustyni

syryjskiej, nie przestaje Sękowski żywo interesować się wszystkim, co własnego kraju dotyczy; raduje się każdą wieścią weselszą, smuci się każdym smutkiem. Pyta Lelewela o towarzystwo — jakoby „czci wzajemnej” — o jakimś mu „szubrawiec” Kontrym, może nawet nie bez pewnej ironii, pisze.

Była to widać pierwsza wieść głucha, jaka go doszła w świecie dalekim za Libanem biblijnym, o znakomitem towarzystwie Promienistych, które pod skrzydłami wileńskiej alma mater powstało było, wprędce po jego wyjeździe, jako wynik przeciwdziałania właśnie dotychczasowemu kierunkowi, którego wyrazem było, tyle niedawno ożywiane przez niego samego, towarzystwo „Szubrawców”.

Towarzyszyło to wielkiemu przeobrażeniu wszelkich stosunków w świecie wileńskim, z którym łączyły Sękowskiego bez przerwy silne węzły — i dla zrozumienia nawet zupełniejszego pewnych ustępów jego korespondencji dalszej potrzebuje kilka uwag poprzednich.

Znajoma nam już z czasów Sękowskiego dążność w obyczajach światłej części mieszkańców Wilna, obok przewagi nauk fizyczno-matematycznych na uniwersytecie, jaką od czasu nowej jego organizacji, w roku 1803, nadał i utrzymywał Jan Śniadecki, trwała w całej swej mocy do roku 1820. Lecz od tej chwili właśnie zaczyna słabnąć. Rok 1820, w którym na tyłu punktach dawnej Rzplitej pozawiały się towarzystwa ku dźwignieniu społeczeństwa z upadku, stanowi i w Wilnie również ważną jak w Warszawie epokę.

Jan Śniadecki — powiada owych czasów historyk — gruntując naukę doświadczenia, obeznawając młodzież z naturą widomą, nie dał jej czasu i nie chciał dać do zgłębienia tego wszystkiego, co za granicą tych materialnych wiadomości czaruje rozum i imaginację. Kierunek jego był jednostronny, a umiejętność martwa, jak styl, którym pisał, i astronomiczne narzędzia, którymi uważał gwiazdy na niebie. W wydziale moralnym wakowały od lat wielu naj-

ważniejsze katedry historii i filozofii. Ustawy społeczne w Europie, polityka, prawodawstwo, przeszłość kraju — wszystko to było za obrębem planu starca, obserwującego planety a nie chcącego wiedzieć, co się na ziemi, i to na ziemi jego rodzinnej, coraz wyraźniej dzieć poczynało. Nieodzwonne skutki takiego kierunku jednostronnego musiały nareszcie dać się uczuć dotkliwie.

Umiejętność bez ducha, systemat bez imaginacji, prowadzą czasem — opowiada dalej tenże historyk — do epikureizmu, toż stało się pod koniec i z uniwersytetem wileńskim. Młodzież majątniejsza po większej części trwonila tu czas bezużytecznie; w pilniejszych zaś matematyka nie wyrabiała poczuć obywatelskich. Z drugiej strony liczna młodzież uboga, która prawie sama jedna szczerze kochała naukę, marniała potem w życiu.

Reakcja przeciw takiemu stanowi rzeczy stawała się tem nieodzowniejsza, ile że ją coraz natarczywiej nakazywało nawet uczucie samozachowania społecznego. Rozpoczął i dokonał takową znany powszechnie Tomasz Zan — zacnej pamięci.

W roku 1819 na 20-ty założył on między uczniami uniwersytetu towarzystwo moralne i naukowe, którego członkom nadał tytuł „Promienistych” — od siedmiu promieni słonecznych, wyobrażających siedm klas towarzystwa. Jak wiemy, miało ono w sobie tyle żywotności, iż powoli wywołało stanowczą rewolucję nietylko w obyczajach, charakterze i naturze koleżeństwa młodzieży uniwersytetu wileńskiego, lecz i w nowszej literaturze polskiej, którą jeden z Promienistych uczynił poetycką, oryginalną i szczytną, jaką nigdy dotąd nie była.

Braterstwo, zamiłowanie nauki, równość, uczynność: te obowiązki zaciągał każdy wpisujący się do ich „wielkiej księgi”. Ktokolwiek chciał, zostawał członkiem związku, jeżeli obyczaj jego temu się nie sprzeciwiały. Jakieś nowe życie, nowy duch wstąpił w mury uniwersytetu; nieznana

dotąd skromność w życiu i szczerze oddanie się pracy zapanaowały powszechnie. Wydział moralny, zwykle pusty, w roku szkolnym 1819 na 20-ty napelniać się zaczął, z nie-małym zadziwieniem jednego w nim już profesora, Włocha, Capellego, który rzymskie wykładał prawo. Tem wszystkim niewidzialna ręka kierowała. Zan, widoma głowa Promienistych, nie był bez tajemnej rady. Miał ją w osobach „Filaretów”, których związek, składający tajemny wydział Promienistych, istniał już, jak mówiono, w r. 1818, lecz właściwie dopiero w r. 1819 — 20 działać zaczął.

Statuta Promienistych zostały ogłoszone drukiem z podpisem rektora, którym był wtedy Malewski.

Nie od razu wszakże Wilno zrozumiało i nie mogło od razu zrozumieć, czego chciał Zan. Promieniści w roku 1820 byli tu, jak pospolicie każda nowość, przedmiotem żartów i niechęci nawet. Nie lubił ich poważny i mało mówiący profesor Jundził; nie lubił i Jan Śniadecki, nie zdolny zrozumieć takiego jak Zan człowieka. Podobnie myśleli inni profesorowie. Dla ducha szubrawskiego zaś, zgłodniałego już po zużyciu wszelkich innych zasiłków w Litwie, Promieniści byli nadto pożądaną „strawą szubrawską”, żeby się na nich chciwie nie rzucono. Lubo więc w druku, przez wzgląd na moralne cele Promienistych, nie śmieli ich Szubrawcy dotykać, dokuczali im za to tem bardziej rozmaitemi przygryzkami pokątnie.

Owa zatem wzmianka Kontryma, ironiczna podobnież może, o nowem towarzystwie, jakby „czci wzajemnej”, najwidoczniej do „Promienistych” się stosowała.

Z Damaszkę, 1820 r., 15 września.

Mój Drogi Panie Joachimie! Onegdaj odebrałem twój szacowny list pisany z Warszawy, pod datą 28-go kwietnia. Doszedł mnie drogą przez Seyda (Sydon) i prawdziwą przyniósł rozkosz. Nie pisałem do ciebie od niejakiego czasu, gdyż mnie wstrzymało obłąkanie moich listów w drodze,

które z Syrii pisałem. Dopierom ledwo znalazł pewny dla nich gościniec i odtąd częściej wiadomość odemnie będziesz odbierał. Zamierzałem z pierwszym do ciebie, mój kochany Joachimie, listem, posłać krótką wiadomość o stanie i rządzie gór Libanu, oraz charakterze mieszkańców. Lecz mię twój miły list znalazł w Damaszku, oddalonego od moich papierów, gdyż mieszkam zwyczajnie w górach Libanu w Ayutura, pomiędzy Berythem i Tripoli (Tarablusbe-Szam). Dla tego też, skoro do mieszkania mego powrócę, będę pisał do ciebie obszerniej. Dziś odpisuję tylko na twój list, który mi konsul Sydonu przez umyślnego tu przysłał i przez tegoż człowieka odsyłam do Sydonu me listy.

Za nowiny, których mi udzielasz, niepomiernie jestem ci obowiązany i proszę najusilniej nie zapominać o mnie nadal. Co się tyczy propozycji, które mi czynisz ze strony W-go Linde, przyjmuję je z prawdziwą radością, tem bardziej, iż dziś odmieniwszy mój zamiar rychłego do kraju powrotu, myślę lat z dziesiątek zabawić na Wschodzie, a szczególnie w Konstantynopolu. Wyszukiwanie dokumentów i rzeczy potrzebnych do historii polskiej było zawsze mojem staraniem. Przez starania i wpływy uboczne, oraz za znakomity podarunek, wartujący około 750 piastrow, to jest 1,000 zł. polskich, miałem sobie przyrzeczony od Reys-Effendego (ministra spraw zewnętrznych) wypis z kancelaryi Porty wszystkich traktatów, umów i sojuszów, zawartych między Portą a Polską. Tego dotąd jeszcze nie mam, lecz się spodziewam wydobyć za powrotem do Konstantynopola, dokąd nim wyjadę, udam się wprzód przez Sydon, do Tyru, Akry, Jerozolimy, Jaffa, a ztamtąd do Kairu i Aleksandryi, zkąd do Konstantynopola nieprędzej powrócę, aż około maja, wszystko więc, co będzie w mojej mocy osiągnąć, bądźcie proszę pewnymi, iż per excellentiam dla Warszawskiej biblioteki bez żadnych nagród ofiaruję. Proszę nawet, iżby osoby w szczególnych przedmiotach szukające objaśnienia w Turczach, zapytania swe z zupełną

ufnością mi przysyłały, będąc pewne, iż ile tylko siły i zdolności me wystarczy, miło mi będzie służyć dobrym Polakom. O tych to zapewne traktatach, niezrozumiawszy dobrze, plótn pan Ignacy Emanuel, wielki magnetysta.

Mylisz się, panie Joachimie, powiadając, iż w tem, co będę mógł wygrzebać, uniwersytet Wileński będzie miał pierwszeństwo. Wiąże mię przyjaźń ze szczególnymi osobami, które doń należą, i które powszechny wieńczy szacunek. Z temi ty sam, mój kochany przyjacielu, zawsze miałeś związek, lecz znam dobrze, iż wszelka najbezinteresowniejsza gorliwość obojętna jest dla osób co się tam uniwersytetem wyłącznie zowią. Dla tych, gdybym mógł z Turcyi posłać browar, lepiej byłby przyjęty, niż najrzadsze i najszacowniejsze dzieło. Z umartwieniem widziałem wszystkie w prowincjach litewskich rzemiosła i powołania zawiadane przez żydów tak dalece, iż zaledwo jeden stan nauczycielski pozostał w rękę chrześcijan. Pewien jednak jestem, iż jeśli Magnificus potrwa na urzędzie, nie omieszka katedr nauczycielskich żydom przyrządować. Chcąc okazać moją wdzięczność dla uniwersytetu Wileńskiego, w którym odbyłem nauki, i jedynie przez szczerą chęć i życzenie, aby w kraju nauki wzrastały, oświadczyłem Grodkowi, iż gotów jestem usłużyć uniwersytetowi Wileńskiemu, i bez żadnych nagród i zapłat przyjąć na się obowiązek zebrania dla niego wyboru Authorow wschodnich, byleby tego życzył i przeznaczył na to sumę. Miałem też wprzód ostrożność napisać do nich, iż do kraju nie powracam, iż wezwany zostałem do służby rosyjskiej w poselstwie konstantynopolskiem i że to wezwanie przyjąłem jedynie dla tego, iżbym dla własnego pożytku i upodobania mógł się wydoskonalić we wszystkim tem, co się ściąga do orientalizmu, i że jeżeli mi się podoba, mogę tu całe życie pozostać. Czyniłem to jedynie dla tego, iżbym zniósł wszelkie podejrzenie mądrego Senatus Akedemii, czyli przypadkiem, gdy uniwersytet będzie posiadał wschodnie dzieła, nie zechcę wędrczyć się na

katedrę, nie kłaniając się przewielebnym Togatom i być drugim Oczapowskim? Nie zawiodłem się w tem rozumieniu; uprzedzenie to uspokoiło podejrzliwy Senat Akademicki, lecz pomiarkowano, iż na tem niewiele można ukreścić i że już suma 21,000 rb. na spekulacye obrócona została. Grodek mi odpisał, iż chce jakiego rękopismu greckiego, czyniąc to jedynie, żeby czemkolwiek odpowiedzieć na moją gorliwość, i widząc, iż nic ze sławnymi architektami krzywej biblioteki uczynić nie można. Lecz, jeśli użyję przysłowia Arabów syryjskich: „jest to śpiewać nieszpory, gdy dzwonią na kazanie”. Wiadomo, iż się w Turcyi oddawna greckie rękopisma nie znajdują.

Przejęty zawsze chęcią uczynienia tej usługi dla kraju, z prawdziwem ukontentowaniem wyczytałem w liście twoim, Panie Joachimie, żądanie W-go Linde. Znam bowiem, iż się nie zawsze zdarzy zręczność uskutecznienia tego, co dziś uczynić można, i nie zawsze spuszczać się można na gorliwość, akuratność, a nawet i uczciwość tego, komuby to w następnych czasach poruczonem być mogło. Byleby żądał W-ny Linde — a żądać do tych należy, co czują wartość uczciwej sławy i nietylko profesorami, ale i gorliwymi synami ojczyzny być umieją; byleby, mówię, chciał szanowny nasz literat i naczelnik składów naukowych, z całym sercem i poświęceniem się przyjmuję na siebie obowiązek zajęcia się zgromadzeniem wyborowej niewielkiej biblioteki wschodnich pisarzy dla Warszawy. Trzeba, iżby na to W-ny Linde przeznaczył pewną sumę, o której chciałbym wiedzieć zawczasu, gdyż do jej wielkości stosować się musi i wybór książek. Dostateczną jest na ten koniec suma 2,000 dukatów, a wydatek jej nie może być jednorazowy, lecz powolny i rozłożony na lata, gdyż książek wschodnich, chcąc nie być oszukany i tanio nabyć, trzeba szukać, upatrywać okoliczności i nie być natrętnym w kupowaniu. Suma jest wcale nie znacząca w porównaniu do pożytków, które z podobnego

zbioru odnieśćby mogła literatura i historia nasza, a w ogólności nawet nauka języków wschodnich w Europie.

Przyznana od wszystkich narodów i w podziwieniu od wszystkich jest niewypowiedziana i wrodzona zdolność Polaków do języków. Ten właśnie szczęśliwy przymiot narodu potrzeba rozwinąć, a ci co stoją na czele oświecenia krajowego zaniedbywać go nie powinni, owszem ożywić i ku prawdziwemu zwrócić pożytkowi. Z małą na początek usilnością rodacy nasi niechybnie wszystkich cudzoziemców w tym względzie przewyższyć są zdolni. Nie dano jest Niemcom, ani Francuzom, ani Włochom być lingwistami. Dowodem tego naprzykład jest p. de Sacy, który więcej posiada sławy, niż znajomości wschodnich języków. Przekonywa o tem, oprócz wielu innych okoliczności, jego „Gramatyka arabska”, w której wykonceptował prawidła niesłychane w języku arabskim i z których uczeni Arabowie śmieją się do rozpuku, a we wszystkich przykładach, co z swojej głowy ułożył, w każdym wyrazie popełnił omyłkę. Sławny doktor Jahn wydał Chrestomatię, pełną błuźnierstw gramatycznych; i tak dalej o innych orientalistach europejskich. Z Polaków, których poznałem na Wschodzie, wszyscy z dziwną łatwością i czystością wymawiania, mówią po turecku lub po arabsku, gdy przeciwnie inni Europejczycy, skoro tylko otworzą usta, wnet poznać można z jakiego są narodu.

Życzyłbym mocno sobie, żebyś mię uwiadomił, co będą myśleli o tym projekcie. Ja się szczerze o to interesuję. Piszę osobny list do W-go Lindego. Że go w twój list nie umieszczam, przyczyną jest tego, iż mi listy wewnątrz innych zawarte, kilkakrotnie na poczcie poginęły. Przetoż mając rewers na każdy list w osobności, pewniejszy jestem ich dojścia. Pisz do mnie pod zwyczajnym adresem do Konstantynopola, zkąd mi twe szacowne listy nieomieszkowanie przysyłane będą. List ten możesz, jeżeli za przyzwolitą osądzisz, W-mu Lindemu przeczytać i upewnić go

ustnie z mojej strony, iż za najprzyjemniejszy dla siebie poczytam obowiązek odpowiedzieć godnie gorliwym jego o wzrost nauk staraniom ze wszelką bezinteresownością. Smucą mię nieskończenie niepomysłne wasze nowiny. Mówi mi Kontrym nawiasem o towarzystwie. Co to jest? gdzie? i jakie? nic nie wiem. Radbym wiedzieć, czy Pamiętnik Warszawski wychodzi jeszcze na poważną instancją i które z pism Warszawskich jest najlepsze. Powróciwszy do Konstantynopola chcę je sprowadzić sobie. Nie umiem ci donieść, czy przez Wiedeń prędzej przyszło twe pismo, niżli przez pocztę rosyjską, gdyż ten list leżał długo w Konstantynopolu, a kiedy został odebrany, nic mi o tem nie piszą. Uważam, iż między datą jego, a dniem dojścia rąk moich jest przeciąg czterech i pół miesięcy.

Polecam się twojej szacownej przyjaźni i ściskam cię serdecznie; pokłoń się jeszcze raz Niemcewiczowi. Twój prawdziwy przyjaciel,

J. Sękowski.

W Syrii przebawił Sękowski koło siedmiu miesięcy, a w listopadzie 1820 roku był już w Aleksandryi. W mieście tem oraz w Kairze zatrzymał się koło trzech miesięcy dla obeznania się z miejscowem narzeczem.

W lutym następnego, 1821 r., ruszył on w górę po Nilu, zwiedził piramidy i historyczne zwaliska starożytnego Egiptu i dotarł do Nubii i górnej Etyopii do Dar-Mahas, ostatniego kresu jego podróży w Afryce.

Ciekawy bardzo wyjątek ze swej podróży po Nubii i wyższej Etyopii podał on był potem w Pamiętniku Warszawskim 1822 r., wydawanym już przez Brodzińskiego (tom II).

W czalmie i odzieży wschodniej, mówiąc po arabsku czystem syryjskiem narzeczem, „chawadża” Jusuf — jak go z poważaniem nazywano na Wschodzie — mógł bezpiecznie robić postrzeżenia nad obyczajami i stanem mieszkańców

doliny Nilu, podczas gdy w różnych prowincjach Turcyi fanatyzm muzułmański dokonywał srogiego prześladowania chrześcijan. Powstanie greckie było w dobie największego rozognienia właśnie. Rosya gotowała się zerwać stosunki z Portą ottomańską, i poddani rosyjscy szczególnie, jako wspólnej po większej części wiary z Grekami, byli narażeni na niebezpieczeństwo w jej posiadłościach. W samym Kairze tylko co się nie wszczął wybuch przeciw chrześcijanom, jaki energia baszy jedynie powstrzymała. Sękowskiemu tedy wypadało teraz śpieszyć z powrotem do Europy.

Niewiele co przedtem zajmowała go myśl przewiezienia do kraju znakomitego zodyaku denderskiego, starożytnej astronomicznej rzeźby na kamieniu, wprawionej w pułapie świątyni w Denderah. Przy pomocy sługi swego, maltańskiego Araba Nasr'a czyli Ignacego Porteli, podróżnik nasz wyrąbał kamień z pułapu, ułożył go na łódź, by wieźć go do Aleksandryi, a stamtąd dalej do Europy. Wieści o powstaniu greckim i zerwaniu stosunków z Portą zmusiły go do zaniechania tego przedsięwzięcia. W lipcu opuścił on Egipt i z Aleksandryi udał się na kupieckim statku austryackim do Europy. W Archipelagu statek ten spotykał się nieraz z powstańcami i piratami greckimi, lecz szczęśliwie uniknął niebezpieczeństw i przybył do Stambułu, a stamtąd do Odessy.

W Pamiętniku Warszawskim z 1823 r. (tom IV) znajdujemy kilka ustępów z dziennika podróży Sękowskiego pod tyt.: „Powrót z Egiptu przez Archipelag i część Azji mniejszej do Konstantynopola”, zasługujących na największą uwagę nawet dziś jeszcze. Wśród żywego bowiem opowiadania o przygodach podróży oraz interesujących wielce obrazów, określa on tam tak wiernie i wydatnie charakter rozpasanej obustronnie w dzikość namiętą wojny za niepodległość grecką, a niemniej istotę samą narodowo-społecznych stosunków w greckich posiadłościach Wysokiej Porty,

że słowa jego posiadają obecnie wagę najpoważniejszego historycznego świadectwa.

Na dowód pozwolimy sobie tu przytoczyć parę dobitniejszych wyjątków. Oto naprzykład:

„Dnia 22-go lipca wyjechałem sam z Aleksandryi, na kupieckim statku austriackim, zwanym „L'Ilirico”. Trzeciego dnia po wyjeździe ujrzeliśmy brzegi Cypru; wiatr nader silny zmuszał nas szukać portu, i tylko co po raz trzeci nie byłem na tej wyspie, gdyby zbliżając się do brzegu około północy, wiatr silny odeń nas był nie oddalił. Nazajutrz ku wieczorowi odkryliśmy przylądek Celidonia, na brzegach Karamanii. Wzdłuż tych brzegów panuje najczęściej wiatr zachodni i dość mocny prąd morski. Dnia 27-go z rana zbliżywszy się do przylądka, zwrócono żagle i łamiąc się pod wiatrem zachodnim, płynęliśmy wzdłuż brzegu. Wyspa Castelrossa, niegdyś port morskich sił rzeczypospolitej weneckiej, a dla wygod i obszerności swojej zdolny bezpiecznie pomieścić floty całego świata, dała się widzieć ku wieczorowi. Przed kilku dniami wściekłość rewolucyjna zboczyła te brzegi krwią niewinnych. Niewielka ta wyspa, zamieszkała przez samych Greków, miała kilkanaście rodzin tureckich, bawiących się tu handlem. Mieszkańcy trudnią się rybołówstwem i przewożeniem na małych statkach, zwanych tam sakolewami, drzewa opałowego, z lasów Karamanii, do Cypru i Egiptu. Przez czas długi byli oni spokojnymi tylko widzami nieszczęść i powodzeń swych współziomków na Archipelagu i w Morei, nadto słabi, żeby coś mogli przedsięwziąć, lecz dosyć prawi urodzeńcy Wschodu, żeby się nie uwiedli powabem choć słabego zysku, i dość dobrze wyuczeni w szkole ottomańskiej, żeby swych działań w potrzebie nie umieli oznamionować okrucieństwem i wyuzdaną zapamiętałością. Uczyniony pomiędzy śmielszymi wyspiarzami spisek, wybuchnął jednej nocy niespodzianie. Bezbронni tutejsi muzułmanie padali pod nożem powstańców; domy poszły na rabunek, żony ich i dzieci

poginęły w męczarniach lub w morzu potopione zostały. Odtąd chorągiew powstania powiewać zaczęła na starych rozwalinach gotyckiego zamku, który niegdyś był dziełem Wenecyan. W porcie stały dwa kupieckie statki muzułmańskie, nie uszły one bacznosci powstańców. Na jednym z nich majtkowie bez wielkiego oporu wyrznięci zostali, lecz drugi, mający do 30 ludzi i zapas oręża, bronił się walecznie przez trzy prawie kwadranse. Kapitan, który obyczajem tureckim siedział na tyle okrętu i lulkę palił w czasie żwawego strzelania z obojej strony, widząc, że żadne męstwo nie zdoła ich ocalić od dobierających się już na pokład Greków, wstał poważnie i poszedłszy na dół, zapalił beczkę prochu. W oka mgnieniu cały statek wyleciał na powietrze i port okryty został ułamkami drzewa, które spadając, kilku z nacierających na łodziach powstańców uбиły”.

Tuż natychmiast obraz wręcz przeciwny.

Rano 1-go sierpnia rzucono kotwicę w porcie wyspy Filos, inaczej Piskopi.

„Niepodobna opisać przestraschu—notuje dalej podróżnik — jakim nasze przybycie napełniło nielicznych i nędznych mieszkańców tej wyspy, którzy biorąc nas za Turków, rozumieli, iż już przysła ostatnia ich godzina. Niewielki port tej wyspy, otoczony wysokimi skałami, dość dobrze zasłania od północnych wiatrów. W godzinę po naszym przybyciu wierzchołek nadbrzeżnej góry okryty został ludźmi, których ze statku trudno było upatrzeć. Niemy krzyk jakiś obił się o nasze uszy; lecz niepodobna było wiedzieć z kąd pochodził. Wkrótce kilku Greków spuszczać się zaczęło na dół po rozpadlinach skały. Za pomocą lunety rozoznaliśmy pomiędzy nimi niektórych uzbrojonych strzelcami i księdza na ich czele. Ci gdy stanęli u dołu, poznawszy, żeśmy nie byli Turkami, dali hasło innym, a wkrótce i pozostali na górze wieśniacy na dół zeszli. Dorozumiewając się powodu ich niespokojności, kapitan kazał wywieść flagę austryacką, co zupełnie uspokoiło strwożonych

mieszkańców. Dla pomówienia z nimi, równie jak w zamiarze kupienia świeżej żywności i wina, udaliśmy się na brzeg, gdzie pod rozłożystym figowem drzewem, cała gromada Greków pod prezydencją księdza nałożyła lulki i kiejk robić zaczęła. Stan tych ludzi był prawdziwie rozrzewniający. Podobni do rozbitków, którzy wdrapawszy się na dziką i odosobnioną skałę, w pośrodku wzburzonego morza, spoglądają ze strachem na przepaściste fale, z których uratowali życie i które mogą jeszcze ich pochłonąć, wypiarze ci, ze strachem obracali oczy ku wyspie Rodos, dokąd się udała flota turecka. Gdy ją dwoma dniami ujrzeli wprzód przybywającą do Samos, pewni byli, iż ten dzień był ostatnim nędznego ich życia i dniem zburzenia ich pomieszań. Dwie wioseczki, znajdujące się na tej wyspie, stały pustkami przez dwa dni; mieszkańcy skryli się po pieczarach, matki poskładały rozrzucone dzieci po ostrych skał urwiskach, na które pierwiej żaden z mieszkańców nie ośmielił się wdrapać. Szczupły dobytek, zdala od swych panów, zagnany był na pusty i okropny zachodni brzeg wyspy, oddzielony od reszty pasmem chropawych i wyniosłych wierzchołków. W tym stanie srogiej obawy zagrzebani w łonie twardej ziemi, opuścili byli swą wyspę, nie wynosząc się w cudzą krainę i sami będąc na niej obcymi, bezludną ją uczynili. Chociaż dosyć znakomici liczbą, nie posiadali jednak nad 23 strzelby i kilkanaście pistoletów. Odważniejsi z nich przecież, przy szczupłej ilości kul i prochu, uzbroiwszy się w ten niedostateczny oręż, który tylko ręce rozpaczy mógł przystać, postanowili byli bronić się na wejściu do wioski, i gdyby tego było potrzeba (na szczęście, że jej nie było) zagrzebać się w gruzach swych domów”...

Dalej następuje w dzienniku tym podróży Sękowskiego po Archipelagu opis — może najcharakterystyczniejszy ze wszystkiego, co on tam podaje o ówczesnem powstaniu greckiem.

Ponieważ statek, na którym jechał nasz podróżnik,

zatrzymał się był nieco dłużej w porcie Filos, miał on czas zwiedzić nawet interesującą wysepkę. Poczem:

„Zaledwom się wrócił do okrętu — pisze on — gdy straż od mieszkańców postawiona na wierchołku jednej góry, doniosła nam śpiesznie, że się na wodach między tą wyspą a lądem azjatyckim ukazały okręty greckie. Niepodobna wcale opisać, jak tych nieszczęśliwych wyspiarzy gwałtownie wstrząsała iskra nieznannej radości. Zrodzeni będąc i wychowani w rozpacz, karmiąc się gorzkim chlebem niewoli, Grecy nie umieli nawet spodziewać się swobody i tylko w spłodnem nieszczęściu życia szukali okropnych przyjemności cierpienia, nakształt złoczyńcy, obciążonego kajdanami, wycieńzonego nędzą i zawsze obraz haniebnej karni mającego przed oczyma, który się z boleścią przewraca na twardym gruncie więzienia, szukając położenia ciała, w jakimby mu ciężkie jego żelaza i nadarte rany mniej dolegały. Mieszkańcy wyspy czekali z upragnieniem na zawinięcie do portu swych oswobodzicieli; my z niecierpliwością chcieliśmy widzieć oswobodzicieli Greków, a jam pałał ciekawością obaczenia, na greckiej ziemi, Greków choć na godzinę wolnych, czego inni przedemną podróźni nie mieli szczęścia oglądać. Nakoniec, około godziny piątej po południu, z po za przylądka wyspy, który nam ową część morza zasłaniał, zaczęły się pokazywać statki powstańców, które silny wiatr północny pędził z nadzwyczajną szybkością, chociaż jedne tylko gabie (żagle drugiego piętra) rozpięte były. Wkrótce dwadzieścia brygów było już na widoku, które zaczęły krążyć przed portem. Zręczność marynarzy i lotność tych statków w niemałe nas wprawiła podziwienie, a jeden z nich z wywieszoną flagą, zbliżywszy się do portu, zrzucił żagle i kapitan ze swymi ludźmi wsiadł do łódki, dla udania się na nasz pokład. Skoro weszli na okręt, wyznam, iż pewne uczucie zadziwienia i nowości żywo mnie przeniknęło. Własnym oczom zaledwie wierzyć mogłem: jakto? sąż to ci sami Grecy, których przed kilkunastu

miesiącami uniżonych i płaszczących się przed nadętym mużłanem zostawiłem? co się z pokorą i uszanowaniem zatrzymywali przed nikczemnym janczarem, dopóki on nie przejdzie. Widzieć ludzi w dziwaczno ottomańskim stroju, co pierwaj był godłem ich hańby i niewoli, szumnie mówiących o niepodległości; widzieć oswobodzone z żelaznych kajdan ramiona, szlachetnie pracujące około nabycia chwały w obronie własnej ojczyzny, było dla mnie tak wielką nowością do widzenia w dzisiejszych Romeach, że pilnie każdego ich kroku i wyobrażenia postrzegał, chcąc w nich śledzić wpływu nowego stanu rzeczy. Lecz żeby sądzić bezstronnie o nowym ich charakterze, zawsze dwie na uwadze należało mieć okoliczności, tymczasowe wprawdzie, lecz nieoddzielne od nowego i wcale dla nich nieznanego bytu; a naprzód, że najgwałtowniejsze zapalenie umysłów musi koniecznie ich wszystkie znamionować działania i że w początkach swej wolności, Grecy raczej do zbuntowanych niewolników, niż do ludzi wolnych powinni być podobnymi”.

Żywo to nadzwyczaj maluje nasz podróżnik w następnym, wielce interesującym, oraz historycznie cennym opowiadaniu.

„Cała ta flotyla grecka niebawem zawnęła do portu — i wnet naczelnicy powstańców, jako władza wód Archipelagu i goście zarazem, rozsiedli się na pokładzie statku austriackiego niezbędnym wschodni „kiejf” robić...

Wszczęła się żwawa rozmowa, z której się nic dowiedzieć nie można było, gdyż każdy na nieumiarkowane tylko przeciwko Turkom wysiłał się obelgi i każdy jedne i te same wypadki zupełnie różnym opowiadał sposobem. Jedni z nich powiadali, że liczba uzbrojonych statków powstania przechodziła 600, drudzy, że ich więcej nad 400 nie było; inni tę liczbę do 150 zmniejszali; wszyscy jednak zgadzali się na to, że Ipsilanti opanował Adryanopol i szedł zwyciężko do Carogrodu, kiedy go już w granicach ottomańskich nie było. Wrodzona chępliwość Greków i żywa ich

imaginacya miały wtenczas pole do popisywania się na wyścigi; mnóstwo urojonych bohaterów i świetnych zwycięstw, które porównywano do Platei, Maratonu i Termopilów, było żywo i z dokładnością opisanych, a co większa, każdy szczerze w te chwalebne sny wierzyć się zdawał. Jeden z nich, wybornie mówiący po włosku i który, jak mi powiadał, młodość swoją w Liworno przepędził, wszcząwszy ustronną ze mną rozmowę, wylał się z całą goryczą smutnego ich położenia. Narzekania jego miały szczególnie na celu niesforność marynarzy, którzy, źle rozumiejąc wyraz wolności, własnym kapitanom nie chcieli być posłusznymi. Wszystko się u nich większością głosów stanowiło; każdy pokład miał partyę kapitańską i opozycyjną, a tak, ile statków, tyle było osobnych pływających rzeczypospolitych. Wszystkie prawie dostatniejsze domy, któreby szlachetnem swych bogactw użyciem, stronę walczących wesprzeć mogły, opuściły grecką ziemię i przeniosły się do wysp Jońskich, Wenecyi, Triestu i dalszych portów włoskich. Zapał panował wszędzie, lecz niezgoda i chciwość targała często najpiękniejsze usiłowania. Dowódcy statków chcieli natrzeć na flotę turecką pod przyłaskiem Colona, a poświęciwszy kilkanaście łodzi, wśród dymu i zamieszania, starać się spalić okręty ciemniźcyeli, ten jednak zamiysł bohaterski znalazł opór w niesfornem marynarstwie, które wołało bezpiecznie puszcząć z daleka „bruloty”. Pierwej zaś jeszcze, kiedy się im pod Metelinem liniowy okręt zapalić udało, w uniesieniu i radości, zdaniem było największej części kapitanów i marynarzy, uderzyć na nieprzyjacielską flotę, zatrwożoną tym wypadkiem i nieliczną; lecz wielu dowódców okrętowych, ludzi dostatnich, do których statki własnością należały, bojąc się je postradać w bitwie, sprzeciwiło ogólnemu prawie żądaniu, i eskadrze ottomańskiej spokojnie do Dardanelu powrócić dopuściło. Poczem już na walnem zebraniu morskiem, dobrze myślący i gorliwi kapitanowie otrzymali, iż ludzi dostatnich i właścicieli okrętów od prowadzenia ich

usunąwszy, dowództwo statków doświadczonym i znanym z męstwa poruczono osobom. W ogólności Grecy, upędzając się za flotą W. Sułtana, w wielkiej zostawali niewiedomości o stanie swych własnych interesów, osypywali nas pytaniami o nowiny z Europy i pomimo całego zapału, czuli ogromność przedsięwzięcia jakiego się targnęli. Przed kilku dniami odebrali wiadomość, że dwa ich statki, posłane do Malty dla zakupu u Anglików dział, kul i prochu, szczęśliwie poruczenie to skuteczniejszy, ze znakomitym rynsztunkiem do Hydry przybyły i że się śpiesznie zajmowano około obwarowania twierdzy tej wyspy. Cóż robić? jeden z nas zostać musi, my albo Turcy!—było końcem każdej rozmowy”.

Nic nie uchodziło bacności naszego podróżnika, przestrzegał on wszystko, badał głąb przyczyn utajonych.

Wie też naprzykład, iż „Hydryoci i Specyoci, pierwsi obrońcy niepodległości greckiej, nic oprócz wiary z Grekami nie mają wspólnego, pochodzą oni z albańskiego pokolenia, mówią arnauckim językiem i różnią się od Romeów charakterem, obyczajami i strojem”.

W następny zaś sposób charakteryzuje nowoczesnych Greków i właściwość moralną toczonej przez nich walki za niepodległość:

„Jednym z słusznych względów porównania charakteru greków Odyssei z dzisiejszym charakterem Romeów — powiada ze zwykłym swym humorem — jest niepoohamowana i prawdziwie wschodnia chciwość zysku, która we wszystkich czasach działania tego ludu znamionowała. Gdyby to przeciwko boskim Homera pieniąm świętokradzkim nie było bluźnierstwem, mądrego Ulisesa nazwałbym może łapigroszem. Łakomstwo i chciwość darów w tym bohaterze, przez tureckich tylko wyrównana być może janczarów, którzy się bezwstydnie wszędzie o bachszysze czyli podarki, upominają. Ta jednak wada, aczkolwiek niechwalebna, była jedną z główniejszych przyczyn wielkości Greków. Ujęci

powabem zysku biegli oni w najodleglejsze strony, niosąc swój przemysł i sztuki, a ta namiętność zamieniona z czasem w porządny i dzielny duch handlu, mnożyła ich osady, wzmagala wpływy i coraz nowych dostarczała przedmiotów dla żyznego ich przemysłu, kiedy wrodzona próżność i żądza chępliwiej okazałości, pyszne z nabytych bogactw, upiększały miasta, wznosząc wspaniałe gmachy, którym się dotąd dziwimy. Taż sama wada, co stworzyła potęgę Anglii, ta chciwość zysku przez tylu Europejczyków zelżywie nowożytnym wyrzucana Grekom, stała się dziś niewinnym powodem do szlachetnych usiłowań około skończenia rdzawego ich jarzma i odzyskania ojczystej niepodległości”...

Podobne uwagi i obrazy, żywe i głębokie, cechują wogóle, i dalej, cały ten ustęp interesującej Sękowskiego podróży. Niczego on nie pomija, nie szczędzi, pomimowoli przez to stając się nieocenionym dla historii tego czasu.

Oto powody zawziętego i groźnego nieporozumienia pomiędzy powstańcami.

„Dwie sprzymierzone floty pokłóciły się z sobą i żwawo się połajały na morzu z powodu kawy, którą skonfiskowawszy na jednym chiockim statku, nie mogły się zarówno podzielić. Eskadra Specyi i Hydry, jako znakomitsza liczbą i starsza powagą, przywłaszczyła sobie cały ten ulubiony płód dla wschodnich, a ukrzywdzeni Ipsaryoci, idąc zapewne za przykładem przodka Romeów Achillesa, od sprzymierzonej odłączyli się siły i pozostali na rodzinnej wyspie, smutnemu oddając losowi tych nowych Agamemnonów, którzy jak drugą Brizeidę, porwali im niesłusznie przeszło dwieście zembilów czystej mokkańskiej kawy! Czytelnikom i wielbicielom Homera pięknie się wydać może tak szczęśliwe naśladowanie bohaterskich czynów Iliady, a jeszcze w miejscu niezbyt oddalonem od klasycznych brzegów Troady; lecz pomnąc, iż Jasna Porta Ottomańska sto przynajmniej razy więcej niż piękna Helena, mieć może obrońców, ubolewać należy nad tą porywcznością Greków do kłó-

tni i niesnasków, która od najdawniejszych czasów dotąd, w narodzie tym nie wygasła”.

Następujące świadectwo jeszcze bardziej smutne i charakterystyczne:

„Dnia 8 sierpnia, przed wschodem słońca zawińliśmy do sławnej wyspy Patmos. W tej chwili ludność wyspy była się znacznie powiększyła uciekającymi ze wszech stron rodzinami greckimi, które w tutejszym monasterze szukały schronienia, ufając cudowności miejsca i małości wyspy... Napływ ich był tak znakomity, iż całe rodziny żyły pod gołym niebem, nie znajdując już miejsca pod dachami miasteczka. Nie mogę tu — powiada nasz podróżnik — z boleścią nie wspomnieć, iż duchowieństwo romejskie, zawsze widokami osobistymi odstrychnione od ludu, sprawie jego sprzeczne, a szczerze do ottomańskiego przywiązane rządu, od którego wypływała wszystka jego obszerna władza i dowolna powaga, w tym tłumie nieszczęść, jakie przywały teraz naród grecki, rzadko się gdzie okazało skłonnością do ulżenia cierpień rodaków i dania miłościwej pomocy strapionym braciom jednej wiary i synom tej samej ziemi. Mnisi patmoscy (oto)... zamknęli wrota prześladowanym i uciekającym z pod miecza okrutnych panów współziomkom, wymawiając się ciasnotą swych pomieszczeń i t. p.”...

* * *

Podróż Sękowskiego na Wschód trwała nieco dłużej nad dwa lata, licząc od wyjazdu jego z Wilna.

W ciągu tego dla innych tak niedostatecznego czasu — powiada jego biograf ros. (str. 32) — nabył on rzadkiej w Europejczyku znajomości języków, arabskiego i tureckiego, z kaligraficzną wykwiłnością, prozą i wierszami, jak swym oczystym; nauczył się po persku, syryjsku, nowogrecku i włosku; zbadał Wschód muzułmański, w jego rękopisach i żywym życiu — onego religię, prawa, literaturę, podania, przesady, obyczaje i zwyczaje. Zdobył on wszystko, co tylko można było

zdobyć w zakresie wiedzy na Wschodzie, by się stać pierwszorzędnym orientalistą. Nic dziwnego tedy, że znawcy rzeczy, pierwiej nawet, nim on dokonał coś znaczącego, już go uważali za swą znakomitość.

Lecz niezależnie od tego, co Sękowski następnie, w ciągu długich lat wyteżonej pracy naukowej, zrobił na polu wiedzy orientalnej, pozostanie zawsze niewynagrodzoną stratą, że on sam nie opisał swej podróży na Wschód, z taką dokładnością, na jaką ona zasługiwała. Z pamiętników jego drugiej żony (str. 11) wiemy, iż miał on zawsze zamiar i chęć szczerą dokonania tego, lecz że, przywalony zawsze innego rodzaju pracą, nie mógł nigdy znaleźć dosyć swobodnego potemu czasu. Można spotkać parę oderwanych wspomnień w jego pismach późniejszych w jęz. ros., ale nic nadto. Tem większą cenę miałyby zatem jego korespondencje z owego czasu, gdyby takowe dały się gdzie odszukać. Pisywał on bowiem ze Wschodu, oprócz Lelewela, do innych przyjaciół jeszcze, jak Kontrym naprzykład; a wreszcie musiał też pisywać do rodziny własnej—do żony, pozostałej w kraju, do ukochanych tyle—matki i siostry.

Po powrocie do kraju pierwszym zadaniem Sękowskiego było, oczywiście, widzenie się z rodziną, po więcej niż dwuletniem rozstaniu się. Lecz nie miał on powodu zatrzymywania się na czas dłuższy w Wilnie; owszem nawet, przyjęta w Konstantynopolu posada urzędowa zobowiązywała go poniekąd do śpiesznego udania się do Petersburga, gdzie właśnie już się znajdowało odwołane z nad Bosforu poselstwo, w oczekiwaniu na dalsze postanowienia rządu.

Istnieje inna jeszcze wersja, przechowana przez Pietraszewskiego, w jego dziele: Nowy przekład dziejopisów tureckich (str. 106)—co do rzeczywistego powodu zerwania stanowczego przez młodego orientalistę ze swem macierzystem Wilnem. Podług niej — Sękowski po przybyciu do Wilna zażądał katedry ze stopniem profesora zwyczajnego; uniwersytet wileński chętnie go chciał przyjąć, ale na po-

czątku tylko w stopniu profesora nadzwyczajnego; wtedy niby gniewem przejęty orientalista ruszył do Petersburga i odtąd już żywił stałą niechęć do swej alma mater, pomimo, iż tu zaledwie w jednej lub paru tylko osobach spotkał nieprzychylność dla siebie.

Zdaje się jednak, że to był pozorny jedynie powód zerwania z Wilnem. Sękowski wiedział, dokąd zmierzał.

W Petersburgu stanął Sękowski w październiku. Sława jego zdolności nadzwyczajnych tam go poprzedziła. Kanclerz państwa hr. Rumiancow przyjął go najpochlebniej; natychmiast wyrobił mu 200 czerw. złotych wynagrodzenia za wydatki podróże oraz „należyte przygotowanie się do służby” i mianował go (20-go grudnia) tłumaczem m. spraw zagranicznych z pensją 2,500 rubli asygn. rocznie. Baron Strogonow nie przestawał po dawnemu również nim się zajmować. Skromny i dumny młody nasz orientalista żadnych protekcji wysokich wszakże nie szukał i, oprócz dwóch wzmiankowanych, nigdy innych nie posiadał.

Przed otrzymaniem miejsca tłumacza musiał on pierwiej złożyć oficjalny egzamin w Akademii nauk i otrzymał od znakomitego akademika Fraehna (28 listop.) świetny atestat, przynoszący tyleż zaszczytu egzaminatorowi, ile egzaminowanemu. Słynny ów orientalista, dzielący w owe czasy z De-Sacy sławę pierwszego znawcy swego przedmiotu w Europie, w tchnącym najwyższym uznaniem i głęboką szczerością atestacie tym świadczy w zamknięciu onego, że: „Wogóle, na mocy swych wiadomości w języku arabskim, pan Sękowski należycie jest uzdolniony do zajęcia zaszczytnie i z użytkiem katedry tego języka, a zarazem tyleż może być użyteczny i w zawodzie dyplomatycznym. Jego miłość i entuzjazm dla wschodnich języków, rzadkie oddanie się, jakie on już okazał, i szczególna zdolność do językoznawstwa, połączone z rozległymi wiadomościami, służą rękojmnią pięknych nadziei usług, jakie on może okazać jak na polu stosunków dyplomatycznych cesarstwa z Portą, tak (spodzie-

wam się i pragnę) i w zakresie nauki". Zdanie zaś takie Fraehna równało się słowu wyroczni. Młodego uczonego polskiego przyjmowano wszędy w towarzystwach stolicy północnej z otwartymi rękami.

Tymczasem, jednocześnie prawie, gdy Sękowskiemu przyszło wracać ze Wschodu, Lelewel został powołany na katedrę historii do Wilna.

W Wilnie zaszło było w roku ubiegłym stanowcze przeobrażenie na uniwersytecie, wywołane przez zwrot nowy zupełnie w jego dziejach, przez przełom, towarzyszący powstaniu towarzystwa Promienistych. Pomimo wpływu i silny opór Jana Śniadeckiego, postanowił był uniwersytet zapęłnić wakujące od lat wielu główne katedry w wydziale zwanym moralnym i w tym celu ogłosił konkursu.

Czyje rozprawy będą uwieńczone, kto mianowicie historii i filozofii nauczać będzie — naprzód i z pewnością niemal tamtejsza publiczność wiedziała...

Nie mylono się: pierwszeństwo otrzymała rozprawa Lelewela „O sposobie dawania historii” — on też katedrę jej otrzymał; katedra zaś filozofii dostała się Józefowi Gołuchowskiemu. Przyjęci oni byli przez młodzież z entuzjazmem, świadczącym o nowym zupełnie duchu, jaki ją teraz ożywiał.

Obaj oni, łącznie z Daniłowiczem, Onacewiczem i innymi profesorami, tak samo ważnością przedmiotów, które wykładali, jako i wpływem swoim w zarządzie uniwersytetu, utworzyli potężną opozycję przeciwko dawnej wyłącznej Śniadeckiego dążności. Wydział moralny wziął przewagę nad fizyczno-matematycznym — i rewolucja stanowcza w uniwersytecie wileńskim została dokonana.

Jakie wrażenie wywarła, mimo wszystko, na młodym polskim oryentaliście stolica północna, o tem niech świadczy list jego stamtąd, po miesięcznym pobycie, pisany już do Wilna, gdzie Lelewel tymczasem został nakoniec, po długiem wyczekiwaniu, profesorem uniwersytetu.

Któżby mógł przypuszczać, że człowiek, co to pisze, poświęci z czasem życie całe i samą istotę swej duszy miastu temu, które w nim przy pierwszym wstępie obudziło do tego stopnia niesmak, niechęć i wstręt nawet? Co wyraz tu prawie jakaś ironia, jakiś sarkazm. Znać tu człowieka, co przybywa z rozkosznych krain południa, któremu tu chłodno i nudno; znać syna Zachodu, dla którego tu wszystko obce.

Sękowski uważa pobyt tu swój za doraźny, tymczasowy tylko. Zamierza opisać podróż swą z należytą gruntownością naukową; ale cóż? zwiezione tu biblioteki Załuskich i Nieświeska w największym nieładzie, niema możności z nich korzystać, inne zaś puste. „Słowem, nie wie, co tu począć”. Sarkastycznie wzywa zatem, żeby i przyjaciel ich wspólny Kontrym pozbył się teraz jakichś optymistycznych widać swych uprzedzeń co do miasta.

Petersburg, 15 Grudnia 1821 r.

Mój kochany Panie Joachimie! Powinienem najprzód zacząć od przeproszeń za tak długie milczenie; odebrałem kilka twych szacownych listów, które nie tyle ucieszyły twoją łaskawą o mnie pamięcią, ile przyniosły rozkoszy wiadomościami, którycheś mi raczył udzielić. Jadąc na Wilno spodziewałem się zawsze cię tam widzieć i jedynem dotąd mojem jest życzeniem uścisnąć was w kraju. Nie mam potrzeby opisywać ci miejsca, w którym dziś śmieszne rzeczy połączenia siedzieć i nudzić mi się kazały. To miasto porównane być może do pięknej kobiety, zamkniętej w ciemnej, wilgotnej i niezdrowej jaskini. Noc prawie nieustanna; powietrze nieznośne i ciężkie; wszystkie twarze zasępione, równie jak niebo, i w cieple nawet ludzie zdają się być okolałymi. Co najgorsza, że ciemnota atmosfery zdaje się mieć wpływ wyraźny na głowy. Poznałem się z wielu tutejszymi uczonymi, lecz i to poznanie się tem więcej mi nakazuje żałować, że się pomiędzy wami nie znajduję. Jest to duże

miasto i stolica; powinny więc być w niem pałace i biblioteki dla ozdoby, jakoż i są, na tem tylko koniec. Biblioteka Załuskich jest w największym nieładzie. Dotąd nie ma katalogu; nikomu książek ruszać nie wolno. Chciałem zająć się tu napisaniem mej podróży, lecz tu nie można przystąpić do książek, a nawet najpotrzebniejszych niema. Biblioteka nieświeska, która do Akademii nauk należy, podobnież jest bez użytku dla externów. Hr. Rumiancow pozwolił mi korzystać ze swej biblioteki, lecz w niej znajduję tylko nowożytny książki. Słowem, nie wiem co tu począć. Niech się nasz pan Kazimierz pozbędzie uprzedzenia swego o tem mieście. Wasilewski-Ostrow, na którym wszystkie Akademie są zabudowane, godny jest widzenia z przeciwnego brzegu rzeki Newy, dla swego pięknego widoku. Arkusz druku kosztuje tu 70 rb.; rozumiem, że i w Chinach można taniej drukować. Takie tu są wygody dla tych co się zajmują tu naukami. Piszę ten list do ciebie przez Łobojkę. Jest to zacny bardzo człowiek i spokojny. Chce on tam was wszystkich uczyć po rusku. Ściskam cię mój drogi Joachimie i proszę razem, żebyś pisywał do mnie. Twój prawdziwy sługa,

J. Sękowski.

Nastąpił rok 1822; nie było żadnego widoku prędkiego powrotu z poselstwem do Stambułu. Sękowski tymczasem powoli obywatel się z Petersburgiem.

Pomiędzy ziomkami spotkał on, zamieszkałego tu od roku 1819, Tadeusza Bułharyna, którego znał dawniej z Wilna, a który, chociaż nie posiadał jeszcze późniejszego rozgłosu, zajmował przecie już wybitne stanowisko w wykształconem towarzystwie petersburskiem, a nawet i w rosyjskiem piśmiennictwie, jako redaktor najlepszego w owe czasy pisma w tym języku. Bułharyn był to istny nowożytny „condottiere” pióra, a nim został z czasem druhem wiernym mło-

dego ziomka oryentalisty, stał się na razie pierwszym jego w stolicy północnej przewodnikiem.

Przez Bułharyna zapoznał się Sękowski ze ściślejszem kółkiem literatów rosyjskich. Ze pomiędzy nimi najbardziej zasympatyzował z Aleksandrem Bestużewem (przyszłym nieszczęśliwym Marlińskim), było to rzeczą moralnej konieczności prawie. Bestużew począł się uczyć od niego po polsku, a w odwet poprawiał pierwsze nieśmiałe próby nowego przybysza w języku rosyjskim, mianowicie jego tłumaczenia powieści wschodnich. Bestużew wprowadził go dalej do „Wolnego towarzystwa literatury rosyjskiej”, którego członkami byli wszyscy prawie literaci petersburscy. W taki sposób młody polski uczyony zbliżył się ze światem zupełnie sobie dotąd obcym.

Od pierwszego zaś zetknięcia zbliżenie to staje się, co krok, co chwila, coraz bardziej pociągającym, coraz bardziej fatalistycznie nieodzownem: składają się na to nieprzemoczenie wszystkie okoliczności zewnętrzne, prowadzi ku temu sam nastrój psychiczny i charakter poprzedniego wewnętrznego rozwoju — oderwany, kosmopolityczny. Ciekawy to niezmiernie i niezmiernie smutny proces przeobrażania się przyrodzonej postaci istoty człowieka w postać inną, z natury jej obcą. Odbywa się on powoli, niespostrzeżenie prawie, z oporem wielkim, jeśli bez walki moralnej napewno, to z silnem wazieniem się samego umysłu. Proces ten zatem będziemy się tu starali w głównych odcieniach onego następnie prześledzić.

Zjawienie się w Petersburgu człowieka tak niepospolitych zdolności, jak Sękowski, tak wielostronnego wykształcenia, a nadto wracającego z tak bardzo interesujących i mało znanych wtedy krain Wschodu muzułmańskiego, było prawdziwym nabytkiem dla tamiecznego towarzystwa. Powszechnie tedy usiłowano spożytkować nową siłę, w sposób, w jaki mogła być ona komu potrzebniejsza.

Kto zna niczem nie dającą się zrazić zabieглиwość Buł-

haryna z jego choćby stosunków z Lelewelem, ten łatwo pojmie, że niepodobieństwem prawie było dla młodego Sękowskiego oprzeć się jego natarczywości. Bułharyn już był zerwał poza sobą wszystkie mosty, został stanowczo i jedynie literatem rosyjskim, wydawał w języku rosyjskim od r. 1822 pismo „Siewiernyj Archiw” (Archiwum północne) i oddał się mu całą swą duszą niespokojną. Onby też miał nie wyekspluatować niedoświadczonego, wielkich zasobów ziomka, puścić go obojętnie na razie, kiedy ten, przy zmianie okoliczności politycznych, mógł mu do Stambułu umknąć i o nim razem z jego Archiwum zapomnieć?! Nigdyby on potem tego samemu sobie nie darował; Sękowski musiał mu tedy przyrzec udzielić dla jego pisma coś ze swej podróży. Oryentalista nasz ze swej strony niemniej pragnął dać się więcej poznać uczonemu światu, i ziomkom i obcym. Utyskiwał przed Lelewelem na brak naukowych środków w Petersburgu do ułożenia porządnego opisu swej podróży i mimo to niezmordowanie gromadził materiały jak mógł. Napisał tedy, pod najświeższem wrażeniem, dla pisma „Nouvelles Annales de Voyages” (tome XVI) swój „Fragment d’un voyage inédit en Nubie” etc., zamieszczony i w Pamiętniku Warszawskim tegoż roku. Ten to więc ustęp podróży ziomka uchwycił i Bułharyn i wydrukował go w swoim Archiwie (1822, cz. I, Nr. 1) zaraz na początku roku, we własnem najniezawodniej tłómaczeniu, gdyż autor sam jeszcze po rosyjsku należycie nie umiał.

Wydając ten pierwszy ułamek podróży Sękowskiego w języku mu obcym, Bułharyn, w bardzo charakterystyczny sposób, pośpieszył podać co następuje: „Z przyjemnością powiadamy publiczność, że pierwszy szczegółowy opis Nubii i rzadkości w niej znajdujących się wyjdzie w świat w języku rosyjskim. P. Sękowski, który podróżował więcej niż dwa lata po różnych krajach Wschodu i Afryki, przed dwoma miesiącami przybył do Petersburga i ma zamiar wydać tutaj swoje pamiętniki. On pierwszy z po-

dróżników rosyjskich zwiedził owe krainy mało znane i, posiadając języki wschodnie, zebrał bardzo ciekawe wiadomości”.

Przytoczyliśmy umyślnie powyższy wyjątek, ażeby wskazać, że właśnie Bułharyn, ręką swą niepoświęconą, odbył chrzest nowy nad Sękowskim i dał mu nowe namażczenie. Lecz co ważniejsza nad to — młody nasz przyjaciel Lelewela przeciw temu imieniowi chrzestnemu nigdzie czynnie najwidoczniej nie protestował. Pierwszy to dowód tak dotykalny, że dla gorliwego „szubrawca” była to strona mniej drażliwa w jego indywidualnem poczuciu godności.

Sękowski wreszcie potrzebował dać się poznać sam publiczności petersburskiej. Po pierwszym więc ustępie z jego podróży po Nubii i górnej Etyopii nastąpił w tymże Archiwie niebawem jego „Powrót z Egiptu przez Archipelag i część Małej Azji”, również, jakeśmy to już widzieli, drukowany w Pamiętniku Warszawskim. Nadto dał on jednocześnie i do pisma „Syn otieczestwa” (Syn ojczyzny) dwa ustępy: „Odwiedziny Piramid” i „Treść listu z Kairu 11/22 grudnia 1820 r.”

W ten sposób wszedł on, chociaż pierwotnie pośrednio tylko, do grona pracowników na polu skromniutkiego wtedy jeszcze piśmiennictwa rosyjskiego.

Tymczasem gdy młody, głośny już w świecie uczonym dla swych nadzwyczajnych zdolności, orientalista wileński, posiadając już przy poselstwie urzędowe stanowisko, powoli ściślej się począł zespalać z Petersburgiem, jego „alma mater”, co go wykarmiła — uniwersytet wileński — ofiarowała mu w marcu (1822 r.) katedrę języków wschodnich. Może to się zdać niespodzianką, gdy sobie przypomnimy, co w tym przedmiocie pisał dawniej Sękowski z Syrii do Lelewela, przejęty goryczą i nieufnością ku temu, „co się zwało” uniwersytetem w Wilnie. Ale właśnie od tego czasu zaszło tu stanowcze przeobrażenie we wszystkim: kierunek, nadawany dotychczas wyłącznie przez Śniadeckich, ustąpił miejsca nowemu, żywшему zwrotowi, który podniósł znaczenie

zaniedbanego tu dotąd wydziału nauk „moralnych”, obok fizyczno-matematycznego. Skutkiem tego powołano, jakżeśmy to widzieli, na katedrę historii Lelewela, powołano Gołuchowskiego dla filozofii, Daniłowicza dla prawa, a teraz wezwano Sękowskiego.

Niezawodnie każdy inny na jego miejscu byłby przyjął tak zaszczytną propozycję, do której przyjęcia nadto zobowiązywało poczucie obywatelskie. Ale Sękowski nie chciał się rozstawać z widokami, jakie mu nastrecał urząd przy poselstwie, a nawet sam Petersburg.

Zresztą, mógł on w danej chwili, kiedy go doszła propozycja z Wilna, o Petersburgu nie myśleć jeszcze wcale: był może za młody na to, za mało szczęśliwy w serdecznym, małżeńskim swym stosunku, i marzył przedewszystkiem o powrocie z misją konstantynopolską na Wschód, skoroby tylko stosunki z Portą wznowione zostały.

W Wilnie musiałby on nadto, że tak powiemy, zstąpić ku swoim, wejść w grono społeczeństwa z istoty swej zazdrośnie egalitarnego i każdej chwili mierzyć się potem z innymi na siły; gdy w Petersburgu znalazł on jakby stworzony grunt dla siebie, dla swej natury psychicznej — nie znoszącej więzów, przestronnej, absolutnej, ambitnej, nienasyconie samowolnej, rozrzutnej, niedbalej, pojmującej życie jedynie wśród ostateczności—między ascetyzmem pracy naukowej i orientalnym przepychem. Żadne zaś inne miejsce nie przedstawiało mu tyle warunków potemu, co stolica północy.

Mógł on tu również z największą pewnością liczyć i na katedrę przy uniwersytecie petersburskim.

W młodzieńczym uniwersytecie tym zaszły w tym czasie właśnie wielkie zmiany. Skutkiem ówczesnego zwrotu umysłów u góry ku mistycyzmowi, większa część profesorów uległa podejrzeniu szerzenia z katedry szkodliwych zasad, przeciwnych nauce chrześcijańskiej; zabrano studentom notaty lekcji, przeprowadzone zostało śledztwo, i w następstwie tego

zdołniejsi z profesorów usunięci. Pomędzy innymi spotkał ten los i profesorów arabskiego oraz tureckiego języków, Francuzów, Demanger i Charmoir; katedry te więc zaważowały; na perskiej utrzymał się tylko mirza Dżafar. Sękowski więc mógł być pewny, że go katedra nie minie.

Gdy przyszło tedy do decyzji, 22-letni nasz uczoney, poparty silnie powagą akademika Fraehna, ujęty żywo świetnymi warunkami, jakie mu ofiarowano — pomijając wszelkie względy, coby go jeszcze powstrzymywać mogły — zaproponowaną sobie katedrę przyjął. Został też 29 lipca (1822 r.) zamianowany od razu profesorem zwyczajnym (ordynarnym), a nadto otrzymał zapewnienie nadal pensyi, pobieranej, w charakterze urzędnika misyi konstantynopolskiej, z ministryum spraw zewnętrnych.

Wykłady swe rozpoczął on natychmiast po letnich wakacyach tegoż roku, świetną prelekcyą wstępą, mianą 18 sierpnia, a poświęconą ogólnemu rzutowi oka na naukę języka arabskiego.

W taki sposób przyszłość Sękowskiego została stanowczo zdecydowana: poniechawszy widoki w zawodzie dyplomatycznym, wstąpił on na drogę ściśle naukową, a co więcej — oddał się Petersburgowi.

Otrzymaawszy katedrę uniwersytecką, poświęcił się Sękowski nowemu swemu obowiązkowi z namiętnością duszy młodzieńczej. Ile on zrobił na tem stanowisku dla samej nauki języków wschodnich wogóle, dla upowszechnienia gruntowniejszej znajomości onych w Rosyi, dla podniecenia tam żywszego zamiłowania do zdobyczy oświaty, dla dobra samego uniwersytetu nareszcie — jest rzeczą powszechnie wiadomą i uznaną. Zasługi jego w owym zakresie nadzwyczajne, wielkie, niezapomniane nigdy. Byłoby to atoli wyrządzeniem największej krzywdy naszemu ziomkowi, gdyby się go chciało pomawiać o to, że oddał się on tam wyłącznie całą swą istotą, całą duszą. Owszem — wyteżoną, niezmordowaną jego energię znać wszędzie; ale pamiętać

należy, że była to taka potęga umysłu, namiętności i pracy, która w niepojęty prawie sposób wystarczała na odpowiedzenie najróżnostronniejszym wymaganiom. Z tego też jedynie punktu widzenia działalność jego oceniać i sądzić należy. Jednostronność bowiem zapatrywania się — i przedmiot sądu zaciemnia i nam samym szkodę przynosi.

Niewątpliwie, orientalista nasz w młodych swych latach, mimo rozproszenia sił na mnóstwo przedmiotów zarazem, żywo się zajmował wszystkim, co dotyczyło ruchu umysłowego i potrzeb społeczeństwa, do którego sam z urodzenia należał. Węzły, co go łączyły z tem społeczeństwem, nie słabły.

Oto mamy list jego do Lelewela, już po otrzymaniu katedry, w październiku pisany.

Cieszy się entuzjazmem, z jakim historyka narodu w Wilnie przyjęto, gotów nawet temu Wilnu swemu oszczędzić zwykłego, z „szubrawskiego” przyzwyczajenia, sarkazmu, że w tym razie tak „po paryzku czy po ateńsku” wystąpiło, zapytuje Lelewela, wzywa go teraz do stałej a częściej korespondencyi i śpieszy mu podać wiadomość o własnych pracach — o gromadzonych ze wschodnich źródeł materyałach do dziejów polskich, jakie zaraz w następnym roku zamierzał wydać.

Jedno dziwi, że niema śladu w listach pozostałych Sękowskiego do Lelewela jakiegokolwiek traktowania ważnej sprawy uchylenia się orientalisty od przyjęcia katedry na uniwersytecie Wileńskim, a następnie, mimo wstrętów, zgodzenie się szybkie na propozycje petersburskie.

Występuje tu dalej w tym liście, po raz pierwszy, wzmianka o głośnej tyle recenzji Lelewela — Karamzina historyi rosyjskiej, która to recenzja potem tak wiele krwi napsuła — i historyografowi cesarstwa i jego przyjaciółom i gorliwemu patronowi onej Bułharynowi.

Wiadomo bowiem, iż Lelewel, na naleganie czynnego wszędy Kontryma, obiecał był jeszcze w roku 1821 recenzję

swą dzieła Karamzina Bułharynowi — dla jego Archiwum. Wstęp do tej krytyki zrobił wielkie w Petersburgu wrazenie, przezorny redaktor był w siódmym niebie, „zapisywał całe życie swe szubrawskie na uwielbienie” Lelewela. Ten atoli, zawsze bardzo zatrudniony, nie mógł zwykle zdążyć na czas pożądaný z coraz nowym dalszym ciągiem. Zakłopotany tedy Bułharyn wołał zwykle wniebogłosy i wzywał wstawienia się doń każdego z bliższych mu, a więc i naszego orientalistę (patrz Listy Bułharyna do Lelewela — w Bibliotece Warszawskiej 1877 roku, zeszyt 11).

Charakterystycznie też niezmiernie pobudza Sękowski Lelewela do przyspieszenia tej recenzji—„dla własnej sławy i narodowej”.

Trzebaż zrozumieć dobrze ten zwrot ostatni.

Nietylko Sękowski, z późniejszej nawet doby, ale i Bułharyn, teraz i zawsze, nie przestawali, mimo wszystko, uważać się za członków tego narodu i społeczeństwa, do którego przez urodzenie i wychowanie należeli: członkami takimi byli rzeczywiście. Obydwom im, tak niepodobnym sobie w niczem, przypadkowo tylko postawionym w podobnych do siebie okolicznościach i jednostajnem otoczeniu, brakowało jednego ze zmysłów moralnych — i ten brak, przedewszystkiem z krainy głębszego uczucia, łączył ich spotykających się na rozdrożach. Obaj wszakże, jak również niektórzy im bliżsi i podobni z ówczesnego polskiego kółka petersburskiego, byli to prawdziwi Grecy, po zniszczeniu związku achajskiego, w stolicy cesarów. Tamci gotowi byli służyć zdobywcom świata, gotowi byli pracować szczerze nad podniesieniem stopnia oświaty ich społeczeństwa barbarzyńskiego, poświęcać im swe zdolności i krew nawet swoją — ale za okup wielkiej ceny. Musiały być tu zaspokojone ich niezmierzone osobiste ambicje, dla których rozpasanego porywu zubożała, zdeptana, szczupła Hellada nie mogła przedstawiać już odpowiednich widoków. Nie było tam tak szerokich przestworów dla dumy i absolutyzmu

wyższych zdolności, co w stolicy cesarów, ani też jak tam — takiej łatwości opływania w dostatkach. Kochali oni jednak po swojemu mocno tę swą Helladę, dumni byli ze swej krwi i swej cywilizacji, między sobą, cynicznie może nieraz, obnażali jej rany, ale dbali tem niemniej o jej dobrą sławę u obcych i ujmowali się przy lada okoliczności za Atenami i Koryntem — swojemi. Tak równie było i tutaj.

Zrozumiała tedy zapał, z jakim właśnie Bułharyn i Sękowski przedewszystkiem podniecali Lelewela do rozprawienia się z Karamzinem należytego. Zrozumiała owa duma wzgardliwa, z jaką nasz orientalista odzywa się o historyografie rosyjskim, powiadając, że on w Petersburgu „nawet” nie jest uważany za mędrca; lub o Bułharynie, że ten „wyborny chłopiec” — „sam cudzoziemiec, wydaje najlepszy w Rosyi dziennik”.

Petersburg, 18 października 1822.

Szanowny Panie Joachimie! Kiedyśmy byli oddaleni od siebie o parę tysięcy mil, raczyłeś pisać do mnie, i listy twoje odbierałem w Kairze. Pozwól więc, żebym pod sześćdziesiątym stopniem szerokości szukał tej samej przyjemności dla siebie, jaką znajdowałem pod 30-ym, a nawet pod 37-ym, gdyż mię jeden twój list nieoszacowany doszedł w Dendera. Cieszyliśmy się wszyscy twoi przyjaciele i szacownicy, iż tak rzekę, słysząc o entuzyazmie, z jakim cię przyjęto w Wilnie; to czyni zaszczyt temu miastu i pokazuje, jak oświecenie zagnieżdziło się nawet w łysych łbach czekinowych i ćwikowych. Było to coś po paryzku czy po ateńsku. Donieś mi proszę, jak ci się powodzi, boś mi pisał do Syrii, że cię Kazimierz zagnił do zajęcia się rozprawą do konkursu. Postanówmy więc, dla przyjemności twoich prawdziwych przyjaciół, pisywać do siebie raz na miesiąc około pierwszego. O mnie dowiesz się obszerniej i najobszerniej od Kazimierza. Czem się teraz zajmuję może dla ciebie nie być obojętne. Tłómaczę z historyografów tureckich wszystko,

co tylko stosuje się do Polski, i wydam to w roku przyszłym, a po nowym roku wyjdzie *Jeografia Chorasanu* (Bucharyi terażniejszej), *Marawan-neheru*, *Kuhistanu* i *Charizmu*, czyli jak nasi orientaliści czytać raczą: *Chowarczmu*, po turcku i po francusku z notami i mapką. Bułharyn, który jest wyborny chłopiec, i co dziwniejsza, sam cudzoziemiec, wydaje tu najlepszy w Rosyi dziennik, rozgadał tu wszędzie o twej recenzji Karamzina. Ponieważ Karamzin tu nawet uważany nie jest za mędrca, ani nawet za dobrego historyka, wszyscy więc z niecierpliwością oczekują twej recenzji. Przyśpiesz ją, proszę cię, dla twej własnej sławy i narodowej. Daniłowiczowi ukłon odemnie, ciebie zaś, Szanowny Panie Joachimie, serdecznie pozdrawiam. Twój prawdziwy przyjaciel,

J. Sękowski.

Żywe zajęcie się Sękowskiego sprawą historycznej przeszłości własnego narodu, sprawą prawdy dziejowej i naukowej powagi bardziej jeszcze widoczne z następnego listu, w tymże roku do Lelewela pisanego.

Mowa tu dalej o recenzji pracy Karamzina, która już się stała jakby hasłem bojowem dwóch nacyonalno-scyentyficznych zastępów.

Jakie ogniste wzięcie do serca całej tej sprawy: Bułharyn sam tłumaczy przysłany mu pierwszy ustęp recenzji, Sękowski poprzedza go własnoręcznie napisaną wiadomością o Lelewelu; a jaka radość z odniesionego nad przeciwnikami moralnego zwycięstwa, uciecha z ich zakłopotania, jakie gorliwe podniecanie krytyka do porządnego nadsyłania dalszych jego rozbiórów owej historii tak słynnej!

Lecz co przykrego uderza już w tym liście—to następująca okoliczność. Młody nasz orientalista, po jednorocznym zaledwie pobycie w Petersburgu, tak się już był daleko zapędził w przyswajaniu sobie języka obcego, że w istnie uczniowskiem zaciętrzewieniu się on, lingwista, który w po-

przednim jeszcze liście żartuje sobie z orientalistów europejskich, że ci Charizm Chowarczmem nazywać raczą, w nie-darowany sposób używa tu pewnych niewłaściwych językowi polskiemu form wyrażen obcych. Nietylko bowiem język wielkiego narodu nazywa zbyt nielingwistycznie i z wyraźną niedbałością językiem „ruskim” — nazwą, oznaczającą u nas odwiecznie, jak mowa polska prawie istnieje, odrębny słowiański idyomat; ale — o zgrozo! — on, niemniej głęboki lingwista jak etnolog, naród ten cały wielki przeżywa naj-poważniej, jakby na jakie urągowisko, niemożliwym popro-stu wyrazem w gramatyce polskiej, bo przymiotnikowo je-dynie, mianowicie ruskimi zamiast Rosyanami. Oczywiście jest to nic innego jak tylko lapsus linguae czyli raczej lap-sus calami; lecz co może być darowane dymisyonowanemu żołnierzowi, prostaczkowi, razi w uczonym, co sobie już znakomitość zdobył. Chociaż z drugiej strony da się to łatwo pojąć w Sękowskim. Najwyższą jego dumą naukową, najwyższą próżnością było — znać posiadany przezeń język tak doskonale, ze wszelkimi onego właściwościami, jak go znają sami krajowcy. Wiemy już, iż mówił on po arabsku tak, że w Syrii nie chciano wierzyć, żeby to miał być Eu-ropejczyk, nie zaś prawdziwy „Ibu-Arab”; kolega znów jego na katedrze mirza Dżafar, do którego on często pisy-wał liściki po turecku, wierszami i prozą, powiadał, iż kre-slił on je jako istny „Osmanły”. Po przybyciu do Pe-tersburga wziął się on był zaraz w pierwszym tym roku swego tu pobytu poznać podobnież język rosyjski, i był właśnie w zapędzie uczenia się go. Łatwo tedy, w mowie lub w liście doraźnym, mógł niepostrzeżenie, używając ję-zyka ojczystego, obcej mu formy przeoczyć.

Co zaś do samych studyów języka rosyjskiego, odda-wał się on im teraz ze zwykłą sobie we wszystkim gorli-wością. Dla wprawy tłómaczył dużo z języków wschodnich, a ucząc Bestużewa po polsku, korzystał nawzajem z jego wskazówek. Pierwszym właściwie owocem samoistnym tej

jego lingwistycznej nad językiem rosyjskim pracy było tłumaczenie z arabskiego powieści „Beduin”, umieszczonej przyjaźnie zaraz w początku następnego roku przez Bestużewa w jego almanachu „Polarnaja Zwiezda” (Gwiazda Polarna), za którą poszły następnie w dalszych latach tłumaczenia innych powieści wschodnich, w temże piśmie, oraz w innych, z ujmą dla piśmiennictwa polskiego, umieszczane.

Petersburg, 1822, 9 X. br.

Szanowny Panie Joachimie! Drugi raz już piszę do ciebie; lecz teraz szczególnie, żebym ci doniósł o powodzeniu twojej krytyki w Petersburgu. Bułharyn wybornie ją przetłumaczył, a głos powszechny powiada, iż to pierwsza rzecz w ruskim języku pisana ręką mistrzowską i filozoficznie.

Lecz z drugiej strony partya autora, to jest jego domowi przyjaciele, wściekają się ze złości. Sławny poeta Żukowski aż płakał. Autor sam tak się zasmucił i w tak zły wpadł humor, że żona i córka musiały z domu na ten czas wyjechać. Chociaż się oni wściekają, nie ma co jednak na to uważać, gdyż to są ludzie bez żadnej gruntowej nauki; rzadko kto z nich umie i to bardzo niewiele po łacinie; są powierzchowni belletryści, a pomiędzy nimi żadnego nie ma, coby się mógł nazwać uczonym. Do tej liczby należy i autor sam, który, jak twierdzą dobrze go znający, nie umie po łacinie. Zresztą, tyle ile go sam znam, nie ma żadnych wyobrażeń, oprócz takich, jakie mogą być pomieszczone w romansie. Zapewne będziesz myślał, że on wszystko przeczytał, co się ściąga do jego przedmiotu. Bynajmniej; nie umie i nie chce umieć dwóch dla swej rzeczy najpotrzebniejszych języków, polskiego i szwedzkiego. Ja przypędzę Bułharyna, żeby ci, Szanowny Panie Joachimie, przysłał krytyki już na tę książkę pisane, to jest kazańskiego profesora Arcybaszewa i pastora Hippiuga, Szweda, który rozbierał opis jego wojen Nowogrodzian. Ta ostatnia ma być bardzo ważna. Teraz więc, Szanowny Joachimie, staraj

się co najprędzej przysłać drugi artykuł, i ułożyć tak twoją pracę, żebyś mógł co miesiąc jedną część wygotować. Tu oczekują z niecierpliwością. Ja ci będę donosił wiernie wszystkie okoliczności. Na początku artykułu ja sam napisałem krótką wiadomość o tobie, która w dzienniku Bułharyna jest wydrukowaną. Wybacz jeśli są jakie niedokładności, bo tu nie chodziło o dokładność, lecz o danie wiadomości o tobie, któraby miała pozór dokładności. Później obszerniej pisać będę do ciebie.

J. Sękowski.

Dalej na liście ironiczna uwaga Lelewela:

„Pan Sękowski utrzymuje, że na Wołyniu ani aptek ani karczem nie ma” — widocznie przy czytaniu jego, dawniej wydanej, podróży z Wilna do Odessy zrobiona.

Tymczasem sprawa recenzji Lelewela „Historji państwa rosyjskiego” Karamzina poczęła się coraz żywiej rozogniać; w stolicy północnej wystąpiły żartko dwa obozy przeciwko sobie. Bułharyn poślubił ją jako sprawę osobistą i do namiętności nią się przejął. Z najwyższym upragnieniem czekano na ciąg dalszy recenzji Lelewela, który, obarczony innymi pracami, nie mógł odpowiedzieć żądaniom.

W początku tedy pamiętnego dla Wilna roku 1823-go pisze doń Sękowski w styczniu, raz po razie, dwa listy, zaklinając go i żartem i naprawdę, na wszystkie świętości, aby z pracą swą pośpieszał.

Petersburg, 3 Stycznia, 1823.

Szanowny Panie Joachimie! na poważną instancję Bułharyna piszę do ciebie, zaklinając cię na portki Śt. Bonifacego, żebyś był łaskaw przyspieszyć twoją recenzję, bo ja lękam się prawdziwie, żeby on sobie z niespokojności w łeb nie strzelił. Publiczność tutejsza pyta się co chwila o twoją recenzję. Karamziniści tryumfują, powiadają, żeś ty zląkł się, czy pożałował przedsięwzięcia. Dla honoru swego, Pol-

ski, Litwy i Mazowsza, dla honoru nas w Petersburgu mieszkających, twoich prawdziwych wielbicielów, przyjaciół i rodaków, dla redaktorskiego honoru, czci, sławy i kieszeni Bułharyna; nakoniec już nie wiem na co ciebie zaklinać, chyba na wdzięki i niewinność Loty pana profesora Łobajki (którą jeśli znasz), pośpieszaj z przysłaniem dalszego ciągu. Teraz cię ściskam serdecznie. Vale et nos ama.

J. Sękowski.

Drugi list styczniowy równie wywołuje sprawa recenzji Karamzina, sprowadzająca takie zakłopotanie powszechne. Widocznie namiętności przeciwnych stronnictw w Petersburgu były silnie rozniecone. Sękowski, tłumacząc się z powodu posądzania go o natarczywość niewczesną, podnieca zarazem dalej Lelewela, aby nie uważał na nikogo—i szedł naprzód. Lecz nie zaniedbuje mu zaraz dodać wiele znaczące: „Dosyć, że zwierzchność przyjęła twą pracę z zadowoleniem”.

Jaka doniosłość wszakże tej ostatniej uwagi—dziś tego dokładnie nie rozumiemy. Wiemy wogóle, że były to fatalne czasy dla wszelkiej myśli śmielszej, ale dlaczego właśnie nie osłaniano surową powagą historyografa cesarstwa—niełatwo pojąć; działały tu chyba względy personalne i koteryjne (patrz listy Bułharyna do Lelewela, Bibl. Warsz. 1877 r., zesz. 11). Co zaś do Sękowskiego osobiście—trudno tu nie zrobić uwagi, iż, zdaje się, owa jego stanowczość w tej sprawie niepomalu była warunkowana przez to, że właśnie była dobrze widziana przez „władzę”. Absolutny w swych usposobieniach, w zdaniach swych i sądach o ludziach i rzeczach, w swych stosunkach osobistych i społecznych—śmiały, bezwzględny, wyzywający—był on zawsze kornym czcicielem władzy, choć może niemym tylko; był legalistą swego rodzaju—ostrożnym, ogłędnym.

Prawdziwy „szubrawiec”, czcił szczerze i serdecznie, co

było rzeczywiście wyższe — zdolnościami, charakterem i zasługą. Czczył podobnie i Lelewela oraz naprawdę miał na sercu podniesienie jego sławy, którą też istnie „po szubrawsku” przyrównał do kolosu Memnona wśród jęczmienia w Egipcie, gniotąc tem porównaniem bez litości przypadłe do ziemi, jak jęczmień, głowy jego przeciwników północnych.

W tymże liście potrącona jest jedna naukowo-histeryczna kwestya, która oniemał że się nie stała jabłkiem niezgody pomiędzy dwoma naszymi znakomitymi i znanymi z oryginalności swej uczonymi — orientalistą i historykiem. Była to kwestya Lechów i pochodzenia szlachty polskiej.

Sękowski począł wypowiadać temi czasy — może w końcu r. przeszł. — głośno swe zdanie, tyle oryginalne, ile pełne paradoksalności w swej istocie, że szlachta polska i lud są zupełnie różnego etnicznie pochodzenia. Co więcej, oznaczał on nawet ściślej owo pochodzenie, nazywając je pierwotnie „tureckiem” — w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu. Utrzymywał następnie bowiem, że szlachta polska — były to szczątki barbarzyńskich hord, panujących w zamroczu wieków nad Słowianami, może Awarów, Obrów, których imię przechowało się dotąd na Kaukazie, podobnie jak imię Lehów, Lehzów, Lezgów, Lechów niby.

Uderzył wtedy weń za to, jako za zdanie arcy-heterodoksalne, taranem konserwatywnej powagi, Lelewel, tak namiętnie, jak na niego niegdyś samego, w zakresie gramatyki Jan Śniadecki — za „jotę”. Jak to było dawno — z listów właściwie nie wiemy.

Dość, że teraz dopiero poczyną się wobec jego zarzutów energicznie bronić nasz orientalista, obstając mocno przy swem zdaniu. Wprawdzie przyznaje się chętnie do pomyłki w użyciu nieodpowiedniem bardzo rozciągliwego na Wschodzie terminu, nazywając pochodzenie szlachty „tureckiem”; ale tem bardziej stanowczo twierdzi, że Lechy, nie

zaś Lachy, nie są wcale Słowianami i wskazuje na Kaukaz—ku Lezgom oczywiście. Rozpoczęła się tedy żartka polemika — niema i otwarta, uboczna i bezpośrednia.

Lelewel, który posiadał już wtedy własne o tym przedmiocie ustalone zdanie — a przytem młody wtedy i zapalczywy — czuł się poniekąd osobiście dotknięty podobnego rodzaju heterodoksyą w krainach wiedzy, gdzie on z całą słusnością mógł się mieć za najwyższego sędziego. Drażniło go to: jakby tu kto uderzał dłonią świętokradzką w same posady wspaniałej, organicznej budowy, jaką on już z całkowitej przeszłości Rzplitej w umyśle swym odtwarzał. Tak, drażniło go to: zaraz bowiem, nie czekając, porobił na samym liście Sękowskiego ironiczne luźne uwagi, jakie tam znajdujemy.

Niemniej widać i nasz orientalista musiał się czuć dotkniętym nieco poprzednią jakąś żartobliwą o Noem historyka uwagą; zakończył list sucho niezwykle między nimi francuskim „Adieu” — i obiecał nadesłać wkrótce specjalną o Lechach rozprawkę.

Petersburg, 1823, 13 Stycznia.

Szanowny Panie Joachimie. Zmartwiło mię niezmiernie, żeś wziął za natarczywość moją, co było skutkiem niespokojności Bułharyna, nie wiedzącego, czy myślisz dalej ciągnąć twą recencyę, gdyż żadnej od ciebie nie było wiadomości. Zdziwi cię to zapewne, pamiętając, żeś do mnie pisał o tem 10 Listopada, gdzieś powiedział, że będziesz dalej pracować, żeby ci tylko dać czasu i mieć cierpliwość. Ten list był dostatecznym zapewne dla uspokojenia Bułharyna, gdyby był mnie doszedł. Lecz szanowny Poklus, który tak pilnie dokładności drugich postrzega, sam się haniebnie w tej sprawie poszkapał. List twój, Szanowny Panie Joachimie, pisany 10 Listopada, odesłał mi z Wilna 31 Grudnia, a ten doszedł rąk moich 7 Stycznia, w tenże dzień co i twój do Bułharyna pisany. Ojciec Poklus, chcąc swoją

omyłkę pokryć, prosi na wszystko, żebym ci nic o tem nie mówił; lecz tego uczynić nie mogę dla własnego usprawiedliwienia się; gdyż to zatrzymanie listu było powodem, że Bułharyn niespokojny, zaangażowawszy swe słowo tutejszej publiczności, haczył mię i co poczta przychodził i siedział nademną, żebym koniecznie pisał z przypomnieniem.

Pytałeś u mnie wtenczas, czy 9-y tom po francusku Karamzina wyszedł z druku. Odpowiedź—jeszcze nie skończono tłómaczyć. Lecz ośm tomów gotowych; Bułharyn albo ci posłał na przeszlą pocztę, albo dziś wyszle. Co ci pisałem o autorze, to prawda wcale nieprzesadzona, ale na to niema czego uważać. Dosyć, że zwierzchność przyjęła twoją pracę z zadowoleniem. Wreszcie: *Tros Rutulusve effet nullo discrimine habe.* My twoją sławę tu trąbimy, która już stoi jak colos Memnona w pośrodku jęczmienia.

Dziękuję ci za udzielenie napisu około orła, znalezionego w Krzemieńcu. Jest on pisany literami kryptograficznymi, co było w 16-ym wieku bardzo w modzie na Rusi. Spodziewam się go wydecyfrować; lecz teraz zgubiłem klucz od biura, w którym go położyłem i dla tego nicem dotąd nie zrobił. Podobny napis na dzwonie w Moskwie ogłosił Bułharyn w swym Archiwie Nr. 22 roku przeszłego. Cudem odkrył jeden podporucznik klucz tego napisu. Zaczął szukać słowa: „kołokoł, Boharodica” i t. d., i znalazłszy, doszedł reszty. Tu trzeba podobnie szukać wyrazów „korol”, „Litwa”, „kniaź” i t. p. Ja rozumiem przez domysł tylko, czy nie jest to herb Witolda.

Co się tyczy Lechów i ich pochodzenia od Turków, wyznaję, żem się omylił, używając wyrażenia bardzo wschodniego. Arabowie nazywają Turkami Chakańskimi wszystkie narody, które około pierwszych wieków (przed i po) Ery naszej składały sławne państwo Chakana Turańskiego, chociaż te nie były z pokolenia Tiurkmenów, ni Tiurków. Lecz że Lechy, nie zaś Lachy, nie są Słowianie czy Szłowaki, przeciwko temu zanoszę oświadczenie do grodu, bo

dotąd znajduje się na ziemi naród, który się nazywa w swoim języku Lech, nosi ubiór bez najmniejszej różnicy polski (1) (we frakach, surdutach, granat z karmazynowym kołnierzem), ma pryncypalne cechy charakteru, zgodne ze szlachtą polską, paznokci, brodawek, karku (2) i t. d. Za parę tygodni przyszlę wam o tem krótką rozprawkę, teraz robię słownik języka Lechów (3), najłatwiej go ułożę z Troca i słownika Lindego, z którego pokazuje się, że wyrazy właściwo-polskie, jak pan, kobieta, cham, kmiot, mózg, bizun, żupan, kontusz, czyżmy, czapka, topór i t. d. i t. d. są wzięte z tego języka, a nadto cała od *a* do *zeł* koniugacya słowa jestem, byłem, będę, ze wszystkimi czasami i zakończeniami. Nie sięga to dalej pierwszego wieku ery chrześcijańskiej, zatem nic tu niema do Noego, o którym mi piszesz, a którego ja mam równie jak ty za 4 litery. Adieu.

J. Sękowski.

Nad któremi to zdaniem Sękowskiego Lelewel sarkastycznie ponadpisywał na liście obecnym: 1, 2, 3.

Kwestya Lechów, ściśle naukowa, starożytnicza na pozór, potraçała wszelako mimowolnie jedną z bardzo żywotnych stron życia przeszłości. Rzeczpospolita dawna była społeczeństwem przedewszystkiem szlacheckiem, historia tego społeczeństwa była szlachecką wyłącznie, więc oczywiście kwestya początku historycznego szlachty, kwestya początku samego społeczeństwa niemal, nie mogła być obojętna dla każdego żywszego umysłu. Cóż dopiero dla Lelewela—obroncy samoistności rozwoju pierwotnych dziejów społecznych Polski z żywiołów wybitnie słowiańskich.

Dla Sękowskiego zaś była to jedynie kwestya prawdy historycznej, naukowej, oderwanej; tem powabniejsza dlań, tem bardziej go zajmująca, o ile, ze złośliwością humorystyczną zaklętego w jego duszy na wieki Szubrawca, mógł on śmieiej i bardziej niby uzasadnienie uderzyć na wiekową patryarchalną wiarę o sobie jego współziemian szlachty;

mógł się cieszyć ironicznie namiętne onych rozdrażnieniem; a nadto jeszcze—mieć zadowolenie, że się rzuciło myśl oryginalną, głęboką, w odmęt ówczesnych do najwyższego stopnia rozgorączkowanych badań starożytnych. Bystry umysł jego przenikał w ciemnej oddali wieków jasny promień istoty rzeczy; jako nie-historyk wprawdzie, nie miał on mocy wyosobnienia tego migającego przed jego oczyma światełka, mocy wyraźniejszego onego odznaczenia. Sękowski doławał się prawdy! W rozumieniu ogólnem, oderwanem genezy szlachty on nie błądził: z wielu innymi, co później nawet, po nim, wzięli się do głębszych badań tego przedmiotu, słusznie dopatrywał różnicy pierwiastku społeczno-etnologicznego Lechów od masy wieśniaczo-polskiej, szczero-słowiańskiego ludu. Ale, jak się to powszednio dzieje, z abstrakcyjnie surową, a wielce antyhistoryczną konsekwencyą, stawiał zaraz szlachtę polską ubiegłych dziejów jako prostych dziedziców — ze krwi — tych tam Lechów. Co więcej, jako orientalista, szukał on Lechów gniazda na Wschodzie. Znalazłszy zaś Lehów (Lezgów) na Kaukazie, obałamucony nadto uderzającym podobieństwem stroju, uzbrojenia oraz pewnych obyczajów szlachty dawniejszych — z takowymiż u ludów kaukaskich, i jakby nie wiedząc, iż przyszły one do nas późno już od Kaukazu przez Tatarów i Czerkasów, a choćby nawet wcześniej przez Połowców—stał mocno przy swem widzeniu rzeczy.

Doławiając się wszakże prawdy, jako nie wytrawny jeszcze historyk i etnolog, dotąd lingwista tylko nieprześcigniony, przedstawiał on w pomysłach swych słabe strony, łatwe przeciwnikom do zwalczania, bronią nawet mniej poważną. — Całej tej sprawie przyświadcza żywo długi list naszego orientalisty z początku kwietnia.

Widzimy stamtąd, iż Lelewel „sarkazmami i persiflażami” powitał w listach swych do Bułharyna zdania Sękowskiego o „tureckiem” pochodzeniu założycieli narodu polskiego, wypowiedane przezeń dorywczo w koresponden-

cyi z Kontrymem; na co teraz z widoczną goryczą utyskuje nasz orientalista.

Wetując nadto starożytnikowi za swoje, przypomniawszy wyrażone w jednym z dawniejszych jego listów zdanie, iż „Lechowie są Słowianami, i że przyszli od Chawalińskiego jeziora”, podnosi głos jako orientalista. Tłómaczy mu tedy czem jest właściwie „Chawały kioł”, dowodzi, że nad Kaspjskiem, Azowskiem i Czarnem nawet morzem nigdy przed VI-ym po Chrystusie wiekiem Słowian nie było, a że Lechowie stamtąd przyjść mieli—toć Słowianami być nie mogli. Mamy tu przytem wskazówkę, że i Leleweł początkowo nie był jeszcze stanowczo przejęty znanem powszechnie późniejszym swem co do Słowian i Lechów zdaniem.

Wreszcie o co innego w gruncie Sękowskiemu chodziło; zasadą jego rozumienia kwestyi, sprzeczną z powszechnem, podług niego, „uprzedzeniem”, było przekonanie, iż „nasza szlachta i chłopci są z dwóch osobnych zupełnie plemion”. Jako rozwinięcie tej głównej zasady przysłał on teraz Lelewełowi przed miesiącem skreśloną rozprawkę, zawierającą jego „Myśli o pochodzeniu szlachty polskiej”, wzywając go do zrobienia otwarcie odpowiednich uwag, aby „po przyjacielsku” między nimi przedmiot ten rozjaśnić, gdyż rozprawka w postaci swej zarysowej wcale nie była przeznaczona do druku. Pochlebiał sobie nasz orientalista, iż ziomek-historyk znajdzie w tem piśmie wiele nowych i ważnych postrzeżeń i wiadomości. Obawia się tylko, aby już nie stanęli w zapatrywaniu się na główny przedmiot na dwóch przeciwległych krańcach, jeśli jego przyjaciel i przeciwnik jest może — o czem on nie wie — „Sklavomanem”; bo on sam Słowian ma za „kpów”...

Co do ostatniego zdania — był to przedewszystkiem nieodzowny wpływ jego natury, istoty jego duszy samej, na wskroś, że tak powiemy, arystokratycznej, przepelnionej wstrętem dla wszelakiego demokratyzmu, ile w życiu otaczającym, tyle w historii. Stąd lekceważenie gminności sło-

wiańskiej, we wszelkiem możliwym znaczeniu tego wyrazu, lekceważenie zatem wogóle Słowian; następnie, powoli — powszechności własnego narodowego społeczeństwa; bardziej zaś jeszcze społeczeństwa, którego niepostrzeżenie zaczął nadal stawać się członkiem, a łącznie z tem — nieme uwielbienie wszelkiej siły istotnej, chociaż bez korzenia się przed nią poniżającego. Co wszystko, razem wzięte, poprowadzi go z czasem na bezdroża.

Sprawa ta Lechów wróci potem jeszcze raz na stół między nimi.

Tymczasem niezmordowana jest czynność umysłowa Sękowskiego na każdym polu. Nie marnuje czasu — pisze w tymże liście do Lelewela.

Postanowił on był opracować dzieło geograficzne, dotyczące nieznaney prawie wtedy jeszcze Azji środkowej, w zamiarze wydania onego po francusku pod tyt.: „Essai sur la géographie de l'Asie centrale”. Było to przedsięwzięcie nad siły ówczesnych uczonych: tylko ktoś, posiadający podobne Sękowskiemu zdolności nadzwyczajne, niezwalczoną energią młodzieńczą i żelazną wytrzymałość w pracy, pomijając już niepospolicie bogaty zapas wiadomości dawniej nabytych — mógł się poważzyć na coś podobnego. Przystąpił on też, dla należytego uzdolnienia się do tej pracy i naprawdę „strasznego”, jak sam powiada, do niej przygotowania, z wytężeniem sił, dla każdego innego niepodobnym prawie. Oto, jako prawdziwie poważny uczyony, pragnący mieć samodzielne wszędy w badanym przedmiocie zdanie, wziął się on, po swojemu, do gruntownego poznania języków dalszej Azji, nietylko mongolskiego i mandżurskiego, łatwiejszych dlań przez bliższe pokrewieństwo z tureckimi, lecz zarazem i chińskiego, który go wiele trudu kosztował, a nawet tybetańskiego. Tak uzbrojony dopiero, przystępował Sękowski do zgłębienia podrózpisarzy wschodnich we wszelkich azyatyckich językach, począwszy od arabskiego, a kończąc na chińskim. Widać bowiem, iż obeznał się on już

pierwej z georgijskim i armeńskim. Dla sanskrytu jednego, stającego się modnym wtedy w świecie filologii, był on i pozostał niewzruszenie prawie obojętny. Wracając zaś do zamierzonej przezeń geografii Azji środkowej — dzieło to, pomimo wszystko, skończone prawdopodobnie nie zostało.

Jednocześnie z olbrzymią tą naukową pracą prowadził nasz orientalista drugą — mniej trudną dlań może, jako należycie oddawna już do niej przygotowanego, lecz dla nas ważniejszą. Przesłał on już był właśnie, przez Niemcewicza, Warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk pierwszą część swego, tyle głośnego potem, dzieła p. t. „Collectanea z dziejopisów tureckich rzeczy do historii polskiej służących” — i był zajęty wygotowaniem dalszego ciągu onego. Za co też... został następnie, w tymże roku, wybrany na członka Warsz. Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Pracował również niemniej pilnie i nad językiem rosyjskim dalej. Jako bystry lingwista, przyswajając sobie ten język, odkrywał on w nim zarazem niedostrzeżone dotąd przez specjalnych gramatyków właściwości i prawa. Uwag swych zaś udzielił potem znanemu literatowi rosyjskiemu Greczowi, który je spożytkował z wdzięcznością w dziele swem „Prostrannaja russkaja grammatika” (Gramatyka obszerna), wydanem w następnym zaraz roku (1824).

Petersburg, 3 Kwietnia, 1823.

Szanowny Panie Joachimie! Pamiętasz zapewne o tych sarkazmach i persyflażach, któremiś napełniał swe listy do Bułharyna, z powodu obiecanego przezemnie pisma o tureckiem pochodzeniu założycielów narodu polskiego. Chwytałeś mię za słowa, które dorywczo, w listach do Kontryma, wyrażałem, tak dalece, żeś użył pomocy jakiegoś, jak powiadasz „szubrawca”, żeby robić nad niemi uwagi. Nie chcę się nawet domyślać, ktoby był ten szubrawiec, lecz powiem, że czyniąc takie uwagi nie w swoją rzecz wdał się, i lepiejby daleko był uczynił, żeby podług szubrawskiego

zakonu chował był powagę i milczenie, a nie „avito polonico more” na wpół dosłyszawszy, rzecz całkowicie przekręcał. Lecz mniejsza o szubrawca; ja zawsze będę rozumiał, żeś WPan, Szanowny Panie Joachimie, chciał mnie ukłóć z swej strony, zadając sobie pracę przepisania (do cudzego listu) tych szubrawskich uwag. Nie wiem czy to jest najwłaściwszy i najskuteczniejszy środek zachęcenia kogoś do pracy; wiem jednak, że mię to bynajmniej nie zraziło i pomimo wszystkich ataków, dalej prowadziłem moją pracę.

Lecz ponieważ przystępujemy teraz do rzeczy, pozwól mi nawzajem uczynić niektóre uwagi nad swoim listem, którymeś prawdziwą przyjemność uczynił mi, pisząc przed kilką miesiącami. Tam wyraziłeś, że Lechowie są Słowianie i że przyszli od Chawalińskiego jeziora. Nie wiem, co rozumiesz przez Chawalińskie jezioro; ja przez to nie mogę nic innego rozumieć, jak morze Kaspijskie, Chawały kiol, które dotąd to nazwisko nosi u hord okolicznych, zowiących także Wołgę Chawa, albo Chawały czay, to jest rzeką Chawa-ską. Nad brzegami Wołgi i morza Kaspijskiego jest kilkanaście miejsc znajomych, noszących nazwiska Chawalinskow, Chawały, Kioy i t. d. Wiem jednak, że niektórzy nasi pisarze, nawpół dosłyszawszy to nazwisko, dawali je morzu Azowskiemu, najnieśluszniej i najśmieszniej, gdyż to ostatnie zawsze się nazywało i nazywa Siwas, Siwas denize i t. d., nie zaś Chawały. Nie wiedząc zapewne o tej okoliczności, użyłeś wyrazu Chawalińskiego jeziora na oznaczenie morza Azowskiego, gdyż wolę raczej rozumieć, że chcesz wyprowadzić Słowian od morza Azowskiego, niż od Kaspijskiego. Teraz pytanie całe na tem zależy, na jakich dowodach historycznych opierasz swe dowodzenie, że się Słowianie kiedykolwiek przed 6-ym wiekiem znajdowali w bliskości nawet Czarnego morza.

Wszystkie okoliczności sprzeciwiają się temu. Scytowie nigdy nie byli Słowianie, Grecy z razu nazywali Scytami Ekidaj, naród jeden galski, czyli celtycki, który się Skiot

nazywał; potem nazwisko to używane było na oznaczenie pokoleń ugrskich, nakoniec ostatecznie zastosowane było do Turków i Mongołów. Sarmatowie Tacyta, Pliniusza i Amm. Marcelina nie byli także nigdy jak żyją Słowianami. Całe morze Czarne na północ i Azowskie, oraz Wołga i morze Kaspijskie, oblężone były od wieków samymi narodami ugrskiego, tureckiego i kurckiego plemienia i nigdy pomiędzy nimi żadnego Słowianina nie bywało. Jakimże sposobem Lechowie Słowianie mogli przyjść ztamtąd? Jeżeli tylko Lechowie przysli od morza Azowskiego, to nie byli nigdy Słowianami. Wreszcie nie potrzeba długiego między nami dowodzenia, dosyć jest pozbyć się cokolwiek uprzedzenia, żeby się przekonać, iż nasza szlachta i chłopci są z dwóch osobnych zupełnie plemion. Oto jest cała zasada mego rozumienia, którą starałem się rozwinąć.

Kontrym nasz przy tym liście odda ci, Szanowny Panie Joachimie, moje myśli o pochodzeniu szlachty polskiej z dwoma dodatkami. Chciej je łaskawie, bez uprzedzenia, i z tem zobojętnieniem się przeczytać, o jakim tyle tak dobrze w drugim artykule krytyki Karamzina pisałeś. Uprzedzam, iż to jest pisanem od pierwszej ręki i nie jest wcale przeznaczone do druku. Chciałem tylko dla siebie napisać osnowę przyszłej pracy, bo kiedy rzecz jest napisana, łatwiej objąć i pomiarkować z sobą wszystkie jej części. Te to „canevas” polecam twej uwadze; chciej mi przysłać swe uwagi na to bez najmniejszej ogródki, bo z tego jak nie szukam sławy, ani chluby, tak je przyjmę z prawdziwą wdzięcznością. Warto jest ten przedmiot po przyjacielsku między nami objaśnić; ja powtarzam to raz jeszcze, że tego drukować nie myślę, że to jest tylko osnowa przyszłej książki, z której sam z czasem będę mógł wiele odrzucić, przydać lub odmienić. Musisz mi darować najprzód, że nie jest na czysto przepisana, bo w Petersburgu niema polskich kopistów; sam zaś, chociaż spodziewałem się to uczynić, lecz mi tego nie dopuścił natłok zatrudnień. Miesiąc cały przeleżało u mnie to pismo,

czekając przepisania, lecz nigdy na to czasu nie mogłem wybrać.

Daję na tydzień cztery lekcye arabskiego i tureckiego po dwie godziny, i sam biorę podobnież cztery chyńskiego i mandżarskiego, w których, jak mogę się już pochwalić, znakomicie postąpiłem, oraz mongolskiego; te dwa ostatnie daleko są lżejsze dla mnie, przez swe podobieństwo z tureckim, lecz chyński dotąd zajmował mi dni i nocy; teraz mogę już z pewną łatwością go czytać. Chcę cię uwiadomić o powodach tego straszliwego przygotowania. Oto zacząłem pracować nad: „Essai sur la géographie de l'Asie centrale”, które piszę po francuzku. Do tego chcę zebrać wszystkie wiadomości z naszych średniego wieku wędrowników, pisarzów arabskich, perskich i tureckich, oraz chyńskich, mongolskich i mandżarskich. Mam środki do uczenia się po tybetańsku, lecz tu nie ma książek; jeżeli zdarzy się mi co nabyć, będę jeszcze uczył się i tego języka. Przytem w dzień kontynuuję zaczęłą pracę: „Collectanea z dziejopisów tureckich rzeczy do historii polskiej służących”. Pierwszą część tego posłałem już dawno Warszawskiemu Towarzystwu przez Niemcewicza; zawierała wojnę Warneńską i wyprawę do Galicyi za Jana Alberta. Teraz kończę już co się ściąga do wojny Mołdawskiej i oblężenia Chocima przez Osmana. Widzisz więc, że nie marnuję czasu.

Pisząc te myśli do ciebie, nie mogłem mieć czasu robić tego z długimi cytacyami; pisałem więc to zupełnie z pamięci, którą na szczęście mam dość dobrą; ponieważ pisałem dla tego, który także ma całą rzecz w pamięci. Niedostaje tu dwóch jeszcze rysunków, to jest uzbrojenia Kurda, które dałem Smokowskiemu do przerysowania, oraz rycerza polskiego XV wieku. Nawa teraz puściła, mosty są zwiedzione; a tak chyba za parę tygodni będę się mógł widzieć ze Smokowskim, mieszkającym na Wasilewskiej wyspie. Spodziewam się, że on je skończy tymczasem. Potem je nadeszłę, teraz śpieszę przez pana Jelskiego posłać to

pismo, które i tak u mnie przeszło miesiąc przeleżało. Na ten raz dosyć cię uprzedzić, że uzbrojenie Kurda jest zupełnie we wszystkich częściach i ozdobach toż samo, jakie tu na drugim rysunku jest wyobrażone. Kaszkiet, włosy, karacena, naramiączki, zbrojne rękawice, fartuszek z kolczugi, ani na włos nie różnią się z sobą. Przetoż do zrozumienia tego pisma dosyć jest wiedzieć o tej okoliczności; potem będziesz mógł sam to widzieć. Chcę jeszcze dla pokazania jednostajności zbroi, przyłączyć rysunek uzbrojenia partskiego z kolumny Trajana.

Rozumiem, iż w tem piśmie znajdziesz wiele nowych i ważnych postrzeżeń i wiadomości. Chociaż Lehowie nasi zdają się mieć nieskończenie wielkie podobieństwo fizyczne, moralne i historyczne z narodem Lehów, mieszkających dziś na Kaukazie, trzymam jednak mocno za tem twierdzeniem, gdyż są obok nich i inne ludy, które się wcale mało od nich różnią. Rzecz jednak zdaje mi się być więcej niż pewną i jasną, iż taki naród nie mógł wyjść jak z międzymorza Czarno-Kaspijskiego.

Wszystkie uwagi, które będziesz łaskaw mi udzielić, przyjmę z prawdziwą wdzięcznością. Wiem na jakie się niebezpieczeństwo podaję, pisząc rzeczy, zapewne odmienne i sprzeczne, i posyłając je temu, który już w tymże samym przedmiocie pisał rozprawę. Lecz pochlebiam sobie, iż złe skutki podobnej nieroztropności nie wynikną z obecnego przypadku, gdyż wiem, że lubisz prawdę, i że dla jej miłości gotów jesteś odstąpić własnych, którebyś już napisał lub wydrukował, mniemań. Ja z mojej strony, nie uganiam się wcale za tem co mówię, i podobnie gotów jestem odstąpić mego mniemania, skoro mię tylko inaczej przekonasz.

Żałuję bardzo, że nie znam twych, Szanowny Panie Joachimie, dysertacyj o Słowianach, ani wiem zupełnie twych w tym przedmiocie wyobrażeń; jedną się tylko rzeczą może niepotrzebnie zastraszam, to jest, iż być może, żeśmy się

okropnie rozminęli, a może nawet wpadli w dwie przeciwne ostateczności.

Można znaleźć jednak przywoity w tem środek. Cóżkolwiekbyś, jeżeli utrzymujesz, że Słowianie przyszli od morza Azowskiego lub Czarnego, ja tego skrywać ci nie chcę, że znajdziesz we mnie stałego przeciwnika i gotów jestem walczyć do ostatniej kropli mego atramentu, wystawic całą arabską, turecką, perską, georgiańską i armeńską artylerją, żeby Słowian ani blisko do morza Azowskiego ani Czarnego nie dopuścić; gdyż o tem więcej jestem przekonany, jak „de la légitimité”, za którą teraz ma się bić 100,000 Francuzów.

Rozumiem, iż w dodatku pierwszym i drugim znajdziesz niektóre uwagi interesujące; miej tylko cierpliwość przeczytać; a najbardziej proszę

O zobojętnienie się!

Co się tyczy napisu kryptograficznego, któryś mi przysłał, przyznam się, że nie mam dość cierpliwości; pracowałem nad tem kilka godzin, ale nic nie wydobyłem; przetoż dałem go biegłemu decyfratorowi naszego kolegium Spraw Zagranicznych, który obiecał mi uczynić tę przysługę; kiedy co zrobi, przyszlę Wam.

Proszę szczerze wierzyć, Szanowny Panie Joachimie, że Cię wysoce szanuję i że nie masz lepszego w świecie nademnie przyjaciela.

Chociaż zamiana byłaby bardzo nierówna, wielką byś mi jednak uczynił przyjemność, żebyś mi raczył przysłać wąs rozprawę o Słowianach do przeczytania, a ja nazad ją przez pocztę odeszlę. Rozumiem, że przynajmniej wyrazu „Polak” od „poła” wyprowadzać nie będziesz, bo już taka etymologija nie przystoi na wiek XIX.

Prawdziwy Wasz przyjaciel i sługa

Sękowski.

PS. U Kazimierza możesz Pan widzieć krótkie opisanie Polski, wyjęte z jednej chyńskiej jeografii.

Widać, że je lepszy pisał szubrawiec od tego, który komponował uwagi na mój list. Altro che minchionerce!

Rok 1824 rozpoczął Sękowski obszerną korespondencją znów przeważnie naukowej treści.

Niez mordowany to umysł — bardziej jeszcze podziwu godna praca jego wysiłona, ku tylu przedmiotom jednocześnie zwracająca się.

Poważny też historyk narodu coraz wyraźniej jako powagę uczoną go traktuje. Czy przyznał słusność przeszłorocznym jego radom praktycznym — to rzecz inna: wiemy powszechnie, że energiczny ten młodzieńczy wileński profesor historii, jak o tem wciąż żywa legenda powiada, używał bardzo wymownej mimiki przy swych wykładach, ale to było dalekiem bardzo od nastrajania się na ton opatrnościowy. Lecz z drugiej strony za to, on, pierwsza powaga wtedy w rzeczach, dziejów przedewszystkiem ojczystych dotyczących, poddaje szczerze rozprawy swe o Słowiańszczyźnie pod sąd tego, ledwie 25 lat życia dochodzącego, autorytetu; orientalista nasz wszakże nie przecenia swych sił: otwarcie wyznaje, co mu niedostatecznie jest znane, nad czem mniej pracował; o co zaś potrąca krytycznie — warte zapamiętania na zawsze w nauce i piśmiennictwie.

Tak — wyjaśnia on rzeczywiste znaczenie używanej często przez wschodnich pisarzy nazwy „Saklab” i uprzedza, że ona wcale nie zawsze Słowian oznacza. Przestroga orientalisty niezbędna dla naszych badaczy historycznych po wszystkie czasy — gdy tu tak łatwo o mimowolny błąd gruby, jakiemu bodaj czy po części nie uległ nawet Szajnocha, w szkicu swym „Słowianie w Andaluzyi”. Badał zaś przedmiot ten Sękowski porządnie, bo, nie wiedząc nic o rozpoczętej pracy Fraehna, tak dziś zaszczytnie znanej w uczo-
nym świecie, bawiąc na Wschodzie, gromadził sam rozproszone u pisarzy arabskich wiadomości o Słowiańszczyźnie.

Gotów on był równie zaniechać i dalszy ciąg swoich

Collectaneów z pisarzy tureckich do dziejów Rzeczypospolitej, których część pierwszą gdzieś mu był Niemcewicz zawieruszył „avito more polono” — jak po swojemu w liście powiada, łącząc gniew z głębokim sarkazmem.

Nigdzie on też nie zdolen powstrzymać natury swej prawego Szubrawca. Ileż prawdy, a zarazem pełnej humoru ironii w jego uwagach nad kwestyą przywołania Russów do Nowogrodu, jaka istnieje szubrawska złośliwość w przytoczeniu tłumaczenia się Karamzina: „que c'est plus noble” ta przyjęta przezeń legendarna wersja przyjścia Waragów. Choć zawsze odzywa się zeń jeszcze wybitnie człowiek, co sam tradycją rodzinną żyje. Domniemanego agitatora, który przywołał Russów do swobodnej Rzeczypospolitej północnej, nazywa on „Szczęsnym dziewiątego wieku”.

Niezachwianie też podnosi wszędy przy okolicznościach, wysoko, powagę uczoną, powagę prawdy naukowej i jej kapłanów; na razie więc — powagę Lelewela wobec jego dyletanckich w stolicy północnej przeciwników.

Petersburg, 5 Stycznia 1824.

Szanowny Panie Joachimie. Dotąd nie miałem czasu obszerniej pisać do pana z powodu moich zatrudnień, które w trzech pierwszych miesiącach tak się nawaliły były, że po całych tygodniach z krzesła nie wstawał. Teraz cokolwiek swobodniejszego mam czasu, choć bardzo mało, i za najpierwszą przyjemność, jaką w odetchnieniu znaleźć mogę, poczytuję obowiązek pisania do pana. Pozwól mi sobie naprzód uczynić tysiąc podziękowań i razem wynurzyć moje niemałe zadziwienie, choć bardzo pochlebne dla mnie, nad tem, iż mnie czynisz sędzią swoich prac prawdziwie pięknych i uczonych. Mogłeś bardzo dobrze z samego wiedzieć początku, iż, żądając względem nich mojego zdania, zmuszałeś mnie tylko do poniewolnego uwielbienia swych badań i zdrowej krytyki, którą świetnie rozwinąłeś w trzech rozprawach mnie nadesłanych. Z drugiej strony, ja nigdy szcze-

rze i pilnie nie zajmowałem się dawną Słowiańszczyzną; co czytałem w tym przedmiocie, nie było to podług pewnego i stałego układu, którybym zakresił sobie przystępując do tego czytania, lecz w różnych czasach jak się zdarzyło, i jak wolne pozwalały chwile; raz jeden tylko zająłem się był tym przedmiotem pilniej, lecz to było za granicą i w krajach, gdzie mało ku temu znaleźć można pomocy, a to z powodu rozsianych wiadomości w różnych podróży i ziemio-pisarzach arabskich o Słowiańszczyźnie w IX, X i XI wiekach. Było wtenczas moim zamiarem zebrać te wiadomości i ułożyć je systematycznie, bo bardzo wiele zamykają w sobie ciekawych rzeczy o kraju Rus, który u arabskich owych wieków pisarzy oznacza prawdziwych Słowian, gdyż Saklab, chociaż jest wyrazem zrobionym z byzantskiego Σκλάβος, później daleko był przez Arabów zastosowany do tego narodu. Wielu orientalistów, uwiedzionych tem nazwiskiem i nie dając baczenia, że dawni Arabowie nazywali tem imieniem ludy zupełnie im obce, nabajali śmieszności aż nadto. Większa część podróży-pisarzy i geografów arabskich kładli Saklabów w Syberyi i nazywali ich Turk; dodając, iż mówią językiem spólnym z innymi Turkami hakańskimi. Powodem do tego było, iż znając Bulgarów nadetelskich, którzy byli Turk, stosowali do nich imię Saklab, Sklav, dawane od Greków Bulgarom zesłowaczonym naddunajskim. Chciałem wtenczas wyjaśnić te i bardzo wiele innych okoliczności; starałem się zbierać i wypisywać do tego materiały; lecz za przybyciem mojem do Petersburga, zaniechałem tej pracy, znalazłszy, iż akademik Fraehn zajmował się tymże samym przedmiotem już od lat kilkunastu i że zaczynał drukować swą książkę w tym przedmiocie (która dotąd jeszcze jest w druku), przekonany, iż ten uczoney orientalista tysiąc razy lepiej to zrobić odemnie potrafi. Otóż masz moją słowiańską spowiedź.

W Petersburgu zająłem się zebraniem z historyków tureckich rzeczy do historii polskiej służących i pierwszy

tomik tego rękopismu posłałem Niemcewiczowi, prosząc go, żeby drukował; lecz ten szanowny Polak, avito more polono, stracił mój manuskrypt, jak się teraz dowiaduję. Ta okoliczność niezmiernie mnie zmartwiła, gdyż nie zachowałem dla siebie brulionu. Cenzura warszawska, jak pisał, nie zezwoliła na drukowanie; mógłbym więc znaleźć drukarza we Wrocławiu. Przyznam się, że tej pracy mocno żałuję, gdyż wojna pod Warną, która się tam znajdowała, kosztowała mnie i trudu wiele i wiele ciekawych bardzo zawierała szczegółów. Lecz dzisiaj, po stracie tego rękopismu, nie mam odwagi przepisywać na czysto dalszego ciągu tej pracy. Zrobisz mi, panie Joachimie, wielką przyjemność, jeżeli zechcesz napisać do Niemcewicza, prosząc go, żeby wyszukał ten rękopism i przysłał go tobie dla twej ciekawości. Może się poruszy starzec; ja gniewam się seryo nań za tę niedbałość i więcej mu o tem pisać nie chcę.

Przy swobodniejszej chwili, pozwolę sobie przesłać ci, szanowny Panie Joachimie, niektóre moje uwagi nad temi trzema rozprawami, nie dla tego, żeby one miały jakąkolwiek wagę, lecz żebym się sam nauczył i objaśnił w niektórych moich wątpliwościach.

Co się tyczy twej krytyki na Karamzina historję, czytałem dwa twoje ostatnie artykuły i niezmiernie cieszyłem się tem czytaniem, gdyż, muszę to na pochlebstwo dla siebie napisać, sam też same właśnie miałem o tem wyobrażenie. Jedna tylko rzecz, której mocniej w ostatnim niż w pierwszym artykule dotknąłeś i bliżej przystąpiłeś do mego o tem pojęcia, nie zdaje mi się być ad amussim wyłożoną, a to jest, iż dajecie wszyscy wiele wagi twierdzeniu Nestora o wezwaniu Waragów. Ja z trudnością pojmuję tę okoliczność, a nawet jej pojąć nie mogę; gadałem o tem kiedyś z samym Karamzinem i on jest niedaleki od mego zdania, chociaż mi powiedział, że dla tego dał pierwszeństwo powieści Nestora nad zdrowy sposób pojmovania tego wypadku „que c'est plus noble”. Jakkolwiekby, to niepo-

dobna, żeby naród cały, korporacja cała, dbająca o swe dobro i taka, w której jest wielka część osób, które powinny koniecznie strawić wiele i być ofiarą nowego rządu, mającego na celu sprzyjać tylko sprzyjającym sobie, mogła dobrowolnie i rozmyślnie wzywać naród łotrowski, żeby nią rządził. Byłoby to toż samo, co wzywać rozbójników, żeby ich obdarli; a to jeszcze wtenczas, kiedy znano dobrze, co byli za ludzie ci Waragi, których niedawno wypędzono jako okrutnych najezdników. Przykład, który przytaczasz Obojga Sycylii, jest bardzo szczęśliwy, lecz nie maluje dokładnie niejednostajnych okoliczności. Włosi i Sycyljanie nie byli wprzód trapieni najazdem Normandów i nie znali ich inaczej, tylko jako „preux chevaliers qui combat tent le Sarazins”, przetoż bez obawy mogli wezwać ich pomocy; lecz Słowianie wiedzieli jednak dobrze, że Waragi nie przychodzą jak mówią „pour les prunes”, czyli jak mówią Krywicze „pa hruszy dabrodzieju”. Ja rozumiałbym więc, że to przyzwanie zrobiło się wtenczas, kiedy już Waragi byli przyszli, podobnie jak Ludwik XVII, o którym Francuzi zapomnieli byli, że żyje na świecie, znalazł łatwo u pochlebców wyrażenie, sprzyjające swej dynastji i swojej légitimité, w tytule Louis le Désiré. My wiemy jako współcześni, że on był „le désireux” miasto „le désiré” i że to „désir”, podobnie jak przyzwanie Waragów, narzucone zostało przekonaniu narodu, który potem dla swego szczęścia uwierzył, że to tak jest. Jeżeli więc cała powieść o tem przyzwaniu nie jest w rodzaju epitetu „le Désiré”, rozumiałbym, co mi się zdaje być podobniejszem do prawdy, że po wygnaniu Waragów, partya jakaś w Nowogrodzie i zapewne partya Waragów, która się sama przez się utrzymać nie mogła, wezwała tych Waragów, dla odniesienia góry nad swymi przeciwnikami, a przetoż to wezwanie, które zapewne ów Nowogrodzianin intrygant w swoim własnem imieniu i imieniu swych partyzantów był uczynił, nie ma nic szlachetnego, owszem jest wypadkiem podłej intrygi, na niszczenie własnej ojczyzny. Lecz i to jeszcze za wiele; gdyby Wa-

ragi wezwani tym sposobem przyszli i rząd spokojnie objęli, powinni byli przez grzeczność zachować imię narodowi, który ich wzywał; lecz widać, że wezwani przez tego Szcześnego dziewiątego wieku, przyszli i orężem zabrali kraj, któremu swoje imię za narodowe narzucili. Są to moje uwagi, których możesz nie czytać nawet. Wyrażam je, gdyż w tym jednym punkcie różnię się z tobą, panie Joachimie, w mojej opinii o Waragach i wszystkim tem, co wyraziłeś w swojej krytyce.

Są jeszcze dwie okoliczności dotyczące się twej krytyki, o których dobrze, abyś wiedział. Cytujesz tam często z pochwałami Łoboykę, to jest dobre na Wilno, lecz nie na Petersburg;—Łoboyko wyśmienity zkaładinad człowiek, przez swe etymologie i korzenie słów zasłużył nieco sobie na śmieszność w tem mieście; do tego mocno nawet przyłożył się Bułharyn sam z Greczem, obaj jego przyjaciele; lecz co gorsza na ten raz, że i Karamzin o tej śmieszności jest uwiadomionym, gdyż słyszałem go w roku przeszłym, drwiącego z Łoboyki etymologii i Szyszkowa prezydenta Ros. Akad., ruskiego Gibelin, z tą różnicą, iż tamten miał wiele dowcipu, ten zaś jest zupełnie bez tego dodatku. Rozumiem więc, iż przyzwoite będzie opuścić te cytaty, żeby autorowi nie dać temy do żartów. Twoja krytyka „fait fureur”. Tu tejsi czytelnicy jak się porodzili, nic podobnego nie czytali i wszyscy są w zachwyceniu.

Druga okoliczność jest ta: Błudow, litterateur du bon ton i przyjaciel Karamzina, lecz człowiek powierzchowny zupełnie, gotuje się odpisywać na twoją krytykę i będzie drukował to w „Otieczestwiennych Zapiskach”, nikczemnym zupełnie dzienniku, wydawanym przez Suźnina. Ponieważ bluzga wiele i przed panami uchodzi za mędrca, rozumie więc, iż jego jest obowiązkiem, odpisywać na twą krytykę; lecz uczyni to więcej dla tego, żeby utrzymał swe samochwalstwo i dowiódł nie swej uczoności, której nie ma, lecz swej przyjaźni ku autorowi i uwielbienia dlań, z którym

się zawsze odzywa. Ten jegomość jest zupełnie był wasz prezydent Chrapowicki. „Ils sont tous les deux du même genre”. Przetoż jeśli swą odpowiedź wydrukuję, o czem wątpię i rozumiem, że się skończy to na samochwalstwie, nie powinienes bynajmniej zważać na nią, ani odpisywać, ani nawet wspominać o tem, lecz dalej swą rzecz prowadzić, ponieważ nieprzyzwoitą byłoby uczonemu prawdziwie człowiekowi wchodzić w wojny z takim przeciwnikiem. Byłoby to siebie pospolitować i poniżać. To piszę dla twej wiadomości.

Wspomniałeś kiedyś o uczniach do języków wschodnich. Byłoby to bardzo dobrze, lecz odtąd jak u nas rzucono obelgę na waszą młodzież, że jest niebezpiecznym zarażona duchem, nie ma czego o tem myśleć. Możliwyby jeszcze samym najniewinniej popaść w podejrzenie. Trzeba to zostawić czasowi.

Pokłoń się proszę W-mu Onacewiczowi i Łoboyce i bądź nam przychylnym.

Sękowski.

Powoli począł się też Sękowski dzielić z publicznością owocami pracy swej niezmordowanej.

Zatracony przez Niemcewicza rękopis widać się wprędce odnalazł — w tym roku bowiem jeszcze wyszedł w Warszawie pierwszy tom głównego jego dzieła, pod tyt.: „Collectanea z dziejów tureckich rzeczy do historii polskiej służących, z dodatkiem objaśnień potrzebnych i krytycznych uwag, przez J. J. Sękowskiego”. Zawiera on w sobie, obok wstępu o historykach tureckich i ich wadze dla historii Polski i Rosyi: wojnę warneńską, najazd na Ruś Czerwoną 1498, wojny na Wołoszczyźnie, spory z Ottomanami z powodu kozaków i dziennik wojny chocimskiej. Niepospolitego to wcale znaczenia wiązka materyałów dziejowych, z tego powodu przedewszystkiem, że tu — „audiatur et altera pars”; mniejsza o pewien stopień słuszności zarzutów, jakie póź-

niej dzieło to, po rozejrzeniu się w niem głębszem, ze strony uczonych jak i szerszej publiczności spotkały.

W Petersburgu zaś wydał Sękowski w tymże roku, w języku francuskim: „Supplement à l'histoire générale des Huns, des Turks et des Mogols, contenant un Abrégé de l'histoire de la domination des Uzbèks dans la grande Bukhanie, depuis leur établissement dans ce pays jusqu' à l'an 1709, et une continuation de l'histoire de Kharèzm, depuis la mort d'Aboul-Ghazi-khan jusqu' à la même époque, par M. Joseph Senkowski”. Spożytkował on tu nieznaną dotąd w Europie perski tekst „Historyi Buhary”, niedawno przedtem z Turkiestanu przywieziony. Praca ta jego była powitana najpochlebniejszymi zdaniem w pismach uczonych Europy. S. De-Sacy poświęcił jej ustęp w „Journal des Savants”, K. Ritter korzystał z niej przy układzie swej „Erdkünde”. Nie poprzestając na uwagach głębokich, dotyczących treści wydawanych źródeł, wykazał tu zarazem Sękowski całe bogactwo swej erudycji filologicznej. Poprzedził on bowiem tekst własną przedmową w języku perskim i dołączył tłumaczenie swe tatarsko-dżagotajskich poezyi autora, również wierszami, na język turecko-osmański i arabski.

Nie dość tego, przepisał on w maju tegoż roku własnoręcznie z rękopisu jednego kupca buharskiego „Pamiętniki sułtana Babera”, które zamierzał potem wydać w oryginale i tłumaczeniu. A mimo to wszystko miał jeszcze czas przetłumaczyć kilka powieści wschodnich dla przyjaznego sobie Bestużewa do jego „Gwiazdy Polarnej”.

Wracając do Collectaneów, musimy tu zwrócić uwagę na pewien ustęp z Uwag, przy końcu tomu tego pomieszczonych, wybornie charakteryzujący moralny ówczesny stosunek Sękowskiego do Lelewela. Oto — wśród dotkliwych napadów na naszych dziejopisarzy wogóle, zwraca się on, przy okoliczności uwag jego o kozakach, których, nawiasem powiedziawszy, orientalista nasz jest bardzo a bardzo surowym sędzią, i do pana Joachima, prostując jego błąd jeden.

Lecz, w jakim tonie robił to — posłuchajmy: „Z nieśmiałością—powiada on (str. 226)—odważam się nadmienić o pięknem, lecz niedokładnem wyrażeniu jednego z najzasłużeńszych w naszej literaturze i obywatelskim zawodzie mężów, który dwakroć w wybornem swem dziele powiada, że sultan patrzył nieraz w gniewie z rozkosznych ogrodów swego seraju na zapalone od kozaków pod samym Carogrodem i dymiące się włości i grody. A — co właściwie było poetyczną pewnością jedynie — nie zaś faktem”.

Tymczasem w Wilnie następujące działy się rzeczy.

Ukazem najwyższym z dnia 14 września 1824 złożeni zostali z urzędu 4-ej profesorowie uniwersytetu: Lelewel, Bobrowski, Daniłowicz i Gołuchowski; oddalony od uniwersytetu Kontrym, adjunkt biblioteki; skazani na wygnanie 11-tu Filomatów i 9 Filaretów. Nowosilcow zaś został kuratorem uniwersytetu na miejsce księcia Czartoryskiego.

Lelewel wrócił do Warszawy.

Po liście poprzednim ze stycznia nastąpiła widoczna przerwa korespondencji pomiędzy naszymi uczonymi, historykiem i orientalistą, trwająca prawie rok cały. Sprawa uniwersytetu w Wilnie, destytucya i przenosiny do Warszawy, musiały wielce zmitrzyć Lelewela. Ale nie był to człowiek, którego energię mogłoby cokolwiek osłabić lub oderwać go od pracy. Ledwie swobodniejszy, przerywa on pierwszy milczenie i obdarza Sękowskiego nowymi owocami niestrudzonych swych badań. Pośrednikiem w tym razie był Daniłowicz, udający się zapewne po destytucyi do Petersburga. Jakaż radość serdeczna dla p. Józefa; czuć jakby co straconego odzyskał! W liście wszakże, pisany w odpowiedzi — ani słówka o niedawnych przejściach — treść tu ściśle naukowa, lecz pełna za to żywych bardzo, świetnych uwag.

Mniejsza co pisze o statutach (1449 i 1500 r.), wydanych świeżo przez Lelewela: są to uwagi specjalne głębokiego lingwisty. Ale złotemi, jak mówią, literami warto

wypisać to, co on wypowiada, z powodu wydanej przez Lelewela historii polskiej Wagi, o książkach elementarnych wogóle. Któż kiedy wypowiedział głębszą prawdę pedagogiczną, ze stanowiska moralno-estetycznego: „wielkie jest niebezpieczeństwo dawać dzieciom książki złym stylem pisane”. A jakież szlachetne oburzenie na styl Wagi: „żadnej potoczności polskiej, żadnego polskiego okresu”! Jak serdeczne nastawienie na Lelewela, aby w nowym wydaniu: „odlał styl na piękną i wytworną formę”. Czuć w tem mile ucznia Śniadeckich — kapłanów nieskalaności rodzimego języka — i żal bierze, że też nam północ potem takiego pracownika zabrała.

Lecz w innym miejscu czuje się się mimowoli, że to ktoś, w kim się powoli zaciera tradycja. Tłómacząc historykowi nie-oryentaliście znaczenie urzędu Wielkiej Porty „reis-efendi”, w użytym porównaniu „u nas” wcale nie na porządku starej Rzplitej wskazuje.

Tymczasem przygotował był Sękowski i drugi tom swych Collectaneów do druku w Warszawie. Co za radość: sam Leleweł ma prowadzić onych korektę; a więc w uniesieniu, szczytne szubrawskie wezwanie proroka, aby zlał na niego wszystkie swe dary! Występuje z góry jedynie przeciw „jezuickiemu” dwukropkowi i rozmazanemu szeroko w naszej pisowni „szcz”, błagając go o wyrzucanie środkowego z, czego zasadę lingwistyczną miał później wykazać. Czy jednak wykazał ją gdzie — nie wiemy; wiemy tylko, iż później przeprowadził ją, mocą, w pisowni rosyjskiej.

Witając Lelewela pierwszym na nowo listem w Warszawie, pyta o dawnego dostojnika towarzystwa Szubrawców „ojca Gurcho”, Fr. Grzymałę, który wciąż widać milczał uporczywie i nic do dawnego towarzysza z „Wiadomości Brukowych” nie pisał. Był to jednak niezawodnie serdeczniejszy dawniej naszego orientalisty stosunek.

9/21 Grudnia 1824.

Szanowny i kochany Panie Joachimie; nie możesz sobie wyobrazić, ileś mi sprawił przyjemnych uczuć twą łaskawą pamięcią. W-ny Daniłowicz oddał mi twój uprzejmy list i wyborne twe prace, za które nieskończenie ci dziękuję. Jeszczem nie miał czasu czytać je z tą uwagą na jaką ze wszech miar zasługują i tylko przerzuciłem je powierzchownie; lecz muszę ci napisać, jakie pierwsze wrażenie zrobiły na mnie.

Przebiegając statuta koronne, nie mogłem sobie przekonać, żeby te dwa języki różniły się tylko o lat pięćdziesiąt. Są to zupełnie dwie różne mowy, które zaledwo w przeciągu jednego wieku utworzyć się mogą; inne znaczenia wyrazów, inne formy gramatyczne, inna składnia a nawet i postać tychże wyrazów zgoła; albo ten, który odnosicie do 1449 r. jest dawniejszy, albo co ma datę 1500 roku jest przynajmniej pięćdziesiąt laty późniejszy. Bo to niepodobna, żeby tenże sam człowiek mówił w swej młodości: „i tego dla niktey sprawił jest cirekew”, a koło szóstego krzyżyka powiadał: „i dla tego nikt nie wystawił kościoła”. Ja uważam, że w tekście 1449 r. język nie różni się wcale od wydanego niedawno w Warszawie modlitewnika królowej Jadwigi, a tekst r. 1503 jest zupełnie podobny do języka Kochanowskich co do form i znaczenia wyrazów. Może też, jeżeli będziesz mógł, szanowny panie Joachimie, wydasz do tego jakikolwiek dodatek, w którymbyś oba teksty przepisał dzisiejszą pisownią, bo bez tego porównanie obu języków tylko dla tych jest podobne, co są w stanie odłączyć wymawianie od pisowni dziwacznej i zagmatwanej. Wszakże „pssisyantk” i „przysioł” wymawiają się jednostajnie: przysiął, ustraszyl i ustracił, brzmia i brzmiały jednako; lecz nie uczeni — raz że pół słowa nie wyczytają, drugi raz — że będą rozumieć, że i tu nawet zachodzi jeszcze różnica. To są uwagi moje bardzo ulotne, które mogę odwołać za pilniejszym rozpatrzeniem się w przedmiocie.

Co się tyczy Wagi, wielką zaiste uczyniłeś mi przysługę, wydając tę historję, lecz żałuję nieskończenie, żeś miał tyle uszanowania dla jego stylu i żeś „transverso calamo”, jak mówi Horacy, twą Arystarchową powagą, nie poprawił jego grezmołstwa. Wszakże to styl tak haniebny, tak niegładki, nie polerowany, bez wdzięku, bez potoczności, słowem, tak gburowaty i prostacki, że nie można czytać go bez dławienia się na każdym przecinku. Żadnej potoczności polskiej, żadnego polskiego okresu. Mojem zdaniem, książki elementarne powinny być pisane stylem bardzo poprawnym, gładkim i eleganckim (nie rozumiem przez to wyniosłym ani górnym). Pamiętam, że chodząc do gimnazyum, Waga był dla nas prawdziwą klęską; nigdyśmy się nie mogli przewyciężyć do niego, wtenczas kiedyśmy z zapalem uczyli się na pamięć po kilkadziesiąt kart wymowy Piramowicza i prawa Strojnowskiego, a całą przyczyną tego był styl okrągły i potoczny tych ostatnich, a cierpki, chropowaty i niezgrabny pierwszego. Mnie się zdaje, że wielkie jest niebezpieczeństwo dawać dzieciom książki złym stylem pisane, bo nabierają złego smaku, którego potem nawet udoskonalić nie umieją, gdyż dotąd nie mamy żadnego dobrego traktatu o stylu i peryodzie polskim, żadnego słownika trudności językowych (jakich jest kilka wybornych we francuzkiem), żadnego dzieła o pięknym sposobie pisania. Zrobisz prawdziwą przysługę, jeśli przy nowem wydaniu, które jak słyszałem masz in petto, odlejesz styl Wagi na piękną i wytworną formę.

Ale, ale! ponieważ jestem z profesyi Turek, pozwól mi sprostować jeden błąd w twojem wydaniu Wagi. Na stronicy 368, natrafiam przypadkiem: Od Porty był reis-efendi, czyli kanclerz wielki turecki i wezyrowie Mitipey i Mustafa-Efendi”. To nazwisko Mitipey, tak jest barbarzyńsko zepsute, że nie ma na całym Wschodzie nic nawet podobnego do tego wyrazu, co też właśnie uderzyło mnie bardzo, i dało ciekawość do wyszukania, z jakiego też

wyrazu może być przekręcone. Nadto całe wyrażenie jest okropnie błędne: reis-efendi nie jest wcale wielki kanclerz, bo u nas wielki kanclerz jest pierwszy minister, kiedy przeciwnie reis-efendi nie jest nawet członkiem dywanu; jeżeli można do czegokolwiek u nas przystosować ten urząd, tedy najlepiej odpowiada on tytułowi sekretarza stanu (*secrtaire d'état pour les relations exterieures*). Powtórę jest sprzeczność haniebna w wyrażeniu: wezyrowie Miti-bey (bo to pey znaczy zawsze bey) i Mustafa-efendi.

Bey ani efendi nie może iść razem z tytułem wezyra, czyli trzytulnego paszy, ani nawet zwyczajnego paszy; w takim razie należało powiedzieć wezyr Mustafa-pasza, nie efendi ani bey. Lecz zajrzawszy w kronikę turecką Subhi-efendego, znajduję, że wszystko jest pokaleczone i źle dosłyszane. Ten historyk na stronnicy 95 verso wymienia tych pełnomocników tureckich Reis-efendi imieniem Mustafa-efendi; Ruznamedzi (kontroler ministerium skarbu) imieniem Emni-bey (to jest zapewne Mitibey); Mektubdzu (sekretarz) wielkiego wezyra imieniem Ragyb-efendi; i sekretarz silihdara, a właściwie wielkiego Miecznego (*du ministre de la maison du Sultan*) Said-efendi. Ta poprawka może ci szanowny panie Joachimie przydać się do nowego wydania. Lecz dosyć tego bisurmaństwa.

Pisze do mnie Węcki, że będzie cię obligował o korektę drugiego tomu moich *Collectaneów*. W takim razie ja oddaję się pod twoją opiekę, lecz o dwie rzeczy będę cię prosił: 1) żebyś raczył zachować w zupełności moją ortografię; 2) interpunkcję. W pierwszym razie ja nigdy nie piszę *szcza* ale *szca* i na to dam powód i dowody później; teraz zaś proszę cię bardzo, *conservez-moi cette singularité très innocente d'ailleurs, car j'y tiens beaucoup*. W drugim razie nie stawię dwukropków po „to jest, czyli” i w tym podobnych miejscach, bo nie jestem jezuita, a to jezuiti najśmieszniej wymyślili. Więc proszę cię, zostaw w całości zupełnej moją pisownię i moje przecinkowanie. O to cię

zaklinam na brodę wielkiego Proroka, który oby cię za tę korektę posadził w raju i dał siedmdziesiąt pałaców, a w każdym pałacu siedmdziesiąt pokojów, a w każdym pokoju po siedmdziesiąt dziewięć księżycolich, tulipo-jagodnych, lilio-lędznych; obyś mówię był tak szczodroblivy jak Saman, tak silny jak Rustem (nie wileński), tak mądry jak Arystos, tak głęboki jak Iflatun (Platon), tak piękny jak Józef; oby na końcu styl twój był wysadzany perłami, rubinami, smaragdami, pachnął wonią myszku i aloesu.

Sciskam cię po tysiąc razy. Twój wierny zawsze przyjaciel,

Sękowski.

Jeżeli będziesz do mnie pisał, wspomnij co też robi nasz stary safandula i poczciwy Gurcho (któremu niech Bóg odpuści grzechy). Radbym go jeszcze raz widział w mem życiu.

Rok 1825 jest najobfitszym ze wszystkich w korespondencye Sękowskiego; posiadamy bowiem aż dziesięć listów jego z tego przeciągu czasu do Lelewela. Wiele treści w tym czasie, bardzo urozmaiconej: wiele życia, wiele zmian.

W początku roku bawi tu jeszcze liczne grono ziomek, przypadkowo tu zgromadzonych: profesor Daniłowicz i młodzież wileńska, Filareci: Mickiewicz, Jeżowski, Małewski — skutkiem zmian zaszłych zmuszeni opuścić Wilno. Bywają oni w domu pp. Sękowskich. Ale orientalista nasz, znany już światu ze swej uczoneści, zimny jest dla młodzieńczego poety, zachowuje się względem niego dość obojętnie podobno. Wątpliwa więc, czy on to go natchnął pragnieniem poznania Krymu, którego owocem były znane jego Sonety. Pamiątką pobytu Mickiewicza w Petersburgu w owym czasie jest niedrukowany dotąd wiersz w albumie pani Sękowskiej przy pożegnaniu napisany.

Sękowski żywo bardzo zajęty jest sprawą druku II-go t.

swych „Collectaneów”, którego korektę Lelewel właśnie prowadził. Wydanie to widocznie bardzo mu na sercu leżało, przywiązywał on do tej pracy wagę niepowседневną — wyczekiwał od niej wiele. Pierwsze trzy listy tegoroczne prawie wyłącznie tej sprawy dotyczą.

Pogrążony on nadto cały w badania Wschodu, a tak siebie już pewny, że przy nadarzonej okoliczności, głośną ówczesną powagę orientalną w Niemczech—Hammera, bez ogródki, przed Lelewelem „trziptem orientalistą” nazywa. Skądinąd wiemy, iż pracuje teraz nad historią „Hordy Złotej”, którą to jednak pracę—z żalem trzeba wyznać—potem przerwał.

Petersburg, 1 Lutego 1825.

Mój szanowny przyjacielu. Twoje kochane listy ucieszyły nas nieskończenie z Daniłą, który mianowany jest prof. ord. dyplomacyi charkowskiej, ale jeszcze nie wyjechał z Petersburga i zapewne jeszcze z miesiąc tu będzie dyndał po mieście. Mickiewicz jak wiesz zapewne i Jeżowski dostali miejsce w Odeskiem Lyceum, ale także jeszcze nie wyjechali. Fr. Malewski jedzie także do Odessy.

Dziękuję ci nieskończenie, mój szanowny panie Joachimie, że łaskaw jesteś trudzić się moją korektą, aleś mnie nie zrozumiał. Ja prosząc o wierne zachowanie mojej pisowni i akcentów, mówiłem w szczególności o imionach własnych; o resztę mniej dbam. Co się tycze akcentów nad *e* i *a*, przyznam się, że je sam uważam za niepotrzebne, bo szpecą haniebnie druk: ale ja piszę je przez nałóg od szkół jeszcze zaciągniiony; możesz je śmiało opuszczać; jednakże jestem za tem, aby pisano *mojéy*, *kochanéy* przez *é*, gdyż wyraźnie mówimy prawie *moi' kochan'y*, a nie *mojey*, *kochaney*. Co się tycze *ja*, *je*, które piszę przez *j* i *ay*, *ey*, które przez *y* wyrażam, znam to dobrze, że w obu razach rozsądniej jest używać *j jota*; ale nie chciałem tego czynić z powodu, że nie mając w nałogu tej pisowni, w jednym

wyrazie postawiłbym *jota*, a w drugim *ypsylon*, Węcki zaś poddrukowałby mi z taką niejednostajnością i jabym się gniewał; wolałem więc pisać jakem przyzwyczajony. Podobnież co się tyczy *w* i z złączonego niekiedy z wyrazami, sam znasz, że to jest omyłka bez żadnego zamiaru, wyjąwszy przysłowki *wkrótce* i tym podobne. O jedną tylko osobliwość stoję mocno, a to jest, iż piszę wszędzie *szca*, *szce*, nie zaś *szcza*, *szcze*, na to mam dowody etymologiczne, a do tego i samą uwagę, że to skraca jedną literą tę okropną sylabę. Potem ci napiszę moje dowody i spodziewam się, że je uznasz za sprawiedliwe.

Przy liście twoim otrzymałem onegdaj wieczorem od Węckiego dwa dyplomata tureckie. Jeden list jest od sułtana Miurada III-go do Stefana Batorego, drugi wielkiego wezyra do tegoż, oba jednej daty, w jednejże sprawie i w tych samych prawie wyrazach. List sułtana wytłumaczyłem natychmiast, dosłownie prawie, przeczytaj to proszę i jeśli ci się zda, umieść go przy *Collectaneach* w Dodatku, któremu daj tytuł: *Dodatek II*. W tym dodatku drugim umieść, proszę cię najusilniej, twoje sprostowania nazwisk, miejsc w wyprawie galicyjskiej 1493 r., jakieś posłał Hammerowi. Ja też nadeszłą ci jeszcze niektóre inne sprostowania, które także będziesz łaskaw w tym dodatku umieścić. Przyjm na siebie ten kommis literacki, kochany panie Joachimie, ja zaś będę spełniał w Petersburgu wszystkie twoje poruczenia i będę się szczerze gniewał, skoro mając jakąkolwiek tu potrzebę, ułatwienia jej mnie poruczyć nie zechcesz, jeżeli tylko uznasz mię do tego zdolnym. W razie gdybyś za przyczwoitą osądził umieścić ten list do Batorego (ja zaś rozumiem, iż byłoby nie od rzeczy), wtedy niech Węcki każe na czysto przepisać moje tłumaczenie. Może też dodasz doń jakie swoje objaśnienia; będę ci za to nieskończenie wdzięcznym. Proszę też, gdzie uznasz tego potrzebę, popraw chropawość stylu: nie chcę bowiem bazgrać poprawkami rękopismu, gdyż potem moglibyście go nie wyczytać.

Jeżeli tam macie co podobnego w Metryce Koronnej, albo jeżeli u kogokolwiek znajdują się prywatnie jakie dyplomata tureckie, tedy raczcie mi przysłać je natychmiast, możnaby coś jeszcze ciekawego umieścić w tym Drugim Appendixie. Ja ich u siebie długo nie zatrzymam, i przez jednego kuryera otrzymawszy, odeszlę je natychmiast z tłumaczeniem przez następnego. Bardzo was proszę o to. Ale, ale, jeżeli umieścisz ten list, chciej, proszę cię, powiedzieć w przypisie, u kogo znajduje się oryginał, albo do kogo należy, bo mi Węcki tego jegomością imienia nie napisał i tylko zowie go anonyme „właścicielem”.

Co się tycze *stąd, ad toud, Adane, Odone, Edene, Edne* i t. d. tego trzpiota oryentalisty Hammera, daję mu tu odpowiedź po francuzku, którą może zechcesz mu udzielić. Ten wyraz, co go tak zaplątał, jest turecki i arcyturecki, i dziwno mi, że go nie zna Hammer, który sam służył w Konstantynopolu w dyplomacyi. Na teraz nie mam czasu dłużej pisać do ciebie, i tylko cię serdecznie ściskam po tysiąc razy.

Sękowski.

Powiadano mi, że safandula Gurcho teraz jeszcze wydaje swą „Astreę” za rok 1823; czy to prawda?

Drugi natychmiast list lutowy przez głęboką boleść wywołany: krzywda bezecna dzieje się przyjacielowi ich Kontrymowi — czyby tam rady gdzie na to znaleźć nie można? W stosunkach swych osobistych bliższych wszędy oto jest Sękowski serdeczny.

Wpędce też zacny Kontrym otrzymał odpowiednią posadę przy Banku Polskim w Warszawie.

8 Lutego 1825.

Mój łaskawy i drogi przyjacielu. Piszę do ciebie kilka słów w mocnem zmartwieniu duszy. Nasz pocziwy Kazi-

mierz Kontrym podał się był, jak wiesz, do odstawki i podług konkluzji Pelikana, dostał ją bez żadnej pensyi, po dwudziestu dwóch latach służby najusilniejszej. Zostawiony na starość bez chleba i przytułku — sam nie wie gdzie się podziąć? To jest bolesna aż nadto. Uniwersytet wil. już nie należy do tutejszego ministerjum; oddany został W. Księciu Cesarzewiczowi, i biuro to w naszym ministerjum jest skasowane.

Przyłączam tu epistołę Daniły, który za tydzień, jak mówi, wyjedzie do Charkowa. Na jego szczęście, umarł w Charkowie Reytt, którego część katedry była mu oddana, teraz więc posiędzie ją w całości i będzie miał 3,000 rubli, co przy taniości jaka tam panuje, równa się istotnie tysiącu rub. sreb. jego wileńskiej płacy. Malewski i Mickiewicz wyjechali do Odessy.

W przeszłym liście pisałem do ciebie, że niektóre poprawki przysłę niezwłocznie do umieszczenia na końcu w drugim dodatku do II-go tomu Collect.; jeśli ci się zda, umieszczę w niem list do Batorego. Te dwie poprawki są tu na odwrocie: może co jeszcze znajdzie się później. Teraz ściskam cię serdecznie.

Sękowski.

W liście następnym jeszcze idzie sprawa druku Colloc-taneów; ale teraz wyłącznie już prawie w obronie praw nakładcy przeciw wyzyskowi doraźnemu ze strony, a jakiego się gotów dopuścić ów milczący towarzysz dawny—Szubrawiec Grzymała, któremu teraz pan Józef nie przepuszcza nigdzie przy zręczności ironicznego pocisku, jak wyżej nieco, za jego nieporządnie wydawaną „Astreę”.

Charakterystyczna jest tu przytem zapowiedź autora z góry, iż na żadne krytyki odpowiadać nie będzie.

Pyta tu orientalista historyka o pewne miejscowości, w liście sułtańskim do Batorego wymienione. Co Lelewel odpowiedział — nie wiemy; ale nazwy są dziś rozjaśnione.

Czerkies kirman — Czerkasy dzisiejsze (nie zaś Czerkask), starożytna osada czarnych Kłobuków; *Mankierman* — przedwieczna nazwa Kijowa u ludów turkского rodu; — zaś *Kan ewi* — Kaniów.

Co zaś dotyczy „Prokosza”, od potrącenia którego list obecny właściwie się zaczyna: była to istotnie, jak bystrze odgadł Sękowski, „facecya” prawdziwa. Znany w owe czasy skrzętny, lecz mało krytyczny badacz Hipolit Kownacki odkrył był rękopis jakiejś niesłychanie niby starożytnej (z X wieku) kroniki i uwierzywszy w onej autentyczność, wydał ją w roku 1825 w Warszawie, po łacinie i po polsku z osobna, jako kronikę słowiańsko-sarmacką Prokosza z roku 936. Narobiło to oczywiście wrzawy wielkiej w uczonym świecie. Lecz niedługo trwało złudzenie: surowy Lelewel rozwiął je natychmiast. W rozprawie swej o Prokoszu, wydanej w Bibliotece polskiej z 1825/26 r., wykazał on, że autorem owej mniemanie starożytnej kroniki był nie kto inny jak znany awanturnik starożytniczy XVIII w. p. stolnik urzędowski, Przybysław Dyamentowski, który w ten sposób chciał tylko zażartować z uczonego świata. Zrobił też, jak widzimy, istotnie pewne wrażenie.

Petersburg, 18/30 Marca 1825.

Mój szanowny i łaskawy przyjacielu. Każe mi Węcki spodziewać się twego szanownego listu, w którym mam nadzieję wyczytać twe zdanie o Prokoszu. Redaktorowie tu-tejsi naglą mnie, żebym z tej książki zrobił dla nich artykuł, lecz ja prawdziwie nie wiem, co o niej myśleć, bo to może być jakaś facecya.

Polecam twej przyjaźni bilecik do Safandudy de Gurchis Grzymały, perły dziennikarzy warszawskich, śmieszności literatów nadwiślańskich, aldebarana mądrości i zenitu arystarchowstwa. Pisze mi Węcki, że Gurcho chce robić wyjątki z *Collectaneów* przed wyjściem tomu drugiego i że to narazi Węckiego na wielki uszczerbek; a zatem prosi,

żeby mu surowo zakazać, aby się nie ważył tego robić. W tym interesie ja piszę do niego i proszę cię, łaskawy panie Joachimie, użyj całej twej powagi i wpływu, żeby Gurcho nie robił tej przykrości Węckiemu, wszakże w żadnym kraju uczciwość nie pozwala psuć interesa księgarzom, żyjącym z handlu. Kiedy wyjdzie książka, niech ją łaje lub chwali, to dla mnie wszystko jedno; ja na żadne krytyki odpowiadać nie będę, więc może pisać co mu się podoba; lecz dopóki książka w druku, on nie ma prawa tego czynić.

Chce, jak widać, Węcki umieścić *fac simile* listu Murad Chana do Batorego; racz go nadoktrynować, żeby kazał pogłodzić cokolwiek na kamieniu rysy tego *fac simile*, bo są bardzo chropawe i bez żadnej kalligrafii. Także bądź łaskaw, przydać notę w drugim dodatku, objaśniającą zkąd wzięty oryginał i powiedzieć, że to jest *fac simile*, nie kopia, bo są tam grube omyłki pisowni, które mógłby ktoś pomyśleć, że są moje. Czy nie możnaby pogłodzić cokolwiek moje tłumaczenie tego listu co do stylu, bo jest bardzo na prędcie zrobione.

Wspominane są w tym liście cztery miejsca: Czerkies Kirman (to jest Czerkask), Braclaw, Mankirman i Kan evi. Nie mogę się domyślić, coby to było za miejsce Mankirman? Kirman znaczy po tatarsku miejsce targowe. Ten Mankirman, jak widać z Szerefeddina, leży nad Dnieprem, wspominany jest u Petis de la Croix, Tome II, p. 36. Czy nie wiesz co o nim, albo czy się nie domyślasz, to miejsce bardzo mnie obchodzi. Kan evi znaczy po tatarsku dom krwi, *sanguinis domus*. Coby to znowu było za miejsce? Czy nie zechcesz tego objaśnić? Polecam twej łaskawej przyjaźni wszystko to, o com cię prosił w poprzedzającym liście względem drugiego dodatku. Zrobisz dla mnie łaskę i przyjaźń — Vale et nos ama.

J. Sękowski.

Zajął tedy, mimo wszystko, i naszego orientalizę zde-maskowany przez Lelewela Prokosz; chciał go wydać po ro-

syjsku z objaśnieniami własnymi; lecz czy dokonał tego zamiaru — nie posiadamy śladu.

Okoliczność zaś nowych widać niepokojów Bułharyna o dalszy ciąg recenzji Karamzinowej historii nastęrcza Sękowskiemu powód do oryginalnego wielce skreślenia charakteru ziomka. Pan Tadeusz oto — obmierzły egoista, harpagon, bo otyły i leniwy, lecz w gruncie człowiek dobrego serca, a nawet jest zawsze narodowcem i stara się wśród obcych pokazać takowym, — tak cechuje swego kusiciela dawny szubrawiec, dodając i do charakterystyki samego siebie rys jeden „narodowy”, z którego słusznie i zasłużenie jest dumny.

„Collectanea” dawno skończone — nie dziękował za trud Lelewelowi, bo go „smutki i nieszczęścia domowe” przygniatały.

Mowa tu oczywiście o stosunku z żoną. Najbardziej to ciemna, niepojęta strona życia Sękowskiego, nie lubił jej nigdy potem dotykać; a przecie rozjaśnienie onej możeby nam podało pewniejszy klucz do zrozumienia późniejszego przeobrażenia się jego samego. Ale właśnie rozjaśnienia podobnego od pani Sękowskiej, staruszki, żyjącej dotąd w Warszawie, niepodobna się spodziewać; co więcej — niepodobna wymagać nawet.

Petersburg, 18/30 Czerwca 1825.

Szanowny Panie Joachimie; dziękuję bardzo za przysłany artykuł o Prokoszu; samego mnie objaśniłeś, bom ja zawsze rozumiał, że to jest facecyja teraz ukuta i nie rozumiałem nigdy, żeby mogły być tego różne kodeksy; jeżeli pozwolisz, to ja nieco dodawszy do tego, dla zrozumiałości Russkich i odciawszy niektóre miejsca, któreby dla nich były niepotrzebnymi, wytłumaczę to po rusku.

Artykuł twój o Karamzinie oddałem dawno Bułharynowi; lecz twój drugi list do niego dotąd leży u mnie, miał on sam poń zajechać, gdyż inaczej nie mam jak mu oddać; on mieszka gdzieś na wsi, a w mieście nie ma mieszkania;

do drukarni Grecza oddawać nie chcę, bo tam wszystko ginie.

Co do samego Bułharyna, on jest teraz jakby zwaryowany; sprawa ich w radzie państwa o sukcesję z Tyszkiewiczową przepadła; on jak tchórz i nie umiejący często dać sobie rady, miota się teraz jak postrzelony. Niech to cokolwiek przejdzie. Wierz mi, że on, jak i my wszyscy, jesteśmy twymi wielbicielami, ani się kiedykolwiek dla ciebie zmienił; ponieważ zaś jesteś filozofem, muszę ci dać klucz jego charakteru, a wtenczas będziesz go sądził jak indywiduum osobliwsze.

Ja chociaż mam liczne powody do niezadowolenia z jego postępów i charakteru, nigdy jednak nie przestałem myśleć, że on jest arcy uczciwym człowiekiem; jest zawsze i stara się pokazać Polakiem w pośrodku ruskich, co mu czyni zaszczyt i w czem sami Rosyanie umieją mu oddać sprawiedliwość. Jedną w nim główną wadą jest przywara właściwa wszystkim prawie otyłym, a tą jest — nieznośny egoizm, skutek przyrodzony ociężałości ciała. Jest to harpagon, który się pokazuje najobojętniejszym na wszystko co się nieszczęśliwego drugiemu staje; lecz gdy jemu samemu ukradną szkatułę, wtedy z wściekłością wrzeszczy; *qu'il n'y a point de suplice, de peine, de potence au monde, pour punir convenablement un crime aussi affreux, que celui de m'avoir volé ma chère cassette.* Takim jest nasz pan Tadeusz i ja mu często to powiadam, że jest obmierzłym egoistą; przed kilku jeszcze dniami, powiedziałem mu toż samo, i on to przyjmuje dobrze odemnie, raz, że mu jego ociężałość milszą jest nad wszystko, drugi raz, że wie, iż podobna uwaga z mojej strony, nie ma, i mieć nie może żadnej osobistości. Ponieważ zaś sam jest bez charakteru, więc nim rządzą okoliczności i ludzie, z którymi przestaje; lecz w gruncie jest uczciwy człowiek, dobrego serca i ilekroć jest w stanie przewyciężyć swoją ociężałość, może być nawet pożytecznym dla drugih.

Miał on i, jak mi się zdaje, ma zawsze dosyć dla mnie przyjaźni, pomimo przekątnie przeciw położonych naszych charakterów, słucha mnie nawet dość często, bo wie, że w tem, co mu powiem, nie mam żadnego interesu, lecz miewamy z sobą dość żwawe spotkania, zawsze prawie, kiedy chodzi o uczynienie czego dla kogo. Ja mogę powiedzieć śmiało o sobie, że mam tę część narodowego naszego charakteru, a jak to co dzień doświadczam ze szkodą moją nawet, iż nie mam wyobrażenia, co jest egoizm, i nic mnie tak w drugich nie oburza, jak ta przywara; przetoż, gdy potrzeba komu być pomocnym, ja biorę się z ogniem, a Bułharyna znajduję w takim razie ulanego z lodu; często więc (bo takie tylko mamy z sobą stosunki, na szczęście nie osobiste), wytacza się między nami wielka sprzeczka, w której ja mu zawsze powiem wszystkie prawdy co czuję. Uważam, że ten sposób jest najlepszy na egoistę z otyłości, który w gruncie ma dobre serce, gdyż pan Tadeusz, żeby się kłócić ze mną, rozпали się, rozdąsa, wstanie z swej poduszki, rozmiota się, lecz jak się tylko tym sposobem rozrucha, wrodzona dobroć serca bierze górę nad lenistwem, i wtedy sam przyznaje, że się dla tego opierał, że się lenił, i tak zawsze pogodzimy się z sobą.

Piszę to dla ciebie, mój szanowny panie Joachimie, żebyś go znał z tych rysów jego charakteru. Tak więc, kiedyś mu długo nieprzysyłał zaczętej recenzji, on często bywał w rozpacz, przybiegał do mnie, powiadając, żeś go zgubił na honorze, dąsał się, przeklinał Polaków; ja śmiałem się zawsze z tego, bom wiedział, że to pochodzi ztąd, iż il n'y a point au monde de potence assez haute pour punir le crime affreux d'avoir volé ma chère cassette. Jakoż w rzeczy samej, kiedyś mu dał teraz twój artykuł, nie ma dziś lepszego, uczeńszego, szlachetniejszego, miłszego człowieka nad ciebie, i gdybym teraz przez żart co na ciebie przed nim powiedział, toby mi zapewne oczy wydarł. Do jakiego zaś stopnia on ma dobry grunt serca, dosyć kiedy

ci powiem, że raz za pewny jego postępek względem jednego tutejszego żurnalisty tak mu otwarcie prawdy napalił, że dodał nawet, że nigdy u niego nie będę. Mógł on to bardzo obojętnie przyjąć, zwłaszcza nie potrzebując niczego odemnie; przecież tyle go to ubodło, że pisał do pana Kazimierza kilkakrotnie, obowiązując go, żeby mnie z nim pogodził, i Kazimierz zmusił mnie do tego, zaklinając na swą przyjaźń; nie mogę więc nie być mu wdzięcznym za to i nie czuć tego, że jest uczciwym człowiekiem, gdyż szukał bez najmniejszego interesu być znowu ze mną dobrze. Tak więc, możesz śmiało być przekonany, że Bułharyn nigdy nie ostygnie dla ciebie—za to mogę ci zaręczyć, lecz że będzie w rozpacz, ilekroć spóźnisz swe artykuły.

Pozwól mi, szanowny Panie Joachimie, wynurzyć sobie najczulszą wdzięczność za łaskawe twe starania około drugiego tomu Collect. — powinienem był dawno już ci to uczynić, lecz mnie smutki i nieszczęścia domowe, od których o małym co nie umarł, nie zostawiały sił do tego. Dziś jestem, jeżeli nie szczęśliwy, to przynajmniej spokojniejszy i za pierwszy poczytuję obowiązek złożyć ci najwyższe dziękczynienia i prosić, abyś zawsze zachował dla mnie twą przyjaźń, którą nadewszystko cenię.

Sękowski.

W Collectaneach wypowiedział się Sękowski stanowczo — i jako uczoney i jako obywatel; nie mógł też, tem niemniej, ukryć tam swego dawnego charakteru Szubrawca.

Już wstęp do tomu I-go w następujący sposób rozpoczyna.

„W Królestwie Aleka, gdy dwóch murzynów ma sprawę, ten kto pierwszy przybędzie i upadnie do nóg królowi, otrzymuje sprawiedliwość, albo raczej wygranę. Co u dzikich nad brzegami Kongo, to właśnie dzieje się codzień w oświeconem królestwie nauk. Gdy rzecz idzie o historię, u każdego z nas narodowy pisarz, który zwyczajnie pierwszej

rąk naszych dochodzi, ma więcej powagi i wiary, niż świadectwo wszystkich cudzoziemców. Jest to wprawdzie arcychwalebna; lecz tyle tylko, ile nie traci na tem prawda, jedna z niezliczonych sposobów wyobrażenia rzeczy, godna oświeconego człowieka. — Pierwsze o sprawiedliwości wyobrażenie uczy nas, abyśmy, nim stanowczy wyrok damy, obie naprzód wysłuchali strony. Przekonany o tej potrzebie i wiedząc zkądnąd, że w dziejach naszych liczne znajdują się omyłki i częste nadużycia prawdy w opisach wojen z Turkami, pochodzące częścią z przesądu, częścią z nieznamomości tego ludu, niekiedy wreszcie z wrodzonej nam nieco lekkości, przedsięwziąłem wydać w języku polskim zbiór tego wszystkiego, co roczniki osmańskie we względzie naszego kraju zawierają. Podobne materyały użyteczne będą dla ziomków niezmyślnie oświeconych, którzyby woleli wydrzeć najchlubniejszą z dziejów narodowych kartę, żeby natomiast trzy wyrazy istotnej położyć prawdy. Tacy wiedzą, iż jeśli historia jest opisaniem tego, co ludzie czynili, nic zatem czego nie uczynili wchodzić do niej nie powinno. Lecz ci, którzy sławę krajową cenią choćby na kłamstwie opartą, nie mają potrzeby trudzić się nad wyszukiwaniem prawdy...”

Kończy zaś tak:

„W przekładzie wyjątków, które pod sąd oświeconych oddaję czytelników, starałem się zachować wiernie oryginalny duch dziejopisów; gdyż wtenczas tylko ocenić można twierdzenia pisarza, gdy nic z jego myśli i sposobu wyobrażenia rzeczy uwagi naszej nie unika. Wzgarda chrześcijan i gwałtowne w przedmiocie wiary niepobłażanie, mocno osmańskich znamionują pisarzów; lecz nie mamy większego od nich prawa do szafowania zelżywych wyrazów, gdy w naszych rocznikach czcimy ich zawsze imionami pogan i bisurmanów. Odrzucać, przemieniać lub łagodzić wyrażenia, nie byłoby przedstawiać sądowi czytelnika dziejopisów osmańskich we właściwym duchu, lecz raczej dawać

ich przeobrażenie. Ktoby chciał widzieć Turka, nie zostałby wcale zadowolony, gdyby mu we francuzkim pokazano go stroju. Wiek nasz jest nadto oświecony, żeby się obłudnie czy rzeczywiście gorszyć z wyrażen różnowierca. Trzeba z obojej strony rozsądnego pobłażania, a dla miłości prawdy i rozszerzenia obrębu naszych wiadomości, uczynimy szlachetną z miłości własnej ofiarę”.

Naprawdę, nikt u nas dotąd, w podobny sposób, do szerokiej publiczności, o traktowaniu dziejów narodowych, nie przemawiał. Był to przecie, nieco wybitniej tylko wypowiedziany, wyraz tego, do czego musiał w nieodzownem następstwie prowadzić zwrot naukowy uniwersytetu wileńskiego, pod przewodnictwem Śniadeckich i Lelewela; wyraz realno-krytycznego nastroju umysłów skutkiem tego zwrotu. Nikt więc właściwie nie mógł mieć nic do przeciwstawienia zasadom zapatrywania się, wygłaszanych tu przez Sękowskiego. Owszem. Ale wygłaszając je, należało tem ściślej pilnować surowego a nie przekraczającego miary zasad tych zastosowania. O miarę przecie trudno było naszemu oryentaliście, przywykłemu do robienia wycieczek szubrawskich z poza każdej osłony.

Uwagi więc jego, przy końcu tomu tego zamieszczone, pełne były najniepotrzebniejszych a dotkliwych napadów na „łatwowierność naszych dziejopisarzy”, ich „nieszczęśliwą, lecz narodową skłonność do samolubstwa i przesadzania”, ich „wzgardę dokładności” i t. p.

Popierając jeszcze silniej wypowiedziane powyżej swe zdania, rozpoczął Sękowski wstęp swój do drugiego tomu od wezwania: *Audi alteram partem!* Przygotowany zaś do niewątpliwych zarzutów, z góry je dalej odpiera.

„Nie łudzę bynajmniej siebie — powiada — i wiem, że wielu znajdzie takich, co wszystkim narodowym przedmiotom lubiąc dawać barwy łudzące oko, z zapalem przeciw tej pracy powstaną. Wiem, że silnie trącony samolubstwem od dawna już narodowy sposób myślenia przybrał u nas

błądny i nieszczęśliwy kierunek, wiodący nas zawsze do znaczenia wzgardzonym piętnem czernidła wszystkich mniej pochlebnych dla kraju naszego prawd i postrzeżeń. Pod prawem takowego mniemania, silna w odrętwieniu umysłów narodowa miłość własna nie dozwalała nigdy uczynić szlachetnego do poprawy kroku; długośmy więc zostawali w uspieniu, bawieni marami niezbędnych przesądów, dopóki szczęśliwym trafem wniesione światło nauk, nie bez przykrości rozwarłszy nam powieki, całej czczości naszego stanu nie ukazało. Otrząsnęliśmy się wprawdzie z wielu niezaszczytnych przywar, wieleśmy ich zapomnieć musieli śród nawału nieszczęść ojczyzny; wiele nakoniec ustąpiło chwalebniejszym zwyczajom rozpostrzenionej oświaty i porządniejszego postanowienia kraju, ale się dużo jeszcze ukrywa pod maską źle zrozumianej narodowości, pod którą najczęściej tai się zgodne niepobłażanie dla tego wszystkiego, cokolwiek dąży do odkrycia wad charakteru narodowego, co śmielszą i nieskrępowaną przesadami ręką zdiera czarowną oponę, jaką miłość własna, jedynie przez trudność do poprawy, na niechlubne jego wyboczenia zarzuca. Rzecz pewna, że tak we względzie obyczajowym, jak umysłowym i towarzyskim, jesteśmy dziś więcej warci od przodków naszych; nie mamy więc czego zazdrościć ich przymiotom, ani potrzeby uwielbiać ich przywary; owszem chlubić się powinniśmy, żeśmy stanęli na tym stopniu oświaty, z którego możemy rozważać je z bezstronnością, i wolni od ich przesądów z ich wad i błędów użytecznie dla ulepszenia siebie korzystać..."

Wszakże ani przeczuwał Sękowski, że stawiając się na tak wysokie stanowisko narodowego moralisty, etyka, brał on na samego siebie ciężar — nie do udźwignięcia dlań może. Zarazem wystawił się, samochcąc nawet, na zarzuty nie do odparcia.

Z tem zaś większą pewnością takowych spodziewać się należało, o ile że niejedno ze zdań głębokich, w najlepszej nawet wierze wypowiedzianych przez orientalistę, tyle roz-

kochanego w swym Wschodzie, było niedostępne dla umysłów większości ówczesnej wykształconej publiki. Dla przykładu, weźmy choćby następane zdanie, że: „upojeni przesądami naszej cywilizacyi, którą jedyną być mniemamy, zwykliśmy Turków uważać za naród wszelkiej pozbawiony oświaty”; gdy tymczasem przecie „mogą być w istocie rzeczy ludzkich dwie całkiem różne, zgoła niepodobne do siebie, lecz równie dobre cywilizacye...”

Dotykając nareszcie samego sposobu tłumaczenia, podawanych przez się w *Collectaneach*, wyjątków z pisarzy tureckich, czuł się Sękowski w potrzebie ubezpieczenia się niemniej od zarzutów. Kończy tedy swój wstęp do 2-go tomu upewnieniem, iż: „starał się nieudolność polskiego opowiadania okupić wiernem (ile możności) wyłożeniem myśli pisarza; uprzedzić jednak musi, że chcąc do naszej logiki zastosować tok powieści, musiał w wielu miejscach dopuścić się znacznych przełożeń i rzeczom odmienny szyk nadać...”

Praca ta naszego orientalisty, wzbogacająca historyografię krajową, bardzo znakomitym przyczynkiem źródłowym, została warunkowo przyjęta, jak wiemy, w poważnem kole uczonych narodu, z należnem uznaniem. Lecz nie mogły też być pominięte milczeniem i wielce ujemne strony. Bezwzględne nadto dawanie większej wszędy wiary świadectwom tureckim nad swojemi z konieczności prowadziło do każenia samej prawdy historycznej. Upomniano się tedy o tę prawdę — jak kto umiał i prawdziwem pospolitem ruszeniem.

Żywa zamiana uwag wzajemnych w przedmiotach naukowych pomiędzy Sękowskim i Lelewelem trwała nieustannie, jeśli nie ożywiła się jeszcze bardziej.

Świeża rozprawa Surowieckiego o Słowianach wywołała znów na stół poniechaną już kwestyę Lechów i pochodzenia szlachty polskiej, nastroczając naszemu orientaliście

okoliczności do wypowiedzenia niezmiernie ważnych prawd etnologicznych i lingwistycznych w liście następnym.

Opuściła go już dawno „esclavomania”, przyznaje „głupstwo” hipotezy swej o Lezgach; lecz stoi mocno przy swem przesadnem założeniu, że szlachta polska jest innej krwi od ludu, i daje ważne bardzo wskazówki ku porównaniu z historyą azyatyckich ludów, nie mogąc wziąć rozbratu ze swem „beduiństwem”. Na tym więc punkcie stanął Sękowski, powtarzając i później jeszcze (1838 roku) raz powzięte zasadnicze zdanie — w rosyjskim „Leksykonie encyklopedycznym”, pod wyrazem „Herb”.

O ileż wytrwał przy swem utrzymywaniu samoistności pierwotnego rozwoju społecznego Polski—Leleweł?—To właśnie, co byłoby niezmiernie ciekawe.

Że więc tedy jedną ze wskazówek posiadam we własnem ręku, czyli raczej we wspomnieniu własnem, a nie po dałem tego nigdzie dotąd w druku, korzystam przeto z okoliczności, ażeby przyświadczyć przedśmiertnej niewypodziałnej myśli wielkiego naszego historyka.

Oto rzecz sama:

Po wyjściu głośniejszemu tyłem niegdyś pracy niezapomnianego Szajnochy: „Lechicki początek Polski” zostałem uderzony, olśniony, niewidzianem dotąd światłem po niej rozlanem. Zasiadłszy potem wprędce, pod jesień 1859 roku, w Brukselli, i mając szczęście szczególniejsze spędzenia przez ciąg pewien czasu po parę godzin codziennie u sędziwego profesora, postanowiłem być zdobyć koniecznie, dla własnego upewnienia się, jego o tem zdanie. Z otwartością więc śmiało, iście studencką, i ze studenckim zapalem, stawilem Lelewełowi:

Że hipoteza Szajnochy, po prostu — nie do obalenia.

Dziewięć dziesiątych dowodów, jakie on dla podtrzymania jej podaje, stanowią niepotrzebny tam balast — tem bardziej, że wiele z nich nie posiada podstawy poważnej, inne są przesadzone, naciągnięte, błędne; wystarczy przecie

jednej ich dziesiątej tylko, a nawet jasność myśli zyska na tem.

Samo postawienie bowiem hipotezy, — opartej przede wszystkim na nieodzowności historycznej przemożnego wpływu ludów germańskich północnych (Normanów), w pewnej epoce, na południowe krainy bałtyckie — jest tak mocne, że dziwby to był wielki, gdyby się ją dało wzruszyć nad Wisłą, gdy stoi ona niewzruszenie nad Niemnem, a nawet Dnieprem—tyle od Bałtyku i Normanów dalekim.

Wreszcie, nie utrzymuje przecie Szajnocha, aby późniejsza szlachta polska (z nad Wisły i Warty) miała pochodzić od obcych Lechów; lecz tylko, że Lechowie ci byli inicjatorami polityczno-społecznymi polskiej, jeśliby ją już tak nazwać można było, przedpiastowskiej rzeszy.

Koniec końców — czy tak jest czy inaczej — wypada nieodzownie, aby on, Lelewel, wypowiedział w głos swe o tem zdanie, bo inaczej lata całe wypadnie nam czekać na rozjaśnienie tyle w naszych dziejach ważnej kwestyi; młodzi jeszcze do tego nie dorośli, a z powag—on tylko jeden zdolny jest zmienić całego życia zdanie, jeśli przekona się, że błędził; ani Maciejowski, ani Bielowski nawet, pewnie tego nie zrobią.

A więc „kruty ne werty”, profesorze! — po ukraińsku mówiąc.

I poważny starzec nie przeciwstawił nic tej mojej młodej stanowczości, słuchał mnie spokojnie — on, tyle stanowczy w swem zdaniu, nauczający przez całe życie czego innego! Nie chciał mi wszakże nigdy wprost odpowiedzieć, powtarzając tylko, jakby do siebie samego: szkoda, szkoda, że Szajnocha tam źródeł dostatecznych potemu nie ma, ci Belgowie tu bogatsi, jabym mu tu więcej dowodów dostarczył... A do mnie: Wy młodzi sami sobie rzecz rozjaśnialiście, starzy swoje zrobili; co wy na nich nowe ciężary zwalacie. Ale widocznie męczyć poczęła jakaś myśl starca — dojrzało jakieś postanowienie: przed moim z Brukselli wy-

jazdem kupił był już sobie, wyrzekając na drożenie się ukochanych mu Belgów, słowniki skandynawskie...

Nie myliłem się. Tegoż jeszcze roku, zimą, dowiedziałem się w Poznaniu od Żupańskiego, iż sędziwy historyk, żaląc się na mnie, iż wymęczyłem na nim nową pracę, prosił wydawcę swych dzieł, aby mu zostawił w jakimś tomie miejsce na jeden jeszcze ustęp, mający zawierać rozbiór „Lechickiego początku Polski” Szajnochy.

Wszakże nie doczekał się przysłania mu tego ustępu Żupański; Leleweł wprędce zapadł na zdrowiu i przeprowadzony został do Paryża, gdzie umarł. Należałoby przecie koniecznie odszukać tę jego przedśmiertną pracę!

Wracając do Sękowskiego, nie możemy tu pominąć jeszcze jednej następczącej się nam uwagi.

Jakkolwiek on hipotezę swą o pochodzeniu szlachty polskiej od zdobywców przybyłych z Kaukazu nazwał sam ostatecznie „głupstwem”, traktował ją atoli pierwotnie najzupełniej poważnie. Ale wogóle wszakże, przy swym sceptycyzmie i znanej złośliwości, miał on istotną słabość, z manią graniczącą, do sarkastycznego mistyfikowania swymi paradoksami, w które udawał że wierzy, świata uczonego, w jednym celu — zażartowania sobie z uznanych powag, zrobienia szubrawskiej psoty przez mistyfikację, lub też dla rozdrażnienia przeciwników, osobliwie idealistów wszelakich, dotykając ironicznie przedmiotu ich wiary powszedniej.

Tak naprzykład drażnił on, ze złośliwą przyjemnością, rosyjskich badaczy, dowodząc wcale na seryo, że Nestor pisał swą kronikę po „polsku”. Igrał on tu oczywiście przymiotnikiem „polski” w ten sam sposób, jak się igra obecnie innym znów przymiotnikiem, lecz już nie przez psotę jedynie. A miał też nasz uczone Szubrawiec na jednym punkcie całą słusność poza sobą, i na tym punkcie wzniósł właśnie swój paradoks. Boć Nestor, Polanin, jak wiadomo, ziemię swą rodzinną nazywał sam w swym latopisie „ziemią polską”, drużyny zbrojne książąt kijowskich—wojskiem „pol-

skiem”; dlaczegóżby więc nie można było nazwać języka jęgo, w którym pisał, językiem „polskim”?

Pozwalał on sobie z uczonymi stolicy północnej niejednokrotnie nawet mistyfikacji zbyt pustych i lekceważących. Nie zapomniano do dziś jeszcze istnej farsy, jakiej się on dopuścił względem całego koła uczonego, przy rozstaniu się swem ostatecznym z uniwersytetem. Na doroczny wtedy akt uroczysty wygotował on rozprawę „O starożytności imienia rosyjskiego”. Zmyśliwszy potem chorobę, oddał ją do odczytania swemu adjunktowi. Ten tedy rozpoczął odczyt z całą surową powagą swą niemiecką, liczna publiczność z wytężeniem zwróciła uwagę, by posłyszeć sąd znakomitego profesora o tak interesującym ją przedmiocie. Aż tu, po zamaszystym wstępie, dowodzącym pierwszeństwa narodu rosyjskiego między narodami świata, jako stojącego na czele szczepu Słowian, najstarożytniejszego z ludów, a znanego pod nazwą Scytów samochwalców, że się sami zawsze chętnie sławili — posypały się coraz bujniejsze paradoksy. Dowody starożytności rosyjskiego imienia miały się znajdować w jednej z wież sławnego maurytańskiego zamku w Hiszpanii—Alhambry, dokąd też autor po sprawdzenie ciekawych odsyłał. Dalej Skandynawi zostali Słowianami; a następnie i cała starożytność wystąpiła jako kronika słowiańskiego szczepu właściwie... Słuchano przecie odczytu z całą cierpliwością, podziwiając tylko hazardowność wywodów. Lecz gdy z kolei przyszło do tego, że i wyprawa Cyrusa przeciw Scytom odbywała się na Białej Rusi, a najgłówniejsze zwycięstwo odniesione zostało przezeń pod Orszą, bo oprócz etymologii, sam Napoleon temu przyświadcza, gdyż 1812 r. uznał on miasto to za bardzo ważny punkt strategiczny, wtedy ziomek nasz dziekan Iwanowski, nie mogąc już wytrzymać — w śmiech głośny, a publika — w gniew srogi! Przesztano słuchać — towarzystwo rozeszło się z odgrózkami na ustach. Rozprawa zaś nie została wydrukowana w sprawozdaniu o akcie dorocznym.

Wogóle pod względem słabostki do mistyfikowania piśmienników miał w sobie Sękowski wiele wspólnego z tem, cośmy widzieli niedawno w zgasłym przed paru laty Aleksandrze Darowskim; obaj lubili bawić się wyprowadzaniem w pole mniej oględnych; obaj też strwonili zarówno na podobne igraszki dużo dowcipu i głębokiej nauki.

Zwróciwszy się teraz do poważnego stosunku dwóch wielkich naszych uczonych, których korespondencye tu przezimmeramy, widzimy, iż zmienili oni napewno pierwotne swe zdania co do genezy dziejowej polskiego społeczeństwa — choć każdy z nich w inny sposób, oraz w innej mierze.

Ale nierównie większej jeszcze wagi jest druga obok kwestya, jaką Sękowski w liście tym dalej potrąca, mianowicie kwestya genezy rosyjskiego języka — a więc narodu i społeczeństwa.

Widzimy tu ze zdumieniem wielkiej niespodzianki, że Sękowski ma swą „teoryę utworzenia się mowy rosyjskiej”. Poznajemy istotę teoryi owej. Spoczywa na dnie onej prawda historyczna, etnologiczna i lingwistyczna — jedyna, wyłączająca wszelkie inne możliwe zapatrywania się na ten przedmiot. Spoczywa myśl dziejowa — i naukowa zarazem — bogata, obfita, potężna. Jakież żal nieskończony, że on tu zaledwie o nią potrącił. Gdzież jej rozwinięcie znajdziemy? Widocznie, że nasz orientalista traktował już o tem pierwiej z historykiem; powiada, że nie odstępował dotąd od tego punktu. Któż mu przeczył? — Pewnie nie Lelewel, ani żaden z poważnych historyków i lingwistów. „Słowiańszczyzna zepsuta w ustach narodów ugrskiego pokolenia”. Najświęciej tak: każdy przy tem zdaniu stanie, bez wahania się, bez zachwiania, ktokolwiek zna choć kilka zwrotów mowy w językach tiurkskich, Sękowski zaś jest tu powagą niewzruszoną, ostateczną, najwyższą. On, Słowianin przecie, władający turecczyzną jak Turkoman albo Uzbeg jaki, i niemniej pewnie z mową Czudów obeznany, bardziej niż każdy inny etnolog był w stanie rzecz tę po-

stawić na jaśni. On, którego całe późniejsze, tyle absolutne, rozgospodarowanie się w piśmiennictwie rosyjskiem, późniejsze mistrzowstwo w języku rosyjskim, aż do kapryśnie despotycznego mentorowania tym, których język ten był mową rodzimą—opierało się przeważnie na posiadaniu tajemnicy ducha wschodniego, pod wszelkimi onego lingwistycznymi przeobrażeniami — on tu sędzią bez odwołania się!

Lecz dlaczegóż on, mocarz taki — wielkiej tej, jedynie prawdziwej dla nauki, myśli swej nie rozwinął należycie, szeroko, wyczerpująco: nie ugruntował, ostatecznie, raz na zawsze dla nauki?

Ha — może to i nie bardzo tak trudno sobie wytłómaczyć! Musiał mu najprzód mędrzec tam jaki społeczny powiedzieć, podobnie jak Karamzin na przywołanie Waregów „que c'est plus noble” inaczej, a potem — zimno fantastycznemu intruzowi śmiałości nie wystarczyło — nietyle, by dotknąć tak drażliwego artykułu wiary konwenansowej, nieświadomie a głęboko wkorzenionej, ile — obrazić wyższe względy, na które orientalista nasz, jako adept dyplomacyi, zwracał zawsze pilną bacność. Był on śmiały, bardzo śmiały nawet; lecz tylko do pewnej miary i w pewnym zakresie.

Co się też stało z jego artykułem p. t.: „Zasady teoryi tworzenia się języków”, który miał przysłać do druku Lelwelowi — nie wiem; a napewno były tam jakieś językoznawcze filozoficzne prawdy promienne — mimo wszelkie czynione mu zarzuty, że nie był on wcale filozofem lingwistą (Stawrow).

Petersburg, 1/13 Lipca 1825.

Szanowny Panie Joachimie; dziękuję i nieskończenie jestem ci wdzięczny za wszystkie twoje dobre chęci dla mnie i pamiętki, jakimi mnie obdarzasz. Rozprawę W-go Surowieckiego już dawno z prawdziwą czytałem przyjemnością i dla tego tem szczerzej jestem mu obowiązany i tem

uprzejmiej dziękuję za ten szacowny podarunek, iż znającemu już wartość jego pracy, nastęcza mi dziś swą grzecznością zręczność odczytania jej z nowem zadowoleniem.

Co się tyczy mojej o Lezgach bazgraniny, to prawda, że, na me żądanie, Kontrym odesłał mi ten rękopism, lecz jako już mię opuściła była esklavomania, sam więc poznałem całe głupstwo tej pracy, i dla tego dawno już ten rękopism poszedł—ad patres, albo jak u nas w szkołach mówiono „ad usum delphini”. Wszakże, opuściwszy Lezgów, bo to jest głupstwo, tak wiele widzę w szlachcie polskiej różnicy od pospolitego ludu, i tak wiele wschodniości, pomieszanej z germanizmem, że zawsze myślę, że nasza szlachta pochodzi z innego wcale niż sam naród pokolenia. Nietylko narody osiadłe, Kirgizy i Mongoły nawet, Tiurkmenie i Kurdy mają swą szlachtę, a ta jest historycznie z innego niż oni pokolenia. Żeby w którymkolwiek narodzie szlachta, po większej przynajmniej części, nie była z innego pokolenia niż sam naród, trzeba byłoby przypuścić, że ten naród od pierwszych swych początków nigdy nie był przez nikogo podbity, czego żadną miarą przypuścić nie można, bo w takim stanie towarzyskiego życia, w jakim owe narody były około pierwszych wieków po Chrystusie, jedne musiały koniecznie kłaść się na ziemi zwyciężone, a drugie na nich siadać. Może to moje wyobrażenie jest skutkiem ustawicznego chodzenia koło mongolskich i tatarskich narodów, lecz to pewna, że skutkiem tego napojenia się beduiństwem i zasadami przemian właściwych narodom, zostającym w pierwotnym stanie rolniczego towarzystwa, jest, iż nie mogę nawet pojąć tych rzeczy inaczej. Możeby dobrze było, żeby ci, co chcą pisać o Słowianach, sami pochodzili mocno koło historii wschodnich narodów, gdyż formy dzisiejszego postanowienia towarzystw europejskich nie mogą dać żadnego wyobrażenia o tem, co powinno było dziać się w Sarmacyi. Ale może się to wydać, iż mówię pro re sua.

Co się tyczy drugiego punktu, od którego dotąd nie odstąpiłem, tym jest moja teoria utworzenia się mowy rosyjskiej, którą uważam zawsze za słowiańszczyznę zepsutą w ustach narodów fińskiego, czyli jakbym wołał nazwać, ugrskiego pokolenia. Im więcej o tem myślę, tem bardziej utwierdzam się w tem przekonaniu.

Muszę ci się przyznać, mój szanowny panie Joachimie, że zaczął maleńkie pisemko pod tytułem: „Zasady teorii tworzenia się języków”. Zdaje mi się, że dostrzegł pewnych stałych zasad w tym względzie w dość znacznej liczbie języków, około których chodziłem, postaram się wygotować to na jesień, i będę prosił ciebie, żebyś obowiązał Węckiego o wydrukowanie, jeżeli tego nie znajdziesz zupełnem głupstwem.

List od Daniły z Charkowa tu przyłączam; skarży się on, że mu nie odpisujesz; przyslij odpowiedź na moje ręce
et me ama

J. Sękowski.

Czynność naukowa Sękowskiego była prawdziwie niezmordowana.

Latem tego roku przyjechał był do Petersburga towarzysz jego podróży po Syrii i Egipcie, Berggren, w celu wydania razem z nim słownika arabskiego i wywiezionych przezeń religijnych ksiąg Druzów. Sękowski natychmiast tak żywo się zajął słownikiem, że w niedługim czasie można było przystąpić do wydania onego. Fraehn, po przejrzeniu próbných odbitek, napisał najpochlebniejszą odezwę i obwieszczenie o tej pracy w Pamiętnikach Akademii Nauk petersburskiej. Lecz, z powodu braku funduszy, wydawnictwo na dziewiętnastym arkuszu musiało zostać zawieszona i dopiero w roku 1844 udało się Berggrenowi doprowadzić je do końca w Upsali, z wyrażeniem w przedmowie należytego uznania naszemu orientaliście.

Wymiana myśli między orientalistą i historykiem

wciąż bardzo żywa; przesyłają oni sobie wszelkie swe prace wzajem, wspierają się wzajem w badaniach naukowych, rozwiązywaniu zagadnień zawitych, rozjaśnianiu ciemnych faktów, i wyswiadczają sobie przyjacielskie posługi uczone. Każdy list wymownie o tem świadczy.

List następujący, między innymi, zawiera nader ciekawy ustęp o głośnym oryentaliście niemieckim Hammerze, którego uczoność wybornie Sękowski przyjacielowi charakteryzuje, nim wystąpi otwarcie z napiętnowaniem onej publicznie. Nie rzadki to typ zarozumiałości i czelności niemieckiej w nauce. Cieszy się p. Józef, jako nieodrodny syn sławy a prawy Szubrawiec, że go bez wielkiego zachodu okryje śmiesznością, tem chętniej, że urażony widać nawet osobiście poważny Fraehn na to nastaje.

Petersburg, 11 Sierpnia 1825.

Szanowny mój przyjacielu. Najniesłuszniej mię oskarżasz o opieszałość w odpisywaniu na twoje uprzejme i miłe listy; chyba że ci ich Węcki nie oddaje, ja zaś odpisałem natychmiast przez pierwszego kuryera, doniosłem ci o otrzymaniu artykułów „Recenzji Karamzina”, „Prokosza” i świstka o „Dyamentowskim”, a razem i rozprawy owej o Słowianach (o czem potem) i chciałbym, aby wszyscy tak względem mnie byli dokładni w odpisywaniu rychłem, jak ja jestem względem wszystkich. Doniosłem już tobie, że Karamzina oddał Bułharynowi; jeżeli on nic jeszcze zeń nie zrobił, to zapewne ztąd, że wywichnął sobie nogę i leży od kilku tygodni w łóżku. O Prokoszu zrobiłem z twego po rusku artykuł, który także dla choroby Jespana redaktora, nie wydrukowany.

Syllabizowałem napis monety sycylijskiej i nic nie wy dobyłem; dawałem go memu dobremu przyjacielowi Fraehn'owi, który także nic nie mógł wyczytać. Te rzeczy są trudne do decyfrowania na egzemplarzach oryginalnych, cóż więc powiedzieć o kopii pisanej? Sam wiesz, że nigdy

napisów starożytnych dokładnie wyczytać nie można jak z oryginału, gdzie każdy rys, szczerba, plamka, odcień, prowadzą do nowych kombinacyj i nowe nastęrczają widoki. Dla tego więc, chciej w liście przez kuryera przysłać oryginalny pieniądz; odbierzesz go nazad z największą dokładnością niechybnie przez następnego kuryera. Ten pieniądz jest jeszcze nie wydany, a nawet ile wiem, nie znany zupełnie; są pieniążki kufickie Henryka, ale bardzo małe i napis łaciński zupełnie różny od tego; tej zaś wielkości pieniądz nie był od nikogo jeszcze wspomniany. Możesz widzieć to w „Monete Cufiche de Conte Castiglione”. Bądź więc łaskaw użyzyć nam tego pieniądza; zrobisz przez to wielką łaskę naszemu pocziwemu „Derhemomanowi”, bo tak zowią Fraehn'a.

Hammer wydaje tu w Petersburgu kosztem Rumiancowa „Sur les origines Russes”, wyjątki z pisarzów wschodnich, text obok z przekładem. Będzicie się śmiali do rozpuku; jest to drugi tom jego mądrej książki o Templaryuszach. Głupstwo takie, jakich jeszcze świat nie widział. Hammer zabije tą książką całą swoją reputację orientalisty, bo dowiedzie najdokładniej, że nie tylko jest zupełny nieuk w jeografii i historii wschodniej, ale co większa, że nie umie ani po arabsku, ani po persku (co jest jego cheval de bataille), ani po turecku. Uczeń nawet poczynający podobnych błędów by się nie dopuścił. Ani bym ja mógł wierzyć, że to jest praca Hammera, żebym jego oryginalnego manuskryptu nie miał pod ręką—horrenda! horrenda! horrenda! Nigdy on nie kładł textu obok swych tłumaczeń wschodnich i ztąd nabył sławy orientalnej; lecz nie pojmuję, co za zuchwałość, nie czuć się, że jest słabym w tych językach i kłaść obok text, którego nie rozumie? Tłumaczenie tak jest niegodziwe, że ani jednego peryodu nie ma, któryby najśmieszniej nie był wywrócony. Ztąd, na usilne nastawanie Fraehn'a, przedsięwziętem dać nowe tłumaczenie tych samych textów, które wyjdzie w tymże prawie czasie co

i książka Hammera; powiadam, że będziecie śmiali się do rozpuku; teraz wierzę, że ten człowiek musi być waryat. Wiedziałem zawsze, że jest równie powierzchowny jak próżny, ale nigdy nie spodziewałem się, żeby z tak małym zapasem wiadomości można było nabyć tak wielkiej sławy.

Posyłam ci list Daniłowicza, który się skarży, że mu nie odpisujesz; odpisz, na Boga, bo on do rozpacz przychodzi, i przyslij list na moje ręce. Ściskam cię serdecznie.

Sękowski.

Lelewel waży wysoce każdą myśl Sękowskiego, każdy pomysł, każdy zarys, i podnieca go nieustannie do rozwijania onych w opracowaniach bardziej skończonych, tem bardziej, gdy żywy nasz orientalista, niewyczerpany w pomyślach, wiele rzeczy notował jedynie, naszkicowywał, a potem skazywał na niepamięć, „ad usum delfini” — jak powiadał.

Widać historyk nastawał niedawnymi czasy na wydanie jego poglądów na szlachtę polską, oraz na języki, w następnym liście bowiem jest odpowiedź na to. Zapowiada w nim Sękowski wystąpienie swe w osobnem piśmie przeciw Hammerowi, żeby już „z błotem zmięszać Niemca”; ma tam dołączyć w tłumaczeniu francuskim i ustęp Lelewela o Słowianach. Lecz co to za piśmko? — nie wiemy. Czyby to miał być pierwszy zeszyt późniejszego satyrycznego „Listu Tjutjundżu-ogłu”? Niema śladów innych.

Za to rozprawę Surowieckiego o Słowianach Sękowski zbyt lekceważy, w lekceważeniu tem posuwając się aż do przesady. Przeciwnik z niego wielki, jak nazywa, „sclavomanii”.

Najbardziej zaś go oburza owoczesny zwrot badaczy ku Indyom, w myśli odnalezienia tam pierwotnej kolebki ludów aryjskich — indo-europejskich. Był on takim przeciwnikiem tego poglądu, że nawet sanskrytu długo poznać nie chciał.

Musimy tu przy okoliczności zrobić uwagę, iż Sękow-

ski znał mnóstwo języków, filologiem teoretykiem atoli nie był właściwie. Okazał się on nawet niezdolnym prawie pojąć znaczenia sanskrytu i ruchu filologicznego w Niemczech, jaki powołały do życia prace W. Humboldta. Lecz odrzucając idee i hipotezy obce, pałał on pragnieniem namiętnem postawienia czegoś nowego. Nie będąc zaś w stanie stworzenia żadnego systematu, żadnej teorii, dochodził do dziwnego stąd rozdrażnienia.

Gdy tedy tak surowo sądził tu Surowieckiego i gotował się zdeptać Hammera, wystąpiono też ostrze zbyt przeciw niemu samemu w Warszawie—za *Collectanea*. Uderzył nań *Dziennik Warszawski* przedewszystkiem, a dalej i inne pisma.

Zapowiedział już był wszakże autor dawniej, że na krytyki odpowiadać nie będzie; a jednak, teraz oto, doprowadzony widać do najwyższego stopnia rozdrażnienia, chwytając za pióro, dla obrony zarazem swej osobistej, jak i przedmiotu samego, by jednym ciosem niby powalić wszystkich przeciwników.

Ciekawe przytem bardzo, co sam Lelewel trzymał i wypowiedział Sękowskiemu o *Collectaneach*? Była to rzecz bardzo drażliwa. Zdaje się — poważnego historyka zajmowała jedynie bogata treść podawanych tam źródeł nowych; uwagi zaś ekscentryczne wydawcy pomijał dobrodusznie.

19/31 Sierpnia 1825.

Szanowny i łaskawy Panie Joachimie. Dziękuję ci nieskończenie za twe łaskawe interesowanie się za memi bazgraninami; lecz muszę ci powiedzieć szczerze, że to, com pisał wtenczas, już nie żyje zupełnie, tak jak wiele bardzo rzeczy, o których coś napiszę, a potem ad usum delphini obracam; z tem wszystkiem niektóre punkta względem języków i polskiej szlachty, z którą nie mogę zgodzić żadną miarą mej głowy, żebym nie poczytywał za innoplemienną od reszty narodu, tkwią mi cokolwiek w pamięci. Lecz

mniejsza o szlachtę, bo to są zawsze „divagationes”, gdzie się tylko mówi o początkach narodu; ale niektóre moje tam wyrażone uwagi o językach, które mają cokolwiek gruntowności, umieszczę w książeczce, którą teraz wydaję przeciw Hammerowi; muszę Niemca z błotem zmieszać i pokazać całej Europie, że jak był powierzchowny i śmieszny w swoich Templaryuszach, tak jest formalny nieuk w swym orientalizmie.

To przechodzi wszelkie wyobrażenie; on nie zna pierwszych zasad tych języków. Ale to nie koniec na tem, tak rzeczy wypadły z planty (termin szlachecki) z moim poczciwym przyjacielem Fraehn'em, że twoja rozprawa o Słowianach będzie w mojej książce wydrukowana po francuzku: na przyszłym tygodniu siadam ją tłumaczyć. Już tu niema żadnych wymówek, od tego się nie wykręcisz, Panie Joachimie, i wszystko, co ci pozostaje do uczynienia, jest to, iż możesz mi niebawnie przysłać jeśli masz jakie odmiany, poprawy lub dodatki, ażebym je pomieścił w tłumaczeniu. „C'est décidé”, nie wymawiaj się od tego, bo ja żadnych wymówek nie przyjmę; ayez donc l'air d'y consentir de bonne grâce. Czekam rychłej odpowiedzi.

List do Daniły dziś odesłany. Rumiancow jest tu w Petersburgu. Bułharyn był u mnie wczora i mówił, że twoje artykuły będzie drukował we wrześniu.

Co się tyczy rozprawy Surowieckiego, nie nakładaj na mnie tego obowiązku, żebym o niej co mówił, bo do tego stopnia nie mam czasu zajmować się podobnemi rzeczami, iż ledwo mam chwilę napisać list za interesem. Napisałem w liście do ciebie kilka grzeczności dla Surowieckiego, dla tego, żebyś mu ten list pokazał i żeby to służyło mu za podziękowanie za jego grzeczność; lecz ja wcale innego jestem zdania względem jego rozprawy, którą uważam za arcy mierną, źle napisaną, źle pojętą, bez żadnej nowej myśli, bez żadnego szczęśliwego zbliżenia i kombinacji; wszystko są rzeczy oklepane i te jeszcze źle wyrażone. W ogólności

nie lubię sklawomanii. Próżność w takich razach pokazuje zawsze człowieka powierzchownego, który sam nie myśli, ale tylko pędzi przez swą głowę cudze wyobrażenia, a do tego jeszcze wszędzie ta nieszczęśliwa Indyja! czy oni poszaleli! chcą nas koniecznie na cyganów przerobić. Nie mówię żeby w jego rozprawie nie było rzeczy dobrych, ale to wszystko są rzeczy wiadome, loca communia. Spodziewam się, że mu tego nie powiesz, bo zdanie moje otwieram tylko przed tobą; nie mam potrzeby smucić ani obrażać Surowieckiego.

Czekamy z Fraehn'em na twój pieniądz, przyslij go koniecznie.

Czytałem banialuki popisane w Dzienniku Warszawskim; jak uważam, Redaktorowie muszą być ci sami co w byłej Gazecie literackiej, z tą różnicą, że przy Gazecie był ktoś, co lepiej nieco znał polską grammatykę. Cóż to za osły! nie umieją nawet dać przyzwoitej formy temu co piszą, i zrobić co zowią un article de journal; piszą jak studenci.

Chociażem postanowił był nic nie pisać, ani odpowiadać na żadne krytyki, ale proszę cię, umieść w któremkolwiek piśmie, to co tu znajdziesz obok; prosiłbym cię dać to Bibliotece Polskiej, z warunkiem tylko, żeby natychmiast było wydrukowane, albo i Gazecie jakiej, np. Monitorowi lub Kuryerkowi. Dla czego Węcki nie odsyła mi pieniędzy, które winien—to człowiek zabawny! po kilka razy pisał do mnie pytając się, co ma czynić z tem co mi winien: i kiedym mu odpisał, tedy nakrył się ogonem.

Ściskam cię serdecznie.

Sękowski.

Uczynność, usłużność, gotowość zajęcia się wszelkiemi zleceniami Lelewela — niezmordowane ze strony Sękowskiego; czy to chodzi o przysłanie mu blach naprzykład,

czy o wyczytanie kufickiego pieniążka i t. p. Oto znowu dwa listy z rzędu: jeden bez daty, a drugi wrześnieowy.

Kochany Panie Joachimie!

W tym momencie otrzymałem twój ostatni list i natychmiast odpisuję. Pisziesz mi o blachach, odwołując się do listu Węckiego, a Węcki nic o tem do mnie nie pisał, ztąd zapewne, że winien mi cokolwiek i że pytał się już dwa razy, co zrobić z tem co mi winien, ja zaś mu zawsze odpisałem—odesłać,—a on dotąd nie uskutecznił tego; a zatem musi się wstydzić prosić mnie o nowe sprawunki; z tem wszystkim, chociaż nie wiem, ani jakiej wielkości, ani wiele blach potrzebujesz, postaram się jednak, spuszczając się na mój orientalny rozum, wybrać i przysłać ci kilka przez następnego kuryera, bo dziś (we środę) już późno. Powtarzam i tu jeszcze, przyślij oryginalny pieniądz. Adieu.

Co wyraziwszy, piszę się

J. Sękowski.

I znów sprawa blach i pieniążka.

NB. Miejsca kropkami oznaczone wskazują wyrazy piśmem arabskiem w oryginalnym liście napisane.

2/14 *Września 1825.*

Szanowny Panie Joachimie. Posyłam ci dwie blachy, ważące razem ośm funtów, a każda z osobna po cztery funty, funt zaś po rubli assygn. dwa i kop. 50, tak iż jedna blacha kosztuje rubli dziesięć, kazałem je robić umyślnie u Nordgrist'a, najlepszego tu majstra na to, od którego blachy bierze nawet sam Utkin, profesor rytowania, w tejże cenie. To zabawna jednakże, iż w trzech listach pisząc o blachach i odpowiadając na moje pytania, nie chcecie nigdy powiedzieć, wiele blach potrzebujecie, wiele zakazać ich robić, jakiej grubości, jakiej wielkości; ja kazałem zrobić takich blach dla was sześć, i po dwie będę posyłał co ku-

ryera; jeżeli się wam nie podobają, to sami sobie przypiszcie winę, bo nie wielka było napisać, że blacha mieć powinna tyle cali szerokości, tyle długości, tyle zaś linii grubości. Ponieważ rozumiem, że do trawienia serwaserem potrzebujecie blach, więc umyślnie kazałem zrobić grubsze, żeby dłużej trwały i wystarczyły na trzy razy.

Co się tyczy pieniądza, z wielką boleścią serca, umartwieniem i smutkiem odsyłam nazad, nic nie umiem powiedzieć o nim. Fraehn, najbieglejszy w Europie decyfrator kufickiego pisma, trzy dni nad nim siedział i nic nie wyczerpnął, ja po nim jeszcze pół dnia straciłem nad tą monetą, lecz ani słowa wyciągnąć nie można, jest bardzo zdegradowany exemplarz. W pierwszym wierszu daje się dość wyraźnie czytać el imân, później Bóg wie co było; drugi wiersz nie daje się wcale decyfrować; w trzecim jest lekcyca bardzo wątpliwa el muqtedi billah (wyraz „billah” w Boga, na Boga, jest dość wyraźny), która nie może się znajdować na chrześcijańskiej monecie; wreszcie wiele liter braknie do tej lekcyi. Jest to idea Fraehna, mnie zaś, pracującemu po nim, udało się wyczytać w tem słowie, jak się zdaje „temedźdźedna lillâh” magnificamus te Deum kufickiem pismem, co zdaje się zupełnie odpowiadać oryginałowi. Znajdziesz na papierku, w który ta moneta obwinięta, własną ręką Fraehn’a napisany wypadek jego wyczytywania; lecz ja nie wątpię, iż moja lekcyca jest prawdziwą; możesz to sam widzieć, porównywając ten wyraz, którym tu napisał, z trzecim wierszem monety Fraehna (assala Dei) kufickiem pismem tak się ma, co z pierwszego rzutu oka jest już niepodobne do oryginału. Żeby mi czasu zostawało, pokazałbym Fraehnowi mą lekcyę i rozumiem, iżby się na nią zgodził, bo jest oczywista. Czwarty wiersz nie do wyczytania. Tak więc ten wyraz „magnificamus te Deum” pokazuje, że nie ma w tym napisie żadnego imienia własnego, lecz tylko jakaś formuła nabożna, albo modlitwa. Nie trzeba ztąd wnosić, że jest moneta

późna, iż są punkta na literach; już dziś jest dowiedziona, że w dziesiątym wieku pismo „neschy” z punktami było znane, różne pomniki historyczne o tem przyświadczyły, jak i niedawno bardzo znaleziony w Egipcie rękopism arabski na papyrusie. Ja sądziłbym z Fraehnem, że ten pieńiądz należy nie do Henryka cesarza, lecz do Normanów Sycylijskich. Daty bez żadnej wątpliwości nie ma w tym napisie. Dobrzebyś zrobił, żebyś go wydał.

Ściskam cię serdecznie po tysiã razy,

Sękowski.

Tymczasem wznosiła się powoli przeciw Sękowskiemu burza, a co więcej—ze strony, z jakowej może, we własnem przekonaniu, najmniej on się jej spodziewał.

Rzecz to zbyt znana i pod każdym względem zbyt smutna.

Jak wiadomo, orientalista nasz był podniesionem do najwyższego stopnia wcieleniem ducha rozproszonego teraz po świecie towarzystwa Szubrawców; tyle w nim było głębokiej powagi naukowej i trzeźwego zapatrywania się na życie, ile z drugiej strony satyrycznego nastroju i pesymizmu. Wypowiadało się to we wszystkim: w powszedniem życiu towarzyskiem, w stosunkach i korespondencyach z uczonymi, nareszcie w pismach jego, nie tylko ulotnych, lecz i najpoważniejszych. Pełne też ironicznego krytycyzmu, na nieszczęście podniesionego nawet do przesady, były dopiski i komentarze do jego tylko co ukończonych *Collectaneów*. Rozdrażniły tedy one wielce owoczesną rzeczpospolitą piśmienniczą polską i całą niemal publiczność wykształconą, tem żywiej, ile że to była epoka, jak sobie z dziejów przypominamy, wysokiego narodowego wyczerpania. Uderzono zatem zewsząd na fantastycznego na zimno ganiiciela przeszłości. Nadto, co przyznać trzeba, robiono mu zarzuty po większej części bez znajomości rzeczy, co gorzej—niezdarnie. Nawet to, co starano się podnieść, jak naprzykład jego po

francusku w przeszłym roku wydane „Supplement” do historii Hunnów, Turków i Mogołów, podnoszono równie nieumiejętnie.

Jak to wszystko przyjmował wtedy Sękowski — widzimy z jego listu do Lelewela. Ugodzono go widać, nie przeczuwając może, w samo serce. Widzimy, jak się miota w oburzeniu, robiąc wyrzuty Dziennikowi Warszawskiemu, Warszawie, krajowi. Duma jego upokorzona najbardziej tem, że go niepowołani ośmielają się sądzić; surowe zdanie o Collectaneach Biblioteki Polskiej nie obraża go wcale; dawnego zaś towarzysza wileńskiego aż uściskał za sąd jego tyle żartobliwy, ostry, ile prawdą głęboki, że właśnie Collectanea są to „Wiadomości brukowe z tureckich dziejów zebrane”. Naprawdę bowiem jest to zawsze bardzo poważna w piśmiennictwie naszym historyczna praca, opatrzona mniej poważnemi, lekkimi niejednokrotnie uwagami pokutującego w uczonym wydawcy Szubrawca.

Na posądzenia dotkliwie ma jedną tylko w oburzeniu odpowiedź, że to po prostu „głupstwo”!

Zabawnie tedy naprawdę wyglądają powieści jego rosyjskich biografów i krytyków, którzy, jak naprzykład Stawrow (str. 9), powtarzają na wiatr, jakoby Sękowski, wydając Collectanea, miał na widoku narobienie wrzawy i doprowadzenie umyślne swych ziomków do najwyższego stopnia rozdrażnienia, w odwet niby za ich zapamiętałą niechęć ku niemu za mniemane odstępstwo.

Zgoda — sceptycyzm jego i drażliwość wzrastały bez przerwy. Zakorzeniły one się już od dawna w jego naturze i potęgowały się stopniowo pod wpływem okoliczności. Na Wschód rzucił się on jako entuzyasta, marząc, pod wpływem Grodecka, o znalezieniu tam skarbów, nieznanym dzisiejszemu rozumowi. Skarbów tych nadzwyczajnych wszakże tam nie znalazł, natomiast przejął się sceptycyzmem dla uniesień orientalistów. Podobną niewiarą otaczał wszystko; nie inaczej też patrzył i na domowe świadectwa o przeszło-

ści własnego narodu. Ale drażnić bez celu swych ziomków, jako takich, nie mógł on mieć na widoku.

Nie trzeba przytem zapominać, że Sękowski wywołał zupełnie podobne rozdrażnienie w towarzystwie rosyjskiem przez wydanie po rosyjsku w lat kilka (1842) potem „Pamiętników Resmi-Achmed-Ef.” o wojnie Porty z Rosyą 1769 — 76 roku.

Ustęp jeden z Collectaneów, mianowicie „Podróż Derwisza Muhamed-Ef. do Rosyi w 1755”, wydał autor po rosyjsku w Bułharyna Archiwie Półn. jeszcze w następnym (1826) r.: p. Tadeusz nie darowałby sobie, żeby z okoliczności nie skorzystać.

14/28 Października 1825.

Szanowny i łaskawy panie Joachimie; otrzymałem dwa twoje ostatnie listy, nie odpisałem natychmiast, boś mi wyraził, że wyjeżdżasz na Wołyń; teraz piszę w nadziei, że cię mój list znajdzie reducem ad lares. Twoją dySSERTACYĘ zacząłem tłumaczyć, ale przerwałem tę pracę z powodu, że mię kanclerz obowiązał wydać natychmiast kronikę Derbendu (Porta Casspia), w której mówi się wiele o Chazarach. Te nagle wydanie, które on chce widzieć niezwłocznie, bojąc się śmierci, zatrzyma nieco moje pismo przeciw Hammerowi. Napisałeś mi coś, że Niemcewicz będzie z tego kontent czy nie kontent? nie wiem, bo nie wyczytałem tego miejsca w twoim liście, objaśnij mi to. O Castiglione przysługę cokolwiek później.

A niechże im Pan Bóg odpuści, tym panom wydawcom Dziennika Warszawskiego; cóż to za osły! nie umieją zrobić porządnego artykułu z gotowej książki, bredzą ni w pięć ni w dziewięć; ich recenzya mego „Supplement” jest godna politowania. Nie domagam się być chwalonym od ludzi prawdziwie uczonych, ale przyznam się, że jestem upokorzony, odbierając pochwały od takich osłów i pochwały tak nietrafne, bo żaden z nich nie wiedział, ani się domy-

ślił, w czem prawdziwa wartość tej książki zależy, i co w niej jest rzeczywiście słabego — Boże! zlituj się nad takimi głowami; a piszą! lepiejby poszli grać w bilard. To wstyd dla Warszawy i Polski, pisać i czytać takie artykuły; nie dosyć że są słabe i powierzchowne, ale jeszcze bez żadnego gustu, bez zręczności, bez wprawy do pisania dziennikarskich artykułów, skreślone. Adieu.

Ściskam cię po tysiąc razy,

Sękowski.

Oni mi nie mogą darować Collectaneów i wyobrażają sobie, że ja napisałem je w duchu anti-polskim; ci, co mnie znają, są przekonani wcale inaczej. Jak można sobie takie głupstwo wyobrażać. Krytyka najcierpsza, byleby była sprawiedliwa, albo przynajmniej dowcipna, nietylko mnie nie oburzy, ale ucieszy; jednakże przykro jest wpaść w ręce osłów, którzy denaturują rzeczy, nie zaś sądzą o nich. Biblioteka Polska powiedziała daleko gorzej o Collectaneach niż oni, lecz ponieważ powiedziała to w sposób przyzwoity i bez żadnych pretensyi, ja bardzo jestem kontent z jej artykułu, bo szanuję zdanie każdego, a tylko głupiego rozumowania nie cierpię. Najdowcipniej i najrozumniej z nich wszystkich powiedział Franciszek Malewski, że tchnie jeszcze w tej książce duch szubrawski, i nazwał ją „Wiadomości brukowe z tureckich dziejów zebrane”. Nie tylko się nie obraziłem za to, alem go szczerze uściskał za żart tak dowcipny, bo nawet jest bardzo trafny. Ale z nich żaden nie jest w stanie powiedzieć tak dobrze.

Dotknięty do żywego surowymi zarzutami, jakimi została przyjęta pierwsza jego większa praca w języku ojczystym i przeszłości narodu dotycząca, mimo zapowiedzianego z góry milczenia na wszelkie krytyki, postanowił jednak, jak już wiemy, na nie należycie odpowiedzieć. Napisał tedy był odpowiedź i powierzył umieszczenie jej w jakim

piśmie warszawskiem Lelewelowi. Cenzura wszakże robiła, jak widać, niemałe trudności. Aż tu w początku następnego (1826) r. orientalista nasz prosi już sam historyka, aby ten druk jego odpowiedzi „dla pewnych przyczyn osobistych” powstrzymał.

Odpowiedzi tedy nie było. A nieodżałowana to szkoda i dla treści naukowej i dla ducha, w jakim pisana: właśnie charakter tego pisma obrończego byłby nam dziś znakomicie wytlómaczył wewnętrzny stan jego duszy, nawet pod względem uczuć obywatelskich — o co nam w tym szczególnie razie najbardziej chodzi.

Co zaś do sądu naukowego o *Collectaneach*, doczekały się one takowego, jak wiemy, dopiero w r. 1846. Wypowiedział go znany orientalista Warmijczyk Pietraszewski w dziele swem p. t.: „Nowy przekład dziejopisów tureckich dotyczących się historii polskiej”, wydanem w Berlinie. Ale cóż? sąd ten, jak i poprzednie, był równie namiętny i przesadny; nowy zaś przekład tych samych co w *Collectaneach* źródeł naprawdę był nieraz tylko „dziecinną fleksją” — jak to dosadnie w *Przeglądzie Pozn.* ktoś powiedział.

Na ile zaś rozdrażnienie moralne mogło wpłynąć na chorobę Sękowskiego, o której on w liście swym wspomina, wiedzieć tego nie możemy; dość, że zmitrężyła ona go wielce w jego pracach. Przyłączyła się do tego śmierć kanclerza Rumiancowa, posiadacza znanego głośno muzeum, stałego protektora naszego orientalisty, nie zbyt wcale przecie hojnego, jak widzimy, protektora nauk, oraz pewne zaburzenie w stolicy po śmierci cesarza Aleksandra I-go i przygotowania do pogrzebu.

Nie rozumiemy, o jakąby tu orientaliście rozprawę nową Lelewela chodziło.

Dotyka tu niemniej Sękowski dość śmiało oplakanego stanu uniwersytetu petersburskiego.

Z listu tegoż dowiadujemy się o bliższych stosunkach naszego orientalisty z Waleryanem Krasieńskim, znanym póź-

niej ze swych prac w języku angielskim, dotyczących reformy religijnej w Polsce.

3/15 *Marca* 1826.

Zwłóczyłem dotąd odpis na twój szanowny list, łaskawy panie Joachimie, chcąc ci na blachach odpisać podziękowanie ore perennius za twoje trudy około wydrukowania mojej na recenzją krytyki; teraz pozwól mię prosić ciebie, ażeby ta krytyka nie była drukowaną, nawet choćby cenzura dozwoliła, nie życzylibym mocno tego, dla pewnych przyczyn osobistych.

Choroba moja pomięszala mi wszystkie szyki; wkrótce po niej umarł Rumiancow, brat jego wyjechał był do Homla, zamknąwszy jego bibliotekę, i kronikę Derbendu w druku zatrzymać musiałem na piątym arkuszu, gdyż potrzebuję jednego rękopismu z tej biblioteki, którego mieć nie mogę aż po jego przyjeździe. On jutro ma być tutaj, bo już jest w Carskiem Siole, przy ciele zeszłego monarchy. Spodziewam się rozpocząć ją znowu za tydzień, gdyż kanclerz zostawił na to fundusz, aczkolwiek lichey, 600 r. ass.

Krytyka na Hammera gotowa, wyjąwszy twoją dyssertację, lecz samo dzieło dotąd nie wyszło, z powodu śmierci kanclerza. Postaraj się skończyć prędzej twą rozprawę. Artykuły twoje o Prokoszu i recenzję Karamzina ja sam teraz tłumaczę na rosyjski język; powinieneś wybaczyć, że się dotąd spóźniono, nie wina wydawców ani moja, lecz okoliczności. Grecz ciężko zachorował, tak, że Bułharyn został sam jeden pisarzem, wydawcą i korektorem trzech dzienników, i nie mógł się żadną miarą zająć twemi artykułami. Przytem ma jeszcze tu proces, który od czterech miesięcy agituje się w Radzie stanu. Trzeba więc im wybaczyć, bo znajdowali się w prawdziwie trudnych okolicznościach.

Co do mnie, chociaż teraz zdrów jestem, lecz zatrudnienia nadzwyczajne tak mi mało czasu dotąd zostawiały! Nieszczęśliwe dziekaństwo jest przyczyną, że czasami pracuję

dzień i noc nad kaziennemi bumagami. Uniwersytet nasz w strasznym odmęcie; nasz kurator, który go zrujnował moralnie, jeszcze narobił takiego bigosu, że mu trudno będzie samemu z tego wyleźć, rozmarnotrawiono ogromny kapitał 1,300,000 rub. ass., rachunki w nieładzie, i teraz pracować trzeba pro salute sua, żeby samym nie przyszło zapłacić za którekolwiek z bezecnych głupstw osób, które obrały naszemi kapitałami. Spodziewamy się jednak, że wszystko skończy się wkrótce i skończy się szczęśliwie dla tych co nie są winni; naznaczona komisya obrachunkowa na naszego zacnego Popczykela.

Miednik, który twe blachy robi, oszukał mnie już raz drugi; miały być już gotowe na przeszłą środę, posyłałem po nie dzisiaj i jeszcze aż jutro przyrzekł mi dostarczyć. Prawdę powiedziawszy, rzemieślnicy, którzy teraz zawód czynią, są sami niewinni. Pogrzeb, katafalki, ozdoby pogrzebowe i t. d. zajęły ich wszystkich i w rzeczy samej nie mają czasu. Pojutrze przybywa tu ciało ulubionego monarchy, którego śmierć zabrała, całe miasto w rozruchu, wszyscy biegają.

Vale et nos ama.

J. Sękowski.

Kraśińskiemu pokłoń się odemnie i powiedz mu, że staram się wszędzie kupić dla niego żadaną książkę, ale nie znajdując dotąd, nie mogę mu odpisać na jego lube wyrazy.

Niezależnie od rozdrażnienia, jakie Sękowski obudził w pewnej części publiczności swemi uwagami w *Collectaneach*, poważne koła naukowe w jego społeczeństwie rodzinnem wysoce cenily jego prace i zasługi i starały się tem bardziej mu to dowodnie okazać.

Członkiem Towarzystwa Przyj. Nauk Warszawskiego był on już od roku 1823; w tym roku zaś (1826), w sierpniu, Akademia Krakowska przyznaje mu stopień doktora

filozofii, a następnie w listopadzie i Towarzystwo Naukowe w Krakowie zrobiło go swym członkiem.

Pracował też ten człowiek wciąż niezmiernie. W tymże roku, na prośbę prof. Kruzego, przejrzał i uporządkował notaty o języku arabskim, pozostałe po znakomitym i nieszczęśliwym podróżniku Setzenie, otrutym w Arabii. Dołączył do „Podróży do Buchary” bar. Meyendorffa dwa ustępy w języku francuskim: „Opis monet bucharskich” i „Uwagi o drodze handlowej z Semipałatyńska do Kaszmiru”, tłómaczone z perskiego. Lecz odpowiedź Hammerowi przewlekała się, z powodu, że samo, dawno zapowiedziane i znane oczywiście Sękowskiemu w rękopiśmie, głośnego orientalisty niemieckiego dzieło nie wychodziło; treść zaś samej odpowiedzi miała tymczasem przybierać coraz bardziej w umyśle dawnego Szubrawca, z poważnej, postać humorystyczną.

Po ostatnim liście z marca 1826 roku nastąpiła długa, z górą dwuletnia, w korespondencyi Sękowskiego z Lelewelą przerwa. Co ją wywołało — trudno nam dziś to wytłómaczyć, odgadnąć. To jedno niewątpliwe, że tu do pewnego stopnia grała niemała, zdaje się, rolę sam psychiczny stan, w jakim tymi czasy znajdował się nasz orientalista. Słowem, domowy, rodzinny jego stosunek, stosunek — z żoną. W roku tedy 1827 ani jednego listu do Lelewela nie napisał.

Co porabiał przez ten czas? Oczywiście, swoim zwyczajem, pracował i pracował dużo.

Lecz — może trzeba naprawdę zgodzić się na to — owo nieskończone pragnienie pracy, owa nieprzerwana potrzeba zajmowania myśli przedmiotami, coby były zdolne ją pochłaniać, pochodziły po części stąd, iż czuł się on nieszczęśliwym. W wieku, kiedy większa część mężczyzn szuka przyjemności i rozrywek, przywykł on był do trybu życia, od którego nie mógł już się odzwyczaić i potem, gdy już okoliczności się zmieniły. Nie posiadając szczęścia osobistego w kółku rodzinnem, tem bardziej pograżał się on w pracy.

Ożywiony był nadto dumą niezmierną, która, przy jego niepodległym a fantastycznym usposobieniu, wskazywała mu osobną, wyłączną drogę.

Tymi czasy Sękowski był wysyłany z Petersburga na wizytację szkół wileńskiego okręgu naukowego, zależącego widocznie już znów od ministerjum bezpośrednio, nie zaś od wielkiego księcia w Warszawie. Wizytacja ta zapewne odbyła się w początku 1827 r. właśnie. Miał on surowo bardzo odbyć przegląd szkół, wykrywając wszędy nieporządki i nadużycia. Ile wszakże znajduje się prawdy w insynuacji, jakoby orientalista nasz—„szubrawiec” dośledzał tajemnych stowarzyszeń między młodzieżą, odbierał dziatwie wierszyki zakazane i t. p. — nic o tem istotnego nie wiemy.

Strona rodzinnego życia naszego orientalisty była dla niego przedmiotem najbardziej drażliwym; nie lubił on i później o tem wspominać, tak, że nawet żona jego druga niewiele co wiedziała, przenosząc, jak sama w swych Pamiętnikach (str. 16) nam powiada, odprowadzać go od smutnych wspomnień, niżeli powody ku nim nasuwać. W Pamiętnikach jej wszakże znajdujemy pewne oderwane wskazówki.

Praca tymczasem szła swoją drogą. Wydał on w tym roku, w sędziwej stolicy Piastów i Jagiellonów, zabytek przedwiecznej starożytności, mianowicie kopię litograficzną demotycznego papyrusa, przezeń wywiezionego z Egiptu — pod tyt.: „Exemplum papyri Aegyptici etc. Edidit J. Sękowski. Cracoviae 1827 in foł.” Ustępując zaś niezwalczonej natarczywości Bułharyna, wydał w jego „Pszczole Północnej”, pierwiej w skróceniu rosyjskiem, niż po francusku, tak od dawna zapowiedzianą, a tyle potem głośną, odpowiedź jego Hammerowi pod tyt.: „List Tjutjundżu-Ogłu etc”.

Został nadto Sękowski w tym roku członkiem Towarzystwa Azyatyckiego w Londynie.

Ówczesna panna Rall podaje nam (str. 19) ciekawy szczegół, przechowany pamięcią jej serca, iż Sękowski po

powrocie z wizytacji długo w domu jej rodziców nie pokazywał się, a gdy nareszcie przyszedł, znalazła ona w nim straszną odmianę. Piękne jego czoło, skarbnica dla niej wszystkich skarbów myśli, było ponure i stroskane; w wyrazu pełnych oczach dawał się wyczytać niepokój i ból głęboko ukryty... Był on niezwykle poważny, jakby niepewny siebie — i odwiedzał dom ich tej zimy bardzo rzadko.

Zimę z roku 1827 na 28 towarzystwo polskie w Petersburgu spędziło bardzo żywo i wesoło nawet. Bawił tu Mikołaj Malinowski i Aleksander Chodźko, przyjechali byli na czas z Moskwy Adam Mickiewicz i Franciszek Malewski. Uczony starożytnik pisze pod d. 9 stycznia 1828 r. do Lelewela: „Przybycie Mickiewicza do Petersburga sprawiło niesłychaną sensację. Rosyanie i Polacy prześcigają się w okazywaniu mu poszanowania. Prowadzimy życie prawdziwie karnawałowe, jedne obiady, aż za północ przeciągające się, szybko idą po drugich...” (Korespondencya Mickiewicza, tom II-gi, str. 29). A z Pamiętników tegoż Malinowskiego, po łacinie pisanych i zostających dotąd w rękopisie, widzimy, iż Sękowski bardzo był gorliwym uczestnikiem żywych owych zgromadzeń i biesiad ziomków. Bywał on wszędy i czynnie należał do każdej biesiadniczej rozrywki, rozprawy, dysputy, które sam wyzywał namiętnie i zawzięcie je podtrzymywał, przyczem rzucał się swoim zwyczajem na wszystko, rozkoszując się niejako możliwością sceptycznego drażnienia przeciwników, i sypał paradoksami; lecz niemniej też bawił towarzyszy anegdotami zajmującymi, dowcipem i humorem, czasem zaś podsuwał nawet największemu z poetów narodu temata do improwizacji. Zawsze uszczypliwy, był on w tej epoce życia swego tem zjadliwszy, ile że wnętrza jego własne, rozstrój życia domowego, które wtedy targał — właśnie doszedł był do swego kulminacyjnego punktu. Zresztą, co więcej, — nie mogąc, nie będąc w stanie, wyosobnić się z koła ziomków, z którym go tysiączne węzły psychiczne nierozzerwalnie wiązały, a widząc ochłodzenie

powszechnie ku sobie tych, których towarzystwo przecie było dlań najwyższą rozkoszą — potrzebował on, jakby dla ulgi sobie, zółć swą, przy wszelkiej zdarzonej okoliczności, wylewać...

Że tacy dwaj ludzie, jak Sękowski i Mickiewicz, musieli stawać, przy lada zetknięciu się, na dwóch przeciwnych biegunach — było to nieodzownością ich natur, wręcz sobie przeciwnych, nietylko pod względem moralnym, ale i psychicznym wogóle. Co było przedmiotem miłości, czci, uwielbienia dla poety, stało się dawno celem sarkastycznych pocisków zgorzkniałego satyryka. Uwydatniło się to najskrajniej na tych swobodnych koleżeńskich wieczorach właśnie.

Mickiewicz porywał tu współbiesiadników swemi natchnionemi improwizacyami, Sękowski bawił ich do rozpuku lub drażnił bezdusznie. W Pamiętnikach wyżej wymienionych znajdujemy wspomnienie paru bardzo charakterystycznych jego anegdotek i wystąpień (*Plurima salia et facetiarum plena narrata sunt ab illo, wspomina Mal.*).

Raz naprzykład opowiadał on o koleżeńskim swem kole profesorów uniwersytetu, wśród których znany był wtedy pewien Bogolubow, prof. prawa krajowego. Ten miał szczęśliwą okoliczność dania następującego dowodu swej uczoności. Oto minister oświaty poleca uniwersytetowi rozpatrzenie pewnych dzieł, które mogłyby być użyte jako podręczniki naukowe dla szkół. Pomiędzy innemi były tam dwie „Chrestomatye” (wypisy), jedna grecka Jacobsa, druga zaś niemiecka Gedickego. Bogolubow, spojrzawszy na tytuł, rozumiejąc, iż treść tych dzieł traktuje o Matce Chrystusa Pana, zawnioskował, ażeby odesłano je do św. Synodu na rozejrzenie, i nie chciał słuchać żadnego tłumaczenia...

Z Mickiewiczem zapalał się zawsze spór od pierwszego spotkania.

Na obiedzie u Malinowskiego (18 grudnia) zwarli się oni z sobą żartko o Kontryma. O co tam chodziło właściwie — nie mamy podanego; ale bodaj czy nie zwrócił

się już był nasz orientalista, w zgorzkniałej swej duszy, nawet przeciw temu zacnemu mężowi, któremu tyle był winien... Potem szły inne spory, w których, o ile Sękowski walczył sarkazmem (*mordacitatis cynicae exempla egregia protulerat*), o tyle Mickiewicz potężną siłą swej dyalektyki. Po obiedzie uderzył na poetę nasz sceptyk, jako orientalista. Dotknął on krytycznie jego niedawno wydanych „Sonetów Krymskich”, zarzucał mu, iż wielce pobłądził, że chciał oddać w swych wierszach metafory i sposoby mówienia wschodnich ludów, nie znając ani ich języków, ani literatur. Dotykał niemniej też pojedynczych wierszy — on tyle wyćwiczony w cenzurowaniu (*censoria virga instructus*). (Z przekąsem notuje to gospodarz pamiętnikarz, dodając, że wyznać przytem należy, iż po większej przecie części robił zarzuty ostre, dowcipne a słuszne.)

Za to wkrótce na obiedzie u Bułharyna (27 grudnia) uderzył Mickiewicz na Sękowskiego. Byli tam wśród gości: Malinowski, Malewski, Orłowski — malarz, Linowski, Chodźko, Łęski, Jelski, Sapięha. Wśród rozmów wesółych i żwawych dysput wspomniano Wilno; Mickiewicz z Malewskim występowali żartko przeciw Sękowskiemu. Ten im zarzucił, że nie mają prawa wydawać sądu o ludziach wileńskich z przed lat dziesięciu, gdyż sami byli wtedy bardzo młodzi. Ale, korzystając ze zrzęczości, powetował mu Malinowski za dawne czasy, robiąc uwagę, że przecież i on sam nie był o wiele starszy wtedy, kiedy na Wołyniaków i Podolan oszczerstwa (*calumnias*) rzucał — przypominając mu przez to ton jego pierwszych korespondencyi z podróży. Co też zostało przez wszystkich pochwalone jednogłośnie. Ale dopiero po obiedzie, po licznych szklanicach wina, zwał się z nim potężniej poeta, gdy podniesiona została tyle drażliwa kwestya *Collectaneów* naszego orientalisty.

Mickiewicz zarzucał mu, że wiele fałszów umyślnie (*de composito*) w dziele tem podał. Sękowski, dotknięty tem

do żywego, niebo i piekło poruszył, powiada Malinowski, żeby prawdy swych twierdzeń tam dowieść. Próżno nastawiano nań, aby się przyznał do winy, iż w dziele tem porobił pewne własne dodatki. Nie mógł on przekonać swych przeciwników; ale bronił się jednak zręcznie i wykrętnie bardzo (*ingenue et versute*). Przyciśnięty wszakże do muru i do najwyższego stopnia rozdrażniony, wybuchnął gniewem. Wszczęła się tedy po prostu kłótnia między nim a Mickiewiczem, która zaledwie usiłowaniem Jelskiego i Orłowskiego oraz wdaniem się gospodarza — Bułharyna uciszona została. Ale pod koniec wieczoru za to tenże sam Sękowski podsunął pocie, na temat do improwizacji, wyprawę znakomitego wtedy żeglarza Parry do bieguna północnego.

Tak oto spędzało wybrane kółko ziomek koniec roku 1827 w stolicy północnej. Sękowski nie mógł się rozstać z tem towarzystwem, chociaż najczęściej występował jeden przeciw wszystkim.

W podobny sposób spędzono i początek następnego, 1828, roku, póki Mickiewicz bawił w Petersburgu: obiady, dysputy, improwizacje i spory zacięte.

Sękowski jakby szukał tylko okoliczności do wylania swej żółci — nie pytał o nic; nieraz chodziło mu o to jedynie, byle rozdrażnić przeciwników; czem? — było dlań rzeczą obojętną; posuwał się też w zapale dysputy tam, gdzie mu się samemu nie śniło — istny gladyator słowa.

W Pamiętnikach swych przechował Malinowski wspomnienie charakterystyczne z obiadu 15-go stycznia, podobnież u Bułharyna. Podług zwyczaju, zwarli się i tu Sękowski z Mickiewiczem; po stronie poety stanęła reszta obecnego towarzystwa. Dla otrzymania tem łatwiejszego zwycięstwa chciał on rozdzielić przeciwników. Ale na razie z boku uderza nań Malinowski ewangelicznym tekstem: *Venit inimicus et sevit zizania inter triticum et abiiit* — „przyszedł nieprzyjaciół, zasiał kąkol między pszenicę i odszedł” (*Matth. XIII, 25*). Przez co doprowadzony do śmiechu, od zamiaru

odstąpił. Potem za to przecie rzucił się na zwykle sobie paradoksa. Nakoniec począł podnosić ówczesne szkoły, dowodząc, że były lepsze od dawniejszych, że nawet nauki wogóle stały teraz lepiej niż przedtem i t. p., że aż mu sam Bułharyn musiał przypomnieć, jak przed czterema laty inaczej on wcale w obecności Pelikana dowodził.

Z tych tedy niewielu wzmianek jednych łatwo nam dziś zrozumieć, iż w kole wyżej umysłowo stojących ziomeków podziwiano zdolności Sękowskiego, oddawano cześć jego głębokiej nauce, ale nie miano, z małym może wyjątkiem, ani sympatyj dlań, ani rzeczywistego uznania dla jego charakteru — a cóż dopiero uznania obywatelskiego. Co zaś do Mickiewicza — na co się i Malinowski najzupełniej pisał — ten miał swego przeciwnika po prostu za człowieka najbardziej przewrotnego (*homo perditissimus*) — za jakiego, dodaje pamiętnikarz starożytnik, zasłużenie jest miany i jest takim istotnie (*merito habetur et re vera est*). Z Henrykiem Rzewuskim natomiast wiązały go bardzo ściśle i sympatyczne przed czterema (1823) laty stosunki.

Nakoniec, po dwuletniem milczeniu, list oto z końca kwietnia 1828 roku. Istny wybuch długo przemocą krępowanej swobody, radości bezgranicznej, wesela, humoru! Naprawdę też brzmi tu na wstępie zaraz okrzyk tryumfalny: „nakoniec jestem wolny, oddycham!” — cieszcie się ze mną, przyjaciele, bom ja oto brzemię z barków zwałam!... Była to wieść radosna, bliższym przesyłana, o doprowadzonym do skutku rozwodzie z pierwszą żoną.

O ile Lelewel był wtajemniczony w stosunki rodzinne Sękowskiego — nie wiemy.

Wiadomo było jednak powszechnie, iż pierwsza jego żona stała się dlań oddawna najnieznośniejszym ciężarem, niespokojną, kapryśną, despotyczną swoją naturą zatruwała ona życie męża. Chodziły też po Petersburgu pogłoski, że ona biła go podobno; raz nawet, jak powiadały złe języki, wytrzepała go na Newskim Prospekcie swą parasolką. Mniej-

sza o fakta; ale już same pogłoski dostatecznie świadczyły, jakie to tam życie być musiało.

Ale miał się jeszcze teraz nasz orientalista czem innym, jak jedynie wiadomością o zdobytej w rodzinnym stosunku osobistej swobodzie, z Lelewelem podzielić radośnie. Jednocześnie prawie — on, niby cichy człowiek nauki, dokonał wspaniałych zdobyczy wojennych, o jakich wkrótce cała Europa zabrzmieć miała: dumny więc był wielce z tego i śpieszył również podzielić się i tem z tak wielkim w świecie nauki pracownikiem.

Owe zaś zdobycze?

Przypomnijmy sobie, iż to była epoka pierwszych wojen wschodnich cesarza Mikołaja; perska tylko co się skończyła, rozpoczynała się turecka. Otóż orientalista nasz — oswojony już dostatecznie długim, mistycznych siedmiu lat, pobytem w stolicy północy — podczas pierwszej z tych wojen, w gorliwości swej naukowej, zapala się zdobywczym animuszem i w oficjalnem przełożeniu na piśmie intonuje swego rodzaju *vae victis!* Jak ów rycerz wieków średnich, co gotów był mordować Żydów za to, że ich przodkowie Chrystusa zamęczyli, zapaleniec nasz nauki z równą konsekwencyą woła teraz do zwycięzców: Kozroes i Harun księgi niegdyś Grekom zabierali, pomścicież się wy teraz na Persach! I pomszczono się; a każdy dzień może widzieć skarby z Iranu wywiezione, obok biblioteki Załuskich. Oto jest osnowa rzeczy — szerzej rozjaśnionej w samym liście. Czy Lelewel dzielił stąd radość? — wątpimy; niezawodnie, wołałby on mieć pod ręką znakomite zbiory biskupów. Nawet przyjacieli i kolega naszego orientalisty Pers mirza Dżafar wołałby napewno, aby biblioteka szejcha Sefi została była niektnięta przy meczecie w Ardebilu.

Sękowski wszakże inaczej rzeczy te rozumiał. Dla wytłómaczenia zaś jego uczuć i widzenia rzeczy, dodamy to jedynie, że tuż zaraz, idąc za jego przykładem, znakomity akademik Fraehn podał podobneż oficjalne przełożenie, ileby

to sławy dla Rosyi a użytku dla nauki spłynęło, gdyby też równie zmuszono i Turków do złożenia kontrybucyi wojennej w rzadkich dziełach i rękopisach.

Na wojnę turecką napisał on rodzaj podręcznego przewodnika dla oficerów — rzeczywiście znakomitej po wszystkie czasy wartości.

Czem istotnie w tym roku Sękowski do głębi poruszył cały świat uczony i nieuczony i potrząsł nim wszechwładnie, dając zarazem poważną strawę dla umysłu i porywając do homerycznego śmiechu — to odpowiedzią swą Hammerowi, w tonie humorystycznym wystosowaną. Jest to, wydane nieco pierwiej w skróceniu po rosyjsku, jego:

„Lettre de Tutundju-Oglou-Mustafa-Aga, véritable philosophe turk, à M. Thaddée Bulgarin, rédacteur de l'Abeille du Nord; traduite du russe et publiée avec un savant commentaire par Koutlouk-Fonladi, ci devant ambassadeur de la cour de Boukhara à Khiva (l'ancienne Germania), actuellement marchand d'abricots confits de Samarcande et litterateur”. St. Peter. 1828, in 8-o.

Broszurę tę czytali z zachwyceniem wszyscy, nawet nie znający przedmiotu; tyle tam było prawdy, nieprzymuszonej swobody, wesołości prawdziwej i istnie szubrawskiego dawnych czasów sarkazmu. Niektóre dzienniki francuskie i angielskie przedrukowywały ją prawie całą. Oryentaliści zgadzali się z krytykiem po cichu. W Petersburgu tylko wystąpił przeciwnik w osobie prof. Charmois, który rad był ze zręczności skruszenia kopii z tak znakomitym współzawodnikiem; wykazał mu, w replice swej „Observations d'un philologue européen sur la lettre Tutundju-Oglou etc.”, parę błędów we frazesach perskich, lecz Hammera nie obronił wcale. Wydał zaś Sękowski odpowiedź swą w głównej treści pierwiej po rosyjsku niezależnie od względów na Bułharyna, i dlatego, że przecie samo dzieło orientalisty niemieckiego traktowało „Sur les origines Russes”.

18/30 Kwietnia 1828.

Najszanowniejszy, najuczciwszy, najpoważniejszy Sułtanie mój, Joachimie Efendi!

Zdziwi cię zapewne ten otomański początek listu; lecz prawdziwie, nie wiem jak zacząć inaczej moją epistołę, po tak długim milczeniu, chyba przyznać się, że mi się zaciągnął pod bisurmańskie chorągwie lenistwa i jak wielki wezyr lub jaki Reys-Efendi, wszystkie interesa kończę odkładaniem do jutra, i zwyczajną ich odpowiedzią: bakałym! zobaczymy! Przecież nie jestem z tego względu Turkiem, gdyż nietylkom nie próżnował w tym przeciągu czasu, lecz owszem tak byłem zawałony pracami i poleceniami, że mi prawdziwie, przez te dwa ostatnie lata, częstokroć nie zostawało dosyć czasu do spoczynku w nocy. Przeczytaj list, który piszę do Węckiego, a dowiesz się: co zacz było ze mną? Nakoniec jestem wolny, oddycham, nabieram nieco sił, i piszę do was, przyjaciół. Odtąd będę nawet często pisywał i proszę cię, zrzuciwszy twoją deputacką powagę, wspomnij też o swym dawnym przyjacielu, i pisz do mnie o wszystkim, co ci przyjdzie do głowy.

A quo incipiam? Oto, od tego, żeśmy wszyscy teraz pograżeni w Turkomanii: nie słyhać nic więcej u nas, oprócz Turków, Turcyi, Turczynek, Turczyzny i Przeturczania; ten ostatni wyraz, jest, jak widzisz, naśladowanie sławnych wyrazów Verdeutschung i przepolszczenia i znaczy, jeżeli się nie mylę, tłumaczenie na język turecki. Przed kilką tygodniami, wszyscy byliśmy zajęci Persyą. Widzisz więc, że u nas orientalizm kwitnie i kwitnie lepiej, niż gdzieindziej; gdyż nietylko trudnimy się literaturą Persów i Turków, lecz nawet bijemy ich, bierzemy ich miasta, kiesy i kurury (?) i zabieramy biblioteki. O tej ostatniej okoliczności muszę ci powiedzieć słów kilka; zmusza mię nieco do tego i miłość własna, gdyż rzecz się cała w głowie mojej wylęła. W czasie wojny z Persyą, podałem był notę P. Hr. Diebitch, naczelnikowi głównego sztabu, powiadając, że Kosroes-

Nuszyrewan i sławny Harun-al-Raszyd, zwyciężywszy Greków, kazali im dać sobie pewną liczbę rękopismów, i że teraz przysłała pora zemścić się na Persach, i kazać im wydać nawzajem nam, orientalistom, rękopisma wschodnie, najbardziej poszukiwane i najciekawsze, a razem zabrać ich biblioteki, jakie się znajdują w miastach, zdobytych naszym orężem. Projekt ten podobał się Najjaśniejszemu Panu, który kazał natychmiast przyprowadzić go do skutku. Zrobiłem więc rejestr najrzadszych 400 dzieł arabskich i perskich, i rząd perski obowiązał się nam je dostarczyć, a tymczasem generał Suchtelen kazał zabrać w Ardebilu sławną tameczną bibliotekę, która już jest w drodze do Petersburga. Nie mów więc, że nie umiemy korzystać z przykładów historycznych. Przyszłę ci wkrótce i kopię noty, o której wspomniałem; proszę cię tylko, nie drukuj nic o tem przed czasem; mógłbyś bowiem zrobić nieprzyjemność, ponieważ dotąd rząd nasz nic jeszcze o tem nie obwieścił. Lecz spodziewam się, że wkrótce cała Europa zabrzmi tym ważnym dla nauk wypadkiem.

Chociaż, mając do czynienia z Turkami, należy koniecznie pamiętać o sławnym ich kiefie, to jest rozkoszowaniu się w beczynności, terażniejsze jednak wypadki nie dają nam czasu robić spokojnie kief, jakby się chciało. Ja sam, przy tych okolicznościach, sporządziłem po rosyjsku książkę, która się już drukuje z rozkazu Cesarza. Jest to: Przewodnik dla oficerów w Turcyi: „Karmannaja kniga dla ruskich woinow w tureckich pochodach”.

Zawiera ona opisanie jeograficzne i statystyczne Rumilii, iteneraria, krótką grammatykę turecką, rozmowy zastosowane do okoliczności wojennych, słownik złożony z 3,000 słów najużywanych i niektóre przestrogi o zachowaniu się w czasie zarazy i epidemicznych chorób w owym kraju. Wszystko jest wyrażone rosyjskim alfabetem, bez użycia tureckiego pisma. Mogę powiedzieć, że sporządziłem tę książkę, gdyż napisałem ją i oddałem do druku w przeciągu dni dwu-

dziestu, rozumie się, pracując w dzień i w nocy, i z krzesła prawie nie wstając. Wkrótce ujrzysz to sławne dzieło.

Tymczasem pozwól mi zadowolnić twoją literacką ciekawość listem Tiutiundżu-Ogłu-Mustafy-Agi, który nie dawno z druku wyszedł. Jest to mowa pogrzebowa na reputację sławnego wiedeńskiego Szarlatana, „Hof- und Staats-Kanzley-Rath und Hof-Dolmetsch H. von Hammer”, który, prawdziwie, wyprowadza wszystkich orientalistów z cierpliwości swą fanfaronadą i niegodziwymi przekładami z języków wschodnich, będąc sam słabszym w nich od prostego ucznia. Dwa exemplarze tego listu są dla ciebie, trzeci dla P. Niemcewicza, któremu racz oświadczyć odemnie tysięczne ukłony, czwarty dla Towarzystwa Przyjaciół Nauk, piąty dla mego starego przyjaciela Waleryana Krasieńskiego, którego najczulej uściskam. Lecz żebyście mogli sądzić, avec connaissance de cause, o pytaniu i odpowiedzi, posyłam wam także dwa exemplarze sławnego dzieła Hammera: „Sur les origines Russes”. Napisz do mnie co o tem myślisz; lecz razem zrób mi tę łaskę, umieść w którejkolwiek gazecie warszawskiej proste uwiadomienie, że w Petersburgu wyszła książka pod tytułem: „Lettre de Moustafa-Aga i t. d.”, której autorem mienią być P. Sękowskiego.

Wyraziwszy to wszystko, zacny deputacie — efendi, pióro mej bazgraniny maczam w kałamarz milczenia i z pudra mego umysłu wysypawszy u złoto-srebrnych nóg twoich podarunki, złożone z klejnotów oświadczeń i kwiecistych bławatów, uściśnień i ukłonów, najuniższej całuję kraj szaty twojej erudycyi i czołem mego upoważenia zmiatam pył mądrości z pantoflów twego animuszu. Selam alejkium.

Sękowski.

„Selam alejkium!” — jakim wesoło list ten się kończy, było już ostatniem pożegnaniem Lelewela; w zbiorze wydawanym obecnie więcej listów niema, a wreszcie wąt-

pimy, czy je Sękowski dalej pisywał. Oddał się on wprędce samemu sobie i swemu nowemu szczęściu wyłącznie — a potem... dola sama niepospolitych tych a tak niepodobnych do siebie ludzi rozdzieliła na wieki.

Tak — oddał się Sękowski niebawem swemu szczęściu wyłącznie. Zapytać o to teraz możemy wspomnień serdecznych jego drugiej żony. Poczniemy od chwili najbliższej napisaniu owego radosnego, lecz ostatniego już listu do Lelewela; oto co ona więc w Pamiętnikach swych (str. 20) podaje:

„Raz, — było to wiosną, w kwietniu, — pogoda była cudowna; byliśmy w domu sami jedni; gości tego wieczoru nie mieliśmy. Naraz dał się słyszeć dzwonek i do pokoju wszedł Sękowski, lecz do takiego stopnia zmieniony, że ja go niepoznałam, jego, którego znałam już tyle lat, którego myślałam nie kochać, dla którego wyobrażałam sobie być obojętną! W oczach jego jaśniało szczęście, głos dźwięczał rozczuleniem i miłością. To był on, lecz przeobrażony. On był wolnym, powiadał on nam, i z tą tak upragnioną wolnością czuł, że nowe życie winno zacząć się dla niego. Powiadał on, iż czuł się szczęśliwym jak nigdy jeszcze. Krewni moi, siostry, bracia, wszyscy otoczyli go kołem, słuchali, co on mówił, byli świadkami jego radości i pozdrawiali go serdecznie. Ja jedna, przecie, usłyszałam więcej, niż słyszeli inni, chociaż nie zamieniłam z nim ani wyrazu. Nagle odkrycie odbyło się we mnie; ja uczułam, że kocham go; zrozumiałam, że jestem przezeń kochaną. Jedna wolność, jakkolwiek drogąby mu była, nie mogła wszakże nadać takiego wyrazu jego słowom, jego głosowi! On kochał mnie, ja nie mogłam już wątpić o tem”...

Sękowski długo jeszcze potem nie robił stanowczego kroku. W maju cała rodzina jego wybranej wyjechała za miasto, „na daczę” własną. Najął i on tam w pobliżu letnie pomieszkanie.

„Wtedy dopiero zaczął się dla mnie—powiada później-

sza jego żona — szereg dni, błoga rozkosz, która przewyższała wszystko, cokolwiek mogła stworzyć moja ognista wyobraźnia”...

Lecz p. Józef nie oświadczał się. Tymczasem panna Adelina musiała wyjechać z matką na parę miesięcy do wód, skąd wróciła dopiero na początku września. Potem nawet, zaledwie pod koniec tego miesiąca, zrobił on stanowcze wyznanie. Dlaczego tak długo zwlekał? Nie był pewny siebie, nie był pewny wzajemności, i chciał przedłużyć przynajmniej szczęście widywania się codziennego. „Takim on był zawsze, we wszystkim, w ciągu całego swego życia”—świadczy jego wybrana.—„Jedynym człowiekiem, któremu on nigdy nie oddawał sprawiedliwości całkowitej—był on sam!”... Ślub był naznaczony na dzień 13 stycznia następnego (1829) roku. Szczęśliwy narzeczony tedy poświęcił się cały już otwarcie przedmiotowi gorącej swej miłości i przygotowaniom do nowego niezadługo rodzinnego życia. „On—człowiek tak głęboki, uczony — umiał kochać, jak umiał wszystko robić—z całym oddaniem się!”...

Oryentalista więc nasz nie miał już na długo zupełnie czasu, nawet na prace naukowe i korespondencye z przyjaciółmi.

W roku tym jeszcze wszakże został on, na przedstawienie Fraehna, członkiem korespondentem petersburskiej Akademii Nauk. Dla przysporzenia zaś sobie dochodów ku swobodniejszemu pokrywaniu zwiększających się potrzeb nowego z utęsknieniem wyczekiwanego rodzinnego życia, przyjął on urząd „cenzora”—ponieważ połowa członków ówczesnego komitetu w Petersburgu była naznaczona z koła profesorskiego.

Dał Sękowski jeszcze w tym roku parę tłumaczeń swoich z arabskiego do pism rosyjskich („Beduinka” i „Śmierć Szanfarego”).

Trzeba też wspomnieć, iż z załączonych przy tem uwag Sękowskiego miał korzystać Mickiewicz przy swym prze-

kładzie poematu Szanfary. Jego „Farys”, „Almotenabbi”, jak „Sonety krymskie”, równie niby są obowiązane swój wierny koloryt wschodni wpływowi naszego orientalisty; o czym wszakże, co do „Sonetów krymskich” przynajmniej, przypomniawszy sobie potrącony wyżej napad jego na poetę, wątpić należało.

Rzucanie się tak różnostronne i rozgorączkowane najwidoczniej Sękowskiego, w tym roku, kryło w sobie nadto pobudki innej natury; w obliczu tyle upragnionej a zbliżającej się zmiany w jego życiu domowym, potrzebował on i rozgłosu i środków materyalnych co najwięcej.

Wogóle, przy swej skłonności do zbytku i marnotrawnego życia, znajdował się on zawsze w potrzebie pieniędzy. Potrzeba ta stała, w połączeniu z jego nienasyconą ambycją, prowadziła go ku zabiegom o zapewnienie sobie wyższego jakiegoś urzędowego stanowiska. Katedrę swą uniwersytecką uważał on za stopień ku temu jedynie. Pragnął on zawsze zostać pierwszym dragomanem przy poselstwie tureckim, by z czasem, przy pomyślnej okoliczności, posunąć się na umocowanego spraw dyplomatycznych, a dalej—zająć miejsce posła chociażby. Dawał on się sam słyszeć o tem niejednokrotnie. W ostatecznym razie gotów on był poprzestać na posadzie dyrektora azyatyckiego departamentu, a nawet zwierzchnika instytutu języków wschodnich. Robił więc wszystko co mógł, aby zwrócić na siebie uwagę; teraz zaś więcej niż kiedykolwiek. Stąd więc te jego przedstawienia, dotyczące księgozbiorów perskich, stąd owe przewodniki tureckie dla oficerów. Oprócz tego, podawał on w tymże samym czasie różne inne, bardzo ważne pod względem rządowym projekta. Mniejsza w tym razie, że wszystko to komu innemu przynosiło pożytek istotny...

Nie rozumiemy wszelako powodów faktycznych następującego odezwania się o nim Mickiewicza w liście do A. E. Odyńca, z Petersburga 12-go maja 1829 r. do Warszawy doń pisanym (Koresp. A. M., tom I, str. 32).

„Jedzie podobno do Warszawy pan Sękowski, oryentalista, w różnych celach, widokach, zamiarach, radzę go strzedz się i mieć na oku, znam go bardzo, bardzo, bardzo, bardzo dobrze! Powiedz o tem panu Joachimowi”.

„Pan Sękowski projektuje różne reformy religii katolickiej i teraz katechizm jakiś układa!!!”

Zdanie surowe poety o oryentaliście znamy; lecz skąd powziął owe najzupełniej luźne zdaje się insynuacje?!

* * *

Ożenienie się powtórne Sękowskiego przedstawia niewątpliwie epokę bardzo stanowczą w jego życiu, dzielącą je na dwie różne wielce od siebie połowy. Dziwnym zbiegiem okoliczności, wszystko się jakoś w bezpośredniem czasie następstwie skupiło razem, aby różnicę tę nieprzewyciężenie wytworzyć: przyczyny natury psychicznej, stosunki towarzysko-społeczne i wypadki polityki przemożne.

Ślub Sękowskiego z panną Adelina Rall odbył się dnia 13-go stycznia 1829 r. w miejscowym kościele katolickim, poczem, w domu rodziców panny młodej, udzielił nowożeńcom błogosławieństwa kapłan wyznania reformowanego, do jakiego właśnie rodzina baronów Rall należała.

Domowe życie jego zupełnie się zmieniło. Z zamęczanego niewolnika podniósł się on od razu na stopień bóstwa, a jego byt rodzinny zamienił się na kult tego bóstwa, tego „geniuszu”, tego „wielkiego człowieka”, jak go żona w swych Pamiętnikach nazywa.

Druga ta żona zaważyła jednak potężnie w życiu naszego oryentalisty. Czy dodatnio? — P. Józef w połączeniu tem podobno znalazł osobiste szczęście, którego mu dotąd brakowało; ale to nie jest jeszcze dostatecznem kryterjum dla osądzenia życia człowieka, którego nadzwyczajne jego zdolności wiązały najbezpośredniej z życiem całego społeczeństwa, całego narodu.

Pani Adelina Sękowska była to osoba wysokiego wykształcenia i pełna zalet niewieścich, młoda, o lat sześć od męża młodsza, miła, rozumna, dobra, czuła, nadto prawdziwa artystka muzyczna. Ale, razem z tem wszystkiem, była to cudzoziemka. Nadto rodzina, z której pochodziła, była jedną z tych obcych z Zachodu możnych finansowego świata rodzin tłumnej stolicy północy, które, przy swym kosmopolitycznym francuskim języku i wychowaniu, nie poczuwały się moralnie za członków żadnej narodowości — gotowe, w potrzebie, najobojętniej przenieść się do Amsterdamu, Liworno lub Sztambułu. Była tem—coby w tem ostatniem mieście nazwano rodziną frakską, lewantińską. Rodzina ta wszakże, na której czele stał zawsze ojciec p. Adeliny, bankier dworu cesarskiego, chociaż bardzo podupadły teraz, baron Aleksander Rall, miała bardzo rozgałęzione w Petersburgu w możnych i wykształconych sferach stosunki. Dom zaś barona był zawsze poszukiwanem wielce miejscem rendez-vous dystyngowanego petersburskiego towarzystwa. W takiej atmosferze była wychowana i wzrosła p. Adelina. Wspomnieć przytem jeszcze należy, iż siostry jej starsze przez zamążpójście weszły do rodzin rosyjskich.

Oryentalista nasz tedy przez żonę jeszcze ściślej zespolił się z towarzystwem kosmopolitycznem Petersburga, w którym już go był uwięził zawód publiczny naukowy.

Smutno pomyśleć; pierwsza jego żona, jednej krwi z nim, choć mu się stała ciężarem, kłatwą życia, trzymała go przecie, mimowoli może, przy rodzinnych wspomnieniach, wiązała węzłami swojskimi; ta zaś nowa, co mu szczęście osobiste reszty życia zapewnić miała, oddaliła go, również mimowoli, bezwiednie może, od ogniska moralnego, które ludzie za święte uważać przywykli. Dziwne bywają wyniki wpływu kobiety na charaktery męskie najsamotniejsze...

Sękowski, oddający się zwykle wszystkiemu całą swą duszą, oddał się też cały i swej młodej żonie. Oprócz oddania się duchowego, moralnego, starał się on ją otoczyć

materyalnie tem wszystkim, na co ona od dzieciństwa przywykła—i więcej nawet, zatem nietylko dostatkami, lecz przepychem. Podniecone tą nową potrzebą, rozbudziły się w nim teraz jeszcze bardziej do gry namiętnej, uśpione w nim dotąd, strony duszy. Był to syn i wnuk marnotrawców, co ogromną fortunę na wystawę strwonili. Był to piekielnie dumny potomek dobrej krwi szlacheckiej, pomimo jego wszelakich humoresków szubrawskich, co nie zniósłby teraz wobec obcych, aby żona jego, w domu jego, mniej miała od kogobądź — mniejsza, że ona tego nie wymagała, nie potrzebowała. Obok tego spoczywał w nim, jakby zaklęty, duch dalekiego Wschodu, porywający go nieprzecieżenie, przy jego fantastyczności i wysokim artystycznym poczuciu, ku przepychowi form i otoczenia. A przytem umysł tak do podziwu wszechstronny, że, jak żona świadczy, umiał on wszystko, znał się na wszystkim, aż do najdrobniejszych bagatelek niewieścich; wreszcie zdolny nauczyć się, poznać wszystko w jednej chwili w potrzebie. Ale zachcianki takie wysokie wymagały potężnych środków pieniężnych.

Nie zatrzymywało to w polocie bynajmniej naszego ziomka. Energia jego była niesłychana, jak zdolności, wytrwałość w pracy żelazna. Trzeba tylko było mieć tę pracę — dochód dającą. Oto sęk! Ale ziomek nasz, raz zdecydowany, samym faktem noworozpoczętego życia, szedł, nie oglądając się na nic, naprzód; przyjmował pracę, jaką mu podsunęto, wreszcie stwarzał ją sobie, stosując się do okoliczności czasu i miejsca. Oczywiście więc, iż w Warszawie lub Kairze byłby się zwrócił za prądem tam przemagającym, w Petersburgu zaś teraz począł się urządzać po petersbursku. I oto tajemnica dalszego jego życia.

Lecz, jakeśmy to widzieli wyżej, marzenia jego o zdobyciu sobie wysokiego stanowiska urzędowego, dyplomatycznego, rozwiały się w niwecz. Wogóle bowiem, mimo wszystko, był on nielubiany, nietylko przez swych kole-

gów, na których spozierał z góry, lecz i przez władze, które obrażał swą dumą. Jakkolwiek bowiem bez trudu odstąpił on od pewnych zasad moralnych, do poniżenia osobistego nigdy przecie nie dochodził. Owszem, gdy go raz naprzykład przedstawiono do odznaki honorowej, powiedział: „Nie pragnę takowej; ja już posiadam tę odznakę, iż nie posiadam żadnego znaku odznaki”. W podobnych warunkach należało więc było zwrócić się już stanowczo w inną stronę; jakoż Sękowski rzeczywiście zdecydował się na to.

Już tedy zaraz w roku swego powtórnego ożenienia się, lub w początku następnego, powziął on myśl wydawania, w panującym języku rosyjskim, dziennika — politycznego, handlowego, naukowego i literackiego, pod tytułem: „Wsieobszczaja Gazieta” (Gazeta Powszechna), której znakomicie skreślony program został niebawem zatwierdzony przez ówczesnego kuratora naukowego okręgu stolicy, Borozdina. Obiecywał on sobie, jako jeden z trzech współwłaścicieli, średnio — przy 1,200 prenumeratorach tylko — 15,000 rb. asygn. czystego corocznie dochodu. Zamiar ten wszakże nie przyszedł do skutku.

Dlaczego projekt wydawania Gazety Powszechnej w języku panującym nie dał się urzeczywistnić — dowiedzieć się dziś niełatwo. Najprawdopodobniej, główniejszą z przyczyn było to, iż Sękowski jeszcze sam w sobie nie był zdecydowany dostatecznie, wahał się co do wyboru może samego języka, nie czuł się jeszcze ani dość śmiałym z jednej strony, ani dość pewnym siebie z drugiej, wahał się jeszcze, a może — nie znalazł tylko odpowiedniego na razie poparcia. Niepodobna coś w tym przedmiocie twierdzić stanowczo.

Wszakże rozumiał on doskonale w zasadzie nawet, iż dziennik przedstawiał najbardziej rozległe pole dla jego działalności, wogóle przy tak różnorodnych jego zdolnościach i niezmiernem bogactwie nagromadzonej przezeń już wiedzy. Istotnie, obfitość nabytych i wytworzonych przez niego samego wiadomości potrzebowała bardziej odpowiedniego or-

ganu dla wypowiedania się należytego; wrodzona jego ruchliwość literacka i talent jego pisarski były krępowane jednostronnymi zatrudnieniami profesora i cenzora. Mało przestworu oczywiście przedstawiałoby mu i współpracownictwo w dziennikach przez kogo innego redagowanych; nie pozwalała mu na to jego niepodległa i absolutna natura. Potrzebował on wypowiadać się nieskrępowanie, niezależnie — a dla tego zaś najodpowiedniejszym i jedynym organem byłby dziennik własny. O tem tedy obecnie nasz orientalista marzył, do tego usilnie zmierzał.

Na stworzenie pisma własnego nie miał on odpowiednich środków materialnych — trzeba było czekać szczęśliwej jakiej potemu okoliczności. Tymczasem zaś nie był on wcale zdecydowany co do wyboru samego języka; ów projekt wydawania gazety po rosyjsku był raczej tylko rzutem doraźnym, wynikiem usposobienia chwili jednej, poświęconej przemyślowaniu nad najskuteczniejszym w danych okolicznościach pomnożeniem szczupłych dochodów, wobec wymarzonych przezeń potrzeb nowego domowego życia, aniżeli niezachwianem postanowieniem. Mniejsza o dumę, której taki Bułharyn nie miał wcale a której przecie Sękowskiemu odmówić nie można; orientalista nasz nie czuł się jeszcze mistrzem pod względem władania językiem rosyjskim. Istotnie nawet, mniej on w nim był jeszcze mocny, niż w języku tureckim i arabskim, które mi władał jak swym rodzowitym. Wszakże pilnie on pracował nad tym językiem i dla wprawy zawsze coś od czasu do czasu, najczęściej ze wschodnich rzeczy, tłómaczył — straciwszy dawno już miłego przewodnika w Bestużewie (Marlińskim).

Nie dziwimy się tedy wielce następującemu powiedzeniu jego rosyjskiego biografa Saweljewa (str. 64): „Godne zastanowienia, z jaką bojaźliwością, nie zważając na swą dawną literacką wprawę i powodzenie drobnych swych ustępów literackich w języku polskim, Sękowski występował

na polu piśmiennictwa rosyjskiego". Świadcstwo to nie-małej wagi.

Temi czasy właśnie, potrzebując na gwałt pieniędzy (Pam. żony, str. 52 — 57), dokonał on pierwszej znaczniejszej pracy w języku rosyjskim. Było to tłumaczenie z angielskiego znakomitego obrazu obyczajów wschodnich p. t. „Mirza-Hadży-Baba-Isfahani w Londynie”. Autor onego, James Morier, znany ze swych dwóch „Podróży po Persyi, Armenii i Azyi Mniejszej”, długo naprzód przebywał w pierwszym z tych krajów, a nakoniec został tam posłem brytańskim. Powieść zaś jego, przedstawiająca ciekawy, humorystyczny i wierny obraz obyczajów perskich, wyższa jest nadewszystko, co kiedykolwiekbądź napisane było w tym rodzaju w Europie. Powieść ta (*The Adventures of Hajji-Baba of Isspahan in England*) wyszła w Londynie w 1828 roku, a Sękowski oddał ją po rosyjsku — nie dosłownie, lecz we własnej opowieści, ze zmianami, dodatkami, oraz skróceniami, gdzie to mu się zdało potrzebne. Księgarz Smirdin za tę książkę zapłacił mu 3,000 rub. asyg. i wydał ją zaraz w 1830 roku. Miała ona powodzenie świetne, Smirdin żywo, gorączkowo, zainteresował się naszym ziomkiem; przenikliwym zmysłem aferzysty, w niepospolitym talencie pisarskim głośnego już w świecie uczonym profesora dopatrywał on człowieka, zręcznie używszy którego, możnaby sobie zrobić fortunę — i odtąd już go nie opuszczał z bacznej uwagi.

W tymże roku poczęło tymczasem wychodzić w stolicy północy od maja humorystyczne pismo polskie, pod tytułem: „Bałamut Petersburski”. Sękowskiemu polecane było z urzędu cenzurowanie tego pisma. Niezależnie od tego, redaktor „Bałamuta” Adam Rogalski uprosił go o wzięcie udziału w piśmie samem. Trudno też byłoby nawet dawnemu Szubrawcowi odmówić sobie samemu w skorzystaniu ze zręczności podzielenia się po dawnemu z publiką wybuchami swego humoru — i Sękowski napisał chętnie,

nie podpisując wcale swego nazwiska, kilka krótkich ustępów, pełnych dowcipu i rozumu.

Wszakże w całym ciągu dwóch pierwszych lat od swego powtórnego ożenienia się nie pracował on nad niczem na seryo, podług świadectwa jego żony własnej (str. 44 — 46), lata te były poświęcone przez uwielbianego małżonka jej tylko wyłącznie — byli oni ciągle prawie nierozłączeni z sobą, odwiedzając towarzystwo, bawiąc się i zajmując razem.

A Lelewel?

Tego człowieka — jego natura, jego dola, innemi drogami poprowadziły.

* * *

Rok 1831, tyle stanowczy w dziejach społeczeństwa całego, był niemniej pamiętny i w życiu naszego orientalisty.

W roku tym przedstawiła mu się okoliczność upamiętnić imię swe w dziejach piśmiennictwa i oświaty własnego narodu, niespożytą zasługą, odpowiadającą jego wysokim zdolnościom, jego najświętszym obowiązkom, oraz najprawowitszym nadziejom na nim pokładanym. Od okoliczności tej — przedstawiającej mu w oddali możliwość wytworzenia sobie zawodu pracy całego życia, ożywczej, twórczej, dzielnej — odwrócił on plecy stanowczo...

Widzieliśmy wyżej, iż wziął on był pewien udział we współpracownictwie humorystycznego pisma „Bałamut”. Redaktor onego, uszczęśliwiony tą Sękowskiego powolnością i powodzeniem pełnych życia jego artykułów, zmuszony do wyjazdu na kilka miesięcy z Petersburga, prosił go następnie o przyjęcie na siebie na czas jego niebytności i samej redakcyi dziennika. Ten zawahał się wprawdzie nie mała, lecz propozycyę przyjął i zajął się redakcyą po swojemu — z młodzieńczym zapałem. Pismo, które w r. 1831 wychodziło pod charakteryzującym nowego sternika tytułem: „Bałamut. Satyryk jowialista. Pismo czasowo zbieranej dru-

żyny, wydawane w Petersburgu” — ożywiło się, pełne było artykułów, tryskających dowcipem porywającym, i oczywiście powodzenie miało najświetniejsze.

Wydawca „Bałamuta”, po powrocie z zagranicy, zachwycony tem wszystkim, zrozumiał przecie to doskonale, że jeden Sękowski tylko zdolen tak dzielnie pismo dalej prowadzić i zapewnić mu stałą przyszłość, że bez niego zaś pismo to upaść musi. Nastawał więc na to, ażeby Sękowski wziął odtąd redakcję zupełnie na siebie. Zagadnięty tak niespodzianie i stanowczo orientalista prosił o czas do namysłu, wahał się długo bardzo, pytał o zdanie i radę żony. Ta, jako osoba obca, cudzoziemka, nie rozumiejąca ani rzeczy, o którą w istocie chodziło, ani języka ojczystego swego męża, mogła mu radzić tylko, jak sama powiada (str. 48), aby postąpił w tym razie tak, jak to uzna sam za najlepsze. Mimo to, wahał on się jeszcze; ale nakoniec, przeważnie chęć przyspożenia sobie znacznieszego dochodu, dla zapewnienia żonie swej, od której dowiadujemy się o tem, większych dogodności życia, zdecydowały go. Sękowski na razie czynnie się zajął pismem; myślał o zapewnieniu mu przyszłości. Napisał więc nawet prospekt onego na rok następny (1832), w którym charakterystycznie zapewniał między innemi, iż „co do treści, będzie ono, zapewne, rozumniejszem, gdyż rozum wzrasta z laty”. Ustępów jednak własnych, po dawnemu, nie podpisywał, chociaż wogóle łatwo je wyróżnić po oryginalnym jego dowcipie i zupełnie odrębnym, jemu tylko właściwym sposobie pisania.

Chociaż co do tego dowcipu Sękowskiego wogóle, należy tu powiedzieć, iż rozsypywany przezeń bez miary, nie miał on niejednokrotnie nic innego na celu prócz uciechy, i stawał się często pustą, powszednią igraszka słów bez istoty myśli i znaczenia, obliczoną na zbyt trywialny efekt wśród szerszego tłumu.

Zdawało się już teraz, że ziomek nasz, wzięwszy raz pismo polskie w swoje ręce i zapowiadając, że będzie ono

przecie coraz rozumniejsze, bo rozum z laty rośnie, już drogi tej nigdy nie opuści, a pismo to zrobi dla siebie punktem wyjścia dla wytworzenia z czasem organu, coby odpowiadając lepiej jego wielostronnym zdolnościom i wiedzy rozległej, był zarazem najstosowniejszym polem, wymaganej odeń przez wszelkie prawa moralne, obywatelskiej jego działalności. O samą postać pisma mniejsza; od niegooby zależało przeobrazić je podług potrzeby lub stworzyć sobie zupełnie nowe. Ale losy pozazdrościły nam tego. Szumiął dokoła niego świat obcy, który go jednak wabił tysiącami ponętami ku sobie i pociągał nieprzezwytczenie w otchłani rozwartą — a na krawędzi tej otchłani stał w tym razie najbliżej, wytrawny, nie dający się niczem zrazić kusiciel, w osobie księgarza i wydawcy Smirdyna.

Dość, że Sękowski usunął się wprędce od redaktorstwa „Bałamuta” — i pismo to już na rok 1832 przestało podobno wychodzić — a jak fatalność mieć chciała, usuwając się zarazem, bez świadomości jeszcze w tej chwili może, na zawsze już — od wszelkiej styczności żywej z ojczystem piśmiennictwem i moralną pracą narodu.

O doraźne powody zerwania z wydawcą „Bałamuta” — mniejsza; wreszcie nieznanne one są wcale. Czy to więc jakie nieporozumienie, czy niezadowolnienie z samego rodzaju zatrudnienia, nie uciążliwego, lecz zajmującego „bagatelą” taką, jak pani Sękowska pisze (str. 49), drogi szczególnie dla nich czas do wypoczynku wakacyjnego za miastem; czy sam poziom zadania humorystycznego pisma, nie odpowiadającego wzniosłości myśli, jakie wtedy roily się po jego głowie — o wszystko mniejsza. Istotna, zasadnicza przyczyna spoczywała w głębi tego, co jego żona w mistycznym tonie wypowiedziała w następnej uwadze: „może też pociąg tajemny zwracał go ku temu językowi, któremu miał on poświęcić życie swoje całe”. Nie inaczej; trzeba tylko myśl tę z misteryi wszelkiej obnażyć.

Smutno wyznać: dla zobojętniałej duszy „człowieka

bez przesądów" idealnych, zimnego satyryka, pesymisty, co po niedawnym pogromie srogim rodzinnego społeczeństwa stracił był wszystkich przyjaciół dawnych i zacnych, a w domu własnym nie znajdował nic, coby w nim podsycalo żywsze poczucie najszlachetniejszego z obowiązków, wybór był nie-trudny. Łatwiej było, wygodniej i bezpieczniej, uchwyciwszy za ster opuszczony, przewodniczyć nawie kultury obcego świata, unosząc się po falach onego, potężnych siłą pierwotnych żywiołów natury.

Popychany on był do tego zwrotu w życiu — całym szeregiem okoliczności i przyczyn poprzednich, a związanych z sobą łańcuchem żelaznej konieczności; co więcej — jakby nieodzownością samej natury własnej.

Na dnie swej duszy wróg wszelkiego idealizmu, był on z usposobień swych i zasad najzupełniejszym utylitarystą. Nie był on zdolny do żadnych istnie poetycznych uniesień, nietylko w zakresie obowiązków obywatelskich, lecz nawet w sferze estetyki. Wszystko on znał, wszystko umiał, interesował się wszystkim, lecz interesował się rozumem samym, na zimno; nie unosił go zarówno ani Homer, ani Mickiewicz. Owa zaś odrętwiałość w nim, z braku rozwinięcia wyższych uczuć, prowadziła za sobą najzupełniejszy indyferentyzm społeczny, przeradzający się na wstręt samolubny ku wszelkim sprawom, wyjąwszy osobistych.

Co więcej, wady jego osobistego charakteru były właśnie jakby spotęgowaniem tego, co on w przystępie pesymizmu nieraz wkładał na barki całego narodu, niby wyrok jaki potępienia dziejowego. Przypomnijmy sobie choćby *Collectanea* i zarzuty robione tam przezeń dziejopisom narodowym; dostrzeżemy w zarzutach tych właśnie jego osobiste strony ujemne. Taż sama (tom I, str. 233) — „imagi-nacya wrząca, gwałtowna, przeobrażająca natychmiast też same wyobrażenia w hyperboliczne postaci, a stąd małe zamiłowanie prawdy, lekkomyślność, przechwalanie się, ła-twowierność, niedokładność we wszystkim...” Co wszystko

razem wzięte ułatwiało mu poryw ku obcemu światu, tem nieuchronniej, o ile on sam właśnie nie miał w sobie mocy pozbycia się owej, tyle potępianej przez się (str. 229), „nie-szczęśliwej, lecz narodowej (!) skłonności do samolubstwa i przesadzania...” Teraz zaś, w tej oto epoce życia — „do samolubstwa”, rozgrzeszającego go z pomijania lekkomyślnego obowiązków obywatelskich, — „do przesadzania” — w fantazyowaniu sobie obrazu promiennej, aureolą bezgranicznego uznania, w obcym świecie przyszłości.

Tymczasem właśnie, obok redagowania „Bałamuta”, zachęcony nadzwyczajnem powodzeniem wydanego w roku przeszłym tłómaczenia Moriera „C. Hadży-Baby w Londynie”, Sękowski wziął się zarazem do oddania po rosyjsku i pierwszej dzieła tego części, wydanej w oryginale jeszcze w 1824 r. — pod tyt.: „Przygody mirzy Chadży-Baby Isfahani w Persyi i Turcyi, czyli perski Giles Blaz”. Tłómaczenie wszakże tej części, mniej interesującej szerszą publiczność, mniej humorystycznej z natury rzeczy, mniejsze też miało od pierwszego powodzenie.

„Ale oko doświadczone, badawcze śledziło już — powiada p. A. Sękowska (str. 57) — za mym mężem na tem nowem polu. Jego przymioty były zważone na wagach nieomylnych. Nie zapał, nie entuzjazm, miały teraz zdecydować jego przyszłość, lecz rachuba niezawodząca, w której nie mogło być omyłki. Smirdin odgadł Brambeusa przed jego urodzeniem jeszcze”. Odgadł dawno i sieć swą umiejętnie z daleka zarzucił.

Sękowski się wahał, a mimo to dawał się coraz bardziej pociągać; dusza jego już była przygotowana ku temu moralnie. A duch Lelewela nie czuwał już z oddali po dawnemu nad nią; błąkał on się sam, w bólu i trudzie, gdzieś po obczyźnie.

Dla wytłómaczenia jednak tem dotykalszego charakteru owego „pociągu tajemniczego” w naszym ziomku do obcego języka, o jakim wiemy już od pani Sękowskiej,

uważamy za nieodzowne sięgnąć nieco wyżej i przytoczyć tu na świadectwo swobodną i aż do naiwności prawie szczerą opowieść jejże samej o tem, jaki to powód właściwy wywołał tak decydujące wystąpienie jej męża na polu literatury rosyjskiej, przez wydanie znanego nam już „Chadży-Baby w Londynie”. Oto opowieść (Pam. str. 52 — 57).

„Józef miał pociąg nadzwyczajny do wytworności, zbytku i komfortu. Pytanie, czy będziemy trzymać powóz lub nie, długo dosyć było przedmiotem sporu między nami i pozostawało nierozstrzygnięte. Ja byłam przeciwną, ponieważ trzymanie koni zdawało mi się zbyt wielkim wydatkiem na ówczesny nasz dochód. Wszakże dowody mego męża, poparte miłością, wzięły górę nad memi, ile że miały one za podstawę jeden tylko rozsądek. Kupiliśmy tedy przy zrzeczności karete, konie i co do tego należało. Wszystko to nie było wielce wspaniałem, lecz było bardzo przyzwoite i ja znajdowałam, że tem można było najzupełniej zadowolnić się. Lecz Józef był innego zdania; on powiadał, że wszystko to mogło wystarczać tylko do czasu, lecz przy pierwszej możliwości on nabędzie coś lepszego. Cały rok jednak (1829) przeszedł nim ten zamiar mógł być urzeczywistniony”. Na drugi rok sprzedano konie za bezcen i kupiono parę nowych siwych, ślicznych, lecz zbyt wysokiej ceny; obiecano sobie zaoszczędzić się na czem innem.

Lecz tak się stało, że jeden ze ślicznych tych siwków padł w kilka dni po kupnie. Żał pani był nieutulony. Jak tu było przecie zaradzić temu? „Gotówki u nas—pisze dalej pani Sękowska—nie było, a pożyczyć, wzięść naprzód pensyę na poczet przyszłego roku—o tem ani ja, ani mąż mój, myśleć nawet nie chcieliśmy. Cały dzień tedy spędziliśmy w zamyśleniu, lecz nazajutrz przyszedł Józefowi już nowy pomysł. W roku przeszłym, latem, myśmy z wielkiem zadowoleniem czytali powieść Moriera „Chadży-Baba w Londynie”. Lektura ta bawiła nas nadzwyczajnie.

— „Czy wiesz co ja chcę zrobić, aby wynagrodzić na-

szą stratę i dodać jeszcze jakich zabawek, któreby cię zmusiły lepiej zapomnieć o niej. Chcę przetłumaczyć „Chadży-Babę”. Co myślisz o tem?

„W pierwszej chwili ja nie pochwaliłam tego pomysłu; byłam tylko wzruszoną do głębi duszy dobrocią mego męża i bałam się, aby to nie była dla niego praca zbyt uciążliwa. Zdawało mi się również, że zajmowanie się tłumaczeniem nie było jego rzeczą. Lecz on mnie uspokoił, zaręczając, że praca będzie nie tak wielką, a nawet będzie dla niego prędkiej rozrywką, książka bowiem tak zajmująca, tłumaczenie zaś „Chadży-Baby” właśnie jakby dla niego; żeby go dobrze dokonać, trzeba było nieodzownie ściśle być obeznanym ze Wschodem. Mąż mój więc zaraz wziął się z zapalem do pracy. Niestety ja straciłam na czas pewien najmilszego współtowarzysza, lecz nie mogłam się skarżyć! On pracował dla mnie!

„Smirdin natychmiast kupił u Józefa jego tłumaczenie i zapłacił za nie 3,000 rub. assygn. Co za bogactwo! Można było za to dziesięć koni kupić! My atoli poprzestaliśmy na kupnie jednego; lecz wprędce do pierwszej pary dodaliśmy drugą. W taki sposób zamiast zostania uboższymi, myśmy jeszcze mieli w ręku dość pozostałych pieniędzy. Mnie one były niepotrzebne; to co otrzymywałam miesięcznie wystarczało zupełnie na domowe rozchody, mąż mógł więc rozrządzać swobodnie zdobytymi pieniędzmi i wydawać je podług swego upodobania. Wydał on wszystko i wszystko było wydanem dla mnie. Suknie, stroje najmłodniejsze, przedmioty najwytworniejsze, lecz zupełnie zbyteczne, zostały wybrane z miłością i gustem. Mąż mój okrył mnie od głowy do nóg rzeczami, których ja nie potrzebowałam, które mię ambarasowały więcej jak przynosiły użytku—lecz miały one w moich oczach jedną wielką, główną wartość; świadczyły one mi tylko o miłości mego męża. Józef nie chciał mi nigdy wierzyć, kiedy mówiłam, że posiadając taki skarb jak on, nic w świecie nie miało już ceny

w moich oczach. On był zanadto skromnym, by wierzyć moim słowom. Dowodził on, że to był wybieg kobiecy, i podwajał dary, które, powiadał, ja winna byłam przyjmować jako dowody jego miłości”.

Taką więc oto była pierwsza i główna pobudka wystąpienia z „Chadży-Babą”, która to powieść zapewniła naszemu ziomkowi sławę niepospolitego beletrysty w rosyjskiej literaturze. Pochlebiało mu to teraz tyle, ile pierwiej rozgłaszane po świecie mistrzostwo jego w językach tureckim i arabskim.

Powodzenie zaś nadzwyczajne tego pierwszego większego dzieła jego w języku rosyjskim, rozwierające nadal bardzo rozległe praktyczne widoki, zaniechanie zarazem redaktorstwa jedyne go pisma polskiego w Petersburgu, nie przedstawiającego właśnie podobnych widoków praktycznych, jedno i drugie wobec smutnych następstw bezpośrednich — dla całego społeczeństwa, które musiały dokonać ostatecznego przewrotu i w duszy orientalisty, wszystko to, przy znanych psychicznych usposobieniach natury Sękowskiego, spowodowało go nieznacznie na nową zupełnie drogę.

W początku 1832 r. był Sękowski zupełnie już zdecydowany. Trzeba tylko było jeszcze, dla większej ostentacji pesymizmu, w której on sobie zawsze tak podobał, rzucić rękawicę temu, co było mu dotąd swoim, rodzinnem; trzeba było zarazem odkryć przyłbicę, albo raczej zakryć czoło. Tego też właśnie dokonał w tym roku, głośnem swem „Posłuchaniem u Lucypera”.

Smirdin miał Sękowskiego już w ręku. Rozkołysany niepłonną nadzieją przyszłego powodzenia, przenoślił się on tymczasem ze skromnego dotąd na ustroniu składu księgarskiego do wspaniałego magazynu na Newskim Prospekcie. Literaci rosyjscy co znakomitsi postanowili uczcić jego „przenosiny” zbiorowym ze swych artykułów na r. 1833 noworocznikiem pod tyt.: „Nowosielje”. Ziomek nasz nie-

tylko wystąpił obok Bułharyna w ich szeregu, ale jako już związany ze Smirdinem wspólnymi na przyszłość planami, zajmował się nawet wydaniem pisma. Sam zaś dał do niego aż trzy ustępy, z pomiędzy których największego rozgłosu bardzo zasłużenie nabył właśnie, — pod pseudonimem barona Brambeusa podany teraz w języku rosyjskim, — ów świetny satyryczny obrazek: „Bolszój wychod u Satany” (Wielkie posłuchanie u Lucypera), nicujący ze znakomitym dowcipem nastrój umysłów społeczeństwa, obyczaje i wypadki lat tylko co ubiegłych.

Tu właśnie, jakby dla dania moralnej niby ręką niemożności już wycofania się z drogi, na jaką wchodził, jakby dla wiecznego pożegnania bezdusznego z drugiej strony — dotknął on lekkomyślną bezbożną ręką tego, co winno było być na wieki dlań świętem: dotknął wielkiego człowieka, którego zwał się serdecznym przyjacielem, i własne społeczeństwo, którego był dziecięciem. Niech tedy same wydatniejsze z owej „Satani” ustępy o rzeczy świadczą.

Co do stosunku z Lelewelem — wspomnienie o nim służy Sękowskiemu już teraz jedynie za materiał złośliwej, z szubrawską dowcipnej aluzji, za przedmiot sarkastycznego zwrotu, lekkomyślnie rzuconego, na strawę obcym, pociesznego obrazku. Wspomnienie o zacnym tułaczu potrzebne mu na to tylko, aby swemu Lucyperowi, niezadowolonemu, na posłuchaniu powszechnem dostojników jego dworu, ze swego bibliotekarza pedanta,azać w następny sposób przemówić do najwyższego ministra swego Belzebuba:

„...Mam zamiar z czasem zrobić moim dozorcą księgozbioru mojego znakomitego bibliotekarza i profesora, który niedawno tyle sprawił zamieszania na północy. Jak tylko zstąpi do nas natychmiast go instaluj na ten urząd, lecz nie zapomnij ująć go dobrze łańcuchem i przykuć do posadzki w bibliotece, gdyż on gotów i u mnie w piekle zrobić rewolucję i wprowadzić tu budżety konstytucyjne...”

Naprawdę, trzeba tu coś więcej widzieć, jak poświęcenie przyjaźni dla „krasnawo sławca!”

Lecz błędnie to wcale w porównaniu z lekkomyślnym tonem drugiego ustępu, w którym osurowiały na północy ziomek nasz dotyka całego społeczeństwa. Tak oto bowiem na posłuchaniu dalszem u Lucypera piekielny minister rewolucyi i buntów zdaje mu ze swych czynności na ziemi sprawę między innymi:

„...Potem, poruszyłem jeszcze jeden naród, szczęśliwie żyjący na piaskach jednej wielkiej północnej rzeki. Było to prawdziwie zabawne zdarzenie! Nigdy mi się jeszcze nie udało tak łatwo oszukiwać naród w tej sprawie, lecz też prawdę mówiąc, nigdy mi się nie trafili ludzie tak łatwo wierni. Tak zręcznie ich przygotowałem, tak im pomieszałem w głowach, przewróciłem wszelkie ich pojęcia, iż oni bili się jak szaleni przez kilka miesięcy, padali, ginęli, chociaż teraz jeszcze nie mogą zdać sprawy, za co się bili i czego chcieli. Przy tej zręczności miałem zaszczyt Najciemniejszemu Panu dostarczyć przeszło 100,000 najzawziętszych potępieńców”.

To już nie potrzebuje komentarza.

Posłuchanie u Lucypera było napisane w czerwcu 1832 r. Występując na świat w początku roku następnego w noworoczniku Smirdina „Nowosielje” z podpisem barona Brambeus, zapowiedział dalekim i blizkim, iż dawny przyjaciel Lelewela zerwał już ostatecznie z przeszłością, a w postaci barona Brambeusa występuje nowy człowiek, co poślubił nową sprawę i postawił sobie nowe zadania życia.

Napróżno już teraz poważny Fraehn skłaniał go do surowej naukowej pracy, do opracowania historii Hordy Złotej; orientalista nasz inaczej już w świat patrzył.

Tak tedy orientalista nasz został ostatecznie literatem rosyjskim. Smirdin świetnymi warunkami zdecydował go przyjąć główną redakcyę nowego, zamierzonego przezeń czasopisma, którego plan szeroki pierwaj był sam Sękowski

z wielką śmiałością, jak na stan ówczesnej literatury rosyjskiej, zakreślił. W taki sposób powstała wychodząca od początku roku 1834, głośna „Biblioteka dla czytania” (Biblioteka do czytania).

Zostawszy sternikiem tego pisma, stał się on wprędce jego duszą, jego istotą, a nawet pracownikiem najgorliwszym. Sękowski, raz zdecydowany, nie umiał nic na pół robić, jak dawniej studjom swym orientalnym, tak nowemu temu zawodowi dziennikarza oddał on całego siebie. Jakie on następnie zajął stanowisko w rosyjskiej literaturze, co dla niej w ciągu swego życia zrobił—jest to powszechnie wiadome. Długie lata był on jej prawdziwym geniuszem ożywczym, jej duchem opiekuńczym, jej najdzielniejszym sternikiem, regulatorem i najwyższym sędzią. On też przede wszystkim, sam Europejczyk, mimo swego orientalizmu, wprowadził literaturę tę ostatecznie do grona literatur europejskich, związał ją ostatecznie z niemi na wieki, natchnąwszy duchem europejskim. On też nadał ostateczną postać samemu językowi rosyjskiemu. Z jednej strony, jako głęboki, nieprześcignięty orientalista, pan wielowładny osobliwie w zakresie wieloznawstwa języków świata turańskiego, umiał on stanąć dzielnie i mądrze na straży nietykalności charakteru wschodniego, spoczywającego w podstawie genetycznej rosyjskiego języka. Z drugiej zaś strony, jako spadkobierca po ojcach najwyżej wyrobionego z języków słowiańskich, w którym znalazła oddawna żywy swój wyraz cywilizacja Zachodu, rozwarł on potęgą swej uroczej powagi szeroko, na oścież, wrota swobodnemu wpływowi tego swego języka rodzinnego na rosyjski, ożywiając w ten sposób zamilkłe nieco oddziaływanie z czasów dawnej akademii kijowskiej. Jednym słowem, w stolicy północy był on jakby jaki nowy Ateńczyk w Rzymie z czasów cesarstwa, posiadający, pod ręką, na zawołanie, w zbiorach Załuskich, wszystkie skarby kultury ojczystej, lecz zdecydowany okupić zamierzone wyniesienie swe ponad nieprzejrzane przestwory świata obcego,

oddaniem się mu i posługą, nieskończenie szczerzej od wszelakiego syna Hellady, oddającego się przemożnej Romie. Nie do nas należy dotykać szczegółowiej wspaniałego jego pochodzenia w zawodzie piśmiennictwa rosyjskiego; zasługi jego w tej dziedzinie narodowi rosyjskiemu wyświadczone są znane, uznane i przez naród ten uczczone.

Mniejsza, iż późniejsza surowa krytyka (Stawrow) zniża znaczenie tych zasług stanowczo, twierdząc, iż orientalista nasz, jako obcy, nie był w stanie zrozumieć rosyjskiej literatury, nie był w stanie przytulić do serca życiowych jej dążeń. Nadto żyjąc przeważnie w towarzystwie cudzoziemskim stolicy, nie mógł po prostu znać Rosyi, którą, co więcej, uważał za kraj barbarzyński — powodowany w tem uczuciem swem narodowym, jak to utrzymują ks. Odojewski i Bartieniew. Mniejsza, iż naprawdę brakowało mu głębszego nawet zmysłu estetycznego i polotu umysłu, uzdalniającego do rozumienia wyłaniających się z życia samego coraz nowych poglądów społecznych.

Nam, na zakończenie uwag naszych o Sękowskim, jako ziomku, jako dawnym przyjacielu Lelewela, pozostaje jeszcze parę punktów zupełnie innej natury do rozjaśnienia.

Oczywiście będą to już punkta natury psychicznej wyłączeniej.

Mimo wszystko, co wyżej powiedziane, pozostaje jeszcze do bardziej wyczerpującego wyjaśnienia: najprzód sam proces psychiczny transmutacji smutnej Sękowskiego, a potem — o ile też on w tej transmutacji swojej pozostał jednak w istocie swej sam sobą, pozostał wiernym krwi swojej i gniazdu swemu.

Zaiste, zbyt surowo i niesprawiedliwiebyśmy sądzili Sękowskiego, gdybyśmy przyczyny jego odstępstwa dopatrywali jedynie w widokach materyalnych. Nie wysoka karyera jedynie, w powszednim znaczeniu tego wyrazu, była celem jego pragnień i usiłowań; tem mniej — rozległe środki pieniężne dla możności zaspokojenia powszednich

potrzeb dostatniego, wygodnego, w marnotrawnej stolicy północnej życia. Łączyły się z tem pobudki daleko wyższe, lecz zarazem daleko absolutniejsze i prawie do niepowściągnięcia. W kosmopolitycznie obojętnej czy filantropijnej, wszystko jedno, duszy naszego ziomka, nastrajanej już od samej natury krytycznie, wrzało zawsze nieugaszone pragnienie działalności szerokiej, wytężonej, gorączkowej. Niestrudzona praca naukowa pragnienia tego wcale nie gasiła. W warunkach życia, które go zmusiły zamieszkać poza obrębem kraju rodzinnego, a potem wprowadzić obczyznę do własnego domowego ogniska — nie mógł on widać mieć nadziei zaspokojenia tego pragnienia wrzącego, poświęcając się z oddali własnemu narodowemu piśmiennictwu wyłącznie. Zanadto najprzód był on odcięty od głównego ogniska moralnego, cywilizacyjnego ruchu narodowego, by mieć możność ujęcia steru — a o ster mu jedynie chodzić mogło; natura jego absolutna nie pozwalała mu na długo być wioślářzem; zostać zaś strażnikiem statku, ostrzegającym go o zawodach i niebezpieczeństwach, zapewne mu inne widzenie celu podróży przeszkadzało. Co więcej nadto, ujęcie steru piśmiennictwa narodowego było wprost niemożliwe: zwrot onego ówczesny był całkowicie samej naturze Sękowskiego przeciwny, a u steru spotkałby się on z takimi współzawodnikami, genialnego, choć bezładnego porywu, których nie byłby zdolnym miarkować nawet, a cóż dopiero dominować.

Oddanie się więc całą duszą piśmiennictwu narodowemu nie przedstawiało mu na widoku nawet nieskrępowanej swobody ruchu, a przeciwnie wszędy ograniczenie, potrzebę przeróżnych względów, z którymi łączyły się potężnej wagi względy zewnętrzne, a za to wszystko czekały go tylko: pewność narażenia się osobistego i uznanie własnego społeczeństwa, za życia, bardzo, bardzo ciche, skromne.

Co innego zupełnie przedstawiało mu piśmiennictwo rosyjskie.

Tu go wabiło, nęciło, porywało wszystko; wkraczał on tam od razu pochodem tryumfalnym, wśród szumnego rozgłosu powszechnego, bezgranicznego prawie uznania, bez widoku współzawodników poważnych, z pewnością cieszenia się nieskrępowaną niczem prawie swobodą ruchu i gospodarowania podług swojej woli, podług swego widzimisię nawet, w świecie umysłowym społeczeństwa, przedstawiającego już w naturze swej właśnie ideał karności i uległości przed każdą rzeczywistą siłą. Nareszcie życie go już samo związało licznymi węzły z tem społeczeństwem i jego cywilizacyjnym ogniskiem.

Był to jedynie wynik szczególnego zbiegu okoliczności jego życia, nie zaś jakiegoś moralnego wyboru, ale tem niemniej zdecydował o charakterze całego jego żywota.

Wierzajmy bez wahania, że gdyby podobne okoliczności życia przykuły były Sękowskiego do Kairu naprzykład, oddałby się on w tenże sam sposób językowi arabskiemu, piśmiennictwu arabskiemu, poślubiłby zadania cywilizacyjne szczepu arabskiego. Cóżby było dla niego łatwiejszem w świecie — dla niego, co mówił po arabsku tak, że go za Franka uznawać nie chciano, co stawiał pierwsze kroki w języku rosyjskim, próbując tłómaczyć arabskie powieści? Trzeba bowiem, mówiąc o Sękowskim, nie zapominać nigdy, że był to swego rodzaju artysta dramatyczny, — najwyższego stopnia potęgi i przejmujący się rolą przybraną tak, iż w niej zapominał niejako sam siebie. Mówiąc po arabsku z szejchami Druzów na Libanie, stawał się on nieświadomie sam Arabem, między Turkami występował jako Stambullia najczystszej wody, umiał też nie do poznania przywdziać na się postać mirzy perskiego. Było też dziełem genialnej igraszki jedynie, poślubiwszy literaturę rosyjską, skupić w swojej osobie wszystko „szto ni jest' ruskoje” i wystąpić wobec Rosyan w roli absolutnego mistrza rosyj. mowy. Srodzeby się więc ten pomylił, ktoby, widząc Sękowskiego w jakiejś z ról jego genialnie odegrywanych, nie chciał w nim widzieć

wysokiego artystę jedynie, aktora, a brał go za przerodzonego w naturze swej rodowej człowieka. Inna rzecz zupełnie sąd o wartości moralnej gry podobnej na długą metę. Że zaś grał on każdą z ról swych znakomicie, z przejściem się aż nie do poznania — było to właśnie tylko wynikiem spotęgowanej w nim tej jego natury rodowej; był on jak ów powszechnie znany typowy żołnierz krwi naszej, który po prostu nie umie bić się źle, bez względu w jakim obozie doła jego stanąć mu kazała, a cóż dopiero gdy on własnowolnie przyjął gdziekolwiek jakie dowództwo.

Czy tedy Sękowski przestał być sobą, oddawszy się piśmiennictwu rosyjskiemu — nie potrzebujemy się tu wahać z odpowiedzią; był on jedynie owym ochotniczym dzielnym dowódcą, w obcym wojsku, który raz poślubiwszy wojska tego sprawę, tak mu przewodniczył, jakby wyszedł z jego szeregów, i nikomu się w dzielności prześcignąć nie dał, bo niedzielnym być nie umiał, a w sławie dowodzonego przez siebie wojska widział sławę osobistą, przedewszystkiem istny „condotiere” umysłowy.

Stał się głośnym, sławnym, trwogę dokoła, w świecie współpiśmienników, roznoszącym...

KOLEJE DZIEJOWE ZRZESZANIA SIĘ SŁOWIAN NADKARPACKICH DO POŁOWY XV-go WIEKU. *)

WSTĘP.

Historyzoficzne badania najpoważniejszych myślicieli ustaliły tę psychiczną prawdę, iż możliwe upostaciowanie wszystkich bez wyjątku stron życia narodu wogóle, nie przestając być wyrobem warunków miejscowości, czasu i wpływów postronnych, przedewszystkiem jest wyrazem istoty jego wewnętrznej, wyrazem jego ducha. Jest to prawda, równie stanowcza w zakresie umysłowości, jak na polu społecznem i politycznem. Na tem zaś ostatniem jest do takiego stopnia pewnikiem, iż baczniej rozważywszy dzieje jakiegokolwiek narodu — pomimo najsprzeczniejszych form politycznych, w jakich czasami, w długim ciągu dziejowym, nam się on ukazuje — nie możemy nie dopatrzeć jednej przeważającej, organicznej idei, co usiłuje nadać bardziej wyjątkową postać politycznemu bytowi onego. Pewnik ten uwydatnia się dotykalnie i w dziejach naszego narodu, uwydatnia się zarówno i wśród kolei dziejowych całego szczepu Słowian.

*) Kwartalnik Kłósów, 1877 r., t. I.

IDEA FEDERACYI.

Jakkolwiek mało dziejopisarze nasi zwracali na to należytej uwagi, jakkolwiek też i w przeświadczeniu dzisiejszych pokoleń o przeszłości nie da się dostrzedz nic pod tym względem twierdzącego, to jednak, unaoczniając cały przebieg naszych dziejów, trudno w gmatwaniu najróżnorodniejszych upostaciowań, jakie przybierał na się polityczny nasz żywot, nie dojrzeć tego — że ową jedyną, organiczną ideą, co stała się spójnią olbrzymiej naszej społecznej budowy, co mocą swą rozsadzała ustrój innych politycznych dążeń, była myśl, którą inaczej jak myślą federacyjną nazwać nie potrafimy. Czemże jest bowiem nasze polityczne społeczeństwo, po wszystkie przeszłe wieki, jeśli nie rzeszą, związkiem, u nas pobratanych plemion, rzeczą wspólną — w polskim znaczeniu tego wyrazu; czemże jest dobitniej, jeśli nie federacją? Nie myślimy tu wcale twierdzić, jakoby idea federacji była polityczną dźwignią jedynie naszego narodu lub naszego szczepu wyłącznie: owszem — wiemy dobrze, że wszystkie prawie, najbardziej nawet skonsolidowane narody przechodziły tę fazę politycznego bytu, jako naturalny proces szerszej narodowej formacji. Lecz z drugiej strony, nie zapominamy równie i o tem, że niema szczepu, w któregooby łonie indywidualizmy plemiennie i miejscowe posiadały tyle niezwalczonej życiowości wewnętrznej, ile ich posiadał szczep słowiański. Cóż jest właściwie podstawą pierwszą i nieodzownym wymagalnikiem federacji, jeśli nie życiowość uporna plemiennych jednostek? Wiekuistość zaś trwania historycznego owej życiowości wznosi ideę federacji na stałą cechę słowiańskiego ducha. Cokolwiekby o tem wreszcie skądinąd rozumiano, dla nas przecie jest rzeczą oczywistą, iż myśl federacji była najpotężniejszym sternikiem politycznego życia naszego narodu w jego szczytniejszych wysileniach. Następnie przekonanie to, nie dość może podzielane przez ogół, staje nam tu za pobudkę do faktycznego skreślenia w głównych zarysach i samych

kolei dziejowych rozwoju naszego społeczeństwa, ze stanowiska tej myśli rozważanego. Pewni zaś jesteśmy, iż skreślenie podobne, jeśli okaże się historycznie prawdziwym, musi nieodzownie przyczynić się do rozjaśnienia i tej zacienionej strony życia przeszłości naszej. Oczywiście, idea federacji w swoim rozwoju ożywiła nie tylko plemiona szczeropolskie: jej dziejowem podścieliskiem, tłem i zakresem jej życia był cały świat północnych Słowian; dlatego też nieinaczej, jak tylko w tak szerokim obrębie, myślimy ją śledzić; nieinaczej, jak tylko biorąc pod rozwagę całe grono plemienne północnych Słowian i ich politycznych pobratymców.

Myśl federacyjna, którą tu cechujemy jako przeważającą, przewodniczącą, organiczną, którą uznajemy za wyraz istoty samej i ducha naszego szczepu — jako taka, musiała być nieodzownie uwydatnić się już u kolebki pacholącego żywota Słowian. Stąd nie byłoby nic naturalniejszego nad wymaganie właśnie okazania faktycznego jej istnienia wśród rzesz słowiańskich już w pierwszych po Chrystusie wiekach. Na wymaganie podobne jednak twierdząco odpowiedzieć wręcz nie możemy: nie koniecznie dlatego jedynie, iż nie posiadamy z owego czasu dokładniejszych wiadomości o rzeczywistym stanie naszego szczepu; lecz również i przez to, że nawet te wyobrażenia, jakie o nim mamy, przedstawiając nam wewnętrzne siły onego *in potentia* jedynie, zdają się wbrew przeczyć naszemu twierdzeniu. Jednakże przeczenie to jest tylko pozorne; stan szczepu naszego (aż do IX wieku niemal, to jest do pierwszego pojawienia się mniej więcej samoistnych plemiennych społeczności) jest takim niemowlęctwem, gdzie jeszcze myśl, spowita w jego łonie, nie w mocy była się wypowiedzieć. Byli Słowianie wtedy o wiele młodszy i słabszy od żywiołów, które ich otaczały i gnioły; — byli bezsilni wobec światoburzców, swych panów; zanim więc mogli naturę swą w większej pełni czynnie wyrazić, pierwsi w dziecinnym uspieniu musieli długo

czekać na ulgę ciężaru, podniecie wypadków i wpływów obcych, dla własnego rozrostu i poczucia. Jak się zaś to pierwsze poczucie w politycznej myśli wyraziło — ujrzymy później; tu nie od rzeczy będzie skreślić poprzednio stan ich niemowlęstwa, z którego dokładniej się przekonamy, iż nawet absolutna ich bierność kryła już w sobie wiele organicznych zarodków tego, co się w następstwie czasu tak wyraziło stanowczo. W charakterystyce Słowian a następnie i Lechów trzymać się będziemy przede wszystkim obrazowania Szajnochy.

I.

Pierwobyty Słowian. — Wpływ Turańców. — Normanowie. — Znaczenie Lachów. — Pierwsze ślady zrzeszeń. — Nacisk Franków. — Związek Morawski. — Pierwotna rzesza Piastów. — Stan północnych Słowian w X-m wieku. — Odłamy zachodni. — Odłamy wschodni. — Idea Chrobrego.

PIERWOBYT SŁOWIAN.

Pierwotny, przedchrześcijański stan Słowian społeczni nam badacze — sławofile, z ułamkowych podań, wieści i wiadomości, dotyczących różnych czasów i miejsc, bez zaprzeczenia przesłicznie skreślili. Choć treść tę mało kto, wyjąwszy Kolarza, ujął w poetyczną formę, niemniej przeto tchnie ona nawskroś arkadyjskim powiewem idylli, tem szczytniejszej, o ile ważniejszych niż ta dotyka wyrażen życia. Słuchając jej dźwięków, niepodobna nie przenieść się wyobraźnią gdzieś w rajskie zacisze, gdzieś w złoty wiek starożytnych; tak rysy tego obrazu, jaki nam roztacza, spokojne są, miłe, ujmujące; tak nasi Słowianie błogo poza nimi wyglądają! Lecz, na nieszczęście, złudzenie to poetyczne nie wytrzymuje dotknięcia zdrowej rozważy; powietrzna budowa ulatnia się, a naga rzeczywistość przywdziewa inną postać. Otóż, co rzeczywiście możemy wiedzieć o pierwotnym stanie Słowian, zawiera się w jednym pewniku naiwnym a surowym — *Sclavus saltans*, koło któ-

rego grupują się wszystkie inne podania, jako waryacje na ten jeden ton smętny. Pominąwszy bowiem zewnętrzne warunki, w samym wewnętrznym usposobieniu pierwotnych Słowian leżała już pewna bierność—bezsilność ku wyższym porywom politycznego życia, tak odznaczającym w owe czasy np. Germanów. Szła ona w parze z dualistyczną ich naturą, zawierającą w najgłówniejszych swych cechach samą sprzeczność i kontrasty; wskutek czego i w socyalnem ich usposobieniu uwydatniły się dwa kierunki: o ile z jednej strony—najzupełniejszy brak zmysłu społeczeńskości i centralizacyjnego ducha, o tyle z drugiej—namiętne zamiłowanie towarzyskości. Wszystkie inne cechy szczepu przedstawiają się nam jedynie jako prosty wynik tego usposobienia. Fizycznym następstwem onego było: rozproszenie siedlisk słowiańskich daleko od siebie po niezmiernej przestrzeni ziemi, wśród puszczy, bagien i wód; unikanie wszelkiego gromadniejszego skupiania się koło pewnych średnic, miast lub grodów; zamiłowanie w przestronności bytu wiejskiego; — lecz oraz wbrew temu: instynktowe trzymanie się kupy, w pewnej zakreślonej przestrzeni, nieprzerwanym łańcuchem siedliszcz, prowadzące za sobą najpierw zamiłowanie w naturze, uzdolnienie do wyjątkowego oddania się rolnictwu, a z czasem i namiętne przywiązanie do kraju. Moralnem zaś następstwem było: z jednej strony podobnie rozproszenie myśli, mało zdolnej ku stanowczemu a wytrwałemu postanowieniu, ku posłusznemu poddaniu się jednej potężniejszej myśli i woli, a następnie owa, znana po wszystkie czasy, niesforność i kłótniwość Słowian; ich zamiłowanie w prostaczej swobodzie; z drugiej zaś—popęd ku gwarności gromadowładnego życia, moc stosunków rodzinnych i uprzejmość dla obcych, dla gości. Niczego innego, jeno tylko tej dualistycznej cechy wpływem była i ta tak powszechna niewojenność Słowian, i ta znana ich odwaga indywidualna i wysoka zdolność przejmowania się duchem rycerskim. Te to cechy właśnie, ten dualizm, co tak wyróżnia byt pry-

watny Słowian od publicznego, nie sprowadzony jeszcze do równowagi, pomimo tylu stron w nim dodatnich, trzymał Słowian wieki całe w niemowlęctwie i zależności, nie pozwalając im skupiać się w silniejsze grona. Wiele stuleci minęło (aż do IX), nim okoliczności dały nareszcie wystąpić na widownię, spotężnionym przez przeciągłe a bolesne wychowanie, siłom ich bardziej organicznym. A tymczasem w całym ciągu epoki wielkiej wędrówki ludów, rozstrzelony na drobniutkie gromady, odosobniony w swych rozrzuconych siedliskach, swarliwy Słowianin nie był w stanie opierać się lada przybyszom. Kraj jego stał otworem dla wszystkich, za całą obronę służyły mu bagna i bory; ale i w tych, przy swej nagiej bezbronności, nie mógł skutecznie stawić czoła zbrojnym najeźdźcom: najbezkarniej przeto najprzeróżniejsze ludy gospodarzyły w jego ziemi, ciężąc nad nim okrutnem jarzmem. Tak np. Gotowie, Wandale, Longobardi z północy, Hunni i Awarowie od wschodu, długo pierwiej gnietli Słowiańszczyznę, nim się rozszrożyli nawałnicą nad Rzymem. Przestrzenie słowiańskie roily się od cudzoziemczych tłumów i osad, bądź to sąsiadujących tylko z plemionami Słowian, bądź też — i to najczęściej, panujących nad niemi. Taka zaś wiekowa niewola polityczna pod jarzmem obcem prowadziła za sobą i niewolę innego rodzaju, deleko okrutniejszą, bo niewolnictwo osobiste, szczególnie nad Bałtykiem. Było ono nieskończenie surowsze i bardziej rozpowszechnione, niż u innych ówczesnych ludów, gdy sama nazwa Słowianina stała się symbolem niewoli, wyrazy „Słowianin” i „niewolnik” synonimami; gdy, podług słusznych słów jednego z głębszych naszych badaczy (Lechicki początek Polski), cała Słowiańszczyzna pierwiastkowa miała postać ogromnej kniei, w której Germanin łowcą, Słowianin był zwierzyną! — mniejsza, że nazwa Anta u Gotów była jednoznaczą z wyobrażeniem olbrzyma, bohatera.

WPŁYW GERMANÓW.

W takim stanie rzeczy, w jakim znajdowało się Słowiaństwo pierwotne, przy bezbronności wewnątrz a jarzmie zewnętrznem, trudno było wyczekiwać jakiejś myśli politycznie twórczej — i rzeczywiście jej nie było. Wprawdzie stan taki nie niszczył szczepowego indywidualizmu Słowian, utrzymując w nich wszystkie pierwiastki wyższego bytu w zawiązku. Zamiłowanie bowiem w naturze i obrębie swych siedliszcz, pociąg do roli i zatrudnień wiejskich — czyniąc Słowian mniej drażliwymi na sławę wojenną i podboje, choć oddawały ich nieustannie w moc inncorodców, udzielały im jednak i siły etnicznej nieugiętości. Zwykle też skoro burza najazdu przeszła, Słowianin natychmiast podnosił głowę; a nawet gdy najeźdźcy trwale pozostali w jego kraju, z czasem powoli asymilował ich sobie i znów ocucał się panem swej ziemi. Przejścia takie jednak nie przedstawiały dostatecznych środków do samodzielnego wydobycia się z bierności. Bądź co bądź, przy takich warunkach inicjatywę polityczną musieli wziąć z konieczności innoplemięncy; i istotnie wszędzie pochwycili ster onej. Nie swoi też, lecz cudzoziemcy, Germanowie, jak to niewątpliwie udowadniają poważniejsze badania historyczne, stali się inicjatorami pierwszych plemiennych, a z kolei i narodowych, politycznych społeczeństw — u wszystkich bezwarunkowo północnych Słowian i opasanej ich splotem Litwy. Dopiero dotknięcie się pierwiastku germańskiego, skandynawskiego, wybitniej występującego w potoku wieków pod najprzeróżniejszymi nazwami (od Gotów do Wikingów), ożywotniło widać wyższą działalnością spowite w uśpieniu siły tych ludów. Krwawą wprawdzie być musiała nauka, ale nieodwołalną, a skutki jej dobroczynne dawno zatarły bolesną jej pamięć. Lecz zawsze potężna treść do urobienia spoczywała w łonie północnych Słowian i, pod zbrojną pięścią a przewagą czynnego ducha przychodniów, z łatwością przyjść mogła do swego wyrazu politycznego. Miłość ich

rodzinna, rozślawiona gościnnosć, prostota umysłu i otwartość serca, skromność potrzeb, wytrzymałość i osobista odwaga, a nadewszystko popęd ku gromadowładztwu, nie mogły nie być zadatkami i rękojmiami bujnego rozrostu sił ich społecznych, za łada obcą silną ich podniętą. Różnoimienni Normanowie właśnie wnieść mogli w łono północnych Słowian to, na czym im rzeczywiście zbywało. Przedsiębiorczy duch wojowniczy, rycerskie braterstwo i uległość wybranym przywódzcom, wysoce wyrobiony duch stowarzyszeń, a nadewszystko zmysł organizacyjny: te były wybitne cechy północnych przychodniów. Faktyczne krewne zespolenie dwóch tak sprzecznych natur musiało wyprowadzić i wyprowadziło istotnie północnych Słowian na widownię europejskich dziejów, w tem wystąpieniu zachowując im pewien wyjątkowy kierunek.

WPŁYW TURAŃCÓW.

Nie może to nikogo zastanawiać, że o wpływie ural-
skich, fińskich i turańskich plemion, na pierwotnych Słowian, nie mówimy tu wcale. Wpływ ten miał tylko doniosłość burzy, co zawichrzy, zniszczy i przejdzie, nie pozostawiając po sobie nic organicznego. Wprawdzie był on trwalszego znaczenia dla południowych Słowian (Bułgarzy, Madiarowie), stał się z czasem duszą usłowianionego ludu krańca wschodniego Europy; lecz północnym Słowianom, z wyjątkiem zniszczeń i przemijającego jarzma, nawet po stalszem przez Uralców zajęciu płaszczyzn na ich południowej granicy, nic nie pozostawił. Burza huńska, co wstrząsnęła posadami Germanów i ułatwiła Słowianom pierwsze swobodniejsze poruszenie się nad Bałtykiem, miała tylko skutki pośrednie; dawniejsze zaś wpływy Celtów u Tatr i zachodnich ich rozgałęzień—mniej pewne. Wszystko tedy, co otrzymać mogli Słowianie żywotniejszego od obcych, było przeważnie darem przymusowym Germanów. Germanowie, pominąwszy już względną ich wyższość nad Ural-

cami, gościli po całym przestworze ziemi północnych Słowian, a gościli trwale i od niepamiętnych wieków. Dziejowe fakta dobitnie to unaoczniają. Zachodnią Słowiańszczyznę już najpierwsze historyczne po Chrystusie podania znajdują w splocie pan-germańskim (Tacyt — Maciejowski). Widoczna więc, że już wtedy istniały rozległe stosunki między dwoma szczepami, istniała nieunikniona w zrzeszeniu się wymiana wyobrażeń, zwyczajów i praw; kto zaś w tym stosunku miał przewagę? — odpowiedzieć nie trudno.

NORMANOWIE.

Nie południowy to, nie teutoński odłam szczepu germańskiego, jakby się zdawało, lecz północno-normański (jeśli weń wliczymy starych Sasów) przeważał widocznie w zrzeszeniu się ze Słowianami zachodu, tak jak od wieków przeważał na litewskich porzeżach Niemna i Dźwiny. Z biegiem czasu przewaga ta staje się coraz wyraźniejszą. W wielkiej wędrówce ludów, nie teutońskie, lecz normańskie tłumy goszczą i gospodarzą u Słowian zachodnich; potęga Gotów obejmuje i wschodnich ich pobratymców. Prąd najazdów normańskich trwa bez przerwy. W połowie VI wieku zastajemy w żuławach Wisły i Odry Normanów (*Vidvarii* u Jornandes, *Gothi* u Bogufała), a już na początku VII wieku Horwaci i Serbowie ustępują za Tatry do Pannonii (Const. Porph.); nasze zaś podania kronikarskie odnoszą i przyjście Lecha do tej epoki. Widoczny tu związek logiczny między faktami. Istotnie do tej przedewszystkiem epoki (t. j. do połowy VI wieku) odnieść należy, zdaniem Szajnochy, wprawdzie nie pierwsze ani ostatnie, lecz bardziej tłumne przybycie drużyn skandynawskich, pod mianem Lachów, na południowe pomorze Bałtyku; przybycie — zachowane w podaniach kronik naszych w obrazie przyjścia Lecha, jak posunięcie się ich dalsze za Krkonosze nad Łabę, przechowane w obrazie Czecha u naszych sąsiadów. Do tej epoki odnieść też należy i pierwszy związek

zrzeszenia się rozleglejszego zachodnich Słowian pod przewodem i zwierzchnictwem owych Lachów.

ZNACZENIE LACHÓW.

Niewątpliwie zrzeszenie się powyższe, to mniej, to więcej sprężyste na pewnych punktach, trwało u nas aż do połowy IX wieku w ciągu trzech stuleci. (Okres legendowy Lechów, Kraków, Popielów.) Mieć ono musiało nieobliczone dla północnych Słowian skutki. Poddani przemocy ruchliwych drużyn Normanów, a silniejsi od nich liczebnie Słowianie, nie tracąc swej szczepowej indywidualności, nie mogli nie przyjąć od tych pierwszych, razem z rzeczywistą władzą przewodniczącego stanu, oraz i czynnych, organizacyjnych pierwiastków politycznych, jakie on przedstawiał. Przeciąg czterech wieków, sprowadzając faktyczny zlew Normanstwa ze Słowiaństwem, prowadził i do zespolenia się psychicznego dwóch różnych natur. Ciężko opłacali oczywiście Słowianie ten proces pierwszego politycznego wychowania, lecz ku końcowi onego dali się widzieć spotężnionymi, bogatszymi o całą dodatnią polityczną stronę życia. Ujęte bowiem w karby szerokich zrzeszeń Lachów, rozstrzelone plemiona zachodnich Słowian zapoznać się musiały bliżej i same z sobą, a przez nabytą w ten sposób świadomość swych sił, mogły łatwiej siły te podnosić, ile razy okoliczności nakazywały wystąpienie we wzmożonej potędze. Długa uległość stosunkowo porządnemu, bez wątpienia, powiązaniu władz społeczności lechickiej — co tak cechuje wszystkie wogóle podbojowe drużyny Skandynawców — ozwyczała Słowian ze sprężystszym społecznym ładem, wdroyła ich naturę w poczucie konieczności takiego ładu. Dziać się to mogło tem nieodzowniej, o ile wiecowość skandynawska leżała w usposobieniu gromadowładnem i samych Słowian; o ile poddawanie się przewodniczącemu stanowi, wyjątkowiej wojennemu, nakazywane było przez burzliwe położenie wśród groźnych okoliczności. A nawet przy nie-

odzowności, tem łatwiejszem jeszcze to się stawało, gdy drużyny Lachów, rozrzucone najwidoczniej siecią po szerokich przestworach, już to dla mniejszości liczby, już też skutkiem usposobień własnych, szybko słowiańszczeć i wcielać się w masę uległych im plemion musiały, a przejmując się interesami onych, zatrzymywały w swym ręku jedynie zwierchnictwo, podzielane tem niemniej z podnoszoną ku sobie żywszą klasą tubylców. Wśród takiego składu rzeczy i pierwiastek wojenny, podniesiony przez Normanów, widomie nabrał życia wśród zachodnich Słowian, a nadomiar tego rozwinęła się przedsiębiorcza ruchliwość i w nich samych. Najwybitniejszy wyraz tego dostrzegamy tam, gdzie właśnie wpływ normański był najmocniejszy, t. j. u ludów pomorskich. Co to za gorączkowa u nich przedsiębiorczość lądowa i morska, handlowa i wojenna, co za rozpaczliwa energia następnie w upieraniu się przy starym swym religijnym porządku! — Obronność kraju i mieszkańców wzniosła się; dawne leśne rozproszenie ustępowało miejsca skupianiu się opół dokoła grodów warownych, życie musiało nabrać więcej rażności, stosunki się ułatwiały, widnokrąg działania rozszerzał. Nie osiedzieli się też doma i osłowianione Lachy, wcześniej zajęli we wschodniej Chrobacyi źródlika Bugu i Dniestru, a pewnie na dobre wieków kilka przed przyjściem bratnich im Waregów dotarli do Dniepru i za Dniepr nawet (Radym i Wiatko, u Nestora).

PIERWSZE ŚLADY ZRZESZEŃ.

Ruchawość normańskich drużyn, przy duchu ich wojenno-federacyjnym, zbliżając dalekich Słowian ku sobie, nauczyła oczywiście i tych ostatnich chwytania się, przy lada grozie, takichże środków do zabezpieczenia się własnego i ustalenia swobody, jakimi się utrzymywało pierwiej i samo kilkowiekowe jarzmo: nauczyła ich, słowem, szukać zbawienia w doraźnem zrzeszaniu się lub trwałszych federacjach. Oporem widać jednak szły te zrzeszania

się. Wprawdzie wiązały się czasowo między sobą, potrzebą lub przemocą nagłone, drobne rody, pokolenia; lecz na stałe federacje plemion i narodów potrzeba było silnych zewnętrznych pobudek, niemniej jak czasu i dojrzałości. Tem nieodzowniej jednak sama idea federacji spoczywała w poczuciu ludów i konieczności toczących się faktów. Pierwszy jej wzór dali już na początku VII wieku Czesi i Chorutanie, śmiało stawiając czoło natarczywości Awarów i Franków, pod wodzem swym Samonem (około 623—641), obcym widocznie jednakże gościem. W wieku VIII, w czasach najścia Franków, niezawodnie i na naszym zachodzie musiały już istnieć szersze, powstałe z liczniejszego zespolenia odosobnionych zwykle żup, rzesze, mniej więcej z sobą obeznane i porozumiewające się. Są ślady, iż one czasami wyjątkowiej się między sobą wiązały, jak: Lutycy i Czesi, Bodrycze, Syrbi i Polanie. Lecz wobec tego nie brak było i drobnych plemion, osobliwie między średnim biegiem Elby i Odry, nie zrzeszonych w ściślejsze grupy.

NACISK FRANKÓW.

Gdy nowopowstający koło IX wieku stan rzeczy na Zachodzie wzniosł ukuty przez Franków kolos Teutonizmu, groźny podwójną, czerpniętą z Rzymu ideą — Chrystusa i Cezara — duchownego i świeckiego wszechwładztwa, Słowianie, postawieni wobec niego twarzą w twarz, nagle się budzą i naraz występują ze znaczącą siłą oporu. Franko-chrześcijański Teutonizm zastał na wschodniej swej granicy, w zdwojonym ku sobie antagonizmie normano-słowiańskim, zapory za silne do natychmiastowego zwalczania. Połabskie plemiona pierwsze poczuły groźbę (780, 789); najpierw też, dla zapobieżenia jej skutkom, doraźnie chwyciły się grupami wzajem za ręce do stanowczego oporu, i potęga Karola Wielkiego spotkała poza Sasami na Łabie, mimo antagonizmu plemion, łańcuch graniczny, mniej łatwy do przzerwiania. Lecz zbrojna przemoc, koniec końców, z biegiem

czasu wzięła górę: Obotryci, Lutycy (789) i Syrbi (806) poddali się Frankom; następnie uległy temuż losowi Czechy i bliższa Chrobacya. Uległość polityczna prowadziła za sobą i mus uległości duchownej; mus przyjmowania urzędowej Zachodu religii (kościół nitrański 836); obosieczny bowiem miecz Niemców gwałcił słowiańskie karki pod dwa jarzma razem.

ZWIĄZEK MORAWSKI.

Germanizm nacierał stanowczo, lecz zwiększona potęga naporu wywoływała coraz silniejszą moc odporną. Zaraz po śmierci Karola Wielkiego poczęli Słowianie zrzucić z siebie jarzmo Franków; a niebawem — w drugiej połowie IX wieku — tam gdzie duch słowiański, wolniejszy już może od postronnych wpływów, silniej był wyrobiony, objawiła się myśl tęższej szczepowej opozycji, na drodze politycznego zrzeszania plemion. W krainach Wielkiej Chrobacyi, po obu stronach stoków tatrzańskich, od Lasu Czeskiego do Bugu, powstał związek wielko-morawski (Mojmir około 830—846, Rościsław 846—870). Sterowany potężną dłońią Świętopełka (870 — 894), obejmował on swym spletem: oprócz Morawian, ludy Rakus (Aribo gr. Niem.) i Błatna pannońskiego (Kocel 880), Syrby i Czechy (Borzywoj 894), Szląsk i pewnie całą Chrobację (Wyszewit u Wiślan). Związek ten przedstawiał w sobie pierwiastki organiczne, wrózące pomyślnie pierwszemu zarodowi prawdziwie słowiańskiej potęgi. Geograficzną onego podstawą — długi łańcuch Tatr, tego przytuliska wszystkich Słowian; religijną i cywilizacyjną spójnią — krzewiący się pod tę porę właśnie chrystyanizm, unarodowiony obrządkiem (Metody 862 — 885). Co więcej, pod naciskiem natarczywości ze strony cesarstwa Niemieckiego, związek, wsparty o Tatry, jednym ramieniem mógł sięgać ludów pomorskich Bałtyku, mniej niechętnych chrystyanizmowi niż podającym go Niemcom, drugim zaś — Chorutanów a nawet przymorskich Horwa-

tów; zagrożony, mógł swobodnie, opierając się o szeroce rozsiadłe po dolnym Dunaju usłowianionych Bułgarów państwo, wiązać się dla przeciwwagi z dworem byzantyjskim. Spoczywała w nim jednak rzeczywista siła, na nieszczęście, tak długo tylko, dopóki była uosobiona w sterniku: idea jeszcze nie wcieliła się była w masy zrzeszonych plemion. Zatrwożeni przecie nią Niemcy postanowili ją w kolebce zniszczyć: wewnątrz prześladując zacięcie obrządek słowiański (po 885 i 899 r.), zewnątrz—zwabiając (892) do wspólki Madiarów, co pędzeni ze stepów chazarskich przez Pieczyngów, a powołani przez cesarza Leona (888) przeciw Bułgarom, przeszli byli Karpaty i zajęli Siedmiogród. Chociaż jednak zjednoczone ich usiłowania, przy pomocy znanej niesforności samych Słowian, rozprzęgły związek morawski (Mojmir 894—907); chociaż Madiarowie, włómem swym na płaszczyny (bułgarskie lub morawskie dotąd) Cissawy i Dunaju, na wieki całe przecieli możliwość ściślejszego spolenia się północnych Słowian z południowymi, a Niemcy parli pierwszych coraz to natarczywiej: pomimo to, sama idea szerszej federacji przetrwała burzę. Parcie Teutonów ku wschodowi wywołało nowy odpór; cała zachodnia Słowiańszczyzna poruszyła się w zapędzie walki. Pierwsze zapasy jednak były ciężkie i niewiele rokujące, gdy idea gromadnej federacji z trudem wyrabiała się wśród przeciwności. Czesi, co, jako przyrodzeni dziedzice Morawy, pierwsi rzucili się w jej ślady, nawet po upornej walce Bolesława Okrutnego (935 — 967) z Ottonem I, nie zdolni byli stanowczo oprzeć się wdzierstwu cesarstwa i łaciny. Lecz wzmocnieni wewnątrz energiczną polityką Bolesława, a ubezpieczeni od Madiarów, porażką onych stanowczą (955 nad Lechem), szukali Czesi pomnożenia sił swych w związkowym zwierzchnictwie — zajmując za Bolesława II Pobożnego (967 — 997) Szląsk i całą Chrobację po obu stronach Tatr, z wyjątkiem Czerwieńska, wydartego Lachom (984, 993) przez Rusów, zdobywając (od 973) dla ziem tych osobne biskupstwo

w Pradze. Tak świetnie rozwijająca się potęga Czechów przysła jednak niebawem wobec nowej siły.

RZESZA PIASTÓW.

Jednocześnie prawie z wystąpieniem związku morawskiego, na porzeczu Warty, u wybrzeży Gopła — morza polskiego, co wtedy bezpośrednio łączyło wody Warty z Wiślańskimi, stanowiąc średnicę wielkiego żeglownego gościńca, w portowym grodzie Kruszwicy wybuchnął przewrót polityczny, co, zadawszy tam cios dominującej rzeszy Lachów, stał się zarodem nowej, bardziej rodzimej federacji plemion. Hasło do obalenia władzy lechickich *księdzów*, w osobie mitycznego Popiela, z zachowaniem jednak głęboko wkorzenionych a ustalonych wiekami społecznych i politycznych porządków samych Lachów, dali w połowie IX wieku (880) Polanie z Kujawami, wynosząc na miejsce tych *księdzów* kmiecy ród Piasta. Sąsiednie plemiona, Łęczanie i Mazowszanie, chętnie zrzeszyły się pod nową chorągwią; i powstający w taki sposób związek plemion, wcale nie tracących w nim swej odrębności nadal, przybrał u sąsiadów imię polskiego. Lecz i ta nowa rzesza, jak i czeska, silniejsza od niej, nie zdołała w pierwszej chwili skutecznie stawić czoła niemieckiej przemocy: Mieczysław musiał przyznać zwierzchnictwo Ottona (r. 963), za czym w ślad poszło i przyjęcie łaciny (965). Ten sam los spotkał i resztę ludów zachodniej Słowiańszczyzny. Słabsze, mniej silnie zrzeszone między sobą, plemiona nadbałtyckie: Obotryci, Lutycy, Pomorzanie, a z nimi i Syrbi połabscy, w nieustannych swarach między sobą, równie nie uszli przemocy Niemców. Poddaństwo, danniczość lub hołd stały się ich udziałem, margrafy i biskupy — ich zwierzchnikami; a jeśli uchylały się niektóre z nich zręcznie od urzędowej wiary cesarstwa, musiały wszystkie przecie przyznawać świecką zwierzchność onego. Ożywione po wszystkie wieki duchem samoistności, drobne te plemiona Słowian, łatwe do wzajem-

nych niechęci, przy stałej polityce Niemców podszczuwania jednych na drugich, łatwiej znoszą obce uroszczenia, niż swojskie rzeczywiste zwierzchnictwo. W taki sposób, pomimo oznak wyższego życia i dzielniejszych wysileń, cała zachodnia Słowiańszczyzna znalazła się pod koniec X w. w szponach cesarstwa. Przewaga Niemców tem była pewniejsza, o ile oni stawali się jedynymi pośrednikami między Słowianami a ogniskiem ówczesnej oświaty zachodniej — Rzymem; osobliwie od czasu, gdy po włomie Madarów do Pannonii znikła możliwość bezpośredniego stosunku z Carogrodem, a z upadkiem rzeszy morawskiej i sam obrządek cerkiewny u Tatr zagaął.

STAN PÓLNOCNÝCH SŁOWIAN W X WIEKU.

U schyłku X stulecia tedy, po czterowiekowem gospodarowaniu Skandynawów, po dwóch wiekach wdzierstw Teutonizmu, znów staje nam przed oczyma *Sclavus saltans*, podobnie jak i na schyłku stulecia V-go. Ale jakże różny jest przecie jeden od drugiego! Półtysięczno-letnia dola znacznie go odmieniła.

ODŁAM ZACHODNI.

Otóż, co do zachodniej połowy północnych Słowian, wprawdzie widzimy ich wszystkich pod przemocą żywiołu germańskiego, pod czarodziejskim urokiem uchrześcijanionego upióra, starego Rzymu — w poddańczej, danniczej, hołdownej, bezpośredniej lub pośredniej zawistości od rzymsko-niemieckiego cesarstwa chrześcijańskiego; ale nie jest to już więcej owo bezsilne, rezygnacyjne uginanie się pod jarzmo dla bierności ducha. Wszędzie przewaga zdobyta przemocą, po zaciętej walce, i trzyma się tylko tak długo, póki sama przemoc trwa. Wjarzmione chrześcijaństwo dziecięciu w kołysce wpaja: jeden Bóg, jeden papież, jeden cesarz, jeden mus uległości; chrześcijaństwo — to jeden bratni związek, a zwierzchnikiem jego politycznym cesarz rzymski. Są po-

bożni, co temu wierzą, straciwszy z oczu zdeptany wcześniej obrządek unarodowiony, są knezy i lachy, którym wiara ta i uległość przynosi pożytek; lecz wogóle — albo wzgarda pogańska, albo usilność wyzyskiwania nowego stanu rzeczy na korzyść wyższą, rodzimą. Słowiańszczyzna nie jest już więcej owym rozproszonym po puszczech tłumem drobnych pokoleń, niczem z sobą nie spojonych; przeciwnie, widzimy teraz w niej, w mniejszym lub większym stopniu, monarchicznie lub republikańsko zrzeszone grupy plemion i narodków, co przez nawyknienie trwalej trzymały się wzajem. Od Bałtyku — Bodrycze, Lutyce i Pomorzanie; od Tatr — Czesi, Morawce i Szlężanie, a po obu stronach gór — Wielcy Chrobaci; między temi zaś pasmami liczne rzesze Syrbów połabskich i Polanie w związku z Łęczanami i Mazurami. Niema między nimi jeszcze jednej ogólnej myśli federacyjnej, coby objęła swym spletem wszystkich ich zarazem: ale nie brak popędu ku zrzeszaniu się, zespalaniu bliższych pokoleń w grupy plemienne; widać popęd ku skupianiu się narodowemu nawet. Waśnie drobne sąsiedzkie, domowe, przybierają rozmiar współzawodnictwa plemion w przewodniczeniu ogółowi; nie brak też i poczucia swej rodowości w obliczu cudzoziemców. Plemiona konsolidują się na swym odpowiednim gruncie, słowiaństwo wszędzie bierze górę wśród mieszanych żywołów nawet u Lutyków. Szlachta, rodowość możnowładcza — obca, usłowiańszczona, nie stroni od gminnych rad i wieców. Obronność grodowa krain — spotężniona, ziemie — najeżone grodami. Niewola i niewolnictwo, przy nieustannych łowach wojennych, trwa bez przerwy; lecz zwolna wzmagająca się myśl chrześcijańska stopniowo je łagodzi, a wznoszące się potrzeby rolnictwa zaczynają mu nadawać wagę gospodarczą i społeczną nawet. Zabór niemiecki jeszcze nie groźny dla szczepu; chodzi mu o idealne przyznanie zwierzchności cesarstwa i kościoła, o wypłatę danin i dziesięcin; wynarodowiania zaś nawet i myśl nie powstała; Niemcy same są rzeszą przeróżnych teu-

tońskich narodów, a cywilizacja, wszystkim obca—łacińską, na samorząd gminny nawet grafowie nie mają powodu nastawać. Groza germanizmu leży w wynikach, w przyszłości, nie zaś w obecnym, jakkolwiek dokuczliwym, stanie rzeczy. Pęta niemieckie miały w sobie nawet coś dobroczynnego, nagłąc zachodnich Słowian do większej łączności i energiczniejszego przeciwdziałania, dając im zarazem poznać i tajemnicę swych sił. Słowem, było w łonie zachodnich plemion coś organicznego, co potrzebowało tylko być ujęte w dłoń potężną i opromienione prostotą genialnej myśli, by utworzyć z nich prawdziwą słowiańską rzeszę, prawdziwą potęgę.

ODŁAM WSCHODNI.

Rzućmy teraz okiem na ich wschodnich współbraci. Pierwotne ich dzieje, koleje ich rozsiedlenia się jeszcze mniej są znane, niż zachodnich. Musiało tam jednak również zajść wiele przewrotów przedhistorycznych; musiały i wschodnie plemiona wychylić pełną czarę powszechnej Słowian niedoli. Od południa, stopy ku Czarnemu morzu były otwartem korytem uralskim ludom w ich wylewach na Europę: przetrwały stąd i w pamięci dziejów ich ciemństwa Awarów, Chazarów. Od północy z nadbałtyckich krain Litwy i Czudów szły nieustanne wyprawy Skandynawów; przed najściem Hunnów gospodarzyli tu szeroce Goci, zapędzili się i Lachy aż ku Ocie (Wiatycze); następnie Dniepr stał się gościńcem ruchomym wszelkich wypraw normańskich drużyn — Waregów — do Byzancyum. Słowem, nie lepsza doła tutejszych plemion od zachodnich. Równie silna przemoc i wpływ obcy, skandynawski przedewszystkiem—widoczny; samodzielności słowiańskiej nie znać — natomiast rozproszenie i bierność, zdobywające się jedynie na byt plemienny. Lecz na początku IX wieku występują już plemiona odrębnie wyrobione (Nestor). Na południu: w sąsiedztwie Wiślan i Chrobatów Białych, Bużanie i Chrobaci

Czerwieni, zostający przed wieki pod znacznym wpływem celtyckim; dalej na wschód: Dulebi (Węłynianie); z biegiem Dniestru Tywerce i Uglicze (Tyragety, Anty); a nad Dnieprem, później snadź z nad Dunaju może przybyli, Polanie. Środkowe graniczne pasmo borów poleskich zajęte było przez Dregowiczów i Drewlan, zbliżonych do południowych plemion; a za Dnieprem przez Siewierzan północnym bliższych, jak temu i dziś jeszcze wyraźne nawet cechy lingwistyczne przyświadcza. Północny zaś odłam stanowili właściwie Krywicze, po szerokim przestworze rozsiedli i oddawna widocznie podlegli litewsko-skandynawskiemu wpływom, a oprócz nich dwa rody lechickie, Radymicze i Wiatycze—między Góladzią; wreszcie przybyli z południa, jak można wnosić z ich języka, Słowianie Nowogrodu między Karelą, zostający w pewnej zwierzchniczej federacyi z sąsiednimi Czudami. Plemiona te już posiadają swe grody; w połowie IX w. południowo-wschodnie cztery ludy płacą dań Chazarom, grody północne Nowogród, Połock—ulegają Waregom, a drużyny ich niebawem opanowują i Kijów. Ród normański Ruryka-Russa, pod koniec IX w. ustaliwszy się w Kijowie, podbija pod swą władzę wszystkie wschodnie plemiona Słowian północnych i napiera na Czudów, a powstrzymany w zapędach swych nad Dunajem, w X wieku statkuje się w podbojach, słowianieje i zmierza ku utworzeniu narodowej rzeszy—państwa. Spójnię rzeszy tej pierwotkowo stanowi militarna federacyjność drużyn skandynawskich, wskutek której plemiona pojedyncze i większe grody, nie tracąc swej względnej autonomii (czy to bezpośrednio—płacąc jedynie dań, czy pośrednio—ulegając władzy jakiego konunga z ruskiej drużyny), zostają pod zwierzchnictwem ogólnem przemożniejszego rodu Ruryka w Kijowie. Dopiero przyjęcie chrztu w obrządku słowiańskim staje się pewniejszą rękojmnią samodzielnej kultury powszechnej i politycznej organizacji. Ziarna siewu Włodzimierzowego nie mogły przeminąć bezowocnie: już po upły-

wie półtora wieku umieli Russowie oswoić wschodnie plemiona z myślą jedności ruskiej; a chociaż tylko ziemia Polan Kijowska zwała się właściwie ruską — Rusią, wszakże od sąsiadów cała rzesza ziem podległych Russom, spojonych świeżo jednym a odrębnym religijnym obrządkiem, przybierała ich miano. Tymczasem od zachodu wznosiła się wyższa idea, której przemijającą natarczywość należało jeszcze wytrzymać, dla zabezpieczenia dalszego samoistnego rozwoju, bo ideą tą była, stanowcza na wieki, Bolesławowska myśl zespolenia wszystkich północnych Słowian w jedną imponującą rzeszę.

IDEA CHROBREGO.

Idea samoistnej słowiańskiej federacji, stopień po stopniu potęgując się w czasie, od zrzeszania się krewnych pokoleń w plemiona, do związków bliższych sobie plemion u świtu XI wieku, przysła do swego najrozleglejszego wyrazu w zamysłach Bolesława Chrobrego. W ciągu pięciu stuleci same fakta i dominujące okoliczności niosły na swych barkach ideę tę coraz konieczniej; widzieliśmy też u Tatr szczytniejsze usiłowania odpowiednio wymaganiom czasu; wiek X zgromadził nowe potrzeby, postawił nowe wymagania — i te znalazły swe uznanie najgłębsze nad Wartą. Przejęty wielowładnem poczuciem zadań bieżącego czasu, wspierany tokiem i składem okoliczności, Bolesław powziął myśl: nie tylko wyswobodzenia zachodnich Słowian z pod przemocy teutońskiej, lecz zarazem wzniesienia, w obliczu kolosu cesarstwa niemieckiego, równie silnej budowy politycznej, przez zrzeszenie wszystkich północnych Słowian. Jakie wszelka podobna myśl — olbrzymia lecz przedwczesna — mogła mieć skutki, było łatwe do przewidzenia, więc przewidywał to przed zgonem i sam Bolesław; widziano wreszcie już w gruzach budowę Karola W. Lecz obydwóch usiłowania były faktem, który chociaż nie stał się rękojmnią zupełnego urzeczywistnienia powziętej przez swych twórców

myśli, niemniej przeto zostawił po sobie — jako wyraz potężnej idei — trwale i stanowcze skutki w zwichniętym nawet dalszym jej rozwoju. Nawet co do samej idei federacji — ta, rozważana wobec osobistego charakteru Bolesława, nie była jego wyłącznie przewodniczącą myślą; przeciwnie — widać w nim zapęd ściślejszej autokratyczny. Ale w gruncie rzeczy spoczywała ona jako jedyna możliwość ówczesnego usposobienia, stanu i okoliczności; faktycznie, niczem innym być nie mogła, jeno ideą szerokiej federacji plemion, i kto wie, czy znani jego doradcy w liczbie dwunastu nie byli starostami zrzeszonych plemion. Upatrywanie wszelkiej innej myśli, nacechowanej piętnem centralizacji, solidarności, nawet gdziekolwiek bądź w łonie młodocianych ówczesnych społeczeństw, byłoby próżnym anachronizmem. Otóż idea, podniesiona przez Bolesława, była ideą federacji. Jako danik cesarski, otrzymuje on (po wypędzeniu młodszych braci) po ojcu (992) jedynie zrzeszone ludy Polan z Kujawami, Łęczan i Mazowszan; lecz niebawem (994) zmusza do uległości Pomorze (999); wyzuwa Czechów z praw zwierzchnictwa nad całą Chrobacją Białą, Szląskiem i Morawą — i jako pan tak možny 1000 r. w Gnieźnie przez Ottona III za niezawisłego króla uznany zostaje; a otrzymując odeń zarazem i potwierdzenie arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego z trzema biskupstwami (w Kołobrzegu, Wrocławiu i Krakowie), wznosi zarazem podstawę potężnej jedności hierarchicznej zespolonych przez siebie ziem i ludów.

Odtąd zamysły Bolesława przybierają coraz szersze rozmiary: zamierza on poddać swemu zwierzchnictwu i wyjarzmić z rąk Niemców całą zachodnią Słowiańszczyznę. W 1002 r. rzuca się poza Niszę ku Syrbom; wydziera Niemcom utworzone przez nich w Łużycach margrabstwo wschodnie i usiłuje utrzymać za sobą margrabstwo Miśnii; a nadmiar tego 1003 r. opanowuje Czechy. Tu, w Pradze, podług podania, zamyśla ustalić stolicę swego państwa, mającego w jego widokach objąć sobą obustronne stoki Tatr, a opierać się

mocno o kotlinę wierzchowisk Elby, najeżoną zewsząd górami, jako o środkowe ognisko. Wybór ważny skądinąd, i dla wyższej ówczesnie chrześcijańskiej Czech kultury, jak niemniej i dla niedawnego ich, w dziedzictwie po Morawie, nad Chrobotami przewodnictwa. Przeznaczenie dziejowe, na nieszczęście może, inny wypadkom obrót dało: zanadto groźnem stawało się to dla cesarstwa. Chociaż 1004 r. został Bolesław z Pragi jak i z Buduszyna wyparty, jednak (1007) znów zdobywa Łużyce, znów (1009) usiłuje podchwycić Mysznę, a omylony w zamachach (1012), odbiera Niemcom Lubusz i podburza na nich Słowian winulskich. Usiłując w taki sposób, i w nieustannych późniejszych zapasach z Niemcami, wyjarzmić Słowiańszczyznę zachodnią, o ile mu siła, polityka i współczucie na to pozwalały, nie spuszczał z oczu i wschodnich jej krain; myślą widoczną jego było: wznieść polityczną budowę, coby ogarniała wszystkich północnych Słowian. Już w roku objęcia swej władzy (992), być może o grody czerwieńskie, prowadzi spór z Rusami. Dla tem skuteczniejszego ich osłabienia i zbliżenia podległych im ludów ku sobie, sieje niezgodę dynastyczną, wydawszy swą córkę za Świętopelka, dziedzica rodowej zemsty na Włodzimierzu; a (1010) z córką w misyi politycznej i propagacyjnej wysławszy biskupa Kołobrzegu, mści się (1013) za ich uwięzienie; następnie otrzymawszy odmowę Przesławy, podburza Pieczyngów; nakoniec ujmuje się za wygnanym z księstwa zięciem i zdobywa Kijów (1018). Teraz, u szczytu swojej potęgi, przemożny Bolesław, rzeczywisty na chwilę zwierzchnik Słowiańszczyzny od Łaby do Dniepru, w upojeniu nadziei i dumy obsyła cesarzy — Zachodu i Wschodu, zaręcza im przyjaźń, szle groźbę i, rzekłbyś, wierzy w trwałość swej budowy. Lecz wszystko na próżno: jak w Pradze tak i w Kijowie zanadto już była wyrobiona samodzielność, by się poddać przymuszonemu zwierzchnictwu, i r. 1019 Bolesław musiał Kijów opuścić, pod bezpośrednią władzę zajmując tylko Chrobacę Czer-

woną. Wśród tylu zapasów i genialnych wysileń, zawód swój historyczny, wysoce organiczną myślą natchniony, uwieńczył nareszcie 1024 r. uroczystą koronacją.

Budowa Bolesławowska natychmiast runęła po jego śmierci, lecz sam fakt jej doraźnego istnienia nie przeminął bez ważnych następstw: idea w nim uosobiona podaniem i sławą, jak ziarno rzucone w grunt niepłonny, wcieliła się w naród polski. Bolesław był pierwszym, co dał się poznać zachodnim i wschodnim Słowianom wzajem, nie na czerwienińskim pograniczu tylko: on zetknął z sobą dwie masy — lechicką i ruską, od niedawna zaczynające kroczyć w dwóch przeciwnych kierunkach jednego chrześcijańskiego społeczeństwa; zmusił dwie słowiańskie cywilizacje do zmierzenia swych sił już w kolebce, zostawiając przyszłości rozstrzygnięcie problemu hegemonii. Wśród zachodnich plemion rzucił podstawy samodzielnego rozwoju *per excellentiam* lechickiej, polskiej narodowości, która, chociaż nie objęła spłotem swej rzeszy wszystkich lechickich plemion, stała się przecież przedmurzem i przybytkiem słowiaństwa, on ją bowiem wyjarzmił z pod przemocy germanizmu i dał jej trwałą rękojmię swobody. Skutki jego działalności miały nieobliczoną wagę na przyszłość; co było Bolesławowskiem, choć w czasowym zrzeszeniu, posiada i dziś mniej więcej pewną rękojmię swej słowiańskości nadal. Potężniejsi z jego następców podejmowali myśl Chrobrego od czasu do czasu; moralna spójnia trwała bez przerwy w dalszych dziejach: i dziś, jeśli nie lingwistyczna, to etniczna granica napewno idzie na zachód i południe po linii politycznej Bolesławowskich krańców; za dolną Odrą i grzbietem Rudaw nie szukać nam więcej słowiańskiego ducha! Okoliczności, polityka musu oraz plemienna niechęć nie dozwoliły mu wyrwać z Niemców przemocy zrzeszonych w drobne grupy plemion między Odrą i Żuławą — i stąd to może Syrbi, pokolenia winulskie po Hawoli i Sprowie, Lutycy i Obotrycy smutną pamięć tylko po sobie zostawili: są to dziś w Słowiań-

szczyźnie starej krainy umarłych. Jedni Czesi, opancerzeni grzbietami swych gór, pomimo stałej uległości Niemcom, to swarnie, to zgodnie dzieląc z Polakami dziejowe zadanie Lechitów, żyją dla przyszłości. Wogóle przeto wątpić wypada, czy znajdzie się kto, coby w przemijającym zjawisku postaci Bolesława na tle dziejów mógł tylko widzieć równie przemijające skutki wzniesionej przezeń idei; dotknął Bolesława los wspólny wszystkim geniuszom, lecz nasiona przezeń rzucone nie zamarły. — Zwracamy wszakże uwagę, iż to nie była myśl ukucia jakiegoś solidarnego państwa, pomimo całego kolorytu, w jakim nam zwykle działalność Bolesława przedstawiano, ani myśl zespolenia jedynie polskich etnicznych pierwiastków; lecz idea szerokiego zrzeszenia słowiańskich plemion, dla utworzenia odpowiedniego ich naturze organicznego zastępu, mogącego stawić czoło zastępom inorodców. Ze rzesza Bolesławowska nie była solidarnem państwem, a tem mniej jakąś społecznością narodową, o tem, zdaje się, dziś niema potrzeby i wspominać. Oprócz wspólnych może podań lechickich, każdy znaczniejszy odłam tej rzeszy wnosił inną swą przeszłość. Nie mówimy o tych plemionach, które nigdy nie stały się polskimi; ale i z tych ostatnich nawet: Chrobaci mieli inną od Polan tradycję (Krak); Pomorzanie w wiecznym ku nim antagonizmie; Mazury niebawem w burzy społecznej okazują, o ile są przejści solidarnością z Pomorzanami, a co więcej, Łęczanie i Kujawy nawet, ze swą Kruszwicą wzburzoną 1096, idą i nadal swą drogą; Szląsk dopiero później administracyjnie powstaje; wreszcie wszystkie te plemiona jawnie dowodzą, że rzesza ich — to nie solidarne państwo, nie naród jeszcze, skoro się tak łatwo rozprzega, przy osłabieniu zewnętrznej siły spójni w czasie następnej rewolucji (1037 — 42). Usiłowania Chrobrego przemknęły w swym czasie błyskawicą po północnej Słowiańszczyźnie; zetknięte przezeń na chwilę, zachodnia i wschodnia onej połowy poszły nadal każda swoją, własnej dziejowej kultury, drogą,

dopóki się znów u schyłku XIV wieku bardziej stanowczo nie zbliżyły, wplatając w łańcuch swych dziejów i losy plemion litewskich. Wypada nam tu więc postępować dalej za wskazówkami czasu i ognisk grupowego życia, poczynając od plemion lechickich, a wśród nich od Polszczy*) — gdzie myśl Chrobrego trwale się wcieliła.

II.

Rzesza Piastów od śmierci Chrobrego. — Polszcza w podziałach.—Zgubne ich następstwa.—Przewaga Czech. — Lokietek; Odrodzenie.—Kazimierz Wielki. — Przewodnictwo Małopolan.

RZESZA PIASTÓW.

Przy politycznych usposobieniach ówczesnych Słowian, trwałość budowy zależała od osób i pomyślności wojennej. Faktycznie dotknął usiłowania Bolesława ten sam pośmiertny los, co dawniej morawskiego Świętopelka. Już przy synach jego (Mieczysławie i Bezbraimie) ukorzyła się Polszcza cesarstwu, a ze zrzeszonych przezeń krain — przeszły Łużyce pod zwierzchnictwo Niemców, Morawa — Czechów, Czerwień — Rusinów, a zakarpacka Rużya, Słowaczyna, przez Bezbraima dostała się w ręce Węgrów z czasem. Łańcuch Tatr, niegdyś węzeł ludów (Chrobacya, Wielka Morawa), staje się ostatecznie naturalną granicą od południa: za Tatrami rozwija się samoistne Czech życie, do Tatr docierają stanowczo Węgrzy. Po śmierci zaś Mieczysława II i reszta rzeszy polskiej, rzucona na pastwę srogiej polityczno-społecznej rewolucji i zniszczeń sąsiadów (1034 — 37), runęła, rozpadła się na swe składowe części. W domu zawrżeli gmino-pogańską swobodą Mazowszanie, a wśród lechickich

*) Starego wyrazu *Polszcza* używamy tu raz na oznaczenie starożytnej dziedziny Piastów względnie do Polski (ej) Rzeczypospolitej, obejmującej już Litwę i Ruś; a następnie na oznaczenie szczeropolskiej dzielnicy Rzeczypospolitej wobec teŹe Litwy i Rusi, gdy wyrazy Wielka i Mała Polska mają rozleglejsze znaczenie.

plemion wogóle, w osobie Brzetysława, wzięli górę Czesi,— ci też występują odtąd jako stali współzawodnicy Polaków w walce o hegemonię. Brzetysław I (1037 — 1055) właśnie umyślił z gruzów budowy Chrobrego wnieść i wydzwignąć niezależną słowiańską rzeszę, pod przewodem Czech; okoliczności temu zdawały się sprzyjać wybornie, lecz usiłowania wszystkie musiały rozbić się o opór cesarstwa, jak i opór samej Polzszy. Widocznie, dosyć już był w niej wyrobiony pewny zasób ducha narodowego, gdy wśród burz społecznych i współzawodnictwa sąsiadów, udało się wnukowi Chrobrego zespolić znów pod swą władzą (1040—1058) Polszczan, Chrobatów i Mazowszan i odebrać od Czechów Szląsk; gdy Bolesław Śmiały (1070) mógł niebawem wstąpić w tor Chrobrego i mierzyć znów ku przewodnictwu w całej północnej Słowiańszczyźnie. Z drugiej strony jednak widoczne jest i to również, iż stanowcza siła spoczywała jeszcze wtedy nie w wewnętrznym organizmie rozwijających się narodowych społeczeństw, w podniesionem ich uczuciu narodowości, lecz przeważnie w przypadkowym jednowładztwie dzielniejszych charakterów. W tem długo jeszcze kryje się cała tajemnica politycznych przewrotów: to gwałtownego wznoszenia się energiczniejszych plemion aż do hegemonii, to raptownego ich spadania na stopień podrzędny. Czemu nie możemy zaprzeczyć, to istnieniu dostatecznej już siły zachowawczej kształtujących się narodów, co nie dozwala wiać jednemu z nich na trwalszy przeciąg czasu steru przewodnictwa, co niszczy wszelkie usiłowania ku powszechniejszemu zrzeszeniu się. Nie mówimy o wschodniej połowie, gdzie było swoje, ruskie uspołecznienie; ale nawet wśród lechickich plemion (gdzie, z wyjątkiem nadmorskich pogan, wśród których, po osłabionych bratobójczą walką Lutykach 1050, wzięli teraz ster, wzmocnieni przez rewolucję sąsiadów, Pomorzanie) kultura była jedna. Otóż przedewszystkiem osobistość Bolesława II wyniosła Polzszczę znów na szczyt powszechnego przewodnictwa: prowadzi on

nieustanny spór z Czechami, trzyma na wodzy Pomorzan i Prusów, rozrządza węgierskim tronem podług swej woli, po śmierci Jarosława osadza kniazia w Kijowie (1068) i gospodaruje na Rusi—Czerwińsku, a pomiatając uroszczeniami cesarstwa, nareszcie 1077 sam się koronuje. Lecz skoro tylko ustąpił z kraju, natychmiast Polscza znów zestępuje na stopień podrzędności, Czesi znów biorą górę: Wratysław II, z upoważnienia Henryka IV, koronuje się na króla Czech i Polsczy 1086 r., a Brzetysław II zmusza Władysława Hermana 1093 r. do dani ze Szląska. W walkach zaś domowych, wśród waśni społecznych, okazuje się po dawnemu antagonizm plemienny, występujący drażliwiej we wzajemnych zapasach Władysławowiczów między starymi plemionami dzielnicy Zbigniewa, jak Polanie, Łęczanie i Mazury, a później zrzeszonymi ludami Bolesława, jak Szlązacy, Chrobaci i Wiślanie. Wydzwignął rzeszę polską jeszcze raz na stanowisko przewodniczące ostatni Piast jedynowładzca — Krzywousty (1102 — 1139). Obala on przewagę Czechów; depcze uroszczenia cesarstwa, uznając zwierzchnictwo onego o tyle, o ile mu to potrzebne było do wpływu na dalszych zachodnich Słowian; staje groźnie wobec Węgier i Rusi; a nakoniec, wysiloną walką całego życia, przywodzi do karności i chrztu niesfornych, spotężnionych ciągłym antagonizmem z Lechitami polskimi, ostatnich zapaśników gminy i pogaństwa — Pomorzan (1120), za nimi zaś osłabionych Lutyków i Rugów (1121); zadaje, słowem, stanowczy cios ostatniemu przytulisku starego Słowian obyczaju. Tymczasem za Górami Olbrzymiemi — w Czechach wpływ niemiecki obala stanowczo posady starostłowińskich instytucji; kraj szybkimi krokami poddaje się germanizacji. Od 1126 r. Czechy integralnie wchodzi w obręb cesarstwa niemieckiego, gdy pan ich, Sobiesław, jako cześnik, zostaje dziedzicznie księżciem rzeszy, z prawem wyboru cesarzy; stąd i wewnątrz wszystko się na wzór niemiecki przetwarza. Jeszcze pod Władysławem II (1140 — 73), przyozdobionym

1158 r. tytułem królewskim, jedność i potęga kraju na zewnątrz dość znaczne; lecz wkrótce po jego śmierci właśnie książąt, żywione podstępnie przez cesarzy (Fryderyka I i Henryka VI), doprowadzają kraj do ostatniej zguby, z której go wydzwignął zaledwie Przemysław Ottokar I (1197—1230).

Pod koniec pierwszej połowy XII wieku rzesza piastowska objawia już wybitnie cechy odrębnej narodowości. Bliżej pokrewne a sąsiednie sobie plemiona: Polan, Łęczan, Kujawian, Mazowszan, Chrobatów i Wiślan (wyjąwszy jednych Pomorzan poniekąd), choć zachowały dotychczas każde u siebie swą plemienną odrębność, związane przez Chrobrego w jedną rzeszę, sprzężoną silniej przez odnowiciela, mimo antagonizmu wzajemnego w domu, długie czasy zostając w jednym politycznym splocie, obyły się już z sobą i w stosunku do postronnych przybrały coś ujednostajnionego — pewien wyraz narodowości. Jakkolwiek bowiem sprzeczne z sobą były plemiona w domu, wszystkie one już mają się na zewnątrz za członków lechickiego, polskiego narodu. Potężne były te węzły, co je spletały w polityczną jedność. Ród Piastów — swojski, niezależny i przestrzegający swobody słowiańskiej wobec przywłaszczeń cesarstwa, uznający się i uznawany za jedynego dziedzica zwierzchniej nad krajem władzy, zespalałający swe interesa z interesami kraju, utrwalony biegiem czasu,—rozrodzeniem się swoim tylko przyczynia się do utrzymania jedności. Hierarchia — z 8 biskupstw — instytucja mniej więcej sprzężysta i organiczna, z biegiem czasu pod jedynym zwierzchnictwem arcybiskupa u Polan, równego sąsiadowi z Magdeburga, a choć łacińska i popierająca powszechną chrześcijańską kulturę Zachodu, niemniej przeto przestrzega narodowości wobec Niemców, zachodniej cywilizacji — względem Rusi byzanckiej; choć uległa Rzymowi, umie jednak upatrywać w interesie narodu swój własny, przez co silniej go spaja niż dynastia i pierwsza wznosi ideę państwową.

Przewodniczący stan Lechów, szlachty, od wieków słowiański, różnokształtnie wyrobiony u różnych plemion, po przebyciu burz społecznych, coraz to bardziej spoli się w powszechnych widokach stanu, coraz to jednostajniej uzależnia niższe klasy. Nareszcie wspólna kultura wyższa, ujednostajniająca się prawa, obyczaje i uspołecznienie, wspólne najczęściej koleje pomyślności i niedoli, wspólne prawo do odziedziczonej sławy ogólnej, zacierającej podania starego plemiennego bytu: wszystko to, razem wzięte, nadawało już społeczności Piastów—polskiej, lechickiej, niepewnej jeszcze swego miana w domu, przeważne cechy indywidualizmu narodowego, bez zacierania indywidualizmów pojedynczych plemion. O ile więc dawniej związek Piastów wyrażał w sobie przeważniej sprzęganie się i rozprzęganie doraźne mniejszej lub większej ilości lechickich ludów, o tyle pod koniec pierwszej połowy XII wieku nosił w sobie już dostatecznie wyrobioną rękojmię trwałego zrzeszania się pewnej określonej liczby plemion, w pewnych polityczno-etnograficznych granicach zawartych, w związek narodowy. A cały ten proces wyrabiania się, wśród doraźnych zrzeszeń plemiennych, myśli politycznej i narodowej, jest tak prosty i logiczny, iż dziwić się wypada, dlaczego dziejopisarze polscy, znając go i uznając, uwodzeni współczesną sobie myślą państwowej i narodowej solidarności, boją się jakby wypowiedzieć nagą historyczną prawdę, wzdragając się nazwać bez ogródki ideę, co przewodniczyła dziejowej formacyi narodu, po prostu, ideą federacyjną, a społeczność samą—rzeszą, związkiem. Na zewnątrz zaś wtedy już poczęła przebłykiwać niemniej i idea szerszych państwowych sojuszów: znana jest odezwa węgierskiego Kolomana do Bolesława III, wzywająca go do wspólnego działania przeciw germanizmowi; jak później odezwa króla Czech Ottokara I do książąt polskich, o podanie sobie przeciw niemu dłoni. Lecz zwroty podobne polityki między słowiańskimi sąsiadami były tylko doraźne, nie zapowiadające przez się nic organiczniej trwa-

łego; dopiero konieczność położenia, z biegiem czasu, pocznie zbliżać rzeszę naszą coraz ściślej z jej wschodniemi sąsiedztwem.

POLSZCZA W PODZIAŁACH.

Podział kraju po śmierci Krzywoustego (1139) właściwie nic nowego dla rzeszy w zasadzie nie wprowadził, tem mniej zaś zawierał w sobie cokolwiek zdrożnego lub szkodliwego. Fakt ten był naturalną, nieuniknioną koniecznością, wypływającą z ówczesnych pojęć o państwie i prawach do władzy a dziedzictwa dynastji, tak w łonie jej samej, jako też w rozumieniu jej podwładnych; bardziej zaś niż stąd, wypływał ze wzajemnych stosunków zrzeszonych w polityczną całość plemion. Był on tak wypadkowy, jak wypadkowe było dotychczas zżeczne usuwanie możliwości onego. Myśl narodowej, państwowej solidarności, jedynowładnego dziedzictwa tronu, była anomalią w owych czasach; centralizacyjna sprężystość mogła być tylko zaręczaniem tem silniejszego popędu ku rozprężeniu. Dla bardziej nieskrępowanego rozwoju idei narodowości w łonie rzeszy, było nawet więcej rękojmi w rozgrupowaniu władzy książęcej wśród plemion, przy poddaniu jej jednemu zwierzchnikowi (co zapewniało utrzymanie nienaruszonej idei całości politycznej), aniżeli w przedwczesnem i antypatycznym zmierzaniu do ześrodkowania (Sieciecha naprzykład). Większość żywe indywidualizmy plemienne mogły być utrzymywane w splotach obszerniejszej rzeszy albo potężną prawicą, albo zapewnieniem im dostatecznego stopnia samorządu pod jednym naczelnem zwierzchnictwem. Tymczasem oczekiwanie długiego szeregu następujących po sobie dzielnych charakterów byłoby sprzeczne z powszednim biegiem rzeczy; a władza udzielnych książąt właśnie, należących do rodu, poczytującego siebie za dziedzica kraju w jego całości, uznających prawo starszeństwa, choćby idealnego w rodzie, dogadzając potrzebom i wymaganiom miejscowym, była je-

dyna, co mogła trwale utrzymywać plemiona w ogólnym związku rzeszy, zanimby te, drogą następnego rozwoju dziejowego, dojrzały do uznania wyższej idei. Jedność rodu podtrzymywała jedność kraju, a właśnie książąt krwi jednej może zabezpieczały od daleko sroższych walk plemiennych. Nie myślimy tu wcale zaprzeczać ujemnych stron tego systemu rządu, rozważanego teoretycznie; mniej jeszcze śmiemy pomijać straty rzeczywiste, jakich był przyczyną; idzie nam jedynie o wskazanie, że fakt sam był rzeczą naturalną i nieodzowną, że więcej przyniósł trwałego, moralnego nawet dobra, niż szkód. Zachował on rzeszę od stanowczego rozprzężenia się w chwilach niebezpieczeństw zewnętrznych, przez dynastyczność utrzymując jedność moralną; z drugiej strony, podsycając plemienną wyłączość, wyosobnianie się, nie pozwolił jej zlać się w jedną monotonną, solidarną masę bez barw i urozmaicenia, oraz przygotował możliwość wysoce organicznego rozwoju przyszłości. Co zaś waży więcej niż to wszystko, ustrzegł on kraj od drogi politycznego rozwoju, sprzecznego z potrzebami słowiańskiej natury, słowiańskiego ducha; bo jeśli nawet nie wywołał sprężystości jedynowładnego rządu, opartego na mechanicznie usystematyzowanych instytucjach i centralizacyi, to przecież przez żywienie indywidualizmów plemiennych przyczynił się do wyrobienia wysoce znaczącego popędu do politycznych unii i konfederacyi.

Zaszły 1139 roku podział kraju na dzielnice sprowadził najrozleglejsze faktyczne uznanie ich federacyi. W następnym pochodzie czasu i kombinacyi dynastycznych utrwaliło się tylko pierwotne i naturalne rozgrupowanie ziem i ludów; gdyż dzielnice książąt odpowiadały mniej więcej dawniejszemu obrębowi plemion. Polszcza (Wielka), Łęczyce, Kujawy, Mazowsze, Chroboty (Kraków), Wiślanie (Sandomierz), Szląsk i Pomorze w swej odrębności występują w dzielnicach zarówno. Jedność rzeszy zachowana; naczelne zwierzchnictwo obieralne w Piastów rodzie, bez względu

na starszeństwo,—stale odtąd przywiązane do dzielnicy krakowskiej; Kraków przeznaczony na stolicę; hierarchia jedyna pod arcybiskupem Gniezna; możnowładztwo solidarne w swych dążnościach. Jedność Lechii polskiej zdobywa sobie uznanie już wreszcie i u sąsiadów — Niemiec i Czech. Charakter tego poczucia jedności kraju najwyraźniej uwydatnił się w pierwszym po podziale a energicznym starciu się idei jedynowładztwa, wyobrażanej przez najstarszego z synów Krzywoustego, Władysława, z ideą federacyjnej jedności dzielnic, w osobach jego młodszych braci bronionej. Władysław zmuszony był ustąpić z kraju (1148); następca jego w zwierzchnictwie mazowieckiem, Bolesław (IV), walczy z cesarstwem, ujmującym się za wygnańcem, co mu hołd przyobiecwał, o niezawisłość i całość kraju; synowcom jednak przeznacza dzielnicę na Szląsku (1164). Równego doznają losu i samowładne zamachy rzutkiego Miecysława III na Wielko-Polszczy; utorowały one jedynie drogę do zwierzchnictwa najmłodszej linii, małopolskiej, dogodniejszej (zmierzającym ku coraz większej niezależności) duchowieństwu i szlachcie. Wobec tego poczucie jedności nie przestaje wyrażać się tak w gromadnie prowadzonych wojnach zewnętrznych z cesarstwem, Prusami, Jaćwieżą, Rusią, jak w sporach książąt o ogólne zwierzchnictwo; niemniej w interwencji wielkiego księcia w waśniach udziałnych książąt, w interwencji arcybiskupa w sporach rodowych o stolicę zwierzchniczą, a nawet w skupianiu się rozleglejszego terytorium przy dzielnicy Krakowskiej. Najwybitniej ono występuje na zjeździe w Łęczycy za Kazimierza II (1180), na którym książęta, duchowieństwo i panowie wspólnie stanowią o porządkach społecznych; a nawet widać je też w zjeździe Gąsawskim (1227), pomimo, iż ten się zakończył wyłamaniem się z pod posłuszeństwa Świętopelka pomorskiego. Smutna walka z popieranemi przez tego ostatniego plemionami Prusów nosi oznaki solidarności, jak i zaprzeczanie Konradowi prawa darowizn krzyżackich. Faktyczne zwierzchnictwo

Konrada mazowieckiego (1227) i starszej linii szląskiej w osobach dwóch Henryków: Brodatego (1238) i Pobożnego (1240), nad Wrocławiem, Krakowem i Poznaniem, chwiejącą się jedność kraju wzmocnić tylko mogło. Lecz nawet i w następującym szeregu długich zawichrzeń, od czasów Wstydliwego (1241), w szeregu walk linii Piastowskich o zwierzchnictwo ogólne, przy ścieraniu się praw starszeństwa, dziedzictwa i wyboru, wśród sporów książąt o dzielnicę, powszechnej swawoli wewnątrz i najazdów zewnętrznych wrogów, idea jedności Lechii w przeświadczeniu nie upadła istotnie. Synod Wrocławski (1245) był wyrazem jej hierarchicznym, w sprawie uznania św. Stanisława; a koronacja uroczysta w Gnieźnie (1295) na króla Polszczy wielko-polskiego Przemysława, co przywrócił był Piastom Pomorze, była rzeczywistym jej politycznym stwierdzeniem. W fakcie tym przebijała się z chaosu myśl wyższa państwowa; tem niemniej jednak solidarność rodu Piastów była rozprzężona, a w ślad za tem i poniewierka dynastyczności samej, nadwerżonej już przez Świętopelka, na jaw wystąpiła. Powołano na tron ród obcy, w osobie Wacława czeskiego, i ten sprawował (1305) rządy Krakowa, Kujaw i Polszczy przez swych namiestników; Piast Łokietek wyszedł na tułacza.

O ile związana przez Piastów rzesza Polska, Lechicka *per excellentiam*, utrzymywała się dotychczas w idealnej jedności, o tyle i pojedyncze rzeszy tej plemiona, co przybrały w epoce tej charakter dzielnic, prowincyi, trwały przy swej żywotności, rozwijały ją dalej. Chrobaci Bieli ze swym Krakowem, stanowiąc dzielnicę, do której przywiązane było polityczne zwierzchnictwo nad ogółem rzeszy, właściwie nie odpowiedzieli roli polskiego przewodniczenia, która na nich spadała; widocznie mało jeszcze przejęci byli polszczyzną, choć wraz z sandomirskimi Wiślanami już od XII wieku przybrali miano Małopolan. Powodowani wciąż swym własnym, miejscowym interesem, pomiatając prawami starszeń-

stwa Piastów i uprawnieniem przenoszanej przez się niby młodszej onych linii, przerzucają książyty dowolnie, zmierzając do bezwarunkowo wolnego wyboru, uwieńczonego w końcu zawezwaniem czeskiego Wacława 1291 r. Idea przewodnictwa zostaje zawsze przy nich, lecz w rzeczywistości stają u steru onego jedynie pod wypadkowym naciśkiem dzielniejszego charakteru księcia, co śmie stawać w imieniu ogółu. I w stosunkach zewnętrznych pilnują siebie przedewszystkiem; chodzi bowiem Małopolanom głównie o zachowanie dobrego sąsiedztwa z Węgry, o stałe utrzymywanie wpływów na Ruś Czerwieńską. Stan szlachecki rozwija się u nich niezależnie od węzłów rodowych; z większem znaczeniem politycznem, istnie po możnowładzku, z podzielnością na klasy, przyczem lud zarówno ma znaczny udział w swobodach. Wogóle zaś wyrobiony przy tych warunkach charakter plemienny Małopolan—księstw Krakowskiego i Sandomierskiego,—rzutkość, zmienność i przedsiębiorczość, połączone są z wysokiem rozwinięciem wolnego ducha obywatelskiego, siła ich zaś jeszcze *in potentia*. Polanie, Polszczanie — księstw Gnieźnieńskiego, Poznańskiego i Kaliskiego—wyniesieniem Krakowa na stolicę w zasadzie pozbawieni przewodnictwa, o które w osobie swego Mieczysława III usilnie z Krakowem walczą tylokrotnie—w rzeczywistości, co do ducha, nadal je utrzymują: wciąż przy nich pozostaje i duchowna potęga arcybiskupa i duchowa—szczerzej polskości; znać w nich jądro narodu. Nie zawsze przychylni pobożnym książytom swym z linii Starego Mieczysława, nieraz przenoszą Szlązaków; wzniesieni moralnie przez Bolesława Pobożnego, niechętni Małopolanom, wskrzeszają myśl państwowej jedności, koronując Przemysława. Na zewnątrz, parci przez Brandeburgów, wiążą się z Pomorzem. Szlachta tu, mniej przeważna od małopolskiej, przedstawia w sobie silnie wyrobioną rodowładną rzeszę, opartą na rodowości dóbr i solidarnej odpowiedzialności, na męskiej supremacyi w rodzinie. Łęczyce, księstwa Sieradzkie i Łę-

czykie, po pierwszym podziale przy dzielnicy Krakowskiej i Kujawy przy Mazowieckiej, stanowiły z czasem dzielnice starszej linii mazowieckiego Konrada, Kujawskiej. Zawarte między Polanami z jednej strony, a Mazowszem i Chrobacą z drugiej, w środkowym swym stanowisku między trzema najsilniejszymi ogniskami życia, zaledwie zachowały swą charakterystyczną odrębność. Pod koniec tej epoki spojone, przez wyniesiony do zwierzchniej władzy ród swój książęcy, z koroną, a po wygaśnięciu swarliwych ostatnich kujawskich książątek związane ściślej po dawnemu z Polanami—z miejscowości, tradycyi i rozwoju społecznego najbliższe ich, zaczęły nadal stanowić razem obręb Wielkiej Polszczy, Mazowsze—Płock i Czersk—pierwotnie dział Kędzierzawego, a później Kazimierzowicza Konrada i młodszej od niego linii, ściśle odtąd onej się trzymające, żywiło nieustannie niechęć ku Polszczy i Krakowianom, dzieląc rozbijała zapędy swych książąt, w istocie zaś o przewodniczeniu nie myśląc, a okolone półwiecem przez pogańskie ludy Prusów i Jaćwieży, wśród których obcy im litewski żywioł przeważał — pomimo przedwiecznych zwad, przechowanych w podaniu, nie zawsze im dawniej nieprzychylne — teraz już, jako chrześcijańskie, dało się uwieść propagacyjno-podbojowej władzów swych polityce. Lecz doprowadziwszy sąsiadów do fanatycznego rozdrażnienia, dla zabezpieczenia się od spustoszeń, niebacznie przyjąć musiało na kark swój Krzyżaków — i dalsze stąd następstwa. Żywioł jednak mazowiecki siekierą i pługiem torował sobie drogę na północ i na wschód. W rzeszy Piastów najczujniejszym będąc stróżem starego obyczaju, w rozwoju też swym społecznym najżywiej przechował piętno onego w większej swobodzie ludu i niezliczonych roiskach swej gromadowladnej szlachty, różniącej się od rodowej i możnej Wielko-Polan i Mało-Polan. Szląsk, pierwotnie rozproszony w drobnych pokoleniach, jak Dziedesi, Boboranie, Szlężanie, Opolanie, następnie wydzierany sobie wzajem przez Polszczan i Czechów, bez cha-

rakteru i odrębności duchowej życia, skuty w całość drogą administracyjną, od 1164 r. utworzywszy nawet grupę dzielnic w najstarszej linii rodu Krzywoustego, nie zdobył się na wyraz samodzielniejszego życia. Wprawdzie książęta jego nieraz przewodzili całej rzeszy, ale zdaje się jakoby wyrok, co ród ich dotknął, dostał się w udziale i samemu krajowi: wcześniej zeń zawiało coś obcego, naniesionego wpływem Niemiec i Czech, coraz to bardziej niemiecczych. Książęta usiłowali naśladować fūrstów niemieckich, szlachta—niemieckich baronów; żywioł niemiecki, napływający do miast i wsi, rozrastał się z uszczerbkiem słowiańskiego ludu, przeciwdziałania zaś tego ostatniego bezsilne być musiały przy złej woli klas zwierzchnich. Ród książęcy, od śmierci Henryka Pobożnego rozdrobniony, zdemoralizowany, obojętny się stawał na związki Piastów i ogólny interes ich rzeszy; oswajał się z myślą hołdownictwa czeskiego. Pierwszy przykład dali (1289) książęta opolscy, za nimi (1322) poszli wrocławscy, a dalej i reszta. Przy swej bezbarwności, Śląsk służył jednak za silną spójnię narodowych stosunków Czech i Polzczan. Pomorze, po ostatecznem nawet zespoleniu się z rzeszą Piastów pod znamieniem krzyża, nic nie straciło ze swego odrębnego, długą samoistością wyrobionego charakteru. Przy podziale kraju stało się nie dzielnicą jakiego książęcego rodu Piastów, lecz udziałem zwierzchnictwa, przywiązanego do Krakowa. Podzielone za Kazimierza II na dwoje: Odrzańskie i Wiślańskie, mające za granicę rzekę Persantę, z miastami Szczecinem i Gdańskiem, rozwijało się ono odtąd nadal dwoiście. Wschodnie, powierzane miejscowym starostom, dalekim, silnym, mało przeto zależnym—rozpadło się na dwie części: Słupską (do Leby) i Gdańską. Niepokoją je ciągle Skandynawi: Słupskie Pomorze do 1202 r. pod władzą Danów; 1207 r. ulega im i Gdańskie. Świętopelk, co je od najeźdźców (1218, 25) uwalnia, ogłasza się 1227 r. niezależnym; lecz jednocześnie stając u steru prawdziwie słowiańskiej, polskiej polityki,

całe życie († 1251) walczy z Niemcami w interesie rzeszy powszechnej. Najpotężniejsza to postać swego czasu! Z jego śmiercią Pomorze słabnie; a naciskane z dwóch stron od Niemców z poza Odry i Wisły, Gdańskie, po wygaśnięciu rodu Świętopelka, jednoczy się znów z Polzczanami 1295 r. Jednak zaród przyszłej zguby spoczywał w jego bycie społecznym, gdzie, powstałe z dawnych przywódców drobnych ludów pomorskich, możnowładztwo skandynawskiego pierwiastku przystępne było na ponęty feudalizmu. Druga część Pomorza, przy Odrze, obejmująca i dawne ziemie Weletabów-Lutyków, wcześniej się oderwała od rzeszy. Z upoważnienia Kazimierza II (1178), utworzyła ona odrębne księstwo dziedziczne, podzielone na dwie dzielnice: Szczecin i Wolgast, które od 1180 r. ulegając cesarstwu jako część rzeszy niemieckiej, 1311 r. pomnożone dzielnicą Słupską, z czasem poddało się germanizacji i zginęło na wieki. Biskupstwo Pomorskie 1228 r. poddało się archidiecezyji Magdeburgskiej. Łużyce i Lubusz (1270—90) linia szlaska wydała Niemcom, chociaż moralny związek trwa długo; 1357 jeszcze biskup lubuski zasiada na synodzie w Kaliszu. Winulska zaś Słowiańszczyzna i stara Rujdna już 1164 — 68 r. uległa zagładzie Teutów i Danów.

ZGUBNE NASTĘPSTWA.

Ile było spoistości w rzeszy a udzielnosci składowych onej plemion w Lechii Polskiej, jak i stopień solidarności w rodzie Piastów, a rozprzężenia w rodzinach i osobach książąt — wyraźne to jest dotykalnie; dość, że pod koniec XIII wieku systemat udzielny, konieczny pierwiej sam z siebie, okazał się szkodliwy dla kraju — ba, nawet groził mu zagładą: ujemne jego strony z biegiem czasu przeważały, sama przemożnie zachowawcza idea federacyjna, spoczywająca dotąd na nim, blizka była upadku — i Polska Lechia rzeczywiście stanęła nad otchłanią ostatecznej zguby. Rozbicie się na dzielnice, zacierając wzniesioną przez Chrobrego

myśl państwową, pozbawiło zupełnie rzeszę zewnętrzną siły dawnej, która jedynie zapewnić miała stałe przewodniczenie pobratymcom zachodu; w ślad za tem rozprzężeniem idące osłabienie rządzącej, mniej więcej tęgiej dotąd, władzy, zniszczyło sprężystość mocy wewnętrznej. Niemczyzna, pomimo iż Polska Lechia faktycznie była niezależna od cesarstwa, wdzierając się gwałtowniej — przemocą, podstępem, zobojętnieniem, przychylnością. Nie było możliwości ujmować się za Połabianami, gdy sąsiedzi najbliżsi, Pomorze Odrzańskie, Lubuszanie, Łużyc reszta — padały, jedno po drugim, u stóp germanizmu. Wdzierał się on w serce narodu wszelkimi drożynami — do miast i siół na prawie magdeburskiem, do zamków i dworów, sądu i kościoła, a przez nieogłędność mazowieckiego Konrada zawisł mu w Prusiech na wieki mieczem Damoklesa. Sprowadzeni (1225, 1228) ku zbrojnemu nawracaniu Prusów teutońscy Krzyżacy, ujarzmiwszy pogan, zaciężyli już i nad samem Mazowszem i groźnie odwrócili się ku Kujawom i Pomorzu. Upokorzone Prusy i Jaćwież rozwarły wrota podniesionej do szczytu szczepowego przewodnictwa przez Mendoga a natarczywszej daleko Litwie; sąsiednia Ruś Czerwona, wypuszczona z pod stałego wpływu, stanęła w osobie Daniły na czele całej rzeszy południowych księstw ruskich, posuwając się aż ku Wiśle, przez zajęty (1245) Lublin. Nadmiar tego, przy straszliwych spustoszeniach nawały tatarskiej, i społeczna anarchia doszła do rozmiarów bez granic. Nareszcie Czesi otrzymali zwierzchnictwo w Krakowie i Polsce. Wacław koronował się w Gnieźnie (1300) i przekazał następcom tytuł „króla Polskiego”; a książęta Piastowie, zdrobniali i zdemoralizowani, przesiąknięci pojęciami cesarstwa i feudalizmu, gotowi już byli stały hołd złożyć i zaręczyć.

PRZEWAGA CZECH.

Otóż, rzeczywiście, wtedy przemknęła w dziejach myśl wyższej i obszerniejszej federacji państwowej zachodnich Sło-

wian pod sterem Czechów. Z początkiem XIII wieku Czechy, wydzwignięte z niemocy usiłowaniami Przemysława Ottokara I (1197—1230), mimo krocącego bez przemocy niemiecczenia, politycznie dzielniej poczęły się rozwijać. Niemało do tego przyczyniło się określenie stosunku korony do cesarstwa i dziedzictwa tronu, jak niemniej stosunków władzy duchownej do świeckiej. Lecz o ile państwo wzmagало się politycznie, o tyle narodowo całkowicie się przetwarzało; za panowania Wacława I (1230—53) wielowładna na dworze i między możnowładztwem niemiecczym zapanowała powszechnie nad krajem: feudalność brała górę—słowiaństwu groziła zagłada nieuchronna. Najdzielniejszy z Przemysławców Przemysław Ottokar II (1253—78), o ile upotężnił Czechy, o tyle też je i do reszty zniemczył. Dbały o podniesienie władzy królewskiej, przeciwko szlachcie podnosi stan miejski, żywioł niemiecki wspiera i przeobraża pozostałe jeszcze zabytki słowiańskich instytucji najzupełniej. Cała uwaga jego zwrócona ku Niemcom: pan Rakus, Styrska, Charutan i Przymorza aż do Terstu, niewiele waży słowiaństwo; zwycięsko walczy z Węgrami i przedsięwzięcie rycerskie z Krzyżakami wyprawy przeciw pogańskiej Litwie (1254, 64, 67). Spotężniały, stawszy się groźny dla Niemców, wywołuje całą ich zawziętość przeciw sobie, w wojnie z cesarzem Rudolfem Habsburskim traci 1270 r. wszystkie posiadłości, wyjąwszy Czechy i Morawę, a następnie 1278 roku w bitwie z Niemcami i Węgrami nawet życie samo. Zachwiana tem znacznie potęga Czech przywrócona została niebawem do dawnego stanu przez Wacława II (1303), którego koronacja w Pradze 1297 roku była najświetniejszą uroczystością wieków średnich. Ten to Wacław właśnie powołany został 1291 r. do Krakowa, a 1300 roku wyniesiony na króla Polzeczy. Dla Przemysławców tedy zajaśniały widoki utworzenia szerokiej zachodnich Słowian federacji ze stolicą w Pradze; pomijając już, iż powołany po wygaśnięciu Arpadów do Węgier 1301 r. Wacławów syn

nie mógł się tam długo utrzymać, Piastom groziła zaguba. Pozornie nie byłoby rzeczywistych strat w takim upadku rzeszy Piastów: bezpośrednio w ręce Niemców nie mogli-
byśmy się dostać; co czekało nas — to zwierzchnictwo brat-
nich Czechów; Czesi zaś, stanąwszy na czele federacji ogól-
nej zachodnich Słowian, rzuciliby ją wprawdzie w objęcia
cesarstwa, ale z drugiej strony powstrzymałoby wdzierstwa
zakonu i margrafów; a silni najwyższym wśród pobratym-
ców stopniem oświaty, pewni rzeczywistego na nich wpływu,
oświatę tę mogliby posunąć ku krańcom zachodniej Sło-
wiańszczyzny, przez coby ją moralnie na wieki zbliżyli ze
wschodnią bracią. Lecz gdyby to wszystko nawet mogło
nastąpić, powstaje zapytanie: jaką rękojmię przedstawiały
Czechy szczerosłowiańskiego społecznienia nowej rzeszy?
one, tak do głębi zniemczone, potrzebujące tyle krwi póź-
niej dla zmycia z siebie plam obczyzny? Przewodniczenie
polityczne Czechów w szerokiej rzeszy zachodnich Słowian
nie przyszło do życia—i słusznie w zasadzie. Że w ściśle
umysłowym względzie, w naukowości, wzięli oni ster prze-
wodnictwa, to im się słusznie należało; że zaś w zakresie
politycznym pierwszeństwo doraźne musieli wkrótce por-
zucić, po stanowczej utarczce z dźwigającą się do życia pol-
szczyzną, widomie było to zrządzeniem w celu wyższych
potrzeb naszego szczepowego ducha. Skądinąd wreszcie i same
Czechy ze śmiercią Wacława III, roku 1306 zabitego w wy-
prawie na Łokietka, utraciły swą dynastję słowiańską, a po
niepewnych przejściach powołały na tron 1310 r. niemiecki
dom Luksemburgów, który je bardziej jeszcze z cesarstwem
i z germanizmem spętał. Lecz tem niemniej musiała Pol-
szcza w długich zapasach walczyć jeszcze o byt swój i prze-
wagę.

ŁOKIETEK. ODRODZENIE.

Wyniki zapasów narodowych, pomimo wszelkich po-
zorów, były pewne—rękojmia spoczywała w wewnętrznych

siłach. W głębi szlacheckiego stanu obu Polszcz, kardynalnych ziem rzeszy Lechickiej, kryła się, długą polityczno-społeczną walką wyrobiona, siła obywatelska i poczucie narodowości, które potrzeba było tylko opromienić szczytniejszą myślą, skierować potężną dłońią, by wskrzesić moc narodu. Szczęściem myśl ta i woła znalazły się w Łokietku. Myślą tą była idea państwowa Bolesławów; ona też, wskrzeszona przez Przemysława, wzmocniona przez Czechów, została teraz na podstawę politycznego bytu wzniesiona przez Łokietka. Myśl państwowa dojrzała dopiero teraz, a dając rodowo-federacyjnej rzeszy podstawę obszerniejszą, znosząc dawną rodowość samą, zapewniła pomyślność przyszłego polityczno-narodowego rozwoju; jej to mocą zamierzył Łokietek zabezpieczyć związek od rozprzężenia ostatecznego, a spoiwszy go wyższą narodową ideą, ochronić od wrogów zewnętrznych. Pomimo to jednak, całe jego panowanie (1305—33) przeszło jedynie na bardzo wątpliwych na oko wysileniach i rozpaczliwych zapasach: trzeba było wszystko tworzyć. Po powrocie z tułaczki, korzystając z wojny Wacława w interesie syna na Węgrzech 1305 r., zajął jeden po drugim Sandomierz i Kraków, niebawem Łęczyce i Kujawy mu się poddały, a nawet Pomorze uznało jego zwierzchnictwo. Polanie jednak trzymali się Czechów (Wacław II 1307), a następnie przywołali głogowskiego Henryka (1309); Szląsk i Mazowsze zostawały podzielone w rodach swych książąt. Przy takim rozjednieniu, z waśniami domowemi połączonem, nie było siły do stawienia czoła naciskowi germanizmu. Łokietek musiał uledeć: Pomorze, najdroższa kraina rzeszy Lechickiej, zawichrzona przez Święców, padła ofiarą wrogów. Gdańsk 1308 r. zagrabili Krzyżacy, a następnie 1311 roku z Brandeburgami i szczecińskimi książęty całe Pomorze rozdarli. Natomiast zjednoczenie się Polan 1309 roku podniosło stanowisko bohaterskiego Piasta: w poczuciu sił własnych i z wiarą w pomyślniejszą przyszłość narodu, koronował się on 1319 r. w Krakowie jako król pol-

ski (Polan, Łęczyc i Kujaw) i krakowski (Chrobatów i sandomierskich Wiślan), — jako król obojga Polszczy, mniemając, że tytułem samym zniweczy zgubne roszczenia Czechów i ukorzy niesfornych a zawistnych braci Piastów. Lecz skutki tego kroku były na razie wręcz przeciwne oczekiwaniom: obrażeni tem wywyższeniem się książeństwa szlasy, nazywając Łokietka tylko „królem Krakowskim”, wskutek ogólnej narady złożyli 1322 — 27 w Pradze, jako królowi polskiemu, hołd synowi cesarza Henryka VII, Janowi z Luksemburga; za nimi poszli i mazowieccy: ci 1326 r. sprzymierzyli się z Krzyżakami, a 1329 r. Wacław na Płocku był zmuszony do hołdu Czechom. Rozpoczął się teraz bój na śmierć i życie o władzę nad powstającą Łokietka Polszczą: Czesi, nawskroś już przejęci niemczyzną, działali jednomyślnie z Krzyżactwem. Król Czeski Jan (1310 — 46), pomimo, iż cały oddany z awanturniczą rycerskością polityce zachodniej, aż do lekceważenia rzeczywistych potrzeb swego słowiańskiego państwa, w stosunkach zewnętrznych pilnował dość przecie interesów onego; a nadto jako istny Niemiec, przy którym niemczyzna doszła do najwyższej w Czechach mocy, mieniać się być królem Polszczy i wyzyskując okoliczności, tem chętniej stawał wszędy po stronie Krzyżaków — nie tylko w walce przeciw Prusom, dokąd aż trzykrotnie (1328, 37 i 44) robił wyprawy, ale przeciw Polakom mianowicie; Łokietek zaś szukał wsparcia spokrewnionych władców Węgier i Litwy. Skutki zapasów były wątpliwe; jednak Władysław, choć stracił Kujawy (1332), koniec końców, mógł się uważać za zwycięzcę. Podwaliny nowego, wyższego, samoistnie-narodowego rozwoju starej rzeszy Piastów były położone: najżywotniejsza onej części — wydzwignięta do dzielniejszego życia; dwie Polszcze, Warciańska i Krakowska — Wielka i Mała — ściślej z sobą zespolone łącznym ogólnym interesem; poczucie narodowe — wdzierstwem bezczelnem cudzoziemców rozbudzone; powołany do organicznej działalności stan szlachecki (na sejmie

Chęcińskim 1331) — gotów popierać dążności i usiłowania narodowe faktycznie spotężnionej władzy królewskiej; słowem, żywot narodu samoistny — zabezpieczony. Idea federacyjna, oparta na podstawie idei państwowej, popieranej przez władzę królewską, zmierzającą ku monarchicznej jedności starych Bolesławowskich zakresów, przybrała tylko nowy ustrój teraz; państwo Łokietkowe nie przestało być przeto zrzeszeniem plemion, przetwarzającym się w braterski związek—konfederację—przewodniczącego stanu szlacheckiego składających je ziem, w niczem nie uwłaczający wyrobionym ich indywidualizmom.

KAZIMIERZ WIELKI.

Zadaniem Kazimierza Wielkiego (1333—70) było spojść silniejszymi węzłami wewnętrznymi i zabezpieczyć na zewnątrz to, co mu po ojcu pod władzę się dostało; potrzebny pokój ku temu drogą musiał okupić. Traktatem Wyszogrodzkim na Węgrzech 1335, za zrzeszenie się Jana z Luksemburga tytułu króla polskiego, złożył na rzecz Czechów prawa swe do Szląska i Mazowsza; za zwrot Kujaw uprawnił zabór Pomorza na rzecz Krzyżaków, co stwierdził i następny traktat Kaliski (1343). Naród jednak, czując się w swej moralnej jedności, stanął wyżej od swego króla: zatwierdzenia układów stany odmówiły. Przez nowe układy (1345, 53) Czesi rzekli się zwierzchnictwa nad Mazowszem, które 1355 r. uznało się hołdownem koronie, a w r. 1340, do śmierci lennika swego, mazowieckiego Bolka Trojdenowicza, Kazimierz zajął Ruś Czerwoną i następną wojną zabezpieczył ją od Litwy. Dopiero tak zawarowany szedł śmiało po drodze wewnętrznego zjednoczenia, począwszy od ujednostajnienia praw. Na zjeździe powszechnym w Wiślicy 1347 r. biorąc za podstawę instytucje małopolskie, przez wcielenie w nie statutu piotrkowskiego Wielkopolan, utworzył jeden statut ogólny, mający obowiązywać całe państwo. Statut ten na przyszłość dawał rękojmię jedności;

w zasadzie, teoretycznie został podstawą następnego rozwoju ogólnego prawodawstwa, a chociaż natychmiast nie zdołał zaprowadzić jedności instytucyj, współzawodnictwo jednak plemienne dozwoliło mu zostać przecie wstępem do ujednostajnienia. W rzeczywistości bowiem, nie mówiąc już o odrębnych pod swymi książęty Mazurach, Polanie trzymali się swego piotrkowskiego statutu i nadal, nawet Łęczycanie spisywali sobie swoje prawa, a może i Kujawy swemi się rządziły. Pomimo to niewątpliwie Kazimierz umocował silniej węzły jedności zrzeszonego państwa, a podejmując na starość 1363 r. w Krakowie, między innymi, sąsiadów swych a znakomitych w dziejach mocarzy: zeniącego się właśnie z jego wnuczką króla Czech i zarazem cesarza Karola IV-go, oraz siostrzeńca a następcę swego, Ludwika węgierskiego — śmiało mógł spojrzeć z dumą w przyszłość zagospodarowanego przez się kraju. Z Czechami spór został załatwiony, zamoistność Polszczy zapewniona, tem pomyślniej może, o ile Czechy, stanąwszy teraz na szczycie swej dziejowej potęgi, tak pod względem politycznym jak i cywilizacyjnym, najcałkowiciej przestały być już słowiańskimi. Król Czech i cesarz Karol IV-ty (1346—78), jego Bulla aurea, Majestas Carolina, arcybiskupstwo i uniwersytet w Pradze, szczere przywiązanie do kraju i każdy czyn jego: wszystko to wspaniałe, ale nie słowiańskie—przyszłość dopiero ma z tego korzystać. Sojusz polityczny z Węgrami więcej zda się obiecywać. Ludwik od 1342 r. panuje na ojcowiznie tak, że mu dzieje imię Wielkiego nadają; Małopolanie, baczni najbardziej na własną korzyść, i dla całego kraju wiele sobie po nim obiecują, — Krzyżacy bowiem wciąż groźni stoją u północy!

PRZEWODNICTWO MAŁOPOLAN.

Wezwani do dzielniejszego życia jeszcze przez Łokietka, Małopolanie stanowczo teraz ku sobie przechylili ster przewodnictwa w bratnim gronie plemion jednego narodu. Oni

to — dawniej jeszcze, depcząc prawa starszeństwa Piastów, przerzucając książeży, spotężnieni w obywatelskich swobodach, możni w domu, zadali pierwszy cios idei rodowej władzy książąt, sprowadzeniem obcego rodowi Waclawa; oni też i teraz dobili ideę dynastyczną męską, zezwalając na Węgry Ludwika, a swymi z nim układami, zjazdami, stawiając podwaliny silnej a szerokiej za czasem szlacheckiej Rzeczypospolitej. Polszczanie niełatwo im przecie ustępowali z pola: 1370 r. zacięcie starli się z Krakowianami, gdy szło o miejsce koronacyi Ludwika, który już gotów był nawet połowę koronacyi odbyć w Krakowie, a drugą połowę w Gnieźnie; nie chcieli przyjmować na starostę u siebie Ottona z Pilicy, Małopolanina, jako obcego i t. p.; lecz mimo to wszystko wielkopolszczyzna była przemożona wszędzie. Drugi zjazd Koszycki, o ile był pomyślny dla Małopolan, o tyle dla Wielkopolan dotkliwy. Krakowska również szlachta przedewszystkiem, niewiele pytając starszych Polzczan, poważniejszych w swem przywiązaniu do Piastów, a wadzących się teraz w swych rodowo-szlacheckich ubijatykach (1382) — Nałęczów i Grzymałów — sprowadziła Jadwigę, a zagarnawszy Ruś, sięgła i ku Litwie w śmiałych swych zamiarach. W jej też łonie trzeba szukać pierwszego ziarna bardziej organicznej a obfitej w następstwa idei federacyi, w jej najszczytniejszej dziejowej formie. Nie była ona bowiem już więcej wpływem przymusu pod grozą innoplemieńców lub skutkiem nieświadomej siebie etnicznej atrakcyi; nie była również wyrazem pewnego nałogowego oswojenia się z długo przewodniczącym rodem, dynastją, oswojenia się z jednością pewnych obrębów, wyobrażaną przez koronę lub jaką myśl państwową; lecz pod ich tchnieniem stała się ideą braterskiego splatania się ludów pokrewnych, pod godłem ujednostajnienia liberalnych praw przewodniczącego stanu, pod hasłem swobody obywatelskiej i politycznej przedstawicieli plemion, z zachowaniem tym ostatnim środków naturalnego rozwoju ich indywidualizmów.

Przy czem oczywiście zapominać nie należy, że rzucone przez Małopolan ziarno napewno zmarniałoby bezowocnie, gdyby w gruncie bratnich plemion starej rzeszy Piastów nie było znalazło warunków własnego umocowania się i wzrostu. Słowem — idea braterskiego wiązania się obywatelskich żywiołów byłaby upadła, gdyby właśnie w żywiołach tych u bratnich plemion nie zastała, przy powszechnem poczuciu się w jedności, odpowiedniego wyrobu jednostek składowych. A to przedewszystkiem sprawił systemat udziałowy.

III.

Rzesza Ruska. — Udziały. — Ruś na Czudach. — Rozszczepienie się Rusi. — Litewszczyzna. — Litwa.

RZESZA RUSKA.

Zobaczymy teraz, jak się kształtowała rzesza wschodnia Słowian — rzesza ruska. Zespolone z sobą podbojem waręgskich druzyn, między którymi z czasem wziętą górę ród Russa — Ruryka, wszystkie plemiona wschodniej Słowiańszczyzny, długo trzymane na wodzy tylko obcą przemocą, w przyjętym przez Włodzimierza chrystyanizmie podług słowiańskiego obrządku znalazły niespodziewanie krzepką moralną spójnię na przyszłość. Owoce onego dały się już dotykalnie uczuć za Jarosława (1019—1054). Rzesza ruska ówczesna, obejmująca sobą, oprócz obydwóch etnicznych pierwiastków wschodnich Słowian, znaczną jeszcze ilość cudzych plemion, zdobyła odtąd wyraz swej jedności daleko więcej w splocie hierarchicznym, ześrodkowanym w jedynej metropolii Kijowa, co stał się sam niejako przybytkiem religijnej świętości, niż w przemocy normańskich druzyn, we władzy jedynej osoby, a cóż dopiero jedynej, zwierzchniczo do czasu panującej osoby. Od chwili, gdy postęp chrześcijaństwa był zapewniony, słowiaństwo ujrzało się u steru:

normanizm wsiąknął w nie niepostrzeżenie, a samoistność zrzeszonych podbitych plemion uralskich stanowczo zagrożona została. Zetknięcie się z Byzancyum zapowiadało i szybszy prąd szerzenia ogólnej cywilizacji, której jedność ułatwiał ogólny też piśmienny język; nomokanon poręczał możliwość ujednostajnienia, przez Prawdę Ruską nieuogólnionych, praw zwyczajowych, pod naciskiem jednoznacznych wszędzie wpływów onego. Z drugiej strony i samo polityczno-geograficzne położenie rurykowskiej rzeszy wróżyło najpomyślniej. Za oddalona ona była, by kiedykolwiek mogło jej zaciężać brzemień cesarstwa i patryarchatu z Byzancyum, jak lechickim pobratymcom rzymska Niemców cesarskość. Otoczona ludami, wszędy słabszymi materialnie i moralnie, z wyjątkiem może jednego związku polskiej Lechii, której utajona siła zaledwie chwilowo dawała się przeczuwać, zanadto była swobodna od groźnej natarczywości lub rozjedniającej polityki wrogów krwi słowiańskiej i nie miała obawy, jak Lechici, stanowczego narodowego rozstrzelenia, a sam już kult słowiański prowadził ją ku unarodowieniu. Słowem, zrzeszone państwo Jarosława, podług wszelkich pozorów, widziało się na stanowisku nieskończenie więcej obiecującym na przyszłość, niż rozdarła w szmaty lechicka Słowiańszczyzna, od zejścia Chrobrego na nowo zostająca pod przemocą Niemców. Poza błogimi pozorami przecie widać było i ziarno przeciwnych skutków; plemiona wschodnie słowiańskie, mniej dojrzałe od zachodnich, nie dawały jeszcze pewności kierunku swego rozwoju; zrzeszone różnie pierwiastki etnologiczne nie zapowiadały wyrobienia się solidarnej ruskiej narodowości; a niezwalczona sprężystość biernego ducha Uralców z góry przeczyła możliwości usłowianienia ich w duchu. Te nasiona jedności, jak również i wewnętrzna moc stosunkowej samoistności grup plemiennych, przy następującem rozbićiu się Jarosławowego państwa na rodowe dzielnice, mogły tylko żywiej się rozwinąć—i poczęły się istotnie rozwijać w pierw-

szych czasach w takiej ujednostajniającej się harmonii, jakiej u wcześniej wyrobionych w swych plemiennych indywidualizmach ludów, Lachów podaniem wykarmionych, nie dostrzegamy. Ruska rzesza bowiem już w kolebce swej splata w sobie wszystkie plemiona wschodniej Słowiańszczyzny, zmierza ku uogólnieniu jedynej kultury, ku ujednostajnieniu narodowości; podczas gdy z Lechitów znaczna część wieki kona w uścisku germanizmu, druga zaś wcześniej wyosobnia się w dwa narody.

Podział Rusi, jak pierwiej, tak i po śmierci Jarosława (1054), był nieuniknioną koniecznością stanu i usposobień wszystkich wogóle ówczesnych początkujących słowiańskich społeczeństw, i w niej też samej nic nowego nie wprowadził. Jedność kraju i nadal miała się wyrażać w dziedzictwie władzy jedyne go panującego rodu i jedynej hierarchii; zwierzchnictwo nad ogółem określono prawem starszeństwa książąt; Kijów wyznaczono na stolicę wielkiego kniazia i metropolity. Wobec tej jedności, dzielnice książąt, mniej więcej odpowiadające obrębowi plemion, pojedynczo czy w ściślejszych gronach, były zapewnieniem swobody odwiecznego popędu onych ku utrzymaniu i rozwinięciu szczegółowych odrębności. W pierwszej połowie jednak udzielnego peryodu (1054—1169) popęd ku ujednostajnieniu narodowemu i utrzymaniu politycznej jedności przeważał. W całym przeciągu tego czasu rzesza ruska była niezaprzeczonem dziedzictwem rodu Ruryka; a ród ten jeśli podbojami dalszymi nie rozszerzył swych posiadłości, nic też właściwie z posiadanego nie uroił, trwała swą władzą nad rozproszonemi dzielnicami po szerokim przestworze wschodniej Słowiańszczyzny przyczyniając się do ściślejszego ich wzajem zbliżenia. Kijów pozostawał wciąż rzeczywistym ogniskiem powszechnego życia ruskiego; ani gminowładny Nowogród, ani Połock, podzielaający niechęć swych książąt ku Jarosławiczom, w istocie rzeczy nie myślały mu pierwszeństwa odmawiać. Rozrodzone linie książęce dobijały się o władzę nad Kijowem,

jako nad zwierzchnią stolicą, już to przestrzegając początkowo praw starszeństwa w domu Jarosława, już też opierając się na układach rodowych, na przemocy, lub co więcej, na współczuciu i wyborze kijowskiego obywatelstwa. Energetyczne wdanie się Piasta Bolesława II na korzyść Izjasława I (1054—78) w niczem jedności Rusi nie nadwerżyło; nadto zaś, jedność tę, pomimo nieprzerwanych walk domowych o dzielnicę, utrzymywały: tak polubowne zjazdy książąt — np. Lubecki r. 1097 i Kijowski 1100 r., jak i potężniejsze charaktery zwierzchników kijowskich, jakimi byli: Monomach (1113—1125) i syn jego Mścisław (1125—1132). Niemniej podtrzymywały ją i wojny zewnętrzne, często wspólnymi siłami prowadzone, osobliwie przeciw sąsiadom z południa, turańskim Połowcom. Nawet rozpasane ubijatyki kniaziów na całej przestrzeni Rusi od połowy XII wieku, od czasów Izjasława II (1140—1154), mimo wystąpienia na jaw szczegółowych interesów pojedynczych udzielnych linii, pomimo przemożnej wagi w tych sporach wymagań plemiennych indywidualizmów i stanowczego zlewania się interesów książąt i plemion, — jeszcze nie były ostatecznym zaprzeczeniem myśli jedności politycznej, upostaciowanej niejako w idealnym już tylko zwierzchnictwie Kijowa. Jeszcze Kijów i rodowość dynastyczna, przy wewnętrznej cywilizacyjnej spójni cerkwi, były politycznym węzłem, utrzymującym przynajmniej nazwę federacyjną starej Rusi. Lecz gdy myśl autokratyczna książąt suzdalskich wystąpiła stanowczo w zapasy z dotychczasowym udziałowo-federacyjnym porządkiem, podnosząc natomiast ideę państwową; gdy wyobraziciel idealnej politycznej jedności, Kijów, w r. 1169 po barbarzyńsku zburzony został przez Andrzeja Bogolubskiego, a każdy z silniejszych kniaziów w rodzie swym począł tytułować się wielkim, dogadzając przez to uczuciu stosunkowej odrębności, które się już było wyrobiło w plemienne zespolonych grupach księstw drobnych, — wtedy i idealna polityczna jedność starej Rusi roz-

wiała się na wieki. Odtąd Ruś, przechowując zaledwie tradycję politycznej jedności związkowej, spojona tylko moralnie przez jedyną cerkiew, rozpadła się stanowczo na pierwotne swe etniczne żywioły, tworząc odrębne, niezawisłe wzajem, grupy dzielnic, już to zrzeszonych naturalną atrakcją bliższych plemion, już też utworzonych wskutek poprzedniego politycznego rozwoju. Wszędzie jednak duch plemienny zrywał więzy dynastycznej powłoki, stawiał tamę nieskończonym działom książąt, spychając drobnych na stopień podrzędności i stanowiąc, wbrew kombinacyom kniaziewskim, w każdej ziemi związek głównego grodu i przygrodomów, od których zależały włości. Długo krępowane ideą jedności miejscowe pierwiastki przyszły do pełniejszego samoistnego uznania. Najpierwej wydzieliło się z ruskiego ogółu to, co było zewnątrznie tylko usłowiańszczone, idąc za prądem swego uralskiego ducha — i pierwiastek ten stał się podstawą, bierną a silną, autokratyzmu rodu suzdalskiego. Gminowładny Nowogród, pan wielkiej Biarmii, zawsze samopas kierujący się wśród kombinacji dynastycznych, tylko swobodniejszym jeszcze mógł zostać przy ostatecznem rozwianiu samej idei politycznej jedności. Szczera słowiańska Ruś rozpadła się na dwa naturalne etnologiczne odłamy: północny i południowy. W północnym utworzyły się trzy grupy pod rodami przemożniejszych grodomów: Połocka, Smoleńska i Czernihowa; południowy ześrodkował się w dwie grupy naturalne: na Dnieprze—koło Kijowa, i ku Tatrom — pod przewagą Halicza. Dobitniej wyjaśnią nam to szczegóły, których musimy tu z kolei pobieżnie dotknąć, poczynając od najbliższego sąsiedztwa Piastowskiej rzeszy.

UDZIAŁY RUSI.

Zachodnia połowa południowej Rusi, zasiedlona przez dawniejsze w stosunku do wschodniej połowy plemiona: Chrobatów z Tywercami, Bużan obok Dulebów i Dregowiczów górno-poleskich, podległa Awarom niegdyś (560—590),

do przyjścia Russów tworząca już jeden związek (Wołyńskim może zwany), następnie znana w znaczniejszej swej części pod mianem ogólnem Grodów Czerwieńskich, poddanych Lachom,—zostawszy dziedzictwem Rurykowiczów, stanowiła pewną ściślejszą etnologiczną całość. Składała ona trzy grupy książęcych dzielnic. Księstwo Halickie, obejmujące Chrobotów i Tywerców, skoro tylko zostało dzielnicą najstarszej linii Jarosława, od wnuka jego Rościława Włodzimierzowicza, natychmiast zaczęło zmierzać ku starej samobytności. Pod Władymirkiem († 1153), który wznosił Halicz, i Jarosławem Osmomysłem († 1187) zdobyło sobie przeważne stanowisko na południu, wcześniej usuwając się z pod przewagi Kijowa, a natomiast poddając się więcej wpływom sąsiedniego Zachodu i społecznych porządków onego; z jednej strony nie zdolne opierać się przewadze Polaków, z drugiej podtrzymujące obrządek słowiański w Tatrach. Ku Haliczowi ciążyło zawsze też podniestrzańskie Podole, a ponieważ nawet i Wołyń. Księstwo Wołyńskie—ziemia Bużan i Dulebów od Wieprza do Słuczy,— od połowy XII wieku w rodzie starszej linii Monomachowicza Mściława, od syna jego Izjasława, podobnie halickiemu, podległe bliższym wpływom Zachodu, przez stosunki swego panującego rodu w ściślejszym związku z Kijowem, stanowiło typ jakiś pośredni w południowej Rusi, węzeł jedności onej. Księstwo Turowskie, obejmujące błotne i leśne krainy Dregowiczian po Prypeci, biernego znaczenia w ogólnem życiu Rusi politycznem, posuwało przewagę słowiańskiego żywiołu w obce sąsiedztwo, między Litwę na górnem porzeczu Niemna, i po Bugu, między Jaćwież srogą. Wschodnia połowa południowej Rusi, to jest ziemia ruska—księstwa Kijowskie z Perejasławskiem, czyli Ruś, *per excellentiam*, tworząca w sobie solidarną etniczną i polityczną całość, obejmowała właściwie ziemie Polan i zadnieprskich Suliczów; gdyż wcześniej zdeptani i integralnie wcieleni w obręb pierwszego księstwa Drevlanie bezbarwną biernością łącałe wieki utrzymywali swą

plemienną odrębność, bliżsi Dregowiczanom niż Rusi. Kijów zostaje wciąż jeszcze ogniskiem Rusi, Rusią samą; Perejasław jest wstępniem na wielkoksiążęcy stolec; rody Jarosławiczów prowadzą o nie boje zacięte. Monomach przechyla stanowczą przewagę ku swemu rodowi, Mścisław ją wzmacnia; jednak w stanowieniu o władzy najwyższej występują tu wszystkie żywioły w zawody. Hierarchia, bojarstwo, drużyny naprzemian przeważają wszystkie prawa: starszeństwo, dziedzictwo, obieralność, przemoc; życie społeczne — pełne gorączkowej gry najprzeróżniejszych pierwiastków. Na południu na granicy najezdzczych Połowców, wcześniej nad brzegami Suły i Rosi sadowią się turańskie drużyny Berendejów, Torków, Karatułów, wzmacniane swojskiem zbiegostwem Bradników, i czynnie wcielają się w życie ruskie, przygotowując podstawę przyszłemu kozactwu, mającemu tyle zaważyć w życiu południowej Rusi.

Północny odłamek szczerosłowiańskiej Rusi stykał się z Dnieprem z południowym odłamek na porzeczcu Desny, krainą Siewierzan. Powstały tam w rodzie Światosława Jarosławicza dwa księstwa: Czernihowskie, zbliżone znacznie do typu południowego, i Siewierskie, obejmujące i krainę Wiatyczan nad Oką. Było to coś pośredniego w etnologicznym i politycznym układzie Rusi: Czernihów ciążył ku Kijowu, Wiatycze stanowili przejście ku Rusi nowej — zaleskiej. Polityka książąt Czernihowskich była wyrazem polityki całej średniej Rusi, usiłującej rozszerzyć swój też wpływ wszędy, co, przy znanym burzliwym charakterze potomków Olega i ich współzawodnictwie z Monomachowiczami, stało się przyczyną nieustannych zawichrzeń starej Rusi. Najdzielniejszym zaś polityki tej wyobrazicielem był Świętosław Wszewołodowicz, książę czernihowski. Charakterem politycznym ludu była dziwna wierność swemu rodowi i wspieranie go we wszystkich burzliwych wysileniach współzawodnictwa z kijowską Rusią, jak niemniej w nieustannych walkach z koczowniczymi Połowcami, które spowo-

dowały i pochod siewierskiego Igora i następnie znakomite w poezyi Słowo o jego pułku. Księstwo Smoleńskie, zajmujące porzecze górnego Dniepru i Soży, to jest krainę Radymiczów i wschodnią część Krywiczów, od wieków wyosobnione z masy krywickiej i bardziej ciężące niż ta ku południowi, z czasem utworzyło stałą dzielnicę rodu Monomacha w linii Roścysława Mścislawicza. Nie uwydatniło ono w sobie wybitnych cech, ani politycznych ani etnologicznych; ściśnięte obrębem innych ruskich dzielnic, nie miało mocy przejawienia się silniejszego nazewnątrz. Za to też książęta jego szukali pola dla swego rycerskiego ducha w oddali: jak dwaj Mścislawowie, z których Chrobry walczył za wolność Nowogrodu przeciw Suzdalcom, a Udały — w Haliczu przeciw Węgrom, nad Kałką później, z Tatarami — księstwo Połockie, które składał zachodni przestwór ziem Krywiczów, od wieków posiadający dość silną autonomię pod swymi waraskimi książętami, następnie dzielnica rodu Izjasława, syna Włodzimierza Świętego z Rogwoldowny Rognedy, w całym ciągu obecnego peryodu wyrażało swe polityczne i plemienne wyosobnienie, wspierając wyłącznie interesy swych książąt. Na chwilę podbite przez Monomachowiczów za Mścislawa Wielkiego, po powrocie swego rodu, wygnanego za związki z Połowcami do Grecji, z nową siłą rzuciło się w jego objęcia. Krywicze tutejsi przestrzegali jedynie swych własnych interesów, nie pytając o resztę Rusi: niegdyś ulegli przeważnemu wpływowi Litwy, dziś zwierzchnicy jej plemion po Dźwinie i Niemnie, aż ku morzu niemal, szerzyli między niemi ruską cywilizację, posuwali w głąb ich borów osady ruskie, przygotowując w ten sposób przyszłe zespolenie się cywilizacyjne Litwy ze Słowianami. Stąd to w składzie Rurykowskiej rzeszy Połockanie najsilniej utrzymywali swą własną, miejscową i plemienną, odrębność.

RUŚ NA CZUDACH.

Nareszcie do północnego odłamu należały usłowianione lub słowianięjące krainy Czudów. Północno-zachodnia ich strona była udziałem Nowogrodu, wschodnia zaś—Rostowa, Suzdału. Nowogród, co był pierwszym sprawcą sprowadzenia Waregów, w pojęciu dynastycznym był niby działem wielkoksiążęcej władzy Kijowa, w rzeczy zaś samej, raz zepchnąwszy Russów na południe, zostawał niezmiennie sam sobą: wolną grodową rzeczpospolitą, związaną jedynie cywilizacją i potrzebą z resztą Rusi. Nowogród sam w sobie stanowi związek swych przygodów słowiańskich i dani-czych Czudów, na wybrzeżach Ilmenu i Fińskiej zatoki, a z czasem i na porzeczu północnej Dźwiny, gdzie władza książęca Ruryków jest tylko podrzędnym warunkiem, któremu chętnie ustępowano, ze zwyczaju lub chwilowej potrzeby. Interesa jego inne są niż interesa Rusi: cudzcy jego poddani nie są poddanymi ogółu Rusi; jego *wołost'* mocno z przyczyny etnicznej wyróżnia się od reszty włości ziem ruskich. Widoczne jednak ciężenie ku południowi. Społeczność to handlowo-arystokratyczna miejska, słowiańska w duchu i roznosząca swe słowiaństwo leniwie na daleką północ, słaba liczebnie—nie zdolna sprostać wpływom inercyjnym mas czudzkich. Krainy czudzkie: Mera na porzeczu górnej Wołgi, Weś przy Białem jeziorze (Wes-*jerwe*) i Muroma z Meszczerą, wzdłuż dolnej Oki — od wieków widocznie podległe wpływom Normanów oraz Słowian Nowogrodu i Wiatyczów, objęte teraz w zakres rzeszy ruskiej, od czasu przyjęcia wiary chrześcijańskiej, a z nią stanowczej przewagi słowiaństwa, stały się biernym materiałem podbojowego pochodu tego żywiołu na północ i wschód. Lecz i w słowianieniu powierzchownem nie przestały one przechowywać tak ogólnych cech swego czudzkiego ducha, jak i odrębnego upostaciowania onego w pojedynczych plemionach; utrzymaniu zaś tych odrębności pomagały i losy polityczne kraju. Uderzającą różnicę moralną pomiędzy sło-

wiańskimi a czudzkimi północy plemionami widzimy już w trybie przyjmowania przez nie chrystyanizmu: wtedy gdy u Słowian chrzest święty mniej więcej swobodnie się szerzył, na Czudach wywoływał zapamiętałe przeciwdziałanie; u Mery pierwsi dwaj biskupi Rostowa musieli uciekać, trzeci, św. Leonty, został przez pogan zabity (1070), a za Monomacha jeszcze (1113—25) w Rostowie stała świątynia Welesa. Niemniej zacięty opór stawiała i zostająca pod wpływem muzułmańskich Bułgarów i Mordwy Muroma: książę Jarosław (Konstantyn) Światosławicz († 1129) po stracie zabitego przez niewiernych syna zmuszony był przemocą Muromę zdobywać. Do XIII zaś wieku wpływ czudzkich Wołchwów na całą północy jeszcze był potężny. Rozgrupowanie polityczne etnologicznemu odpowiadało: Mera, ześrodkowana pierwotnie koło Rostowa, utworzyła księstwo Suzdalskie, obejmujące i Weś białozierską, w rodzie Monomachowicza Jerzego; Muroma, jako dział linii czernihowskiej w potomstwie Jarosława Światosławicza, weszła w dzielnicę razańską. Pomimo wszakże różnicy panujących rodów, utworzyły one jedną plemienną polityczną grupę na północo-wschodzie. Ruska jej samoistność wybitnie przedstawia się już w połowie XII wieku. Bierność żywiołu czudzkiego, wewnętrzna potrzeba centralizacji — pozwoliły tu wznieść się idei autokratycznej, która napróżno była popierana przez przejęte bizantynizmem duchowieństwo w szczerej Rusi. Na tej to idei wsparci suzdalscy książę zadali cios Kijowu i staroruszczyźnie, cios politycznej ruskiej jedności, i powołali do życia żywioł noworuski na Wołdze. Już 1159 r. Andrzej Bogolubski domaga się u patriarchy osobnego metropolity dla północy.

ROZSZCZEPIENIE SIĘ RUSI.

Pomimo swego rozczłonkowania, szeroka ta społeczność ruska przedstawiała wszakże w tym okresie czasu wszelkie pozory poważnej jedności—nie tylko cywilizacyjnej,

lecz politycznej i narodowej nawet. Pozory te długo trwać w rzeczywistości nie mogły i już w następnym okresie składowe pierwiastki Rurykowskiej Rusi, poprzez sieć dynastyczną, stanowczo wystąpiły z własnym życiem. Skutkiem tego rozpadła się ona teraz ostatecznie na swe dwa naturalne odłamy szczepowo-etnologiczne: południowo-zachodni czyli staro-słowiański i północno-wschodni w krainach słowianiejących Czudów. Dwa te odłamy, z postępem słowiańszczenia się drugiego z nich, coraz więcej odstryczały się wzajemnie, dopóki u końca tego okresu nie wzięły stanowczego rozbratu. Przyczyn tego faktu dziejowego aż nadto, by je tu wszystkie wymieniać, dość, iż jedną z najprzeważniejszych była różnica etnologiczna. Wreszcie kto rozumie, dlaczego rzesza Franków Karola Wielkiego musiała stworzyć się w dwa społeczeństwa — Niemców i Francuzów, ten łatwo pojmie i nieodzowność rozpadnięcia się wielkiej rzeszy ruskiej Ś. Włodzimierza. Odłam północno-wschodni Rurykowskiej rzeszy, chociaż był płodem ekstensywnej siły północnych Słowian, chociaż wyrósł z ruszczyzny i wciąż nią się karmił, że jednak, z natury rzeczy, musiał się oprzeć na masach „cudzych” krwią Słowianom, kierować się duchem odmiennym, przybrać odmienny historyczny charakter, a przez to i stawać też bez przerwy w dziejach jako uosobienie pewne antagonizmu — w dalszym swym procesie wyosobniania się właściwie tu do nas należeć nie może. Idea federacyjna, przenikająca ówczesnie cały przestwór prastarych siedzib północnego Słowiaństwa, spotkała negacyę na jego gruncie. Ponieważ jednak jego potęga autokratyczna ciężyla bez przerwy nad starą Rusią, a co więcej, był on związany z rzeszą szeroką północnych Słowian niejednym moralnym węzłem — w dalszym tedy ciągu rozpoczętych tu śledzeń musi on choć nawiasowo zwracać kiedy niekiedy naszą słuszną uwagę.

Dotknijmy teraz tych kolei starej Rusi, które ją spotkały od czasu upadku Kijowa i stanowczego jej rozszcze-

pienia się na pierwotne składowe żywioły, aż do zespolenia się onych z Litwą. Wypada nam począć od ciosu, co ostatecznie wywrócił cały stary porządek rzeczy—a ciosem tym—najście i jarzmo tatarskie. Pierwszy napad Tatarów wywołał jeszcze solidarne wystąpienie całej słowiańskiej Rusi, tak południowej jak i północnej, lecz już ostatnie. W bitwie przy Kalce (1224) brali jeszcze udział wszyscy prawie staroruscy książęta; odtąd północ i południe, nie mówiąc wcale już o Rusi nowej, poszły zupełnie odrębnymi torami, przedewszystkiem, gdy zburzenie Kijowa przez Batego 1240 r. zgasiło ostatni promień idei, która z murów jego przyświecała. Ruś zachodnio-północna, Biała — krainy krywickie, zgrupowane koło Połocka i Smoleńska—osamotniała wśród powszechnej rzeszy; jej położenie i interesa, jej mocno przechowana samoistność plemienna, wyosobniły ją najzupełniej. Dziedzina rodu połockiego, przez swe rozdrobnienie i nieustanne domowe zwady książąt straciwszy spójność, a z nią i moc dawną, musiała stracić i tę przewagę zwierzchniczą, którą niegdyś w swem skupieniu wywierała na litewskie plemiona. Wzniesiony wśród Łotwy Zakon mieczowych rycerzy, wyrugowawszy stamtąd władzę połockich książąt, posuwał swe zabory w górę po Dźwinie; z drugiej strony, równie od zachodu, wyjarzmiona pogańska Litwa roznosiła zniszczenie od wierzchowisk Wilii i Niemna. Coraz potężniejące przez organizowanie się postępowe siły wrogów spotykały wśród Krywiczów najzupełniejsze rozprzężenie jedynie. Dawny ich wpływ cywilizacyjny na Litwę stał się teraz narzędziem ich zguby: wtajemniczona w życie ruskie Litwa, wśród sprzyjających dla się okoliczności, przez asymilację swych wyższych warstw, z łatwością teraz mogła je pochłoniąć, tem pewniej, o ile wstręt Krywiczów ku jednorodcom nie pozwalał im w razie danym na nich się oprzeć. Stąd też z dziwną szybkością dzielnice połockie przechodziły jedna po drugiej w ręce Litwy i raz zdobyte dostawały się w polityczny wir tej ostatniej, wejściem swem przygotowując

stanowcze zmiany i w reszcie Rusi; Krywicze zaś, zespala-
jąc się politycznie z Litwą, obok przejmowania jej jeszcze
bardziej swą ruską kulturą, stale towarzysząc szczęśliwej
gwieździe niemeńskich zdobywców, w następnym szerokim
zrzeszeniu litewskim zdobyli stanowczą przewagę nad współ-
plemiennikami południa. Co do księstwa Smoleńskiego—
to, przestawszy ciężyc ku Kijowu, ściśnięte z dwóch stron
przez napór suzdalskiej Rusi i Litwy, rozjednione w sobie,
długo wywalczając swą odrębność, ze wzniesieniem się po-
tęgi Gedymina musiało pójść za główną masą i na długo
poddąć się pod zwierzchnictwo Litwy. Polesie górne, dre-
gowickie, uspięne w swej bierności politycznej, po wznie-
sieniu się rodu wołyńskiego w południowej Rusi poddane
jego przewadze, staje się czasowo pobojowiskiem tej ostat-
niej z Litwą, której wylewowi na południe nie zdoła stawić
oporu; następnie, podobnie jak i Krywicze, ściślej się z nią
jednoczy.

Ruś południowa po dotkliwym ciosie, zadany przez
Suzdal Kijowu (1169), utraciwszy ostatecznie wieniec pier-
wszeństwa i przewodnictwa, który dotychczas zdobył jeszcze
jej stolicę, zamknęła się odtąd wyłącznie w swym miejsco-
wym bycie. Widmo starej sławy Kijowa jeszcze obudzało
namiętą ambycję książąt, jeszcze ubiegano się o święty
gród—kniazie czernihowscy, smoleńscy, wołyńscy wzajem
wydzierali go sobie; lecz w istocie rzeczy ogniskiem połud-
niowego życia został już Halicz. Po najściu Tatarów, skut-
kiem bezpośredniego sąsiedztwa z hordami, kijowskie Po-
dnieprze zupełnie opustoszało: grody padły, siola spłonęły, lud
się rozbiegł, bojarstwo wyniosło się w bezpieczniejsze strony.
Lecz za to, gdy następnie powoli lud począł znów osiadać,
gdy kmieć (smerd) tylko Tatarom był danniczy, dawny
gminny tryb bytu stopniowo bierze górę na stepach, i ta-
kim go tu zastaje Gedymin. Po wygaśnięciu rodu Wołod-
dara (1198) Ruś Czerwona, halicka, niepokojona przez Wę-
grów, pomimo usiłowań zerwania zupełnego pęt dynastycz-

nych, dostała się w dziedzictwo domowi wołyńskiemu, skutkiem czego Wołyń i Polesie zachodnie, ściślej zespalające się z nią, nadały jej niezwykłą siłę. Wyniesiony za pomocą Małopolan Roman Mściśławowicz, stawszy się panem tyłu krain, rozwinął swą potęgę niesłychanie: zajęty obroną Rusi od nacisku Polaszcy i Węgier, jak z drugiej strony od najazdów litewskich, nieczuły na odezwy papieskie (Innocenty III 1204), nie spuszczał on z uwagi i wnętrza kraju, prześladowając nielitościwie wyrabiające się na wzór zachodni możnowładztwo, przeciwne jego autokratycznym popędom. Lecz zostawszy rzeczywistym zwierzchnikiem, „W. Kn. i Samod.” całej południowej Rusi, gdy umyślił posunąć swą przewagę ku Wiśle, zapęd ten przyplacił życiem, pod Zawichostem 1205 r. Po jego śmierci, trzymane dotąd w spójni sprężystą władzą, różnorodne części południowej Rusi poczęły się natychmiast rozkładać; społeczne żywioły zawrzały; 1208 r. książęta Igorowicze z Siewierza, w tajnej zмовie, mordują 500 znakomitszych bojarów, po czem, niesłychanym przykładem, zostają sami powywieszani, a jeden z bojarów, Władysław, 1213 zasiada na tronie halickim i ustępuje go tylko Polakom i Węgrom. Cudzoziemcy nieomieszkali z zaburzeń korzystać; niebezpieczeństwo było oczywiście: na Haliczu zapanowali Węgrzy z ukoronowanym na króla ruskiego Kolomanem (1214) i poczęli otwarcie prześladować cerkiewny obrządek. Ale dzielny, rycerski Smolan książę, Mściśław Śmiały (1218—1221), zdołał ująć wzburzone pierwiastki w dawne karby i stanąć na czele całego południa; tak przewodnicząc całej starej Rusi, razem z dwoma innymi Mściśławami, kijowskim i czernihowskim, spotkał on Tatarów nad Kałką 1224 r. Następne zniszczenie przez Batego (1240) zastało już u steru władzy Romanowego syna, Danię. Potężny ten książę, istotny zwierzchnik całego południa, pan Halicza i Kijowa, Czerwna i Ukrainy (1230—1239) nie myślał bić czołem hanowi. Przez wychowanie swe obeznany bliżej z Zachodem, nie przeciwny wpływom

jego moralnym, przedsięwziął w nim—u sąsiadów Polaszcy, Węgier i Czech — i w religijnej powadze papieża szukać ostoi przeciw dzikiej przemocy hord tatarskich. Rozwierając wrota wpływowi Zachodu, przyrzekając religijnie z nim się zuniować, r. 1254 koronował się i przyjął tytuł „Króla Ruskiego”. Lecz zawiedziony w nadziejach, zerwał z papieżem, ukorzył się przed hanem i, korzystając z powagi, jaką sobie zjednał w „ułusach”, całą siłę wyteżył na podniesienie kraju z ruiny i stałą konsolidację nowego królestwa. Zamierzał on swą władzę posunąć i dalej na północ, poza bory poleskie; ale tu spotkał godnego siebie przeciwnika w Mendogu, który, jako pan Litwy i ruskich Krywiczów, ze swej strony ciężył nad Rusią południową. Walka równie silnych przeciwników, nie sprowadzając nic stanowczego, ułatwiła przecie przyszłe ich państw zbliżenie, przez zawarte w wyniku onej związki pokrewieństwa. Wskutek tego, jeden z synów Daniła, Swarno, został na czas jakiś księciem litewskim, lecz już brat jego Lew, pomimo pomocy Smolan, Siewierzan i Tatarów, napróżno usiłował utwierdzić swą władzę nad Litwą. Rozdrobniona po śmierci Daniła 1264 r. Ruś Czerwieńska zjednoczyła się raz jeszcze pod berłem wnuka jego Jerzego Lwowicza 1301 r. († 1316), co ostatni umiał utrzymać jedność kraju i świetność korony ruskiej. Po nim ostatecznie Ruś południowa poszła w podziały i, przy osłabieniu wewnętrznem a wzrastającej potędze Kazimierza i Gedymina, już to na mocy krewieństwa kniaziów, już zbrojną przemocą zmuszona, w znaczniejszej swej części stała się dziedziną Litwy i weszła w łono rzeszy nowej, uosobionej w książęcym rodzie Gedymina, na czerwieńskim zaś pograniczu Polaszcy przechyliła się ku tej ostatniej. Ruś halicką w taki sposób przewidywany los spotkał: same warunki geograficzne i odwieczne tradycje zwracały ją wciąż z biegiem Sanu i Bugu ku Wiśle, teraz wyrobione na wzór Polaszcy społeczne żywioły zbliżały ją ku niej jeszcze ściślej. Po śmierci ostatniego potomka Da-

niły, Jerzego II (1336 — 37), Czerwieńce powołał na tron mazowieckiego Bolka Trojdenowicza; lecz ten nieszczęśliwe swe rządy opłacił życiem r. 1340, a ziemia Czerwieńska, wyjąwszy zagarniętą przez Litwę (Lubart) znaczną część Wołynia, jako feudum korony zajęta została przez Kazimierza Wielkiego. Pustynią prawie leżąca po okrutnem spustoszeniu Tatarów Ruś pod jego ręką szybko rozkwitać zaczęła; jej niechęć początkowa na szczere oddanie się wprędce się zamienia — Detko, starosta przemyski, z wroga, nawołującego Tatarów, niebawem czynnym wielkorządcą kraju zostaje. Mając na widoku poszukiwanie z czasem praw swych do całości byłego królestwa ruskiego, Kazimierz podnosi episkopat halicki na stopień metropolii kraju. Wprawdzie uległa Ruś ciężkiemu losowi za Ludwika od prozelityzmu Węgrów, ale tem chętniej przeto odpowiedziała na wezwanie Jadwigi (1387) i stale już zjednoczyła się z Polszcą. W nowem swem położeniu stała się ona węzłem, łączącym na przyszłość Polszcę z dalszą Rusią, rozsądnikiem zasad jej uspołecznienia i oświaty, zadatkim jej potęgi i zwiastunem szerszej politycznej północnych Słowian unii. Przestrzeń ziemi, zawarta między Dniestrem a Karpatami, wzdłuż Prutu aż do morza, leżąca na gościńcu stepowych hord w ich wylewie ku Zachodowi, początkowo jednak zajęta w części przez słowiańskie plemiona Ugliczów i Tywerców, wczesnie wciągnięta w wir zwad Rurykowiczów (Berładnik), następnie stale była uważana za zależną od Halicza. Nawiedzana i zajmowana przez Pieczyngów — do połowy XI wieku, przez Połowców następnie, i nosząca stąd nazwę „Pacinacji” najpierw, a później „Kumanii”, w połowie XII wieku leżała ona pustynią. Po klęsce nad Kałką, znowu pokryta namiotami ściganych przez Tatarów Połowców, a po ustąpieniu ich (1241) do Węgier — swobodne koczowisko hord, dopiero zwycięstwami Kazimierza i Ludwika od nich uwolniona, zwolna, począwszy od połowy XIV wieku, okrywa się stadami przychodnich z Maramosza Wołochów

(Dragosz około 1359). Gospodarowie ich — multańscy — zależni są zawsze od władców Rusi, niemniej jak i basarabscy, z południa przybyli, między ujściami Dunaju i Dniestru. Polska, ogarniając Ruś Czerwoną, zachodziła w jej prawa zwierzchnicze. Kazimierza W. spotkał opór, lecz Jagiełło chętnie uznany był za pana przez wojewodę Multan nawet, czyli Wołoszczyzny dalszej, „muntańskiej”, zapłonińskiej. Wschodnie krainy Daniłowego królestwa, znaczniejsza część Wołynia i Kijów z całą Ukrainą po obydwóch brzegach Dniepru dostały się w ręce Gedymina. W skład jego rzeszy weszła i znaczniejsza część dziedzin rodu czernihowskiego. Krainy te, stanowiące coś pośredniego w systemacie starej Rusi, rozdrobnione na mnóstwo książęcych dzielnic, tak z przyczyny geograficznej, jak i współzawodnictwa swego zwierzchniczego rodu o hegemonię z Monomachowiczami, pomimo bardziej północnych cech swych mieszkańców, ciążyły nieustannie ku Kijowu, wyjąwszy może jedną tylko ziemię Wiatyczan, która z biegiem Oki wcześniej zwróciła się do Suzdala i razem z Muromą poddała się jego politycznej przewadze. Lecz dzielnice starych Siewierzan podzielały losy południa: na Kałce razem z innymi krew leli i czernihowscy kniazie, jak Mścisław Światosławicz; podług zwyczaju zaś wadząc się ciągle o Kijów, książęta razem z nim wydają na łup i swój Czernihów i korzą się przed Tatarami, a Michał ginie nawet po męczeńsku w hordzie. Następnie dzielnice te, wołą hana oddane zwierzchnictwu Suzdala, tem bardziej pochylają się ku Zachodowi; popierają zamachy halickiego Lwa na Litwę, a z upadkiem Kijowa, i same, jedna za drugą, poddają się zwierzchnictwu rodu Gedymina.

LITEWSZCZYŻNA.

Pośrednikami ostatecznej i stanowczej spójni zachodniego i wschodniego odłamu północnych Słowian były ludy litewskie. Przyczyny tego tkwiły tak w geograficznym ich

położeniu, jak również w pokrewieństwie ich ducha z duchem Słowian, a następnie w rozwoju wypadków historycznych. Odwiecznym ich siedliskiem były porzecza dolnej Dźwiny, Niemna, Pregoli (Lipca), na znacznej nadmorskiej przestrzeni, od Salisu niemal do ujść wiślańskich; na której to przestrzeni plemiona litewskie, stykając się w swych stałych siedzibach od północy z cudzkimi Liwami, sięgały na południo-zachód — słowiańskich Pomorzan. Od strony ładu opasywali je półwieńcem sami Słowianie: na wschód Krywiczanie i Dregowicze, od południa Bużanie i Mazury. Rozproszone na tym przestworze pokolenia litewskie stanowiły następujące grupy plemienne: na północ Łotwa, Korś i Zemgoła; na południe Prusowie i Jaćwież, w środku Żmujdź i właściwa Litwa — Neroma. Najwyższą spójnią tych ludów była ich kultura, oparta na religii, będącej przeobrażeniem staro-aryjskich pierwiastków pod wpływem nowszego skandynawizmu. Są ślady podaniowe, upoważniające do przypuszczenia, że pierwotnie wszystkie ludy litewskie nad Bałtykiem — ich Białym morzem — stanowiły jedną obszerną rzeszę gminowładno-teokratyczną. Na czele jej stał najwyższy kapłan (pruski) Krewekrewejto, mający niekiedy widocznie religijne uznanie i u sąsiednich Słowian nawet, jak naprzykład u Mazurów i dalekich Krywiczán. Ścisłejszy związek dostrzegamy następnie między ludami nadniemieńskimi bardziej, dopóki Litwa nie ustanowiła u siebie własnego najwyższego Krewa. Z biegiem czasu nieograniczona władza teokratyczna, sprowadzona do powagi duchowej jedynie, pod działaniem nieustannego wpływu Normanów rozprysła się pomiędzy tłum miejscowych reiksów i kuni-gasów, tworzących między sobą drobne plemienne związki. Nietylko najbliższe etniczne powinowactwo dwóch szczepów, litewskiego i słowiańskiego, ale i odwieczne sąsiedztwo ich nad Bałtykiem — utrzymywało między nimi najwyższą bez przerwy łączność. Wzmagąło ją równosilne oddziaływanie wzajemne: wpływ Litwy na Krywiczán i Lutyków jest wi-

doczny; niemniej pewne to, iż w rzeszach Prusów, Jaćwieży, wśród Litwy górnej, było wiele słowiańskiego pierwiastku; a poza obrębem tego, jak jeden tak drugi szczep, mniej więcej w równej prawie sile, ulegał nieprzepartemu naciskowi Skandynawów. Pogańska ich kultura była jednej prawie natury, tylko dzielniejsza może u Litwy; byt społeczny i polityczny zbliżone do siebie, — gminny byt ludowego tłumu, przy wielmożności warstwy zwyciężczej, obcej. Charakter i tryb życia niemniej blizkie wzajem; większa tylko religijność i łagodność usposobień między ludem niż u Słowian, przeważnie wojenna surowość w warstwie zwierzchniczej. Zaciekła wytrwałość, z jaką broniły ludy litewskie swojskości, zwartej w sprzecznym Słowianom teokratyzmie, długo była rękojmą niedoli ich i potęgi. Od chwili powstania dwóch politycznych rzesz, Lachów i Russów, państw Bolesława i Włodzimierza, bezmierny wpływ Normanstwa na Litewszczyznę zaczął się ograniczać jedynie na krainy nadmorskie; z biegiem rzek w głąb kraju zaczęli posuwać się energiczniej Słowianie, tu zmuszając lud do chrztu i dziesięciny, ówdzie wznosząc grody dla zapewnienia daniny. Mazowszanie darli się ku Prusom; księżęta północy ściągali daninę z Łotwy, Zemgoły i Neromy; Jaćwież zmuszona była zacięcie zastawiać się zarówno od Lachów i Rusinów. Na widownię historyczną najwcześniej wystąpili najbliżsi Zachodowi a stojący moralnie niejako na czele Litewszczyzny Prusowie, ruchem swym powołując do silniejszego życia i resztę pobratymców.

Prusacy, zajmujący brzeg bałtycki od Wisły do Niemna, stanowili związek kilkunastu pokoleń, którego spójnią moralną była władza teokratyczna litewskiego Krewe, przewodzcami — normańska szlachta reiksów, wikingów, a masa ludu onego bodaj czy nie przez pół słowiańska. Zostawali oni od wieków w stosunku zaciętej zwady lub ściślejsojsojuszu z sąsiednimi Mazurami. Ze wzmaganiem się potęgi Piastów dotknięci zostali silnym jej naciskiem: chrzest i dzie-

sięcina zagroziły im stanowczo. Przyszła i na nich kolej: przy osłabieniu Polzszy przez podziały, z uciskanych — niszczyciele, stali się grozą dla Mazurów; ksiązę tych ostatnich Konrad (r. 1222) wydał ich na pastwę niemieckiego Krzyżactwa. Powstała walka śmiertelna: Prusacy ulegli jarzmu nakoniec; znaczna część ludności — wytępiona w wiekowym bojuowaniu; pierwiastki słowiańskie utrzymały się do dziś u granicy Mazowsza tylko, litewskie zaledwie nad Niemnem przetrwały. Zakon krzyżowy wniósł z obcym żywiołem siłę rozkładową, nie pozwalającą na długo bratnim ludom ująć się za ręce; lecz z drugiej strony przyczynił się do sfanatyzowania uczuć narodowych, i te obudziły energiczniejszy później odpór. W Jadźwingach, Jaćwieży, również rzeszy możnowładnej a różnoplemiennej, na tle żywiołu litewskiego trudno nie dostrzedz pierwiastków słowiańskich i azyatyckich nawet, których wpływ przeważny uwydatnia Jadźwingów w pewien, bardziej wyosobniający się z łona Litewszczyzny, indywidualizm. Zajmując leśne porzeczce Narwi od Niemna po Bug, ściśnięci przez Ruś i Polzszczę, wcześniej (od końca X wieku) poczęli oni ulegać to jednej, to drugiej. Zacięci przestrzegacze starego obyczaju, przy nacisku chrystyanizmu, zbrojnie wnoszonego przez Krzyżaków i słowiańskie sąsiedztwo, sfanatyzowani do rozpaczliwego boju, w ogólnej walce litewskich ludów, z dzikiem bohaterstwem bronili się od zagłady. Tem niemniej zagłada ta z niepojętą zaciętością przez Ruś i Polaków (1264) została dopełniona: Jadźwingowie zostali w znacznej części wytępieni, a kraina ich — Podlasie — stała się łupem sąsiadów, co ją na przemiany sobie wzajem długo jeszcze następnie wydzielali. Właściwa Litwa, to jest Neroma i sąsiednie jej pokolenia po górnym Niemnie w krainie Aukstote, najpierw ulega wyjątkowej swemu Krewie i kunigasom licznym; następnie, po umocnieniu się Waregów na słowiańskiej północy, pozostaje wspólnie z Letgołą i Zemgołą długo danniczką rodu połockiego. Od czasu rozprzężenia skupionych sił dziedzic

ctwa Rogwolda, swobodniej w swych puszcach w ciągu XII wieku organizująca się, ośmielona napadem Tatarów, nie tylko zrzuca jarzmo ruskie, lecz odrazu groźnie występuje do odwetu, posuwając swoje zabory po krywickiej Rusi. Wskutek gwałtownego nacisku Krzyżactwa z poza Niemna i Dźwiny, stawszy się środkowym ogniskiem litewskich ludów, miejscem zbiegowiska i przytułku prześladowanych, naraz ujrzała się ona w nowych warunkach życia i stanęła na czele pobratymców. Władza drobnych kunigasów i powstałych pod ruskim wpływem bajoras, pod grozą konieczności poczęła się coraz bardziej ześrodkowywać; w miejsce doraźnych zrzeszeń, wystąpiła w XIII wieku na wzór ruski władza polityczna wielkiego księcia, zmierzająca do samodzielności, a naród przyszedł do samopoznania sił własnych. Wskutek takiego rozwoju sił narodu, zwierzchni książęta litewscy, od czasów Ryngolda (około 1225 r.), poczęli być groźnymi wszystkim zarazem sąsiadom; bardziej zaś gdy Mindowe (1240) zdawał się stawać na czele całego litewskiego szczepu. Zmujdz — Litwa dolna na północ od Niemna, między Niewiążą a morzem — w której łonie pierwiastek szczerzy litewski, pomimo wpływu skandynawizmu, najczyściej stosunkowo do innych plemion się przechowywał, wyzwana do walki pochodem gwałtownym niemieckiego chrześcijaństwa, wciągnięta przez Litwę do ogólnej sprawy, nic ze swej własności nie utraciła. Sfederowana z tą ostatnią, pod jej zwierzchnictwem niejako, nieraz zarywana przez Teutonów, bez przerwy strzegła swej teokratyczności i kmiecego gminowładztwa. Porzeczce Dźwiny, objęte przez plemiona Letgoły z północy a Zemgoły z południa, dannicze Krywiczom z końcem XII wieku, razem z plemieniem cudzkiem ustępujących Łotwie Liwów, stało się łupem Kawalerów Mieczowych. Założony w krainie Liwów (1205), w widokach pobożnych podbojów Zakon, wstrząsnął zapowiedzią niebezpieczeństwa całe litewskie sąsiedztwo; wzięto się do energicznego odporu. Lecz w ogólnem poruszeniu ludów litew-

skich, z przyczyny może starego plemiennego antagonizmu i odmiennego rozwoju społecznienia, co zobojętniło rodowe ich uczucia religijne, plemiona łotewskie podrzędniejszą odegrały rolę. Łatwo dość dały się one ochrzcić i powodować Niemcom, osobliwie zadźwińska zmieszana z Liwami Łotwa, z przyjęciem chrztu zrywająca na wieki bratni związek z resztą Litewszczyzny. Więcej dzielności okazali Kurowie, Korś, nad Windawą, przy morzu siedzący, przesiąknięci skandy-nawizmem, jak Sembi w Prusiech, głośni rozbójnicy morscy. Nie zaraz dali się oni ujarzmić; długo towarzyszyli Litwinom w śmiertelnych zapasach i utrudniali podbój osta-teczny Krzyżactwu. Dopiero gdy oba Zakony połączyły się z sobą (1237), zamachy niemieckie poszły rażniej i stano-wczo. Odtąd cała siła odporu zwarła się na Wilii i Nie-mnie, a Litwa, zmuszona bronić się już od zagłady, spo-tężniona w duchu przez nieustanną walkę, odważywszy się raz stanąć w imię całego szczepu, zdobyła sobie niebawem głośne stanowisko w dziejach północnego Słowiaństwa i ca-łej Europy.

LITWA.

Począwszy od XIII wieku, potok bieżących wypadków, upotężniając nieustannie Litwę, prowadził ją prostym torem do myśli zgrupowania dokoła siebie wszystkich litewskich ludów w jedną silną polityczną całość, zrzeszoną w imię starego ojców obyczaju. Pierwszym, co podniósł tę myśl i niez mordowanie przeprowadzał ją w swem życiu, pierw-szym bohaterem litewstwa, był niezapreczenie Mindowe, Mendog (około 1240 — 63); ale był on zarazem i ostatnim szczerzo-Litwinem. W jego osobistości uwydatnia się wy-bitnie cała potęga i cała niemoc zarazem żywiołu, na któ-rego stał czele: potęga rozpaczliwego odporu pogaństwa i li-tewszczyzny starej, niemoc wobec konieczności wejścia w gro-no chrześcijańsko-europejskiego społeczeństwa, konieczności ściślejszego zespolenia się z sąsiednimi Słowianami. Widać

w nim niepewne, gorączkowe rzucanie się, a w losie jego ludu brak wewnętrznej organicznej podstawy i konieczność oparcia się na czemś obcem. Niezmordowanie zmierzając do ześrodkowania władzy drogą zwierzchnictwa feudalnego, uzbraja on w domu cały drobno-książęcy żywioł przeciwko sobie. Zagrożony przezeń i ośmielonych tem wrogów zewnętrznych—Zakon mieczowy i Ruś halicką—nad przepaścią zguby, rzuca się z wyrachowaniem w objęcia Zachodu, katolicyzmu i Zakonu—zostaje chrześcijaninem i przyjmuje od papieża (1252) koronę. Zneutralizowawszy tem wrogów, cierpliwie powolny nowym spółwiercom, stale podąża za swoją myślą główną, rozprawia się z Rusią (1258) i gotuje powszechne powstanie ludów litewskich przeciw pochłaniającym je zwolna Zakonom. Wyprzysięga się krzyża, podnosi całą Litewszczyznę (1260—61) i wstrząsa do posad potęgę Niemców. Lecz tak upotężniony, przygotowany do bardziej organicznego zadania, ginie (1263) z rąk zabójcy, ten pierwszy i ostatni pogańskiej Litwy mąż polityczny. Cała jednak doniosłość jego usiłowań świadczy tylko o najzupełniejszej niemożności wydzwignięcia już w ówczesnej Europie narodowo-politycznego organizmu, opartego na podstawie pogańskiej kultury. Posłannictwo przeciw pogańskiej Litwy nie jest bez znaczenia: ocalając rodowość swą od germanizmu i wylewając się na Ruś zarazem, postawiła ona stanowczą tamę nawale Tatarów na Zachód. Wiodła ją ku temu konieczność położenia: niebezpieczeństwo od strony Niemców narzuciło potrzebę ześrodkowania sił feudalnymi węzły, a niedostateczność sił własnych kazała szukać ich pomnożenia, przez postępowe szerzenie lenniczej zwierzchności po przestronnej a rozprzężonej zupełnie sąsiedniej Rusi — co następnie zetknęło bezpośrednio Litwę z Hordą. Konieczność ta położenia była tak stanowcza, że im bardziej ciężyli Krzyżacy, tem usilniej Litwa pomnażała lenników na Rusi. Litwa też za czasów Mendoga, biorąc odwet na Rusi, nietylko powróciła już była ku własnym

swym źródłiskom Niemna i Wilii, zdobywając (około 1240) Nowogródek i całą Ruś jaćwieską, lecz posunęła się daleko i poza swe przyrodzone granice: krainy Połozan i Dregowiczów, panów dawniejszych, stały się jej udziałem, a wylew jej na południe powstrzymany tylko został siłą nowopowstającego pod Danielem królestwa Rusi. Po śmierci Mendoga przeciągłe rozprężenie Litwy zdaje się ją narażać na ostateczną zagubę. Zakony ujmują ściślej Prusy i Łotwę, ściskają bardziej Zmujdz samą, lecz Litwa wytrzymuje nacisk, pod Lutuwerem (około 1283) i Witenesem (1315) zdobywa znów jedność i moc zwierzchniej feudalnej władzy, i w nieustannych drobnych zapasach a walce o ustalenie porządku, wprowadzonego przez Mendoga, wyrabia siły do bardziej stanowczego wystąpienia. Wystąpienie to zgotował jej niebawem Gedymin (1315 — 1339), wynosząc ją na stanowisko prawdziwie państwowej potęgi. Jest on bowiem istotnym twórcą nowego zrzeszenia ludów wschodniej Słowiańszczyzny w postaci wielkiego księstwa Litewskiego, co już zmierza do znalezienia w sobie i poza sobą wyższych cywilizacyjnych podstaw bytu. Władzca Połocka i Nowogródka, rzuca się ku osłabionej Rusi południowej; zajmuje najpierw Wołyń, następnie Kijów z Perejasławiem i Siewierze; posuwa swe zabory aż ku stepowym koczowiskom Tatarów i nakazuje im poszanowanie. Zapobiegliwy organizator polityczny, wiąże wszystkie części i warstwy szerokiego państwa porządnie rozwiniętym układem feudalnym. Zwycięzca Rusi, widzący jej ówczesną niemoc a rozumiejący nieodzowne warunki europejskiego wtedy państwa, porozumieć się gotów (1323) z papieżem. Zawiedziony w tem przez Zakon, łączy się (1325) ściślejszymi węzły z Łokietkiem i walczy z Niemcami aż do utraty życia; z drugiej zaś strony nie przestaje pomnażać swego wpływu po szerokich przestworach Rusi. Ale pochłaniając wyższe od siebie pierwiastki, Litwa sama się przeistaczała: deptana politycznie ruszczyzna stawała się coraz więcej rzeczywistą

moralną panią Litwy, tak, że, od Gedymina już, wielkie księstwo Litewskie, obejmujące całą prawie szczerostwiańską Ruś starą, stawało się nie czem innym, jeno jarosławowskiem niejako wielkiem księstwem Kijowskiem ze stolicą w Wilnie. Było ono związkiem udzielnno-feudalnym przeważnie słowiańskich ludów; szczerolitewska Żmujdź stała bowiem jakby w odosobnieniu wśród tej nowej z litewska ruskiej rzeszy. Lecz to wszystko właśnie, przy współdziałaniu nowych warunków, przygotowywało świt idei powszechnego zrzeszenia się północnych Słowian. Przy synach Gedymina, Olgierdzie († 1377 roku) i Kiejstucie († 1382 roku), Litwa, politycznie potężniejąc na wschodzie, przesiąkała tem żywiej podwładną sobie ruszczyzną; lecz z drugiej strony, mimo olśniewającej potęgi, w rozwoju swym pochylać się musiała ku Zachodowi — nieuchronnie i coraz to bardziej stanowczo. Porządek staro-litewski rozpręga się do ostatka. Kiejstut, rycerski jego przedstawiciel jeszcze, w walce z Zakonem zapamiętałej, stoi właściwie na straży pozostałych granic tylko; bo pobratymce—ujarzmieni na wieki, a ostatni zastęp bronionego przezeń pogańskiego społeczeństwa szybkimi krokami zbliża się do stanowczego przeobrażenia się w swych posiadach. Olgierd zaś to już istnieje ruski książę wielki: rozporządza dowolnie w północnych republikańskich grodach, trzyma w grozie Moskwę, a w posłuchu pomniejszych zadnieprzańskich kniaziów; ściga hordę aż w Krymie, burzy starożytny Korsuń (Chersones) i zmusza Tatarów do uległości; usiłuje ustalić władzę swego domu na Czerwieńsku przeciw Polakom; daje opiekę metropolicie Rusi i pozwala synom swobodnie przyjmować chrzest cerkiewny; słowem, występuje jako prawdziwy zwierzchnik ruskiej ludów rzeszy. Lecz widoczna wszędy, że takie zespolenie się dwóch pierwiastków, z których żaden, z osobna wzięty, nie ma w sobie warunków samoistnego bytu, nie przedstawia rękojmi — nie tylko wyższego rozwoju, ale nawet samej możliwości utrwalenia tak

zrzeszonego politycznie organizmu. Nad Litwą wciąż wisi groza wcielonego w Zakony germaństwa, a Ruś stara, sama zasłonięta od Tatarów przez Litwę tylko, sama pokrzepiona zaledwie jej politycznymi porządkami, nie jest zdolna jej od grozy ubezpieczyć. Konieczność szerszego zrzeszenia się nieodzowna, osobliwie gdy Jagiełło układami na Dubissie (1382), z powodu niesnasek domowych, zmuszony był zaprzedać się prawie Zakonowi. Względem Rusi przecie Litwa nietylko biernie stawała. Wiążąc się ścisłymi sploty z Rusią, ulegając pod jej wpływem najzupełniejszemu przeobrażeniu, staro-litewskie społeczeństwo wnosilo z sobą tem niemniej i swój ustrój, charakterystycznie wyrobiony. Było ono ostatniem w ówczesnej Europie społeczeństwem pogańskim, przedstawiało zatem w sobie wszystkie cechy istoty poganizmu w całkowitej jego pełni, było, słowem, przedewszystkiem społeczeństwem niewolnem. Wszystkie tam stosunki — rodzinne, towarzyskie, społeczne i polityczne — opierały się na niewoli, wypływały z niej. W rodzinie — z wielożęstwem despotyzm płci i wieku; w społeczeństwie — szczeblowanie względnej zależności warstw i osób, piętrzące się w surowy system feudalizmu, uniewalnającego wszystko pod wielkim księciem. Przy powszechnem zaś rozstrojeniu się wojennem, pod przewodem normańskiej krwi kunigasów, uwojowniczony lud cały groźny był swym sąsiadom, choć tak małowliczny i łagodny istotnie. Łatwo się on całkowity porusza, bo nie wkorzeniony jeszcze w ziemię przez rolnictwo: to bardziej pasterz i łowca w bycie namiotowym prawie. Żywo znać w nim jeszcze, że ostatni ze szczepów Europy przybył tu ze wschodu, że najbardziej przetworzony został przez wpływ skandynawski; nie tylko religia jego, tak staro-aryjskimi ślady uderzająca, tak mytami północy przesiąknięta, to przypomina; lecz niemniej — względnie barbarzyńska młodzieńczość kultury narodu i upólnocnione niejako, a jednak uderzająco jeszcze wschodnie cechy w zwyczajach, obyczajach, usposobieniu i charakterze. Nic zastanawia-

jącego przeto, iż pierwiastek litewski, odświeżając butwiejącą Ruś rzeczywiście — z drugiej strony, podobnie jak tatarstwo z południa, zarazem osurawia ją nieco. Nawet u wstępu zbliżania się z nią religijnego, upogańszcza niejako szerzący się po kraju swobodnie chrześcijański Rusi manicheizm. Wyraźniej osurawia sam byt, obyczaj, stosunek społeczny i opierające się na tem podstawy polityczne i cywilizacyjne. Lecz to z kolei prowadzi tem pewniej do konieczności zwrócenia się całego wschodu staro-słowiańskiego ku wyżej wyrobionemu zachodowi, do konieczności przyjęcia zarazem i wszystkich wyników podobnego zwrotu.

IV.

Postęp rozwoju idei federacyjnej. — Różnorodność zrzeszających się pierwiastków. — Ruś stara. — Litwa. — Polska Piastów.

POSTĘP ROZWOJU IDEI FEDERACYJNEJ.

Gdy teraz, po skreśleniu powyższego obrazu, rzucimy okiem poza siebie, by przebieść koleje, jakimi kroczyła myśl federacyjna u północnych Słowian, aż do pierwszego szerokiego jej wystąpienia w zetknięciu się przyjaznem Litwy z Polszcą, dostrzeżemy niezaprzeczony postęp w rozwoju. U kolebki pierwszych politycznych słowiańskich społeczeństw spoczywa ona nieświadomie, jako instynktowy popęd pokrewnych plemion ku samozachowaniu, jako doraźny środek uchylenia klęsk grożącej burzy zewnętrznej, najczęściej znikający z nią razem. Zawsze jednak więcej to popęd rodowy — krwi, aniżeli myśl narodowa lub polityczna; plemienna odrębność jest jeszcze tak silna, iż niweczy wszelkie szczytniejsze usiłowania trwalszego związku. Przecie pod silnym wpływem obcej przemocy, skandynawskiej najbardziej, i trwalsze też związki powstają powoli — kiedy niekiedy i w rozlicznych obrębach. Wyraźne ślady każą nam wnosić o trwalszem istnieniu, jeszcze przed epoką mo-

rawską, szerszych zrzeszeń: Syrbów i Chrobatów najpierw, później Lachów; jak równie w innej stronie pozwalają przypuszczać byt rozległego związku Czerwieńskich Grodów, szerokiego zrzeszenia Krywiczian, przewodnictwa wreszcie Nowogrodu na Czudach. Trudno nawet zaprzeczyć istnienia uczuciowej nici rodowego swojactwa całego szczepu, której ani wysiedlania się gromadne, ani szerokie obcych podboje nie zrywają wcale; myśl jednak jakiegokolwiek narodowego związku nie zdoła powstać o własnej mocy. Trzeba ją niejako wycisnąć ciężeniem zewnętrznym. Istotnie też, obce ludy, obce interesa, obce idee—samochcąc idą tu w pomoc Słowianom, aż nareszcie, po długich niepewnych grupowaniach się, powstają stalsze federacyjne grona. Na wschodzie wznosi się jedyna szeroka ruska plemion rzesza; na mniej zaś szczęśliwym zachodzie, słabszym od ucesarzonej niemieckiej, ludność słowiańska, w tem nawet, co ze szpon germanizmu wywalcza, rozpada się na dwie gromady: czeską i polską. Odtąd rzesze te nowe, zewnętrzną przemocą sprzężone, rosły, wyrabiały się i męźniały wewnątrznie, przybierając cechy ujednostajnienia narodowego, bez ujmmy wszakże odrębnym plemiennościom. Praca ta dziejowa zajęła całe pięć stuleci prawie, nim z kolei, pod koniec XIV wieku, powszechnie nie została pocztą konieczność szerszego zrzeszenia się, objęcia już w splot jeden całej północnej Słowiańszczyzny. Idea ta powszechnego zrzeszenia się w jeden polityczny organizm była wyrobem ogólnego dziejowego życia północnych Słowian, żadną miarą zaś nie dziełem jakiej jednej tylko genialnej osobistości, coby moc onej odgadła i siłą woli wprowadziła w życie, lub chorągwią któregoś z plemion czy narodów, coby pod tem znamięm dążyły do plemiennego przewodnictwa. Spoczywając niezmaczenie w instynkcie naszych ludów, i w tym razie—z powodu ich ściślejszego zbliżenia się i zapoznania z sobą, z powodu skomplikowania się ich wspólnych interesów, przy ówczesnem politycznem stanowisku nazewnątrz i stosun-

kach wewnętrznych,—stała się ona powszechną potrzebą ich wszystkich jednocześnie. Dopiero samo faktyczne zrzeszenie się miało powołać do steru najżywotniejsze z plemion, dać przewagę silniejszej, swem uspołecznieniem, narodowości; dopiero wtedy mogły wystąpić szerokie stronnictwa, prowadzone głębszym umysłem pewnych wyższych politycznych osobistości. Słowem, pod koniec XIV wieku, siłą wypadków historycznego rozwoju, skutkiem ościennego położenia i należycie zrozumianego powszechnego dobra, dojrzało tylko do głębszego przeświadczenia to, co spoczywało w samej naturze politycznej słowiańskich społeczeństw. Dojrzała właśnie konieczność szerokiego zespolenia się ludów i politycznego ujednostajnienia form ich bytu, bez nadwężania miejscowej i plemiennej autonomii dziejowo wyrobionych indywidualizmów. A konieczność ta uznawana była przez wszystkie ludy nasze zarówno.

RÓŻNORODNOŚĆ ZRZESZAJĄCYCH SIĘ PIERWIASTKÓW.

Dwa powyższe odłamy jednej i tej samej Słowiańszczyzny północy, przystępując do unii, federacji, widziały, że są wielce odmienne od siebie; a do tego jeszcze — różnie odmienne, aniżeli jak to było w pierwocinach związania się wśród nich samoistnych politycznych społeczeństw. U kolebki różnicę tę stanowiły mniej—nie uwydatnione jeszcze w dzieciństwie, etnologiczne i samoistnocywilizacyjne przyczyny, aniżeli warunki urozmaiconej miejscowości i względna, zewnętrzna czy moralna, zależność od obcych sobie wzajem innoplemieńców. Oczywiście, gdy wszystkie wogóle pierwiastki szerszego życia zbyt były jeszcze upowite w stanie pacholęcym plemion, nie musiała przeto i między tymi odłamami istnieć wielka różnica. Chrobaci naprzykład zdają się być jednoistną rzeszą. W czem jednak mogła już zachodzić odmiennność, to w zakresie religijnych obrzędowości, których terytoryalny obręb, kto wie, czy mógł przecie odpowiadać rozgraniczeniu etnologicznemu

plemion; pod tym względem Krywicze byli bliżsi Mazurów niż Nowogrodzian, dnieprowscy Polanie — warteńskich niż Drewlan, widocznie. W chwili zaś pierwszego uniowego zetknięcia się dwa te odłamy przedstawiały już więcej różnic, lecz i więcej jedności zarazem. W przeciągu czterech wieków odosobnionego politycznego bytu pierwiastki etnologiczne wyrobiły się wydatniej nazewnątrż, a różnica kultury posunęła uwydatnienie to do ostateczności. Odłām wschodni ze chrztem poddał się stanowczemu wpływowi kultury byzantyjskiej, znacznie jednak miarkowanemu przez oddalenie miejscowości, silną interwencję władzy świeckiej w hierarchii i pośrednictwo dunajskich pobratymców, a najbardziej przez język słowiański w obrzędku i piśmiennictwie. Odłām zachodni takąż drogą objęty został w sferę rzymską, a że to zaszło za pośrednictwem cesarskości Niemiec, przeto o ile cudza łacina formułowała wszystkie warunki życia, a Rzym dominował hierarchią, o tyle germanizm ciężył nad polityką i narodowość zatruwał. Wiedza jedna dobroczynnie zmierzała po tropach powszechnej zachodniej cywilizacji, coraz to zdrowszej i żywotniejszej od butwiejącego w starości swej wschodniego Byzantynizmu. Bliższemi znów sobie, niż były u kolebki, stały się odłamy te najpierw przez ujednostajnienie się w chrześcijaństwie i ideach przez nie wyrobionych, a wreszcie przez jednostajny prawie rozwój dynastyczno-federacyjny w szerokich a skorszych do wzajemnego zapoznania się politycznych rzeszach. Co do stopnia przechowania szczepowego ducha, utrzymała się równowaga — z tą różnicą jedynie, iż na wschodzie więcej widać słowiaństwa w cerkwi, niż na zachodzie w społeczeńskim bycie. Pośrednie między wschodem a zachodem żywioły litewskie stanowiły tylko bierne rozgranicze, gdzie się oba słowiańskie żywioły dobijały o przewagę swej względnej kultury, o ile przynajmniej sprężystość miejscowego pogaństwa na to pozwalała. Lecz Litewszczyzna, stąd właśnie zmuszona stać się jedyną pośredniczką dwóch słowiańskich pier-

wiastków, nawet przy słabości swej istotnej, nie mogła nie zająć przemożnego stanowiska w dziele unii. Łatwo to zrozumiemy, przeszedłszy do szczegółowych faktów, które ją przygotowały po całym naszym przestworze, jako nieodzowny wynik swej stanowczości. — Zaczniemy od wschodu.

RUŚ STARA.

Stara Ruś, obejmująca sobą nietylko wszystkie bez wyjątku plemiona wschodniej połowy północnych Słowian, ale i znaczne krainy przez się usłowianione lub podbite, przedstawiała wszelkie, najludniejsze prawdopodobieństwem, pozory pewnej wystarczającej sobie zupełnie solidarności. Niewprawne oko, tak w warunkach geograficznych i etnologicznych, jak w jednostajnej a wyosobniającej się kulturze, nareszcie w jedności hierarchii i dynastji (rozrodzeniem swem wcale nie nadwężającej udzielnofederacyjnego systemu rurykowskiego państwa), mogło widzieć aż nadto rękojmi trwałej odrębności istnienia Rusi—i siły, pozwalające jej wystarczać sobie w samoistnym bycie politycznym. Wprawdzie na taką jedność, na jaką tylko przy owoczesnych warunkach zdobyć się było można, rzeczywiście Ruś się zdobyła; czy zaś ona była wystarczająca i czy miała rękojmię trwałości — to zupełnie rzecz inna. A tego właśnie nie było! Nie było siły, coby mogła sprzężone części stale w jednostajnym ustroju utrzymać; przyczyn zaś rozprzężenia, wymagających innych niż dotychczas spójni, było niemało. Ruś więc dalej w pierwiastkowym swym kierunku rozwijać się nie mogła. Terytoryum rurykowskiej rzeszy było anomalnym geograficznym kompleksem; zawieszony niejako między górami Uralu a Tatrami, nie miał on naturalnych granic, a zdobyć ich sobie nie był w stanie. W składzie jego okolica wód Ilmenu stanowiła w sobie całość, która, również jak i wyosobnione porzecze górnej Wołgi, z natury skazana była na rozwijanie się w kierunku innym, nie w tym, jaki wskazywał bieg Dniepru. Z masą starej Rusi mało też

przyrodzona potrzeba porzecza owe wiązała. Naturalniejszym dla nich był wylew z biegiem północnej Dźwiny na Biarmię, gdzie się też wcześniej Nowogród z Suzdałem w swem spólzawodnictwie spotkały. A gdy wogóle geograficzne warunki stanowiły przeważnie i o politycznym obrębie, Nowogród przez nie zdołał przejść ze swą władzą na porzecze Dźwiny zachodniej, a Moskwa za to, w odwrotnym wylewie noworuszczyzny, z natury rzeczy musiała zająć starowiatyckie porzecze Oki, jako Wołgi dopływu. Odrębność geograficzna prowadziła za sobą nieuchronnie i wyosobnienie polityczne. Dniepr zatem, wyjąwszy jego „poniżej”, stał się istnym geograficznym nerwem szczerosłowiańskiej Rusi; górne zaś porzecza zachodniej Dźwiny i Dniestru służyły jej tylko jakby za dopełnienie własnego porzecza. Lecz i tu—Dźwina z Niemnem wiodły ku Bałtykowi i Litewszczyźnie; wierzchowisko Dniestru bliższem było porzecza Wisły, Bug w sobie pochłaniającego; brzegi zaś Prypeci zieleniły się borami, co jakby wyrosły na słupy graniczne natury między północą a południem starosłowiańskiej Rusi, ciągnąc się i po drugiej stronie Dniepru w górę Desny i Sejmu. Ukształtowaniu geograficznemu z dziwną ścisłością odpowiadało i rozgraniczenie etnologiczne, na którem następnie wspierała się budowa dzielnic. Przewód czudzki na północ-wschód od kresów górnych porzeczy Dźwiny i Dniepru, ujęty politycznie i religijnie w całość ruską, słowianiejący postępowo w mowie, będąc dotkniętym na północ-zachodzie przez despotyzm republikańskiego Nowogrodu, a na wschodzie przez autokratyzm dziedziców Rostowa i Muromy, co do ducha mieszkańców pozostał samym sobą. Republikańska miejskość Nowogrodu, w swem kupieckiem samolubstwie słabo związana z organizmem starej Rusi, chociaż wprawdzie wywoływała do życia na szerokim przestworze północy podobne sobie miniatury grodów słowiańskich, nie miała jednak interesu być gorliwą w przenikaniu masy ludu niegrodowego ogólną słowiańskością, w zbliżaniu go z resztą

ruskiego ciała: sama ruska, była taką na swój przecie sposób. Porzeczce górnej Wołgi—krainy merskie przedewszystkiem—bez zaprzeczenia w ciągu cztero-wiekowej jedności ze szczerą Rusią, powolnem działaniem hierarchii, drużyn i słowiańskich, zarówno z północy jak z południa płynących, wiejskich i grodowych osad, pod śmielszym na cudzym gruncie autokratyzmem kniaziów, usłowianię się stanowczo. Masa przecież usłowianiona czuła po dawnemu swą starą odrębność i, pomimo węzłów a szerokich zamysłów dynastyi, przestawała sama na sobie; powierzchownie „przymiotnikowo” ruska—o Ruś się nie troszczyła. Następnie, pomimo wręcz przeciwnego zwrotu życia Nowogrodu i Suzdała, pas czudzki od ujść Newy do Oki czuł się bliższym w sobie, niż z którymkolwiek ze swych starosłowiańskich sąsiadów: i stąd więc nie stało temu nic na zawadzie, że w Razaniu gospodarzyła wroga Monomachowiczom linia czernihowska, a jedność rodu smoleńskiego z suzdalskim nie zbliżała wielce tych ziem. To też samym Tatarom udało się trwalej utrzymać swe jarzmo tylko na Wołgi porzeczcu. Krótko mówiąc, mimo dostatecznych pozorów jedności, przenikliwшему oku nie ujdzie z uwagi stały antagonizm Rusi usłowianionej ze szczerosłowiańską, z prostych przyczyn już samej geografii i etnologii. Ale przyczyny te etniczne odgrywały zarówno niepomierną rolę i w łonie słowiańskim prastarej doby. Plemiona wschodniego odłamu Słowian właściwie grupowały się zawsze we dwa ludy — północny i południowy, i żaden z nich nic nie ustąpił ze swego, by się złąć solidarnie z drugim; stały zaś antagonizm tych ludów krył głębsze przyczyny od zwady rodowej książąt; krywicka bowiem grupa miała stare swe życie osobne, od wieków łączniejsze z Litwą. Na samem południu nawet utrzymywały się plemienne wyróżnienia: od strony Tatr ożyły niejako podania stare chrobackie, gdy związek Czerwieńskich Grodów wznowił się w królestwie Halickiem naprzekór osamotnionemu Polan Kijowu; szerokie Polesie, nie posiadające

żadnej odrębnej wagi w kombinacjach dynastycznych, przechowywało swą borową wyłączność; co więcej, za Rosią i Trubeżem stępy turańskich koczowników stawały się roiskiem nowego życia. Słowem, na całym obszarze rurykowskiej rzeszy prawa etnologiczne, za osłabieniem silniejszych węzłów, dopominały się wyraźnie o swobodę ruchu. Najpotężniejszą spójnią moralną solidarności całego przestworu rurykowskiej Rusi była jednoistna hierarchia; ale i ta, przy okolicznościach, towarzyszących najazdowi Mongołów, w niemocy się rozpadła. Po zburzeniu Kijowa, gdy cała siła starej Rusi spoczęła u Tatr, stamtąd też starano się utrzymać i jedność hierarchiczną. Długi przeciąg czasu (1243—80) sprawował urząd metropolity biskup chełmski Cyryl, usiłujący nieustannie podróżami zastąpić brak środkowego ogniska. Następca jego Maksym (1304) począł już szukać oparcia na północy: wyniósł się on po ostatniem spustoszeniu Kijowa (1299) do Brańska Siewierskiego, a następnie do Włodzimierza nad Kłajmą. Dotknięci tem książęta halicy, Włodzimierz Lwowicz szczególnie, domagali się od patriarchy oddzielnego arcy-pasterza i polecany przez nich mnich wołyński Piotr został mianowany metropolitą całej Rusi (1308—1326). Lecz gdy ten również trzymał się północy, a w r. 1325 osiadł w Moskwie, patriarchy, dla dyecezyi Czerwonej czyli Małej Rusi, to jest: Przemyśla, Chełma, Włodzimierza, Łucka i Turowa, musiał wznieść w Haliczu już (1317) odrębną metropolię. Spowodowało to oczywiście późniejszy rozstrój w cerkwi. Chociaż 1347 r. sobór w Konstantynopolu postanowił przywrócić jedność metropolii, nie miało to żadnego skutku: 1352 r. patriarchy ternowski (w Bułgarii) wyświęcił na odrębnego metropolitę dla południowej Rusi Teodoretę; przeciw niemu 1354 r. w Konstantynopolu wyznaczono na metropolitę całej Rusi biskupa włodzimierskiego (na Kłajmie), Aleksego (1357), a jednocześnie z tym Romana dla Litwy (1362). Co za beład stąd powstał, wyobrazić łatwo: Ruś kroczyła wszędy ku

ostatecznemu rozprzężeniu. Na prośbę jeszcze Kazimierza Wielkiego w r. 1371, patriarcha wyświęcił na metropolitę Halicza—Antoniego, a w r. 1376 — Cypryana Serba, z warunkiem, by ten, po śmierci Aleksego, został metropolitą całej Rusi. Lecz do 1389 roku przeciwdziałanie popieranym przez w. księcia moskiewskiego współzawodników na północy nie dozwoliło mu stanąć jednemu na czele ruskiej cerkwi; a i później wszelkie usiłowania przywrócenia mocy jej wewnętrznej nie mogły zapobiedz grożącemu rozpadnięciu. Co się tyczy kultury, była ona wogóle odblaskiem przygasającego byzantynizmu; w szczególnym zaś swym wyrazie piśmienniczym stanowiła osobną cerkiewno-ruską sferę. Sfera ta, wyróżniająca Ruś wybitnie od tego wszystkiego, co do niej nie należało, w niej samej utrzymywała pewną cywilizacyjną jedność. O stopniu oświaty nie może być tu mowy: na północy, pod władzą Mongołów, oświata tak dalece była upadła, że dla nauczania się pisma książę twerski Michał Aleksandrowicz musiał się 1340 roku udawać do arcybiskupa Nowogrodu; a jeśli na starej Rusi było wprawdzie nieco lepiej, wszakże osamotniona kultura ruska żadną miarą współzawodniczyć nie mogła z żywiej rosnącą ogólną oświatą łacińskiego Zachodu. Targane tam więzy łaciny roztwierały obszerne pole wykwitnięcia pojedynczym narodowym literaturom. Niemniej od łaciny martwa cerkiewszczyzna na Rusi, chcąc odpowiedzieć nakazującym wymaganiom organicznego rozwoju oświaty narodowej, musiałaby zejść w zacisza klasztorne, ustępując miejsca nie jednemu przecie, ale aż trzem przynajmniej ludowym idiomom, jakich wschodnie plemiona używały; inaczej obezwładniałaby była tylko możliwość rozwoju. Stąd wobec tej alternatywy, kultura ruska, przedstawiająca pozornie wspaniałą jedność, była skazana: albo na ciągłą bezsilność w sobie samej, nieustannie wymagającą zasiłków obcych we wszystkim, co żywotne; albo też na rozpadnięcie się staroruskiego piśmiennictwa, a z niem i cywilizacyjnej jedności Rusi, na trzy gałęzie ludowe. Koniecz-

ność żywiolowego rozkładu rurykowskiej rzeszy przyspieszyły wypadki polityczne; w łonie bowiem tej rzeszy oddawna już rozwinęły się były pierwiastki, zmierzające ku stanowczemu teraz wyosobnieniu z całości. Najpierw Nowogród nie był nigdy właściwie integralną częścią Rusi; przewodniczący się duchem kupiecko-arystokratycznego republikanizmu, ulegał on zawsze tylko nieuniknionemu przymusowi lub przepisom własnego interesu w stosunkach swych z dynastją i hierarchją. Dumny ze swej wyjątkowej potęgi, nie zrywając z metropolią, zmusza już 1166 r. swego biskupa do przyjęcia arcybiskupiego tytułu, rozrządza sam często katedrą, a rozkołysany swobodą obywatelską, chwytą się też zasad swobody hierarchicznej, wypowiedanej tak żywo, w duchu bez popowszczyzny (1375), w sekcie Strygolników. Nie zapierał się Nowogród wprawdzie nigdy jedności moralnej i chętnie uznawał niedotkliwe zwierzchnictwo dalekich władców Kijowa; lecz gdy stanowczą przewagę nad tymi wziął na północy Włodzimierz suzdalski, stawiał mu silny opór; ukorzony w końcu, razem z nim musiał się stanowczo odtrychnąć od reszty. Grupa dzielnic na czudziem Powołżu, etnologicznie różna od szczerosłowiańskiej Rusi, przez zbieg wypadków politycznych ujrzała się w osamotnieniu zupełnem po poniżeniu Kijowa. Najpierw suzdalska linia Monomacha rościła prawo do wyłącznego tytułu wielkich kniazów: ani Kijów, ani żadna z grup udziałowych innych rodów i linii, nie uznawały tych uroszczeń, z wyjątkiem chyba czasem rozważnego Nowogrodu i rzańskiej linii między Muromą. Rozwijający się na Wołdze autokratyzm państwowy odstręczył stanowczo Ruś starą, a kilkowiekowe jarzmo tatarskie, co dotknęło wołzańskie porzeczce, odosobniło je całkiem już od pierwszej. Wyosobnienie się takiej Rusi czudzkiej z ogółu było zawarunkowane samą naturą jej ludu. Już samo wyniesienie na tron Andrzeja (1157), z pominięciem reszty rodzeństwa, wskazuje dążność ludu ku formalnemu ześrodkowaniu władzy

dla utrzymania jedności krainy; w ślad za tem wczesnie zdradza się duch podbojowy. Natura ludu nadaje różny charakter i samej cywilizacji ogólnie ruskiej: swoboda osobista, idea wieców i obieralność wczesnie tam upadają; natomiast idea absolutnego monarchizmu znajduje tu silne poparcie — żywi ją duchowieństwo, sprzyjają jej swem ciężeniem Tatarzy. Więc też moralnie nawet chciano się tam wczesnie wyosobnić: już 1159 r. Bogolubski usiłuje, choć napróżno, wymódz na patryarsze utworzenie na Rusi cudzkiej metropolii odrębnej od Kijowa. Właściwa zaś słowiańska Ruś, zostająca pod ciągłą obawą najazdów tatarskich, rozdarta w sobie (gdyż każda z grup dzielnic rodowych uznawała li swego wielkiego kniazia), straciła wszelką samodzielną siłę. Wreszcie w samym charakterze szczerej Rusi nie było nigdy twórczości politycznej. Indywidualna dowolność, porywczosć w ruchach bez wyraźnego określenia celu, niestałość myśli i wstręt ku formalizmowi: słowem, wszystkie cechy, wypływające z przewagi osobistości nad społeczeńskością, były onego udziałem. W życiu wewnętrznym — anarchiczna ruchliwość równoważących się społecznych żywiołów; na zewnątrz—li odpór i bierna niedbałość o wszelkie wpływy i rozszerzenie władzy; nadmiar tego, brak zmysłu organizacyjnego, polityki, wytrwałości, a natomiast wszędzie swobodna doraźność czynu. A to wszystko tak ogólne, iż było tłem życia nie tylko przysajającego Kijowa, ale nawet i butnego Nowogrodu. Uczucie jedności moralnej już nie starczyło; we własnej sprężystości znaleźć zaradę nie miano już nadziei; że zaś niebezpieczeństwo groziło od Wschodu, trzeba było na Zachodzie szukać zbawienia. I oto najglówniejszy punkt zetknięcia się z nim koniecznego. Zachód, oprócz bezpieczeństwa, przedstawiał jeszcze i społeczne rękojmie, a nieproszony nawet, sam nacierał. Tymczasem bezpośrednio poza miedzą graniczną stała niespodziewana Litwa groźnie.

LITWA.

Litwa, prawie nieznaną przedtem, ożywiona ruchem pokrewnych plemion, raz uwolniwszy się z pod ruskiego zwierzchnictwa i z natury rzeczy zostawszy ogniskiem opozycyjnego zachodniemu chrześcijaństwu pogańskiego życia, spotęgowana walką obronną, z kolei rzuciła się poza własne obręby. Od wieków związana z plemionami Krywiczów i Dregowiczów, z największą łatwością zdobyła sobie na odwet zwierzchnictwo nad dzielnicami księstwa Połockiego. Odtąd już dalsze przeobrażenie Rusi było zupełnie zdecydowane — rękojmie się innożyły. Ruś Biała, zostawszy litewską, nie miała potrzeby z Litwą zrywać; nie uległa ona przez to żadnym odmianom właściwie, zmieniały się tylko podmioty władzy książęcej, czego wątpliwym skutkiem wczesnie zaradzono, fikcyjnie mieniąc dynastję litewską gałęzią połockiego rodu jedynie. Tem większą sojusz ten nowy posiadał rękojmię trwałości, iż, gdy Litwa w wyższych swych warstwach uległa cywilizacyjnej przewadze Rusi najzupełniej, księstwo Litewskie stało się tylko nową fazą Połockiego. Książęta Litwy za to zdobyli tajemnicę ruskiego życia, a przejmując nowych poddanych ufnością w siły własne, zapewniając im bezpieczeństwo, zwrócili oczy wszystkich ich pobratymców na siebie. Ruska ta rola książąt litewskich pozwoliła im się familijnie niejako zespolić ze wszystkim, co było najświętszem na Rusi, przyzwyczaiła lud do poczytywania ich za przedstawicieli bezpieczeństwa jej i swobody; zresztą siła ich i dzielność mimowolną uległość nakazywały. Oto gdzie leżały przyczyny owej do podziwu szybkiej politycznej metamorfozy Rusi, jej niespodzianego ujrzenia się Litwą, co tak zdumiewać musi niewtajemniczone oko. Stąd również przestaje być trudnem do zrozumienia to szybkie przechodzenie pod zwierzchnictwo wielkiego kniazia litewskiego rurykowskich dzielnic: Polesia, Wołynia, Kijowa, a nareszcie Czernihowa i Smoleńska. Nic tu bowiem właściwie Ruś nie traciła, a zyskiwała wiele. Litewska władza ożywiła zbutwiały stary porządek rzeczy; polityczna spręży-

stość rządu przywrócona: jak niegdyś w Kijowie, tak w Wilnie teraz, jedna jedyna wzniosła się zwierzchnicza władza, której tu feudalnie podlegali wszyscy książęta dzielnic, bez różnicy, Litwini czy Rurykowce; a religia, język, prawa, stosunki nawet społeczne pozostały prawie nietkniętymi. Ruś w tej nowej szacie nie przestała być sobą, stała się tylko potężniejszą, nakazującą względność nawet Tatarom; dawne jej, zamierające życie poszło nowym żywszym torem. Ale ujawszy się oburącz dynastji Gedymina, musiała ona uznać za swoje i jej interesa litewskie, interesa samej Litwy; a to sprowadziło ją stopniowo na nowe pole polityczne. Młode wielkie księstwo Litewskie, w braku wyższej organicznej podstawy, po śmierci Gedymina ujrzało się w podobnem położeniu, w jakim było ruskie po Monomachu; wzmocniony związek udziałowych książąt i „wielmoż” warunkami feudalnej zawisłości, nie był dostateczną rękojmnią stałej wewnętrznej siły nowego politycznego organizmu, gdy tymczasem zewnątrz wszędzie zawisły nad nim burze. Wprawdzie Tatarzy niebezpiecznymi na seryo być przestali, reszta sąsiadów napozór miała przyczynę sama obawiać się Litwy; ale w istocie rzeczy stopniowo potężniejszą Wielko-Rosya, jako dziecię Rusi, niezdolna się wyrzec dynastycznych i centralizacyjnych tradycji, choć ujarzmiona, ale silną ideą autokratyzmu, kazała szukać sprzymierzeńców od Zachodu. Zwrot przeto ku Zachodowi stał się powtórnie naturalnym, tem bardziej, gdy znów ze swej strony szczerą Litwa stanowczo stamtąd była zagrożona. Skonfederowane dwa Zakony niemieckich Krzyżaków były już panami połowy litewskich ludów; bezpośrednio łącząca ich przymorskie zdobycze Żmujdz była stanowczo na ostateczne niebezpieczeństwo narażona; ustąpienie zaś na tym punkcie groziło zupełną zagładą i całej Litwie szczerzej — a bądź co bądź Gedyminowicze nie przestali być Litwinami. Od chwili do chwili mogła Litwa stawić czoło porządnemu i jedynemu co do swej sprężystości

w ówczesnej Europie organizmowi Krzyżaków, przedstawiających w swym duchowno-rycerskim zastępie całą gorliwość katolickiego prozelityzmu i mniszej przebiegłości, a całą gorączkę podbojów i skrzętności oględnej żywiołu niemieckiego; ale przewaga ostateczna musiała wypaść na korzyść tych ostatnich. Pomiedzy takimi wrogami rzeczywistego rozejmu być nie mogło; chodziło o śmierć lub życie; a gdy Zakony wspierał, jako mniemaną przednią straż swoją, cały katolicki Zachód, więc i Litwie też należało chwycić się ostatecznych środków. Trzeba było może jąć się bezwzględniej Rusi, lecz i najzupełniejsze religijne zespolenie się z nią nie zaczęwało jeszcze wiszącej burzy: nie tylko Zakon, ale i katolicka Polszcza nie uważałyby się za rozbrojonych. Polszcza zaś, co niedawno wyszła z otchłani wewnętrznego zamętu, choć wprawdzie nieustannie najeżdżana przez litewskie zagony, była silnie zorganizowanem ciałem, niemniej obudzającym uzasadnioną obawę. Ruś Czerwona, swem geograficznem położeniem, przez Bug i Tatry — przykuta do kompleksu porzeczka Wisły, współniczka niegdyś chrobotlechickiego bytu, pod nieprzerwanym prawie wpływem polskich Piastów, posiadająca ten sam stan społecznych stosunków, co sąsiednia Mało-Polska, zerwawszy z Rurykami, za pośrednictwem mazowieckiem stała się udziałem polskiej korony. Wiążąc się z rzeszą Polszczy, przekazywała jej swe prawa i do reszty dzielnic Halickiego księstwa, zajętych przez Litwę, o które Polacy przy lada sposobności nie zaniedbaliby u tej się upomnieć. Otóż z pomiędzy dwóch wrogów na Zachodzie osamotnionej Litwie nie pozostawało wyboru: można było zbliżyć się jedynie z Polszczą, równie uwikłaną w sprawy ruskie, równie zagrożoną przez Zakon; więc, koniec końców, zbliżono się też wzajemnie. Pierwsi podali sobie ręce jeszcze Gedymin z Łokietkiem, a odtąd ściślejszy sojusz stawał się co krok nieodzowniejszym sam przez się. Konieczność tego zbliżenia się dojrzymy równie i z drugiej strony, jeśli rozważymy stan zachodnich Słowian.

POLSZCZA PIASTÓW.

Piastowska Lechia, rozprzężona wskutek książęcych niesnasek i alodyalnej anarchii do ostatecznego kresu, zmniejszona o połowę przez obce wdzierstwa, od czasów Łokietka zaczęła się na nowo żywiej ocucać. Zjednoczone przezeń dwa pierwiastki, wielko- i małopolski, pod godłem jednej państwowej idei, znalazły rękojmię silnego rozwoju w dostatecznie wyrobionem wewnętrznem życiu obywatelskiem. Ale pomimo to nawet, sama trwałość politycznego istnienia Polszczy nie była jeszcze pewna, dopokądby nowa idea nie ogarnęła wszystkich części starej Lechii, dopóki by ta nie przywróciła właściwych swych tradycyjnych i geograficznych granic; inaczej sam koronny związek Małej i Wielkiej Polszczy w dalszym czasie nie był możliwy. Pierwszem więc zadaniem polityki była konsolidacya narodu na jego własnym gruncie, siłą nowej, państwowej idei, gdy zwiędła rodowość dynastyczna pchnęła już była kraj w otchłań zaguby; a w tym razie trzeba było zmierzyć się z całą potęgą germanizmu, co niemniej groźnie, jak niegdyś w postaci chrześcijańskiego cesarza, ciężył teraz nad Polszczą z dwóch swych obozowisk — Prus i Czech. Co do grozy bezpośredniej od ściany zachodniej, właściwie obawy być nie mogło; zachodnie plemiona zostawały ciągle już w jarzmie, lecz cesarze, zajęci to wyprawami do Syryi i Włoch, to walką z papieżem, nie popierani już u nas przez duchowieństwo Zachodu, właściwej Polszczy dosięgnąć nie byli w stanie. Tem natarczywiej za to groziło niebezpieczeństwo z innych stron. Jeszcze z Czechami była sprawa nawpół rodzinna: zatrzymany przez nie Szląsk mógł się stać rękojmią odnowienia zerwanego z nimi niedawno sojuszu, mniej przeto o niego dbano; Mazowsze zaś zmuszono już do uznania się hołdowniczem Koronie. Szło najbardziej o zwrot Pomorza, bez którego Polszcza skazana była na wiekiustą niemoc; a tu trzeba było wstąpić w śmiertelne zapasy z Zakonem, co każdej chwili wdzierał się głębiej we wnętrze kraju. Na-

ród, osobliwie najbliżej dotknięci Wielkopolanie, był gotów do stanowczego zmierzenia się; ale skądinąd najdobroczynniejsza polityka Kazimierza W. co do zadań wewnętrznego życia, nazewnątrz, może w poczuciu chwilowej niemocy, odwróciła na długo jego uwagę w inną stronę. Zjednoczenie Czerwonej Rusi z Koroną, darząc ją całym zasobem nowych uroszczeń, cofnęło wstecz politykę polską; Pomorze przyzwyczajono się widzieć w niemieckich rękach. Tymczasem interes swobód obywatelskich sprzął na chwilę Polszczy z Węgrami, a choć miało to i dobrą swą stronę, lecz czynnie polityka zewnętrzna nic na tem zbliżeniu nie zyskała. Nieubłagana konieczność geograficznego położenia zmuszała Polszczy do przywrócenia dawnej swej władzy nad pokrewnem wybrzeżem Bałtyku, a nowi posiadacze onego, Rycerze Krzyżowi, grozili jej samej zagubą. Że zaś we własnem wnętrzu nie było dostatecznej siły, wypadło ją na każdy raz federacyjnie spotęgować. Droga ku temu była otwarta: z blizkich sąsiadów — Czechy i Węgry miały inne niż Polska zewnętrzne interesa. Litwa zaś posiadała prawie takie same. Czechy, podniesione do najwyższej politycznej potęgi przez Karola IV, dały się były ująć najzupełniej w splot bytu germańskiego w każdym odcieniu życia; a teraz przy synu jego, Wacławie IV (1378—1419), długi czas poddane głuchej walce wszelkich — religijnych, narodowych, politycznych i społecznych — swych żywiołów, więcej zawsze ciężyły ku Zachodowi, dopóki (od 1403) spór hussycki, a następnie i zbrojna walka stąd powstała zupełnie ich z czasem nie pochłonyły w sobie. Związek zaś z Węgrami za Ludwika okazał się bezużytecznym i upodrzedniającym nawet Polszczy. Litwa tylko jedna posiadała nazewnątrz wspólne z nią interesa; zbliżenie się więc ich wzajemne, choćby już dlatego, stało się naturalnem i nieodzownem, a cóż dopiero, gdy przyczyn onego było daleko więcej! Zabezpieczenie się na wieki od dotkliwych napadów Litwy, spokojne utrwalenie posiadania Czerwieńska, roztwierające

widoki na dalsze ruskie krainy, widoki, ułatwione od Kazimierza W. przez hołdowe poddanie się Wołoszy; poważna potrzeba zapewnienia swobody handlu na Wschodzie; a co najbardziej, gorliwość zostania apostołem hardego pogaństwa Litwy, wniesienia w nią swego uspołecznienia i oświaty: — wszystko to ważyło potężnie w politycznym poczuciu i rachubie. Wszystko, słowem, nakazywało ten związek, składało się na to, by napozór niespodzianie wielki książę litewski i ruski został królem w Krakowie! Było to tem niezawodniejsze, że owemu zjednoczeniu równie przewodniczyła i nieubłagana konieczność. O ile bowiem pierwsze zbliżenie nakazywane było przez zewnętrzne pobudki wzajemnego położenia, o tyle uświęcenie onego stałym politycznym związkiem wypływało już z samych potrzeb wewnętrznych jednoczących się społeczeństw. Nieodzowność związku była niezaprzeczona: niewyraźnem przedstawiało się jedynie tylko to: co w tej szerokiej rzeszy ujmie ster przewodnictwa, co stanowczo weźmie górę? — który odłam słowiańskiego szczepu, które plemię wśród niego, która z polityczno-socjalnych idei stanie się główną chorągwią historycznego północnych Słowian rozwoju? Lecz i to nie trudne było do odgadnięcia, przy pilniejszym wejściu w wewnętrzne zasoby społeczeństw.

V.

Paralela Polszczy i Litwy. — Proces uniowania się ich pierwotnego. — Witold.

PARALELA POLSZCZY I LITWY.

Nie spuszczać z uwagi zewnętrznej konieczności zbliżenia się Litwy z Polszczą, jak również konieczności trwałszego utrzymania zobopólnego ich związku, przebiegnijmy teraz charakterystyczne cechy obu tych, różnie wyrobionych, społeczeństw, by łatwiej dostrzedz i samą naturalną koniecz-

ność ujęcia przez jedno z nich steru przewodnictwa we wspólnem zrzeszeniu. Przeprowadzona paralela najdowodniej to nam okaże. Za podstawę i wstęp do porównania niech nam służy kultura religijna. Już zaraz na tym najgłówniejszym punkcie widzimy przewagę Zachodu nad Wschodem, romanizmu nad byzantyzmem, a więc Pol-szczy nad Rusią i Litwą. Nie potrzebujemy tu się wdawać w ocenienie absolutne stosunkowej wyższości dwóch chrze-ścijańskich obrządków i towarzyszących im kultur—nie rzu-ciłoby to zresztą najmniejszego światła na przedmiot; ale poprzestaniemy na dotknięciu jedynie praktycznej onego strony. Otóż wogóle rzymski katolicyzm, taki, jakim był w owym czasie, z całą swą ujemną stroną, niezaprzeczenie był jedyną dzielniejszą dźwignią ówczesnego pochod-nego europejskiego życia. Kościół zachodni silny był w sobie organizmem; ożywiał go oprócz tego duch prozelityzmu i mor-ralnego podboju, przeciw czemu wschodni zdolen był sta-wić tylko swą bierność; rola więc pierwszego była zaczepna, drugiego — odporna. Temuż stosunkowi podlegały i cywi-lizacye: zachodnia posiadała w sobie więcej żywotności, bar-barzyńskiej może, ale tem energiczniejszej. Wschód, bez-pośredniejszy dziedzic klasycyzmu, choć nie dał się pochłō-nać, stanowczo skazany był na podleganie wpływowi zachodnim. Gdyby więc wielkie księstwo było jednolite w ob-rządku, to i wtedy nawet nie byłoby wielkiej wątpliwości co do stanowczej nadal faktycznej przewagi żywiołów; cóż dopiero, gdy przy zrzeszeniu się pogańska Litwa, i bez tego doprowadzona do ostateczności przez Krzyżaków, zupełnie ujednostajniła się z Pol-szczą w łacińskim obrządku! Przez katolicyzm Litwy kultura polska miała otwarte dla siebie pole oddziaływania i na żywioły ruskie wielkiego księstwa, a oddziaływanie to nie było zbyt trudne. Oto dynastya, o sprężystej władzy, sama katolicka, z własnego interesu katolicyzmu wspierać nie zaniedbywała; znaczna część knia-ziów i bojarów chętnie podobnie postępowała w widokach

władzy; a wreszcie cały lud litewski i każdy przychodzień z Zachodu stawali się niezłomną podstawą moralnych podbojów. Cóż Ruś mnogoludna mogła stawić wobec tego? Ujęta w splot dynastyczny feudalizmu litewskiego, posłuszna wszędzie władzy, w przedmiocie swej cerkwi mogła stawić jedynie opór bierny. Hussytyzm czeski, co w owe czasy tak silne ciosy zadawał rzymskiej łacinie, sympatyczny dla Polaków, gdyby nawet nareszcie wziął był w walce górę i stał się braterskim pojednawcą Wschodu słowiańskiego z Zachodem, zawsze jednak temu ostatniemu zapewniłby siłę przewodnią. Ale tępiony u źródła, wcześniej zdeptany w Polsce, zostawił spotężnionej w walce katolickiej łacinie Zachodu tem bardziej otwarte pole dalszych zapasów ze słabszymi żywiołami różnowierstwa; swą grozą rozbudził on tylko większą czujność i podniecił zapał religijnego podboju. To też z dwóch stron ruszył prąd prozelityzmu: z nowonawróconej Litwy i z Czerwieńska, już od czasu Daniły mocno przysposobionego do gwałtownie przez Węgrów narzucanego katolicyzmu. Władza w interesie większego ujednostajnienia przeciwna temu być nie chciała; wschodni obrządek odrazu skazany został na stanowisko niższe, odporne. Podobne stanowisko zająć musiały u samego wyjścia i dwie towarzyszące tym różnym obrządkom cywilizacje. Cywilizacja polska zrazu, w swej szacie łacińskiej, była przednią strażą powszechnej zachodniej kultury europejskiej i w każdej chwili mogła się opierać o jej silny zaścępek; a jakkolwiek słabiutka sama w sobie, lecz charakterem swym zachodnim zawsze wyższa od tego, z czem zetknęła się na Wschodzie, pewniejsza była przewagi, mając otwarte dla swego odpływu dwoje wrót—z północy i z południa. O język tu mniejsza, zgoda bowiem na to, iż w pierwszej chwili cerkiewna ruszczyzna groźnie powitała łacinę w Krakowie; ale przecie nie sama jedna w nią biła, czeska zaś jej towarzyszka promieniała o wiele wyższą mocą. Wreszcie, dajmy, że ruszczyzna wzięłaby górę w Polsce

nad łaciną; — jaka rękojmia jej trwałości? Już w domu własnym nie była ona mową piśmienną narodową, lecz konwencyonalnym językiem, obcym mowie tak północnej jak i południowej Rusi, a przy lada żywszem wystąpieniu dwóch tych różnych idiomów, musiałyby obumrzeć w dyplomacie lub zapisce annalisty; inaczej nie ożywała, lecz krępowała tylko możliwość rozwoju piśmiennictw samych ruskich ludów. Tem bardziej obca była polszczyźnie, mogła stać się jej bodźcem, zastąpić onej — nigdy; nawet bogata, najwyżej wykształcona wtedy, bliższa a modna mowa czeska nie miała mocy piśmiennie zastąpić polszczyzny. Pod wpływem dwóch działaczy, wczesnie rozbudzone narzecze małopolskie kryło w sobie zbyt wiele siły, aby mu można było nie wróżyć, iż bez trudności ogarnie całą Polszczyznę, a w ślad za wylewem jej cywilizacyi pójdzie również i na Wschód. Bierna po wieki Litwa, jak dotychczas obojętnie karmiła się ruszczyzną, tak odtąd stanowczo odwróciła się ku Zachodowi; a zawsze dominująca politycznie nad starą Rusią, samochcąc torowała drogę polskiemu wpływowi w jej łono z północy, jak ją torowało Czerwieńsko z południa. Żywioł małopolski w rozwoju przyszłej Rzeczypospolitej musiał zająć, wśród tłumnego zrzeszenia różnorodnych plemion, rolę prawdziwie sterniczego i kreacyjnego pierwiastku. Jeśli teraz ze sfery cywilizacyjnej przejdziemy na pole polityczne i socyalne, w istocie zupełnie podobny stosunek ujrzymy, że stopień wyrobienia i wzajemny względem siebie układ politycznych pierwiastków w dwóch zrzeszających się społeczeństwach, Polszczy i Litwy, był wielce odmienny od siebie; systemat jeden musiał w kolei czasu wiele ustąpić ze swego drugiemu, a w zobopólnym splocie temu należało się pierwszeństwo, który miał w zarodzie większy zasób liberalizmu. Dla ocenienia tego przypatrzymy się szczegółom, poczynając od władzy najwyższej. W obliczu władzy tej — wielkie księstwo Litewskie jest dziedzictwem rodu Gedymina, gdy w dynastyczny splot jego potomstwo

też Ruryka wwiązało się najintegralniej, stanowiąc odtąd ród jedyny. W łonie onego każdy członek ma prawo do dzielnicy; stąd w układzie stosunków rodowych stary ruski tryb udziałowości nie został przerwany, tak jednak, że zwierzchnia władza wielkiego księcia jest wpływem przemocy lub wyboru, nie zaś prawa starszeństwa lub następstwa wcale nieokreślonego. Co więcej — w systemacie politycznym dynastji Gedymina spójnią dzielnic ze zwierzchnią władzą nie jest już jednokrewność rodowa, ale ściśle określona feudalna zawisłość, przeprowadzona następnie przez wszystkie społeczne szczeble, splecione z sobą obowiązkami stopniowej feudalnej służebności od wieśniaka do wielkiego kniazia; przyczem władza zwierzchnika nad podwładnymi w każdej warstwie, przez swą nieokreśloność, staje się nieograniczona. W systemacie tym wieśniak bezwarunkowo ulega bojarowi, ten kniaziom, ci zaś suzerenowi swemu. Otóż jak piękny, jak silny napozór przedstawia Litwa polityczny organizm; porównany z odpowiednim w Polsce, zdaje się jak gdyby on nad nim najzupełniej przeważał sprężystą swą żywotnością. Tu bowiem dynastji, zapewniającej trwałość spokojnego przechodzenia najwyższej władzy z rąk do rąk, legalnie już niema: pozostali w dzielnicach mazowieckich Piastowie hołdują Koronie—są bez siły; braknie zupełnie dawnego dynastycznego organizmu, a żywioły obywatelskie każdej krainy odmiennie się wyrabiają. Sprężystszemu systematowi Litwy przyszłość zdawała się wróżyć przewagę, lecz to tylko pozornie; siłą bowiem, wyrobieniem i wzajemnym stosunkiem politycznych żywiołów, przewodnicząca obecnie lechickim plemionom Małopolska, ze względu na ideę, przewyższała bezwarunkowo polityczny ustrój wielkiego księstwa. Uchylenie dynastyzmu, pozbawiające kraj sprężystości monarchicznej władzy, pominąwszy już zabezpieczenie się od niedogodności rodzinnych podziałów, było skądinąd rękojmnią możliwości rozwoju swobód obywatelskich, zmierzającego ku republikanizmowi. Przy takim wy-

rażnym zwrocie polskiego życia, powołanie na tron krakowski nieograniczonego kniazia feudalnej Litwy, naginając go do miarkowania absolutnie dotychczas używanej władzy, przyuczało zarazem do ustępstw i dla dawnych poddanych, a przytem podniecało tych ostatnich do usiłowań ku wyjarzmieniu się z feudalizmem. Nie Litwa tu szeroka drobnej Polszczy służyć za wzór mogła, lecz odwrotnie. Tem pewniej dzieć się to mogło, że władza wielkich książąt Litwy, co do sprężystości, zależała wprost od osobistej mocy ich charakteru, rękojmi więc swej trwałości zasadniczej nie posiadała; a zagrożana nieustannie samowolnością udziałowych książąt, usiłujących ze staroruska być wolnymi od zwierzchnika, musiała się opierać o Kraków. Wreszcie idea alodyalnej swobody w Polszczy była pewniejsza własnego wpływu na feudalnie arystokratyczną Litwę, niż nieodzowności ulegania materialnej przewadze tej ostatniej. Stan ziemiański Polszczy był o tej dobie już stanem, tworzącym w sobie pewien solidarny organizm, przenikniony przeświadczeniem sił własnych i potrzeb narodu; a czy to z charakterem możnowładczym, jak u Tatr, czy rodowładnym, jak w Wielkopolsce — wszędzie rzutki, przedsiębiorczy, zaprawiony do czynu. Oddawna nawykły do uczestniczenia w radzie monarszej i sądzie, pozostawiony sam sobie, śmiało krocząc po drodze politycznego upełnoletnienia, widział się on dostatecznie wyćwiczonym do samodzielnego politycznego życia. Zbrojna konfederacja braci szlacheckiej nieraz już stanowiła o losie kraju. A ta to właśnie solidarność, braterskość, ta radność i wypróbowana gotowość zawiązywania na lada zawołanie konfederacyi między ziemianami i ziemiami była już duszą społeczeństwa polskiego. Cóż mu też właściwie Litwa przeciwstawiała? Oto wielko-książęcą władzę, sprężystą w ręku sprężystych, lecz ciągle zagrożoną niepewnością prawowitych podstaw najwyższego zwierzchnictwa; poza tem bezkarne kniaziewstwo, żywiwoły obywatelskie obywatelnione pętami lenniczej zawistości — i nic więcej. Walka

moralna trwać tu długo nie mogła, i stan rzeczy w Polsce, przy jej zetknięciu się z Litwą, musiał stać się w łonie tej ostatniej wzorem i przedmiotem najżywszych pragnień. Najdotkliwiej ciążył feudalizm; wszystkim więc bez wyjątku stało się najbardziej upragnionem obalenie onego przez zbliżenie się ku normie polskiej. Książę i wielmoże radziby byli, w niczem nie ujmując swej władzy nad podwładnymi, ograniczyć wielkiego księcia na wzór Korony; ze swej strony drobne bojarstwo za to co prędzej chciałoby się pozbyć pęt kniaziowskich i stanąć na równi ze szlachtą alodyalną; mieszczanie nawet wzdychali do swobód magdeburskich. Co do stanu wieśniaczego obudwu zbliżających się do siebie społeczeństw, ten wszędzie w owe wieki usunięty od życia politycznego, skazany na pracę rolniczą jedynie, ulegał prawom zwyczajowym, mniej więcej dlań uciążliwym a odmianym z odmianą krainy, każdej chwili korzystając z możliwych wielu wtedy środków posunięcia swych członków w rządy wyższe. Chociaż statut Wiślicki, określający stosunek kmieci do dziedziców, świadczył o znośniejszym stanie wieśniaków w Polsce, niż w Litwie, gdzie oprócz nieokreślonego prawem poddaństwa feudalnego i niewolnictwo gdziekolwiek istniało; wątpić jednak należy, czy mógł na razie, z wyjątkiem halickiego Czerwna, służyć gdzie za wzór do urzędzenia tych stosunków. Teraz, po tem wszystkim, postawiwszy oko w oko zbliżające się ku sobie Litwę z Polszcą, zważywszy ich oświatę i uspołecznienia stopień, gdy się przedewszystkiem nie pominie z uwagi, iż musiały one już iść dalej nierozdzielnie bądź co bądź: widoczna u źródła przewaga, jaką Polska miała zdobyć w ogólnem zrzeszeniu, pomimo całej skądinąd terytorjalnej swej nieznacności, była aż nadto w sferze moralnej usprawiedliwiona.

PROCES UNIOWANIA SIĘ.

Kreśląc dalej nasz obraz dziejowego rozwoju zrzeszania się północnych Słowian, musimy teraz z kolei przystąpić

do przedstawienia ostatnich, silniej już pojętych usiłowań ku organicznemu onego urzeczywistnieniu przez polityczną Unię Litwy z Polszcą. Zaczniemy od przebieżenia samego procesu tego uniowania się. Jagiełło, przyjmując 1386 r. tron Piastów, jako pan i dziedzic wielkiego księstwa Litwy, między innymi warunkami, poddał to ostatnie, w swoim i swych następców imieniu, pod zwierzchnictwo korony polskiej i zaręczył na przyszłość wspólny byt polityczny dwóch tych północnych słowiańskich społeczeństw. Od tej chwili stanowczo już przyszły los Rusi i Litwy został zdecydowany. Wprawdzie akt ten politycznego zjednoczenia, dokonany przez Jagiełłę pod przymusem chwilowej konieczności, nie przeświadczenia należytego w umysłach jednoczących się narodów, mógł pozostać bezowocnym, jak wiele innych podobnych; ale szczerze mówiąc, nie szło żadnemu z nich o zerwanie onego — mniejsza o to, coby tam świadczyły sprzeczne napozór z tem fakta; lecz już iść mogło i chodziło jedynie o zapewnienie sobie hegemonii. Jak szlachta polska, tak również i rusko-litewskie możnowładne bojarstwo, przez akt zjednoczenia widziały rozwarte dla swych widoków szerokie wrota na przyszłość. Kto zdobędzie ster przewodni?—to tylko było zadaniem; zadaniem do takiego stopnia, że cały proces naszego uniowania się aż do Unii Lubelskiej jest niczem innym, jeno prostem wysilaniem się z obu stron dla zapewnienia sobie tylko supremacyi. Energia w działaniu obu współzawodników była zupełnie jednakowa, a skuteczność zabiegów zależała jedynie od wyższości przedstawianej przez nich idei politycznej i oświaty wogóle. Na dnie wysilen widoczna była li walka moralna, której wynikiem jeśli mógł być podbój, to równie moralny tylko. Nie myślimy zaprzeczać wcale, aby już od pierwszej chwili nawet nie miało być przeczenia samej idei unii; owszem stronnictwo antyunijne istniało wciąż, lecz mimo swych zapędów, było ono zawsze bezsilne, nie mając podstawy pod sobą. Przypatrzwszy się bowiem rzeczom

bliżej, widzimy niemożliwość zupełną opozycji wśród Nemony i Żmujdzi: pierwsza, zbyt potulna, zawsze ulegała niemo woli swych kunigasów; druga, rzutniejsza, raz zakosztowawszy krzyżackiego jarzma a ochrzczona z czasem (od 1417) po katolicku, trwale przekładała odtąd przyjaźń sąsiednich Mazurów nad niepewne widoki Gudasów-Krewów. Opozycja tedy mogła powstawać jedynie wśród Rusi starej. Lecz południowa Ruś, zniszczona do szczytu, w nowej szerszej federacji tylko upotężnienie własnych sił widzieć mogła — sił tak niezbędnych do nieustannego odpierania ciągłych tatarskich najazdów. Stepowe drużyny jej „brodników” nie wystarczały, a unia z Polszcą zapewniała pomoc zachodniego rycerstwa. Jedyni przeto Krywiczanie mogli się czuć dotkniętymi nowym porządkiem rzeczy; szli oni już dawniej swoim torem wśród starej Rusi; następnie, właściwi przewodnicy litewskiego wielkiego księstwa z przykrością dostrzegali prawdopodobieństwo przyszłej w niem supremacji żywiołu zachodniego. Otóż istotnie najpierwszy, bo (1386) przed koronacją jeszcze Jagiełły, objaw opozycji chwilowej u nich też widzimy, wśród Połoczan i Smolan, pod przewodem Olgierdowicza Andrzeja i Rurykowca Światosława. Dalsze przykłady opozycji, jakkolwiek nieraz energiczne, były, z małym wyjątkiem, objawem jedynie przeciwdziałania widokom stronnictwa polskiego, nie zaś chęcią stanowczego rozbratu. Równie i o tem nie godzi się zapominać, iż po większej części przeciwdziałaniu temu właściwie przewodniczyli, jako Litwini i główni popieracze idei monarchicznej, sami Jagiellonowie. Instynktową myślą Litwy, przy jednoczeniu się z Polszcą, oprócz zabezpieczenia się od wrogich Teutonów, najbardziej było zmierzanie do ujednostajnienia jej z sobą w politycznych posadach dynastyczności, monarchizmu i możnowładczego bytu; byle tylko zdobyć przewagę w zakresie polityczno-społecznym, ustępowała ona chętnie w przedmiocie narodowości i wyznania; jedynie szczeroruskie stronnictwo przywiązywało doń pewną

wagę. Niemniej stanowczo a z większem przeświadczeniem wypowiadała się myśl polityczna Polaków. Co do dynastyczności—nie myśleli oni jej nic ze swej zasady wolnego obioru ustąpić; a pilnując się rodu Jagiellów, robili to albo dla trzymania na wodzy Litwy, albo z konieczności uznania oznaczonego już jej dziedzica i swoim również panem. Znosić nieograniczoną władzę monarchów dawno już odwykli, a dla zabezpieczenia siebie w domu usiłowali ją podkopać i na Litwie. Ustrój możnowładczy nieco pierwej Polacy najniezawodniej chętnieby z Litwą podzielili; ale obecnie, nie czując się już na siłach podołania temu w domu, a wreszcie rozumiejąc to dobrze, że bez wyższej społecznej idei nie byłoby czem w przyszłości zniewalać dla siebie uboższego bojarstwa — i z musu, i dla zachęty Litwy, odważnie wstąpili na drogę szlachecko-demokratycznego rozwoju. Oparci w ten sposób na elekcyjności, konstytucjonalizmie i obywatelskości szlacheckiej, Polacy—w stosunku do wielkiego księstwa Litwy, jako odrębnego dotychczas politycznego społeczeństwa — odrazu z niepospolitą śmiałością rozległy zakreśliли plan, i odtąd aż do urzeczywistnienia go, z godną podziwu wytrwałością i z niespodziewaną mocą go przeprowadzali. Planem tym, tak rozległego zakresu, było, ni mniej ni więcej, jak pociągnięcie Litwy, przez unię osobistą pod jedynym panującym monarchą, do ściślejszej federacyi narodów, a następnie i do wytworzenia z niej na przyszłość silnego federacyjnego państwa, z zapewnieniem w niem stanowczej przewagi zasadniczym żywiołom narodowości polskiej. Mniemanie zaś, jakoby już przy pierwszym za Jagielly bezpośredniem zetknięciu się z Litwą, powstała wśród Polaków myśl utworzenia solidarnego narodowego państwa, przez zupełne upodrzednienie żywiołów wielkiego księstwa — byłoby wielce błędne; jeśli myśl bowiem państwowej jednolitości wpływa na jaw w pewnych razach, daje to się widzieć jednak bardzo późno za ledwie, dobrze już po czasach Unii Lubelskiej. Przy pierw-

szem spotkaniu się z Rusią i Litwą, wcale nie mogło chodzić Polakom o narodowe asymilowanie onych z sobą; nawet przypuszczenie czegoś podobnego byłoby grubym anachronizmem; mniejsza, iż brakowało na to siły, lecz myśl już sama była niemożliwa, przez wzgląd na czasy. Nawrócenie pogańskiej Litwy na katolicyzm, co tak przeważnie zobowiązywało duchowieństwo polskie do energicznego popierania Unii z tą ostatnią, było następstwem religijnego zapалу przedewszystkiem; unarodowienia za pomocą wiary nie pojmowano wcale. Usiłowanie następne wkroczenia i w obręb wschodniej cerkwi równie było wypływem li katolickiej gorliwości; dopiero fakta późniejsze mogły nadać temu inny zwrot i pozór. Chcieli Polacy asymilować z sobą wielkie księstwo już od samego początku, ale za pomocą ujednostajnienia politycznych i społecznych instytucyi przedewszystkiem; i na tem polu istotnie widzimy ciągle pełną głębokiego przeświadczenia ich działalność; ta zaś, drażniona przez wręcz przeciwne usiłowania Litwy, dochodzi niekiedy nawet do zaciętości.

WITOLD.

Aby zrozumieć należycie właściwy charakter współzawodnictwa Polaczy z Litwą w całym ciągu procesu ich polityczno-narodowego uniwania się, potrzeba nieodzownie bliżej się obeznać z pierwszą fazą jego, uwydatniającą się w energicznych zapasach szlachty polskiej z Witoldem. Witold sam jeden jest najzupełniejszym wyobrazicielem owoczesnej Litwy, jej potrzeb rzeczywistych, jej uczuć i pragnień; między nim a szlachtą Jagiełło występuje w roli pośrednika tylko. Zwróćmy więc baczne oko na to pierwsze łamanie się obustronne. Władza wielkich książąt Litwy była w zasadzie nieograniczona i dziedziczna w rodzie Gedymina; najpierwszem więc zadaniem Polaków było utrzymanie osobowej jedności zwierzchniej władzy nad nią przy królu polskim. Wbrew temu, Litwa obstawała przy utrzymaniu i na-

dał osobnego wielkiego księcia. Pośrednim tedy wypadkiem sprzecznych żądań musiało być zgodzenie się na wielkiego księcia, jako namiestnika tylko królewskiego — i takim po Skirgielle został Witold. Ponieważ najwyższa władza nad Litwą zawsze odtąd z prawa pozostawać miała przy królu, nie wypuszczano więc Jagielly z Krakowa po stracie żon, mających niejaki niby dynastyczne prawo do tronu; zabezpieczano się w tem coraz to nowymi z Litwą układy, a dla rozbrojenia potężnego Witolda, nęcono go wciąż urokiem polskiej korony. Witold tymczasem, chociaż wiązany przysięgą wierności niemniej jak widokiem korony, poczynił sobie przecie nie inaczej, lecz jako prawdziwy pan Litwy. Rozumie on głęboko zadanie państwowe; stąd zmierza niezmiernie w całym ciągu swych rządów do wydzwignięcia solidarności państwowej ze splotu szerokiej feudalno-książęcej rzeszy litewskiej. Utrzymując tedy dość ściśle budowę feudalną w zakresie społecznym, za to jednak udziałowy systemat, przez znoszenie książęcych dzielnic, w politycznej jego osnowie niweczy. Państwo krzepczeje, udziały jeden za drugim przechodzą pod bezpośrednie zawiadywanie wielkoksiążęcej władzy: najpierw bliższe stolicy — litewskie Krewo i ruski Połock, następnie z biegiem czasu — Witebsk (1393), Nowogródek (1393), Nowogród Siewierski (1394), Kamieniec Podolski (1395), a nakoniec Pińsk (1396) i Smoleńsk (1395, 1404). Władza się ześrodkowuje, a jeśli pozostają jeszcze przez czas pewien i mniej drobne udziały, jak np. Mścisław, do połowy XVI wieku istniejący, nie mają już one odtąd żadnego samoistnie politycznego znaczenia. Zmierzając stale do umocowania jedności państwa wewnątrz, dąży Witold niemniej śmiało i wytrwale do uzupełnienia go odpowiednio i z zewnątrz. Jako wielki książę litewski i ruski zarazem, chce on być panem wszech Rusi istotnie. Na ten koniec, u wstępu zaraz zarządu swego, postanawia już zgnieść ostatecznie najgroźniejszego wroga Rusi — Tatarów, by jako wybawiciel, otoczony powszechnem współczuciem i uwiel-

bieniem, jakiego nie zdołał sobie być zdobyć Dymitr Doński—tem śmielej następnie mógł wystąpić w zapasy z Moskwą, dla zmuszenia jej do uznania siebie za zwierzchnika całej bezwzględnie Rusi. Kilkakrotny zwycięzca hord, mierzy ku temu otwarcie w układzie z Tochtamyszem; zwyciężony później stanowczo nad Worskłą r. 1399, trzyma jednak w grozie Tatarów i przemyśliwa ciągle nad zhołdowaniem Litwie Rusi też moskiewskiej. W niej zasiadła najenergiczniejsza linia Monomachowiczów, co z tytułem wielko-książęcym rościła prawo do zwierzchnictwa nad całą rurykowską Rusią; tu było się na jakiś czas przeniosło i ognisko religijnego Rusi życia. Chciał ją Witold umoczyć w kolebce: osłabiał nieustannie, bronią i zręczną polityką szerzył swój wpływ w rzeczachpospolitych północy, i śmiało się wynosił za jedyne go rzeczywistego pana wszech Rusi. W tej myśli przedewszystkiem długo podtrzymywał i jedność metropolitarną cerkwi ruskiej; lecz raz przekonany o niemożności ogarnięcia w ten sposób Rusi także i moskiewskiej, stanowczo przechylił się ku polityce przeprowadzenia zupełnej odrębności metropolii Kijowa i Moskwy. Nie znajdując zaś poparcia patryarchatu, mocą własną zwołuje sobór 1415 r. do Nowogródka i każe władcykom wybrać metropolitę dla kijowskiej cerkwi. Ze swej zaś strony Polacy niemniej pilnie strzegą swych widoków. Układem w Wilnie 1401 r. zmuszeni do uznania Witolda dożywotnim księciem Litwy, zapewniają jednak dziedzictwo po nim potomstwu Jagiełły, chętnie zobowiązując się względem Litwinów, w braku tego potomstwa, porozumieć się z Witoldem przy wyborze nowego wspólnego pana. Nie zaniebdywali Polacy swych widoków na Litwę i w układach z postronnymi; oto np. na zjeździe Raciąskim, robiąc ustępstwa Krzyżakom, zdobywają na nich zaręczenie, że ci, jak długo Litwa i Ruś pod panowaniem potomków Jagiełły, wyznania katolickiego, zostaną, z krajami tymi wojny prowadzić nie będą. Nie zaniebdywał w podobny sposób i Witold

popierać widoków swej szczerolitewskiej polityki w stosunkach zewnętrznych; jako Litwin, walczył wspólnie z Jagiełłą przeciw Krzyżakom, póki chodziło o osłabienie Zakonu i odebranie im Żmudzi; przyłożył się do zwycięstwa pod Grunwaldem 1410 r.; lecz ujrzawszy Zakon nad przepaścią ostatecznej zaguby, obawiając się upotężnienia Polaszcy, równie jako Litwin, cofnął się i dał możność skrzepienia się nowego Krzyżakom. Następnie, przy innej sposobności, wymógł na Jagielle poddanie swej władzy Podola, zarządzanego od wygnania Świdrygiełły przez polskich starostów. Takie stawienie się Witolda pobudzało Polaków do kroków coraz to energiczniejszych. Przedsięwzięli oni zatem związać Litwę niezawisłymi od Witolda węzły, i tego zamierzili dopiąć w pamiętnej Unii Horodelskiej 1413 r., wyraźniej już posuwając się od federacyi państw do idei państwa federalcyjnego, czemu przyświadczaą i wyrazy aktu samego: «*incorporamus, invisceramus, appropriamus et unimus terras Lituaniae et Russiae regno Poloniae*». Dzielnym bodźcem do tego były wyżej wyrobione w Polaszcy polityczno-społeczne instytucye, których urokiem postanowiono do siebie przyciągnąć teraz trapiione uciążliwościami feudalizmu litewskie bojarstwo. Jednocześnie z tem umyślono rzucić ziarna polskiego rzeczy porządku i w innych zakresach życia. W widokach cywilizacyjnych nie przeciwiał się Witold temu wcale; owszem — wielbiciel szczerzy zachodnio-europejskiej kultury, chętnie widział, jak rycerskie jej formy przenikały w głąb barbarzyńskiej Litwy; uporna w swem uobyczajeniu Ruś stała w tem zupełnie na stronie. W Horodle tedy zapadły uchwały, dotyczące jedynie katolików. Najważniejsza zawierała stwierdzenie udarowania litewskiego bojarstwa polskiem dziedzicznym prawem, uwalniającem je od feudalnej zawisłości w stosunkach rodzinnych i majątkowych. Jako wstęp do dalszej asymilacyi z Polaszczą, na właściwej Litwie, w Wilnie i Trokach, utworzono na wzór polski województwa i kasztelanie, z możnością zastosowania tego systemu

później i do innych dzielnic wielkiego księstwa. W myśli federacyjno-państwowej wyznaczono na wspólne zjazdy i sejmy przedstawiciele Polsczy i Litwy miasta: Lublin i Parczów. Dla zjednania swym widokom unitarnym i samej dynastji, zapewniono obudwom jej wyobrazicielom — Jagielle i Witoldowi — prawo dziedzictwa, przy wzajemnem zobowiązaniu się, na przypadek śmierci któregokolwiek z nich, niewybirania sobie nowego pana bez poprzedniej narady z drugą stroną. Nareszcie szlachta polska podzieliła się z bojarstwem litewskim rodowymi herbami. Zjednoczeniu się podobnemu z Rusią stał na przeszkodzie do czasu obrządek. Wobec tego wcześniej tedy i zapobiegliwie starano się o utworzenie na Litwie stronnictwa polskiego. Zmierzano ku temu najrozmaitszemi drogami; lecz z wyjątkiem jedynie propagandy katolickiej, popieranej przez samego Witolda, jako religijny wyraz cywilizacji zachodniej — wyraz, rozbajający jednocześnie i moralną podstawę groźnej zawsze jeszcze siły Krzyżactwa — wszystko inne wogóle pod silną Witoldową dłoń musiało schodzić do znaczenia samej formy. Rządził on Litwą po staremu, przestrzegając ściśle feudalnego społecznego porządku, a jeśli spokojnie przyzwalał na wkroczenie polskich zamysłów, było w tem nieco rachuby na przypadek męsko-bezdzietnej śmierci Jagielly, a więcej może lekceważenia. Nie myślimy jednak, aby i przywódcy polscy przywiązywali do tego rodzaju czynności znaczenie natchmiastowej wagi: rozumieli oni dobrze, że to był tylko zasiew, lecz niemniej przeto wierzone mocno w jego plon przyszły. Tymczasem Witold u schyłku życia jedynie nadzieją otrzymania korony polskiej pozwalał łagodzić swój humor litewski; wogóle zaś zawsze — i pierwej, i później — miał bacznie na oku wzrastającego swego współzawodnika. Nareszcie doczekawszy się i synów u Jagielly, pewny, iż sam osobiście nie zasiądzie na tronie polskim, chciał Polakom przeciwstawić królewskość Litwy. Oczywiście, chodziło tu przedewszystkiem o zapewnienie tej ostatniej doniosłej-

szej w zrzeczeniu supremacyi nad pierwszą. Toż Krzyżacy z jego najbardziej winy nie byli jeszcze ostatecznie pokonani, ani jedni ani drudzy, a Żmujdz łatwo powtórnie mogła wpaść w ich ręce. Z drugiej strony Ruś moskiewska, jakkolwiek słabą się ówczasnie przedstawiała, przecie już raz odważyła się była na zerwanie pęt tatarskich i stanowczo rozwiała szerokie zamysły nie tylko Olgierda, lecz i jego też własne; a chociaż hołdownica dotąd hordy, pielęgnowała ona w sobie tem niemniej myśl groźną dla wyosobnionej Litwy: myśl jedności wszechruskiej. Nie mogąc przełamać zaciętego oporu Polaków, w przyznaniu sobie korony, otrzymanej od cesarza, zgrzybiały starzec 1430 r. umarł ze zgryzoty.

NAJNOWSZE TEORYE HERALDYCZNE POCHODZENIA POLSKIEGO SPOŁECZEŃSTWA SZLACHECKIEGO. *)

Antoni Małeckki: *Studia heraldyczne*, Tom I i II, Lwów, 1890.

Dr. Fr. Piekosiński: *O dynastycznym szlachty polskiej pochodzeniu*, Kraków, 1888.

W zakresie badań źródłowych nad zamierzoną naszą przeszłością dostrzegać się daje ostatnimi laty znakomite ich pogłębienie. Ogarniamy nie tylko coraz to szersze, lecz i coraz mniej dostępne dotąd, z powodu swego przysłonięcia, społeczne przestwory. Zstępujemy coraz śmielej ku samym podstawom bytu narodowego; embryologia socjalna staje się też zadaniem badań pierwszorzędnem. Spór o pochodzenie historyczne społeczeństwa polskiego na chwilę tylko się ucisza, by powstać z tem większem zaognieniem.

Bo też i poglądy zasadnicze na ten przedmiot aż dotąd wielce się rozchodzą. Gdy bowiem jedni stoją mocno przy swej wierze w samoistność pierwotnego rozwoju polskiego politycznego społeczeństwa, drudzy, pomijając wszelkie nasuwające się i nasuwane intermedya, podtrzymują również

*) Wisła, 1891 r., T. V.

stanowczo hipotezę podboju przez obcych, a w następstwie i zawiązkowe urządzenie przez nich tego społeczeństwa.

Prace na tem polu posuwają się szybko. Przed dwoma laty ostatnie niby słowo w tym zakresie było przyznane Fr. Piekosińskiemu, jednemu z gorliwszych obrońców hipotezy (względnej) podboju. Praca jego „O dynastycznym szlachte polskiej pochodzeniu” została uznana za godną nagrody Akademii Umiejętności w Krakowie. Motywy tego odznaczenia, przez komitet jej historyczny sformułowane, a podnoszące wysoce naukową doniosłość badań autora, zostały zamieszczone w roczniku Akademii za r. 1888.

Nie zdołaliśmy przecie jeszcze rozejrzeć się należycie w owej uwieńczonej pracy, wysłuchać owej poważnej oceny oraz licznych bardzo głosów, pochodzących od surowych przeciwników autora, gdy wtem prawdziwą niespodzianką już na początku ubiegłego (1890) roku obdarza nas prof. Małecki, dwutomowem z podobnegoż zakresu dziełem p. t. „Studia heraldyczne”.

Ze to niespodzianka, mówi o tem i sam autor, tłumacząc pobudki, które go do zrobienia nam jej spowodowały.

Podług niego dziwnem się może niejednemu będzie zdawało, że występuje on z pracą w przedmiocie tak odległym od jego dawniejszych zajęć. Od kilku lat zbiera materiały do historyi społeczeństwa polskiego, do wewnętrznych dziejów naszego narodu. Owocem tych poszukiwań będzie jedynie pewna ilość odrębnych rozpraw z zakresu tego przedmiotu; przy obecnym bowiem stanie naszych źródeł dziejowych i wobec dzisiejszych tak jeszcze spornych pojęć w tych kwestyach, trudno się targnąć odrazu na wszechstronny i całkowity, genetyczny odlew wizerunku naszej przeszłości, pod tym rozważanej względem. Najważniejszym tu oczywiście, ale też i najtrudniejszym, będzie wyjaśnienie kwestyi szlachtey i szlachectwa w Polsce. Przeprowadzenie genezy szlachtey rozstrzyga o stosunkach innych

warstw społecznych i góruje ważnością swoją nad całą resztą przedmiotu. Od tego bowiem, jak się tę kwestyę rozwiąże, zawisła ostatecznie trafność lub błędność pojęć naszych o wszystkim innem (tom I, str. 1). W rzędzie źródeł i wskazówek, z którymi przy poszukiwaniach w tym przedmiocie koniecznie liczyć się trzeba, heraldyka niewątpliwie jedno z miejsc niepoślednich zajmuje. Pomimo swych znanych powszechnie niedostatków, dostarcza nam ona przecie wiadomości, których brak byłby dla dzisiejszych badań dotkliwy, a nawet niczem innem niezastąpiony, wręcz niepowetowany. Tylko że wiadomości te trzeba z rumowiska niepotrzebnych i do niczego nieprzydatnych gruzów wydobyć, z śniedzi dawnych urojeń oczyścić i w właściwem ukazać świetle (str. 3). Takie właśnie założenie zrobił sobie autor w swej obecnej wstępnej pracy.

Pierwszą istotnie zasadniczą, podstawową całej heraldyki naszej kwestyę, jaką się tu prof. Małecki zajmuje, stanowią *zawołania rodowe*; uprzednie wyjaśnienie tej kwestyi uważa on za nieodzowny warunek możności dalszego posunięcia się w mrocznej, mimo wszystko aż dotąd, ciemni.

Według mniemania do niedawna wyłącznie panującego, a i dziś jeszcze wyznawanego przeważnie, powiada autor, herb szlachecki jest to przez cały tok dziejów naszych odznaka czyli klejnot, jak go nazywać lubiano, dziedzicznie i urzędownie przez panującego monarchę nadany temu, co go pierwszy używał, w nagrodę za wybitną jakąś zasługę publiczną (I, 7). Składają się na całość rodowego herbu, jak wiadomo, dwie zwykle rzeczy: godło, np. rysunek topora na tarczy, symbolizujące dla oka odrębność rodu pewnego, i jakieś słowo, np. „Starza”, nazwa tego godła, dająca mu wyraz w głosie. Otóż, w myśl pojęć powszednich, obydwie te czynniki, tak owo słowo, jak i godło, wynikły zarówno z nadania panujących, weszły w życie na mocy jednego aktu, jedno z drugim w połączeniu doraźnem. Z tego wynika dogmat, że w jakiegokolwiek dziejów naszych

epoce, choćby jak najdawniejszej, posiadanie herbu stanowiło nieodzowny warunek, główną zewnętrzną oznakę szlachectwa. Szlachcic bez herbu—pojęcie niemożliwe! Takiej szlachty nasza Polska nie znała nigdy. A nieszlachcic z godłem herbowem to chyba samozwaniec i urwis jakiś... (8). Do jednego herbu należy prawie zawsze kilkanaście, nieraz kilkadziesiąt, a nawet i więcej jeszcze domów. Otóż te jednego herbu rodziny pochodzą wszystkie z jednego gniazda, z jednego przodka, z jednej krwi. Współherbowni są sobie wszyscy krewnymi w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Najprostszy, najbiedniejszy z dziada pradziada pacholek, prawie chłop, ale herbowy, idzie z rodu pierwszych w kraju magnatów; świetnością familijną nie ustępuje nikomu (8). Szlachta polska, odgradzona w powyższy sposób, krwią i herbami, od reszty społeczeństwa, stanowiła od niepamiętnych już czasów ścisły, jakby murem chińskim otoczony, zamknięty w sobie stan, tworzyła odrębny i osobny naród w narodzie. Na ten „naród szlachecki”, coprawda, składały się wszystkie, rzecz można, narodowości znanego wówczas świata, boć mało który z tych uprzywilejowanych rodów wyrodził się od protoplasty, krajowca. Takie różnice wszelako nie psuły jedności tego „narodu”. Stosunkowo szczupły poczet tych z zagranicy przychodniów pomnażał się potem przez szereg uszlachceń miejscowych i przez naturalny dalszy rozród (9).

Oto istota tego, co się jeszcze i po dziś dzień, jeżeli nie powszechnie, to w każdym razie w szerokich sferach, o tym przedmiocie rozumie. Ani jedno ze zdań powyższych nie jest bezwarunkowo prawdziwe, chociaż niektóre polegają na przesłankach do prawdy zbliżonych. Autor przecie, pomijając mniejsze niedokładności tego zapatrywania, podnosi tem bardziej stanowczo bezwarunkową mylność rozumienia kwestyi zasadniczej. Mylne jest mianowicie twierdzenie, jakoby istnienie w społeczeństwie polskiem stanu, zwanego rycerstwem i szlachtą, spowodowane było obdarzeniem od-

nośnych rodzin herbami i jakoby początek tych zaszczytnych oznak rodowych mógł uchodzić za fakt w danym czasie dokonany doraźnie, t. j. w ten sposób, że nietylko nazwa (dzisiejsza) herbu, ale i godło herbowe wraz z przywiązanymi do niego atrybutami zjawily się z jednej i tej samej woli, w jednej i tej samej chwili. I zapewnia, że dopóki takie o tem mniemanie krąży, ani mowy być nie może o właściwym ukazaniu początku u nas tej klasy, która z czasem szlachta zwać się zaczęła (9, 10).

Na dowód mylności powszedniego zapatrywania autor wskazuje stronę faktyczną.

Przez cały niemal czas panowania dynastji Piastów, powiada, nie mamy ani jednego przykładu, choćby śladu czynności, którąby poczytać można za nobilitację w sensie późniejszym. Owszem wszystkie, jakkolwiek związek z tem mające, wiadome okoliczności jednomyślnie wskazują, że się władza rządowa, wola panujących, co najmniej aż do Kazimierza W., wcale w te sprawy nie mieszała. Nastanie zatem godła herbowych, równie jak i początek nazw herbowych, musiały zawdzięczać swe istnienie innemu przyczynom, wyniknąć z innego źródła. Powszechna wiara w równą dawność godła i nazwy danego herbu, rozumienie, że te rzeczy w jednej i tej samej chwili powstały i jedna bez drugiej istnieć nie są zdolne, należy do złudzeń optycznych, nie obcych i historyi. Wobec rzeczywistych świadectw dziejowych taki się między niemi okazuje stosunek, że w epoce Piastowskiej jedno już całe wieki istniało, zanim się drugie poczęło. Stałe godła rodowe, a zatem to, co właściwie zowiemy herbem, pojawiły się u nas z końcem dopiero XIII wieku, a więc za panowania Waclawa. Na Szląsku tylko poczęło się to o jaki może wiek rychlej. Przeciwnie, pierwszy początek nazwisk herbowych, a nim się takimi stały, nazwań rodowych najdawniejszych, sięga w czasy, które poprzedziły zjawienie się szlachectwa i zaprowadzenie władzy

książęcej wraz z innemi urządzeniami prawdziwie politycznej natury. Datuje zatem z wieków przedhistorycznych (10).

Otóż godeł herbowych Polska prawie do samego końca XIII w. nie znała. Było wprawdzie od dawnych czasów zwyczajem i w naszym kraju opatrywać tarcze swoje i inne przedmioty, a między niemi i pieczęcie, pewnymi znakami. Te jednak znaki nie tylko wyglądały inaczej, jak późniejsze herby, ale i tem się od nich różniły, że dotyczyły zawsze jednej indywidualnej tylko osoby, a i te nawet osoby nieraz przez ciąg swego życia zamieniały swoje znaki na coraz inne. Wręcz zaś przeciwnie rzecz się miała z nazwami rodowemi. Te w obrębie wszystkich rodzin, węzłem rodowym związanych, były stałe, przez ciąg wszystkich generacyi niezmiennie i dziedziczne. Nie wszystkie rody oczywiście szczyć się mogły równą starożytnością, lecz, o ile istnienie niektórych pomiędzy nimi sięgało w najgłębsze czasy, o tyle były zabytkami tychże czasów i nazwy, służące tym rodom niejako za firmę (12).

Przyświadczać temu i fakty oderwane, i tradycja.

Niepowszedniej też wagi będzie wyjaśnienie pochodzenia i znaczenia tych nazw, jako wyrazów.

Rozważając ten przedmiot bliżej, dostrzega autor, że już u Długosza znaczna ilość herbów nosi podwójną nazwę: jedna, określona często jednym słowem, a niekiedy nawet całym zdaniem, opisuje zazwyczaj przedmiot herbu, samo godło, np. topór; druga nazwa (resp. Starza), nie mająca z przedmiotem herbu żadnego związku, nazywana zazwyczaj zawołaniem, proklamacją, jest najczęściej niezrozumiała. Otóż ta druga nazwa jest właściwą, rzeczywistą nazwą samego herbu (15 — 19).

Ale jakież jest źródło i znaczenie samych wyrazów, stanowiących owe zawołania?

Pisarze nasi heraldyczni wielce się co do tego przedmiotu między sobą różnią. Najbliższymi istotnego rozumienia rzeczy są najpóźniejsi z nich: Ign. Zakrzewski i Pie-

kosiński, wypowiadający swe zdania: pierwszy w rozprawie „Wspólności rodowe, tworzenie się herbów i nazwisk w Polsce” (1876), drugi w dziele „O powstaniu społeczeństwa polskiego” (1884). Wszakże, podług autora, te tylko kategorie zawołań trafiają szczególnie w samo jądro rzeczy, którym ci badacze przyznają pochodzenie topograficzne (30—34).

Tylko, dodaje on, należało to rozciągnąć na wszystkie nasze nazwy rodowe i na wszystkie proklamacye, a nie wywodzić ich ani od wód, rzek, jezior i t. d. w sensie St. Mioszewskiego („O heraldyce polskiej”, 1887), ani od imion indywidualnych osób, jak to przypuszczał już i Kuropatnicki, a po nim Kaz. Stadnicki („Przyczynek do herald. polskiej, 1873). Należało je wywodzić bezpośrednio od miejsc, od wsi, od dóbr posiadanych, słowem, od nazwisk najdawniejszych w kraju osad. Tak jak później (od końca XV wieku począwszy) wszystkie nasze familijne nazwiska, na *ski*, *cki* zakończone, nie od czego innego brały początek, jak od dóbr familijnych, tak też na tej samej podstawie ziemskiej, gruntowej opierały się od najdawniejszych już czasów i nazwy, każdemu rodowi właściwe. Od centralnej, od najważniejszej siedziby w obszarze swoim dziedzicznym brał każdy ród swoją stałą, niezmienną nazwę, posługiwał się nią, jako swoim zawołaniem. Wieś jego główna, rezydencya głowy rodu, dawała mu nazwisko (34). Imię tej wsi swoją drogą wytworzyć się mogło, między innymi, od imienia założyciela lub pierwotnego posiadziela, jak np. Drogosław od Drogosława, Poznań od Poznana, bardzo też często od imienia rzeki, jeziora, bagna i t. p., na których nadbrzeżu powstało (36). Pokrewieństwo, zachodzące między imieniem indywidualnej osoby albo pomiędzy nazwiskiem wody jakiej a nazwą rodu, jest tylko pośrednie i przypadkowe. Lecz bezpośrednio i zasadniczo rody brały nazwy swoje i zawołania tylko i jedynie od nazwiska swojej głównej i pierwotnej osady (36).

Dla udowodnienia tego bierze autor pod rozwagę 230

herbów u Paprockiego, a pomijając z nich widocznie obcego pochodzenia oraz samotne, czyli jednej tylko zwykle rodzinie służące i napewno późniejsze, wykazuje na 167 z nich, że, z małymi wyjątkami, proklamacye wszystkich tych herbów świadczą o identyczności nazw z nazwami odpowiednich miejscowości w kraju. A jeśli i nie wszystkie nazwy odnośnie dziś już na mapie odszukać się dadzą, toć przecie wiadomo, że wiele miejscowości, istniejących dowodnie w wiekach średnich, dziś już nie istnieje, wiele zaś z nich z biegiem czasu nazwy swe zmieniło (37—249).

Dalej przypomina, iż w wiekach średnich i jeszcze w XVI wieku proklamacye herbowe służyły za hasło, pod którem ludność zwoływała się do gromady, ilekroć chodziło o tłumne wystąpienie i odparcie jakiego gwałtu. Owo hasło tradycyjne powoływało na ratunek nie tylko mieszkańców pewnej jednej osady, ale całą ludność wszystkich wokół osad, tworzących pod jakimkolwiek względem jedność, np. zostających pod opieką jednego pana; posługiwały się niem nawet gromady, które z pod opieki, z posiadania swego pana z dawien dawna już wyszły, ale słowo to zakorzeniło się w nich raz na zawsze, jako okrzyk bojowy. W XVI wieku powodem podnoszenia owego hasła, *gwałtu* mogły być oczywiście zajścia tylko miejscowe, jak powódź, pożar, najazd jakiego niespokojnego sąsiada na dwór dziedzica, napad zbójce i t. p. Ale w epoce powszechnych w kraju zamieszek, przed zaprowadzeniem uregulowanego rządu i siły zbrojnej krajowej, a cóż dopiero w owych wiekach przedhistorycznych, kiedy każda ziemia stanowiła całość odrębną, a w niej rody poszczególne same strzedz i bronić musiały swego mienia i życia, kiedy każdej chwili oczekiwać należało niebezpieczeństwa równie ze strony publicznego wroga ojczyzny, jak w obrębie jej granic ze strony każdego siłacza, który, choć swojak, dawał się we znaki sąsiadom na swój własny rachunek, powodowany czy to żądzą łupieży, czy zemstą; wtedy ta instytucya własnej obrony pod hasłem

rodowych proklamacyi miała całkiem inne znaczenie. Zastępowała uregulowaną, zbiorową siłę zbrojną narodu, tworzyła jedyną rękojmię bytu wszystkich i każdego z osobna (152, 153).

Z powyższego wyjaśnienia, co znaczyły, jakie świadczyły posługi zawołania rodowe, przyjść można i do wyrozumienia ich wieku, ich odległej dawności. Cała ta instytucja nie byłaby mogła wejść w zwyczaj, owszem byłaby wręcz niepodobieństwem, gdyby się nie była poczęła w takim jeszcze zaraniu dziejowem, w takim pierwotnym stanie rzeczy, w którym poszczególne rody, odgrozione jedne od drugich, jeszcze siedziały razem, zaludniały pewną okolicę swoimi tylko członkami i ludźmi, i jako klan na patryarchalnych zorganizowany podstawach, zostawały pod zwierzchnictwem wspólnego seniora, zwanego może starostą, którego dom i stała siedziba służyła im za punkt zborny (154).

Kto rozważy, w jak dawnych czasach historycznej już Polski, powstałej ze zlania kilkunastu ziem, odrębnych dawniej i nie związanych z sobą żadną łącznością, spotykamy się ze zjawiskiem, że członkowie wspólnego rodu po całym rozrzuceni są kraju, ten pojmie prastarą dawność stosunków, które je poprzedziły. Przez nadania z ręki książąt, przez kupno, przez sukcesyę, przez zawieranie w dalekich nieraz stronach małżeństw i t. p. młodzi członkowie rodu wychodzili już wcześniej z rodzinnej okolicy i osiadali gdzieindziej. Jest to widoczne wszędzie. Dążenie polityki książąt, by dzielnice rozległego państwa więcej zbliżyć do siebie, spoić i przetworzyć w jeden organizm, popierało rozpad ziemskiego partykularyzmu. A przecież, pomimo tego zamieszania, pomimo takich przesiedlań, pierwotna jednota rodowa łączyła i potem wszystkich do siebie przynależnych. Tkwiła w nich pamięć, skąd pochodzą, gdzie ich rodowa kolebka, gdzie ich naczelnik patryarchalny, jakie miano jego siedziby, i to miano właśnie stanowiło węzeł, który ich łączył, gdziekolwiek żyli, to miano rodowe było symbolem związku, oznaką

ich krewieństwa, było obręczą żelazną, utrzymującą ich w jedności (154, 155).

Drugie, co z tego wynika, to umocnienie autora w przekonaniu, że tylko ziemia, tylko gruntowa własność i przywiązane do niej nazwisko mogło tu posłużyć za podwalinę zwyczaju, który przetrwał tyle wieków. Gdyby trafiła być miała hipoteza, że zawołania herbowe od imion lub od przezwisk osób swój początek wzięły, to byłoby nie do pojęcia, w jaki sposób proklamacye raz przyjęte, na tak wątpliej oparte podstawie, mogły zachować swoje niezmiennie tyłowiekowe istnienie. Albowiem zawołanie, wyrażające imię człowieka (zwierzchnika rodu), byłoby się co generacya zmieniało (156).

Czy wszystkie, jakie tylko są i były, proklamacye rodowe pochodzą z tej zamierzchłej przeszłości, to oczywiście inne pytanie. Niewątpliwie dobra połowa, a może jeszcze i większa stosunkowo ilość jednot rodowych, szlachtą później nazwanych, w wiekach dopiero dalszych nastąpiła. Ale i te zostały sformułowane i weszły w życie na podobieństwo i na wzór poprzednich. Raz dany przykład działał bowiem dalej, wywoływał i w zmienionych okolicznościach podobne coraz nowe zjawiska. Pierwszy jednakże zawiązek tych urządzeń, pierwszy wzór tego patryarchalnego ustroju mógł się zrodzić tylko w ciasnych, lokalnych i samorodnych stosunkach i zgoła nie byłby możliwy w społeczeństwie tak rozległego już państwa, jak Polska za Bolesława Chrobrego (156, 157).

Przyczyna znanych zjawisk, jak istnienie kilku zawołań przy jednym godle herbowem i odwrotnie jednego zawołania obok kilku doń należnych godeł herbowych, ma spoczywać w tem, że w pierwszym razie był to skutek rozłamania jednego rodu na kilka osobnych odnóg lub też ściągnięcia osobnych jednot rodowych w jeden ród, w drugim razie — że miejscowości jednej i tej samej nazwy służyć mogły za gniazda różnym rodóm, albo że pewien ród, roz-

dzieliwszy się na dwie osobne jednoty, zachowuje wspólną proklamacyę, lecz z czasem każda z nich przyjmuje sobie herb inny (163, 164).

Czasy przedhistoryczne i epoka pierwszych Piastów (aż do połowy XIII stulecia) wydały nie dający się co do liczby określić, ale bądź co bądź większy, niż się zwykle przypuszcza, zasób rodów, które się ponad poziom reszty ludności wynieść zdołały i przyjęły nazwę szlachty. To *samorodne* powstawanie szlachty wzrastało w dalszych czasach przez przyjmowanie do rodu osób ze społeczeństwa niższego; od Kazimierza W. począwszy, powiększało się także przez formalne nobilitacye, dokonywane lub zatwierdzane przez panujących. Do samego niemal końca XIII stulecia odrębność rodu wyrażała się jedynie przez swoją nazwę, zawołanie. Następnie znalazła sobie drugi podobnie znamieny wyraz w herbie, jako stałem godle rodowem (167).

Powstanie *godet* — herbów ma też swoją odrębną historję. Przedmiotowi temu poświęcił prof. Małecki w swej pracy cały dział (II-gi) p. t. „Napieczętne znaki w Polsce aż po koniec XIII wieku”.

Zawołania, zagaja rzecz autor, stanowią w heraldyce polskiej punkt wyjścia, początek. Ten początek jednak w pierwszych tylko wiekach wystarczał. Od czasu pojawienia się herbów proklamacya rodowa tworzyła jeden tylko czynnik, jedną część integralną pojęcia rzeczy, nazywanej herbem. Na całość tego pojęcia składa się odtąd i drugi moment, a jest nim godło herbowe. Ale i godła herbowe nie odrazu się ukazały w swej ostatecznej postaci; podkładane im znaczenie przechodziło różne stadya. Niepowszedniej wagi tedy będzie rozejrzenie się, czem przodkowie nasi w czasach, nim się pojawiły godła herbowe w prawdziwej swojej formie, posługiwali się zamiast tych znamion i jakie wtedy przywiązywali do nich znaczenie (184).

Jedyne zabytki, zachowane do dni naszych, oznaczone co do wieku i co do innych stanowczych okoliczności, rzu-

cają światło na odnośną sprawę; są to pieczęcie. Wyrte są na nich napisy, wyobrażenia, znaki; jedyne to pewne i pozytywne fakta, których nam przeszłość nie poskąpiła w tej mierze. Zadaniem jest autora w dalszym ciągu pracy trzymać się jedynie tych faktów, a powstrzymując się od wszelkich przedwczesnych, z góry rzecz przesadzających założeń i rozumowań, podać na tej podstawie oparte i z niej wysnute wnioski ogólniejszej osnowy (181 — 183).

Autor rozważa następnie pieczęcie książąt, duchowieństwa, nakoniec szlachty. Dwie pierwsze kategorie mniejszej są dla nas wagi, wszakże i one dają poważne wskazówki.

Oto pieczęcie książęce XII wieku, o ile się dochowały, żadnych jeszcze nie przedstawiają godeł. W XIII zaś wieku występują godła rozmaite; orzeł jednogłowy późno się ustala (od 1314). Jeszcze Przemysław I używa to orła, to trzech poprzecznych belek, to trzech lilii, to lwa (I, 213).

Na pieczęciach biskupów, opatów i księży aż do końca w. XIII żadne godła, z wyjątkiem czterech, nie widnieją wcale (313, 314).

Pieczęcie szlachty polskiej z w. XIII (z wyjątkiem Szląska) rozkłada autor na cztery współczesne grupy: 1, pieczęcie bez żadnych znamienych znaków; 2, ze znakami, ale nic nie mówiącymi, tj. takimi, które same przez się żadnego nie mają znaczenia; 3, z literami; 4, z godłami mówiącymi, przedmiotowymi (II, 14). Wyniki zaś, do jakich na podstawie szczegółowego przeglądu dochodzi, autor sprowadza do następujących punktów: 1, Ani jedna z tych pieczęci nie okazuje się być właściwą, herbową pieczęcią, że zatem herbów stałych, rodowych, jakimi je później znamy, w Polsce (z wyj. Szląska) co najmniej aż do r. 1290 jeszcze nie znano; 2, Godła, któremi się szlachta nasza wtedy posługiwała, były to godła przygodne, przedherbowe, które nawet nie były znamionami rodzin całych, lecz osobistymi jedynie; 3, Prawdopodobnie niektóre z tych godeł przedherbowych wytworzyły później stałe i właściwe herby; 4, Nie bez pewnego znacze-

nia jest i to, że, prócz jedyne go wyjątku, ani jedna z odnośnych pieczęci nie zawiera w obwodzie swoim naznaczonej w jakibądź sposób tarczy (40). Nadto sądzi autor, iż nie było snąć jeszcze wtedy świadomości zasadniczego między zbroją a pieczęcią związku, ani poczucia koniecznej i zasadniczej zależności jednego godła od drugiego. Wogóle zaś, w doborze ówczesnych godeł panowała u rycerstwa naszego taka pod każdym względem i we wszystkich kierunkach różnaitość, swoboda i dowolność, że pod żadną generalną regułą ani teorię podciągnąć tego nie sposób (II, 116—126).

Przedmiot trzeciej i ostatniej części dzieła prof. Małeckiego stanowią „tarcze, herby, hełmy, klejnoty”.

Epoka rzeczywistych w Polsce herbów, zdaniem autora, poczyna się od czasu panowania w niej czeskich Wacławów. Niewątpliwie też w owej dopiero dobie zapoczątkowane zostało u nas i samo istnienie wyrazu herb właściwie niemieckiego, a przejętego od Czechów może za pośrednictwem Szlązaków (II, 130).

Rozważając kwestyę: skąd wzięto herby i z czego? autor zaznacza, że działały tu zarówno czynniki rodzime, wskazane niejako przez samą naturę rzeczy, jak również naśladownictwo wzorów postronnych. Między pierwszymi były przedewszystkiem zawołania rodowe, jako gotowy odrazu materiał na utworzenie odpowiednich godeł przez uzmysłowienie ich rysunkowe. Stąd: Grabie, Groty, Hełm, Jeź, Korab', Korczak, Kot, Kozieł, Łabędź, Łodzia, Mogiła, Oksza, Orla, Rogala, Strykoń, Świnka, Trąby, Wężyk i inne (141—143). Nadto: Jastrzębiec, Koźle-rogi, Lis, Półkoza, które opóźnione znalazły umieszczenie swoje nie na tarczy herbowej, lecz ponad hełmem, jako klejnot heraldyczny (145). Częstość zaś decydował o wyborze godła względem na zawód, na powołanie, zatrudnienie, skłonność osób i rodzin odnośnych; zawód więc rycerski nasuwał takie godła na herby, jak podkowę, strzemię, łuk, miecz, strzałę, topór, hełm; zamiłowanie w myślistwie: trąby, wilczekosy lub zwie-

rzęta, jak żubr, niedźwiedź, dzik, jelen i t. p. A że szlachcic polski wszystko z Bogiem poczynął, więc wszędzie, gdzie się tylko dało, dodawał i godło wiary, krzyż, do swej armatury. Łatwo to pojąć, nie sięgając aż w czasy pierwszego przyjęcia chrześcijaństwa (148 — 150). Niemaló jednakże herbów należy do kategorii owych z XIII jeszcze wieku przekazanych „przedherbowych” znamion, które, mimo całego nowego prądu, może tylko przekształcone nieco, utrzymać się zdołały, a do jakich dałyby się zaliczyć: Habdank, Syrokomla, Lis, Kościeszka, Radwan, Świerczek, Geralt i pięć następnych, na temacie krzyżyka głównie opartych: Dębno, Tarnawa, Prus, Pilawa i Bojczy (151). Nakoniec przyswojono sobie i obce godła z krajów postronnych, nie pogardzając nawet mieszczańskimi (153 — 154).

Jakkolwiek w w. XIV nowy już prąd nad wszystkim panował, to jednak wtedy jeszcze obstawano przy tradycjach dawniejszych, czemu przyświadczają pozostałe z owego czasu godła „przedherbowe” (159).

Przejście od godeł przedherbowych do herbów dziedzicznych niejednostajnie się odbywa: w jednych domach dokonało się ono doraźnie i prawie nagle, w innych zwolna, stopniowo, jak gdyby z wahaniem i w obrębie dłuższego przeciągu czasu (160).

Następstwem tej reformy było, że, jeżeli aż do końca XIII stulecia jedyną oznakę solidarności rodu, świadomości, że się do tego rodu należy, tworzyła sama tylko proklamacja, to teraz, wskutek przyjęcia (przez wszystkich członków pewnej takiej jednoty) obranego sobie raz na zawsze wspólnego godła, stało się i to godło herbowe takąż oznaką rodową. Na całe dalsze wieki zawołanie i to godło herbowe przystały teraz do siebie, uzupełniły się, spłynęły w jedno pojęcie tak ściśle i nierozłączne, że dziś ani nie pojmujemy zawołania bez herbu, ani herbu bez nazwy; a tę nazwę właśnie zawołanie stanowi. Na tej drodze przyszło wtedy

dopiero do tego, że nazwy: *ród*, *zawołanie*, *herb* i *klejnot* stały się odtąd synonimami (192, 193).

Wcześniej jednak, niż w rdzennej Polsce, pojawiają się herby na Szląsku; są one tam już w XIII wieku (199).

Co do *klejnotu* w heraldyce polskiej, to ten w znaczeniu zachodnio-europejskim, tj. jako zamię nad hełmem jedynie, stanowiące zasadnicze odróżnienie od herbowego godła na tarczy, żadnej wagi w heraldyce naszej sobie nie zdobył. W szczególnych razach zgodności klejnotu z nazwą herbu, zawołaniem (np. Jastrzębiec, Lis i in.), nie klejnot wywołał nazwę, lecz proklamacya była powodem, iż przyjęto taki a nie inny przedmiot jako klejnot (253 — 262).

Mniemane udostojnienie i upośledzenie tarczy herbowej, zdaniem autora, u nas było niemożliwe; sprzeciwiałaby się temu równość szlachecka (273—278). Nie zaprzecza jednak faktu zdarzających się t. zw. *odmian* niektórych godeł, tudzież herbów złożonych, które to odmiany i herby na karb separatystycznych dążności w łonie jednego rodu policzyć należy (286, 287).

Przy dalszem rozważaniu przedmiotu podjętych studyów niepomiernie zastanawia autora fakt znaczącej wspólności w heraldyce polskiej a czeskiej. Wspólnych, powiada, nam i Czechom godeł herbowych jest więcej, niżeliby kto przypuszczał (46). A nawet powiedzieć można, że jest ich taka mnogość, iż na wyjaśnienie przyczyny tego faktu nie wystarcza zwykła uwaga o zapożyczaniu pewnych herbów z Czech przez nas, oraz odwrotnie, przy tak blizkiem sąsiedztwie i ścisłych politycznych stosunkach. Mimowolnie nastęrcza się tu uwaga, spostrzeżenie pewnej może i dalekiej analogii tego zjawiska ze zdarzeniami, Unią Horodelską zwanemi. Dokonane tak w r. 1413 herbowe zbratanie 47 najprzedniejszych rodzin litewskich z takąż liczbą polskich rodów było może powtórzeniem podobnego zbliżenia niektórych rodów polskich do czeskich, dokonanego w okresie panowania nad Polską czeskich Wacławów (292).

Dla tem zupełniejszego jeszcze uwydatnienia charakteru naszej heraldyki szlacheckiej zamyka autor swą pracę ustępem o godłach mieszczan i innej nie-szlachty w Polsce (324).

Używanie własnych pieczęci przez mieszczan było praktykowane nie tylko w Krakowie, lecz i po całej Polsce. Dawniejszych przecie nad wiek XIV niema. Pod względem znamion, na nich wrytych, można je, tak jak pieczęcie szlachty z przed r. 1300, podzielić na literowe, obrazkowe i znakowe. Wspólną znamionną cechą wszystkich jest to, że hełmu i tego, co nazywamy klejnotem, ani na jednej z nich niema (334, 335). Zaznaczyć też należy dziwne nieraz ich podobieństwo do herbów szlachty. A jeszcze większe jest podobieństwo ich wszystkich, zwłaszcza z tej kategorii ostatniej, do takiejże kategorii godeł rycerstwa z przed r. 1300. Są to jakby okazy przejścia z jednego typu w drugi, coś środkowego między tamtymi kreskowymi, figuralnymi znakami a tematami, branyymi już z życia. W epoce przed przyjęciem rodowych herbów u szlachty monogramy, znamiona i t. p. godła osób stanu rycerskiego i godła niezaszczyconych szlachectwem ostatecznie żadnej nie przedstawiają różnicy. Ówczesny stan rzeczy pozostał u mieszczan takim na zawsze, u rycerstwa przeciwnie podległ około roku 1300 przeobrażeniu (346, 347). Owe herbiki mieszczan stały się niejednokrotnie herbami przy uzyskanej nobilitacji. Wobec typowego pokrewieństwa między herbami szlachty a znakami mieszczan, które się tak spływają ze sobą, wygląda to jako produkt jednego gruntu, jako wynik z jednego źródła, rezultat miejscowych jednorodnych stosunków. Kto wierzy, dodaje autor, w genetyczny związek herbów polskiej szlachty z runami skandynawskimi i przyjmuje na tej podstawie egzotyczny i dynastyczny tejże początek, ten logicznie musiałby to wszystko rozciągnąć i na żywioty mieszczkańskie. Ale nie tylko na nie rozciągnąć to będzie musiał, lecz i na jeszcze niższą sferę społeczną, sferę włościan, wolnych oczywiście, których osady w toku dziejów

poznikały z widoku tak, że ostatnich ich szczątków dopatrzyć się zaledwie można w niektórych królewskich. Jednym z wyjątkowych dziś już przykładów takiej jeszcze egzystencji jest mały nad Bałtykiem półwysep Hela, gdzie rybacy posługują się znakami (merk), wytwarzanymi z przeróżnej kombinacji kresek. Podobnie jak nad Bugiem (klejnami) bartnicy (378 — 382).

A czemże, pyta na zakończenie prof. Małecki, były godła mieszczańskie, czem największa część napieczętych znamion naszych wojewodów i kasztelanów z przed r. 1300, jeżeli także nie kombinacjami z niewielu prostych lub w łuk zagiętych kresek? Pierwszy punkt wyjścia herbów, zdaje się, tak marny, wskazany jest powyżej. Na co sięgać aż w runy, jeżeli prosty chłop helski sam sobie z własnej głowy to samo zrobić potrafi? (382).

Oto ściśle, własnymi jego słowy, streszczony pogląd prof. Małeckiego na pierwociny i charakter samej istoty naszej heraldyki. Czy to ostatnie, co do czasu, w tym przedmiocie jego dzieło ma być już i ostatniem słowem o polskiej heraldyce zarazem? Oczywiście nie! Ledwie się pojawiło, a już wywołuje potrzebę nie tylko uzupełnień, lecz i sprostowań. Ale niemniej sam grunt, na którym autor w swych badaniach się oparł, jest niewzruszenie mocny; zasada, że rozważanie wogóle przejawów życia wewnętrznego Polski Piastowskiej winno spoczywać nadewszystko na podstawie zabytków i pamiątek rodzimych, jest słuszna nawet etnograficznie; stąd i podwalina jego całej budowy (owe zawołania rodowe) potężnie *założona*.

Samoistna praca takiej wagi, tak znakomitego, jak profesor Małecki, uczonego, wywoływała najżywiej zainteresowanego a odpowiedniej siły recenzenta, który razem ze sprawozdaniem podjąłby i poważną naukową dyskusję z autorem, będąc do tego przygotowany przez własne tegoż przedmiotu źródłowe badania. Nie zdziwiliśmy się tedy, gdy pod artykułem „Najnowsze poglądy na wytworzenie się

szlachty polskiej w wiekach średnich”, zamieszczonym w IV zesz. *Kwartalnika historycznego* z r. 1890, a będącym odpowiedzią na „*Studia heraldyczne*”, wyczytaliśmy podpis d-ra Piekosińskiego. Nie zdziwimy się też, gdy się okaże, że takie spotkanie przeciwników, stojących na dwóch przeciwległych krańcach zapatrywań, przyczyniło się wielce do dalszego wyświetlenia rozważanego przedmiotu i do nowych dla nauki zdobyczy.

Jak należało się spodziewać, recenzent trzyma się ściślejszj zakresu, ogarniętego pracą autora; pomijając własne hipotezy, zaznacza on przedewszystkiem, co znajduje w niej nie dość lub zupełnie nieuzasadnione.

Podaje najprzód samą osnowę podstawową zapatrywania prof. Małeckiego (679, 680).

Przed nastaniem władzy książęcej i pojawieniem się szlachty społeczeństwo nasze żyje rodami pod zwierzchnictwem najstarszych z rodu czyli starostów, zorganizowane do wspólnej obrony pod zawołaniem czyli hasłem. Zawołanie to stanowi nazwę siedziby głowy rodu, miejsca zamieszkania seniora rodu, nosi więc zawsze na sobie charakter nazwy topograficznej i stanowi zarazem nazwę całego rodu. Zawołania te są odwieczne i pochodzą z czasów przedhistorycznych. Następnie wytwarza się z łona tych rodów szlachta, która, zatrzymując zawołania, jako swoje nazwy rodowe, przyjmuje jeszcze pewne znaki, które zrazu mają charakter czysto indywidualny, przywiązane są jedynie do osoby, która je wedle upodobania zmienia, aż u schyłku XIII, czy też na początku XIV wieku, szlachta za wzorem Zachodu przyjmuje herby już jako dziedziczne swe godła.

Otóż nie podziela tego zapatrywania dr. Piekosiński, nie przekonywa go ono. Że instytucja zawołań, proklamacyi, jako taka, sięga głębokiej starożytności, że, nosząc tak wybitnie wojskowy charakter, mogła istnieć w pewnym rozwoju już za czasów Bolesława Chrobrego, na to się on zupełnie zgadza. Ale sprzeciwia się stanowczo zdaniu o nie-

zmienności proklamacyi, a zatem o możności odniesienia tych nazw proklamacyjnych, jakie nam Długosz i Paprocki podaje, do czasów odległych, przedhistorycznych (680). Nie znamy ani jednej proklamacyi, której istnienie już w XI lub XII w. mielibyśmy dowodami historycznymi poświadczane. Najstarsze udowodnione proklamacye mamy zaledwie dopiero z drugiej połowy XIII w.; są niemi: Radwan, Gryf, Nałęcz i Prawda. Co do wszystkich zresztą innych proklamacyi posiadamy dowody ich istnienia dopiero z XIV i XV w. A nie możemy przecie dawności istnienia pojedynczych nazw proklamacyjnych odsyłać do wcześniejszej epoki, jak na to dowody historyczne pozwalają (681, 682).

Dalej, co do tezy, że zawołania były jakoby hasłami topograficznymi jedynie, i temu recenzent stanowczo a słusznie przeczy. Proklamacye, biorące swe miana od nazw miejscowych, są wprawdzie o wiele liczniejsze od tych, które od imion osobowych pochodzą, nie są jedyne wszakże. Istotnie, dlaczego silić się mamy, aby dla takich proklamacyi, jak np. Bolesty, Ciołki, Drogosławy, Drogomiry, Radwany, Ścibory i tyle innych, wyszukiwać koniecznie miejscowości, któreby nazwami swemi wykazały pokrewieństwo z owemi proklamacyami, dlaczego nie uznać ich wprost za to, czem są, za proklamacye, wzięte z imion osób, z imion naczelników rodów? Że przy zawołaniach od imion osobistych zmieniałyby się i sama proklamacya, ilekroć zmieniał się senior rodu, to niewątpliwe. Ale umiano sobie radzić na to, czy to nadając pierworodnym imię ojca, czy też, co widoczniej, ustalając nazwy patronymiczne, jak np. Bolescice, Jastrzębce, Ładzice, Ogończyki, Rawicze itp. (684, 685). Ale też niema powodu do przypuszczenia, by i proklamacye topograficzne nosiły charakter niezmienności: ze zmianą głównej siedziby seniora zmieniałoby się i rodowe zawołanie. Stąd istotnie, w wieku np. XIII, ruch w proklamacyach, zdaniem dra Piekos., był nadzwyczaj żywy; dopiero w XIV i XV wieku, kiedy proklamacye rodowe,

wobec stopniowego znikania wspólnych chorągwi rodowych, zaczynają powoli tracić rację bytu, ustaje też i ruch między nimi, ustalają się one, poprostu martwieją i w takim stanie dostają się drogą zapisek sądowych i Długosza do naszej wiadomości. Śmiało twierdzić można, że zaledwie okruchy tych proklamacyi, jakie były w użyciu w XI, XII i XIII wieku, przechowały się w proklamacyach, zachowanych u Długosza i Paprockiego; przeważna część uległa zupełnemu zapomnieniu (687).

Jeśli zaś proklamacye się zmieniały, to fakt spotykanych przy jednym herbie dwóch i więcej zawołań może się tłumaczyć i przez to jeszcze, że w wielu razach obok proklamacyi nowej utrzymywała się i dawniejsza, lub też obok osobowej występowała i topograficzna, np. Radwan i Wierzbowa (688).

Nie może się też uczony sprawozdawca zgodzić z zapatrywaniem autora, iżby proklamacye topograficzne były zarazem nazwami rodów, które się nimi posługiwały. Zdaniem jego, tylko proklamacye, brane od imion osób, od imion naczelników rodów, mogły być i były w razie potrzeby używane jako imiona całych rodów, ale nie proklamacye topograficzne. Proklamacye topograficzne, jak np. Biała, Bielawa, Bogorya, Borowa, Drzewica, Kamiona, Opole, Wierzbowa itp., użyte jako nazwy rodu, byłyby nielogicznością, sprzeciwiałyby się duchowi języka, świadczyły o jego ubóstwie. O to przecie język nasz średniowieczny pomówić nie możemy; przeciwnie w wytwarzaniu nazw i ich odcieni wykazuje on taką obfitość form, że wywołują one podziw i zdumienie (688).

Podług recenzenta, w XII, XIII i XIV wieku nie było jeszcze stałych nazwisk rodów; wobec wspólnego godła chorągiewnego i wspólnego zawołania, dalej, wspólnego naczelnika rodu w osobie seniora, nie uczuwano wtedy potrzeby wynajdywania jeszcze nowych znaków, mających świadczyć o wspólnem pochodzeniu, przez wytwarzanie

wspólnych nazw rodowych. W ogłoszonych licznych dokumentach z epoki Piastowskiej, w których występuje kilkadziesiąt tysięcy szlachty, niema ani śladu jakichś nazwisk rodów. Najstarsze dokumenty kładą tylko samo imię osoby; czasem dodaje się godność, czasem czym był synem (Gervasovic, Trojanovic). Zwolna wreszcie wchodzi zwyczaj dodawania do imienia także nazwy dziedzicznej posiadłości, a więc Clemens de Ruszcza, Jaroslaus de Bogoria, Creslaus de Balacow itd., który to zwyczaj w XIV wieku już powszechnym się staje. A jednak, gdyby podówczas nazwy rodów były już w użyciu, nie potrafilibyśmy sobie wytłumaczyć tego zupełnego ich zamilczenia w aktach prawnych, nie moglibyśmy zrozumieć, dlaczego zamiast Clemens de Ruszcza itd. nie powiedziano Clemens Swieboda, Jaroslaus Bogoria, Creslaus Odrowąż itd. Tem się to tylko tłumaczy, iż owe proklamacye topograficzne nazwami rodów nie były wcale (690).

Autor, jak widzieliśmy, utrzymuje, iż proklamacye są pochodzenia ludowego, wyprzedzają epokę powstania szlachty i władzy książęcej i do doby pierwotnego ustroju społeczeństwa należą. Recenzent i to odpiera. Pojedyncze rody ludowe (wsie) nie mogły posiadać swej osobnej proklamacyi; chyba już opola—podług nazw ich ognisk środkowych. Lecz nie dochowały nam się spisy naszych średniowiecznych opoli, zaledwie z nich kilkanaście spotykamy w dokumentach z XIII wieku, a wśród nich jedno tylko opole Biała odpowiada swą nazwą proklamacyi tegoż nazwiska. Że jeszcze w XV i XVI w. lud po wsiach tu i owdzie na gwałt zwoływał się za godłem czyli proklamacyą, to pewna; ale były to proklamacye szlacheckie, dziedziców, nie jakieś prastare ludowe (691, 692).

Tak więc, zdaniem dra Piekosińskiego, żadna z cech charakterystycznych, jakie autor proklamacyom przypisuje, mianowicie ani ich ludowe pochodzenie, ani ich odwieczność, ani ich niezmiennosc, ani wreszcie charakter wyłącznie to-

pograficzny, nie znajdują w źródłach dziejowych poparcia, lecz owszem źródła te sprzeciwiają im się wręcz lub pośrednio (692).

Najważniejszą hipotezę autora, mianowicie o ludowym szlachty polskiej pochodzeniu i o sposobie jej wytworzenia się, recenzent, wyznawca wręcz przeciwnej teorii podboju, oczywiście stanowczo odrzuca: nie posiada dlań hipoteza owa dość faktycznego uzasadnienia. Że zaś autor samorodne formowanie się szlachty aż do połowy XIII wieku przeciąga, a do tej epoki nie brak nam źródeł dokumentalnych, więc wskazuje mu przeciwnik, że te źródła właśnie przeczą jego tezie. W owym czasie bowiem dwie klasy społeczne, z których jedna miała się stopniowo wytwarzać z drugiej, tj. szlachta i lud, stoją już jednocześnie, jak dwie zwarte, zupełnie zamknięte, odrębne społeczności, oddzielone od siebie taką różnicą w uprawnieniu i uprzywilejowaniu, jedna z nich stoi tak wysoko ponad drugą, że o przejściu z klasy niższej do wyższej mowy być nie może. Stąd, na półtyśiąca dokumentów z tej epoki, niema ani jednego, któryby uszlachcenia rodu włościańskiego dotyczył. Z klasy społecznej, zajmującej pośrednie stanowisko pomiędzy włościanami i szlachtą, z klasy włodyków (milites), tak licznych za czasów Mieszka I i Bolesława Chrobrego, a znikających w XIV i XV wieku, częściej zapewne zdarzać się mogły wypadki uszlachcenia, nawet drogą adopcyi. Ale o tej klasie włodyczej autor nic nie wspomina; nie może ona też być, zdaniem recenzenta, uważana za tę jedynie wolną, powszechną niegdyś klasę społeczną, która istniała w czasach przedhistorycznych i z której, podług autora, rekrutował się pierwszy związek szlachty (693 — 695).

Rozważając następnie drugi dział pracy autora p. t. „Napieczętne znaki w Polsce aż pod koniec XIII wieku”, recenzent rozprasza się bardziej na szczegóły i robi już niewiele uwag ogólniejszego znaczenia.

W zakresie pieczęci rodu panującego autor zbyt wielką

wagę przypisuje temu, co na pieczęci jest wyobrażone, a czego niema; tymczasem co do herbów, nie pieczęć jest decydującym momentem, lecz chorągiew, a brak godła na pieczęci nie uprawnia bynajmniej do przypuszczenia, że książę w tej epoce żadnego godła i na chorągwi swej nie używał (702). Nie można też z drugiej strony każdego rysunku na tarczy książęcej brać za godło: tarcza pierwotnie nie była bynajmniej przeznaczona do pomieszczania godła, tylko chorągiew miała to przeznaczenie; długi też czas powiewały godła na chorągwiach, zanim zstąpiły także na tarcze (703).

Pomiędzy pieczęciami szlacheckimi dr. Piekosiński całą ich kategorię ze znakami „nie mówiącymi” do runicznych zalicza (705).

Z powodu rodu Rawiczów, jakoby z Czech przybyłych a w Polsce przez ród Lubomlitów adoptowanych, recenzent, opierając się na danych późniejszych (XV i XVI w.), robi stąd wniosek ogólny wstecz i mniema, że i wcześniej u nas stałą zasadą było, iż nikt do grona szlachty polskiej dostać się nie mógł inną drogą, jak tylko drogą adopcyi do jednego z już istniejących rodów polskich, a zasada ta, zrazu ściśle obserwowana, w późniejszych dopiero czasach zwolna rozluźniać się poczęła. Adopcyja herbowa, już tylko czcza formalność w XV i XVI w., wcześniej posiadała znaczenie istotne, zapewniając adoptowanym rękojmię tyle ważną w wiekach średnich (707, 708).

Podział znaków pieczętnych na przedherbowe i herbowe uważa recenzent za trafny w zasadzie, nie zgadza się jednak na to, ażeby pierwsze z nich miały być indywidualnymi jedynie, nie przekazywanymi dziedzicznie (710, 711).

Robi też autorowi uwagę, iż nie może być przecież mowy o zupełnej równości szlacheckiej w Polsce wieków średnich (721).

Wspólność zaś herbów w Polsce i w Czechach chętniej tak oto tłumaczy. Stara szlachta szląska nie była przecież zgoła niczem innym, jak tylko szlachtą polską najczystszej krwi;

wiele rodów polskich i to przemożnych miało swoich reprezentantów i na Szląsku, wiele więc herbów szląskich jest identycznych z herbami polskimi. Połączenie zaś potem lenne Szląska z Czechami trwało wieki. Czyż nie właściwiej przypuścić, że w tej epoce różne rodziny szląskie, używające tych samych herbów, co i współkolejnotnicy ich w Polsce, przesiedliły się do Czech? (723).

Zamykając swe sprawozdanie uwagami o znakach plebejskich, dr. Piekosiński zaznacza stanowczo, że o rodzinem pochodzeniu „poznak ludowych” nie może być mowy, jeszcze zaś mniej o takimż pochodzeniu „gmerków” mieszczańskich. Znana to powszechna właściwość świata germańskiego. Mieszczaństwo zaś nasze w wiekach średnich w cenniejszych miastach jest nawskroś niemieckie, „gmerki” swoje przynosi ze swej ojczyzny i potem dalszy przykład daje. Co do rybaków wyspy Heli (i Żuław wogóle), posiadających własne „merki”, przecież to Normanowie czystej krwi, spolszczeni. Że zaś znaki te plebejskie w świecie germańskim od alfabetów runicznych początek swój biorą, tego ten już chyba nie dostrzeże, kto dostrzedz nie chce. Jeśli zaś jest tak, jeśli zwłaszcza poznaki ludowe u nas nie istniały nigdy, tem samem upada przypuszczenie autora, iż te godła przedherbowe szlachty naszej, które recenzent z run wywodzi, z tych poznak ludowych początek swój wzięły (728).

Łatwo nam będzie zrozumieć antagonizm zapatrywań autora i recenzenta, gdy zechcemy przypomnieć sobie, choć w ściślejszym zarysie, pogląd własny ostatniego.

Wyniki własnych badań doprowadziły d-ra Piekosińskiego ostatecznie do teorii, której uwieńczenie uwydatniło się w zdaniu, że szlachta, najwyższy politycznie i kulturalnie wyraz polskiego społeczeństwa w przeszłości, wzięta choćby w całej swej rojnej a tak różnorodnej rzeszy, ogarniającej wszystkie ziemie byłej Rzpltej, była nietylko jed-

nym wielkim związkiem braterskim, społecznie i heraldycznie, lecz bez mała jedynym, rozrodzonym na dynastye rodem. Ród ten obcy, niepolski, chociaż pobratymczy i słowiański (z poza Łaby), podbił pierwotnie szerokie ziemie lechickie, a utwaliwszy się w nich, rozciągnął z czasem swe panowanie i nad przestronniejszą jeszcze połącią wschodnią Rplitej, wznoszącej się powoli pod jego tchnieniem i hegemonią. Cała zatem klasa przewodnicząca, we wszystkich swoich odłamach i odcieniach, to tylko konary, gałęzie i gałązki jednego pnia właściwie, karmione przez te same pierwotne korzenie; widoczne zaś na tem rozłożystem drzewie narosty, jemioly i mchy nie mają wcale przeczyć organicznej jednoistności tego drzewa. Ród to nie inny, jak latorośl pomorskich Dragów (Gryfów), idących wprost po mieczu od legendowego Samona („członkowie młodszych linii dynastyi Popielów i Piastów”). Obok wielu innych cech charakterystycznych, ród ten panujący odznaczał się od reszty warstw społecznych narodu swymi znakami wojennymi, których urozmaiceniu odpowiadało jakoby samo rozczłonkowanie jego szerokoramiennych dynastyi. Te znaki wojenne, z których motywów wytworzyły się u nas w następstwie tak odznaczające się samorodnością herby rodzin szlacheckich, są jakoby przeważnie przeobrażeniami tylko runami. Wszakże runy te, ów wytwór wyjątkowej kultury normańskiej, północnej, dostały się do nas nie bezpośrednio ze Skandynawii, lecz właśnie przez owych naszych załabskich pobratymców, którzy, przesiąknięci wpływem obcym, zamiłowani w wojnie, podbili z czasem prostoduszniejszych a swarliwych sąsiadów i zaprowadzili wśród nich wyższe porządki społeczno-polityczne. „Tytuł praocjów szlachty polskiej do posiadania dóbr ziemskich leży nie w czem innem, jak w ich dynastycznym pochodzeniu” (39).

Co do pracy samej d-ra Piekosińskiego wogóle, jest ona przedewszystkiem zupełnie czems innem, niż to, co jej fantastyczny tytuł zapowiada. Właściwie są to wyłącznie

badania „o runicznym herbów polskich pochodzeniu”; wszystko niemal inne jest przygodne, luźnie z osnową splecione. Nie mógł też inaczej przyjąć tego i komitet historyczny Akademii w swem sprawozdaniu. Tak dopiero pojęta praca autora, zdaniem komitetu, jest w literaturze historycznej rzadkiem zjawiskiem, jak wogóle rzadkiem zjawiskiem bywa w dziedzinie historii zdobycz naukowa większej doniosłości, która nie polega na przypadkowym odszukaniu jakiegoś nieznanego pomnika dziejowego, ale ma wszystkie znamiona naukowego odkrycia. Takim zaś odkryciem jest teoria autora o pochodzeniu herbów polskich od run; jest to zdobycz, na którą złożyły się w równej mierze umiejętna synteza i analiza, dzieło szczęśliwego a niezwykle bystrego pomysłu, sprawdzonego krytycznie w mozolnem szczegółowym badaniu (168). Pomysł swój dawniejszy, luźny, autor rozwinął tu w ten sposób, że uznać w nim należy wszelkie znamiona ściśle naukowej teorii. Trudno też przypuścić, aby nauka nie miała tego uznać za swoją trwałą zdobycz, że herby szlachty polskiej, z nielicznymi wyjątkami, które tylko stwierdzają prawdziwość ogólnej zasady, rozwinęły się z tematów runicznych (169). Teoria autora wogóle, odznaczająca się nadzwyczajną logicznością konstrukcyi, sprawdzona jest na mnogim szeregu zjawisk i wytrzymuje próbę w każdym przypadku, wystarczając zupełnie do wytłumaczenia każdego szczegółowego zjawiska. Można się też spodziewać, że stworzył on wreszcie umiejętną podstawę do dalszych badań w przedmiocie heraldyki polskiej (170). Niepospolitą wartość mają wyniki rozległych badań autora i w szczegółach, jak również w zakresie heraldyki ruskiej. Takie zaś poglądy, jak o stosunku szlachectwa do obowiązku służby wojskowej, o znaczeniu prawa dziedzicznego a prawa rycerskiego itd., będą niezawodnie stanowiły epokę w historii prawa publicznego w Polsce, chociażby skutkiem dalszych badań doznać miały jeszcze licznych sprostowań i uzupełnień (171). Słowem, zawdzięczamy mu donio-

słe odkrycia naukowe, na których oprzeć się może dopiero umiejętna historia formacji szlachty polskiej, tego głównego, jedyne go niemal w dziejach naszych czynnika; odkrycia, które do zrozumienia właściwej istoty tego czynnika i całych jego dziejów staną się przyczynkiem nieobliczonej wartości (172). Wbrew samemu autorowi, komitet, jak wzmiankowaliśmy wyżej, uznał przecie dwa nienormalnie niby splecione przezeń pomysły, t. j. pochodzenie herbów oraz pochodzenie szlachty i samego państwa polskiego za pozostające z sobą w luźnym i przypadkowym jedynie związku. Naprawdę wysoko podniósł tylko pomysł pierwszy, nad drugim zaś przeszedł niejako do porządku dziennego (173). Kwestyę pochodzenia szlachty polskiej zostawiono dalej jako otwartą, mimo, iż autor domniemanie ostateczne jej rozwiązanie z takim naciskiem w tytule już samym był zaakcentował. Motyw sam dynastyczności osłonięto wymownym milczeniem; choć związane z nią wyróżnienie (runiczne) rodów starszych i młodszych w zasadzie przyjęto (!). Pomysł zaś podboju przez uskandynawionych Załabian, pomimo, że otwarcie przyznano, iż teoria runiczna Piekosińskiego tem tylko mocniej wsparłaby normańską hipotezę Szajnochy o *lechickim początku Polski*, odniesiono do kategorii hipotez tegoż Szajnochy, Bielowskiego, Maciejowskiego i in. (174). Przecie i co do pochodzenia herbów komitet historyczny Akademii wypowiedział się, wbrew poczuciu może, w konkluzji swego sądu w sposób chwiejny, utrzymując, iż teoria ta „stanowi tak misterną i ściśle logiczną konstrukcyę, iż obalenie jakiegokolwiek zasadniczej części składowej mogłoby zachwiać całością” (175).

O ile samo dzieło d-ra Piekosińskiego, pomimo, iż główna jego hipoteza wcale nie była niespodzianką, zrobiło wielkie wrażenie tak dla swych wniosków poważnych, jak

i wywodów paradoksalnych, o tyle sąd o niem, sformułowany przez komitet historyczny Akademii, niemałe obudził zdumienie. Bogactwo wniesionych i umiejętnie obrobionych przez autora szczegółów zmuszało każdego do należnego mu uznania; ale co do śmiałej, wspaniałej aż do fantastyczności konstrukcyi wywodów pytano powszechnie, czy pod przebieżem trzeźwej analizy ostać się może niewzruszenie i ta jej część podstawowa, którą komitet za niewątpliwą już zdobycz nauki uznał. Lecz dopatrzeć szczerb było łatwo, ale by zmierzyć się naukowo na seryo ze znawcą swego przedmiotu tej siły, co autor runicznego pochodzenia herbów, chyba nieznaczne tylko gronko wśród naszych badaczy przeszłości odpowiednio przygotowanemby się znalazło... Po między nimi bliżej zainteresowani przedmiotem opracowywali samodzielnie własne co do tego poglądy i teorye, które z czasem też poznamy. Dość, że nie zaraz doczekaliśmy się trzeźwej oceny pracy Piekosińskiego. Dopiero po upływie całego roku wystąpił z takową w 1-ym nr. „Kwartalnika historycznego” za r. 1890 prof. St. Łaguna. Przypomnijmyż, jako tu niezbędne, i jego uwagi.

I dla Łaguny teoria runizmu jest świetnie pomyślana. Nie zbyt często, przyznaje on, spotkać się można z budową tak symetrycznie wzniesioną, w której części wiązałyby się w imponującą całość (76). Lecz, niestety, podstawa tej budowy tak chwiejna, tak wątpliwej wartości, że i wszystko, co się na niej wznosi, utrzymać się nie jest w stanie.

Najprzód nie wiemy dostatecznie, czy Normanowie sami używali run swych dwóch „futhorków” (alfabetów) jako znaki rodowe (inicyały imion wodzów czy symbole) na orężu: drzewcach bojowych, chorągwiach, szczytach itd. A gdyby i tak było, to czy koniecznie te tylko piśmienne znaki, jako godła swe rodowe, przynieśli z sobą sami północni czy zachodni zdobywcy? Co stąd wnosić o rodach i „dynastyach” przy znanej zmienności pierwotnych naszych znaków pieczętnych? Zresztą zgódźmy się, że pewna ilość

najstarszych znaków pieczętnych szlachty szczeropolskiej, piastowskiej, nosi cechy jakby motywów runicznych (piśmiennych); nie są one atoli wyłączne: motywy żywo-obrazowe znaków religijno-wojennych u lechickich plemion znane są z prawieków. O wyłączności runicznej — mowy zatem być nie może. Ale to nie dosyć.

Runiczno-dynastyczna teoria Piekosińskiego usystematyzowana urąga wprost tak historii, jak i etnografii. Autor, którego przedmiotem miało być rozjaśnienie tak pierwszego zawiązku społecznego, jak i domniemanego runizmu pierwotnych znaków wojennych (rodowych) szlachty piastowskiej jedynie, zapatrzony w swą hipotezę, a nie czując gruntu pod sobą, sięgnął po podwaliny w świat pokrewny wprowadzie, lecz obcy. Czuł on doskonale całą tego niestosowność, ale się osłonił nową ad hoc historyczną fikcją. Przy jej pomocy jedynie powstał dopiero ów wspaniały rodowód runiczny szlacheckiego narodu polskiego, podzielonego, odpowiednio do runy, decydującej o pieczęci (herbie), na XVII dynastyi, rodowód, który możemy podziwiać na 20 tablicach przy końcu dzieła. Cóż, kiedy, po bliższem rozejrzeniu się w tym pięknym całokształcie heraldycznym, dostrzegamy, iż $\frac{2}{3}$ co najmniej uszeregowanych tam (podług kategorii graficznych) znaków i herbów — są to znaki i herby szlachty ruskiej i litewskiej, a więc nie polskie — jeszcze nawet chronologicznie. Uzasadnienie autora nie wytrzymuje próby.

Przyznaje on (64), że wielka liczba herbów ruskich z runicznym wejściem zrodziła się w chwili, gdy jeszcze w polskiej heraldyce nie dostrzegano żadnych motywów runicznych; stąd domysł, że te ruskie herby runiczne od wareso-ruskich Normanów początek swój biorą. Tej teorii hołdował także i on sam, bliższe badania jednak okazały, iż przypuszczenie powyższe jest zupełnie błędne. Z tej zasady bowiem gdyby przypuszczenie to było trafne, musielibyśmy podobne herby runiczne, i to w daleko większej

jeszcze liczbie, niż u szlachty mało-ruskiej, znaleźć u szlachty wielko-ruskiej, w dawnym ognisku siedzib Warego-Rusów. Tymczasem szlachta wielko-ruska nie posiada zgoła żadnych starych herbów, a tem mniej herbów, na runicznych tematach opartych.

Na to Łaguna, nie potrącając nawet ani jednym słowkiem o znane przeciwieństwo historycznego rozwoju kultury odnośnych społeczeństw, robi skromną, lecz całe rozumowanie powyższe obalającą uwagę, że owo dawne ognisko siedzib Warego-Rusów wcale nie leżało we właściwej Wielko-Rosyi: siedziby te ciągnęły się od Ilmenia na południe, wzdłuż Dniepru, a ogniskami ich były: na północy Nowogród, siedlisko przeważnie kupieckie, a na południu Kijów; ziemie, dalej ku północo-wschodowi położone, tak zwane niegdyś Zalesie, podbite i osiedlone zostały znacznie później, kiedy Waregowie o swem pochodzeniu skandynawskim już zapomnieli (84).

Dalej Piekosiński sądzi (64), że „nie ulega przeto wątpliwości”, iż herby, na tematach runicznych oparte, zaniezione na Ruś zostały „przez szlachtę polską i drogą adopcacji szlachcie ruskiej udzielone”, że (63) ruch kolonizacyjny szlachty polskiej na Ruś rozpoczął się już za czasów Kazimierza W., t. j. w chwili, kiedy prawidła heraldyki zachodnio-europejskiej poczęły dopiero do nas witać i znalazły gościnę zaledwie u magnatów. Uboga szlachta, która na Ruś ciągnęła, przechowywała stare znaki w najczystszej formie runicznej, tak, że gdy zaczęto je zarzucać w starych gniazdach koronnych, dochowały się one głównie tylko na Rusi i Litwie. Nie neguje niby tego absolutnie Łaguna; „lecz jeśli trudno, powiada (85), przeczyć możliwości podobnego obrotu w heraldyce, trudniej podobno byłoby rzeczywistości jego dowieść”. Posłuchajmyż go bowiem dalej.

Czy kolonizacja szlachecka już za Kazimierza W. była tłumna, nie wiadomo. Z drugiej strony wiadomo, że na Rusi istniała wtedy rodzima szlachta ruska, że z Opolczy-

kiem ciągnęli tam Szlązacy, że osiedli na Rusi i Węgrzy, a jedni i drudzy z heraldyką zachodnią lepiej mogli być oznajmieni, aniżeli nawet magnaci małopolscy; że stanowisko, jakie zajął „pessimus baron Datko” przy opanowaniu Rusi przez króla Kazimierza, nie upoważnia do przypuszczenia, jakoby adopcyja szlachty ruskiej do herbów polskich mogła się prędko dokonać; że gdyby ona istotnie się odbyła, postaraliby się o nią przedewszystkiem ci, których Janko z Czarnkowa nazywa „principes, barones, comites”, tj. członkowie najznakomitszych rodów bojarskich, a ci brataliby się chyba z rodami magnatów małopolskich, którzy posiadali przekształcone heraldycznie znaki herbowe, nie zaś z tłumem drobiazgu szlacheckiego, przechowującego rzekomo stare znaki charakteru runicznego (85).

To wszystko wreszcie stosować się może tylko do właściwej Rusi halickiej; a dalsze ziemie ruskie? Na Podolu siedzą Koryatowicze. Wołyń zbyt krótko i tylko w swej zachodniej części zostawał pod panowaniem Kazimierza W.; czy więc o jakiej szeroko praktykowanej adopcyi na Wołyniu może być mowa? Chyba nie mógł czuć do niej popędu Daniel z Ostroga, co się nie cofał przed sprowadzeniem na kraj hord tatarskich i zwierzchnictwo koczowniców azyatyckich dobrowolnie uznawał. Wołyń to gniazdo licznych rodów kniaziowskich, co się pieczętowały znakami, uznanymi przez autora za runiczne; czy więc i ci kniazio- wie zapożyczali herbów od ubogiej szlachty chodackowej (786)?

Jeszcze więcej wątpliwości spotykamy na Litwie. Akt horodelski 1413 r. wprowadził do Litwy tylko 47 herbów polskich; tymczasem już od r. 1431 spostrzegamy na Litwie herby „z tematów runicznych”, nie wymienione w Unii Horodelskiej. Dr. Piekosiński powiada, że i te herby były z Polski rodem, dostały się na Litwę wszakże nie bezpośrednio, lecz przez Ruś, albowiem „wpływ kultury ruskiej na Litwę XIV i XV wieku jest nader silny”. Nie przecząc

tego wpływu, przyznając mu nawet jeszcze wcześniejszą datę, można się jednak dziwić niezwyklej szybkości, z jaką herby polskie, ukazawszy się na Rusi halickiej w drugiej połowie XIV wieku, zdołały tak doraźnie tam się zaklimatyzować i przez Wołyń, Ruś Czarną dostać się na Litwę właściwą już na początku XV wieku. Cóż poczniemy jednak z kolumnami Jagiellońskimi, które jeszcze wcześniej na pieczęci Witolda się okazują (87)? Jak wytłumaczyć ową strzałę typu runicznego, wykutą na słynnym kamieniu w Dźwinie pod Dżisną z napisem „pomozī rabu swojemu Borisou” (Ginwiłowiczu)? Przecież ona sięga w głębszą jeszcze przeszłość (87).

Czy nie byłoby łatwiej objaśnić to bezpośrednim wpływem najazdów skandynawskich na morskie wybrzeża Litwy, o czym mówią badacze przeszłości? A raz wstąpiwszy na tę drogę, czy w dalszej konsekwencji nie można byłoby istnienia śladów runicznych w heraldyce właściwie polskiej przypisać także owym najazdom? O najazdach tych głoszą stare podania. „Służyłoby to mogło ku poparciu hipotezy Szajnochy” (87).

Co zaś do samych znaków pierwotnych, wojennych, rodowych, u autora runicznych, możnaby się zgodzić, zdaniem Łaguny, że ponieważ przypuszczalnie wszelkie podobne znaki posiadały znaczenie mistyczne, tajemnicze, symboliczne, więc i runom wolno byłoby przyznawać znaczenie czarodziejskie. „Znamy jednak, powiada, zabytki starodawne, które nie stwierdzają takiego mniemania. Na grotach kowelskim i müncheberskim run użyto tylko jako głosek, którymi, wedle zdania specjalistów, wypisane są nazwiska ich właścicieli. Obok tych run wszakże widnieją na tych grotach inne znaki symboliczne, jak sfastyki, trykwetry, półksiężyce, koła słoneczne, i niewątpliwie własność magiczna w nich, nie zaś w runach, się mieści. Grot, nóż i urna, wydobyte z mogiły w Grunówku, noszą na sobie tajemnicze znaki, ale run na nich ani śladu” (99). Nie inaczej rzecz się ma

właściwie i ze znakami (runicznymi niby), przedstawionymi przez d-ra Piekosińskiego. Występuje wśród nich strzałka 175 razy, podkowa 94, półksiężyc z gwiazdą lub innym dodatkiem 69, półpiersień 23, krzyż różnej postaci 23, resztę stanowią znaki widłowate przeważnie. Wszystkim tym znakom przypisywano siłę magiczną i używano je w różnych okolicznościach życia powszedniego. O ileż potrzebniejsze były one dla wojaka, narażonego co chwila na niebezpieczeństwa... (99). Takie też znaczenie kryje się napewno, zdaniem recenzenta, i w znakach herbów naszych bardziej charakterystycznych, jak: Cielątkowa, Leliwa, której już Achemidowie używali, Jastrzębiec itp.

Czy wszystko to jednak ma negować absolutnie wszelką możliwość używania u nas (Lechitów) w prawięku i samych run właściwych na motywa znaków pieczętnych, kiedy później jako takie i litery abecadła spotykamy? W naszym osobistym rozumieniu nie jest to wcale rzeczą konieczną. Ale niemniej nie daje to, jako żywo, najsłabszej podstawy do dźwignięcia tak ekskluzywnej teorii, jak Piekosińskiego „o runicznym herbów polskich a dynastycznym szlachty polskiej pochodzeniu”. Tem bardziej, gdy twórca jej chciał się ograniczyć na lechickim jedynie żywiole i zakresie ściśle etnicznym. Inna rzecz, gdy idzie o wartość naukową szczegółowych jego opracowań wogóle, której doniosłości nie otoczył uznaniem nikt się nie poważy.

Oto mamy przed sobą najnowsze na istotę heraldyki polskiej poglądy, hipotezy i teorie prof. Małeckiego i d-ra Piekosińskiego, dwóch naszych najpóźniejszych, a pewnie i najgłębiej sięgających, wznoszących się najwyżej, poważnych, samodzielnych badaczy źródłowych w jej zakresie, podane treściwie w własnym, ile można, wysłowieniu autorów. Stoją oni na przeciwległych biegunach teorii samorodności i podboju, wyjaśniają się wzajem, dopełniają, posuwają przez to

samo naprzód sprawę nauki, mającej za zadanie wyświetlić charakter zawiązku pierwotnego naszego społeczeństwa, mimo wszystko atoli ostatniego słowa nauki tej powiedzieć nie są jeszcze w stanie. Wątpliwości—nieusunięte, zagadnienia—nierozwiązane, spór, mimo świetnych, olśniewających nawet zdobyczy naukowych, pozostawać musi otwartym dalej. Rozbijała aż do fantastyczności pomysłowość twórcza d-ra Piekosińskiego, fantystyczne systematy wznosząca, spotkała przeciwwagę w ścisłym zamknięciu się prof. Małeckiego w sferze faktów, dostrzeżonych jedynie w życiu swojskiem. Czy teoria samorodna otrzymała już przez to bardziej niewzruszone uzasadnienie, wątpimy; za to teoria inicjatywy obcej w drodze podboju dostała chyba skuteczną wskazówkę, że mogłaby się ostać jedynie pod warunkiem oparcia jej mocno na gruncie swojskim wyłączniej. Niezależnie atoli od tego, że ostateczne rozwiązanie spornych kwestyi jest jeszcze tak oddalone, historyczna etnografia, która nas w tem wszystkim, z założenia, najbardziej obchodzi, może się już dzisiaj cieszyć obfitym, choć tak niby ubocznie zdobytym, plonem. Na podstawie tego plonu dziś już jesteśmy w stanie śmiałej i pewniej określić, co do stopnia i mocy, odnośną grę dośledzanych żywiołów etnicznych w zaraniu bytowem naszego narodowego społeczeństwa. Staliśmy się już znacznie bliżsi możności niemąconego już poprzedniemi teoriami rozumienia, co w długim, mozolnym procesie wydzwigania się z chaosu bytu plemiennego ku uspołecznieniu polityczno-narodowemu zawdzięczamy sami sobie, geniuszowi naszej własnej krwi i szczepu, a co, w jakiej mierze i który z obcych nam plemiennie sąsiadów czy podbójców wniósł, jako rozczynę, w odmęt naszych narodowych pierwocin.

W zasadzie któżby dziś chciał się naprawdę upierać przy wierzeniu w zupełną samoistność, samorzutność naszego pierwotnego społeczno-politycznego rozwoju? Idylla prasłowiańska dawno już w nauce przebrzmiała; rozwiąły

wiatry i naszą wiarę w mniemaną dzielność twórczą naszego szczepu już u kolebki. U kolebki byliśmy słabsi, niż później—my, należący, wśród bardziej przedsiębiorczych sąsiadów, do szczepu bodaj najmłodszego historycznie. Czyż mogliśmy posiadać moc uniknięcia ich przemożnego wpływu na nasz rozwój wewnętrzny, społeczny? Czyż wtedy, kiedy dokoła nas najbliżsi i najdzielniejsi z naszych morskich sąsiadów, Skandynawi i Normanowie, biegiem naszych rzek Odry, Wisły przykuci do Bałtyku, zawiązywali przemocą na obcym gruncie nowe zawiązki wojenno-polityczne i zakładali nowe państwa, czyż wtedy mogliśmy, powtarzam, my jedni w niepojęty sposób ich przemożnego wpływu, ich przemocy i twórczej następnie inicjatywy uniknąć? By odpowiedzieć na to stanowczem *nie*, nie potrzeba nawet nic z owego balastu często nietrafnych i zbytecznych dowodów Szajnochy, w jego „Lechickim początku Polski” podanych.

Ale jakże to jest dalekie jeszcze od wnioskowań i opartej na nich teorii (runiczno-dynastycznej), jaką tak wspańiale roztoczył najżywszy dziś obrońca hipotezy podboju!

Naprawdę, tyle tylko z niej (t. j. z teorii oczywiście, nie zaś wogóle ze zdobyczy historyzoficznej poważnego badacza) dla nauki pozostało.

Znaki przedherbowe gniazdowo-polskiej, lechickiej szlachty miewają istotnie do run skandynawskich podobieństwo, mogły tedy z tematów futhorków północnych być brane. Jaką zaś drogą do prastarej Lechii się one dostały: czy przez naśladownictwo tylko dalekich wzorów (nb. nieznanych dotąd), czy były wniesione przez obcych (normańskich) przybyszów, jako podbójców, to uwzględniając okoliczności z innego zakresu, przechylić się można ku drugiemu przypuszczeniu. Oto i wszystko właściwie. Nie daje to przecie jeszcze prawa do budowania teorii, systematów. Natomiast zaś upoważnia, co więcej, zmusza nawet do pilniejszego badania faktów w tym kierunku, obok nieodzowności, oczywiście, niewykraczania przytem poza właściwy, odpowiedni ich obręb.

Wciągnąć cały bogaty i oryginalny materiał heraldyki ruskiej i rusko-litewskiej w zakres heraldyki szczeropolskiej z przed Unii, podporządkować pierwsze drugiej i t. p., jak to zrobił dr. Piekosiński, do tego surowa nauka nikomu prawa dać nie może. Dla nas zdala wygląda to jakoś bardzo po krakowsku. My—od Kijowa—inaczej zabytki kultury starej Rusi rozumiemy. Świat to odrębny i tyleż w swem życiu samoistny, co i świat lechicki; jest mu pokrewny bardzo, więcej może nawet, niż jak to nam zwykle dotąd się zdaje; owiany został pierwszym społeczno-organizacyjnym tchnieniem z jednorodnego ogniska, ale nie jest jakąś kopia tamtego. Powoływać na świadectwo fakty wewnętrznego ruskiego życia prastarej doby, jako charakterem tyle sobie blizkie, jednorodne—i wolno i należy; wcielać je natomiast przedwcześnie wobec chronologii w obręb życia lechicko-polskiego—więcej jak nie wypada.

Prof. Małecki znów i to pomija, nie zdradzając nawet chęci wskazania, choć w oddali, jakiejś paraleli; niewątpliwie nicby to nie osłabiło mocy jego wywodów, jaką mu zapewnić musiało już samo oparcie się z zasady na materiale swojskim, szczeropolskim. Za to obrońcy hipotezy podboju skandynawskiego i skandynawskiego wpływu na heraldykę pierwotną, ci napewno będą zmuszeni nawet jeszcze pilniej dopatrywać się wszędy paraleli w staro-ruskim bycie, nietylko w sferze heraldyki i socyologii.

Wobec tego atoli, z góry już da się—niby dla ostrzeżenia—zaznaczyć, że i pod względem socjalno-heraldycznym świat ten staroruski nie jest tak jednoistny. Nie dość jest zatem uznać coś za ruskie faktycznie, by je już przeciwstawić, jako takie, odpowiednio czemuś polskiemu; sam rodzaj, sam stopień owej ruskości wymaga poprzedniego wyjaśnienia.

Dr. Piekosiński oto znakomitą część znaków litewsko-ruskich, stanowiących $\frac{2}{3}$ niemal (z 540) herbów jego polskich dynastów, podaje w swych tablicach dynastycznych, jako przedstawiające tematy runiczne, wzięte oraz przenie-

sione niby stopniowo na Ruś z Polski Piastów, na Litwę zaś Jagiellońską—z Rusi. Nie podzielając wcale z autorem hipotezy (możności) podobnej filiacji, zgadzamy się chętnie na przyznanie pewnej części znaków pieczętnych litewsko-ruskich charakteru runicznego, ile że inicjatorami rzeszy politycznej ludów wschodnio-słowiańskich byli przecie Waręgowie. Ależ nie oni jedni przecie wnieśli zacyzn kultury obcej na Ruś, nie ich tylko znaki runiczne zajęły pieczęcie kniazów i bojarów. Motywów runicznych dopatrywano już oddawna w pewnych herbach ruskich; na niektóre z nich wskazuje przygodnie już Kraszewski w ustępie p. t. „Poezya szlachecka i legendy herbowe” (Bibl. Warsz. 1854), ale najwidoczniej nie wyróżnia on należycie run (liter futhorków) od znaków symbolicznych. Takie symbole wskazuje wyraźniej, choć również doraźnie tylko, Marcinkowski (Gaz. Warsz. 1855), dopatrujący kolebki ich aż gdzieś w Hindustanie i t. d. Niemało dworowano zeń za to, dziś wszakże lepiej przeczytać w *Revue des deux Mondes* z 1 maja 1890 r. ustęp „La migration des symboles p. m. le comte Goblet d'Alviella”, co więcej, przyjrzyć się pilniej najstarszemu ze znanych zabytków runicznych normańskich, grotowi kowelskiemu (własn. A. Szumowskiego w Warsz.), na którym obok imienia (widać) właściciela, runami wypisanego, znajdujemy aż kilka symbolów tajemniczych, z odpowiednimi herbami ruskimi (Borejko, Hutor i in.) identycznych.

Pomijając runy i symbole, Darowski następnie (1862) w rozprawie swej „Znaki pieczętnie ruskie” rozwinął szerzej myśl dawną Lelewela, jakoby znaki owe powstały z tematów cyrylskiej azbuki i wytworzyły się z inicjałów imion właścicieli i ich monogramów. Z tematów przeważają litery *M, П, Т*. Mniejsza o podkładane im niemożliwe znaczenie i wyłączność teorii Darowskiego, dość, że pomiędzy podanymi przezeń (128) herbami o motywach niby „bukwalnych” znajdzie się istotnie nieco takich, które zapożyczyły swych motywów prędzej z *azbuki*, aniżeli z run do nich po-

dobnych, jak na przykład pieczęcie i herby kniaziów Masalskich, Prońskich, pp. Mikulińskich, Tomowiczów i in.

Jakkolwiek tam jest atoli, czy to będą motywa z symbolów tajemniczych (sfastyka, triscel), czy również tajemnicze znaczenie (niewątpliwie) mających run-futhorków skandynawskich, czy nareszcie z cyrylskiej azbuki, zawsze to wytwór życia ruskiego, choć przeobrażony z czasem pod wpływem polskim, ale pierwotnie od niego niezależny.

Dodać tu jeszcze możemy, że naturalnie nowy prąd motywów, z chrześcijaństwem poczęty, nie pochłaniał sobą, nie niszczył nurtu symboliki pogańskiej, ogólnie aryjskiej i runicznej. Stąd znaki i motywy runiczne trzymać się mogły we zwyczaju, pomimo, iż o znaczeniu samych run i symbolów dawno zapomniano. Dziać się zaś z tem mogło w sposób podobny, jak dziś z motywami greckimi wyszywań na koszulach wiejskich dziewcząt na Rusi lub wzorami ich pisanek. Biedna dziewczucha podolska ani słyszała o Byzancyum lub o tem, że część znaczna jej ulubionych „mezezek” jest greckiego pochodzenia, i ani się domyśla, że gdy ona sama nawet tworzy coś niby nowego, to zawsze w tym samym charakterze. Wszakże co do znaków wojennych czy pieczętnych kniaziów i bojarów, było rzeczą naturalną, gdy, wraz z zacieraniem się rozumienia symboliki pogańskiej, na miejsca run normańskiego futhorku wysunęły się litery cyrylskiej azbuki jako monogramy, cyfry i t. p. Działo się to tem łatwiej i niepostrzeżeniej, im bardziej pewne z nich przypominały pojedyncze runy postacią, a nawet dźwiękowym znaczeniem.

Ale nie na tem tylko ograniczają się żywioły staroruskiej heraldyki. Rozglądając się pilniej dokoła, dopatrujemy jeszcze jedno ich źródło, źródło wschodnie, dające motywy równie obfite, jak futhork i azbuka, co więcej, niejednokrotnie podające nawet wagę tamtych w wątpliwość. Rozumiemy tu wschodnie „tamhy”. Wspólna to własność wielu ludów

(stepowych), materiał dla porównań bardzo bogaty. Nas jednak wogóle mogą więcej obchodzić dane jeśli już nie ze świata ściśle aryjskiego, to w każdym razie notorycznie bliższego stosunkami swymi ze starą Rusią kijowską. Dla udowodnienia, choć w zasadzie, wpływu i tego źródła, nadto dla zwrócenia nań uwagi przyszłych badaczy heraldycznych, ponieważ przedmiot ten, ile wiemy, nie dotykany był u nas przez nikogo, poprzestajemy tu na materiały, jaki doraźnie bliżej mamy pod ręką. Znajdujemy go w „Spisie tamh czyli znaków rodowych górali kaukaskich”, jaki podano graficznie w „Zapiskach towarzystwa odeskiego historii i starożytności” z r. 1888. Wystarczy on nam do wydobycia niejednego faktu ciekawego, nietylko pro memoria.

W tym razie atoli nie możemy uniknąć, mimo woli, potrącenia o szczegóły.

Obfity poczet tych znaków kaukaskich sięga 306. Wśród nich dopatrzećby się dało motywów runicznych (d-ra Piekosińskiego) wcale sporo, z liter zaś cyrylicy, czy greckiego alfabetu, w połowie znaków co najmniej, osobliwie z liter *M*, *II*, *T*, jak w znakach pieczętnych ruskich (w mniemaniu Darowskiego), nadto liczne z lit. *O*. W tamchach tych przeważają wszędy kontury i znamiona zaokrąglone. Wpływu uherbowienia żadnego, żadnych znaków obrazowych przedmiotów żywych lub martwych. Niema tu ani strzał i podków, ani księżyców i gwiazd itp.; niema też prawie i krzyżów, chyba do nich zaliczymy „szubienne”, których tu dosyć. Wielce starożytne widocznie są te znaki, a przy wiadomym stosunku nieustannym plemion stepowych Ukrainy z kaukaskimi, oddawna i na jej przestworzu były znane. Przyświadcza temu dowodnie znaleziony w pow. Chersońskim, koło Krzywego-rogu, kamień, okryty znakami, tamhy kaukaskie żywo przypominającymi, a który Tow. odeskie w 1887 roku nabyło.

Zestawiając następnie ściślej znaki pieczętne ruskie

z owemi tamhami, spostrzegamy uderzające choć nie niespodziane fakty.

Oto np. pomiędzy znakami ruskimi, z runicznych niby motywów (u Piek.), znajduje się kilka, których postać zupełnie jest taka sama, jak odpowiednich tamh. Co uderza nadto, należą one do rodzin, których pochodzenie turskie czy kaukaskie jest zupełnie lub prawie niewątpliwe. Porównajmy. Herb Bokijów jest taki sam, jak tamha Babuków (nr. 30), rodziny z plemienia Kabertaj (Kabardyńców), pobratymczego naszym Czemerysom podolskim, należącego do narodu Adyge (Czerkiesów). Podobny jest do niego i herb Bołbasów, rodu również obcej krwi widocznie. Co więcej, sama tego herbu nazwa heraldyczna „Junczyk” kryje coś wschodniego. Herb Kirkorów ten sam, co tamha (225) wśród plemienia Baszylbaj. Herb (Leksadów) kniaziów Glińskich, notorycznie krwi tatarskiej, taki sam, jak znak (256) rodu Czumm, plemienia Absua (Abchazów). Nareszcie herb Sołokajów nie jest inny od znaku (15) rodziny kabardyńskiej Czeczuko, tylko że w tym ostrze strzały przytępione.

Oprócz tych wyżej pomienionych tamh, jednostajnych z herbami szlachty ruskiej o runicznych niby motywach, znajduje się między nimi też kilka zupełnie jednostajnych z herbami o motywach z cyrylicy, podług Darowskiego. Tak tamha nr. 32 odpowiada herbowi Hutor, nr. 65 h-wi Dostojewskich, nr. 89 h. Hołownia, nr. 174 h. Topłyk albo Slizień. Tamhy zaś same są przeważnie kabardyńskie.

Co więcej, między tamhami kaukaskimi spotykamy odbicie symbolów, znajdujących się na grocie kowelskim, motywowe i zupełne nawet. Jako ogólnie aryjskie, nie powinny one nawet zadziwiać wśród Kabardów i Abadzechów. Z tych nr. 32, 250 odpowiadają symbolowi podobnemu do h. Hutor, nr. 123, 124, 220 do h. Kroje, nr. 99, 169 przedstawiają motyw sfastyki Borejków.

Poczet zaś tamh, podobnych tylko do herbów szlachty ruskiej, jest jeszcze większy.

Ale nawet i herby szczeropolskie, o runicznym wejzeniu, odnajdują się tam wcale nierzadko, w bardzo blizkiem do rysunku heraldycznego upostaciowaniu. Spotkać tedy można podobnych do herbów: Cielątkowa — tamh 4, Jasińczyk — 4, Radwan — 3, Ogończyk — 2 itd.

Czy może i pomiędzy ostępy Kaukazu małopolska szlachta godła swe zaniósła?!

Wracając do heraldyki ruskiej wogóle, w stronę której z konieczności tylko zmuszeni zostaliśmy zrobić dalszą wycieczkę, tem wyraźniej teraz zaznaczamy, że nie należy ona integralnie do dziedziny pierwotnej heraldyki lechicko-polskiej, lecz stanowi świat swój odrębny, z niejednorodnych pierwiastków złożony. Cały ten świat z czasem zatonął wprawdzie w falach wezbranego morza narodu szlacheckiego zgasłej Rzpltej, którego poziom sam on dopływy swymi znakomicie podniósł i rozpostarł. W falowaniu wspólnem, powszechnem, przystosowując wogóle formy swe życiowe podług potrzeby do wzorów przeważającego typu, przeobraził i godła swoje, aż do ostatecznego ich upostaciowania, uherbowienia. Ale pierwiastkowych, sobie właściwych, motywów nie zatracił.

Badanie tego świata, jeśli do kogo, to do nas najpierwej należy. Zbyt mało jeszcze na tem polu zrobiono. Zwróćmyż z kolei, kto bliższy, nasze siły i ku tej stronie. Mniejsza w tym razie i o maksymę: przez rozjaśnienie części oświećta się promiennie i całość. We wszystkich badaniach naszych Ruś jako Ruś przedewszystkiem traktujmy; tego wymagają i istota rzeczy i postulaty etnologii, która o prawa swe upominać się też nie przestanie. Zresztą w dziedzinie heraldyki istotnie wszystko jest wyraźniejsze: i wpływ normandzki i orientalny. Śledzenia prądów tego wpływu

i u nas poniechać nie możemy. Porównania, zestawienia, stawienia naoczne faktów napozór jednorodnych u nas i u najbliższych naszych sąsiadów-pobratymców, wobec wymagań nauki, są nieuniknione. Rusz zaś, głębiej pod tym względem sama w sobie zbadana, nie może nie dostarczyć nam danych, które zdołają ułatwić już same przez się rozwiązanie niejednej poważnej wątpliwości i w naszym zachodnim obrębie.

Tymczasem co do studyów naszych heraldycznych wogóle, zdaje się, iż, po uznaniu za ich podstawę główną źródłowych, rozleglejszego zakresu, badań historyczno-socjologicznych, stanęły one w ostatnich czasach, dzięki tylu i tak znakomitym pracownikom na ich polu, mimo sprzecznych poglądów i stanowisk, na należytych a niewzruszonym gruncie. Ożywienie działalności eksploracyjnej w tej dziedzinie, które tylko podnieść może przewidywane pomnożenie zastępu badaczy przez nowe siły, zapowiada odtąd jeszcze szybszy postęp. Można mieć tedy nadzieję, że dalsze badania socjologiczno-heraldyczne będą spotykać coraz mniej zawad i przeszkód, a w miarę tego i historyczna etnografia coraz nowymi nabytkami bogacić się będzie.

W SPRAWIE ŚREDNIOWIECZNEJ HERAL- DYKI LITEWSKO-RUSKIEJ. *)

„Rycerstwo polskie wieków średnich”, przez d-ra Fran. Piekosińskiego. Tom I.
„O dynastycznym szlachty polskiej pochodzeniu”. Praca odznaczona w r. 1888
przez Akad. Umiej. złotym medalem. Kraków, 1896.

Ostatnie to dzieło d-ra Piekosińskiego, które tu u góry zaznaczyliśmy, jest właściwie, jak o tem sam autor nas uprzedza, tylko drugim poprawionem wydaniem znanej już znakomitej jego pracy, wydanej jeszcze w r. 1888. Sąd zatem krytyczny o niem byłby, w zasadzie, powtórzeniem tylko uwag i zdań, jakie wypowiedzieli już w swoim czasie recenzenci i sprawozdawcy, bardziej obiektywni, o „Dynastycznym szlachty polskiej pochodzeniu” wydania poprzedniego. Z natury rzeczy i ja też sam mógłbym powtórzyć wogóle to tylko, co przy okoliczności miałem sposobność wyrazić przygodnie w artykule mym sprawozdawczym, zamieszczonym w t. V czasopisma „Wisła” z r. 1891. I na temby się poprzestało, z dodaniem chyba nadto wyrazów wdzięczności dla autora, że chciał nas nowem, poprawnem wydaniem tak świetnej pracy obdarzyć. Ale przezierając to nowe d-ra P. dzieło, spotkałem tam, pom. inn., we wstęp-

*) Kwartalnik historyczny, 1898 r., zesz. III.

nym onego dziale (na str. 54 i 55) apostrofe wprost oświadczyć ku mnie zwróconą. Że zaś potrąca ona o pewną zasadniczą historyczno-etnograficzną kwestyę, zostającą w ścisłym związku z zakresem wewnętrznego życia Rusi, które właśnie ostatnimi czasy bardziej mnie zajmuje, więc, tak w interesie nauki, dla zwrócenia żywszej uwagi na sam przedmiot, mniej dotąd uwzględniany, jak i w dowód wysokiego uznania dla tej miary uczonego, co dr. P., poczuwam się do moralnego obowiązku dać mu należną odpowiedź.

Apostrofa sama brzmi oto jak następuje:

„Mniej (od St. Łaguny i J. K. Kochanowskiego) pobłażliwym okazał się dla teoryi autora p. Aleksander Jabłonowski w artykule pod tytułem „Najnowsze teorye heraldyczne pochodzenia polskiego społeczeństwa szlacheckiego ze stanowiska etnograficznego”, zamieszczonym w czasopiśmie „Wisła”, t. V z r. 1891, str. 104. Protestuje on z całą stanowczością przeciw zapatrywaniu autora, jakoby ruską heraldykę uważać można jako młodszą siostrzycę heraldyki polskiej, i raczej woli w niej dopatrywać się wpływu Kabardów i Abadzechów kaukaskich. Jest to rzecz gustu. Jeśli autor dla salwowania oryginalności heraldyki ruskiej woli w herbach ruskich średniowiecznych dopatrywać się raczej tamh dzikich Kabardyńców, niż herbów ucywilizowanych Polaków, niechaj ma! Ja nie zamierzam bynajmniej windykować tamh tych dla heraldyki polskiej średniowiecznej, ale nie przestanę heraldyki ruskiej uważać mimo to za najznakomitsze źródło do wyjaśnienia heraldyki polskiej średniowiecznej. Bo gdyby się nawet pokazało, że heraldyka polska średniowieczna na heraldykę ruską żadnego wpływu nie wywarła, że zatem ruskiej heraldyki nie można uważać za córę heraldyki polskiej, lecz że heraldyka ruska ma swoje osobne rodzime warego-ruskie źródło, to i tak heraldyka ruska nie przestałaby być siostrzycą heraldyki polskiej, gdyż obie z jednego źródła, mianowicie z futorku runicznego skandynawskiego, pochodzenieby swe wywodziły. Aka-

demia Umiejętności zaś nagrodziła pracę autora złotym medalem z fundacyi Probusa Barczewskiego, jako najlepsze współczesne dzieło historyczne”.

By należycie, kategorycznie, odpowiedzieć na ową d-ra P. apostrofę, najlepiej będzie, gdy, trzymając się porządku zdań w niej wypowiedzianych, damy na każde z nich osobne wyjaśnienie. A więc:

Otóż, najprzód, takiej powagi uczony, jak dr. P., po-błażliwości dla swych teorii chyba wcale nie potrzebuje!

Czy zaś ja okazałem się mniej pobłażliwym od innych recenzentów, choćby n. p. od prof. Łaguny (że go autor po imieniu wskazuje), łatwo się o tem przekonać z owej „życzliwej oceny”, jaką znajdujemy w artykule tego ostatniego, zamieszczonym w tymże „Kwartalniku hist.” z r. 1890. Przecież nie inaczej on się tam wyraża, jak: że wprawdzie teoria runiczna jest świetnie pomyślana — niezbyt często spotkać się można z budową tak systematycznie wzniesioną, w której części wiązałyby się w imponującą całość; lecz niestety podstawa tej budowy tak chwiejna, tak wątpliwej wartości, że i wszystko, co się na niej wznosi, utrzymać się nie jest w stanie. Runiczno-dynastyczna teoria Piekosińskiego, powiada on dalej, usystematyzowana, urąga wprost tak historii, jak i etnografii: autor, którego przedmiotem miało być rozjaśnienie tak pierwszego zawiązku społecznego, jak i domniemanego runizmu pierwotnych znaków wojennych (rodowych) szlachty piastowskiej jedynie, zapatrzony w swą hipotezę, a nie czując gruntu pod sobą, sięgnął po podwaliny w świat pokrewny wcale, lecz obcy (ruski); czuł on doskonale całą tego niestosowność, ale się osłonił nową ad hoc historyczną fikcją itp. itp. Oto w istocie swej ocena prof. Łaguny teorii d-ra P.; dalej ja sambym się może nie posunął!

Z mojej też strony, wypowiedziałem był w artykule sprawozdawczym, podanym w czasopiśmie „Wisła”, co następuje:

„Wciągnąć cały bogaty i oryginalny materiał heraldyki ruskiej i rusko-litewskiej w zakres heraldyki szczero-polskiej z przed Unii, podporządkować pierwsze drugiej, jak to zrobił dr. P., do tego surowa nauka nikomu prawa dać nie może. Dla nas zdała wygląda to jakoś bardzo po krakowsku. My — od Kijowa — inaczej zabytki kultury starej Rusi rozumiemy. Świat to odrębny i tyleż w swem życiu samoistny, co i świat lechicki; jest mu pokrewny bardzo, więcej może nawet, niż jak to nam zwykle dotąd się zdaje; owiany został pierwszym społeczno-organizacyjnym tchnieniem z jednorodnego ogniska, ale nie jest jakąś kopia tamtego. Powoływać na świadectwo fakty wewnętrznego ruskiego życia prastarej doby, jako charakterem tyle sobie blizkie, jednorodne — i wolno i należy; wcielać je natomiast przedwcześnie, wobec chronologii, w obręb życia lechicko-polskiego — więcej jak nie wypada”.

Więc oczywiście protestuję z całą stanowczością przeciw zapatrywaniu dr. P., jakoby ruską heraldykę uważać można jako młodszą siostrzycę „heraldyki polskiej” — a jeśli mam je za siostry, to tylko za rówieśnice, za bliźnięta. Że zaś wolę niby dopatrywać w heraldyce ruskiej wpływu raczej Kabardów i Abadzechów kaukaskich — „co jest rzeczą gustu” — na to powiem najprzód, że to może dowcipne, ale czy poważne? A dalej — w zakresie nauki historycznej ja nic nie „wolę”, ja badam i notuję tylko fakta — bezwzględnie, jakie mi się nasuną. Tak i w tym oto razie. Wobec widocznej różnorodności zasadniczych motywów średniowiecznej heraldyki ruskiej, wśród których, obok znaków za runiczne przez dr. P. uważanych, a prędeż przez Waregów bezpośrednio na Ruś wniesionych, spotykamy i „bukwalne”, z liter cyrylskiego alfabetu (co już dostrzegali Lelewel i Darowski), i symbolistyczne, ogólnie aryjskie (na co wskazywał Marcinkowski), nic naturalniejszego, że nasuwało się samo przez się pytanie, czy też i najbliższy, turański przeważnie, Wschód nie wniósł czego pod tym względem. Na

tak postawione zapytanie nie trudno było odpowiedzieć — i odpowiedzieć twierdząco: wiadomości nasze o tym tam Wschodzie nie są już dziś tak ubogie. Dla udowodnienia wpływu na średniowieczną heraldykę ruską wogóle i tego też, azyatyckiego, źródła, udowodnienia choć w zasadzie, nadto dla zwrócenia na nie uwagi przyszłych badaczy heraldycznych, ponieważ przedmiot ten, ile wiemy, nie był dotykany u nas przez nikogo, poważylęm się, jakby na wstępie, sam tego, w mym cytowanym już artykule, przykładowo dotknąć. Na razie poprzestałem na „spisie tamh czyli znaków rodowych górali kaukaskich”, podanym graficznie; a prócz tego — na znakach, żywo owe tamhy kaukaskie przypominających, jakie okrywają kamień, znaleziony na stepie zaporoskim koło Krzywego-rogu. Zatrzymałem się na tym materiale tem poważniej, ile że pokrewieństwo tych znaków musiałem przyjąć za znamienne, stwierdzające, i w zakresie jednorodności symbolów, znany odwieczny stosunek bliższy Niżu dniewprwego z podgórzem Kaukazu. Nie prowadzi to wcale do orientalnie-fantastycznej hipotezy Sękowskiego. Zato, zestawiając ściślej znaki pieczętne ruskie z owymi tamhami, spostrzegamy uderzające, choć nie niespodziane fakty. Mniejsza, iż wśród tych 300 z górą tamh znajduje się sporo motywów runicznych d-ra P-go, jak i z cerkiewnego greckiego alfabetu; co ważniejsze — pomiędzy znakami ruskimi, z runicznych niby motywów, znajduje się kilka, których postać zupełnie jest taka sama, jak odpowiednich tamh. Uderza zaś nadto, że należą one do rodzin, których pochodzenie turskie, czy kaukaskie, jest zupełnie czy prawie niewątpliwe. I rodzin tych oraz ich herbów z kolei poszczególnie dotykam. Co więcej, między owymi tamhami spotykamy odbicie symbolów, znajdujących się na normańskim grocie kowelskim, motywowe i zupełne nawet, które, jako ogólnie aryjskie, nie powinny też zadziwiać wśród Kabardów i Abadzechów. Oto i wszystko właściwie, co o tem w mym artykule (w „Wiśle”) byłem powiedział. Jakże tu więc da-

leko od tego, że ja „wolę” niby przyznawać przeważający wpływ tych ostatnich ludów na średniowieczną heraldykę ruską. Nie o jakichś Kabardów etc. tu chodzi!—jak to i sam dr. P. napewno dobrze rozumie.

A co do „gustu” mego—wyraża się tu coś więcej, bo zasada, bo metoda nawet. Mianowicie: oto wobec znanego powszechnie, lecz ogólnikiem tylko, ścisłego stosunku starej Rusi z turańskim (przeważnie) jej sąsiedztwem, przyszedł już czas nareszcie zapoznania się z istotą tego stosunku i w szczegółach. A że nie widzę, żeby się ktoś brał do tego na seryo, bo orientaliści nasi nie zajmują się własną historią, a historycy turskich języków nie znają, więc już ja sam, z zasady, na ile mi tam nieco większe (od innych badaczy dziejów wewnętrznych Rusi) obycie się z bliższym nam muzułmańskim Wschodem pozwala, przy każdej nadarzającej się okoliczności, na wyraźniejsze ślady wschodniego na nasz świat wpływu wskazywać próbuję. Tak np. i w tym też „Kwartalniku” z r. 1893, w rodzaju próby a dla podniety, podałem w artykule p. t. „Etniczna postać Ukrainy w epoce zjednoczenia jej z Koroną”, wyniki swoich osobistych z tego zakresu badań. Tak też, wskazując przygodnie na zabytki archeologiczne Ukrainy, jak i na kaukaskie tamhy, chciałem jedynie zwrócić uwagę na potrzebę uwzględniania wpływów (na Ruś) wschodnich i pod względem heraldycznym nawet. I oto mój „gust”.

Nie dla „salwowania” tedy oryginalności średniowiecznej heraldyki ruskiej zwracałem ja uwagę badaczy na tamhy sąsiadów Rusi azyatyckich. „Salwować” jej oryginalności wcale niema potrzeby; oczywiście—nie oryginalności bezwzględnej, bo o takowej, po tem, cośmy już tu wyżej dotknęli, i mowy być nie może, lecz względnie do średniowiecznej heraldyki polskiej. Naprawdę bowiem, fikcją jedynie jest przypuszczenie, jak to już prof. Łaguna dobitnie zaznaczył, iż herby, na tematach runicznych oparte, zanesione na Ruś zostały przez szlachtę polską i drogą adoptacji szlachcie ruskiej

udzielone, od której następnie przedostały się na Litwę etc. Czyż nie łatwiej byłoby to objaśnić bezpośrednim wpływem skandynawskim — Waregów, Wikingów? Jak tam z tem wreszcie jest, powtarzamy, że średniowieczna heraldyka raska nie należy integralnie do dziedziny pierwotnej heraldyki lechicko-polskiej, lecz stanowi świat swój odrębny. Cały ten świat z czasem zatonął wprawdzie w falach wczesnego morza narodu szlacheckiego zgasłej Rzplitej, którego poziom sam on dopływy swymi znakomicie podniósł i rozpostarł. W falowaniu wspólnem, powszechnem, przystosowując wogóle formy swe życiowe podług potrzeby do wzorów przeważającego typu, przeobraził i godła swoje, aż do ostatecznego ich upostaciowania, uherbowienia. Ale pierwiastkowych, sobie właściwych motywów — nawet i wtedy — nie zatracił. „Salwowania” też jego względnej oryginalności wcale niema potrzeby. A cóż dopiero salwowania przez dopatrywanie niby jedynie w herbach ruskich średniowiecznych raczej tamh dzikich Kabardyńców, niż herbów ucywilizowanych Polaków!

Co zaś do samych, tych tam, „dzikich” Kabardyńców i wogóle im pokrewnego świata, to jeszcze winien jestem powiedzieć: nie sromajmy się go też dziś tak bardzo, my tyle już we śródwieczu „ucywilizowani”. Nie wzdragaliśmy się przecież przejmować, za pośrednictwem Rusi, od niego i naszych kontuszów a żupanów, i rzędu czerkieskiego, i zbroi petyhorskiej i wielu, wielu innych rzeczy; a nawet szczytiliśmy się niegdyś bitnością petyhorskich chorągwi, jak później pocztów ułańskich! A na Rusi samej, ukraińskiej przedewszystkiem — tyleż to starszyny rodów turskich, i nie turskich może, weszło w skład jej ziemiańskiego zastępu (bo taki tylko wobec heraldyki nas obchodzi); więc cóż naturalniejszego, gdy wśród starych pieczętnych znaków onego sporo podobizn tamh azyatyckich dopatrywać się daje. I nie tylko tamh, lecz i symbolów oryentalnych wogóle, przedo-

stających się ku Zachodowi znaną drogą ich migracyi! Nie sromajmyż się!

Ze dr. P. dalej owem „niechaj ma”! mnie samemu tylko pozostawia uwzględnianie poważniejsze w średniowiecznej heraldyce ruskiej tamh oryentalnych—rzecz zrozumiała: sprzeczne to z wyłączością jego runicznej teoryi. Ale choć mi to samemu tylko pozostawia, nie uwalnia to mnie jeszcze, o ile więcej nieco obeznanego i z Rusią i z bliższym jej Wschodem, od obowiązku zwracania uwagi i innych też badaczy życia jej wewnętrznego w głębszej przeszłości na potrzebę pilniejszego liczenia się z wpływami wschodnimi, nietylko wogóle, lecz i w szczegółach. Tak ja „mam” to sobie tyle za obowiązek, co i za prawo!

Zwracałem też już uwagę, że nietylko ruskie, lecz nawet szczeropolskie herby, o runicznym wejrzeniu, odnajdują się wśród rozważanych tamh wcale nierzadko, w bardzo blizkiem do rysunku heraldycznego upostaciowaniu—i pytałem: czy może i pomiędzy ostępy Kaukazu małopolska szlachta godła swe (jak na dawną Ruś i Litwę, niby) zaniosła? Ze dr. P. dał na to odpowiedź, iż nie zamierza bynajmniej „windykować” tamh tych dla heraldyki polskiej średniowiecznej — nic naturalniejszego.

Ależ nie dlatego przecie, nie „mimo to”, nie przestanie i on heraldyki ruskiej uważać za najznakomitsze źródło do wyjaśnienia heraldyki polskiej średniowiecznej; stosunek tego rodzaju dwóch tych heraldyk przyznany zasadniczo. Bo też to, co dr. P. stawia tylko warunkowo, powiadając, iż „gdyby się nawet pokazało, że heraldyka polska średniowieczna na heraldykę ruską żadnego wpływu nie wywarła, że zatem ruskiej heraldyki nie można uważać za córę heraldyki polskiej, lecz że heraldyka ruska ma swoje osobne rodzime warego-ruskie źródło”—my to przyjmujemy twierdząco. Z zastrzeżeniem jedynie, że w zasadzie mogła heraldyka polska wywierać też na staro-ruską wpływ jakiś, o którym wszakże nie wiemy, a nadto, że tej źródło wa-

regskie nie jest przecie jedyne. Przyznaję zarazem stanowczo, podobnie jak on, iż „obie z jednego źródła, mianowicie z futorku runicznego skandynawskiego (wyłącznie), pochodzenieby swe wywodziły”. Dość tu wspólności głównych choćby tylko motywów. Czy zaś ta siostrzyca może być uważana za młodszą, pomimo, że $\frac{2}{3}$ niemal (z 540) herbów jego dynastów polskich należy, jak to już prof. Łaguna wskazywał, do średniowiecznej heraldyki litewsko-ruskiej—o tem wypowiedziałem się już wyżej.

Ale wobec tego nikt też nie podda najmniejszej wątpliwości, że heraldyka litewsko-ruska jest „najznakomitszym źródłem do wyjaśnienia heraldyki polskiej średniowiecznej”. Zaznaczyłem to już był w sprawozdawczym mym artykule, że wszystko też jest w niej wyraźniejsze — i wpływ normański i orientalny. Śledzenia zatem tego wpływu i u nas poniechać nie możemy. Porównania bowiem, zestawienia, stawienia naocznych faktów napozór jednorodnych u nas i u najbliższych naszych sąsiadów - pobratymców, wobec wymagań nauki, są nieuniknione. Ruś zaś, głębiej pod tym względem sama w sobie zbadana, nie może nie dostarczyć nam danych, które zdołają ułatwić już same przez się rozwiązanie niejednej poważnej wątpliwości i w naszym zachodnim obrębie. Byleśmy tylko, we wszystkich badaniach naszych, Ruś tę jako Ruś przedewszystkiem traktowali; czego zresztą wymagają i istota rzeczy i postulaty etnologii, która o prawa swe upominać się też nie przestanie.

Na zamknięcie czuję się w obowiązku najuroczyściej oświadczyć, że, nie przyjmując ani dynastycznej, ani wyłącznie runicznej nawet teorii dr. P., jak i związanych z nią hipotez, protestując nadto stanowczo przeciw wcielaniu przedwczesnemu heraldyki litewsko-ruskiej w zakres średniowiecznej szczerze polskiej, nie zrobiłem jeszcze przecież żadnej ujmy znakomitej jego pracy, nagrodzonej przez Akademię Umiejętności złotym medalem! Nie na tej też teorii polega niespożyta wartość naukowa jego zdobyczy na polu

historyografii naszego narodu! Co zaś do uwieńczonej pracy, już sama komisya historyczna Akademii uprzedziła nas, zaznaczając, że „teorya „runiczna” d-ra P. (bo „dynastyczną” milczeniem pominięto) stanowi tak misterną i ściśle logiczną konstrukcyę, iż obalenie jakiegokolwiek zasadniczej części składowej mogłoby zachwiać całością”. Niestety, część taka z łatwością dopatrzeć się dała. Apostrofa wszakże, zwrócona jedynie ku mnie, chyba była co najmniej zbyteczna!

POCZET RODÓW W. KS. LITEWSKIEGO.*)

„Poczet rodów w Wielkiem Księstwie Litewskiem w XV i XVI wieku”. Ułożył i wydał Adam Boniecki. Warszawa, 1887, 8°.

Z prawdziwem uznaniem powitaliśmy pracę p. A. Bonieckiego, noszącą powyższy tytuł, która uwieńczyła kilkoletnie pilne i sumienne poszukiwania archiwalne zasłużonego na polu heraldyki polskiej badacza.

O ile z samego tytułu pracy wnosić należy, wziął w niej sobie autor za zadanie odszukać, zebrać i w pewną systematyczną całość ułożyć wszystko to, cokolwiek w autentycznych, urzędowych przedewszystkiem źródłach dałoby się znaleźć, odnoszącego się do rycerskich rodów W. Ks. Litewskiego z epoki, która poprzedziła Unię jego z Koroną. Oderwane fakty, zdobyte w źródłach wydanych lub spoczywających jeszcze w archiwach, widzimy zatem zestawione tutaj w pewne grupy i podane w układzie alfabetycznym, podług nazwisk rodów lub pojedynczych osób, niejednokrotnie z imienia tylko znanych, do których fakta się odnoszą. W grupach zaś fakta te uszeregowane ile możności w porządku chronologicznym. W ten sposób powołani tu są jakby do urzędowego w przeróżnych okolicznościach stawienia się wszelacy, jeśli nie wszyscy kniaziowie i boja-

*) Biblioteka Warszawska, 1887 r., t. IV.

rowie Litwy XV i XVI-go wieku, którzy zostawili jakikolwiek ślad po sobie w ówczesnych aktach oficjalnych *Metryki W. Księstwa* i innych dokumentach owej epoki. Przedstawieni są nadto w owym imiennym jakby popisie, w teje samej, ile można, surowej, prostaczej nawet postaci, w jakiej występowali w życiu, gdzie się dało, w splocie mniej lub więcej szerokiego rodowego związku, często zaś i bez żadnych wskazówek na węzły familijne, indywidualnie tylko prawie — przy okoliczności jakiegoś nadania, zapisu, testamentu, działu, sąsiedzkiego zatargu, sporu rodzinnego i t. p.

Historyografia wymaga od podobnego rodzaju wydawnictw nadewszystko nagich faktów, oczyszczonych krytycznie z wszelkich przymieszek, z luźnych naleciałości. W tym też zakresie nie mają dla niej wagi żadne późniejsze genealogiczne legendy i wywody fantazyjne.

Wprawdzie skutkiem owej surowej ścisłości za mało istotnie w rozważanem przez nas dziele weszło treści anegdotycznej, obrazowej, obyczajowej, tyle pożądanej dla pełniejszego zrozumienia życia rodzinnego i społecznego każdej epoki. Dość przecie wcisnęło się tu, niby samochcąc, złomków tego rodzaju, służących za wskazówki zbyt nieraz wymowne, ile mniej spodziewane, przy których pomocy rozwidnia się nam niejedna strona życia nieznaną.

Głównem źródłem, stanowiącem samą podstawę treści poważnej tej pracy, są oczywiście odpisy ksiąg *Metryki litewskiej* z XV-go i XVI-go wieku, uzupełnione danymi, jakie się znalazły w zbiorach drukowanych rozmaitych aktów, hramot, dokumentów oraz materiałów przeróżnych, jak specjalnych monografi, a nawet kilku archiwów prywatnych.

Pracę swoją poprzedził autor odpowiednią „Przedmową”, w której tłómaczy pobudki nadanej formy swemu kompendyum. Posiadając oto *Sumaryusz najstarszych ksiąg Metryki W. Księstwa* do połowy XVI-go wieku, uważał za najodpowiedniejsze spożytkować treść jego przez ułożenie

alfabetyczne heraldycznego wykazu, wzbogaconego zasiłkiem z innych znanych już źródeł tegoż zakresu, w głębokiem przekonaniu, że tak bogate roztoczenie szczegółów nie może nie przyczynić się do jaśniejszego wytłómaczenia niejednego zawilego faktu z dziejów ogólnych kraju.

Stąd praca ta posiada nadewszystko wartość informacyjną, ogarniając jako „Poczet rodów”, ze szczególniejszą ścisłością, rody znakomitsze W. Księstwa, dając też dokładniejsze wskazówki o dostojnikach państwa, o datach ich urzędowania etc. Przy końcu zaś dzieła podany jest podług kategorii, a w chronologicznem po sobie następstwie, porządnym spis wszystkich nietylko wysokich dygnitarzy duchownych i świeckich, lecz i urzędników pomniejszych, którzy występują w samym tekście.—Znajdziemy więc tu w szeregu alfabetycznym: chorążych, ciwunów, gajowników, kluczników, koniuszych, krajczych, kuchmistrzów, leśniczych, łowczych, mieczników, mostowniczych, okolniczych, pisarzy, podczaszych, podkomorznych, podsędków, podstarościch, podstolich, podwojewodczych, sędziów, stolników, wojskich i in.

Wśród tytułów urzędowych, podawanych również w tekście, jak i w rodowodach osób, niepomału to nas musiało dziwić, gdyśmy spotykali przy imionach pewnych kniaziów tytuł „ataman kozacki”. Że taka nota zresztą znajduje się np. w rodowodzie ks. Różyńskich przy dwóch kniazich tego domu, można ją byłoby jeszcze wytłómaczyć potrzebą krótszego, ile się da, terminu. Ależ i w tekście samym, przy tychże osobach: ks. Ostafim Iwanowiczu, który był pierwiej namiestnikiem kaniowskim i czerkaskim ks. Ostrońskiego, później zaś (1581) kijowskim — autor wyraźnie zaznacza: „W latach 1579—1586 pełnił on i brat jego Michaiło urząd „atamana kozackiego”. Co za zamącenie pojęć: namiestnik ukraińskich zamków królewskich owego czasu „pełni urząd” atamana kozaków! Tymczasem było to przecie niemożliwe — nawet względem „posłusznych”. Nie wesprze tego chyba K. Stadnickiego powaga (Synowie Gedymina)! Że

kniaziowie przeróżni, jako namiestnicy czy starostowie zamków kresowych, hetmanili, „atamanili” często luźnym drużynom, „kozakom”, swych starostw w stepowych wyprawach — rzecz to powszechnie wiadoma. Za przykładem głośnego Ostafa Daszkiewicza „kozakował” niejeden starosta królewski, kozakowali też i kniaziowie — Wiszniowieccy, Różyńscy i inni. Niewątpliwie drużyny ich — „kozacy takiego a takiego kniazia” — zwracały się ku nim, jako ku swym „bat’kom — atamanom”, lecz oni napewno nie „pełnili urzędu” atamanów u „swoich” a nawet i zaporoskich kozaków. Dla wyraźniejszego unaocznienia rzeczy, przypominamy tu, iż ten zapęd atamanienia i kozakowania, choć coraz to w odmienny sposób, przeżył u naszych paniąt ukraińnych nawet upadek Rzpltej; czego dowodem ów kniaź-kozak” ze Steblowa i „emir” sawrański. Wypada nam być tedy bardzo ostrożnymi w używaniu tak elastycznych terminów, mniejsza już o to, iż niktby nas przecie nie posądził o niebaczne potakiwanie scholastycznej systematyce starej, wygasającej już doktryny mało-rosyjskiej.

Ale wróćmy do samej pracy p. Bonieckiego. Otóż z dzisiejszego stanowiska historyografii, praca tego rodzaju przekracza oczywiście wartość heraldycznego almanachu czy przewodnika, przeznaczanego zwykle do zaspokojenia powszedniej ciekawości, częstokroć tylko przez próżność podniecaną. Obecnie, gdy w przeszłości doszukujemy się przede wszystkim śladów życia wewnętrznego, społecznego, domowego, właśnie taka jedna kronika rodowodowa staje się dla nas pożądanym przyczynkiem, zbogacającym nieliczny zasób dzieł wydanych, których przeznaczeniem ułatwienie orientowania się swobodniejszego wśród zawilej gmatwaniny faktów przy szerszych poszukiwaniach.

Ma to wprawdzie większe znaczenie dla ziem dawnych rusko-litewskich, aniżeli dla polaci lechickiej późniejszej Rzpltej, ale właśnie o rozjaśnienie mniej znanego życia tamtych,

w obecnym stadium naszych badań historycznych, więcej nam chodzić musi; gdy charakter zmierzających ku zrzeszeniu się społeczeństw tak widocznie odmienny. Rozumie to należycie sam autor, gdy mówi o tem we „Wstępie”.

Spółczenstwo W. Księstwa przed Unią wyróżniało się wielce od szlacheckiego w Koronie, powstało z innych pierwiastków, jako też następnie rozwijało się inaczej. Przeważną w niem grał rolę żywioł dynastyczny rozradzającego się w nieprzeliczony drobiazg kniaziostwa, zacierającego w ciągłym krzyżowaniu się różnice pierwotnego pochodzenia z rodu Gedymina czy Ruryka, prastarych kunigasów litewskich lub sołtanów kipczackich. Inne warstwy wojenno-ziemiańskie, w feudalnym szczeblowaniu piętrzącej się budowy polityczno-społecznej rzeszy litewskiej, poczęły się przez rody silniejsze dźwigać ku normie udzielnomożnowładzczej, modelującej się bardziej podług wzorów dalszego Zachodu, gdy szczeble niższe bojarstwa ledwie śmiały marzyć o swobodach, już dawno zdobytych przez szlachtę polską. Ponad tem wszystkim u szczytu wznosiła się władza dziedzicznie panującego rodu Jagiellonów. I samo więc życie wogóle toczyło się różnymi od polskiego tory. Mimo to zawierało się ono tutaj nie tyle w zamkniętej sferze dworu monarszego, ile wśród zastępów nieprzebranego rojowiska dynastyczno-feudalnego, z którego z czasem (po Unii) wytworzy się we wschodniej połaci Rzpltej owo rozkiełznane możnowładztwo, co nakoniec zacięży tak fatalnie i nad losem całego narodu polskiego! Lecz i wtedy już decyduje nieraz w W. Księstwie o sprawach natury ogólniejszej współzawodnictwo pewnych grup rodowych, idące ściśle w parze z porywami ku autonomii własnej, jeśli nie ku supremacji nad całą litewską rzeszą pewnych ziem i okolic.

Przy pomocy „Pocztu rodów” dałoby się przeprowadzić poniekąd i samo ugrupowanie rodów terytoryalne, podług ziem, resp. województw, a nawet powiatów, gdyby

chodziło o ziemiańską drobnotę. *) Dokładna znajomość stosunku pokrewieństwa rodów, osobliwie potężniejszych, ułatwia niepomiarne śledzenie, w zawitych przedewszystkiem sprawach, nici przewodniej, pobudek i prywatnych interesów, spoczywających na dnie zadań i faktów ogólnego znaczenia. Takie kompendyum, nie zdradzające nawet cienia ustępstw dla żadnej próżności familijnej, może służyć za dokładny przewodnik dla historyka.

Bez głębszych badań wiemy już ogólnie, że różnie były ukształtowane kroczące ku unii politycznej dwa podstawowe społeczeństwa przyszłej Rzpltej—wschodnie i zachodnie. Co do pierwszego, to sam proces powolnego łączenia się jego z Koroną najwydatniej może się ujawniać na tle walki możnych rodów, grup całych z grupami, a nawet rozszczerzonych gałęzi jednego rodu. Oto grupa staro-litewska (już katolicka) zwiera się ze staroruską (jeszcze grecką), nowo-wyrastający z bojarstwa możni panowie z uboższem kniazioństwem idą w zapasy, duma zaś pojedynczych osób rozstrzela widoki najbliższych członków tejże rodziny (jak np. Ostrogskich). Lecz zrozumieć tego należy bez znajomości stosunków genealogicznych niepodobna.

Otóż w dziele rozważanem posiadamy nietylko, ile można, pełne informacye genealogiczne w tekście, lecz nadto p. B. wzbogacił je osobnymi rodowodami wszystkich znaczniejszych domów, tak kniaziowskich, jak i możnowładczych, ułatwiającymi znakomicie oryentowanie się w chaosie imion etc. Utrzymana tu ścisłość i dokładność wzorowa. W zakresie rodowodów autor nie pozwala sobie na żadne hazardowne kombinacye i wywody. Podaje pochodzenie i protoplastów tam tylko, gdzie wątpliwość została już wyświetlona dostatecznie. Naprz. kolebkę domu ks. Zbarazkich z jego gałęziami wskazuje w rodzie ks. Nieświckich; Radziwiłłów

*) Redakcja, skrópowana żądaniem autora, pozostawia sprawę języka i stylu na jego odpowiedzialności.

wyprowadza od Ościka i t. p. Lecz zarazem podaje w wątpliwość wersję (p. J. Wolffa) co do litewskiego pochodzenia Czartoryskich i Sanguszków. Odosobnieni: Niemiry, Niemirowie, Niemirowicze, Niemirycze i t. d. rodziny o podobnie brzmiących nazwach. Co więcej — widoczna zbytnia nawet oględność. Tak np. podani oddzielnie: Borzobohaci i Borzobohatowicze, Butrymy i Butrymowicze, Kewła i Kewlicz, Orda i Ordycz, Pesoczyński i Piasoczyński, Seheń i Sieheń i wiele in. Chociaż z drugiej strony należy z największą ostrożnością zbliżać genealogicznie nazwy bliskie sobie — osobliwie patronymiczne. Czyż bowiem napewno do jednej rodziny należą: Tretiak i Tretinicz? lub nawet Maćkowicz, Maćkiewicz i Mackiewicz; Narkiewicz i Narkowicz, Steckiewicz i Steckowicz, Wołodkiewicz i Wołodkowicz i w. in.? Niejednokrotnie zaś wcale niełatwo odnieść jakąś nazwę patronymiczną podwójną do pewnej określonej rodziny. Ktoby się np. domyślił, nie będąc obeznanym z rzeczą, że ów dzielny „dyak gospodarski”, Lew Patejewicz Tyszkowicz, który 1545 r. dokonał tak chlubnie rewizyi zamków ziemi Wołyńskiej (p. Żr. Dz. t. VI), należał do rodu Pociejów? Autor przecie podobne trudności należycie rozwiązuje.

Oprócz tego musimy przyznać słuszność p. Bonieckiemu, iż imiona i nazwy podał w takiej postaci, w jakiej występują w samych aktach. Myliłby się atoli, ktoby z formy chciał stanowczo wnioskować o krwi lub wyznaniu osoby. Ówczesny język urzędowy litewsko-ruski podciągał obce mu dźwięki pod prawa swej pisowni. Stosowało się to równie do charakterystycznych właściwości mowy krywickiej, jak i ruskiej południowej, a tem bardziej i do mowy podlaskich Mazurów. Pisownia ta nie miała nawet odpowiednich znaków na oddanie takich dźwięków, jak krywickie *ć*, *dź*, lub wyłącznie polskie *a*, *g* lub *rz*. Co więcej — gdy do ostatecznego ustalenia się przewagi cywilizacyi zachodniej na właściwej Litwie trzymał się tu góra i obyczaj ruski, zatem długo jeszcze nawet imiona katolickie w formie

ruskiej nietylko pisano, lecz miano w użyciu. Stąd imiona: Bartłomiej, Bernat, Kacper, Mateusz, Rafał, Stanisław, Walenty, Wojciech i t. p., świadczą, iż noszący je byli katolicy; ale nie dowodzą przeciwnego: Bohusz, Ławryn, Matej, Stanko, Stecko i t. p., używane w rodzinach katolickich. Imiona te dowodzą tylko, iż wpływ obyczaju i języka ruskiego wśród szczerolitewskiej społeczności utrzymywał się niemały czas jeszcze za Jagiełły po pierwszym zbliżeniu się Wielkiego Księstwa z Koroną. Podobnież co do nazw rodowych. Forma używana w aktach: Jundił, Radiwił lub Kostiuszko, Potej, zamiast znanej zmiękczonej, nie przyswiadcza też, iż pierwotnie tak samo wymawiano nazwiska te, jak je pisano w hramotach; wymawiano je od początku: Jundził, Radziwił, Kościuszko, Pocij, zgodnie z wymaganiem języka równie litewskiego, jak i białoruskiego (krywickiego). Niemniej też pod osłoną pisowni oficjalnej nazw takich, jak np.: Brozka, Dubrowski, Hrymała, Radiszewski i t. p., z łatwością poznajemy mazowiecką szlachtę Podlasia.

Co do charakteru owoczesnych nazw ziemiańskich W. Ks., przeważają tu wogóle nazwy patronymiczne. Przejrzając jednak pilniej „Poczet Rodów”, widzimy ze zdumieniem, ile to utrzymało się nazw wprost imiennych, nietylko litewskich, lecz i słowiańskich, które próbowały przez pewien czas utrwalić końcówkę *icz*, lecz ostatecznie, drogą niezrozumiałej (?) ewolucyi, wróciły do pierwotnej swej formy prostego imienia. Dla przykładu: Bohuchwał, Bohowityn, Borejko, Butrym, Denisko, Domejko, Dowbor, Dowgiałło, Dowgird, Dowojna, Gasztold, Gedygolt, Gintowt, Horain, Hurko, Jundził, Karp, Kierdej, Kieżgailo, Kmita, Kostjuszko, Meleszko, Mondygird, Moniwid, Montowt, Narbut, Niekras, Niemira, Olizar, Ostik, Pac, Pocij, Sanguszko, Siemaszko, Sołtan, Radziwiłł. Z czego moglibyśmy zaznaczyć ten fakt, iż tak jeszcze nieustalona była rodowitość w tem pierwotnem, prostaczem społeczeństwie, że protoplaści późniejszej jego arystokracji poczynają ledwo stwarzać

kolebki rodowe, przekazując potomkom imiona swe osobiste jako nazwy.

Spotykamy już wśród ziemian litewskich i nazwy narodowe: Bułharyn, Chorwat, Czerkas, Dołmat, Hryczyn (owicz) Lach, Litwin, Pruszek, Serbin, Słowak, Uhryn, Wenet, Wołoszyn.

Najbardziej przecie ilustracyjnie, że tak powiem, przyświadczać prostaczości ówczesnego rusko-litewskiego społeczeństwa nazwy jego przewodniczących rodzin przezwiskowe: Białozor, Byczko, Czapla, Czaplica, Czyż, Dremlik, Drozdzcza, Dyczko, (Haha) Hahin, Hłuszanok, Hołuba (Hołubec), Hołubcewicz, Hornostaj, Jeż, Komar, Korsak, Koszka, (Kot) Kotowicz, Kozica, Kozieł, Kuropatwa, Lis i w. in. A cóż dopiero gdy do nich dołączymy istną nomenklaturę botaniczną: Cybulka, Harbuz, Hordyna, Huba, Kapusta i in. Ileż to jeszcze nazw prostaczo-przezwiskowych, satyrycznych nieraz: Bobojed, Borzobohaty, Chmara, Dudka, Hromyka, Kisel, Kiszka, Kocieł, Masło, Mazepa, Owsiany, Piwo, Podbipięta, Sapięha, Służka, Bury, Krywy etc. Przewy to jedynie słowiańskie, odnoszące się bardziej do sfery ruskiej; ale znawca litewszczyzny odszukałby podobnie i wśród rodów szczerolitewskich niemało przezwisk podobnych, wziętych ze świata żywego i nieżywego przedwiecznych puszcz Neromy i Żmudzi.

Należy tu jednak zastrzedz, że nazwa słowiańska nie świadczy zawsze o słowiańskim pochodzeniu nazywanego; owszem, nie mówiąc już o nazwach od posiadłości (np. Hołszańcy) lub patronymicznych (Olelkowicze), częstokroć przewy słowiańskie dostawały się w epoce przewagi kultury ruskiej osobom i rodzinom najniewątpliwiej litewskiego pochodzenia (choćby np. Podbipiętom). Niemało też rodzin szczerolitewskich weszło w szeregi ziemiaństwa południoworuskiego, przez nadania etc., i przybrało nazwy słowiańskie od miejscowości — np. Dorohostajskich, z rodu Rymowida idących.

Zakres pracy p. Bonieckiego nie pozwolił mu dotykać szczegółów życiowych, stanowiących właściwie samą treść aktów, z których czerpał swój materiał. Nie pozwolił mu dotykać szczegółów, charakteryzujących istotę ówczesnego życia społecznego rusko-litewskiego towarzystwa, we wszystkich onego feudalnie uszczebłowanych warstwach. A tymczasem radzi- byśmy poznać jego zwyczaje, obyczaje, pojęcia prawne i etyczne, tryb bytu rodzinnego, stopień moralności familijnej i publicznej, religijność i t. d. Nieliczne przecie wskazówki, podane we „Wstępie”, każą przypuszczać, jak wielkie skarby ukryte czekają pracownika, któryby wziął sobie za specjalny przedmiot zbadanie stanu wewnętrznego społeczności W. Księstwa w epoce łączenia się jego z Polską!

Tymczasem, rzucając wzrok choć pobieżnie na ten przedmiot, spostrzegamy wszędzie pewien feudalizm dynastyczny nietylko na wyżynach: całe zastępy rodów według legendy ze krwi panującej pochodzących. Pomińmy już tak liczne a znane powszechnie rody potężniejsze, co zajaśniawszy wygasły, lub żyją dziś jeszcze jako książęce, jakie to mnóstwo kniaziowskiej drobnoty, której potomstwo, jeśli gdzie jeszcze da się spotkać, zapomniało prawie o swym ciężkim już do noszenia tytule. Odważmy się na zrobienie choć pobieżnego przeglądu: Babicze, Boratyńscy, Borówscy, Boremlscy, Bujniccy, Burniewscy, Czerscy, Dolscy, Hłazinicze, Hłuszancki, Hołowczyńscy, Horodeccy, Jurscy, Kobryńscy, Kromscy, Kroszyńscy, Kurcewicze, Łukomscy, Massalscy, Mikitynicze. Pomnażała tę liczbę nadto wielorakość nazw, jakie przybierały rozrodzone linie jednego gniazda; tak np. pomiędzy gałęzmi jednego rodu Druckich widzimy: Bahrynowskich, Holcowskich, Horskich, Lubeckich, Odyńcewiczów, Oziereckich, Podberezkich, Widenickich. A ileż tu oprócz tego domów kniaziowskich o nazwach prostaczych! Przysłuchajmy się im, aby z brzmienia tych nazw zrozumieć zarazem i ocenić rodzaj i stopień kultury tego koła wysokiego, do którego należeli: Baba, Bachtą, Bułhaka, Bułyha, Duda, Hła-

zyna, Hłuszanok, Hołownia, Horczak, Jurała, Kapusta, Kopenpla, Kozika, Kropotka, Mamczyc, Muńcza, Puzyrna, Sanguszko, Siekira, Tołoczko, Tucza, Wdacza. Niemniej jak owe przewizy prostacze, przyświadczyłyaby o stopniu kultury tego wyższego towarzystwa i sama forma imion chrzestnych, używana w rodzinach książęcych: Andruszko, Daszko, Olelko, Petko, Stanko albo Fedka, Marusza, Opranka, Sońka — to chyba nie książęta i księżniczki, a młódź wieśniacza!

Nie koniec jeszcze przecie tym tytułowanym zastępom — nie możemy tu pominąć i tłumu kniaziów tatarskich, co chorążowali pocztom swych ordyńców, osiedlonych na Litwie — owych: Asanczukowiczów, Birdybakowiczów, Bohatyrewiczów, Chodyrewiczów, Kadyszewiczów, Malikbaszców, Tymirczyców, Urazowiczów, Wojszutowiczów i tylu in., z których przecie, zdaje się, żaden ród na wyżynę możnowładczą, choćby pod inną nazwą, nie zdołał się wydzwignąć.

Rozejrzawszy się bliżej pomiędzy tem mrowiskiem różnorakiego kniazistwa, ze zdumieniem możemy się zapytać: jak też to wszystko zdołało się trzymać nawet w tak rozległym państwie, jak W. Księstwo? Zwiększy jeszcze to nasze zdumienie uwaga, że pewne rody kniaziów już w w. XV były tak rozgałęzione, iż poza legendą niepodobna dla nich odszukać pnia wspólnego, np. Druckich wszelakich, Gedrojciów, Glińskich, Massalskich, Połubińskich. Nie trzeba nakoniec zapominać, że, oprócz imiennie podanego wyżej tłumu kniaziów, pozostaje jeszcze w krainie zapomnienia spory poczet drobnoty niegdys tytułowanej, która nie figuruje już prawie w aktach bliżej znanych. Rozpłynęli się pewnie wśród niej tacy np. zagadkowi na Rusi południowej kn. Bołochowscy, tacy przywódcy Czarnych Kłobuków — gdy nawet znanych później skądinąd, kn. Połowców-Rożynowskich nie spotykamy w „Poczcie rodów”. Jak znów z innej strony, ogólnem mianem Rurykowiczów osłania się napewno niejedyn ród przybłądny krwi zupełnie obcej: przecieź Glińskich poznaliśmy już jako Tatarów z pocho-

dzenia, a Szyszewscy, Uwarowicze lub Wieliccy, Kożanowicze widomie wątpliwego gniazda.

Po tem wszystkiem, cośmy tu wyżej, przezierając bogate kompendyum p. Bonieckiego, choć tak dorywczo tylko potrącili, występuje samo przez się zapytanie: w jaki sposób przecie, mocą jakich wpływów przemożnych, skutkiem jakiego oddziaływania nieodzownego, społeczeństwo rusko-litewskie, u świtu XV-go w. tak różne od polskiego, wprędce po dokonanej ostatecznie Unii politycznej w Lublinie, okazuje się naraz tak bardzo przeobrażonem, tak zbliżonem ku polskiemu? Kto tu najwięcej przyczynił się do takiej zmiany stanowczej? Oczywiście przyczyn tego faktu, skombinowanych, wzajem się wspierających, da się wykryć немало, zresztą główniejsze znane są z dziejów ogólnych Rzpltej, ale za to jedna z nich, niemniej od innych poważna a nadto głębsza i dalej skutkami swymi sięgająca, zdaje się być nieco za mało ocenioną i braną na uwagę. Jest zaś tej natury, iż ją tylko w świetle podobnego pryzmatu, jaki właśnie przedstawia praca autora, jaśniej dostrzedz i zbadać można. Mówimy o znaczeniu kobiety w dziele szybszego i trwalszego zbliżenia się dwóch tak różnych społeczności.

Ogólny pochód podbojowy uspołecznienia zachodniego wśród klas przewodniczących W. Księstwa, wyrażający się w obrębie stosunków domowych, rodzinnych, przyjmowaniem obrządku łacińskiego lub tylko polskiego języka i poloru w rodzinie, porywa oczywiście za sobą ród po rodzie i pociąga ku wyższej cywilizacyjnej normie. Łatwiej atoli proces ten zrozumieć, unaoczniając sobie wyraźniej łączenie się między sobą domów możnych szerokiej rzeszy Jagiellońskiej przez kobiety. Oto mniej więcej, w jaki sposób się to poczyna: najprzód rodziny możnowładzce litewskie spotykają się z polskimi u dworu, tak w Krakowie, jak i w Wilnie; dwór królewski ton nadaje i popiera nawiązywanie węzłów rodzinnych między dwoma obozami. Początkowo Polki wchodziły tylko w domy szczerolitewskie katolickie,

nim zdobędą sobie otwarte naościęz podwoje zamków kniaziów ruskich. Koło ruskie trzyma się długo odosobnione od polskiego, ale łączy się przecież coraz częściej węzłami familijnymi z rodzinami litewskimi łacińskiego obrządku, tak kniazie, jak panowie. Wobec czego córki Polek tem swobodniej wnoszą polszczyznę do rodzin dotąd opornych, w które wchodzą, i przygotowują całe nowe pokolenia zwolenniczek zachodniej kultury. Powoli tryb towarzyski możliwych naśladować skromniejsze domy ziemiańskie, i polszczyzna staje się nakoniec cywilizacyjną normą w W. Księstwie.

Niem mało też naprawdę rozsadczyk bezpośređnich zachodniego uspołecznienia i poloru występuje w owej epoce na Litwie. Wskażmy choć wybitniejsze nazwy: oto w dom Hornostajów wchodzi Łaska, za Iliniczem Herburtówna, za Niemirą Firlejówna, kn. Porycki bierze Uchańską; w dom Radziwiłłów wchodzą: Bonarówna, Dalejowska, Herburtówna, Szydłowiecka, Tomicka; kn. Rużyński żeni się z Falczewską, kn. Olelkowicze-Słuccy biorą Tęczyńską i Mielecką; w dom Tyszkiewiczów wchodzi Wolska, kn. Woronieckich Giżanka, Zabrzezińskich Tęczyńska, za kn. Zbarazkimi Firlejówna i Jordanówna. Nim nakoniec Kościelecka i Tarnowska, wyszedłszy za dwóch Ostrogskich, Ilię i Konstantyna Konstantynowiczów, nie zdobędą dla polskiej kultury najpotężniejszego z ruskich rodów książęcych, którego następny przedstawiciel, Janusz, pierwszy senator Rzpltej, staje się najsilniejszą oporą nawet religijnej unii na Rusi. W odwet za to, lecz zarazem dla tem większego wzmocnienia zadzierzganych przez Polki węzłów między społecznością W. Księstwa i Koroną, niejedna Litwinka i Rusinka idą za mąż w domy polskie. Oto Bohowitynówna i Sudymontowiczówna z Chożowa idą w dom Tęczyńskich, Chreptowiczówna za Oborskiego, Hlebowiczówny—jedna za Reja, druga za Wolskiego; Homszejównę bierze Tarnowski, kn. Prońską Zborowski; z Radziwiłłowien jedna wychodzi za Konrada, ks. mazowieckiego, inne zaś idą w domy: Mieleckich, Sieniawskich, Two-

rowskich, Zamojskich; kn. Sanguszkówny widzimy—jedną za Leszczyńskim, drugą za Radziwińskim; Sapieżanki wydane w domy Sieniawskich i Tęczyńskich; Tyszkiewiczówna za Jazłowieckim, kn. Wiśniowiecka za Zamojskim, Wołowiczówna za Bonarem; nareszcie księżna Zasławska Jewuntowiczówna oddana w dom Sieniawskich, kn. Zbarazkie zaś za Czermińskim i Baworowskim.

Przy takim żywym wiązaniu się dwóch społeczeństw węzłami najściślejszymi, bo familijnymi, jedno z nich musiało wziąć nad drugim ostatecznie przewagę cywilizacyjną. Nic tedy dziwnego, że, przy wskazywanej tu prostaczości społeczeństwa litewsko-ruskiego, polskie, jakkolwiek samo w sobie wtedy niewysoko stojące, lecz bezpośrednio zespolone z Zachodem i właśnie odtąd coraz żywiej biorące zeń podniety, musiało powoli otrzymać przewagę nad pobratymczem, któremu widać oddziaływanie długie Carogrodu greckiego niewiele było pomogło do dźwignięcia obyczaju domowego.

Nakoniec, zwracając się do samego wydania „Pocztu rodów”, wzorowego i wspaniałego — napewno powiedzieć możemy, że praca ta p. Bonieckiego nietylko przyczyni się do wzbogacenia każdej zasobniejszej biblioteki ziemiańskiej, lecz przyozdobi nawet stół niejednego wykwintnego salonu.

Czy nadto nowy ten „Poczet rodów” przysporzy nam choć jedną mitrę więcej—w „Przewodniku heraldycznym”—zdaje się, że nie! Niema bo właściwie już komu odwoływać się do tytułowanych protoplastów: — tyle rodzin kniaziowskich wygasło, a zubożenie innych nie ośmiela nawet uprawnionych do narażania się na śmieszność.

RÓD GEDYMINA.*)

„Ród Gedymina”. Przez Józefa Wolffa. Kraków, 1886, 8-vo, str. VIII i 172.

Przybyła nam oto, po znanych już zaszczytnie monografiach historycznych — jak „Senatorowie i Dygnitarze W. Ks. Litew.,” „Pacowie” i inne pomniejsze — nowa praca źródłowa niestrudzonego p. J. Wolffa pod tyt. „Ród Gedymina — Dodatki i poprawki do dzieł hr. K. Stadnickiego: Synowie Gedymina, Olgierd i Kiejstut i Bracia Wład. Jagiełły”.

Sam tytuł tego poważnego przyczynku do dzieł znakomitego badacza zawikłanych stosunków rodowych domu Gedymina, jedną z gałęzi którego są i Jagiellonowie, dostatecznie wskazuje jego treść i wartość historyograficzną. Mimo szerokiego zakresu swych prac, hr. K. Stadnicki nie był w stanie ogarnąć ogromu całego szczegółów, jakie w sobie ukrywa badany przezeń przedmiot, a cóż dopiero szczegółły te wyczerpać. Tymczasem—próżna to rzecz—bez wyczerpującego poprzednio rozjaśnienia stosunków heraldyczno-genealogicznych wśród tłumnego zastępu kniaziów i możnego bojarstwa niepodobna zrozumieć należycie i samej istoty faktycznej udzielnno-feudalnego porządku rzeszy rusko-

*) Ateneum, 1887 r., t. I, zesz. 2.

litewskiej w epoce jej uniowania się z Polską. Co więcej, niepodobna zgłębić bez tego aż do źródeł pierwotnych owego potwornego oligarchizmu, który ze wschodniej polaci przedewszystkiem zaciężył później tak fatalnie i nad całą zunioną już Rzpltą, niby żywe szyderstwo z tyle umiłowanego przez rycerską drobnotę hasła: „szlachcic na zagrodzie równien wojewodzie”. Próżna rzecz — powtarzamy: poważne badanie historyczne szczegółów heraldycznych przestaje być, jakby to się napozór wydawało, bezowocnem amatorstwem, nieodzowność takowego przy śledzeniu rozwoju wewnętrznych przedewszystkiem stosunków Rzeczypospolitej, jako *p. ex.* szlacheckiej, zbyt widoma. Takie więc prace, jak K. Stadnickiego, nabrały słusznie wagi niepospolitej. Że zaś zostawało zawsze niejedno w nich do wyświelenia, nie-mała tedy zasługa *p. J. Wolffa*, gdy przedstawia nam on właśnie, na podstawie nowych częścią materyałów, to, co się dało nam już sprostować i uzupełnić. A jeśli i on sam nie zdołał oprzeć wszystkich swych, sprzecznych ze Stadnickim, wywodów i domniemań na podstawach zupełnie niezachwianych, to za to pobudził żywiej badaczy do dalszych na tem polu wyświeleń.

Rzućmy też okiem na wybitniejsze zaznaczenia autora.

Pan Wolff zaraz we wstępem swem przemówieniu wskazuje, że K. Stadnicki dość pesymistycznie odniósł się do całego szeregu kniaziów, którzy we współczesnych źródłach występują jako krewni Jagielly lub Witolda, i że kniaziów tych albo całkiem pominął, albo starał się połączyć ze znanymi już osobistościami. Pomiędzy innymi nie przyznaje on wśród synów Olgerda z pierwszej żony Fedora, identyfikując go z innym Olgerdowiczem—Wiguntem, skutkiem czego odrzuca pochodzenie od Gedymina kniaziów Koreckich, Pińskich, Trubęckich, Czartoryskich, Kobryńskich i Sanguszków.

Mniejsza tu zapewne o żale głośnie i ciche, jakie nie-

gdys z tego powodu w pewnych sferach to się rozlegały, to były tłumione!

Synów Gedymina podaje autor w następującym porządku: Monwid, Narimont, Olgerd, Jewnut, Kiejstut, Koriat, Lubart.

Gdy każda z możniejszych z czasem rodzin litewskich starała się zaczepić swój rodowód co najmniej o jakiego choćby gminowego kunigasa z zamierchłej epoki, śmielsze z nich przypytywały się do krwi Gedymina.

Od najstarszego z jego synów Monwida w wieku XVI poczęła się wywodzić rodzina Moniwidów i pochodzące jakoby od niej rodziny Zabrzezińskich, Dorohostajskich, Hlebowiczów i Wiazewiczów. Autor podaje rzeczywisty rodowód tych domów, dzieląc je na trzy grupy odrębne.

Miał szczęście do szlachty i drugi z rządu syn Gedymina, Narimont-Hleb. Choć zbyt późno, odwołali się doń przecie Sapiehowie; rzeczywisty zaś ich protoplasta Sopheha był w latach 1440—50 pisarzem kancelaryi w. księcia, a potem króla Kazimierza. Co do kniaziów Rożyńskich, a raczej Rużyńskich, wyprowadzonych również od Narimonta, nic—zdaniem autora—nie przemawia za tem, aby pochodzili rzeczywiście z książąt litewskich. W XVI w. zwali się oni także Rohowickimi. Były wszakże na Litwie i Rusi liczne też rody, pochodzące istotnie od Narimonta. Najliczniej rozrodzone było potomstwo syna jego Patryka. Od tego pochodzą do dziś dnia kwitnące w Rosyi domy książęce Golicynów, Kurakinów i Chowańskich, jako też wygaśli już ks. Koreccy. Ci—zdaniem autora—pochodzą nie od urojonego syna Olgerda, Butawy-Dymitra, lecz, co dlań niewątpliwe, od Aleksandra Patrykiewicza, kn. starodubowskiego, któremu potem wydzielono pewnie Korzec. Od syna jego Semena poszła krótkotrwała linia kniaziów Koreckich na Moskwie, od Wasila zaś głośny ród wołyński. Inny syn Narimonta, Michał, odziedziczywszy po ojcu Pińsk, staje się protoplastą pierwszej linii kniaziów Pińskich z rodu

Gedymina, co zastąpiła tam Rurykowiczów, których los dalszy nie znany jest dokładnie (Czterwertyńscy?) Lecz cały rodowód kniazów Pińskich-Narimontowiczów, podany przez autora, jest, własnem jego zdaniem, jeszcze bardzo niepewny. Z jednym z kn. Pińskich, Michałem Konstantynowiczem, starostą włodziemskim przy Świdrygielle (1437), mieszają kn. Michała Kurcewicza. Gdyby tożsamość ich okazała się istotną, w takim razie i tradycja o pochodzeniu kniazów Kurcewiczów z książąt litewskich znalazłaby potwierdzenie. Koriatowicze to przecie, jak chcą niektórzy. Po śmierci kniazia Juria Semenowicza, Pińsk, spadły na króla, został 1471 r. nadany wdowie Semena Olelkowicza, ks. kijowskiego, Maryi i jej potomstwu, które dało początek drugiej linii ks. Pińskich z rodu Gedymina.

Trzeci z rządu Gedyminowicz, Olgerd, miał aż 12 synów, których rozrodzenie się jest osobno traktowane. Z córek jego—przez Teodorę, żonę kn. karaczewskiego Światosława Tytowicza, wiąże się z domem Gedymina ród kniazów Masalskich, pochodzący od syna tamtych Juria; przez Helenę zaś, wydaną za kn. Włodzimierza Andrejewicza, przezwanego „Chrobry”, brata stryj. w. ks. Dymitra „Dońskiego” — występujący z czasem na Polesiu ród kniazów Jarosławiczów. Pochodzili oni od syna tamtych Jarosława, udzielnego kniazia na Borowsku, którego wnuk, kn. Iwan Wasilewicz Jarosławicz, przybył za młodu na Litwę, gdzie od króla Kazimierza otrzymał Kleck, a potem i Horodek Dawidowy (Dawidgroddek), założony widocznie przez kn. Dawida Dmitrewicza, męża córki tegoż Olgerda Maryi.

Jewnut-Iwan, czwarty syn Gedymina, miał po ojcu objąć Wilno razem z dostojęństwem w. książęcia. Prof. Włodz. Antonowicz fakt ten podał w wątpliwość, utrzymując, iż pierwsiastkowo wszyscy synowie Gedymina byli równi pomiędzy sobą, dopóki dwaj najzdolniejsi z nich, Olgerd i Kiejstut, nie położyli końca temu nieokreślonemu położeniu. Autor wszakże wątpliwość tę usunął, powołując

się na świadectwo samego Witolda, który w jednym z listów do Zakonu pisze: „dziad nasz Gedymin przeznaczył ostatnią wolą wielkie księstwo w Wilnie Jewnucie, Olgerdowi Witebsk, a memu ojcu Kiejstutowi Troki i t. d.” Z synów Jewnuta kn. Semen schodzi widać bezpotomnie. Inna to wcale osobistość od kn. Semena Jamuntowicza, z rodu jakichś kniazów drobnych czysto litewskiego pochodzenia, jako to wskazują imiona ich pogańskie, w których istnienie p. Stadnicki wierzyć nie chce. Kojałowicz od tych Jamuntowiczów wyprowadza najbezzasadniej ród Chodkiewiczów; prędzej można przypuścić, że pochodził z ich krwi żyjący na początku XVI w. kn. Semen Jamontowicz Podberezki. Drugi syn Jewnuta, Michał, jest protoplastą, jak wiadomo, rodu kniazów Zasławskich na Litwie, różnych zupełnie od tejsze nazwy rodu wołyńskiego z domu Ruryka. Jeden z linii tych kn. Zasławskich, Michał Iwanowicz, otrzymałszy po ostatnim z Lingweniewiczów Mścisław, począł się pisać kn. Mścisławskim. Od syna jego Fedora poszła gałąź moskiewska — wygasła w XVII wieku.

Kiejstut, piąty syn Gedymina, miał z dwóch żon 6-ciu synów, których imiona: Patirg, Wojdat, Butaw-Henryk, Witowd-Aleksander, Towtiwił-Konrad, Zygmunt. Z tych trzech młodsi z Biruty. Ród Kiejstuta wygasł już na wnuku jego, kn. Michale Zygmontowiczu. Wszelkie więc podania o pochodzeniu z tego rodu domów kniaziewskich, a tem bardziej szlacheckich, należą do bajek. Tak kn. Kroczyńscy, mający pochodzić od Patirga czy Wojdata, wyszli z gniazda smoleńskiego, rodzina Zgierskich, wywodząca się, przez Piotra Białego i Kiszków, od Towtiwiła — nic z nim nie ma wspólnego; a cóż dopiero rodzina Żagłów herbu Trąby, którą przewodnik heraldyczny p. Kosińskiego (II, str. 683) wyprowadza od Michała Zygmontowicza; synów Witolda — jakoby otrutych w Królewcu — autor nie przyznaje.

Koriat-Michał, szósty syn Gedymina, był ojcem czterech znanych książąt podolskich: Juria, Aleksandra, Konstantego

i Fedora. Mógł on jednak mieć jeszcze kilku synów, albo też który z wyżej wymienionych pozostawił potomstwo. Tych nowych Koriatowiczów p. Stadnicki usiłuje zaliczyć do innego domu. Ród Koriata wcześniej znika z widowni. Kniazie Kurcewice, którzy dziś używają przydomku „Koriatowicz” i herbu Pogonia, są widocznie pochodzenia ruskiego. Protoplasta ich kn. Michał Kurcewicz otrzymał 1451 przywilej na Buremłę, skąd niektórzy z jego potomków pisali się kn. Buremskimi; żyjący zaś w połowie XVI w. książę Wasil Kurcewicz nosił przydomek „Bułyha”. Niemniej bezzasadne jest wyprowadzanie (p. Paprockiego) od Koriata kn. Rużyńskich.

Lubart-Dymitr, najmłodszy z synów Gedymina, również najnieśluszniej był długo uważany za przodka pewnych rodzin kniaziewskich na Wołyniu. Miał on syna Fedora (Fieduszka), znanego—razem z innymi imiennikami—stronnika Świdrygiełły. Fakt, że jedyny ten głośny Lubartowicz, umierając 1431, uczynił króla ogólnym swoim spadkobiercą, dowodzi, zdaniem autora, dostatecznie, że nie tylko nie pozostawił on żadnego potomstwa, ale nawet nie miał blizkich krewnych, a mianowicie potomków braci lub siostr. Na nim więc wygasł ostatecznie ród Lubarta. Wszelkie podania o jego potomstwie urosły w drugiej połowie XVI-go wieku i odnieść je należy nie do Fedora Lubartowicza, lecz do brata jego stryjecz. Fedora Olgerdowicza.

Przechodząc do synów Olgerda, autor dziwi się, iż p. Stadnicki, wyliczając braci Władysława Jagiełły, poszedł za rodowodem książąt litewskich przy kronice Woskreszeńskiej, ułożonym w XVI wieku. Niema bowiem zasady trzymania się go nawet dla poprawności niby podanych w nim imion Olgerdowiczów. Zestawiwszy tedy wszelakie źródła, przedstawia nam p. Wolff szereg z 12-tu synów Olgerda w następnym porządku i pierwotnym brzmieniu: z pierwszej żony jego, ks. witebskiej, 5-ciu: Andrzej, Dymitr, Konstanty, Włodzimierz, Fedor; z drugiej — ks. twerskiej, 7-miu: Ja-

gajło-Władysław, Skirgajło-Iwan, Koribut-Dymitr, Lingwien-Szymon, Korigajło-Kazimierz, Wigunt-Aleksander, Szwitrigajło-Bolesław. Co do imion samych tego licznego potomstwa Olgerda, uderza nas ta okoliczność, że synowie jego z pierwszej żony noszą tylko imiona chrześcijańskie, a synowie drugiej tylko pogańskie. Fakt ten zastanawiający rozjaśnia autor dosyć przekonawczo. Olgerd, powiada on, jeszcze przy życiu ojca swego otrzymał w udziale Krewa, a następnie ożeniwszy się z dziedziczką księstwa Witebskiego, posiadał Witebsk. Niema wątpliwości, że ochrzcił się on dla żony. W owym czasie Gedymin nie był przeciwnym chrześcijaństwu: nietylko zezwolił na ochrzczenie się synów swych Narimonta, Olgerda, Koriata i Lubarta, ale sam nosił się z zamiarem przyjęcia chrztu, jak tego dowodzi korespondencyja jego z papieżem. Pod wpływem jednak rozbójniczych napaści Zakonu, chwilowy prąd ten się zmienił i na Litwie przeciwko chrześcijaństwu silna wyrosła opozycja. Wielki książę musiał koniecznie być poganinem i Jewnut przyjął chrzest dopiero po strąceniu swoim z godności w.książęcej. Olgerd, nie będąc ani najstarszym z synów, ani ulubieńcem ojca, nie marzył o objęciu po nim najwyższej władzy; przesiadywał spokojnie w Witebsku i synów wychowywał w wierze chrześcijańskiej. Imion pogańskich żadnego z nich (5-ciu) nie znamy. Po wyniesieniu jednak Olgerda na w. księstwo, stosunki się zmieniły: polityka wymagała, aby w. książę do chrześcijaństwa się nie przyznawał. Nie obcym wzmacniającemu się prądowi musiał być i Kiejstut, sam żonaty z poganką i gorliwy stronnik wiary i obyczajów swych przodków. To też synowie Olgerda z Julianny, ks. twerskiej, którą poślubił 1349 r., będąc już w. księciem, nie byli ochrzczeni przy urodzeniu, i po śmierci ojca wstępują tylko pod swemi pogańskimi imionami. Autor odrzuca tedy dowodnie bałamutną wersję, według której i wszyscy synowie Julianny byli wychowani przez matkę w obrządku wschodnim, i obok trzech średnich, którzy istot-

nie później przyjęli chrzest grecki, mieli nosić imiona: Jagajło—Jakóba, Korigajło—Wasila, Wigunt—Fedora lub Wasila a Szwitrigajło—Lwa. Teoryi tej hołduje większa część historyków: Długosz i jego naśladowcy, Narbut, Stadnicki i naturalnie źródła ruskie; obszerną rozprawę za nią napisał p. Smirnow (Jagiello etc. Odesa 1868). My jednak, powiada p. Wolff, w tych imionach Jakóba, Wasila, Lwa widzimy z jednej strony chęć pogodzenia sprzecznych kronikarskich podań, a z drugiej wyraźną tendencją polityczną, która nie waha się wyprowadzać Gedymina od Ruryka. Na zakończenie tego trzeba dodać, iż Olgerdowicze starszej linii wyraźnie różnią się od braci swoich przyrodnych: z bratem swym, królem Władysławem, w rzadkich pozostawali stosunkach, na dworze w Krakowie nie bywali etc.

Najstarszy z synów Olgerda, Andrzej, któremu bałamutnie kronika litewska przydaje imię pogańskie Wingolt (—tyle co Wigunt, imię rzeczywiste innego Olgerdowicza), uważany jest niemniej mylnie przez naszych heraldyków za protoplastę to kniaziów Łukomskich, to Połubińskich oraz Trubeckich. Sprzeczność zaś ta podań czyni i samo istnienie jakichś dalekich potomków kn. Andrzeja nieprawdopodobnem.

Drugim z rządu synem Olgerda był Dymitr (starszy), kn. brański. P. Stadnicki poplątał życiorysy jego i brata jego Koributa-Dymitra. Syn jego kn. Michał Dymitrowicz ma być, według rodowodu, protoplastą kniaziów Trubeckich. Faktycznie jednak tyle tylko wiemy, że Dymitr Olgerdowicz, który oprócz Brańska władał i Trubczeskiem, pozostawił syna kn. Michała, oraz że przodkiem kn. Trubczeskich był także żyjący jednocześnie kn. Michał. Bardzo więc być może, że Michał Dymitrowicz Olgerdowicz i Michał Trubecki są jedną osobą; jest to przecie tylko prawdopodobieństwo, powiada autor, i do czasu odnalezienia jeszcze innych na to dowodów fakt ten za zupełnie pewny uważany być nie może.

Konstanty, trzeci syn Olgerda, mało znany. Źródła późniejsze każą mu władać Czartoryskiem i Czernihowem. Według rodowodu książąt litewskich Wasil, syn Konstantego Olgerdowicza Czartoryskiego, pozostawił synów kniaziów Iwana, Aleksandra i Michała Czartoryskich. Rzeczywiście w połowie XV-go wieku występują w dokumentach kniaziowie Iwan, Aleksander i Michał Wasilewicz Czartoryscy; czy jednak ojciec ich, całkiem nieznanymi kn. Wasil, który musiał rezydować w Czartorysku na Wołyniu, i kn. Wasil, syn Konstantego Olgerdowicza, są jedną osobą? — na to brak współczesnych dowodów, uważa to jednak autor za bardzo prawdopodobne. Dalej — występując przeciw negacyi w tym względzie p. Stadnickiego, wskazuje na to, iż kn. Aleksander Wasilewicz, podobnie jak kniaziowie z rodu Gedymina, był niemały czas namiestnikiem (kniazem) we Pskowie oraz Nowogrodzie Wielkim. Pyta więc: gdy pan Stad. tak słusznie zauważył, iż miasta te zapraszały tych kniaziów z zasady, aby mieć zawsze księcia panującej w Litwie dynastyi w swych murach—to czemużby on, kn. Aleks. Czartoryski, nie miał być jednym z tych książąt? Poczem przytacza p. Wolff tyle zakwestyonowany przywilej, jaki miał otrzymać 1442 r. w Budymiu kn. Michał Wasilewicz, towarzyszący królowi Władysławowi Warn. do Węgier, mocą którego król, troskliwy o godność trzech braci swoich Iwana, Aleksandra i Michała, kniaziów na Czartorysku, tym kniaziom, krewnym swoim, pozwala używać pieczęci książęcej, jakiej od ojca i dziada używali, to jest zbrojnego jeźdźca, trzymającego w ręku miecz dobyty. I zamyka rzecz uwagą, iż nie mamy najmniejszego powodu podejrzewać autentyczność tego dokumentu; nie zawiera on żadnego błędu, gdy i inne dokumenty, w tymże roku przez Władysł. Warn. w Bud. wystawione, pod względem pisania i świadków, wielkie z powyższym mają podobieństwo. Jak wiadomo, wnuk tego Michała, kn. Aleksander Fedorowicz, woj. wołyński, na sejmie w Lublinie 1569 r. przedstawił królowi

wzmiankowany przywilej Wład. Warn. i na jego zasadzie domagał się dla członków swej rodziny miejsca dziedzicznego w radzie w.książęcej czy senacie. Dodać tu jeszcze można, iż nasi starzy heraldycy zawsze wyprowadzali ród książąt Czartoryskich od któregoś z synów Olgerda — jedni od Lubarta, inni od Korigajły. Czy odtąd już spór ten o rodowód skończony? — wątpliwa.

Włodzimierz, czwarty syn Olgerda, książę kijowski, a potem kopylski, był protoplastą rozgałęzionego rodu. Od najstarszego z synów jego Aleksandra (Olelka) poszedł głośny dom Olelkowiczów. Syn tego kn. Semen Olelkowicz władał po ojcu Kijowem, lecz wnuk Wasil Semenowicz dzierżył już tylko Pińsk, który z ręką jego siostry dostał się potem kn. Fedorowi z ruskiego rodu Jarosławiczów. Drugi zaś syn Aleksandra, Michał Olelkowicz, kn. na Słucku i Kopylu, dał początek linii książąt Słuckich, których ostatnia latorośl Zofia wniosła 1600 r. dziedzictwo swe w dom Radziwiłłów. Od drugiego syna Włodzimierza Olgerdow., Iwana, poszli kn. Bielscy, którzy przenieśli się do Moskwy — gdzie byli kniaziowie tejże nazwy i z rodu Ruryka.

Fedor Olgerdowicz. Pięć kronik ruskich i jedna litewska zaliczają Fedora do synów Olgerda z pierwszej żony. Miał on sobie wyznaczony udział w ziemi Chełmskiej, który stanowiło Ratno z okręgiem. Historycy i heraldycy z dziwnym uporem starali się, powiada p. Wolff, usunąć możliwość istnienia Fedora Olgerdowicza: p. Stadnickiemu był on tak nie na rękę, iż dwa razy musiał się z opuszczenia jego tłómaczyć, zresztą każe Wiguntowi przyjąć chrzest ruski i imię Fedora; inni zaczepiają go to o Korybuta (Sokolowski), to o Lubarta (Radziwiłł.). Fedor Lubartowicz (jedyny) umarł bezpotomnie. Fedor Olgerdowicz zaś pozostawił — zdaniem autora — potomstwo, najpewniej aż trzech synów: Sanguszkę na Ratnie, Romana na Kobryniu i Hurkę na Kraśniczynie (w z. Chełmskiej). Sanguszko był protoplastą znanego rodu kniaziów na Wołyniu, który prosta-

czą formę pieśszcotliwą imienia jego (jak Fedjuszko, Kostjuszko itp.) przybrał, zwykłym dość w owe czasy trybem, za nazwę familijną. Sanguszko — tyle co Semen (a może Samuіл), tak jak Hurko—tyle co Guriј, znane imię wschod. kalend. Sanguszko Fedorowicz miał między inn. synów Aleksandra i Michała, od których poszły dalsze trzy gałęzie rodu. Syn Aleksandra Andrzej był twórcą linii na Nie-suchojeżach, z której pochodził hetman polny kn. Roman a która wygasła w końcu XVI-go w.; wnuk jego Andrzej Michałowicz stał się głową linii koszerskiej, wygasłej w połowie XVII-go w., od syna zaś Michała Sanguszkowicza Wasila poszła linia na Kowlu, istniejąca po dziś dzień. Jeszcze na początku XVII-go w. mylna tradycja o pochodzeniu kn. Sanguszków od Lubarta nie była ustalona; występują oni wtedy jeszcze jako Olgerdowicze. Drugi syn Fedora Olgerdowicza Roman dał początek domowi kn. Kobryńskich, który już wygasł na jego wnuku. Z potomków zaś kn. Hurka, trzeciego Fedorowicza, znany tylko Janusz, proboszcz wieluński, kanonik warszawski. Cały przecie ten rodowód kn. Kobryńskich i Sanguszków od kn. Fedora na Ratnie pan A. Boniecki (w Bibl. Warsz.) podaje stanowczo w wątpliwość.

Jagajło-Władysław, szósty syn Olgerda, a najstarszy z drugiej żony, przez ojca przeznaczony na następcę na w. ks. Robi przy nim autor słuszną uwagę, iż, zostawszy 1386 r. królem polskim, przez lat sześć panował wspólnie w Polsce i Litwie i dopiero 1392 r. złożył godność w.książęcą w ręce Witolda, sobie tylko tytuł zwierzchniego księcia Litwy i Rusi zachowując.

Skirgajło-Iwan, siódmy syn Olgerda, pierwszy z drugiej jego żony, co przyjął chrzest w obrz. wschodnim. Uważają go pospolicie historycy za następcę po Jagielle na w.książęcą stolicę, co jest wielkim błędem, przeciw któremu autor w dowodnej rozprawie występuje najenergiczniej. Litwa, wskazuje on, w pierwszych latach po wyniesieniu Jagielly

na tron pols. przedstawiała stan bardzo nieokreślony, głównie z przyczyny nieobecności panującego. W kolei starszeństwa zaraz idąc po Jagielle, był Skirgiełło na Litwie pierwszą osobistością po królu i miał nad młodszymi i przyrodnymi braćmi przewagę moralną, którą powiększało jeszcze posiadanie najznaczniejszego udziału; albowiem oprócz Trok, które otrzymał 1382 r. po ucieczce Witolda, król nadał mu jeszcze 1387 r. po Andrzeju Olgerd. Połock etc. To też mniemanie, iż w zastępstwie króla Wład. był on w.księciem Litwy, było tak rozpowszechnione, że już w 1416 r. w procesie polsko-krzyżackim na soborze konstanc. w wy-stosowanej przez Zakon obronie znajdujemy wzmiankę, że Skirgiełło w nieobecności króla sprawował rządy Litwy; nic więc dziwnego — twierdzi autor dalej, że mogli to powtórzyć, piszący później, Długosz i kronikarz litewski, a za nim wszyscy historycy. Że jednak Skirgiełło nie piastował godności wielkiego księcia lit., przekonywamy się ze współczesnych dokumentów, w których tytułuje się nie „wielkim ks. Litwy”, ale tak jak i inni książęta „wielkim księciem” lub tylko „księciem Litewskim i panem na Trokach i Połocku”. Tak samo z tytułem „wielki kniaź” występują Michał Gedyminowicz, Andrzej i Dymitr Olgerdowicze, Fedor Lubartowicz i Witold przed 1392 r., a „księżętami litewskimi” byli *de facto* wszyscy kniaziowie rodu Gedymina. Nadto kroniki poświadczają, że Skirgiełło w Wilnie nie rezydował. Tylko Wilno mogło być miejscem stałego pobytu panującego w. księcia; to też w nieobecności Jagielle żaden z jego braci stale w nim nie przemieszkiwał, a dowództwo nad zamkiem sprawowali z ramienia królewskiego starostowie, których król dla pewności wybierał między wypróbowanymi katolikami, jakim był Gasztold, lub Polakami, jak Mik. z Moskorzewa i inni. Również mylnie jest podanie, jakoby król Wigunta-Aleksandra, brata swego, uczynił zastępcą swoim w Wilnie i na Litwie. Słowem, wielkim księciem litewskim do 1392 r. był tylko Jagiełło.

Korybut-Dymitr, ósmy syn Olgerda. Życiorys jego p. Stadnicki niedostatecznie oddzielił od życiorysu przyrodniego jego brata Dymitra Olgerdowicza brańskiego. Nie Korybut, ale Dymitr starszy władał Brańskiem, brał udział 1380 r. w wojnie w. ks. moskiew. z Tatarami i 1399 r. zginął nad Worskłą. Udziałem jego był Nowogródek-Siewierski. Trzej jego synowie wymarli bezpotomnie, podanie zatem, jakoby od jednego z nich (Fedora) mieli pójść kniaziowie Zbarazcy i ich jednoplemienni, nie ma żadnej podstawy. Kwestyę tę podniósł pierwszy p. Stadnicki; jednak w pesymistycznych — jak nazywa autor — swych poglądach poszedł za daleko, gdy Zbarazkim nawet kniaziostwa nie przyznaje i każe im pochodzić od ziemiańskiej rodziny Mokosiejów. Poszedł za tem zdaniem Bartoszewicz i inni. Dalšie śledzenie wszakże okazuje, iż potężny ów dom książęcy powstał z kniaziów Nieświckich (ze krwi Ruryka widocznie). Ród kniaziów Nieświckich, którego gniazdem miał być Nieświd pod Łuckiem, istniał oddawna. Kn. Juri „Nieświeżski” (?) poległ 1225 r. nad Kałką. W latach 1387, 1403 występuje kn. Iwan „Neswiski”. Potem głośny kn. Fedko „Nieswidski” (może syn Iwana?), którego Długosz miesza z kn. Fedorem Ostrogskim, gorliwy stronnik Świdrygiełły. Ten przechodząc 1434 r. na stronę królewską, w zapisie na wierność zapewnia sobie potwierdzenie przez króla posiadania ojcowizny jego, to jest włości Zbaraskiej i in. Widocznie jednak król nie potwierdził mu posiadania Zbaraża na wieczność, ale tylko na dożywocie; 1442 r. bowiem, prawdopodobnie po śmierci kn. Fedki, Zbaraż, również do żywota, nadany został przez w. ks. Kazimierza Deniskowi Mokosiejewiczowi i dopiero w następstwie powrócił znów do potomków kn. Fedki. Już syn jego Wasil niewątpliwie — zdaniem autora — otrzymał Zbaraż. Z synów tego kn. Semen, Wasilewicz jeszcze (1461 r.) zwię się „Neswizskim”. Wszakże 1463 r. trzech bracia Wasilewicze, kn. Wasil, Semen i Sołtan, czynią, jako „otczyce i dziedzice Zbarażscy”, między sobą

dział, wskutek którego kn. Wasilowi dostał się Zbaraż, Semenowi Kołoden, a Sołtanowi Horodek i inne włości, między którymi „dwa Wisznawcy”. Odtąd o książkach Nieświckich na Wołyniu więcej nie słyhać; natomiast występuje głośna rodzina książąt Zbarazkich, od której poszły gałęzie Wiśniowieckich, Poryckich i Woronieckich. Jakiś kn. Wasil Nieswizki miał na początku XVI w. wyjechać z Litwy do Moskwy, gdzie stał się protoplastą dotąd istniejącej rodziny kn. Nieswickich.

Lingweni-Semen, 9-ty syn Olgerda, ks. na Mścislawiu. Ród jego wygasł na wnuku Iwanie Jurjewiczu Lingwieniczu, w r. zaś 1499 Mścisław dostał się po kądzieli kn. Michałowi Zasławskiemu, który, zarzucając ojczyście nazwisko, przybrał tytuł księcia Mścislawskiego.

Trzej najmłodszy Olgerdowicze: Korigajło - Kazimierz, Wigunt-Aleksander i Szwitrigajło-Bolesław, potomstwa nie zostawili.

Jak z powyższego widzimy, przedstawił nam p. J. Wolff w ostatniej swej pracy sporą wcale wiązaną faktów, które uzupełniają i rozwidniają bardziej, pożądane tyle dla należytego rozumienia wewnętrznych osobliwie stosunków Litwy a zawsze zmańcone dosyć, wiadomości nasze, dotyczące powikłanych wielce rozgałęzień rodu Gedymina.

KNIAZIOWIE LITEWSKO-RUSCY.*)

„Kniaziowie litewsko-ruscy”, przez Józefa Wolffa. Warszawa, 1895.

W szóstym zeszytcie naszego pisma (czerwiec, str. 596) zaznaczone już zostało wyjście nowej pod powyższym tytułem pracy znanego dostatecznie w piśmiennictwie historyograficznym z dawniejszych jego dzieł poważnych p. J. Wolffa, z zapowiedzią obszerniejszego niebawem o niem sprawozdania. Przystąpimy tedy obecnie do wywiązania się z owej zapowiedzi, zastrzegając się z góry, iż dokonać tego będziemy zmuszeni jedynie w rozmiarze, na jaki pismo nasze, nie specjalno-historyczne, pozwala.

Nie potrzebujemy tu zgoła rozwódzić się nad tem, że nowa ta praca autora jest równie poważna, jak wszystkie jego inne („Senatorowie i dygnitarze w. ks. Litewskiego”, „Ród Gedymina” i t. d.), że z równą ścisłością, tyle w źródłowych badaniach pożądaną, wykonana. Co natomiast winniśmy z góry szczególnie uwydatnić, że jest ona zasobem swej treści od poprzednich obfitsza, bogatsza, więcej może jeszcze nowego przynosząca. Posiada też podwójną wartość: raz—jako wyczerpująca niemal, w obecnej dobie badań, monografia przedmiotu samego w sobie, a powtóre—jako tyle nam brakujące dotąd w odnośnym zakresie dzieło infor-

*) Ateneum, 1895 r., t. III.

macyjne, niezbędny podręcznik przy specjalnych badaniach. Jako monografia kniaziów litewsko-ruskich, jest niepowszednim dla historyografii nabytkiem, ile że podaje nam dzieje szczegółowe tej grupy rodów, które—dynastyczne ze swego pochodzenia — odgrywały długo rolę pierwszorzędną wśród przewodniczącego możnowładztwa w. ks. Litewskiego wogóle, następnie razem z niem, a nawet ponad niem, decydowały częstokroć o losach całej Rzpltej. Wobec dzisiejszego zaś zwrotu ku badaniom wewnętrznego przedewszystkiem jej życia, nad którym, razem z całym możnowładztwem tyle—czasem wyłącznie nawet—dynastowie litewsko-ruscy ciążyli, monografia ta nabiera zarazem znaczenia nowego specjalnego źródła informacyjnego. Co więcej—źródła specjalnych informacji, niezbędnego już nawet, przy poszukiwaniu — przedewszystkiem — pewnych, mniej rozjaśnionych dotąd, objawów i ewolucyi życia wewnętrznego w bardziej zamkniętym obrębie w. ks. Litewskiego, by w następstwie tem łatwiej zrozumieć istotne przyczyny znanej potęgi wpływu przybranych litewsko-ruskich żywiołów możnowładczych w organizmie Rzpltej po Unii 1569 r. „Przedewszystkiem”—powtarzamy, nie mówiąc już o tylu poważnych specjalnych kwestiach. Tak np. obecna praca p. Wolffa staje się niezbędnem źródłem pomocniczem dla każdego, ktoby chciał badać proces powstawania i utrzymywania się owych kolosalnych latyfundiów oligarchicznych, które „*perdidere Poloniam*”. Albo odkryć tajemnicę dróg, jakimi sobie zdobyły taką potęgę na południu, skromne w swej kolebce, rody zachodnie, że aż były w stanie, oparte na niej, miotać niejednokrotnie nawą całej Rzpltej. A nawet — ktoby potrzebował zajrzeć aż na dno przyczyn owej fatalnej ukraińskiej wojny domowej, którą zła wiara a naiwna nieświadomość podaje za walkę narodowo-religijną, a jakąową tłumaczy dopiero należyte zrozumienie wyrazów i haseł: „kniaź” a „kozak”. Zbyteczna więc dodawać, jak uprzejmie powi-

taliliśmy ten nowy zasób źródeł, jaki nam autor w należytem skupieniu podaje.

Potrzeba takiej monografii oddawna już czuć się dawała: artykuły z tego zakresu J. Bartoszewicza w Encyklopedyi Orgelbranda nie wystarczały; zaś „Poczet rodów w w. księstwie Litewskiem w XV-tym i XVI-m wieku” p. A. Bonieckiego, z powodu szerszego założenia, ogarniając całą szlachtę, nie mógł mieć dosyć miejsca dla kniaziów, zresztą ograniczony był chronologicznie. Wystąpili tedy pp. Wacław Rulikowski i Zygmunt Radziwiński z zapowiedzią specjalnego, dotyczącego kniaziów (szczególnie) dzieła; ale cóż — na tej zapowiedzi skończyli: ujrzał świat początek tylko szeroco zakreślonego wstępu, a bogaty nagromadzony materiał spoczywa gdzieś martwo! A szkoda; niejedno tam z owego zasobu p. Wolffowi napewno wcale nieznane. Zaradził on przecie i bez tego naglącej potrzebie, nie ociągając się dłużej z wydaniem swej pracy, której też słusznie sprawozdanie obszerniejsze się należy. Na nieszczęście, nie posiadając żadnego niespożytkowanego przezeń materiału rękopiśmiennego, musimy poprzestać na uwagach, jakie się nam nastreczą przy rozważaniu samego układu treści na podstawie użytych przez autora źródeł.

Otóż, wnioskując ze „spisu” tych źródeł, poprzedzającego wstęp samego dzieła, widzimy, iż przystąpił on do swej pracy uzbrojony należycie we wszystko, co tylko odnośnego gdziekolwiek już wydane zostało lub stało mu się dostępne w zbiorach rękopiśmiennych. Trzeba zaś do tego przedewszystkiem zaliczyć kilkanaście tysięcy dokumentów, wypisanych, całkowicie lub w streszczeniu, z metryki litewskiej. Oparty na takiej podstawie, roztoczył on przed nami treść, która ogarnia całą dziedzinę odrębnego świata społeczno-rodowego wschodniej połaci zgasłej Rzpltej; świat kniaziowski, świat — o ile z jednej strony zlewający się wprawdzie z zastępem możnowładczo-ziemiańskim, o tyle z drugiej — wyosobniający się z niego w długie czasy. Za-

bytek to dalekiej przeszłości zespolonych ściślej od r. 1569 z Polską Piastowską krain litewsko-ruskich, szczątki panujących tam niegdyś dynastji różnego pochodzenia i mocy nierównej.

Nagromadzony przez autora materiał rozpada się na dwa główne działy, tworzące dwie osobne części samego dzieła. W pierwszej z nich, zasadniczej, stanowiącej właściwy zakres onego, rozgrupowane zostały rzeczywiste rody kniaziowskie litewsko-ruskie; druga zaś, dodatkowa jedynie, szcuplejsza znacznie, obejmuje: kniaziów tatarskich, kniaziów na wsiach wołoskich, nakoniec pseudo-kniaziów. W każdym z tych działów rody poszczególne podane są alfabetycznie, tak, że dzieło to całe przedstawia się jako specjalny dykcyonarz historyczny, bardzo dogodny dla oryentowania się w treści onego.

Przejdźmy też z kolei do samej tej treści, do rozejrzenia się w jej układzie, poczynając od zasadniczej części dzieła, najprzód od wstępu.

Nie mamy powodu zastanawiać się nad wypowiedzianymi tam poglądami autora na stanowisko zmienne kniaziów w polityczno-społecznym organizmie w. księstwa Litewskiego i t. p., o ile takowe mogłyby wywoływać za daleko idącą dyskusję; chętniej za to wskażemy na parę też jego, na jakie sami się również piszemy. Tak np., że wogóle kniaziowie, jako potomkowie dynastów, stanowili stan zamknięty w sobie: kto nie był kniazem, nie mógł nim zostać; a kontyngens kniazostwa powiększali tylko przybysze analogicznego pochodzenia—z Moskwy, czy ze świata tatarskiego. Ze twierdzenia Bartoszewicza, jakoby w świecie litewsko-ruskim kniaz niekoniecznie znaczył księcia z rodu, a do zastępu kniaziów wdzierały się rody ziemian możniejsze — w zasadzie swej zupełnie błędne. Co zaś do onej osławionej rojności kniazostwa: nie było odrębnych rodów onego tak wiele, skoro się wykryje główne konary wspólne owych licznych naprawdę rozgałęzień.

Autor przyjmuje tedy 4 grupy kniaziów. Do 1-szej zalicza kniaziów pochodzenia litewskiego, rozdzielonych: a) na potomków książąt litewskich, panujących do XIII-go wieku włącznie, i b) na potomków Gedymina. Do 2-giej — kniaziów pochodzenia ruskiego, t. zw. Rurykowiczów, rozdzielonych na potomków książąt: a) połocko-witebskich, b) czerwiehowskich, c) smoleńskich i d) pińsko-turowskich. Do 3-ciej grupy kniaziów przybyszów, rozdzielanych na: a) wychodźców z Moskwy i b) — od Tatarów i Czerkiesów. Do 4-tej nakoniec — kniaziów pochodzenia dotąd niewykrytego, „ale niewątpliwie podpadającego pod jedną z trzech powyższych grup”.

Na ile podział ów jest w zasadzie — nie do zachwiania—rzecz inna; przemawia za nim przecie większa dogodność na razie. Prościej bowiem i skuteczniej naprawdę stworzyć dla jakich 30-tu nazw kniaziów nieznanego pochodzenia zupełnie osobną grupę, aniżeli męczyć się, w obecnym stadium badań napróżno, wykrywaniem ich rodowodu. Mniejsza już, iż samo brzmienie tych nazw, wśród których, obok Kroszyńskich, Lichodziejewskich, Lizinosowiczów i t. p., spotykamy—i Domontów, i—Bachtów, Kindirów, Kuraszów, Munczów, Tetów i t. d., wskazuje na tak różne etniczne ich źródła. Nie tyle jest już uzasadnione — skupienie rodów w grupie 3-ciej, działy, które łączy jedynie wspólny charakter wychodźstwa. Właściwie dział tu drugi (b), obejmujący 4 tylko rody krwi turskiej, a w ich liczbie kn. Hlińskich i Petyhorskich, tem się tylko różni genetycznie od kategorii kniaziów czysto tatarskich, iż rody te przyjęły chrystyanizm, a kn. Hlińscy wcześniej weszli w szeregi najnowszej arystokracji w. księstwa. Składające zaś dział 1-szy tejsze grupy rody — wszystkie, z wyjątkiem Chowańskich (Gedyminowiczów), jako rody czysto ruskie, mogłyby być śmiało włączone do grupy (2-giej) Rurykowskiej, w której nawet część ich tylko (z 15 — 9) należałoby odnieść do osobnego działu suzdalskiego, gdy Boratyńscy, Oboleńscy,

Łykowie, Razańscy, przecież to odrośle konaru czerniehowskiego, Selechowscy—smoleńskiego, a Podhorscy—nieznani na północy wcale. Więc nic dziwnego, że i p. Wolff nie jest pod tym względem stanowczy: najbliższych sobie krewniaków — kniaziów Razańskich, jakieśmy to tylko co widzieli, do grupy 3-ciej, Prońskich zaś, równie wychodźców, do 2-ej zalicza. Grupę (2-gą) kniaziów pochodzenia ruskiego autor słusznie oznacza mianem t. zw. (tylko) Rurykowiczów, wskazując przez to omówienie, że przyznaje heraldyczną jedynie, legendową wspólność ich źródła. Rozkłada ją na 4 wyłącznie wyżej podane działy, wśród których wcale już halicko-włodzimierskiego (Monomachowiczów) nie widzimy, gdyż autor wszystkie gałązki kniaziów wołyńskich do linii pińsko-turowskiej zalicza: nietylko ród Zbarazki (Nieświcki) oczywiście, lecz Ostrogskich, a nawet „Kozanowiczów”-Wielickich. Przy okoliczności tych ostatnich dodamy tu, iż p. Wolff, przyjmując legendową tylko jedność Rurykowiczów, nie uznaje przecie z zasady jakby domieszki wśród nich krwi turskiej: nie zatrzymuje go przypomnienie zapomnianych kniaziów Bołochowskich, ani wystąpienie późniejsze Połowców ze Skwyrza Rożynowskich, którym (nie samozwańcom), jakby jakim Kozarom i t. p., tytułu nawet kniaziewskiego odmawia. Przyływ krwi turskiej—dopiero w Tatarach tylko i Czerkiesach widzi; chociaż, nawiasem mówiąc, owym Berdibiakowiczom i Ingildejom za poczesne dał miejsce. Wracając do grupy kniaziów pochodzenia czysto ruskiego, możemy nadto nadmienić, iż pan Wolff jeszcze bardziej stanowczo teraz wyłącza z niej Czaratoryskich, a gniazdo pierwotne Zbarazkich i t. d. widzi po dawnemu w Nieświczu wołyńskim, nie zaś lit. Nieświeżu. Rozstrzelone w wieloliczne nazwy gniazdo kniazów Druckich sprowadził on ostatecznie do jednego, że tak powiemy, mianownika i t. d. W zakresie nakoniec grupy pierwszej, szczerze litewskiej, po wyjaśnieniu dawniejszem, w osobnej monografii, zawłości stosunków genealogicznych w rodzie Gedymina, daje nam obecnie autor po raz pierwszy do-

kładniejsze pojęcie i o rozłamach też potomstwa „udzielnych książąt litewskich, panujących do XIII-go wieku włącznie”. Teraz więc dopiero będziemy w stanie oryentować się nieco swobodniej wśród tych klanów istnych — Gedrojckich a Swirskich i t. d. „kunigasów”.

W drugiej części swej pracy podaje nam autor najprzód wykaz tych muzułmańskich rodów Tatarów litewskich, które tytuł kniaziów nosiły, jako pochodzące od beków, murz i wogóle starszyny ordyńskiej; dalej — potrąca pobieżnie znaczenie miana „kniaziów” w osadach wołoskich; zamyka zaś część tę i całe dzieło ustępem bardzo ciekawym o „pseudokniaziach”.

Istotnie ustęp bardzo ciekawy! Naprawdę możnaby go pominąć w tak poważnem, jak obecne, dziele, traktując puste pretensje próżności *per non sunt* milczeniem; ale cóż, straciłoby się niby okoliczność przyjrzenia się bliżej owemu *curiosum* litewsko-ruskich stosunków szlacheckich. Boć to nie kilka lub kilkanaście, jakby się zdawało, lecz kilkadziesiąt conajmniej domów, tak litewskich, jak ruskich, dobija się, z całą świadomością gry naiwnej, o cześć pochodzenia kniaziowskiego. Nieobca jest wprawdzie owa, heraldycznie nawet zadeterminowana, *fausse pretension* stosunkom „noblessy” i gdzieindziej; ale u nas przekracza ona już miarę wszelką, dochodzi do *absurdum*! Czepia się też absolutnie wszystkiego: podobieństwa przydomków, jednobrzmiącej patronymicznej nazwy, majątkowego jednostajnego miana; wreszcie, w braku tego, niczem zgoła nie dającego się upozorować, zmyślenia nawet. Tak jest; przypomnijmy sobie, z owego nieprzebranego tłumu, choćby owych: Dowmontów, Gedyminów, Korybutów, Świętopołków, albo Aleksandrowiczów, Daszkiewiczów, Jurjewiczów, Matuszewiczów, Zdanowiczów; lub też Jełowickich (Bożeńców, zamiast Kropotków), Gorskich (zamiast Horskich); czy nakoniec „Światopełków”-Mirskich, podobnie jak Radziwiłłowie i Sapiehowie, „książąt”, nie „kniaziów” (w tytule „książęcym” przez heroldyę

Cesarstwa Rosyjskiego dopiero uznanych), chociaż i pochodzenie od w. ks. kijowskiego Świętopelka (nb. II-go) Czetwertynskich nawet „nie jest niemożliwe” tylko, zdaniem znawcy; czy takich Świdrygiełłów-Świderskich, na dowód szczytu pomysłowości! i t. d. I niech kto nie sądzi, żeby to się stało manią, modą, potrzebą karnawałową późniejszych czasów dopiero; początek temu dali w XVI-tym wieku jeszcze prawdziwi nawet kniaziowie, potrzebujący podnieść niejako wyżej jeszcze swą rodowość; tacy Sanguszkowie, którzy woleli uchodzić za Lubartowiczów, taki ród Zbarazki, który pragnął być przyznawanym za potomków Korybutowych, więc Gedymina, nie Ruryka i t. d. Zdziwi się nadto i sam p. Wolff, gdy mu powiemy, że, mimo wszystko, nie wyczerpał jeszcze i on listy pseudo-dynastów: nie wie chyba o całej plejadzie kniaziów perejasławskich *in partibus infidelium*; choć zna i takich na Litwie, co powstałi przez zamianę litery K na P.

Po przejrzeniu, z konieczności pobieżnem tylko, tak rozległej pracy p. W., przy całym uznaniu, jakim przejęci zostajemy dla jej wysokiej wartości wewnętrznej, nie możemy nie dostrzedz i pewnych w niej usterek. Ogarnia ona zbyt wiele szczegółów już z samego swego założenia, by się uchronić od wszelkich niedokładności, opuszczeń i t. p. Zakres naszego pisma nie dozwala nam dotykania drobiazgowego faktów, pozwolimy sobie przecie, choć dla przykładu tylko, parę z nich wskazać. Tak oto, nie wychodząc poza obręb południowych ziem ruskich, zaznaczamy: że Konstantyn Iwanowicz Wiśniowiecki został starostą zytomierskim (str. 569) nie zaraz po kn. Romanie Sanguszcze; w lipcu 1572 r. sprawcą st-stwa tego był Zahorowski (Zr. dziej. t. XX, st. 33). Kn. Matys Wojnicz Woroniecki (str. 582) nabył Chodosówkę w pow. kijowskim, bliżej rzeki Stuhny, od metropolity kijowskiego przez zamianę 1598 r. na Siwoków (Słow. geogr. I, 612). Zwiahel, zaraz po wygaśnięciu kniaziów tej nazwy, spadł był na króla (str. 620), zanim został

nadany 1499 r. kn. Konstantynowi Iwanowiczowi Ostrogskiemu, miał swych namiestników, jakimi byli: 1485 roku Okuszko-Kalenikowicz (M. L., ks. zap. IV, k. 23), w r. 1496 Jacek Mez (Anton. *Hram.* 21). I podobnych dopełnień, ze źródeł samemu p. W. znanych, a nie robiących zgola ujemy ścisłości dzieła, można byłoby niemało zrobić.

Na co wypada też wskazać, to na spotykaną nierzadko niedokładność nomenklatur miejscowości; co może pochodzić w części z braku ścisłości w odpisach mniej czytelnych litewsko-ruskich hramot. Czasem zdradza się też niezrozumienie pewnych terminów w źródłach. Tak np. w ustępie o kn. Hlińskich (str. 87) autor, idąc za Arch. kij. (cz. VII, t. II, str. 133 wst.), zaznacza dokonany 1498 r. dział między braćmi „z linii czerkaskiej” tego rodu, mocą którego jeden z nich (Bohdan) otrzymał z majątku ojczystego: „Sewer Sulską i rzekę Sulę z góry do ujścia”, drugi zaś (Hrehory) Sewer-Hlińszczyznę i w Worskle i t. d. i na rzeczce Udoj-Sewer”. Które to wyrażenie tłómaczy przez: „północno”-Sulskie obszary i t. d., oraz „północną” Hlińszczyznę i t. d. i „północne” części rz. Udoju i t. d. Gdy tymczasem termin „Sewer”, „Sewera”, „Siwera” (skąd „Sewruk”), pokrewny pierwiastkowi turskiemu „Sawrug” (Słown. Redhouse'a), oznacza jedynie „wchód” myśliwski „w łowy”, lub „łowy” poprostu; a więc w tym razie: „Sewer Sulska” — tyle, co „wchody” na Sule, „z góry do ujścia” wyrażnie, nie zaś „północne”; „Sewer-Hlińszczyzna” i t. d. — tyle, co „wchody”, „łowy” w Hlińszczyźnie i t. d. Ale w tym razie nie możemy autorowi, nie obeznanemu bliżej z warunkami bytu ukraińskiego Zadnieprza — w oddalonej onego przeszłości, robić zarzutu wielkiego z tego, że błędnie zrozumiał zawile wyrażenia źródła, tem bardziej zaś, ile że i sam podający (z *Dworc. Razr.*) fakt ten w Arch. kij. nie pojął go, zdaje się, należycie.

Niewięcej może uzasadnione okazałyby się i inne zarzuty, czy raczej dezyderata, jakiebyśmy wystosować mogli

pod adresem p. Wolffa. Niewątpliwie praca jego zyskałaby wiele na pełni, gdyby opatrzona była „Skorowidzem” zaznaczanych w niej osób i miejscowości. Co do pierwszego wszakże — zaradza nieco potrzebie sam alfabetyczny, podług rodów, układ treści. Co do drugiego — chociaż byłoby to oczywiście nieskończenie dogodniejsze dla poszukujących informacji w jego dziele — znaleźć tam i materiały też geograficzny równie dobrze opracowany, rozjaśniony, a nadto i w skorowidzu odpowiednio podany; ale cóż — przysporzyłoby to drugie tyle pracy autorowi, zmuszonemu w ten sposób wkroczyć na zupełnie obce sobie pole geografii historycznej. Więc na teraz poprzestańmy już na tem, co nam dał, nie szczędząc ani kilkoletniego, w całym znaczeniu, mokołu, ani donośnego kosztu; zastrzegając sobie atoli niepłonną otuchę, że to jeszcze nie stracone i że po paru latach, dopełniając nowemi wykryciami swą pracę obecną, wzbogaci ją też tyle pożądanym skorowidzem.

Oto i wszystko, co mogliśmy, w pobieżnym przejrzeniu, powiedzieć na razie o tej ostatniej pracy p. Wolffa. Za szczupłe mieliśmy ramy na sprawozdanie obszerniejsze, którego miejsce zresztą w specjalnem czasopiśmie historycznym. Nie wątpimy nadto, że ci, w których ręku zastrzął odnośny materiał, martwy dotąd, zechcą przecie uchylić nieco korzec je pokrywający. Co więcej, podnosząc rycerską rękawicę, jaką im cisnął oto, pracą swą obecną, p. Wolff, wystąpią z nim w szranki, uzbrojeni w nieznanymu ryszstunek, a który i my radzibyśmy również poznać. Czekamy tedy; boć wszelaka *nobilitas* wszędy *obligat!*

BALLADYNA SŁOWACKIEGO.

UWAGI NAD WEWNĘTRZNĄ TREŚCIĄ UTWORU. *)

„W tobie leży jeden ze znaków, że to, co
poczytują za umarłe, nie umarło”.

(List Krasińskiego do Słowackiego z r. 1840.)

Komu z nas nieznany ten piękny, fantastyczny Słowackiego utwór, co, jak *Sen nocy letniej* Szekspira, jak senna sielskiego ludu powieść, przy pierwszym dotknięciu wyobraźnię nam unosi,—co, jak rozgłos dźwięków tajemniczych ballad Szopena, uczucie nasze rozrzewnia? Któż zarazem nie był wzruszony do głębi duszy tą żywą, smętną a szczytnie poważną jego treścią, któż nie był wzruszony samą tragicznością przedmiotu, przypominającą tragiczność *Makbeta* i *Lira*, sięgającą wyżyny wzorów greckich? Potrącenie więc *Balladyny*, choćby najlżejsze, byłoby dla każdego rozkosznym przypomnieniem; o ileż bardziej uprzejmie powitana ona być ma prawo, gdy się ją tu bierze za przedmiot głębszej rozważki.

Balladyna, tak w rozumieniu jej autora, jak w uznaniu ogólnem najpoważniejszych sędziów naszych w zakresie estetyki, stanowi jedno z najpiękniejszych i najbardziej wykończonych dzieł Słowackiego.

*) *Balladyna*, tragedia J. Słowackiego — p. L-wa J-go — Toruń, 1875 r.

„Ze wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica napisała, ta tragedia jest najlepszą, zwłaszcza że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nie tknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny” — powiada on w liście do swej matki w r. 1834, zwiastując jej narodzenie *Balladyny* (Małeckiego *Juliusz Słowacki*, I, 220).

Krasiński w liście do Juliusza (1840), odpowiadającym na poświęcenie mu *Balladyny*, woła w uniesieniu: „Nic doskonalszego a jednak rzeczywiściego co do formy i treści swojej niema na świecie!”... (Mał. *Jul. Sł.*, II, 45).

Surowszy Małeki (*Jul. Słow.*, II, 145) wyznaje niemniej, że dzieło to dla mistrzowskiego przeprowadzenia w niem gry sprężyn psychicznych „okazuje się rzeczywiście najgłębszą może kreacją Słowackiego, w każdym razie utworem godnym jego geniuszu”.

Utwór ten należy do tej grupy fantastyczno-historycznych dramatów, w których splocie, jakby w jednym wielkim poemacie, zamierzył poeta uobrazować artystycznie zamierzchłe dzieje naszej przeszłości.

Z genezą pomysłu tego oznajmia nas sam autor we wstępie do *Balladyny*, ułożonym w formie listu do autora *Iridiona*. W tym też liście podaje on nam wskazówki i główny klucz do należytego zrozumienia samego także utworu.

Zacznijmy tedy nasze uwagi od przypomnienia sobie odpowiednich a charakterystycznych listu tego ustępów.

„Uśmiechnij się teraz *Iridionie*—przemawia Słowacki—bo oto naśladując francuskich poetów, powiem ci, że *Balladyna* jest tylko epizodem wielkiego poematu w rodzaju *Ariosta*, który ma się uwiązać z sześciu tragedj czyli kronik dramatycznych.

„Cienie już różne ludzi niebyłych wyszły ze mgły przedstawienia i otaczają mnie ciżbą gwarzącą; potrzeba tylko, aby się zebrały w oddzielne tłumy, ażeby czyny ich ułożyły się w postaci piramidalne wypadków, a jedną po dru-

giej garstkę na świat wypychać będę;—i sprawdzą się może sny mego dzieciństwa!...

„Bo ileż to razy, patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzy; że odbuduję zapadłe sale i oświetlę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie *niestety*”!

A dalej, zwracając się bezpośrednio do Krasieńskiego, jako twórcy *Iridiona*, dobitniej, dotykalcniej określa charakter swojej kreacji.

„Tak więc, kiedy ty posągowe Rzymian postacie napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego, ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie—i na spotkanie twojej czarnej, piorunowej, Danteskiej chmury prowadzę lekkie, tęczone i ariostyczne obłoki, pewny, że spotkanie się nasze w wyższej krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni”.

Owoż poeta postawił sobie w *Balladynie* za zadanie: przedstawić jeden ustęp z wielkiego tragicznego dziejów naszych poematu, przywołać do życia cienie rozpięzchłe przeszłości, ubrać wieńcem myśli wieszczych owe ruiny, — z Polski dawnej utworzyć fantastyczną a uroczą promieniem nadziei dziejową legendę; — słowem, oddać w żywej akcji dramatu pewną stronę naszego historycznego bytu, fantastycznie uobrazowaną, lecz zasadniczo pojętą. Wcale nie „Szekspir *Balladynę* porodził w głowie Słowackiego”—jak to Krasieński pod pierwszym wrażeniem powiada (Wyj. z *List. Z. K.* 1861, str. 46); Szekspir ułatwił mu tylko bogactwo środków tyle, ile i romantyzm wogóle; lecz źródło twórczości zupełnie tu samoistne. To też następnie autor *Iridiona* i sam wskazuje, że chociaż możnaby Słowackiemu naśladowanie czasem dosłowne *Lady Macbeth* i *Króla Leara* zarzucić, ale ogólne pojęcie *Balladyny* jest zarazem „fantastyczno-niepodległe i konieczno-historyczne”! (Wyj. z *List.*

Z. Kr. 1861, str. 47). Sam nawet autor we wspomnianym liście do matki z r. 1834 przyznaje: „Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z *Królem Lirem Szekspira*”; ale uprzedza: „Tragedya cała podobna do starej ballady — ułożona tak, jakby ją gmin układał—przeciwna zupełnie prawdzie historycznej (oczywiście rutynicznie rozumianej) — czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; ludzie jednak starałem się aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca”...

Wobec swego głównego założenia osnowa *Balladyny* mogła być wzięta jedynie ze świata ludowej fantazyi, przechowanej w podaniu wieśniaka, żywej zawsze w jego pieśni. Skarbnica fantazyi ludowej jedynie mogła dostarczyć wie-szczowi odpowiednich motywów, kształtów i barw, tak dla upostaciowania idei, jak równie dla kolorytu obrazów i całości. Nakoniec sama artystyczna kreacya mogła być traktowana jedynie w duchu fantazyi gminnej.

Osnowa też tragedyi wzięta głównie z powszechnie znanej a smętnej ludu nadwiślańskiego pieśni legendarnej, opiewającej, jako miała wdowa dwie córki — „obie kocha pan, obie wzięły dzban; która więcej malin zbierze, tę za żonę pan wybierze”, — jak potem zabiła starsza młodszą i została panią; jak nakoniec z wyroku niebios sama ukarana została, gdy dudka pastusza z wierzby, rosnącej nad grobem siostry, odkryła jej zbrodnię.

Na tej prostej sielskiej osnowie roztoczył autor bogatą wzorzystą tkaninę psychicznej akcji i ozdobił ją przepychem obrazów. Wśród ujmującej gry światła i cieni, wśród blasku barw czystych, mocą twórczą natchnął ową prostą, wieśniaczą gadkę niezrównaną obfитоścią myśli i życia, zaludnił ją całym światem pełnych prawdy i artyzmu postaci, a całość owiał wiejską świeżością i przyodział wspaniale jaśniejącym piękną wytworem!

Nim przystąpimy do naszych uwag, nim następnie poddamy *Balladynę* głębszej analizie, wypada nam tu pierwszej, już choćby dla samego przypomnienia główniejszych jej czynników i postaci, przedstawić, o ile można w ściślejszem streszczeniu, samo rozwinięcie dramatyczne tej tragedyi w postępowym przebiegu akcji.

Balladyna, jako utwór dramatyczny, jako tragedia, składa się z pięciu aktów.

Świat, jaki nam w niej okazuje poeta, jest to świat przedhistoryczny dawnej Polski, pełen patryarchalnej prostoty wieśniaczej i cudowności mistycznej w objęciach życia blizkiego natury; pełen bohaterstwa, cnót i występków barbarzyńskich, niby jakaś chwila dziejowa z epoki bajecznych Popielów, nad Gopłem się rozgrywająca...

Czasy to powszechnego zamętu. Ostatni z Popielów (IV) obala z tronu swego brata (III-go) i morduje jego dziatwę. Strącony książę, zapoznany, żyje w głębokich lasach jako pustelnik. Przechowuje on prawowitą koronę Lecha, posiadającą moc cudowną, a przekleństwo jego przywłaszczycielowi rzucone cięży na kraju. Nowy władca panuje po tyrańsku, kraj dotykają srogie klęski, rozprężenie powszechne.

Na takim oto tle poczyna się akcja *Balladyny*. Przejdźmy teraz do samego rozwinięcia dramatu.

Akt I-szy wprowadza nas do lasu głębokiego, blisko jeziora Gopła, w ustronie chaty pustelniczej. Na scenę wchodzi Kirkor, młody, dzielny rycerz, o orlich skrzydłach i karaceńskiej zbroi. Przychodzi on po radę do mądrego pustelnika w stanowczej chwili wyboru towarzyszkii życia. W pobożnym starcu poznaje strąconego prawowitego władzcę, Popiela III; w uniesieniu myśli go pomścić. Co zaś do wyboru, postanawia iść za radą pustelnika i szukać szczęścia pod strzechą wieśniaczą, którą mu pierwsza jaskółka wskaże. Lecz o samym wyborze decyduje przypadek, jaki tu upo-

staciowują w ślicznej fantasmagoryi nimfa Goplana i posłuszne jej sylfy Chochlik i Skierka.

Zawiązanie romantycznego węzła proste a misterne.

W pobliżu jeziora i boru w ubogiej chałupie mieszka stara wdowa z dwiema ślicznymi córkami, Balladyną i Aliną. Starszą z nich zajęty prostaczy wieśniak z sąsiedztwa, Grabiec; lecz jego to ukochała bez wzajemności nieziemską miłością Goplana. Gdy więc Kirkor ruszył na poszukiwanie sądzonej, nimfa postanowiła go przez swych sylfów zwrócić ku chatce dziewcząt. W pobliżu tedy (scena 3) chochliki załamują mostek pod powozem Kirkora, i rycerz z musu wstępuje pod strzechę dwóch pięknych sióstr. Niebawem, owiany urokiem, rzuconym nań czarodziejską siłą, zapala się rozkosznem miłości uczuciem; lecz skutkiem omyłki Skierki, jako zrzędzenia fatalnego, do obojga dziewcząt naraz. Los więc ślepy musi stanowić o wyborze.

Skierka tedy podszeptuje wdowie:

Niechaj idą w las dziewczyny;
Która więcej jagód zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.

I Kirkor zgadza się na to.

Akt II znów się odbywa w lesie nad jeziorem. O wschodzie słońca na scenie zjawia się Grabiec, czerwonym błotem trzęsawisk uwalany i dobrze podpiły; zmęczony całonocnem wodzeniem go po błotach przez Chochlika, spokojnie usypia. Na to nadchodzi Goplana ze Skierką i dowiaduje się o poprzedniem mimo to widzeniu się swego kochanka z Balladyną. Zrozpaczona a nie mająca siły być srogą dla ukochanego, za karę jednak zamienia Grabca w płaczącą wierzbę.

Następnie widać dwie siostry, zbierające jagody. Alina nazbierała już pełen dzbanek malin; Balladyna, jakby demoniczną siłą opętana, nie zbiera ich wcale, a potem dla osiągnięcia dzbanka siostry, a z nim i ręki Kirkora, ugadza ją nożem śmiertelnie. Jedynym świadkiem morderstwa jest

wierzba, w którą zaklęty Grabiec, a Balladyna odbiega w las, lecz z krwawą plamą na czole.

Po jej ucieczce nadchodzą nad ciało zamordowanej Goplana ze Skierką i sprowadzają na ratunek Filona i pustelnika. Filon, nieszczęsny marzyciel, co dotąd szukał wszędy napróżno idealnej miłości, ujrzawszy martwą Aline, na nią zlewa odtąd całe swe uczucie, w besilność rozfantazyowane.—Potem (scena 2) Balladyna wraca do domu z pełnym dzbankiem siostry, o której ucieczce obłudnie donosi—i zostaje żoną Kirkora.

Akt III poczyna się od fantastycznej sceny u pogorzelniska dopalającej się chaty wdowy. Do gwarzącej gromadki wieśniaczego ludu zbliża się Grabiec wytrzeźwiony i dowiadyuje się o tem, co zaszło. — Dalej (scena 2) mamy przed sobą zamek Kirkora, Balladynę już tu panią, lecz niezdolną uwolnić się od niepokoju duszy. Rycerz przed zamierzoną tajemniczo wyprawą żegna żonę zaraz po ślubie, prosząc ją o zdjęcie za jego powrotem przepaski czarnej, pokrywającej niezmasalną plamę krwawą na jej czole. Balladyny niepokój wzrasta—że jej zbrodnia może się wydać; a potrzeba powiernika powoli prowadzi ją do zbliżenia się z przewrotnym Kostrynem, przybyszem niemieckim w orszaku jej męża, któremu straż zamku powierzona. W scenie 3-ciej jesteśmy znów w lesie u chaty pustelnika. Przychoǳą do mądrego starca Kirkor, Filon i Balladyna. Pustelnik dodaje otuchy prawemu rycerzowi w zamierzonej walce o przywrócenie prawowitej korony i władzy, obok tego radzi mu doświadczyć młodej żony jaką próbą; a marzyciela Filona zagrzewa do czynu. Balladynę zaś, co, dręczona obawą rychłego powrotu męża i dopytywaniami matki, przybyła doń po środek na zmycie złowrogiej plamy—zmusza do mimowolnego wyznania zbrodni. Potem (scena 4) przesuwa się przed nami pełen fantasmagoryi obraz przetworzenia czarodziejską mocą nimfy kochanka jej Grabca na króla, uwięzionego prawdziwą, wykradzioną pustelnikowi, koroną Le-

cha. — Kończy zaś (scena 5) ten akt morderstwo Gralona, gońca Kirkora z darami dla żony — mord, do którego ta została popchnięta czarną duszą Kostryna, co ją już uwikłał fatalnie w swe sidła.

W akcie IV oto ucza w zamku Kirkora. Grabiec, ubrany jako król, siedzi na pierwszym miejscu; pełno gości; przez okna widać błyskawice. Wśród biesiady wesołej do sali wdziera się w łachmanach zapomniana przez córkę wdowa. Balladyna wypiera się swej matki publicznie i każe ją sromotnie wygnać. Potem gońiec Kirkora zwiastuje rychłe przybycie pana swego, tłumaczy opóźnienie, donosi o odniesionem przezeń zwycięstwie nad przywłaszczyicielem tronu i zapowiada, że odtąd prawowitym władcą ten jedynie, kto będzie koronę Lecha mieć na głowie. Wszyscy więc przebranego Grabca witają królem! — Nowy król dla rozrywki gości każe grać Chochlikowi na swem berle wierzbowem. Chochlik gra, a duchy niewidzialne przywтворяją pieśń ludową o zabójstwie siostry przez siostrę. Balladyna w najwyższym niepokoju! Następnie Grabiec każe przynieść malin na wety. Lecz tu, o zgrozo, pokazuje się cień biały Aliny z dzbankiem malin na głowie; Balladyna omdlewa — ucza skończona.

Tymczasem (scena 2) u chatki pustelnika Kirkor przyrzeka starcowi odszukać skradzioną mu koronę i mimo burzy odjeżdża do Gniezna.

Niebawem zjawia się wdowa wygnana, zrozpaczona, narzekając na okrucieństwo córki. A na zamku (scena 3) następuje nowy mord; Balladyna zgładza Grabca i z Kostrynem zdobywa jego koronę. Lecz powiernik ten, kusiciel zbrodniarki, poczyną godzić już i na jej życie. Przedewszystkiem jednak postanowiono jeszcze wspólnie zadać śmierć pustelnikowi, posiadającemu tajemnicę Balladyny, oraz walkę na zabój z Kirkorem.

Akt V. Scena 1 przedstawia nam poranek na leśnej łące. Goplana z pieśnią pożegnania na ustach postanawia

opuścić po kochanka stracie krainę nieszczęść i unieść się ku obłokom na wieńcu zórawi odlatujących. Kirkor zaś pod murami Gniezna (scena 2) dowiaduje się o śmierci pustelnika i zagrzewa swoich do rozpaczliwej walki z nowym przywłasczycielem korony. W następnym boju z Kostrynem (scena 3) Kirkor ginie, a poselstwo ze stolicy niesie zwycięzcom chleb i sól, Balladyna przekrawa bułkę chleba nożem zatrutym i podaje połowę Kostrynowi, który dar ten spożywa na swą zgubę.

Uwolniona (scena 4) w taki sposób od ostatniego człowieka, co posiadał jej tajemnicę, Balladyna postanawia od-tąd zmienić zupełnie swe życie i rządzić sprawiedliwie, wzo-rowo. Lecz fatalizm logicznych następstw przeszłości popycha już ją dalej do zbrodni i zguby.

Oto królowa na początek panowania zasiada na sądy. Najprzód lekarz wnosi skargę o otrucie Kostryna i królowa zmuszona wydać wyrok śmierci na nieznanego zbrodniarza. Filon potem wprowadza sprawę zamordowania Aliny; i tu królowa wyrok śmierci wydać zmuszona. Nareszcie ślepa wdowa, matka Balladyny, wchodzi ze skargą na wyrodną córkę; lecz gdy się dowiaduje od kanclerza, że wyrok śmierci czeka niegodziwą, cofa zaskarżenie i ginie na torturach, by nie wydać tej córki. Królowa niezachwiana okropnością położenia! A gdy i teraz wydaje wyrok śmierci na siebie—piorun z niebios ją zabija. Epilog jest tylko ironicznym pociskiem przeciw powszedniemu dziejów pojmowaniu.

Oto jest nagi schemat i tło akcji, na których wznosi się wspaniała budowa *Balladyny*. W rozwinięciu swem utwór ten Słowackiego pod pierwszym wrażeniem już po-bieżnego odczytania nawet, wobec estetycznych warunków dramatu wogóle, stanowi w sobie pełną, żywą całość, obejmującą głęboką treść, jaką podaje artyzmowi pospolita, lecz potężna walka i powszednie ważenie się rozlicznych pier-

wiastków ludzkiego bytu. Ujmuje nas on, porywa nawet czasem swem mistrzowskim oddaniem tej treści w przepysznych nieraz formy postaciach, a w duchu ludowych wyobrażeń. Tyle tu gry życia, tyle bogactwa jego, taka głąb uczuć tu potracona, takie przeprowadzenia dosadne niecodziennych wcale charakterów, tyle dramatyczności akcji samej. A wszystko to przepięcone obfitością myśli żywych i cudnie pięknych obrazów, oświetlone poczuciem natury i oddane, przy istnie czarodziejskiem, nieograniczonem władaniu polską mową, z „wyuzdaną, bezczelną”, jak się wyraża Krasieński (Wyj. z *List. Z. Kr.* 1861, str. 46), „łatwością pięknych wierszy”. — Jest się zatem zupełnie przejętym i zadowolonym, że się już na razie więcej nic nad to nie wymaga, nieco mniej fantastyczności może, mniej rozstrzelania skupiających się promieni w jakiś przestwór bezgraniczny, ale już nic więcej—chyba mniej mimowolnych a uderzających przypomnień pewnych motywów Szekspira.

Tak też *Balladynę* powszechnie od początku pojęto, utwór podobał się i ujął, zagadkowość nieraz uderzającą darowano rozbijałemu poecie, historycznej strony nie dotykano wcale i dar jego przyjęto z niemą, spokojną uprzejmością.

Nie pojęto tu przecie istotnej wieszczęj strony utworu! Nie napróżno też wypowiedział Słowacki obawy swoje w powieści, od jakiej rozpoczyna, poświęcając Krasieńskiemu *Balladynę*, swój list do niego.

Posłuchajmy uważnie tej skargi:

„Kochany poeto ruin! Pozwól, że pisząc do ciebie zacznę od apologu, który mi opowiedziano nad Salaminy zatoką. Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio przyszedł nad brzegi morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał, że szum ów pochodzi od zgietku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi, a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu,

żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. — Rzucił więc harfę gracz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni narzędzie i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn, nie wiedząc, że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal Egejskiego morza utonął”.

Napróżno go Krasieński pociesza w liście swym, napisanym w odpowiedź na poświęcenie sobie *Balladyny* z Rzymu 23 lutego 1840 (*Mał. Jul. Sł.*, II, 46).

... „Mojem zdaniem, komu zaraz sypną się wieńce laurowe, ten znać że djabłą bufonadę, przystępną, zrozumiałą natychmiast wszystkim powiedział. Kto ma nigdy nie umierać, niech poczeka trochę aż żyć zacznie. Wszystko, co tylko ma styczność z wiecznością, powoli się odbywa”... Potem zwraca się doń osobiście: „Julu, zaklinam cię, nie dbaj o te gwary, co kiedyś nawrócą się do ciebie. Trzymaj nakształt harfy eolskiej duszę twoją wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba. Niech myśli Boga — promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, a nie myśli ludzi”...

Musiął Słowacki przecie mieć słuszność do skargi po sobie, gdy jeszcze, przesyłając autorowi *Iridiona Lillę-Wenedę* (w kwietniu 1840), tak mu pisze:

„Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy Rafaelowskie; że dosyć jest jednym słowem zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba na niedowidzenie, a chronić się tylko przesyty. Sądziłem, że wszyscy ludzie obdarzeni są Platonką i attycką uwagą; że dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jedną taką postać, jak nimfa, uwieńczona jaskółkami, które pierzchają z włosów, dotknięte słońca promykiem — jedną taką postać, jak nimfa, uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących po niebie żórawi — można te Ateńczyki

obrócić na niebo oczyma. Teraz widzę, że innych widm, innych kolorów, innych potrzeba obrazów”...

To powierzchowne pojęcie *Balladyny* w pierwszej dobie dziwnem się wszakże wydaje. Sam bowiem zewnętrzny jej ustrój tak powabny, że nęci, że zmusza mimowoli do poznania i samej istoty utworu; a istota ta z poza szat barwnych, przy lada zastanowieniu, tak głęboką się być wydaje, że myśl badawcza już od niej oderwać się nie może, dopóki oko nie spotka się z zawartą w niej nagą prawdą. Dlaczego jednak mimo to nad luźne powtarzanie: „co też to za śliczny utwór”, nic o niej długo nie mieliśmy; dlaczego przez długie czasy nikt się rzeczywiście nie poruszył żywiej, by z ponad tych uroczych postaci poezyi ze złości uchylić zasłony tajemniczej, by z przejęciem się przyklasnąć dolatującym z poza niej nieopisanej harmonii dźwiękom, dlaczego, słowem, nikt nie rozwinął — nie mówię w pełnym obrazie, ale choćby w zarysach — głębszej, poważnej treści *Balladyny*? — tego już nie rozumiem istotnie. Listy zaś Krasińskiego były publiczności długo, nawet w wyjątkach, nieznanne.

Komuż tu jednak winę przypisać wypada? Społeczeństwo nasze wprowadzie tak wielce „ateńskiem”, jak tego pragnąłby sobie poeta, w rzeczywistości nie jest;—powszednio „innych mu obrazów potrzeba”, lecz w tem zawarta cząstkowa tylko przyczyna, cząstkowa prawda. Wina tu spoczywała zarówno w społeczeństwie, jak i w poecie, nie tyle w rodzaju i charakterze, ile może w szatach jego poezyi, w jego rozkołysanej fantastyczności.

Posłuchajmy Krasińskiego, co on powiada o duchu Juliusza w owym liście z Rzymu (*Mał. Jul. St.*, II, 46).

... „On stoi jak szyba mórz wśród wszechświata i odbija wszystkie słońca, księżyce, anioły, bogi, szatany, co się przesuwiają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich. Stąd pochodzi, że czasem ludzie jego własności nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają naj-

bliżej pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje — a to jednak dzieje się w niebie”...

W dramacie wszakże pospolicie przywykliśmy szukać plastycznego zaokrąglenia w wykończeniu, gry życia ściśle psychicznej, a postaci działających, coby żywo przedstawiały nam świat rzeczywisty; bez względu z jakiego bytu wzięta sama treść, samo działanie — bytu powszedniego czy historycznego, dotykającego wyłącznie, czy też oderwanego bardziej. Takim zaś dramatem właściwie *Balladyna* nie jest; nie odpowiada ona warunkom tragedii w ścisłym znaczeniu, a najmniej surowym warunkom sceniczności. Jest to poemat raczej, lecz poemat fantastyczny — choć wspaniały, treścią swą szczytny.

Wymaganie przecie, aby wszelkie życiowe a żywotne prawdy, szczególnie w ich wzajemnym na siebie oddziaływaniu, przedstawiono nam koniecznie wyraźnie i nago, bez żadnej fantastycznej powłoki, bez żadnego upostaciowania przenośni — byłoby najniezawodniej sprzeczne z zasadami estetyki. Bodaj nawet czy nie piękniejsze też jest piękno przysłonięte nieco, tajemnicze nieco, niż zupełnie nagie, a w poezji właśnie zadaniem jest piękno całkiem bez względu na rodzaj opromienianej przez nie prawdy. Stąd też osłanianie idei fantastycznymi szatami jest powszechnie uznane w europejskich literaturach, więc i nasza narodowa poezya, nawet nieraz zmuszona do pilniejszego okrywania swych myśli fantastyczną osłoną, wcale jeszcze przez to poza surowe wymagania artyzmu nie wykracza. Chodzi bowiem zawsze tylko o stopień fantastyczności, o mniejszą lub większą dostępność symbolicznego postaciowania, o przezroczystość, że tak powiem, mistycyzmu form i kształtów.

Pod tym zaś względem Słowacki niejednokrotnie przekracza miarę; na skrzydłach swej fantastyczności unosi się w przestwory nadziemskie, poza osłoną tęcz i chmur promiennych zaledwie dościsnę spokojnemu oku, a z takiej wyżyny rzuca często cudnych kształtów zagadki wtedy, kiedy

się potrzebuje tylko jaśniejącego pełnem bogactwem, lecz przejrzystego koniecznie obrazu. Lub co więcej — całą nawet osnowę utworu tak tęczowemi barwami wskroś przenika, tak ją arabeskowo fantazyjuje, że we wzorzystości upostaciowań kryje się treść i szyk jej logiczny — czasami do niedogadnienia prawie. Takim charakterem odznacza się i *Balladyna*, jeden z najfantastyczniejszych, podług wyznania samego autora, utworów jego — i w tym jej charakterze szczególnieź zdaje się mieścić najglówniejsza może przyczyna niedostatecznego jej ocenienia przez ogół. Widać bogata niezmiernie jej forma rozstrzela mniej baczną uwagę i zwraca ją niekiedy w stronę, gdzie, spotkawszy się ze *Snem nocy letniej*, usnąć można w powiewnem marzeniu.

Nawet Krasieński wykrzykuje: „*Midsummer nig't's dream!*” a dalej woła: „Granity rzuć pod twoje tęcze. Tęcza, gdy łukiem się zakala po niebie, winna stopy śliczne oprzeć na podstawie granitowej, — to jeszcze ją lepiej tęczą robi!” (w liście z Rzymu, *Mał. Jul. Sł.*, II).

Skądinąd jednak co do fantastycznej, legendarnej, wzorzystej a swobodnej formy, jaką sobie wybrał Słowacki — nietylko natura jego własnej twórczości, lecz może sam przedmiot, ile że w duchu fantazyi ludowej traktowany, niezmiernie fantastyczny, wybór ten wytlómaczy i usłuszni. Wprawdzie wolelibyśmy może widzieć temat dziejowy, przemawiający ku nam w skończonym dramatyzmie posągowych form *Iridiona*, niżeli we wzorzystych arabeskach fantastycznej legendy; lecz pod względem estetycznym musimy przyznać najzupełniejsze równouprawnienie i powiewnej formie, tem żywiej, że literatura przez to urozmaicenie postaciowań tylko na rzeczywistem bogactwie zasobów swych zyskuje.

Koniec końców, poeta miał prawo wymagania zupełnego rozumienia utworu, gdy sam rozumienie to znacząco ułatwił. Zechciejmy zastanowić się ostatecznie nad tem, co jeszcze on w przytoczonym już liście do Krasieńskiego powiada.

„Wychodzi na świat *Balladyna*, z ariostycznym uśmie-

chem na twarzy, obdarzona wewnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa, ręką ludzi szczepione. Niech naprawiacz wszelkiego bezprawia Kirkor pada ofiarą swoich czystych zamiarów; niech Grabiec miłuje kuchnię Kirkora; niechaj powietrzna Goplana kocha się w rumianym chłopie, a sentymentalny Filon szuka umyślnie męczarni miłośnych i umarłej kochanki. Niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy.—A jeśli to wszystko ma wewnętrzną siłę żywota, jeżeli stworzyło się w głowie poety podług praw boskich, jeżeli natchnienie nie było gorączką, ale skutkiem tej dziwnej władzy, która szepcze do ucha nigdy wprzód niesłyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy, we śnie nawet, niewidziane istoty; jeżeli instynkt poetyczny był lepszy od rozsądku, który nieraz tę lub owę rzecz potępił: — to Balladyna wbrew rozwadze i historii zostanie Królową Polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błysnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości”.

Czy pojęcie *Balladyny* przez autora *Iridiona* mogło całkowicie zaspokoić Słowackiego—wiedzieć nie możemy. Listy Krasieńskiego dotąd nie wydane, a to, co wiemy z wyjątków u Gaszyńskiego i Małeckiego, wskazuje tylko na ocenę przezeń dzieła ze strony artystycznej przedewszystkiem, a nadto w wyrazach ogólnych i doraźnych fantastycznie. Że on nie zadał sobie trudu głębiej objąć historyczną treść *Balladyny*, to rzecz niezawodna; w jego rozumieniu „ma ona zawierać w sobie ducha czasów bajecznych” (Wyj. z *List. Z. Kr.*, str. 46), ma być uzmysłowieniem tej prawdy, iż wszędzie śmierć zlewa się z życiem, przeszłość z przyszłością” (Wyj. z *List. Z. Kr.*, 47, 48). Nawet trudno przypuszczać ściślejsze wnikanie w treść w Krasieńskim, porywała go całkowicie strona fantastycznie twórcza utworu.

„Był snąć—charakterystycznie z powodu Krasieńskiego powiada w rozbiorze *Anhellego* Małecki (II, 22, 23) — w owem

pokoleniu poetów jakiś dziwny pociąg do tajemniczości w artyzmie, tak iż mglista zagadkowość dzieł poetyckich nie była poczytywana za ułomność, lecz raczej przydawać miała uroku częściom obrazu, więcej wydobytym na światło. Co tonęło w pomroku, choć nie przemawiało do oka, mówiło do wyobraźni. A ta po swojemu u każdego czytelnika inaczej dopełnia tego, co w obrazie było zakryte. Nie chodziło o to, co poeta zamierzał, ale co się dawało marzyć nad książką w duszy własnej. Było to jak z utworami muzyki, które także wzbudzają myśli w słuchaczach, ale zazwyczaj w każdym inne i aż do pewnej granicy zupełne i dowolne”...

Przez długie lata tedy w piśmiennictwie naszym nie było żadnej poważnej oceny *Balladyny*.

Dopiero profesor Małecki poddał nareszcie utwór ten poważnej analizie w pracy swej: *J. Słowacki, jego życie i dzieła*, wydanej w 2-ach tomach we Lwowie 1866 i 67 r. Znadto powszechnie znana jest ta praca i ustęp w niej o *Balladynie* (tom II, od str. 137 do 177), ażeby tu go dotykać w całym rozwinięciu; w naszym celu dostateczne tu będzie przytoczenie tylko pewnych bardziej charakterystycznych poglądów autora.

Podobnie jak Krasieński, wskazuje i on na wpływy utworów Szekspira w budowie *Balladyny*; lecz danie pierwszego impulsu przyznaje raczej Kochanowskiemu przez jego *Odprawę posłów i Sobótki* — a za jego pośrednictwem klasycznej tragedji greckiej. Podobieństwa zaś z naszym starym bardem dopatruje nietylko w myślach i szczegółach, ile w rytmie, w tonie, w całym nastroju ducha i lutni. Osnowę za to odnajduje w świecie fantazyi ludowej, w pieśniach, użytych już pierwej za tło *Lilii Mickiewicza* i *Malin Chodźki*.

W szczegółowym rozbiórce tragedji z niepospolitą ścisłością i estetycznym krytycyzmem obejmuje on całość artystyczną utworu, bada wszystkie sprężyny wewnętrzne akcji dramatycznej; całą genezę leżącą w osnowie dramatu zbrodni analitycznie roztacza i zgłębia najskrytsze psychiczne tajniki

działających w dramacie tym osób. Przyznaje w nim mistrzowski przeprowadzenie szczęśliwego pomysłu kombinacji głównych psychicznych sprężyn działania i z tej strony uważa sam utwór za najgłębszą kreację Słowackiego, utwór godny jego geniuszu. Nie pomija i stron ujemnych. Dziwi go posługiwanie się — czasem bez braku — jako materiałem motywami Szekspira, lecz zaraz wskazuje, że „prawd ogólnych i wiekuistych, na których założone są węgły świata, szczupła jest tylko liczba”! (str. 167). Za to przesadnie uderza uczony profesor na wady *Balladyny*, które takimi mu być się zdają z powodu zbyt surowego pojmowania przezeń tego utworu jako tragedii przede wszystkim i w najściślejszym znaczeniu wyrazu, jak niemniej z przyczyny niedostatecznego rozumienia historycznej strony utworu. Historyczną bowiem treść obrazu pojmuje Małecki jedynie jako epizod, wsunięty w dzieje nasze mityczne jako ogniwo, łączące zamierzchłe czasy Popielów z pewniejszą i prawie już historycznym słońcem oblaną epoką Piastów, jako ostatnią chwilę przeddziejowego istnienia — zaludnioną przez poetę krom ludzkich i fantastycznymi istotami, gdzie fantastyczna ta cudowność jednakże rozwiewa się w mgły nicości wraz z świtem historycznego poranku, gdy razem z upadkiem *Balladyny*, razem z końcem balladowego przedbytu Polski, rozwiewa się... w błękit daleki i fantastyczna królowa Gopła” (II, str. 171, 172).

Lecz mimo całej głębokości umiejętnej analizy *Balladyny* pojęcie tego utworu, przez poważnego uczonego wypowiedziane, jest niepełne, jednostronne. Przyczyną tego niedostateczne, błędne zatem rozumienie historycznej strony w jej treści i budowie.

Niepojęte to przecie dla mnie w tak głębokim myślicielu. Mógł on tu w części powodować się użyciem przez Słowackiego wyrażenia „epizod”, lecz nie z równą słusznością mógł był przyjąć ściślej i jego pozorne antyhistoryczne protestacje wogóle? A przecie w pokrewnej *Balladynie Lilli-*

Wenedzie umiał odgadnąć, że „jest to... *per excellentiam* tragedia idei, tragedia narodu i społeczeństwa całego — nie osób pojedynczych” (II, 180).

Większego tu jednak widocznie znaczenia był wstręt profesora do alegorycznego, symbolicznego tłumaczenia poetycznych utworów, jaki on wypowiedział w jednym z ustępów swego rozbioru (II, str. 79, 80).

„Tłumaczenie utworów poetyckiej literatury naszej w sposób alegoryczny jest — powiada on — wogóle między nami dosyć zwyczajną rzeczą. Każdy utwór głębszej treści, *Nieboska Komedia*, *Iridion*, *Król Duch*, nawet *Lilla-Weneda* i t. d. spotykają czytelników, którzy... w dzieła te wnoszą swoje pojęcia i ideały, popolicie im podkładając to, co ich boli. A że boleści i utrapienia nasze są ciągle jedne, więc schodzi na to, że najrozmaitszym dziełom prawie ciągle jeden temat się podsuwa, jakby one wszystkie kręciły się w jakimś kole zaczarowanym, około jednego tylko punktu. Byłaby to dziwna jednak jednostronność i ubóstwo naszej narodowej poezji, gdyby się rzeczywiście tak rzeczy miały. Wogóle uważam przypuszczenie alegoryzmu za ostatni i w rzadkach tylko rozpacziwych właściwy klucz do dobierania się w intencje dzieł wszelkiej sztuki. Czasem trzeba zrobić użytek i z niego... Lecz im rzadziej się tej metody chwytamy, tem lepiej”.

Zgoda — nic przeciw tej zasadzie nie mamy, wszakże co począć, gdy bez wytłómaczenia uderzającego w *Balladynie* alegoryzmu zrozumieć treści jej w pełni w żaden sposób niepodobna? — tak jak sam krytyk bez tego środka nie byłby wytłómaczył *Anhellego*. — Przekonamy się też przy dalszym rozwoju, że nie chcieć widzieć historycznej symboliczności w budowie *Balladyny* jest to nie widzieć jej ożywczego ducha, przenikającego majestatem dziejowej prawdy ten utwór. Boć to jakby wieniec myśli, zdobiący owe szczyryby starych ruin, zielonymi powojami porośnięty!

Niepojęte dla nas tem bardziej rozumienie i ocenienie *Ballady* przez prof. St. Tarnowskiego.

Tarnowski, ile widzimy z jego ustępu w *Przeglądzie Polskim* pod tyt: „Profesora Małeckiego *Juliusz Słowacki*”, nietylko że nie przeniknął głębiej istoty treści *Ballady*, nie posunął dalej należytego jej rozumienia, lecz, jeśli można tak powiedzieć, cofnął owo rozumienie jeszcze wstecz, tak że to razi nawet w tym jego pięknym a dosadnym skądinąd zarysie.

Dał się i on uwieść w błąd punktem widzenia chronologicznym wyłącznie, pojmując *Balladynę* jako utwór, mający przedstawić obraz bytu naszego narodu w czasach przedchrześcijańskich; dał się skrępować niemniej pozorami za pożyczoną twórczości i za dalekiego naśladownictwa; a zatem i nie był w stanie rozkryć symbolizmu zasadniczego w utworze.

W istocie rzeczy prof. Tarnowski chwieje się w swem rozumieniu wewnętrznej treści *Ballady* i pochyła się tylko ku sądom obcym, jakie zdają się mu być prawdopodobniejsze.

Rzuciwszy u wstępu (str. 235) myśl, że zdaniem jego *Balladyna* „nie ma nic ukrytego i symbolicznego”, skłania się natychmiast ku innemu widzeniu rzeczy, względnie bardziej przenikającemu przedmiot.

Przyznaje (str. 236), że „najwięcej prawdopodobieństwa ma za sobą ta hipoteza, która przypuszcza, że *Balladyna* ma być obrazem tworzenia się różnych warstw w przedchrześcijańskim polskim społeczeństwie”. Wskazuje dalej, że „przedstawia ona podług tej hipotezy tę chwilę, w której z łona społeczeństwa jednolitego, wyłącznie ludowego, zaczynają się wydobywać zarody późniejszej szlachty i arystokracji”, — że „dążność ta społeczna miałyby być wcieloną w *Balladynę*, a zaparcie się matki i pochodzenia miałyby głębokie symboliczne znaczenie; cicha, skromna, domowa Alina miałyby — zawsze podług tej hipotezy — stanowić umy-

ślny kontrast z ambitną siostrą, reprezentantką warstw, później w narodzie dominujących”. I potem powiada stanowczo: „Wykład ten wydaje nam się bystrym, ale dowolnym. Za nim nie znajdujemy ani jednego oczywistego dowodu w poemacie; przeciw niemu (—co za samowolne krępowanie siebie!) znajdujemy dowód w postaci Kirkora, rycerza i pana, która to postać wskazuje, że poeta przyjmował rycerstwo jako już wyrobione i istniejące” (— tak; a więc?!). A następnie pyta: „Miałyby *Balladyna* być uosobieniem politycznych i społecznych ambicji, reprezentantką tego złego pierwiastku w polskiej naturze? matką jakoby późniejszych rokoszantów?” I odpowiada: „Jeśli taki był zamiar poety, to szkoda, że szukał wcielenia tego kierunku w przedhistorycznej dowolnie wymyślonej postaci, zamiast uchwycić go w chwili, kiedy był zupełnie wyrobionym, i przedstawić w postaciach, które go rzeczywiście historycznie reprezentują”.

Niemniej niestanowczo sędzi p. St. Tarnowski tłumaczenie *Balladyny* „filozoficzne” prof. Małeckiego: jego wyświetlenie znaczenia w tragedii gry przypadku, logiki uczynków i fatalizmu. Nazywając je „niezmiernie głębokiem” i „bardzo trafnem” (str. 236), tuż zaraz podaje je w wątpliwość; a ostatecznie uznaje znów, że „to wykrycie tej całej niedostrzeżonej dotąd strony w *Balladynie* nie będzie to ani mniej bystrem, ani mniej zaszczytnem dla komentatora i dla poematu samego” (str 237).

Genezę *Balladyny* w duszy poety przypisuje prof. Tarnowski przeważnie natchnieniu Szekspira. Wybór świata przedhistorycznego na pole dramatu uważa za wynik rozumowania „niezawodnie” fałszywego. Stąd *Balladyna*, która miała być jakby objawieniem polskiego dramatu... jest (zdaniem naszego krytyka) dyalogowaną powieścią gminną (str. 238).

A dalej, uwiązłszy raz w niewolniczo zakreślonym obrębie epoki przedchrześcijańskiej, dopatruje tylko ujemnych

stron Słowackiego utworu, które przy innym oświetleniu wcale takimi się nie wydają.

Co dziwniejsza, prof. Tarnowski zdaje się nawet nie umieć ogarnąć bogatej różnostronności rozbieranego dramatu—i pyta (str. 241): „czy Słowacki istotnie brał *Balladynę* na seryo? czy też ona w jego myśli i zamiarze naprawdę była czemś więcej, jak kapryśną igraszką fantazyi?” I rozważa: „Z przedmowy, w której nazywa ją lekkim, tęczowym, aryostycznym obłokiem, zdawałoby się, że istotnie nie żądał od niej nic więcej — z listów widocznem jest, że dla niej żądał, a od niej się spodziewał wielkości. Jak to pogodzić?”—pyta. Poczem najswobodniej decyduje: „Zdaje nam się, że godzić wcale nie trzeba; że owszem trzeba to wziąć tak, jak jest sprzeczne i nie do pogodzenia” (str. 241).

I dalej prowadzi (str. 241); „A wtedy ukaże się *Baladyna* jako to dzieło, które najlepiej może charakteryzuje poetę. Zrazu zamiar wielki, poważny, dumny, zuchwały nawet, zważywszy trudności, zamiar odtworzenia przedchrześcijańskiej (?) przeszłości Polski i stworzenia na tej drodze poezyi, któraby była zarazem i ludową (?) i artystyczną, któraby godziła niejasne instynkty prostaczków z pojęciami ludzi oświeconych o sztuce, i jednym jak drugim zarówno odpowiadała (!). Myśl poczęta z dumy, z tej znanej, niezmiernej dumy Słowackiego. Ale, czy że siły nie dorosły zamiaru, czy też, jak nam się wydaje, że zamiar sam w sobie nie był do dopięcia, owa próżnia, która się słowiańską Polską miała wypełnić, wypełnia się kreacyami dowolnymi i fantastycznymi”.

Potem, roztaczając myśl swą szerzej (241), dodaje: Wyobraźnia pamięta wprawdzie założenie; chce mu pozostać wierną i dlatego szuka materyałów do tworzenia w pieśni i powieści gminnej w nadziei, że tam znajdzie tony i odcienie najbliższe tych, których do swego obrazu potrzebuje, ale niebawem porzuca to źródło. Od chwili kiedy się zaczyna dramat prawdziwy, kiedy się musi stać patetycznym,

już ta podpora nie wystarcza przecie, potrzeba mu innej, stalszej, pewniejszej. Ciśnie mu się do głowy nawał wspomnień z Szekspira, którym był właśnie przesiąkł na wylot, i wszystkie te wspomnienia wchodzą żywcem do poematu, który staje się tym sposobem dziwną mieszaniną różnych polskich pierwiastków (str. 242) z różnych czasów i różnych obcych pomysłów, który, w zamiarze zakreślony na kolosalne rozmiary, w wykonaniu zdrobniał i ścieśnił się i nie jest ani cieniem tego, czego miał być obrazem, a na którym doskonale dają się wysledzić te właściwości Słowackiego, którebyśmy chętnie jego defektami nazwali, to jest niezgoda pomiędzy jego wolą i jego fantazyą i ta fatalna zdolność przejmowania się drugim pisarzem, tak, że już nie on sam, ale tamten przez niego pisze — i to nie zawsze tak dobrze, jak pisał sam z siebie”.

Taka miała być geneza *Balladyny* — z ducha i z ciała.

Wszystko to, jak widzimy, wielce dosadne i charakterystyczne, wszakże na ile ten sąd prof. Tarnowskiego, co tak zdaje się być trzeźwy i wyczerpujący, jest sprawiedliwy zarazem, zobaczymy wtedy — gdy się dalej przekonamy, że twórczość Słowackiego w *Balladynie*, i w niej nadewszystko, nie była ani tak bezładna ani tak naśladownicza!

Że to nie tragedia sceniczna, ale dramatyzowany poemat — zgoda powszechna; jednakże to coś innego, niż „dyalogowana powieść” (str. 243).

Po powyższem wypowiedzeniu się p. Tarnowskiego nie zdziwi już nas i sąd jego ostateczny o *Balladynie*: „Potrzebujemy niejakię odwagi, wyznaje on (str. 244), żeby powiedzieć otwarcie, w czem podług naszego przekonania polega największa i istotna piękność *Balladyny*. Oto w tem, co jest w niej właśnie najwyraźniejszym naśladowaniem, wierną kopią innego cudzego wzoru, w tym świecie fantastycznym, który tam odgrywa tak znaczną rolę”. Więc w Gopłanie, szekspirowską Tytanię żywo przypominającej. A dalej zaś: „Jest ten świat fantastyczny... największą w poe-

macie tym pięknnością i zaletą, starczy sam jeden, żeby poematowi zapewnić nieśmiertelność, a wyobraźni poety zrobić sławę jednej z najbujniejszych i najświetniejszych w świecie” (str. 248, 249).

A nakoniec (str. 249): „Nie można powiedzieć o *Balladynie*, żeby była arcydziełem, wiele jej do tego przeszkadza—niezgoda pomiędzy dramatyczną formą a powieściowem przedstawieniem charakterów, nawał wypadków, zawikłań i postaci, nadmiar okropności, niektóre zbyt widoczne powtórzenia Szekspira, a nadewszystko chybiony zamiar (?) odtworzenia przedchrześcijańskiej Polski; ale jej strona... (fantastyczna), ta jest mistrzowską, jest skończonem arcydziełem, oprawionem w całość niższej nierównie artystycznej wartości”.

Oto istota sądu o *Balladynie* prof. Tarnowskiego!

W obliczu pojęcia historycznej treści *Balladyny*, wypowiedzianego przez genialnego wieszca, któremu utwór ten był poświęcony, i znakomitego profesora, co zrobił jego rozbiór estetyczno-analityczny, jak niemniej jego krakowskiego recenzenta—moje zdanie osobiste jest zupełnie inne, rozleglejsze i ściślej obejmujące całość i organicznie w niej zwarte szczegóły. Za epizod z dziejów naszych, w ścisłem znaczeniu wyrazu, ja wcale *Balladyny* uważać nie mogę, jak to zrobili Krasieński, Małecki i Tarnowski. Zdanie to moje sformułowałem dawno i wypowiadam je od lat kilkunastu, stanowczo, przy każdej okoliczności. W r. 1866 rozwinąłem to zdanie w osobnym artykule, przeznaczonym dla *Dziennika Literackiego* we Lwowie, gdy jeszcze nie słyhać było u nas, na dalekich krańcach budżackich, o pracy prof. Małeckiego. Nie z mej winy artykuł mój doszedł na miejsce przeznaczenia za późno, przed samym końcem istnienia *Dziennika Literackiego*; poczęto go tedy drukować w piśmie *Wola* (1871), co miało niby zastąpić upadłe, lecz ledwie druk zaczęto, gdy efemeryczne to czasopismo istnieć przestało. Rękopis zwrócono. Przejrzałem go, porównałem

z ustępem prof. Małeckiego, a następnie i prof. Tarnowskiego — i jeszcze bardziej umocniłem się w mem zdaniu o *Balladynie*. Ponieważ zaś nie słyszę o nowych jakich nad Słowackim studyach, więc oto tem skorzej tę pracę moją pod sąd znawców poddaję.

Mojem zdaniem *Balladynę* odrazu trzeba stawić na takiej wyżynie, na jakiej ją chciał mieć postawioną Słowacki przez poświęcenie jej autorowi *Iridiona*. W poświęceniu tem należy widzieć myśl stawienia *Balladyny* na jednej równi z *Iridionem*, myśl, uwydatnioną nadto w tej pewności, że takie „spotkanie się” wieszczów „w wyższej krainie” będzie nie walką, lecz tylko „grą kolorów i cieni”. O ile bowiem w *Iridionie* (w jego całości z prologiem i epilogiem) spoczywa upowitą tajemnica dziejów powszechnych, o tyle w *Balladynie* zawarte słowo dziejów wewnętrznych naszego narodu. Sam autor najwidoczniej nietylko upoważnia, lecz zmusza nas swem wypowiedzeniem się we wstępie do *Balladyny* do takiego rozumienia historycznego jej przewodniej idei.

Łatwo następnie przekonamy się, że nie jest to w osnowie swej li fantastyczny utwór, na którego tle psychiczno-artystycznej treści rozrzuconoby jedynie garstkę kwiecia, zebranego w dziedzinie historycznej, by oświetlić wzorzyć; jakąś chwilę przeszłości narodowej. To cały piętrzący się wspaniale przybytek dziejów narodu, wzniesiony podług raz zakreślonego planu, podług jednej myśli, gdzie każdy prawie szczegół stanowi organiczną, konieczną część całości;— budowa, przy gotyckiej fantastyczności, której nie brak zupełnie wykończonej plastyki, urocza, smętna, mimo swych okien barwnie jaśniejących, a pod której stropami wśród wesołego świągotu ptastwa rozlega się złowrogo owo sofoklesowskie *niestety!*

Bez takiego zasadniczego pojęcia *Balladyny* nie rozu-

miemy w niej nawet szczegółów, niezawodnem piętnem historyi naznaczonych. Pominąć je zupełnie, uważać je za płód może li rozbującej fantastyczności autora — łatwo; ale nie rozjaśniwszy szczegółów, nie rozgrupowawszy ich, toć się i całość napewno błędnie zrozumie.

Lecz przejdźmy już do samej analizy.

Trzeba nam pamiętać, że wieszcz nasz postawił był sobie za zadanie wskresić do życia w świecie poezyi całą naszą historyczną przeszłość, objąć i oddać w pół-posągowych, pół-fantastycznych rysach cały wezbrany prąd dziejów naszego narodowego życia. Wspaniały ten obraz, chociaż zakreślony widocznie zbyt fantazyjnie i na nieszczęście nie wykończony nawet, bo, oprócz *Balladyny* i *Lilli-Wenedy*, z innych utworów pozostały ułamki jedynie, miał tworzyć pewną całość, jeden wielki poemat niejako, którego każda część zosobna miała być odrębnym w sobie dramatem, tragedją, kroniką dramatyczną, jak je sam autor nazywa.

Rozpoczęła całe wiązanie tego poematu, jako wstępny niby „epizod” jego—*Balladyna*. Stanowi ona (z tejże strony rozważana) szeroką podstawę owej niewykończonej budowy; lecz, będąc zarazem jakoby ześrodkowaniem a uwieńczeniem akcji całego poematu, przedstawia ona raczej ostatnie niejako mistyczne sklepienie, co symbolicznie kryje w sobie całą zagadkę naszej przeszłości, tajemnicze jej słowo.

Gdy treść *Balladyny* uznajemy za historyczną i narodową, niewiele trzebaby treść tę ogólnikowo określić. Epizodem oderwanym z dziejów przeszłości narodowej być ona nie może; epizod bowiem byłby nieskończenie wydatniejszy, bardziej dotykalny koniecznie, mniej anachroniczny. W treści więc tej może się wypowiedać albo pewna strona, pewien promień życia naszego narodowego wogóle, lub też samo to życie w całości, w pewien samoistny sposób ujęte. Jedna chwilka głębszego zastanowienia przechyla nas ku ostatniemu widzeniu rzeczy.

Myśmy oswojeni w naszej literaturze z upostaciowy-

waniem życiowych idei i ich gry żywej w zwykłych czynnikach akcji dramatycznej; nie zdziwi to więc nikogo, jeśli tu poza postaciami tragedyi poczniemy pytać o uosobiony w nich świat idei, jeśli poprzez to fantastyczne wzorowanie tworzącego się w oczach naszych narodowego mytu, że tak powiem, będziemy się przedzierać ku ujęciu promienia teozofii mytu owego — jego symboliki.

Poprzednio wszakże dla należytego określenia istoty symboliki wogóle powtórzmy tu sobie za prof. Małeckim to, co gruntowny ten estetyk w tym przedmiocie (w dziele swem, II, str. 25, 26) wypowiada:

„Symbolika w sztuce może być dwojaka. Mogą w jej zakresie być same takie tylko przenośnie, które ściśle wyobrażają myśl sobie podłożoną i poza granice tejże myśli wcale nie przesiegają. W takim razie ruch i kształty użytych form symbolicznych stosują się wiernie i niewolniczo do wewnętrznego swego znaczenia. Wszystko w nich tem znaczeniem przesiąkło, a poza okrąg tego znaczenia ani krokiem już dalej pomysł symboliczny nie idzie. To jest symboliczność ścisła, łatwa wprawdzie do odgadywania i przezroczyta, ale skostniała, uboga w artystyczne powaby i jakby spętana tem czemś drugim, sobie obcem, co w nią włożono. Bywają znowu utwory symboliczne, zgoła odmiennej natury. Figury i znaki w zakresie tej drugiej symboliki stworzono pierwotnie na to, żeby coś takiego znaczyły, czem same przez się nie są, wprawdzie zrazu przyjmują na się piętno podłożonego sobie znaczenia, ale na tem bynajmniej nie poprzestają. Zostawszy raz wywołane do życia, jako udzielne twory fantazyi, zatrzymują ruch i nadal w własnym swoim kierunku; skutkiem czego wynikają z nich kształty zewnętrzne i sytuacje takie, które nie mają żadnej wreszcie wspólności z pierwotnem, z głównem znaczeniem. W takim razie alegoryczność miesza i wikła się ciągle z bezpośrednią dosłownością utworu. Sceny i kształty znaczą rzecz, o wyrażenie której z założenia głównie chodziło, ale dają też oprócz tego

i więcej jeszcze, to jest dają i siebie same. Tak powstaje symboliczność swobodna, fantastyczna, będąca nieskończenie trudniejszą do zrozumienia, aniżeli tamten jej rodzaj, ale wolna od tej martwoty i sztywności, na jaką z natury rzeczy skazane są symboliczne tworzywa poprzedniej kategorii. Ten drugi rodzaj symboliczności jest najwłaściwszy w zakresie twórczości poetyckiej”...

Takim też właśnie symbolizmem, swobodnym, fantastycznym, przejęta do rdzeni treść *Balladyny*. Prof. Małecki, co tak wybornie, dosadnie określił tu istotę symbolizmu wogóle, co tak skutecznie prześledził go, rozjaśniając przewodnią myśl treści *Anhellego*, nie uważał jednak za odpowiednie, choć z taką ujmą sztuce i prawdzie, zastosować tego motywu analizy do *Balladyny*. Użył on go w pewien sposób do rozjaśnienia 1-go aktu jedynie. My zaś, przystępując do obnażenia symboliki, zakłętej w obrazach naszego fantastycznego poematu, chętnie rozciągamy to, co on powiedział o pierwszym dziale, do całości utworu, i przy rzucie pierwszych promieni, mających odślonić tajemnice *Balladyny*, idąc za nim (*Mał. Jul. Słow.*, II, str. 149), uprzedzamy:

„Rozumie się samo przez się, że w pomyśle tak powiewnym... nie można spodziewać się, żeby każde poszczególne w nim słowo, każdy rys, każdy, że tak powiem, puls rozigranej imaginacji autora wytrzymawał rozbiór rozkładającej krytyki. Niepodobna zagadywać każdego tutaj szczegółu: a na co ty tutaj? a co ty znaczysz?... Pedanterya przesadna psuje wszystko w razach podobnych. Sztywnej i na szczudłach samych tylko rozsądkowych pojęć kroczącej alegoryi Słowacki dawać tu nie zamierzył. Dobrą połowę ruchu w tem falowaniu złudnej fantasmagoryi zdać trzeba na karb bujań fantazyi, która się nie poczuwa do ścisłego rachunku z tego, co czyni. Lecz weźmy tę fantastyczność współdziałającą w naszym dramacie w całym jej ogóle, a przyznamy, że tylko w taki sposób można jej znaczenie wykladać”...

Tak też jedynie i my myślimy ją wyklądać w *Balladynie*.

Nie obawiamy się przecie, by uchylenie zasłony tajemniczości, co ją pokrywa wyzywająco, miało nas pozbawić uroku pierwszego wrażenia czarującego jej wdzięku. Owszem—im bardziej wpatrywać się zechcemy, tem więcej stopniowo będziemy odkrywać zawartego w niej piękna; a piękno to dopiero wtedy tylko istotnie w całej jego pełni pojmimy, gdy już rozkryjemy zupełnie myśl utworu zasadniczą. Rzućmy też okiem bardziej badawczo, tak jednak, by nam poeta nie wyrzucał braku uwagi attyckiej; dajmy mu się zwrócić „na niebo oczyma”. Krótko mówiąc, przejdźmy do historyzoficznego rozbioru tragedyi, pewni, że skarby na tej drodze zdobyte sowicie nam wynagrodzą zapuszczenie się w nieartystyczną utworu piękna analizę.—Prawdziwe piękno nie boi się próby!

W rozbiorze naszym, przytrzymując się ile można danego układu dramatu, większą oczywiście musimy zwracać uwagę na szyk logiczny rozwoju i wzajemnego wiązania się samych idei, tem bardziej, gdy warunki dramatyzmu i bujność fantastyczności inne wcale grupowanie autorowi roztoczyć nakazywały. Sam on wreszcie, mówiąc o anachronizmach, rozwadze i historyi w owym liście do Krasieńskiego, poniekąd nas o tem uprzedza. Snuć jednak porządną historyczną tkaninę z estetycznej poety przedzy nie tak łatwo; niech nas więc za to samo piękno tak zdobnej tkaniny w postępowem snuciu jej podtrzymuje, orzeźwia i rozkoszą nagradza.

Nim przed naszemi oczyma uderzy piorun w ukoronowane, o przepasce czarnej, czoło *Balladyny* i rozjaśni nam straszną, smutną życia królowej zagadkę, roztworzy mgłę dziejów przeszłości,—zaczniemy od zapoznania się wstępnego z czynnikami tu historycznego życia wogóle. Szranki tu nasze—ów wspaniałe, zieleniejący się las nad *Gopłem*—to nic innego, jak cała *Rzeczpospolita* w swym przeszłym, do-

konanym bycie. Pierwsze trzy postacie, które spotykamy u wejścia, Pustelnik, Kirkor i Filon — to w abstrakcyjnym, idealnym ich znaczeniu trzy główne duchowe pierwiastki życia wewnętrznego narodu. W Pustelniku widzimy rozumu powagę, w Kirkorze moc czynną, w Filonie zaś przeciwieństwo jej, pierwiastek fantazyjnie bierny. Postacie te jednak mają nadto, i to przeważnie, znaczenie ściśle historyczne, jakie z kolei później poznamy.

Czarująca postać nimfy Goplany równie w podwójnym znaczeniu się nam przedstawia: raz jako uroczą siłą wiecznie żywej, wiosennie odradzającej się przyrody kraju naszego, biorącej udział w bycie społeczeństwa — siłą życia samego;—powtóre, co ważniejsze, jako idea, potęga, żywioł swobody ludu i narodu całego,—aureola mocy jego niepodległej, geniusz narodu opiekuńczy.—Uboga Wdowa, matka dwóch córek, to naprzód naród w swym pierwotnym, prostaczym, patryarchalnym bycie — naród słowiański, polski; a w ostatecznym wyrazie naród w powszechnym dziejowym znaczeniu, ojczyzna nasza sama; z dwóch jej córek starsza Balladyna uosabia w pierwszej chwili wydzielający się wcześniej z patryarchalnego łona narodu pierwiastek bardziej rzutki, możniejszy; młodsza zaś Alina lud wyjątkowo wyobraża, masy narodu.

Związek dziejowy z historyzoficzną ścisłością faktycznego prawdopodobieństwa podany. — U kolebki przeżuwać się daje swobodny, prostaczy byt na łonie rozkośszej, bogatej przyrody, pod uroczą Goplany i jej sylfów opieką. Lecz już w tem mrocznym jeszcze zaraniu dziejów społeczeństwa dostrzegać się daje walka dwóch władz zwierzchnich, dwóch pierwotnie przewodnich idei—patryarchalnego ojcowskiego, prawowitego, z bożej łaski monarchizmu z autokracją przywłaszczycką przemocy siły wśród panującego narodowi rodu — walka, co się przeciąga w zasadach w dal dziejów. Oto w Pustelniku poznajemy Popiela III, którego brat z tronu wygnał, zamordowałszy mu troje

dzieci; wygnaniec jednak unosi z sobą koronę prawowitości.

Ślicznie, historycznie wiernie a z całym złudzeniem legendarności mistycznej naiwnego ludowego opowiadania, kreśli nam poeta pochodzenie korony polskiej: wskazuje na podaniowe, legitymistyczne źródło samej królewskośći pod tchnieniem chrześcijaństwa i cesarstwa; a pod koniec w cudnego piękna obrazku przyzywa na pamięć i mitycznie upostaciowuje znany stosunek przychylności Kościoła—Rzymu, katolicyzmu, ku koronie naszej, i ową moc idei Zbawcy w dziejach Polski.

Oto powieść Pustelnika:

„Ku ojczystej stronie
 Wracali niegdyś od Betleem ¹⁾ żłobu
 Święci królowie — dwóch Magów i Scyta. ²⁾
 Ów król północy zaszedł w nasze żyta,
 Zabłądził w zbożu, jak w lesie — bo zboże
 Rosło wysoko jak las w kraju Lecha. ³⁾
 Więc zabłądziwszy rzekł: „Wyprowadź, Boże!”
 Aż oto przed nim odkrywa się strzecha
 Królewskiej chaty — bo Lech mieszkał w chacie —
 Wszedł do niej Scyta i rzekł: „Królu! bracie!
 Idę z Betleem, a gwiazda błękitna
 Twoich bławatków ciągle szła przede mną,
 Aż tu zawiodła.” — Lech rzekł: „Zostań ze mną,
 Kraina moja szczęśliwa i bitna,
 Jeśli chcesz, to się tą ziemicą z tobą
 Dzielę na poły.” — Scyta rzekł: „Zostanę,
 Lecz kraju nie chcę, bo ziemie złamane
 Rozgraniczają się krwią i żałobą
 Dzieci i matek.” — Więc razem zostali.
 Ale to długa powieść. ⁴⁾
 Więc jako dawniej czynili mocarze,
 Z Lechem się mieniał Scyta na obrączki,

1) Z Rzymu.

2) Cesarz Otto.

3) Bolesław Chrobry.

4) Stosunek z ideą cesarską.

A pokochawszy mocniej sercem, w darze
Dał mu koronę — stąd nasza korona.”

Czyż to nie żywe opowiadanie historii? — lecz posłuchajmy dalej:

Zbawiciel niegdyś wyciągając rączki,
Szedł do niej z matki zadumanej łona;
I ku rubinom¹⁾ podawał się cały,
Jako różyczka z liści wychylona,
I wołał: „caca!”... i na brylant biały²⁾
Różowych ustek perełkami świecił.

Niech mi też kto wskaże coś piękniejszego, szczytniejszego, bardziej prostego a nieznurtowanej głębi, w naszej historyczno-obrazowej poezji, nad ten naiwny obrazek, który mocą uroku i prawdy prześcignie wszystko, coby poważny myśliciel mógł powiedzieć o względnym stosunku chrystyanizmu i dziejowego posłannictwa Polski! Nic ja piękniejszego u autora *Przedświtu* sobie nie przypominam, nic nie wiem o obrazowaniu innych mesyanistów!

Wracając do Pustelnika, widzimy tedy, iż on wyobraża ideę królewskości, prawowitej władzy, w walce w pierwszej dobie z zamachem autokracji, przemocy — coś niby w rodzaju Mieczysława III naprzykład.

Władzę otacza rycerstwo u kolebki dziejów,— uosabia je tu Kirkor.

Kirkor to rycerstwo pierwszego zwrotu i typu, Bolesławowskie jakoby, przesiąknięte uczuciami barbarzyńskiej, zachodnio-europejskiej szewaleryi, obce nawet może z pochodzenia, co widoczniej autor przyjmuje w *Lilli-Wenedzie* Charakter jego widać w następującym zwrocie Kirkora do Chrystusa:

1) Ku rubinom, krwi narodu, przelewanej dla chrześcijaństwa.

2) Na nieskalaność dziejów naszych.

O biedny kwiatku! na toż ty się kwiecił,
 By cię na krzyżu ćwiekami przybito?
 Czemuż nie było mnie tam na Golgocie,
 Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą!
 Zbawiłbym Zbawcę — lub wyrąbał krocie
 Zbójców na zemstę umarłemu.

To coś zupełnie w rodzaju znanego przy chrzcie uniesienia wodza Franków — Klodowika!

Lecz to nie jest jeszcze całkowite określenie Kirkora: przedstawia on dalej nadto nietylko najszczytniejszą rycerskość wogóle, z jej wzniosłymi ideałami, podług hasła: „Niechaj wie człowiek, że mu Bóg pożyczył życia na krótko, niechaj odda w czynach co winien Bogu” — ale i pewną siłę, pewną moc narodu nieskazitelną, zachowawczą a twórczą, upostaciowanie najbardziej poetyczne czynnego pierwiastku w narodzie, ideę społeczną arystokracji w nieskalanym jej ideale — czemu odwrotną stroną służy Balladyna.

Walka dynastyczna w rodzie panującym wywołuje i podnosi do pierwszorzędnego znaczenia rycerstwo; to staje po stronie prawowitości. Kirkor postanawia przywrócić wygnanego Popiela na tron, lecz dla tem pewniejszego zwycięstwa zmuszone ono zwrócić się do ludu, do patryarchalnych gmin słowiańskich. Wśród ich łona wybór przecie niełatwy, w dziejach waży się niemały czas pytanie: co będzie powołane przeważnie do żywszej politycznej działalności, czy masy ludu wogóle, w swym gromadowładnym ustroju, czy pierwiastek możniejszy, samoistnie już wydzielający się z pośród gminu.

Kirkor długo się waży pomiędzy równie pięknymi siostrami, czarnobrewą i jasnowłosą. Wybór ten zostaje umożliwiony dopiero przez wewnętrzny przewrót, jaki pod wpływem prądu dziejowego u nas rozwoju wypadków w patryarchalnej gminie posadzie zachodzi. Oto Balladyna, mocą demoniczną wiedziona, zadaje cios śmiertelny Alinie — gmina pierwotna a dalej i lud cały zdeptyany społecznie, za-

bity politycznie, w nieodzownym dziejowym pochodzie! Kirkor żeni się z Balladyną i wynosi ją na panią zamku — rzutniejszy pierwiastek opolny podnosi się polityczną zbrodnią rozbratu ku rycerstwu i poczyną odtąd stanowić możnowładztwo, arystokrację, szlachtę w wyższym znaczeniu.

Dotychczasowa między Balladyną a Grabcem ścisłość równie zerwana odtąd z kolei. Pierwotnie we mgle patriarchalnego bytu ścisłość ta, solidarność, jedność nawet, była rzeczywista; nim Balladyna oddała rękę Kirkorowi, nim wstąpiła na zamek, wyróżnienie, jakie z czasem nastąpiło pomiędzy dwoma odłamami jednego i tego samego w osnowie szlacheckiego stanu, nie istniało zupełnie. W biegu czasu dopiero odłam arystokratyczny wyosobnił się od demokratycznego, który tu właśnie wyobraża Grabiec, pierwowzór niby szaraczkowej szlachty.

Zasłużenie czy niezasłużenie, geniusz narodu przeciw szlachtę ową robi swoim wybranecem. Goplana Grabca wyłącznie otacza swą idealną miłością i przyczynia się do odsunięcia się odeń Balladyny. Grabiec przeto winienby być postacią niezmiernie żywą; ale poeta z dziwną jakąś lubością wzniesionego na wyżynę artystyczną cynizmu oddał jedynie ujemną w nim życia stronę, a cały obraz okrył takim sarkazmem, taką ironią i prostaczą powszedniością, że co rys, co wyraz, chciałoby się w imieniu prawdy dziejowej protestować, gdyby nie pewność, że to przeciw jedno tylko lice obrazu. Tymczasem, idąc za autorem, posłuchajmyż samego Grabca:

A pytasz, kto ja jestem? to historia długa:
W naszym kościółku ¹⁾ stały ogromne organy ²⁾;
Mój tata ³⁾ grał na dudach ⁴⁾; pięknie grywał pijany;

¹⁾ Rzeczypospolitej.

²⁾ Sejm.

³⁾ Szlachcic.

⁴⁾ *Scil.* pańskich.

Ale kiedy na trzeźwo ¹⁾, okropnie rzępolił.
 Do tego był balwierzem i wieś całą golił ²⁾;
 Golił i grał na dudach, bo golił w sobotę ³⁾,
 Na dudach grał w niedzielę; a miał taką cnotę ⁴⁾,
 Że nie pił kiedy golił, a pił kiedy grywał. ⁵⁾
 I wszystko szło jak z płatka. Wtem kogut zaśpiewał. ⁶⁾
 I mój ojciec małżeństwem z żoną się zespolił. ⁷⁾
 Panna młoda ⁸⁾ wąż miała, ojciec wąż ogolił ⁹⁾
 I wszystko szło jak z płatka. Lecz tu nowe cuda!
 Żona grała na dudach, a tatuś był duda ¹⁰⁾;
 Grała więc po tatusiu i dopóty grała,
 Aż go na smętarczyku wiejskim pogrzebała. ¹¹⁾
 Ja zaś pośmiertne dzieło pana organisty ¹²⁾
 Jestem, jak mówią, ojca wizerunek czysty,
 Bo lubię stary miodek i kocham gorzonkę
 I uciekam od matki. ¹³⁾

Oto wyraz powszedniej strony młodszej braci szlachty, oddany zgodnie z prawdą względną w całej swej cynicznej nagości; lecz nie gorszy się goryczą—promienna Gopłana, owo spotęgowanie do ideału światłej strony Grabca, osłania wciąż swego kochanka!

Mamy już więc przed sobą uosobienie wszystkich niemal główniejszych czynników naszego społecznego w przeszłości bytu; śledźmyż dalej za ich wzajemnie uwarunkowującą się działalnością w postępowym rozwoju dziejów.

-
- 1) Trzeźwej polityki nie miał.
 - 2) Jako dzierżawca pański.
 - 3) Wyzyskiwał rolę, gnębił lud w powszednim bycie.
 - 4) Gardłował za panami na sejmikach.
 - 5) Gnębił lud na trzeźwo, po pijanemu gardłował.
 - 6) Kogut św. Piotra, Rzym się odezwał.
 - 7) Jez. katolicyzmem.
 - 8) Societas Jesu.
 - 9) Stracił samodzielność męską.
 - 10) Stał się narzędziem Jezuitów.
 - 11) Do nicestwa moralnego doprowadziła.
 - 12) Niby szlachta późniejszej daty.
 - 13) Przez uczucie swobody — od więzów Kościoła.

Najbardziej stanowczym, najdonośniejszym co do znaczenia społecznego, najobfitszym w następstwa wypadkiem historycznym było to zabójstwo Aliny,—zabójstwo społeczne ludu wieśniaczego, ujarzmienie gminy swobodnej. Odbyło się ono w oczach samego Grabca; lecz pomijając, iż był on pierwiej Balladyną zajęty, stał teraz biernie, nieruchomie, jako zakłęty przez Goplanę w płaczącą bezmyślną wierzbę.— Przy śmiertelnem więc Aliny ugodzeniu na jeden zaledwie wykrzyk „Jezus Marya”! się zdobył, odpowiadając wnet następnie Filonowi: „nie trącaj, bom pijany”! A dalej na inne zapytanie, gdzie był w czasie dokonywania się przeważnych wypadków, — najspokojniej znów odparł: — „rosłem” — na co też mu słusznie zewsząd odbrzmiało: „Grabiec był osłem”!—Zabójstwo społeczne ludu istotnie dokonane zostało za niemem przyzwoleniem drobnej szlachty; przemoc wywarta zaledwie uczucie jej religijne dotknęła, a bierność podobna, jeśli nie przyświadczała niedojrzałości politycznej, była wielkiego błędu szlachty dowodem! Mimo to drudno się powstrzymać od uczucia pewnej przykrości na widok, jaki nam przedstawia samowolny fantastycznie, choć co do artyzmu potężny w sobie obraz, roztaczający się w początku II-go aktu: — norma to niby bytu szlachty, od Boruty po błotach łączyckich wodzonej, po pijanemu możnowładne „dęby” wspierającej!

Żywiej daleko dotknął los Aliny Pustelnika, lecz władza królewska nie miała w swym ręku środków do ratowania ludu, choć czasem straszyla panów wskrzeszeniem Aliny.

Jakże uświęciła, uczciła rozrzewniającą a pełną grozy śmierć niewinnej Aliny narodowa poezya? Filon, który ją właśnie tu wyobraża, oddany odtąd zdobnym w szaty greckiego mytu a czczym dla życia rzeczywistego ideałom klasycyzmu, wprowadzie na widok cudnej postaci zamordowanej dziewczyny zapala się ku niej platonicznem fantasty uczuciem; ale uczucie to bezsilne, rozpraszażące się w uwielbienie

cienia, w marzące, smętne rozrzewnienie, a nie zdolne nawet obudzić myśli, cóż dopiero żywych pragnień wskrzeszenia ukochanej!

Przykrą to a niezaprzeczoną wogóle prawdą, iż poezja nasza narodowa, długie wieki strzegąc w klasycznej rutynie, chociaż po zwróceniu się na tor romantyzmu i bliżej dotknęła ludu, traktowała go długo jedynie jako oryginalny, idyliczny, historyczno-oderwany lub sentymentalno-senny estetyczny temat, nie zaś jako żywioł, wołający o prawa do życia! — Nie kto inny, a Filon jednak ułamał z Grabcowej wierzby gałąź, z której zrobione berło, użyte przez psotnego Chochlika jako dudka, pieśnią o siostrze tyle później przeraża Balladynę. Sumienie narodu ideałem swobody wykarzione, geniusz jego opiekuńczy przejęty przeciw najżywszem współczuciem dla doli ludu — Goplana — mimo, iż zajęta wyjątkowo Grabcem, jednak jako cień zabitej siostry, jako wyrzut sumienia przemawia do Balladyny o zbrodni — i ciska jej przekleństwem.

W dziejowym pochodzie społecznego naszego rozwoju wyniesiony z łona ludu pierwiastek pański, możnowładczy, niedługo przebywa w jedni z zastępem regalizmu; wzmocniony jego niegdyś opieką, poczuwszy się nieco na siłach, zwraca się następnie przeciwko niemu i zastępowanej przez królewskość; w śmiertelnej zaś obawie, by w potrzebie nie zechciano podnieść zdeptanych gmin, przybiera zwrot republikański. Balladyna drży na myśl, iż Kirkor Alinę odszuka; wcześniej tedy wyrzekając się własnej matki, ogląda się za obcą przyjaźnią, jaką znajduje w Kostrynie.

Kostryn wyobraża tu nietylko żywioł niemiecki wogóle, obcy, samolubny, złowrogi Polsce — cywilizację obcą, grozę Krzyżactwa, ale zarazem i pierwiastek miejski w kraju, wśród którego germanizm taką grał rolę. Sojusz Balladyny z tak tylko podwójnie pojętym Kostrynem jest zrozumiały; inaczej słusznie byłoby w nim widzieć historyczną przesadę. Balladyna radaby jednak pozbyć się krwawej na czole plamy;

bada Pustelnika, lecz widząc, iż to obudzeniem siostry tylko da się okupić, woli ją nosić „aż do Boga sądu” i fatalizmem pchana rzuca się w objęcia dalszych następstw zbrodni. Arystokrację fatalizm jakiś prowadzi po drodze przemocy!

Tymczasem wśród legitymistycznych zapasów o prawowitość władzy korona Popiela, symbol zwierzchniczego przewodnictwa narodowi, skutkiem szczególniejszego wyboru Goplany, spada na skronie jej ulubieńca Grabca.

Młodsza brać, rycerstwo, staje na czele Rzeczypospolitej, chociaż nie tak przypadkowo, jak z obrazu wieszczka wnosiłoby wypadało, a następstwem organicznego rozwoju naszych dziejów „sięgnęła ręka głowy, znalazła koronę”! — W innej stronie mocą konieczności historycznej zbliża się stanowcza walka Balladyny z mężem, wyobrazicielem zarówno regalizmu, jak ideału arystokracji i jej etycznej prawomocności; a pierwszy cios, wymierzony w osobie Gralona Kirkorowi, wiąże ją ostatecznie ściślej z Kostrynem.

Znikome, przemijające było panowanie masy stanu rycerskiego, a nadto panowanie nie o wiele mniej dotkliwe jak każde inne — jak to Grabiec o podatkach przemysła i sejmiki jaskółcze, owe wiece opolne, rozpędzać każe! — miało ono przecie na sobie charakter narodowy i przedstawiać mogło pewne widoki dla ludu. Grabiec na uczie jako król dzwonkowy, o berle z wierzby i jabłku winnem, lecz w prawdziwej Popiela koronie na skroni, wśród toastów szumnej biesiady, sadza przecie na chwilę przy sobie Wdowę, której się Balladyna haniebnie zapiera jako matki i wypędza z zamku; dla rozrywki każe grać na berle własnem pieśń o dwóch siostrach i dzbanku malin i zapragnieniem jagód wywołuje zjawienie się widma Aliny. Bo też istotnie na łonie rycerskiego stanu przeważniej było szczerze poczucie potrzeb Ojczyzny, była zdolność odwołania się do zabitego politycznie ludu, w wojnach chłopskich, przez panów; była moc powołania go do życia — choć wszystko to jedynie *in potentia!*

Lecz to już groźne i upokarzające dla Balladyny! Swe własne czoło chciała ona widzieć uwieńczone koroną Lecha; nie było innego środka, jak popełnić nową zbrodnię—i Grabiec z jej ręki zginął. — Stan rycerski, młodsza brać, został unicestwiony rzeczywiście przez arystokrację, przez panów; ster wszechwładzy politycznej dostał się w ręce tych ostatnich. Była jednak chwila w dziejach, w której arystokracja razem z całym krajem niemal że nie stała się łupem podstępnie ją wspierającego germanizmu; — była chwila, że Balladyna zadrżała przed ukrytą myślą Kostryna.

Wygnana z zamku Wdowa próżno szuka poparcia u Pustelnika; wprędce po morderstwie Grabca ginie w otwartej z Balladyną walce Kirkor, a jednocześnie i Popiel haniebnie zawisa. Monarchizm napróżno przemyśliwa nad niedolą kraju, po obaleniu znaczenia stanu rycerskiego ginie on i sam ostatecznie w zapasach z arystokracją republikańską. Otrucie Kostryna przez Balladynę, którem się zamyka szereg jej zabójstw w tragedyi, rzeczywiście należałoby odnieść do głębszej przeszłości — pierwiej bowiem i groza germanizmu wewnątrz znikła i pierwiastek miejski bezwładnym został.

Tak więc Balladyna, popychana przez fatalizm drogą tyłu zbrodni, zostaje przed naszymi oczyma królową polską! Czy nie smutno nam? Czy nie wzrusza nas ta postać dotąd nie rozumiana? Czy nie obraża takie postępowanie wewnętrznych naszych dziejów?... Smutno, a przecież to szczerza prawda!—Lecz nie na tem koniec.

Po dokonanych zbrodniach następuje dzień sądu dziejowego! Arystokracja wzniosła się na rumowiskach ujarzmionego ludu i zlekceważonej Ojczyzny; a stawszy się sama królową, wszechwładczynią narodu, za powodem dziejów, wołających o sprawiedliwość i pomstę w imieniu prawdy, musi sama sobie podpisywać fatalnie wyrok potępienia! Balladyna, królowa, zasiada na trybunale najwyższym i rozstrzyga surowo sprawy. — Występują oskarżyciele w sprawie Kostryna i Aliny — zdeptanych miast i unicestwionych

mas wiejskich; wyrok królowej nieunikniony, złowrogo sprawiedliwy.—Groźniejsze zjawienie się jej własnej matki, co sama tu staje, by krwawo obwinić wyrodną córkę! — Ale cóż—gdy przychodzi jej wydać imię zbrodniarki, sama chętniej ginie na torturach.

Jak ją kat położył
Na tortur kluczach, to oczy zawarła;
A patrząc na nią, ktoby się pobożył,
Że to kościany Chrystus był bez ducha.
Każda kosteczka wywiędła i sucha,
Prosząc o litość —

I nic nie wydała?
Umarła cicho. A na suchej twarzy
Dwa wykopała dołki śmierć kościana,
I w obu dołkach stoją łyzy.

W godzinie owej dziejowego sądu Ojczyzna, Rzeczpospolita, potępia żywot szlachty-arystokracji, ale na pomstę jej nie wydaje (Kościuszko, Kołłątaj) i ginie sama na torturach trzech podziałów najezdycznych jako Chrystusowa ofiara na ołtarzu dziejów ludzkości, jako polityczne uosobienie myśli Zbawiciela.

A Balladyna? — W chwili wyrzeczenia sobie właśnie ostatniego wyroku: „winna śmierci”! — z wiszącej nad zamkiem czarnej chmury uderzył piorun i obalił nieszczęsną, — a z ponad chmury uniosła się w obłoki smętna postać Goplany, uczepionej rączkami o splot odlatujących żórawi! Jednocześnie z upadkiem kraju geniusz narodu uderzył w szlachtę ciosem śmiertelnym moralnego potępienia; lecz odlatując z ponad niw, okrytych całunem żaloby, ulatywał na czas tylko, zostawiając po sobie nadzieję, iż z nową wiosną na tejsze szarfie przelotnych żórawi znów nam swoboda w cudnej postaci królowej fal napewno spleynie!

Czyż nie czujemy tu teraz owych „chórów prorockich”, jakie „z ciszy wiekowej” miał nam wydobyć poeta?

Oto tedy i historyczna treść tragedyi: miała matka

dwie córki—starsza siostrę zabiła i królową została, występna piorun sprawiedliwości obalił!—Teraz pytamy, czy też istotnie piorun ten, co spadł na chwilowe Balladyny panowanie, roztworzył nam, jak obiecywał poeta, mgłę dziejów przeszłości? czy przeświadczenie narodu o sobie samym stało się stąd choć o jeden promyk jaśniejszem, bogatszem, choć o jeden promyk bardziej prawdziwem, bardziej zdobnem w piękno?

Niezawodnie. Nietylko bowiem wieszcz tu surowe przeświadczenia narodu prawdy ujmuje w wykończone estetyczne formy piękna i oddaje je napowrót w żywych plastycznych postaciach arcyzmu; lecz co więcej,—swem twórczem natchnieniem rzuca jeszcze bezstrasznie światło ożywcze w pomrokę dziejów. Objął on tak szerokie tło dziejowe, że na niem roztacza się żywot wewnętrzny narodu w całej swej pełni. To żywa tragedia narodu, nie tragiczny epos Rzeczypospolitej! — Główna bohaterka w niej, Balladyna, istota demoniczna, ale natura wyższa,—„wszak ona pierwsza w kościele i wszędzie pierwsza”;—gdyby „zrodzona pod inną gwiazdą”, godna lepszego losu!

Balladyna — z okazałą dumą królowa, ale z fatalnem piętnem krwi na czole,—czyn jej pierwszy to zbrodnia, to zabójstwo siostry własnej! Słowo dziejów narodu inne od słowa dziejów Rzeczypospolitej,—i właśnie pierwsze z nich autor wypowiedzieć nam był zamierzył. Słowo to a tragedia — to jedno!

Z gminowładnego łona słowiańskiego opola, pod tchnieniem potrzeb dziejowych, wykwitają stopniami rozliczne pierwiastki społeczne; — gdzieindziej, pod jaśniejszą czy powszedniejszą gwiazdą, układają się one w pewną harmonizującą się w sobie działalność umiarkowanego dramatu; u nas gra ich życiowa charakter tragiczny przybiera. Szlachta, arystokracja — pierwiastek, co na wyżynie dziejów wieńczy się koroną wszechwładztwa, kroczy przez nie z podniesioną głową, ale potracając, depcąc i niweczając jeden po drugim wszystkie

inne pierwiastki społecznego i politycznego bytu narodu;— fatalizm! — co krok to cios, co krok to krzywda, co krok to zbrodnia! Pochód taki złowrogi, przy zewnętrznym majestacie i potędze, wypełnia cały zakres wewnętrznych dziejów naszych ubiegłych — i dzieje te całe stają się jedną wielką, groźną, ponuro poważną, uroczo smętną a wspa- niałą tragedją! Główną jej postacią jest Balladyna — ona jest królową polską i jest rzeczywiście taką, jak ją nam Słowacki przedstawia!

Nie myślimy jednak, aby on i drugiej strony naszych dziejów, strony posłanniczej wśród zadań chrześcijańskiej cywilizacji, majestatycznej, poważnej etycznie, nie rozumiał równie żywo; owszem, nie mógł on jej tylko zarazem w swym utworze rozwinąć i poprzestał na wskazówce, na obrazie Matki jako Chrystus umierającej. Można tego żałować, lecz zarzucac niepodobna.

Ironia przecie, jaką poeta okrył w epilogu nasze dziejopisarstwo, jest może przyostrą; godził on tu najpewniej w Lelewela, jak niezawodnie w „Filonie” Mickiewicza dotykał; znany jest jego stosunek osobisty do tych mężów!

W istocie zaś samej — cóż nam Wawel, dziejopis, na wszystko zaszle powiada?

„Z ziarnka piasku dojść można do obrotu słońca,
Zaciekając się w rzeczy wydarzonej jądrze,
Królowa jak Salomon panowała mądrze.
Więc musiała być mądrą, — przy mądrości cnota”.

A dalej:

„Sądzę o piorunie,
Że kiedy burza bije, trzeba bić we dzwony”.

Oto bez mała jak nam o wewnętrznych dziejach Rzeczypospolitej podają powszednio powszedni jej dziejopisowie i historyczni etycy. Jak też inna Słowackiego *Balladyna*— o ile psychicznie wyraźniejsza, o ile prawdziwsza! Czyż nie należy mu się nic za dodanie tu jaśniejszego promyka światła?

Zresztą staje on w epilogu w obronie praw poety wogóle do twórczości fantastycznej na tle jedynie wewnętrznej prawdy dziejowej. A czuje też żywo wartość wieszczego opromieniania dziejów! Oto jak zwraca się do Krasieńskiego: „O nie mów mi, że z dzwonek polnych większa ozdoba ruinom niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta; bo choć róże rosnące na ruinach pałacu Nerona rozwidniły nam pięknie te gruzy, to jednak jaśniej mi je oświecił ów duch Iridiona, któregoś ty pod krzyżem w koloseum położył i nakrył złotymi skrzydłami anioła”. My zaś z równem prawem niemal toż samo możemy powiedzieć o *Balladynie!*

Otóż *Balladyna* jest tragicznym obrazem wewnętrznych dziejów naszego narodu — obrazem fatalnej dla nas walki społecznych żywiołów! — Lecz może kto zapyta: skąd przyszło Słowackiemu do tak strasznego tematu, na jaki nikt się jeszcze nie považał?! — Odpowiedź wszakże na to nie trudna. Uzdolniła go do tego natura jego umysłu i talentu, jego znana bezwzględna śmiałość prawdy; a natchnęła duszę wrzącą poety sama atmosfera, w której żył wtedy, owo roznamiętnienie powszechne na emigracji.

Słowacki pisał *Balladynę* w r. 1834; w tym też roku wydał i Krasieński swoją *Nieboską Komedję*. Były to czasy najzawziętszej może walki między stronnictwami arystokratycznym i demokratycznym, kiedy upadek powstania roku 1831-go przypisywano panom jedynie; wytaczał im Mochacki proces polityczny w swem znanem dziele, a młodzież przyspiewując przygrywkę:

„O cześć wam, panowie, magnaci,
Za naszą niedolę, kajdany,
O cześć wam, książęta, hrabiowie, prałaci,
Za kraj nasz krwią bratnią zbryzgany”!

wolała:

Czekajcie, panowie, już naród was poznał —
Już wyszedł z waszej opieki,
On odda wam krzywdy, które od was doznał,
On przeklął was, przeklął na wieki”!

kończąc złowrogo:

A kiedy wybije godzina powstania,
Magnatom lud ucztę zgotuje —
Piekiełną muzykę zaprosi do grania, —
A szlachta niech sobie tańcuje”!

Wśród takiego zatem nastroju powszechnego kreacyjny pomysł *Balladyny* przychodził poecie sam przez się. Już w *Kordyanie* (napisanym r. 1833, drukowanym r. 1834) uderza on we wstępie na ks. Czartoryskiego i Niemcewicza. Nie darował on tam i Lelewelowi, choć widocznie najpilniej śledził w jego pracach za rozjaśnionym przez tego znakomitego historyka rozwojem dziejowym naszych polityczno-socyalnych stosunków. Wszystkie bowiem kwestye ówczesnie traktowane żywo go obchodziły, o interesowaniu się etnologicznymi nawet świadczy *Lilla-Weneda*. Co zaś do bogactwa artystycznego materiału, jaki nastრęczał ten temat, nic bardziej pociągającego poeta znaleźć nie mógł; a wobec powziętego zamiaru poetycznego obrazowania całych naszych dziejów był ten temat konieczny.

W ostatecznym nakoniec wyrazie *Balladyna* jako poetyczny utwór dopiero wtedy okazuje się nam w całym blasku swego uroku i mocy, jeśli ją obejmujemy jednocześnie zarówno z artystycznej jak i ściśle historycznej strony; sztuka tu zyskuje na szczytności i głębi, historia przyodziewa się urokiem piękna, a utwór wywiera nieopisanie urocze i potężne wrażenie. Nie zwracając się do ogółu dwulicowej znanej nam już treści tego dzieła — jaki to układ przedmiotu, jakie wiązanie części, ile pojedynczych obrazów pysznych, obrazków ujmujących, myśli światłych, oderwanych wyrazów nawet, pełnych ukrytej przenośni! A wszystko dopiero tylko tak wszechstronnie objęte nabiera żywego znaczenia, głębszej siły, przestaje się zdawać fantastycznie znikomem. Dopiero wszechstronne pojęcie *Balladyny* jest pojęciem istotnem, a nawet i jedynie artystycznem w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Dlatego też rozumienie *Bal-*

*lady*ny, jako epizodu chronologicznego dziejów jedynie, poniechanie symbolicznego tłómaczenia ustępów, wyzywająco napiętnowanych cechą alegoryi, obok zbyt surowego rozważania utworu Juliusza jako tragedyi przedewszystkiem, musiały łącznie wywołać u p. Małeckiego a następnie i p. Tarnowskiego cały ów szereg mniej słusznych lub niesłusznych zarzutów, mniemanych Słowackiego usterek, jak zarówno tyle mimowolnie a konsekwentnie popełnianych przez uczonych profesorów błędów w pojmowaniu ogółu i szczegółów rozważanego przez nich dzieła.

Stąd u prof. Małeckiego między innymi najprzód ów zarzut nietylko niedostatku, ile raczej nadmiaru treści i obfitości fantastycznych kreacyi.

Stąd też widzenie alegoryi tylko w fantastycznym świecie, przyczem Goplana jest niby zmysłowem uwidomieniem przypadku tylko;—zdanie, że i tu symbolizm nie przenika materyału do rdzeni, a stanowi fantasmagoryę jedynie.—Stąd uważanie, że w IV akcie urywa się ciąg organiczny tragicznego działania; nierozumienie konieczności zabójstwa Grabca i owych „różnych mniej jasnych i szczęśliwych okoliczności” — jak krytyk to nazywa; niepojmowanie roli Grabca w koronie i całego znaczenia uczt; zarzut nadmiaru zawikłania, przepelnienia okropnościami przy końcu sztuki i przesady niedarowanej w ich nagromadzeniu.

Stąd też ów zarzut pomieszania mitologii klasycznej, pogańskiej, z chrześcijańską — obok zdziwienia, że to najbardziej Krasieńskiemu mogło się podobać w tym dramacie, podczas gdy profesora zdaniem: „to jest przesada, która i prostaczkowi dając się czuć doraźnie, zmniejsza złudzenie tak niezbędne dziełu dramatycznemu”, że niby „należałoby koniecznie inaczej oddać to *chiaroscuro* dawnego stanu i nowego porządku rzeczy, pochwyconych w pierwszej chwili przejścia z jednego w drugie” (str. 173). Nakoniec zarzut niedostatecznego przeprowadzenia charakteru samej *Balady*ny, jako głównej bohaterki tragedyi, o przesadnie wstręt-

nej, a więc mniej interesującej widza naturze — i wiele innych. A nawet owo — przy skracaniu tragedii dla odpowiednio zwięźlejszego scenicznego jej przedstawienia — usunięcie, wśród innych, tak wybitnie historycznego ustępu o koronie polskiej.

Wszystko zaś to spotęgowane uważaniem za nieodzowną konieczność, ażeby rozbierany utwór odpowiedział był ściśle wszystkim uznanym warunkom istotnej tragedii, a nie fantastyczno-historycznego poematu.

Stąd i owo poprzednio przedstawione pojmowanie *Baladyny* przez prof. Tarnowskiego.

Zdaje nam się, że go cień Szekspira przedewszystkiem sprowadzał z właściwego toru, ilekroć mógł się on doń zbliżyć. Raz powiedziawszy sobie, że „fantazyja Słowackiego miała bluszczowatą naturę i często się koło jakiejś podpory obwinać musiała, że na wewnętrzną więź poematu często zabrakło mu inwencji i że się w takich razach u innych musiał zapożyczać” (str. 242), — już nie dostrzega oryginalnej, organicznie twórczej, przewodniej myśli rozważanego utworu; nie widzi, że nasz poeta posługuje się obcym materiałem jako pan-mistrz, a nie naśladowca; zarzuty p. Małeckiego spotęgowuje do ostateczności i nie może już wybrnąć z błędnego koła przez się zakreślonego.

Więc też nie ma prof. Tarnowski odwagi następnie do głębszego przeniknięcia występujących w dramacie postaci, krępując się nadto ścisłą chronologicznością. „W Polsce w Popielowych niby czasach Kirkora, pan czterowieżowy, zbrojny rycerz, mściciel krzywd i z powołania obrońca dobrej sprawy”... „Wierzylibyśmy w takiego Kirkora pod Kijowem z Chrobrym, pod Grunwaldem z Jagiełłą, pod Moskwą z Żółkiewskim, pod Koldyngą z Czarnieckim lub z królem Janem pod Wiedniem; nie możemy uwierzyć w niego broniącego pod Gnieznem sprawy pokrzywdzonego prawego króla Popiela” (str. 240, 241).

Szkoda jednak — trzeba było uwierzyć i pójść dalej;

zrozumieć Grabca i Balladynę w przestrzeni dziejów całych; a i całość stanęłaby na oczu. Nawet ów Filon — postać „tak już widocznie i umyślnie nie pasująca do czasów, w których się ma obracać... tak umyślnie skarykaturowana” (241), i ta mogła naprowadzić badającego na tor. A nie zdawałaby się Słowackiego *Balladyna* tylko „dIALOGOWANĄ powieścią gminną” (238), w której świat fantazyjny upodrzędnia sobie świat rzeczywisty dramatu (246); nie zdawałaby się *Lilla-Weneda* wyższą od niej (250 i 259)!

Czy zaś miał prawo poeta takimi szatami myśli swą przyodziewać i wybierać do dramatu ową niby przedhistoryczną epokę? Na to p. Tarnowskiemu najlepiej jego własną obosieczną bronią odpowiemy: „Bo i skądże to mniemanie, że są epoki jedne przydatniejsze dramatowi od innych? Kto i gdzie ograniczył jego dziedzinę, kto jego wolny wybór zamknął w kodeksie opisanych szrankach i przekraczać ich zabronił?... Do państwa tragedyi należą wszystkie zarówno czasy i wieki, byle dostarczały wątku, materiału, zdarzeń i postaci!” (238).

Koniec końców, jasno widzimy, że *Balladyna*, jak każdy utwór sztuki głębszy, nie bywa odrazu należycie zrozumiana — trzeba się wmyśleć dobrze, by ją pojąć całkowicie. Czytana raz pierwszy robi swoje wrażenie, miłe, ujmujące, ale zbyt nieokreślone, zbyt fantastyczne; dla całkowitego zrozumienia i ocenienia jej musi ona być badawczo czytana. Lecz im głębiej rozważana, sprawia wyższą artystyczną rozkosz.

Zajmuje więc ona istotnie i zająć musi rzeczywiście jedno z bardziej znaczących miejsc w naszej literaturze, w naszej poezji, w naszej sztuce; jeśli zaś nie była pojęta na razie w sposób jedyny a upragniony przez jej autora, to przecie ten jego „najpiękniejszy rapsod” nie „w głębi fal Egejskiego morza” — lecz „w sercach ludzi zatonął” — i *Balladyna* jego, posiadając właśnie „wewnętrzzną siłę żywota”,

najzupełniej zgodnie z historią, zostanie królową polskiej sztuki.

Poświęćmy tu *Balladynie* jeszcze słów kilka, stawiając ją wyjątkowiej już w obrębie sztuki więcej. Naprzód jako tragedia, jako utwór dramatyczny, *Balladyna*, pojęta nawet nie pod pierwszym nieujęciem fantastycznym wrażeniem, lecz w całej rozciągłości bogatej treści swojej, na tyle odpowiada głównym warunkom wyższego, poważnego dramatu, że może stanąć przed wykształconem towarzystwem w przedstawieniu scenicznym, by stać się wyborową grą publiczności wyborowej. Nie zależy to już od jej wewnętrzznego układu i ustroju, lecz wprost od zewnętrznych, sprzyjających narodowej scenie, okoliczności.

Układ sceniczny można w potrzebie zastosować więcej do surowszych wymagań gry, ani treść wewnętrzna ani estetyka na tem nie stracą. Nieodzowne tu nawet bogate dekoracje, odpowiednie oświetlenie, balet i muzyka — a najgłębszego, zachwycającego wrażenia można być pewnym. Można być pewnym, że wynagrodziłoby ono ową podług Małeckiego (II, 177) „zuchwałość poety, dającego taki pomysł w kształtach scenicznych”!

Obok tego *Balladyna* staćby się winna rozkoszą artystów, już nie dla całości jedynie, lecz bardziej nawet w pojedynczych swoich ustępach, w pojedynczych postaciach i obrazach. Naprawdę bowiem, czy rzeźbiarz, któremu by chodziło o posągowe oddanie w kształtach artystycznego mytu pewnych wyrazów życia narodu, mało tu znajdzie dla siebie pokarmu, mało tu znajdzie gotowych postaci odrębnych i ugrupowań? A *Balladyna* taka jako królowa o przepasce złowrogiej na czole, a zabójstwo Aliny, a chwila, w której tę ostatnią martwą Filon znajduje? Czy to małe zadanie dla narodowego rzeźbiarza upostaciować posągowo królowę dziejów, wszechwładną szlachtę, uwiecznić w grupie laoko-

nowskiej mocy zabójstwo ludu lub rylcem rozfantazyować zaślubienie martwego cienia ludu przez poezję. Czy za ubogie te szaty estetyczne, w jakie tu poeta już postacie owe przyodział? czy potrzeba szukać gdzie innych lub wytwarzać wcale nowe?

A dla malarza — ileż tu niezrównanie pięknych obrazów, o jak cudnych zarysach, o jakich barwach wdzięcznych! Oto naprzykład co za urocze upostaciowanie wiecznie żywej, wiecznie młodej, wiosennie świeżej idei swobody, idei życia, uosobionej jako geniusz narodu w królowej fal Goplanie — gdzie tu i po co szukać rysów śliczniejszych!

„Ach patrz! na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana;
Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysana,
Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieżony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie...
I patrz! patrz! lekka i gibka
Skoczyła z wody jak rybka —
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po fal przezroczu
Brylantowe iskry skrzesza.
Ach czarowna! któż odgadnie,
Czy się trzyma fal obrączki?
Czy się na powietrzu kładnie?
Czy dłonią na kwiatach się wiesza?
— Ona ma wianek na głowie —
Czy to kwiaty? czy sitowie?
O nie — to na włosach wróżki
Uśpione leżą jaskółki;
Tak powiązane za nóżki;
Kiedyś, w jesienny poranek
Upadły na dno rzeczutki, —
Rzeczutka rzuciła wianek,
Wianek czarny jak hebany,
Na złote włosy Goplany.

— — — — —

Promienie słońca przenikły
 Jaskółeczek mokre piórka, —
 Ożyły — pierzchły — i znikły,
 Jak spłoszonych wróbli chmurka.
 Królowa nasza bez ducha
 Zadziwiona stoi — słucha —
 Nie śmie wiązać i zaplatać
 Kos rozwianych, nie wie, czemu
 Wianeczkowi uwiędłemu
 Przyszło ożyć? — skąd mu latać”?

Czyż to nie dosyć bogaty, za mało żywy temat dla idealno-historycznego malarza ów wiosenny świt swobody narodowej? Niechby nam przedstawiono Goplanę w chwili, kiedy właśnie rozpierzcha się jej wianeczek jaskółek, owego ptastwa prastarego boga ojców naszych, boga słońca (Rugewita), a pozostanie ona wiekiuisie jednym z wyrazów narodowo-historycznego naszego mytu; — wszystko tu jest bowiem w tym fantastycznym obrazku, — i myśl głęboka, natchniona, i usymbolizowanie jej artystyczne niezrównanego piękna.

Nie wiążąc się wreszcie treścią poważną, historyczną, głębszą, — ileż tu malarz znajdzie obrazków lekkich a ujmujących, które aż proszą się niby, by je pędzlem oddać. Oto dla przykładu weźmijmy małą wycieczkę Balladyny na spotkanie z kochankiem:

„Jako mgliste mary,
 Szła po murawach i drżąca i cicha,
 A płomyk świecy przez różowe szpary
 Białych paluszków, jak z róży kielicha,
 Błyskał i gasnął — to błyskał, to gasnął.
 Zbudził się ptaszek w osinach i zasnął,
 Tak cicho przeszła. — Ómy wianeczek złoty
 Zwinął się, leciał nad dziewicy głową.
 Stanęła — słucham, — ona ciche słowo
 Wmieszła w szmery listeczków osiny —
 Ktoś odpowiedział”.

Co za śliczniutki obrazek,—a takich tu mnóstwo rozproszył poeta! Rysownik tem bardziej znalazłby w jego utworze niewyczerpaną treść do ilustrowania, treść nadzwyczaj urozmaiconą.

Lecz nietylko rzeźba i malarstwo mogą tu czerpać pełną dłońią, — jest tu niemniej przedmiotu i dla muzyki w najrozlicniejszych jej rodzajach. Poczniemy sobie od cichej, rzewnej, naiwnej a serdecznej modlitwy Aliny przed snem, modlitwy prostej wieśniaczego ludu w przeddzień niewoli:

„Boże! ptaszęta u twojej potęgi
Mogą uprosić o wisienkę czarną,
Jaskółkom w dziobek dajesz muszkę marną.
Jeśli Ty zechcesz, Boże mój jedyny —
Gdzie stąpię — wszędzie czerwone maliny”. —

Postępując dalej ze stopnia na stopień, wzniesiemy się do tak poważnych, wspaniałych, uroczystych tematów, jak uczta lub sąd, które już wyzywają całą potęgę władzy muzyki. Muzyka też narodowa nie może znaleźć głębszej a bardziej wzniosłej treści, jak ta właśnie. Uczta owa, jak druga Baltazarowa biesiada, którą przerywa cień Aliny, jak owa ręka tajemnicza, pisząca synom Assura na ścianie słowa złowrogie—uczta szlachecka w zupełności, cóż to za przedmiot dla narodowego artysty muzyka! A sąd Balladyny w sprawie matki, wyrok i kara, pomsta dziejów,—nic już groźniej majestatycznego!—Nareszcie cała tragedia Słowackiego może być z łatwością przeobrażona w operę, w takiej nawet formie przybrałaby ona jeszcze więcej czarującej mocy, niezwalzonego uroku, fantastyczność upostaciowania bogatej myślą i akcją treści, której towarzyszyłaby równie rozfalowana harmonia odpowiedniej muzyki, podniosłaby utwór do nieprześcigniętej wyżyny piękna, do potęgi niezrównanej!

Co do mnie osobiście, wyznać się poważę, iż widzę już i tak pewien ukryty, wewnętrzny, etyczny i estetyczny

związek pomiędzy *Balladyną* a muzyką narodową w utworach genialnego jej wyraziciela; w jego dźwiękach nieraz dają mi się czuć postacie i fantasmata z *Balladyny*, i kto wie, czy nawet nazwy dla swej królowej nie pożyczył wprost Słowacki z *Ballad* Szopena. Tak więc mielibyśmy dowód ożywczego wpływu muzyki na poezję, — wspólność, która wznosi w naszych oczach zarówno obydwóch wieszczów — poetę i muzyka.

Wspólność taka, wzajemne oddziaływanie sztuk pięknych między sobą, zasilanie się żywe bez przerwy zdobytymi skarbami i zmierzanie ku ujednostajnieniu samej treści — jest koniecznością samoistnej narodowej kultury.

Przypomnijmy sobie klasyczną Grecję, — jaka tam ścisłość, jaka solidarność, jaka jedność w świecie sztuki, — jeden myt religijny i historyczny, jeden wyraz i jedna treść. Co poda religia czy historia, to postaciuje jednostajnie poezja i rzeźba; nie znajdziemy prawie ani jednej postaci w poezji, którejbyśmy nie spotkali natychmiast w rzeźbie; — rapsody homeryczne są udziałem każdej ze sztuk pięknych bez wyjątku, — bogowie Olimpu, bohaterowie Maratonu do każdej należą; na wszystko jest ustalony symbol i emblemat, wszystko ma swą formę stałą, wyraz i obraz, zarówno myt, jak fakt dziejowy. Stąd właśnie ta samoistność i potęga sztuki, ta samoistność całej kultury greckiej i nieprzezwyciężoność jej siły; wszystko tam wzajem się wspierało, ożywiało i stanowiło skończoną w sobie harmonijną całość. Posiadał Greczyn cały swój świat piękna, odrębny, zwarty w sobie — i w tym świecie i przez ten świat czuł się niepokonanym; a gdy ideały jego straciły już moc religijną, kultura narodu stała jeszcze samą estetyczną ich potęgą. Tak było w pięknej Helladzie, — taka konieczność i przed nami leży.

U nas sztuka wogóle, niezależnie od społecznego i politycznego stanu narodu, rozwija się dość wszechstronnie i postępowo, a w poezji sięgnęła szczytu swego wyrazu, ale

rozwija się ona mimo to nie tak organicznie, nie tak harmonijnie i samoistnie zatem, jakby oczekiwać należało. Nie do nas należy dochodzić przyczyn tego, one są, i liczne, a między innymi brak jednoistnego kierunku w umysłowej kulturze naszej. Ten sprawia, że każda gałąź sztuki rozwija się u nas swoim torem, że, usamoistnieni jedynie od niedawna w zakresie malarstwa, w dziedzinie plastyki jesteśmy najzupełniej pod obcym wpływem, w muzyce ledwie sobie torujemy drogę, a posiadając tak potężnie wzniesioną poezję, nie widzimy jej ożywczego wpływu na inne odłamy sztuki. Nie widzimy następnie owej harmonii we wzajemnym stosunku do siebie wszystkich wogóle rozgałęzień sztuki. A jednak tak być może i tak być powinno! Możemy mieć, jak starożytni Grecy, i powinniśmy mieć swój własny też świat narodowego piękna — nie przez jakie naśladownictwo, lecz najzupełniej samoistnie. Wcale nam nie potrzebny teogoniczny myt, jak u starożytnych, obędziemy się nawet bez wywoływania widm naszej pogańskiej mytologii, i myt, jaki się sam dowolnie układać będzie z postaciowanych idei i ideałów życia, aż zanadto nam brak ten zastąpi. Za to mamy równie jak oni najzupełniej roztwarte pole dziejowe, a to przedstawia niewyczerpany nigdy zapas dla sztuki narodowej. Kultura nasza musi być narodowa; podstawą jej—własnej przeszłości dzieje, historia narodu; wyrazem estetycznym—sztuka. Więc i sztuka u nas na podstawie historycznej opierać się winna: opierać się—z jednej strony, a z drugiej—upotężniać i opromieniać pięknem przeświadczenie narodu.

Poezja z samej natury rzeczy przoduje u nas pod tym względem, za nią dość śmiało już postępują muzyka i malarstwo; ale w istocie rzeczy chodzi tu o to, by wszystkie rodzaje sztuki w harmonijnym splocie wzajemnego oddziaływania na siebie postępowały tu współczynnie z poezją, by stanowiły z nią jedną jednoistną wewnętrzną całość. Poezja posiada najbogatszą skarbnicę ideałów i po-

staci estetycznych narodowego żywota i przeświadczenia; ona dawno rozpowita z pieluch niemowlęctwa, jako anioł stróż stoi ręka w rękę z historią na straży narodowej samoistności, narodowego kultu; ona też zawsze najzdolniejsza w narodowej twórczości. Inne sztuki oczywiście powinny iść w jej ślady, a nie pozbywając się samoistności odpowiednich sobie form, czerpać pełną dłońią z jej zapasu; powinny, wyrzekłszy się obcych bogów i nie upędzając się za niewczesną oryginalnością, przeobrażać gotową treść duchową, podawaną przez poezję. Wtedy dopiero stanie się możliwą harmonijna jednoistność narodowej sztuki wogóle, samodzielność i sprężystość kultury i moc jej utrzymywania przeświadczenia narodu na wyżynie żywej gotowości żywotnego czynu.

Niech nam jeden i ten sam ideał, jedną i też samą postać piękna, jedną myśl i pamiątkę dziejów, jak dawnemu Ateńczykowi, powtarzają wszystkie sztuki zarazem, a podawać się będziemy silniej uroczej mocy narodowego piękna, czuć głębiej potęgę świata ideałów i z większą swobodą duszy płynąć sobie prądem czynu. Piękno nieme nawet ma moc elektryczną! Jeśli takie, na przykład, zabójstwo Aliny ma pozostać w świecie piękna jednym z dogmatów, jednym z symbolów naszego narodowego bytu, niech mi je rylc uwiecznia w głazie, niech pędzel ciągle przypomina żywością barw, a muzyka wstrząsa niem do głębi duszę! Niech na wszystkich stopniach artyzmu tchnieniem jednym tęczowo przeobraża się jeden i ten sam promień piękna, a żywo czuć będziemy samoistność organiczną estetycznej i powszechnej kultury narodu, żywiej czuć będziemy narodowość samą, jej zadania i powołanie.

Cień Aliny zdolny obudzić nietylko sentymentalne rozfantazyowanie się Filona! — nie zapominajmy słów Pu-stelnika: „w grobie tyle świtu co nad kołyską marzeń”! Cienie, postaci artyzmu wykarmiają marzenia młodociane, wychowanie każdego pokolenia narodu zażywia się ze świata ideałów; im też one są bogatsze, im bardziej one naro-

dowe, tem pełniejsze, samodzielniejsze i poczucie młode, tem żywotniejsze następnie i narodu całego przeświadczenie. A to właśnie winno być najwyższym etycznym celem sztuki i poezyi!

Przeświadczenie narodu o sobie, jego świadomość własna jest nietylko wyrazem stopnia rzeczywistej wewnętrznej siły narodu w danej chwili, ale i samą siłą czynną, potęgą etyczną zarazem. Tyle ono stosunkowo ma w sobie zwartej mocy, ile stopień poczucia pojedynczej osoby. Przeświadczenie przecie narodu obecne opiera się o względną świadomość jego istoty własnej w przebytej przeszłości, a im ta świadomość pełniejsza, tem głębsze przeświadczenie samo; im ona poetyczniejsza, tem żywszy, tem bardziej czynu zdolny i wewnętrzny nastrój ducha narodu. Ludy bez pełniejszego przeświadczenia przeszłości narodami nie są!

Bogactwo zaś poczucia tego stanowi rzeczywisty zasób duchowy twórczej siły dziejowej narodu. Wszelka jednak twórczość narodu, wystrzelająca ponad powszednią rozumną działalność praktyczną, jest wypływem poetycznej jego siły; na tyle więc tylko twórczość sama sięga, na ile poezyi starczy — to prawo ogólne. W szczególnem zastosowaniu, im poetyczniej odbija się w przeświadczeniu byt narodu historyczny, im bardziej z rzewnem, smętnem lub pełnem dumy i uwielbienia uczuciem zwraca się pamięć nasza ku niemu, tem więcej przeszłość ta odpromienia ożywczej siły, tem potężniej wzdyma poczuciem czynu i samą pierś narodu — czy tym czynem będzie ściganie za zdobyciem nowych wieńców sławy, czy niecenie świętego ognia wytrwałości w niedoli lub poświęcenia się wielkim zadaniom narodowym i humanitarnym. Biada narodowi, któremu natchniony wieszcz nie ożywia w uczuciu, w pamięci, przysłoniętych mgłą przeszłości a wskrzeszonych twórczością jego obrazów i postaci, coby mu służyły za pokarm ducha i wzór do naśladowania, coby mu stały się niezbędnym dlań przedmiotem czci i widzenia samego siebie w ideale!

Ale nie na tem kończy się zadanie poety wśród narodu: winien on mu służyć pryzmatem, przez który w tęczowem fantazyi i obrazowości bogactwie promieniałaby przed wzrokiem naszego ducha i pełna całość, istota sama przeświadczonego najwszechstronniej narodowego życia, narodowego powołania, pryzmatem tak czystym przecie, by przezeń zarówno i trzeźwy rozum na każde zachcenie mógł skupić rozproszoną barw wzorzystość w zasadniczy charakter przedmiotu. Co więcej, nad to bierne poniekąd zadanie winien on potęgą twórczości własnego ducha rozjaśniać, wznosić, uzupełniać, ożywiać, zdobić i uczyniać przeświadczenie narodu w danej chwili o istocie jego własnego narodowego bytu.

Wobec podobnych wymagań z dumą możemy wyznać, iż wieszczę nasi pełnią tu swe powołanie z przejściem się prawdziwie obywatelskiem. Stąd między poetą a historykiem u nas wywiązuje się żywy stosunek wzajemnego oddziaływania. Ograniczając się na jednym przykładzie tylko, wskażemy, iż o ile Mickiewicz urosł na studyach historycznych, o tyle napewno i historia ścisła niemniej mu obowiązana za niejedną natchnioną wskazówkę, niejednen promień genialny, niejednen tor wszechstronniejszych badań dziejowych. Śledzenie zatem pilne, jak też przeszłość narodu odzwierciadla się w duchu wielkich jego poetów, pozostanie zawsze rzeczą niepospolitej wagi, nietylko pod względem estetycznym, ale i surowej historyzoficznej prawdy; nietylko dla artysty, odtwarzającego w sztuce ideały narodu, osłonięte mgłą wieków, lecz i dla badacza trzeźwego, co nie pogardzi żadną pochodnią, by tylko przedrzeć się do głębi prawdy, — a cóż dopiero światłem takiego cudnego blasku, jak pochodnia poezyi, przy której uroku trzeźwi nigdy przecie nie błądzą!

Jednym właśnie z takich poetów narodu jest Słowacki. I w jego duszy odzwierciadla się w pewien niepospolicie oryginalny a żywy sposób cała pełnia naszego narodowego

bytu w najwszechstronniejszym swem bogactwie,—i on mu przyświecił światłą pochodnią swego poetycznego natchnienia, wywołał mocą twórczości kryjące się w pomroku nieprzezwyciężane a wielce rzeczywiste postacie i obrazy, a uwieńczył skroń przeszłości takim kwiecistym splotem, przyozdobił jej szaty takim przepychem barw, jak rzadko kto może! Długo był on niezrozumiany, nieoceniony należycie, lecz to kolej wszystkich, co sobie nowe tory torują! Niezrozumiana, nieoceniona na razie była i *Balladyna*; dziś przecie inaczej już ulubiony ten utwór naszego wieszczu pojmuwać poczynamy.

Jaśniej on przed nami nietylko czarującą arabeskową wzorzystością snujących się swobodnie obrazów, nietylko dźwięczy nam w duszy nieprześcigniętą fantastycznością Szopena, nietylko roztacza się w akcji żywej jak szekspirowski rzeczywistego życia dramat, wypogodzony aryostycznym uśmiechem; lecz staje nam przed oczyma zarazem jako surowa, poważna, naga prawda historyczna, pełna grozy ponurej i niezłomnej nadziei. Prawda z przeszłości tak naga, że chyba ją zrównać tylko z drugą taką podobną, gdzie wieszcz, rozdrażniony namiętnie, że rażona piorunem królowa mimo to jeszcze dotąd obecnie pozostawionemi szatami niejako swemi upowija naród w niemocy, woła u *Grobu Agamemnona* do Polski:

„Zrzucić do ostatka te płachty ohydne,
Tę Dejaniry palącą koszulę;
A wstań jak wielkie posągi bezwstydnę,
Naga — w styksowym wykąpana mule!
Nowa, — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!” —

Taką to nagą a porywającą prawdą jaśniej nam dziś i *Balladyna*;—część więc wieszczowi, co nam ją taką z przeszłości przywołał!

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Oryentalista Sękowski w korespondencji z Lelewelem . . .	1
Koleje dziejowe zrzeszania się Słowian nadkarpaccich do połowy XV-go wieku	178
Najnowsze teorye heraldyczne pochodzenia polskiego społeczeństwa szlacheckiego	281
W sprawie średniowiecznej heraldyki litewsko-ruskiej . . .	323
Poczet rodów W. księstwa Litewskiego (Bonieckiego)	333
Ród Gedymina (J. Wolffa)	347
Kniaziowie Litewsko-ruscy (J. Wolffa)	361
Balladyna Słowackiego	371

PRACE TEGOŻ AUTORA:

W wydawnictwie p. t.: „**ŹRÓDŁA DZIEJOWE**”:

W dziale **WSTĘPNYM**:

Tom I. *Krzysztof Grzymułtowski, wojewoda poznański (życiorys).*

» V. *Lustracye królewsczyzn Ziem Ruskich: Wołyń, Podola i Ukrainy — poprzedzone monografią historyczną — „Starostwa okrainne”.*

» VI. *Rewizya zamków ziem Wołyńskiej w połowie XVI-go w. — poprzedzone monografią „Ziemia Wołyńska”.*

» X. *Sprawy włoskie za Jagiellonów — z monografią.*

W dziale p. t. „**POLSKA XVI WIEKU POD WZGLĘDEM GEOGRAFICZNO-STATYSTYCZNYM**”:

Tom XVII (VI). *Podlasie — w 3-ech częściach.*

» XVIII (VII). *Rus Czerwoną w 2-ech częściach.*

» XIX (VIII). *Wołyń i Podole.*

» XX, XXI i XXII (IX, X i XI). *Ukraina.*

Ponadto osobno

Akademia Kijowsko-Mohylańska — zarys historyczny.

Atlas historyczny Rzeczypospolitej — Dział Uchwały „Ziemia Ruskie”.

